

CZARNA SERIA

KRYMINALNA

KATE
ATKINSON

Przysługa

KATE ATKINSON

Przysługa

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015



*Debbie, Glynis, Judith, Lynn, Penny, Sheili i Tessie.
Za to, jakie byłyśmy i jakie jesteśmy.*

Male parta, male dilabuntur.
(Zły nabytek nie idzie w pożytek).
Cyceron, *Druga filipika* (27, 65)

Wtorek

1

Zabłądził. Rzadko mu się to zdarzało. Należał do tych, którzy opracowują dokładne plany i skutecznie realizują je do końca. Lecz teraz wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu w sposób – jak uznał – niemożliwy do przewidzenia. Przez dwie otępiające godziny tkwił w korku na autostradzie A1, więc gdy wreszcie dotarł do Edynburga, dochodziło południe. Potem zagubił się w płątaniu ulic jednokierunkowych i został zmuszony do zawrócenia z powodu pęknięcia wodociągu. Przez całą podróż deszcz lał równo i nieustępliwie; zelżał dopiero na obrzeżach miasta. Pogoda nie zniechęciła jednak ludzi – nie przyszło mu wcześniej do głowy, że w Edynburgu trwa właśnie „ten słynny festiwal” i że wszędzie będą się kłębić wielobarwne tłumy, zupełnie jakby właśnie odtrąbiono koniec wojny. Wcześniej tylko raz zetknął się bliżej z festiwalem edynburskim – włączył telewizor i przypadkowo trafił na wieczorny program kulturalny, w którym grupa palantów z klasy średniej dyskutowała o jakimś pretensjonalnym spektaklu teatru alternatywnego.

Koniec końców wylądował w brudnym centrum. Ulica sprawiała wrażenie, że znajduje się niżej niż reszta miasta, niczym jakiś poczerniały wąwóz. Musiał ostrożnie prowadzić, bo bruk stał się mokry i śliski po deszczu. Do tego wszędzie było pełno kobiet i mężczyzn – platali się po jezdni albo zbijali na jej środku w ciasne grupki, jakby nie słyszeli, że jezdnie są dla samochodów, a chodniki dla pieszych. Przez całą długość ulicy wiła się kolejka czekających na wejście do budynku, który wyglądał jak zbombardowany, lecz afisz przed nim dumnie głosił, że znajduje się tam „scena festiwalowa nr 164”.

W portfelu miał prawo jazdy wystawione na niejakiego Paula

Bradleya. Nazwisko łatwo umykało z pamięci. Od jego prawdziwego dzieliło go obecnie kilkanaście fałszywych, a on już dawno stracił poczucie, że tamto kiedykolwiek naprawdę do niego należało. Gdy nie pracował, często (ale nie zawsze) używał imienia „Ray”. Było krótkie i proste. Ray jak promień – promień światła, promień ciemności. Promień słońca, promień księżyca. Lubił zmieniać tożsamości, prześlizgiwać się między szczelinami życiorysów. Wypożyczony peugeot, który prowadził, wydawał się w sam raz: nie wypasiona bryka dla twardzieli, ale auto, jakim mógłby jeździć całkiem zwyczajny facet. Taki zwyczajny jak Paul Bradley. Gdyby ktoś go zapytał, czym się zajmuje, czym się zajmuje Paul Bradley, odpowiedziałby: „Niczym ciekawym. Zwykły ze mnie gryzpiórek, przerzucam papiery w księgowości”.

Prowadził, usiłując odcyfrowywać książkowy plan Edynburga i znaleźć drogę ucieczki z tej piekielnej ulicy. Nagle ktoś wszedł wprost przed maskę jego samochodu. Typ, którego nienawidził – młody ciemnowłosy facet w okularach o grubych, ciemnych oprawkach, z dwudniowym zarostem i z papierosem dyndającym w kąciku warg; w Londynie były takich setki, wszyscy zgrywali się na francuskich egzystencjalistów z lat sześćdziesiątych. Ray mógłby się założyć, że żaden w życiu nie zajrzał do książki poświęconej filozofii. On sam sporo czytał – Platona, Kanta, Hegla – myślał nawet, żeby kiedyś skończyć studia.

Ostro zahamował, dzięki czemu nie wpadł na koleśia w okularach, zmusił go tylko do uskoczenia w bok – szybkiego manewru toreadora schodzącego z drogi bykowi. Tamten oczywiście się wściekł; wymachiwał papierosem, wrzeszczał i pokazywał środkowy palec. Zero klasy i manier. Ciekawe, czy jego rodzice byli z siebie dumni. Ray nie cierpiał palaczy – co za ohydny nałóg – nie cierpiał koleśi, którzy wystawiali środkowy palec, wrzeszcząc: „Wsadź se to w dupę!” i tryskając śliną z obrzydliwych warg ze śladami nikotyny.

Poczuł lekkie uderzenie – jak wtedy, kiedy ciemną nocą przejedzie się borsuka albo lisa – tyle że z tyłu samochodu. Coś przez chwilę pchało go naprzód. Co za fart, że okularnik zdążył

wywinąć swoje paso dole i usunąć mu się sprzed maski. Gdyby nie to, byłby z niego placek. Spojrzał w lusterko wsteczne. Niebieska honda civic; jej kierowca właśnie gramolił się na zewnątrz – napakowany mięśniak, nawykły raczej do podnoszenia ciężarów na siłowni niż do obozowania w dziczy. W przeciwieństwie do Raya nie przetrwałby trzech miesięcy w dżungli ani na pustyni. Gdzie tam; nie przetrwałby nawet jednego dnia. Na dłoniach miał brzydkie rękawiczki samochodowe z czarnej skóry z otworami na kłykciach. Na tylnym siedzeniu jego wozu jechał krępy rottweiler – dokładnie takiej rasy psa można się było spodziewać po kimś tego pokroju. Koleś był chodzącym stereotypem. Pies miotał się teraz w napadzie szału, śliniąc tylną szybę i szorując kłami po szkle, ale nie stanowił dla Raya większego problemu. Potrafił zabijać psy.

Wysiadł z samochodu, przeszedł do tyłu i nachylił się nad zderzakiem, żeby ocenić szkodę. Kierowca hondy zaczął się na niego wydzierać: „Co ty *wyrabiasz*, pieprzona, durna *cioto?*”. Anglik. Ray szukał w myślach słów, które nie byłyby agresywne i zdołałyby uspokoić napastnika. Tamten aż gotował się w środku, był o krok od wybuchu – więcej, *chciał* wybuchnąć, kołysząc się na ugiętych nogach niczym zawodnik wagi ciężkiej, który już jakiś czas temu stracił formę. Ray przyjął neutralną postawę i neutralny wyraz twarzy, lecz w tej samej chwili z ust zgromadzonych wokół ludzi wyrwał się jednocześnie okrzyk przerażenia, on zaś zauważył kij bejsbolowy, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w ręku mięśniaka, i pomyślał: „O cholera”.

To była jego ostatnia myśl na dobrych kilkanaście sekund. Gdy znowu mógł myśleć, leżał jak długi na jezdni i trzymał się za bok głowy w miejscu, w które oberwał. Dobiegł go brzęk tłuczonego szkła – ten drań wybijał mu teraz metodycznie szyby w samochodzie. Ray nadaremnie usiłował się podnieść; zdołał jedynie dźwignąć się na kolana, tak że wyglądał, jakby się modlił. Tymczasem tamten zbliżał się do niego z uniesionym kijem, ważąc go w dłoni, gotów jednym celnym zamachem roztrzaskać mu czaszkę. Ray podniósł rękę, żeby się zasłonić, przez co jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie

i osunął się na bruk, myśląc: „Chryste, czyżby tak to się miało skończyć?”. Dał za wygraną, autentycznie dał za wygraną – nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało – gdy niespodziewanie ktoś z tłumu zrobił krok naprzód, zamachnął się czymś czarnym i prostokątnym, a następnie cisnął tym czymś w kołesia z hondy. Trafiony w ramię koleś aż się zatoczył.

Na kilka sekund Ray znów stracił przytomność. Gdy oprzytomniał, obok niego kucaly dwie policjantki. Jedna mówiła: „Niech się pan nie rusza, sir”, podczas gdy druga przez krótkofalówkę wzywała ambulans. Pierwszy raz w życiu tak się ucieszył na widok policji.

Martin nigdy dotąd nie zrobił niczego podobnego. W domu nie zabijał nawet much, tylko cierpliwie na nie polował, a potem nakrywał szklanką lub talerzem i wypuszczał za okno. *Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię*¹. Miał pięćdziesiąt lat i nigdy świadomie nie okazał agresji innej żywej istocie, choć czasami wydawało mu się, że ma to więcej wspólnego z tchórzostwem niż z pacyfizmem.

Stał z innymi w kolejce, czekając, aż czyjaś interwencja przerwie rozgrywającą się na ich oczach scenę, ale tłum był wyraźnie nastawiony na odbiór, jak publiczność wyjątkowo brutalnego spektaklu teatralnego. Nikt się nie kwapił, żeby psuć pozostałym zabawę. Nawet sam Martin początkowo się zastanawiał, czy przypadkiem nie mają do czynienia z kolejnym przedstawieniem – zaimprovizowanym naprędce happeningiem, którego celem było zaszokować widzów albo obnażyć ich brak wrażliwości wynikający z faktu, że jako mieszkańcy globalnej medialnej wioski stali się biernymi podglądaczami przemocy (i tak dalej, i tak dalej). Taka mniej więcej myśl zaświtała mu w części mózgu odpowiedzialnej za intelekt. Pierwotny instynkt szeptał mu tymczasem: „Cholera, to jest potworne, naprawdę potworne, niech ten zły człowiek nareszcie sobie pójdzie”. Nie zdziwił się, kiedy usłyszał w głowie głos ojca („Weź się w garść, Martin”). Ojciec od wielu lat nie żył, lecz w uszach Martina wciąż często rozbrzmiewały spżowze tony jego pokrzykiwań i wrzasków rodem z placu apelowego. Kierowca hondy skończył wybijać szyby w oknach srebrnego peugeota; ruszył w stronę leżącego na jezdni mężczyzny, wymachując kijem i szykując się do zadania ostatniego, zwycięskiego ciosu. Martin uświadomił sobie, że ten człowiek najprawdopodobniej zginie, zostanie *zabity* przez

1 Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

maniaka na oczach ich wszystkich, o ile ktoś czegoś nie zrobi. Instynktownie, bez namysłu – gdyby się zastanowił, zapewne nigdy by się na to nie odważył – zsunął z ramienia torbę, zamachnął się jak przy rzucie młotem i cisnął, celując nią w głowę szaleńca z hondy.

Nie trafił, co wcale go nie zdziwiło – nie przodował w rzutach do celu ani w łapaniu czegokolwiek, należał raczej do tych, którzy robią unik, kiedy leci do nich piłka. W torbie był jednak laptop. Jego twardy kant zahaczył o ramię szaleńca. Uderzenie sprawiło, że ten obrócił się wokół własnej osi.

Do tej pory kontakty Martina ze światem przestępczym ograniczały się do zorganizowanej przez Towarzystwo Autorów jednorazowej wycieczki na posterunek policji na ulicy św. Leonarda. Poza nim grupa składała się z samych kobiet. „Nasz rodzynek” – powiedziała o nim jedna, a w uprzejmym śmiechu pozostałych Martin wyczuł swego rodzaju rozczarowanie, jakby żałowały, że mężczyzna, który im się trafił, nie jest nieco bardziej męski.

Poczęstowano ich kawą i ciasteczkami – herbatnikami z czekoladą oraz wafelkami z kremem truskawkowym – cała grupa była pod wrażeniem tak obfitego wyboru. „Starsza posterunkowa” wygłosiła przyjemną prelekcję w nowiutkiej sali konferencyjnej wyglądającej, jakby zaprojektowano ją specjalnie dla takich grup. Następnie oprowadzono ich po różnych częściach budynku, po centrum telefonicznym i przepastnej hali. Siedzący tam przy komputerach nieumundurowani ludzie („Z krajowej służby wywiadu kryminalnego”) obrzucili „autorów” nieuwważnymi spojrzeniami, po czym, całkowicie słusznie stwierdziwszy, że są nieistotni, wrócili do swoich monitorów.

Cała grupa wzięła udział w okazaniu, jednej osobie pobrano odciski palców. Zamknięto ich też – co prawda, na krótko – w areszcie. Przeszując tam z nogi na nogę, chichotali, żeby nie ulec atakowi klaustrofobii. Martina uderzyła myśl, że „chichot” to słowo używane niemal wyłącznie w odniesieniu do kobiet. One chichotały, mężczyźni po prostu się śmiali. Martin martwił się tym, że lubi sobie pochichotać. Na koniec

zwiedzania, zupełnie jakby zainscenizowano to specjalnie dla nich, mieli okazję z dreszczykiem lęku obserwować zbiórkę oddziału pospiesznie wkładającego stroje przeciwuderzeniowe przed wyprowadzeniem z celi jakiegoś kłopotliwego więźnia.

Tematyka wycieczki nie miała wielkiego związku z książkami wydawanymi przez Martina pod pseudonimem Alex Blake. Były to staroświeckie, sentymentalne kryminały, których bohaterka, niejaka Nina Riley, przebojowa dziewczyna, odziedziczyła po wuju agencję detektywistyczną. Akcja powieści toczyła się tuż po wojnie. Martina szczególnie ciągnęło do tego okresu w historii, do szarości powojennej nędzy i cichego, starannie skrywanego rozczarowania, jakie nastąpiło po latach heroizmu. Wiedeń czasów *Trzeciego człowieka*, Londyn i okolice ze *Spotkania*. Jak musiało wyglądać życie w czasach, gdy tak powszechnie obnoszono się ze swoimi przekonaniem, święcie wierząc w sprawiedliwą wojnę, gdy doświadczano tylu wzniosłych uczuć (prawda, że wiele z tego było zwykłą propagandą, ale ich sedno pozostawało prawdziwe) i odrzucano niezdolne okowy indywidualizmu? Jakie to uczucie znaleźć się na krawędzi porażki i zagłady i mimo wszystko przetrwać? A potem myśleć: „No i co dalej?”. Niny Riley, rzecz jasna, nic z tego nie dotyczyło, miała zaledwie dwadzieścia dwa lata i spędziła wojnę w szwajcarskiej szkole dla panien z dobrych domów. Poza tym nie istniała naprawdę.

Nina Riley zawsze była chłopczycą, choć bez wyraźnych skłonności lesbijskich, nieustannie adorowaną przez rozmaitych mężczyzn. W kontaktach z nimi zachowywała się jednak niezwykle cnotliwie. („Zupełnie – napisał mu pewien »wdzięczny czytelnik« – jakby jedna z pensjonarek z powieści Elinor Brent-Dyer dorosła i została detektywem”). Mieszkała w bliżej niesprecyzowanej krainie geograficznej przypominającej Szkocję, z morzem, górami i rozległymi wrzosowiskami. Dało się stamtąd szybko dojechać szalowym bristolami, kabrioletami głównej bohaterki, do każdego większego miasta Szkocji (jak również Anglii, lecz nigdy Walii – coś, co zdaniem Martina wymagało być może korekty). Pisząc swoją pierwszą powieść o Ninie Riley, Martin wyobrażał sobie,

że będzie to czuły ukłon w stronę dawnych czasów i dawnych form literackich. „Można powiedzieć, że to coś w rodzaju pastiszu – oznajmił nerwowo, gdy przedstawiono go redaktorce w wydawnictwie. – Taki nieco ironiczny *hold*”. To, że książkę w ogóle mu wydano, było ogromnym zaskoczeniem. Napisał ją dla zabawy, a tu ni stąd, ni zowąd przyszło mu siedzieć w jakimś sztampowo urządzonym londyńskim biurze i tłumaczyć się z bzdur, jakie wymyślił, dziewczynie, która ledwo zaszczycła go swoją uwagą.

– Tak czy inaczej – odparła (patrzenie na niego przychodziło jej z widocznym trudem) – widzę, że mam przed sobą książkę, która się sprzeda. Starą, dobrą powieść kryminalną. Ludzie *lęką* nostalgii, przeszłość działa na nich jak narkotyk. Ile książek planuje pan wydać w cyklu?

– W cyklu?

– Cześć.

Martin odwrócił się i zobaczył człowieka, który w niemal absurdalnie zrelaksowanej pozie opierał się o futrynę. Był starszy od Martina, ale ubierał się bardziej młodzieżowo.

– Cześć – odrzekła młoda redaktorka, poświęcając nowo przybyłemu całą swoją uwagę. Ich krótkie powitanie zdawało się nieść więcej treści, niż dałoby się zawrzeć w słowach. – To Neil Winters, nasz dyrektor naczelny – dodała z pełnym dumy uśmiechem. – Neil, to jest Martin Canning. Napisał *cudowną* książkę.

– To fantastycznie – stwierdził Neil, ściskając rękę Martina. Jego dłoń była miękka i wilgotna jak coś martwego, co można znaleźć na plaży. – Mam nadzieję, że pierwszą z wielu.

Dwa tygodnie później Neil Winters został przeniesiony na wyższy szczebel w swojej macierzystej europejskiej korporacji i Martin już go więcej nie spotkał. Niemniej jednak w jego pamięci tamten uścisk dłoni na zawsze miał wyznaczać moment, w którym jego życie całkiem się odmieniło.

Niedawno sprzedał telewizji prawa do sfilmowania swoich powieści o Ninie Riley. „Te książki są jak ciepła kąpiel. Idealna zapchajdziura do wieczornego pasma programowego” – oznajmił mu producent z BBC; w jego ustach zabrzmiało to

jak obelga i w istocie nią było.

W zamieszkiwanym przez siebie dwuwymiarowym świecie fikcji Nina Riley rozwiązała dotąd zagadki trzech morderstw, kradzieży klejnotów i napadu na bank, odzyskała skradzionego konia wyścigowego, zapobiegła porwaniu małego księcia Karola z zamku Balmoral, a w szóstej części swoich przygód niemal bez niczyjej pomocy udaremniła spisek, mający na celu kradzież szkockich klejnotów koronnych. Część siódma – *Zagadka araukarii* – spoczywała właśnie w wydaniu kieszonkowym na stolikach w każdej księgarni, oferowana w promocji „trzy książki w cenie dwóch”. Wszyscy zdawali się zgodni co do tego, że jest „bardziej mroczna” („Blake nareszcie zmienił styl na dojrzalszy, bliższy gatunkowi *noir*” – napisał na portalu Amazon jeden z czytelników; w tych czasach każdy mógł się bawić w krytyka), mimo to napisane przez niego powieści wciąż „prężnie” się sprzedawały, przynajmniej według Melanie, jego agentki. „Jeszcze daleko do końca, Martinie” – zapewniała go. Melanie była Irlandką i w jej ustach wszystko brzmiało uprzejmie, nawet jeśli wcale takie nie było.

Gdy go pytano – zdarzało się to całkiem często – dlaczego został pisarzem, Martin odpowiadał zwykle, że skoro i tak przez większość czasu żyje w świecie fantazji, to postanowił na tym zarabiać. Mówił to jowialnie, bez żadnych chichotów, a ludzie uśmiechali się, jakby powiedział coś zabawnego. Nie docierało do nich, że naprawdę żył w swojej głowie. Nie w sensie intelektualnym czy filozoficznym; w istocie jego życie wewnętrzne było niezwykle banalne. Nie wiedział, czy innym też się to zdarza. Czy życie upływa im na bujaniu w chmurach i wyobrażaniu sobie lepszej wersji rzeczywistości? Nikt nie mówił głośno o życiu w świecie wyobraźni, chyba że miał na myśli sztukę wyższą, w rodzaju poezji Keatsa. Nikt nie wspominał o przyjemności z wyobrażania sobie siebie samego siedzącego na leżaku w ogrodzie pod bezchmurnym niebem w samym środku lata i rozkoszującego się obfitym staroświeckim podwieczorkiem, przygotowanym przez swojską kobiecinę o pełnych piersiach i w śnieżnobiałym fartuchu, która mówiła rzeczy w rodzaju: „No już, pałaszujcie, moje wy

jagniątką”, ponieważ w wyobraźni Martina swojskie kobieciny o pełnych piersiach i w śnieżnobiałych fartuchach tak właśnie mówiły – z dziwaczną, pseudodickensowską swadą.

Świat, jaki krył się w jego głowie, był znacznie lepszy niż ten poza nią. Babeczki prosto z pieca, domowy dżem z czarnych porzeczek, gęsta śmietana. A w powietrzu przecinające błękit nieba jaskółki, które pikowały niczym piloci podczas bitwy o Anglię. Odległy głuchy odgłos odbijanych piłek do krykieta, zapach gorącej, mocnej herbaty i świeżo skoszonej trawy. Nikt chyba nie zaprzeczy, że to wszystko było o wiele bardziej pociągające niż przerażający, rozwścieczony facet z kijem bejsbolowym?

Martin taszczył torbę z laptopem, ponieważ przedpołudniowy spektakl komediowy, na który próbował się dostać, stojąc cierpliwie w kolejce, był jedynie przystankiem na jego (tego dnia długiej i niespiesznej) drodze do „biura”, które niedawno wynajął w odnowionej kamienicy w Marchmont. Dawniej mieścił się tam sklep spożywczy z licencją na sprzedaż alkoholu. Teraz jej nijakie wnętrza – ściany z płyt gipsowo-kartonowych, podłoga z paneli, połączenia szerokopasmowe i oświetlenie halogenowe – wynajmowały dwie firmy: architektoniczna i konsultingowa z branży IT, a od niedawna także Martin. Wynajął owo „biuro” w daremnej nadziei, że jeśli każdego dnia będzie musiał wyjść z domu i coś napisać, trzymając się wyznaczonych godzin pracy tak jak większość ludzi, zdoła wydobyć się z letargu, w jaki popadł podczas pracy nad swoją najnowszą powieścią (*Śmierć na Czarnej Wyspie*). Uważał za zły znak to, że myśląc o swoim „biurze”, automatycznie bierze je w cudzysłów, jakby było fikcyjnym konceptem, a nie rzeczywistym miejscem, w którym coś się istotnie dokonywało.

Miał wrażenie, że *Śmierć na Czarnej Wyspie* to powieść przeklęta: choćby pisał i pisał, fabuła zdawała się stać w miejscu. „Powinieneś zmienić tytuł. Ten kojarzy się z komiksem o Tintinie” – zauważyła Melanie.

Pierwsza książka Martina ukazała się osiem lat temu. Wcześniej pracował on jako nauczyciel religioznawstwa. Na

wczesnym etapie ich znajomości Melanie z jakiegoś względu wbiła sobie do głowy (a on nie potrafił jej tego wybić), że Martin był kiedyś w zakonie. Nigdy nie zdołał pojąć, jak doszła do takiego wniosku. To prawda, że przedwcześnie wypadające włosy tworzyły na jego głowie coś w rodzaju tonsury, lecz poza tym w jego wyglądzie nie było chyba nic z zakonnika. Nieważne, ile razy próbował wyprowadzać ją z błędu, Melanie i tak trwała przy swoim, uważając ów zakonny epizod za najciekawszy aspekt jego osoby. I to ona przekazała tę mylną informację agentowi prasowemu, który z kolei rozpowszechnił ją na cały świat. Znajdowała się teraz w publicznych archiwach, w wycinkach na jego temat oraz w internecie. Nieistotne, że Martin wielokrotnie powtarzał dziennikarzom: „Nie, nigdy nie byłem mnichem, to pomyłka”; ci i tak czynili z jego dementi punkt wyjścia dla swoich artykułów: „Blake niechętnie reaguje na wzmianki o kapłaństwie”. Albo: „Alex Blake odrzuca pogłoski, jakoby w młodości odczuwał powołanie do stanu duchownego, lecz ma w sobie dystans właściwy zakonnikom klauzurowym”. I tak dalej.

Wydawało mu się, że *Śmierć na Czarnej Wyspie* jest jeszcze bardziej szablonowa i schematyczna niż jego wcześniejsze powieści – czytało do kartkowania przed zaśnięciem albo w szpitalu, pociągu, samolocie czy na plaży, o którym szybko się zapomina. Od kiedy Martin powołał do życia Ninę Riley, pisał jedną książkę rocznie i miał wrażenie, że zwyczajnie kończą mu się pomysły. Autor i jego papierowa postać wlekli się mozolnie noga za nogą, wciąż tymi samymi utartymi ścieżkami. Obawiał się, że nigdy się od siebie nie uwolnią, że już do końca życia będzie opisywał jej nedorzeczne eskapady. Ona pozostanie dwudziestodwulatką, dopóki Martin nie wyzionie ducha. „Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie i jeszcze raz *nie* – protestowała Melanie. – To się nazywa eksploatacja żyły złota”. Ktoś inny, kto nie miałby zagwarantowanych w umowie piętnastu procent zysków, nazwałby to raczej dojeniem ledwo żywej krowy. Martin rozważał, czy nie zmienić nazwiska – albo jeszcze lepiej: wrócić do własnego – i nie napisać czegoś innego, czegoś, co miałoby jakiś sens i jakąś wartość.

Ojciec Martina, Harry, był zawodowym żołnierzem, starszym sierżantem kompanii. Jego synowi nie uśmiechała się jednak wojaczka, wręcz przeciwnie. On i jego brat Christopher skończyli małą anglikańską szkołę z internatem, która oferowała synom wojskowych spartańskie warunki nieco tylko lepsze od tych panujących w przytułku. Pozostawiwszy wreszcie za sobą świat lodowatych pryszniców i biegów przełajowych („Robimy z naszych chłopców mężczyzn”), Martin wybrał przeciętny uniwersytet, a na nim równie przeciętny kierunek – religioznawstwo – gdyż był to jedyny przedmiot, z którego uzyskał dobre oceny na egzaminie. Stało się tak za sprawą nieustannej zachęty do studiowania Biblii jako sposobu na wypełnienie dorastającym uczniom niebezpiecznie długich godzin wolnych od nauki.

Po uniwersytecie przyszedł czas na nauczycielskie studia podyplomowe, które miały mu dać czas na zastanowienie się, co „naprawdę” chciałby robić w życiu. W istocie nigdy nie zamierzał *zostać* nauczycielem, a już z pewnością nie nauczycielem religioznawstwa, lecz przedziwnym zbiegiem okoliczności w wieku dwudziestu dwóch lat odkrył, że jego życie zatoczyło krąg i oto uczy w Lake District w niewielkiej płatnej szkole z internatem dla chłopców, którzy oblali egzaminy wstępne do lepszych szkół prywatnych i których jedynymi zainteresowaniami zdawały się rugby i masturbacja.

Choć uważał się za kogoś, kto przyszedł na świat już w średnim wieku, w rzeczywistości był raptem o cztery lata starszy od swoich najstarszych podopiecznych i wydawało mu się absurdalne, że mógłby ich czegokolwiek nauczyć, zwłaszcza religii. Jego uczniowie, rzecz jasna, nie uważali go wcale za młodego człowieka – dla nich był „starym prykiem”, wobec którego nie mieli za grosz szacunku. Byli to okrutni, bezduszni chłopcy i wszystko wskazywało na to, że wyrosną na okrutnych, bezdusznych mężczyzn. O ile się orientował, w przyszłości mieli zajmować tylne ławy torysów w Izbie Gmin, więc tym usilniej starał się zapoznać ich z podstawowymi wartościami moralnymi, zanim będzie za późno, choć niestety dla wielu z nich już tak było. Sam Martin uważał się za ateistę, mimo to

nie wykluczał całkowicie, że pewnego dnia dostąpi nawrócenia – kurtyna się podniesie, a jego serce otworzy. Obawiał się jednak, że – podobnie jak większość ludzi – skazany jest na wieczną wędrówkę do Damaszku; było to niestety o wiele bardziej prawdopodobne.

Z wyjątkiem sytuacji, gdy wymagał tego program nauczania, Martin zwykł ignorować chrześcijaństwo na tyle, na ile było to możliwe, i skupiać się na etyce, religioznawstwie porównawczym, filozofii oraz naukach społecznych (właściwie na wszystkim, byle nie na chrześcijaństwie). Jego celem było „wspieranie wzajemnego zrozumienia i rozwoju duchowości”, mawiał, gdy atakował go jakiś anglikański, faszystowski rodzic rugby. Poświęcał wiele czasu na wpajanie chłopcom zasad buddyzmu, odkrył bowiem metodą prób i błędów, że tym sposobem najskuteczniej namiesza im w głowach.

Jednocześnie powtarzał sobie w myślach: „Wytrzymam tu jeszcze jakiś czas, potem może wyruszę w podróż, podejmę nowe studia albo znajdę ciekawszą pracę i zacznę nowe życie”, lecz stare życie trwało nadal, on zaś czuł, że drepce w miejscu, podczas gdy wszystko wokół niego traci sens. Przeczuwał, że jeśli czegoś nie zrobi, utknie tam na zawsze, będzie coraz starszy od swoich uczniów, aż wreszcie odejdzie na emeryturę i umrze, spędziwszy większość życia w szkole z internatem. Wiedział, że musi zdobyć się na jakieś działanie, gdyż nie należał do ludzi, którym cokolwiek samo się *przydarzało*. Żył dotąd jakby na jałowym biegu; nigdy niczego sobie nie złamał, nie użądliła go pszczoła, nie był nigdy bliski miłości ani śmierci. Nigdy nie zabiegał o wielkość, a jego nagrodą było nic nieznaczące życie.

Zbliżał się do czterdziestki. Siedział w wagonie ekspresu pędzącego prosto ku śmierci – zawsze znajdował ukojenie w afektowanych metaforach – gdy pewnego dnia zdecydował się na kurs kreatywnego pisania prowadzony w ramach jakiegoś programu edukacyjnego dla mieszkańców wsi. Zajęcia odbywały się w sali wiejskiego domu kultury i prowadziła je dojeżdżająca z Kendal kobieta o imieniu Dorothy, której kwalifikacje były dla niego niejasne. Miała na koncie kilka

opowiadań opublikowanych w wydawanym na północy czasopiśmie o sztuce, parę odczytów i warsztatów („w toku”) oraz nieudaną sztukę wystawioną na edynburskim festiwalu teatru alternatywnego, poświęconą kobietom w życiu Milтона (zatytułowaną *Kobiety Milтона*). Na samą wzmiankę o Edynburgu podczas zajęć Martina aż skreśliło z tęsknoty za tym praktycznie nieznanym mu miejscem. Stamtąd pochodziła jego matka, ojciec zaś stacjonował na zamku, w związku z czym Martin spędził w Edynburgu pierwsze trzy lata swojego życia. Pewnego dnia, obiecywał sobie, gdy Dorothy trajkotała coś o formie, treści i konieczności „odnalezienia własnego głosu”, pewnego dnia wrócić do Edynburga i zamieszkać tam na stałe. „No i czytajcie! – wykrzyknęła Dorothy, otwierając szeroko ramiona, aż jej obszerna aksamitna peleryna rozpostarła się niczym skrzydła nietoperza. – Czytajcie wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane”. Przez salę przetoczył się pomruk protestu – przecież przyszli tu, żeby nauczyć się pisać (przynajmniej niektórzy z nich), a nie czytać.

Dorothy robiła wrażenie energicznej. Malowała usta na czerwono i nosiła długie spódnice, ekstrawaganckie szale oraz peleryny, które spinała wielkimi cynowymi albo srebrnymi broszami. Do tego botki na obcasach, czarne pończochy w romby i zabawne kapelusze z gniecionego weluru. Tak było na początku semestru jesiennego, gdy Lake District przywdziewało odświeżone jaskrawe barwy. Wraz z nadejściem ponurej, wilgotnej zimy również Dorothy zamieniła kolorowe piórka na mniej teatralne kalosze i bluzy z polaru. Jej zachowanie też stało się mniej ekspresyjne. Wcześniej zaczynała niemal każde zajęcia od napomnień o swoim „partnerze”, który pracował gdzieś w charakterze „pisarza rezydenta”, lecz jakoś przed Gwiazdką przestała o nim wspominać, a czerwoną szminkę zastąpiła smętną beżową w odcieniu swojej cery.

Oni także ją zawiedli, cała ta pstrokata zbieranina emerytów, gospodyń wiejskich i ludzi pragnących odmienić swoje życie, zanim będzie za późno. „Nigdy nie jest za późno!” – oświadczyła im z entuzjazmem kaznodziei, lecz większość

z nich nie miała większych złudzeń. Jak ten burkliwy facet, który zdawał się nimi wszystkimi pogardzać i naśladować styl Teda Hughesa, pisał o drapieżnych ptakach oraz martwych owcach na wzgórzach. Martin przypuszczał, że jest jakoś związany z wsią – jako rolnik albo gajowy – lecz okazało się, że to zwolniony z pracy geolog naftowy, który przeniósł się do Leeds, żeby wrócić do korzeni. Była też dziewczyna, typ studentki, która naprawdę nimi pogardzała. Malowała usta na czarno (co stanowiło niepokojący kontrast z beżem Dorothy) i pisała o własnej śmierci oraz o tym, jak wpłynie ona na jej otoczenie. Poza nimi w grupie było jeszcze kilka przemyłych pań z Instytutu Kobiet, które najwyraźniej wcale nie marzyły o pisaniu.

Dorothy nakłaniała ich, żeby opisywali pokrótce własne lęki i sekrety, tworzyli konfesyjne, terapeutyczne teksty o swoim dzieciństwie, marzeniach i rozterkach. Zamiast tego z uporem pisali o pogodzie, wakacjach albo zwierzętach. Burkliwy facet pisał o seksie i gdy czytał im swoje teksty, wszyscy wbijali wzrok w podłogę. Wyjątkiem była Dorothy, która słuchała go, udając zainteresowanie, z przekrzywioną w bok głową i wargami rozciągniętymi w zachęcającym uśmiechu.

„Świetnie – mówiła potem tonem osoby pokonanej – jako pracę domową opiszcie wizytę albo pobyt w szpitalu”. Martin był ciekaw, kiedy wreszcie przejdą do narracji fabularnej, lecz tkwiący w nim pedagog automatycznie zareagował na słowa „praca domowa” i nie miał innego wyjścia, jak sumiennie wywiązać się z zadania.

Panie z Instytutu Kobiet wyprodukowały sentymentalne opowiadania o odwiedzanych w szpitalu dzieciach i starszuchach. „Urocze” – podsumowała je Dorothy. Burkliwy facet ze wszystkimi krwawymi szczegółami opisał operację usunięcia mu wyrostka robaczkowego. „Barwne” – brzmiał werdykt Dorothy. Dziewczyna z depresją zrelacjonowała pobyt w szpitalu w Barrow-in-Furness, po tym jak próbowała podciąć sobie żyły. „Szkoda, że ją odratowali” – mruknęła jedna z gospodyń wiejskich siedząca obok Martina.

Sam Martin tylko raz był w szpitalu, jako czternastolatek.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w tamtym okresie życia każdy kolejny rok przynosił mu nowe nieszczęścia. W owym czasie ich ojciec stacjonował w Niemczech. Martin z Christopherem spędzali u niego letnie wakacje uwolnieni od wojskowego drylu szkoły. Wracając z miasta do bazy, mijali wesołe miasteczko. Było niemieckie – fakt ten czynił je w oczach Martina jeszcze bardziej przerażającym. Martin widział je już wcześniej – nocą. Błyszczące światła oraz dobiegające stamtąd zapachy i pokrzykiwania sprawiły, że w jego wyobraźni powstała przynębiająca wizja, która mogłaby wyjść spod pędzla Boscha. W dzień wszystko wydało mu się nieco mniej groźne, a w jego uszach jak zwykle (niestety) rozległ się wrzask ojca: „Staw czoło swoim lękom, chłopcze!”. Zapłacił więc za wejście i począł nieufnie przypatrywać się poszczególnym atrakcjom. W istocie karuzele przerażały go bardziej niż wszechobecny rozgardiasz; kiedy był młodszy, widok zwykłych huśtawek na placu zabaw przyprawiał go o mdłości.

Nie pamiętał, gdzie owego popołudnia był Christopher; najpewniej grał w krykieta z innymi chłopcami. Martin wysupłał z kieszeni drobne i w jednym ze stoisk kupił placek ziemniaczany, *Kartoffelpuffer*. Jego znajomość niemieckiego była marna, ale słowo *Kartoffel* budziło dobre skojarzenia. Placek okazał się tłusty, miał dziwnie słodki smak i zaległ mu w żołądku jak kamień, więc głos ojca nie mógł wybrać gorszego momentu, żeby ponownie zabrzmieć w jego uszach – Martin mijał akurat gigantyczną huśtawkę w kształcie statku. Nie wiedział, jak się nazywa po niemiecku, po angielsku znał ją pod nazwą „Piracka łajba”.

„Piracka łajba” wznosiła się i opadała, kreśląc na tle nieba nieprawdopodobny wręcz łuk. W ślad za nią niosły się krzyki przerażonych załogantów. Sama myśl o poddaniu się podobnym katuszom była wystarczająco potworna, a połączona z koszmarną rzeczywistością sprawiła, że Martina ogarnęła panika. Pod wpływem tego uczucia wyrzucił resztki placeka do kosza na śmieci, kupił bilet i wspiął się na pokład.

Ojciec osobiście pofatygował się do cywilnego *Krankenhausu*,

aby go zabrać do domu. Martin trafił do izby przyjęć, po tym jak znaleziono go na podłodze „Pirackiej łajby” bezwładnego i na wpół przytomnego. Nie chodziło o psychikę ani o brak odwagi; okazało się po prostu, że jest wyjątkowo wrażliwy na przeciążenia. Lekarz, który go wypisywał, roześmiał się i powiedział najczystszą angielszczyzną: „Jeśli miałbym coś ci doradzać, chłopcze, to nie próbuj się szkolić na pilota”.

W szpitalu ojciec przeszedł tuż obok Martina, nie rozpoznawszy go. Martin próbował do niego zamachać. Jego ręka tylko słabo drgnęła na koldrze i ten gest nie został zauważony. W końcu któraś pielęgniarka wskazała ojcu właściwe łóżko. Ubrany w mundur kompletnie nie pasował do oddziału szpitalnego. Nachylił się nad Martinem i rzekł: „Co za cholerna ciota. Weź się w garść!”.

„Są sytuacje, które nie mają nic wspólnego ze słabością charakteru. Rzeczy, do których człowiek jest fizycznie niezdolny. Oczywiście to wszystko działo się w innym kraju, w innym życiu” – zakończył swoje opowiadanie Martin.

– Znakomicie – pochwaliła go Dorothy.

– Trochę to *cienkie* – zauważył gderliwy facet.

– Do tej pory moje życie właśnie takie było – odparł Martin.

Na ostatnie zajęcia w semestrze Dorothy przyniosła wino, krakersy oraz kawałek czerwonego cheddara. Papierowe kubki i talerzyki przywłaszczyli sobie z kuchni domu kultury. Dorothy wzniosła do góry kubek i oznajmiła: „Jakoś to przetrwaliśmy!”, co wydało się Martinowi nieco dziwacznym toastem. „Miejmy nadzieję – ciągnęła – że spotkamy się znów wszyscy w semestrze wiosennym”. Nie wiedział, czy chodziło o bliskość Bożego Narodzenia, o balony i dekoracje z błyszczącej folii zdobiące dom kultury, czy o tę nową koncepcję przetrwania, w każdym razie wszystkich ogarnął uroczysty nastrój. Nawet gderliwy facet i niedoszła samobójczyni dali się porwać świątecznej atmosferze. Z plecaków i aktówek wyłoniły się kolejne butelki; nie byli pewni, czy na koniec semestru planowana jest jakakolwiek impreza, ale na wszelki wypadek przyszlizli przygotowani.

Według Martina splot wszystkich tych okoliczności, ze

szczególным uwzględnieniem wina, sprawił, że nazajutrz ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu obudził się w łóżku Dorothy w Kendal.

Miała zapuchniętą, bladą twarz, prędko też naciągnęła kołdrę na głowę i powiedziała: „Nie patrz na mnie, rano wyglądam koszmarnie”. Rzeczywiście wyglądała nieco koszmarnie, lecz Martin, rzecz jasna, nigdy by jej tego nie powiedział. Miał ochotę spytać ją o wiek, lecz podejrzewał, że to byłoby jeszcze gorsze.

Później, w trakcie wystawnego obiadu w hotelu z widokiem na jezioro Windermere, na który zdaniem Martina oboje zaszli nie tylko ze względu na ukończony właśnie kurs, Dorothy wzniosła toast świetnym rześkim chablis, mówiąc: „Wiesz, Martinie, byłeś jedyną osobą na tych zajęciach, która potrafiła tak sklecić zdanie, żeby nie chciało mi się zaraz kurewsko rzygać – wybacz ten wulgaryzm. Powinieneś zostać pisarzem”.

Martin oczekiwał, że gdy tylko kierowca hondy się pozbiera, rozpocznie poszukiwania winowajcy, który go powalił. Usiłował wtopić się w anonimowy tłum w kolejce i udawać, że nie istnieje. Zamknął oczy. Robił tak już w szkole, gdy się nad nim znęcano; odwoływał się do pradawnego rozpaczliwego myślenia magicznego – nie uderzą go, jeśli nie będzie ich widział. Wyobraził sobie kierowcę hondy zmierzającego ku niemu ze wzniesionym kijem bejsbolowym, którym wkrótce zada mu unicestwiający cios.

Ku swemu zdumieniu, gdy znów otworzył oczy, zobaczył, że kierowca hondy gramoli się do swojego auta. Kiedy odjeżdżał, kilka osób zaczęło niechętnie klaskać. Martin nie był pewien, czy wyrażają w ten sposób swoją przyganę dla zachowania kierowcy hondy, czy rozczarowanie tym, że jednak nie dokończył dzieła. Tak czy inaczej, niełatwo było ich zadowolić.

Przyklęknął na jezdni i zapytał kierowcę peugeot: „Nic panu nie jest?”, zaraz jednak został uprzejmie, lecz stanowczo odsunięty na bok przez dwie przybyłe właśnie policjantki, które przejęły kontrolę nad sytuacją.

3

Gloria nie widziała, co właściwie zaszło. Dopiero po chwili kręgosłup kolejki zadygotał i dotarła do niej przekazywana z ust do ust pogłoska: „Kogoś zamordowali”. Skojarzyło jej się to z zabawą w głuchy telefon.

– Pewnie próbował się wcisnąć bez kolejki – mruknęła rzeczowo do stojącej obok rozszechniętej Pam.

W kolejkach Gloria zachowywała stoicyzm, jej zdaniem zdecydowanie niedoceniany w dzisiejszych czasach. Wkurzali ją wszyscy, którzy narzekali i przestępowali z nogi na nogę, jakby zniecierpliwienie było w jakimś stopniu miarą ich indywidualności. W kolejce, jak w życiu, trzeba się zamknąć i robić swoje. Szkoda, że urodziła się za późno, żeby się załapać na drugą wojnę światową, dysponowała bowiem dokładnie tą cechą, bez której nie dało się przeżyć wojny – wytrwałością.

Doskonale rozumiała, czemu ktoś mógłby chcieć zamordować spryciarza usiłującego wepchnąć się bez kolejki. Gdyby to od niej zależało, w trybie przyspieszonym zlikwidowałyby całe mnóstwo ludzi – na przykład tych, którzy zaśmiecali ulice; gdyby groziło im, że zawisną na najbliższej latarni, dwa razy by się zastanowili, zanim rzuciliby papierek na chodnik. Niegdyś była przeciwniczką kary śmierci. Pamiętała, że w czasie swojej przygody ze studiami, zbyt krótkiej, jak się okazało, demonstrowała przeciwko egzekucji w jakimś odległym kraju, którego nie potrafiłaby nawet wskazać na mapie. Obecnie jednak jej poglądy w tej kwestii zmieniły się diametralnie.

Gloria ceniła sobie zakazy i nakazy – zakazy i nakazy były Dobre. Lubiała przepisy mówiące, że nie wolno przekraczać dozwolonej prędkości czy parkować na podwójnej żółtej linii, przepisy zakazujące demolować budynki i śmiecić. Miała po dziurki w nosie ludzi wiecznie narzekających na fotoradary i na strażników miejskich, jakby istniał powód, dla którego akurat

oni powinni zostać zwolnieni z przestrzegania obowiązującego prawa. W młodości zdarzało jej się fantazjować na temat seksu i miłości, hodowli kurcząt i pszczół, a także tego, że mogłaby być wyższa i biegać po polach z czarno-białym border collie. Teraz marzyła, żeby trzymać straż u nieba bram i z księgą ostatecznego rozrachunku w dłoni odhaczać nazwiska stojących przed nią zmarłych, wpuszczać ich z łaskawym skinieniem głowy albo odsyłać z kwitkiem. Wszyscy, którzy parkowali w zatoczkach autobusowych i przebiegali przez pasy na czerwonym świetle, gorzko pożałują, gdy Gloria zmierzy ich wzrokiem i poleci, by zdali sprawę ze swoich czynków.

Pam była nie kimś, kogo Gloria mogłaby nazwać przyjaciółką, lecz raczej osobą znaną od tak dawna, że wszelkie próby pozbycia się jej zwyczajnie nie miały sensu. Mężem Pam był Murdo Miller, najlepszy przyjaciel męża Glorii. Graham i Murdo chodzili do jednej szkoły w Edynburgu – kosztowna edukacja, która pozwoliła im jednak nabrać ogłady towarzyskiej mimo ich zgoła prostackiego charakteru. Dziś byli znacznie zamożniejsi od pozostałych absolwentów – fakt, który według Murdo „mówił sam za siebie”. Gloria uważała jednak, że nie świadczy on absolutnie o niczym, może tylko o tym, że obaj okazali się bardziej chciwi i bezwzględni od swoich dawnych kolegów. Graham był synem budowlańca (Hatter Homes), który zaczynał karierę od dźwigania cegieł na jednej z niewielkich budów swego ojca. Obecnie był deweloperem i multimilionerem. Murdo z kolei był synem właściciela niedużej firmy ochroniarskiej (Niebiański spokój) i zaczynał jako bramkarz w pubie. Obecnie ochraniał kluby, puby, mecze piłkarskie i koncerty. Graham i Murdo robili wiele wspólnych interesów; były to przedsięwzięcia na szeroką skalę mające niewiele wspólnego z budownictwem czy ochroną mienia i wymagające wizyt na Jersey, Kajmanach oraz Wyspach Dziewiczych. Graham trzymał tyle srok za ogon, że dawno powinno mu zabraknąć rąk. „Biznes rodzi biznes – tłumaczył Glorii – a pieniądze rodzą pieniądze”. Czyli że bogaci się bogacą, a biedni biednieją.

Graham i Murdo dbali o to, żeby żyć, jak na szanowanych

biznesmenów przystało – mieli domy, które były dla nich o wiele za duże, samochody, które co roku wymieniali na nowsze modele, oraz żony, których nie wymieniali na młodsze. Nosili olśniewająco białe koszule i ręcznie szyte obuwie, mieli chore wątroby i spokojne sumienia, lecz pod starzejącą się grubą skórą byli zwykłymi barbarzyńcami.

– Mówiłam ci, że wyremontowaliśmy toaletę na dole? – zagadnęła ją Pam. – Na ścianach daliśmy wzór z szablonu. Początkowo nie byłam przekonana, ale teraz zaczyna mi się podobać.

– Uhm – mruknęła Gloria. – To fascynujące.

To Pam się uparła, żeby przyjść na ten poranek radiowy („Edynburski alternatywny przegląd komediowy”), więc Gloria zabrała się z nią w nadziei, że przynajmniej któryś z komików okaże się zabawny, choć nie miała wygórowanych oczekiwań. Gloria, w przeciwieństwie do części mieszkańców Edynburga, dla których nadejście dorocznego festiwalu było czymś porównywalnym z nadejściem epidemii dżumy, przepadała za atmosferą tego wydarzenia i od czasu do czasu lubiła obejrzeć jakieś przedstawienie czy koncert w Queen’s Hall. Do komedii nie była jednak przekonana.

– A co u Grahama? – spytała Pam.

– No wiesz – odparła wymijająco Gloria – Graham to Graham. – Powiedziała prawdę: Graham to był Graham, ni mniej, ni więcej, i było to wszystko, co Gloria miała do powiedzenia na ten temat.

– Przyjechał radiowóz – zauważyła Pam, wspinając się na palce, żeby mieć lepszy widok. – Widzę człowieka na ziemi. Wygląda, jakby nie żył. – Była wyraźnie podekscytowana.

Ostatnimi czasy Gloria często rozmyślała o śmierci. Na początku roku zmarła jej starsza siostra, a przed kilkoma tygodniami dostała pocztówkę od dawnej koleżanki z ławy szkolnej z informacją, że jedna z uczennic z ich klasy właśnie przegrała walkę z rakiem. Treść wiadomości: „Przed tygodniem odeszła Jill. Pierwsza, która kopnęła w kalendarz!”, wydała się Glorii niestosownie beztroska. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat i zastanawiała się raczej, kto odejdzie ostatni. Czy w ogóle

można to było traktować jak jakąś konkurencję?

– Policjantki – pisnęła radośnie Pam.

Przez tłum ostrożnie przeciskała się karetka. Kolejka zdążyła się sporo przesunąć i wyraźnie widziały radiowóz. Jedna z policjantek zawołała, żeby nie wchodzić do środka, tylko pozostać na swoich miejscach, bo będą zbierane zeznania świadków „incydentu”. Jednak niczym niezrażony tłum sączył się wolnym strumieniem do wnętrza budynku, w którym miał się odbyć występ.

Gloria wychowała się w miasteczku na północy. Jej ojciec Larry, człowiek ponury, lecz uczciwy, trudnił się obnośną sprzedażą ubezpieczeń ludziom, których ledwo było na nie stać. Nie przypuszczała, aby nadal istnieli podobni demokraci. Swoją własną przeszłość uważała za jakąś antykwaryczną osobliwość – wirtualną rzeczywistość odtwarzaną przez jakieś muzeum z przyszłości. Ojciec, gdy akurat nie taszczył swojej wiekowej aktówki od jednych nieprzyjaznych drzwi do drugich, spędzał czas w domu rozwalony przed kominkiem, połykając kryminały i sącząc oszczędnie piwo z małego kufła. Matka Glorii, Thelma, pracowała dorywczo w pobliskiej aptece. W pracy zawsze nosiła biały kitel do kolan, który nadawał jej surowy wygląd. Dla równowagi zakładała wielkie złożone kolczyki z perłami. Twierdziła, że dzięki tej posadzie ma wgląd w intymne sekrety innych ludzi, lecz – według Glorii – dni upływały jej na sprzedawaniu wkładek do butów oraz wacików kosmetycznych, a najbardziej ekscytującą czynnością było dekorowanie aptecznej witryny na Gwiazdkę lametą i świątecznymi zestawami Yardleya.

Jej rodzice wiedli bezbarwne, apatyczne życie, którego nie mogło ożywić noszenie złożonych kolczyków z perłami ani czytanie kryminałów. Gloria zakładała, że jej własne życie będzie zupełnie inne – los da jej chwałę (jak zresztą sugerowało jej imię) i oświecenie, tak że niczym kometa pozostawi po sobie świetlisty ślad. Jakże się myliła!

Beryl i Jock, rodzice Grahama, nie różnili się tak bardzo od rodziców Glorii, mieli po prostu więcej pieniędzy i stali o szczebel wyżej na drabinie społecznej, poza tym ich

oczekiwania wobec życia były równie niewygórowane. Mieszkali w przyjemnym „edynburskim bungalowu” w Corstorphine. Jack był właścicielem niedużej firmy budowlanej, z której czerpał całkiem przyzwoite dochody. Sam Graham przez rok studiował inżynierię lądową w Napier („Cholerna strata czasu”), po czym zatrudnił się w firmie ojca. W ciągu dekady awansował na szefa własnego imperium budowlanego – „Hatter Homes, prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”. To Gloria wiele lat temu wymyśliła ów slogan, czego obecnie szczerze żałowała.

Z Grahamem pobrali się w Edynburgu, nie w rodzinnej miejscowości Glorii (do Edynburga przyjechała na studia). Żeby dotrzeć na uroczystość, jej rodzice kupili tani bilet powrotny i dlatego wyszli zaraz po pokrojeniu tortu. W tej roli wystąpiło bożonarodzeniowe ciasto z bakaliami upieczone przez matkę Grahama i pospiesznie przerobione przez nią na tort weselny. Beryl zawsze szykowała je we wrześniu, po czym opatulone w białe ściereczki odstawiała do spiżarni, żeby dojrzało. Co tydzień czule je odwijała i obficie chrzciała brandy. Kiedy nadchodziła Gwiazdka, białe niegdyś ściereczki miały barwę mahoni. Beryl zamartwiała się, jak ciasto będzie smakowało, ponieważ nie zdążyło się odleżeć (pobrali się z Grahamem w końcu października). Ostatecznie jednak zrobiła dobrą minę do złej gry i jak zwykle przybrała je marcepanem oraz lukrem, a zamiast cukrowego bałwana umieściła pośrodku plastikową figurkę młodej pary niezgrabnie tańczącej walca. Wszyscy z góry założyli, że Gloria jest w ciąży (nie była), jakby według nich w żadnym innym wypadku Graham nie zdecydowałby się na to małżeństwo.

Decyzja o wzięciu ślubu w urzędzie stanu cywilnego wstrząsnęła chyba lekko ich rodzicami. „Zupełnie jakbyśmy byli chrześcijanami, Glorio” – śmiał się Graham i miał rację. Sam był wojującym ateistą, Gloria zaś – w jednej czwartej żydówka z Leeds, w jednej czwartej irlandzka katoliczka wychowana w wierze baptystów z zachodniego Yorkshire – uważała się za bierną agnostyczkę, choć z braku lepszej alternatywy w rubryce „wyznanie” wpisała: „Kościół Szkocji”,

gdy dwa lata wcześniej przyjmowano ją do prywatnej kliniki przy Murrayfield na operację haluksów. Jeśli w ogóle wyobrażała sobie Boga, to był on dla niej nieokreślonym bytem stale zagląającym jej przez lewe ramię na podobieństwo zrzędlivej papugi.

Dawno temu Gloria siedziała na barowym stołku w pubie przy moście Jerzego IV w Edynburgu ubrana (jakkolwiek wydawało się to teraz niewiarygodne) w odważną minispódniczkę, ze skrępowaniem paliła embassy, popijała dżin z sokiem pomarańczowym i miała nadzieję, że ładnie wygląda, podczas gdy wokół toczyła się burzliwa studencka debata o marksizmie. Tim, jej ówczesny chłopak – tykowaty młodzieniec z szopą kręconych włosów noszoną z fasonem na długo przed tym, zanim ktokolwiek usłyszał o fryzurze afro – był jednym z najgłośniejszych dyskutantów. Wymachiwał rękami za każdym razem, gdy z jego ust padały słowa: „wymiana towarów” albo „stopa wyzysku”, podczas gdy Gloria sączyła swój dżin i z powagą kiwała głową w nadziei, że nie oczekuje się od niej zabrania głosu, jako że nie miała bladego pojęcia, czego dotyczy cała ta rozmowa. Była co prawda studentką drugiego roku historii, lecz traktowała ów przedmiot dość niefrasobliwie, ignorując aspekty polityczne (deklaracja z Arbroath, przysięga w sali do gry w piłkę), a skupiając się na romantycznych (Rob Roy, Maria Antonina), co nie zaskarbiało jej sympatii wykładowców.

Nie potrafiła przypomnieć sobie nazwiska Tima; jedyne, co w związku z nim pamiętała, to tamta burza włosów przypominających dmuchawiec. Tim oświadczył wówczas zebranym, że odtąd wszyscy będą należeć do klasy pracującej. Gloria zmarszczyła brwi – nie miała ochoty należeć do klasy pracującej – lecz pozostali wydali zgodny pomruk aprobaty, choć nie było wśród nich nikogo, kto nie byłby potomkiem lekarza, prawnika albo biznesmena. Nagle ktoś powiedział głośno: „Gówno prawda. Bez kapitalizmu bylibyście nikiem, kapitalizm ocalił ludzkość!”. Tym kimś był Graham.

Miał na sobie barani kozuch w rodzaju tych noszonych przez sprzedawców używanych aut. Wciśnięty w kąt sali samotnie

popijał piwo. Wyglądał jak dojrzały mężczyzna, choć daleko mu było do dwudziestych piątych urodzin; teraz wiedziała, że to nic nie znaczyło. Dopił piwo, odwrócił się w jej stronę i rzucił: „Idziesz?”, na co ona zsunęła się ze stołka i poszła za nim jak posłuszny psiak, ponieważ w porównaniu z kimś, kto miał fryzurę jak dmuchawiec, wydawał jej się bardzo stanowczy i atrakcyjny.

Teraz to wszystko miało się skończyć. Dzień wcześniej przedstawiciele wydziału do walki z przestępczością gospodarczą złożyli niespodziewaną, choć uprzejmą wizytę w siedzibie ich firmy przy Queensferry Road i Graham obawiał się, że zechcą przeświecić wszystkie jego niejasne interesy. Do domu wrócił późno. Wyglądał na zmarnowanego; wypił duszkiem podwójną whisky, w ogóle się nią nie delektując, po czym padł na kanapę i gapił się w telewizor niewidzącym wzrokiem. Gloria usmażyła mu kotlet jagnięcy. Podając go z resztką ziemniaków z obiadu, zagadnęła Grahama: „I co, znaleźli te twoje tajne księgi?”. Roześmiał się ponuro i odrzekł: „Nigdy nie odkryją moich sekretów, Glorio”, lecz po raz pierwszy od trzydziestu dziewięciu lat (bo tyle minęło od chwili, kiedy go poznała) nie robił wrażenia chojraka. Deptali mu po piętach, dobrze o tym wiedział.

Załatwił go tamten grunt. Kupił dosłownie za grosze kawałek terenów zielonych nieprzeznaczonych pod zabudowę – ostatecznie działka bez pozwolenia na budowę była zwykłym polem. Lecz pół roku później, szast, prast, pozwolenie na budowę zostało wydane i w tej chwili na północno-wschodnich peryferiach trwała budowa szpetnego osiedla domów jednorodzinnych o dwóch, trzech lub czterech sypialniach.

Wystarczyła okrągła sumka wręczona pod stołem komuś z wydziału planowania przestrzennego – transakcja, jakich wiele. Graham dokonywał ich wcześniej setki razy, nazywając „smarowaniem”. Dla niego to był drobiazg; w jego przypadku korupcja zataczała znacznie szersze kręgi, sięgała głębiej i dalej niż jakiś kawałek pola na obrzeżach miasta. Ale o upadku potężnych ludzi decydują zwykle właśnie drobiazgi.

* * *

Gdy karetka odjechała, uwożąc kierowcę peugeot, policjantki zaczęły zbierać zeznania świadków z tłumu.

– Jak dobrze pójdzie, dostaniemy coś z monitoringu
– powiedziała jedna z nich, wskazując coś wysoko na murze.

Gdyby nie słowa policjantki, Gloria nie wiedziałaby o istnieniu tej kamery. Podobała jej się myśl, że wszędzie są urządzenia obserwujące wszystkich i wszystko. W ubiegłym roku Graham zainstalował w ich domu supernowoczesny system zabezpieczeń – kamery, czujniki na podczerwień, przyciski alarmowe i Bóg wie co jeszcze. Gloria lubiła te małe pomocne roboty strzegące jej ogrodu wszystkowiedzącymi oczami. Niegdyś nad ludźmi czuwało oko opatrności, teraz czuwa oko kamery.

– Był tam jeszcze pies – powiedziała Pam, poprawiając niepewnie włosy w kolorze brzoskwiowym.

– Wszyscy zapamiętali psa – westchnęła policjantka. – Mam kilka bardzo dokładnych opisów psa, za to kierowca hondy jest na przemian „brunetem”, „blondynem”, „niskim”, „wysokim”, „chudym”, „grubym”, „dwudziestoparoletnim” i „po pięćdziesiątce”. Nikt nawet nie spojrzął na numer rejestracyjny. Mogłoby się wydawać, że ktoś na to wpadnie.

– Rzeczywiście – przytaknęła jej Gloria. – Mogłoby się tak wydawać.

Teraz były spóźnione na przedstawienie radiowe dla BBC. Pam zachwyciło, że trafił im się dramat zamiast komedii.

– W czwartek idę na festiwal książki – trajkotała. – Na pewno nie chcesz się ze mną wybrać?

Pam była wielbicielką jakiegoś autora powieści kryminalnych, który miał tam czytać fragmenty swoich książek. Gloria nie przepadała za kryminałami, wyssały przecież życie z jej ojca. Poza tym czy na świecie nie było wystarczająco dużo przemocy, żeby jeszcze dodatkowo się nią upajać, nawet jeśli to była tylko fikcja?

– To tylko odrobina eskapizmu – broniła się Pam.

Zdaniem Glorii jeśli ktoś chciał przed czymś uciec, wsiadał do samochodu i zwyczajnie odjeżdżał. Jej ulubioną powieścią

wciąż była *Ania z Zielonego Wzgórza*. W młodości uważała ją za opis ideału życia. Niestety, ten ideał okazał się niemożliwy do zrealizowania.

– Mogłybyśmy pójść gdzieś na herbatę – zaproponowała Pam.

Gloria wymówiła się, tłumacząc, że ma „coś do zrobienia w domu”.

– Ale co? – drażyla Pam.

– Różne rzeczy – odparła Gloria.

Brała udział w internetowej aukcji pary porcelanowych chartów, która kończyła się za dwie godziny, i chciała zdążyć na jej zakończenie.

– Ojej, ależ z ciebie tajemnicza kobieta, Glorio.

– Wcale nie – zaprotestowała Gloria.

Na biały kwadrat padło jaskrawe światło reflektorów, w związku z czym otaczające go ciemności stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione. Sześć osób wyszło na scenę z sześciu różnych kierunków. Szły szybkim krokiem, wymijając się nawzajem w sposób, który przywodził na myśl żołnierzy odbywających skomplikowaną musztrę na placu apelowym. Nagle jedna z nich stanęła, zaczęła wymachiwać rękoma i wykonywać krążenia ramion, jakby szykowała się do forsownego treningu. Następnie cała szóstka zaczęła wyrzucać z siebie nonsensowne zdania. „Baba bada baobaby, baba bada baobaby, baba bada baobaby” – mówił mężczyzna, a kobieta odpowiadała: „Stół z powyłamywanymi nogami, stół z powyłamywanymi nogami” – przyjmując jednocześnie pozy jak z tai-chi. Człowiek, który wcześniej wymachiwał rękami, zwracał się teraz w przestrzeń, recytując bez tchu z prędkością karabinu maszynowego: *Śpisz gorzej od myszy, która musiałaby szukać schronienia w uchu kota. Małe dziecię, któremu wyrzynają się zęby, płakałoby, śpiąc z tobą, bo ty byłabyś bardziej od niego niespokojna*². Jedna z kobiet przerwała swój obłąkańczy marsz i zażądała: „Kupcie babci kapcie, kupcie babci kapcie”. To było jak obserwowanie pensjonariuszy staroświeckiego zakładu dla obłąkanych.

Na oświetlony kwadrat wyszedł z mroku mężczyzna, klasnął w dłonie i rzekł:

– Jeżeli skończyliście rozgrzewkę, przejdziemy do próby generalnej, dobrze?

Jackson zastanawiał się, czy to odpowiedni moment, żeby ujawnić swoją obecność. Ranek upłynął aktorom – „trupie” – na próbie technicznej. Po południu czekała ich próba generalna. Jackson miał nadzieję, że wcześniej uda mu się

² John Webster, Księżna d’Amalfi, przekład Jerzego Strzetelskiego.

wyciągnąć Julię na lunch, jednak wszyscy byli już przebrani w jednakowe szarobrazowe luźne szaty, przypominające worki na ziemniaki. Jacksonowi przykro było na nich patrzeć. Chociaż nie przyznałby się do tego nikomu z tu obecnych, teatr równał się dla niego dobrej pantomimie, najchętniej oglądanej w towarzystwie rozemocjonowanego dziecka.

Przyjechali poprzedniego dnia; wcześniej przez trzy tygodnie w Londynie trwały próby i dopiero poprzedniego wieczoru został im przedstawiony w pubie. Wszyscy wpadli w zachwyt; jedna z kobiet, starsza od niego, zaczęła podskakiwać w górę i w dół, jakby parodiowała rozradowane dziecko, inna (Jackson zdążył zapomnieć ich imiona) padła dramatycznie na kolana i wznosząc ręce jak do modlitwy, wykrzyknęła: „Nasz zbawicielu!”. Jackson aż skulił się w sobie z zażenowania. Nie bardzo wiedział, jak się zachować w towarzystwie aktorów, czuł się przy nich stateczny i dojrzały. Julia (choć raz) trzymała się na uboczu i tylko mrugnięciem oka dała mu znać, że widzi jego zakłopotanie – niewykluczone, że mrugała lubieżnie, ale Jackson nie mógł mieć co do tego pewności. Ostatnio (wreszcie!) przyznał się sam przed sobą, że potrzebuje okularów. Początek końca, równia pochyła.

Aktorzy stanowili niedużą i naprędce skrzykniętą trupę z siedzibą w Londynie, Jackson interweniował dosłownie w ostatniej chwili, gdy stracili fundusze na wystawienie spektaklu na festiwalu w Edynburgu. Zrobił to nie z miłości do teatru, lecz ze względu na Julię. Wyłudziła od niego pomoc, jak to ona, aż do przesady wdzięcząc się i przymilając, choć było to całkowicie zbędne – wystarczyło poprosić. Dla niej był to pierwszy prawdziwy angaż od dłuższego czasu i Jacksonowi nieraz zdarzało się zastanawiać (nigdy na głos – uchowaj Boże!), czemu mówi o sobie „aktorka”, skoro praktycznie nigdzie nie *występuje*. Gdy okazało się, że w ostatniej chwili może stracić rolę z powodu braku pieniędzy, popadła w przygnębienie tak wielkie i tak dla niej nietypowe, że Jackson czuł się zmuszony podnieść ją na duchu.

Spektakl zatytułowany *W poszukiwaniu równika na Grenlandii* powstał na podstawie egzystencjalnej,

abstrakcyjnej i niezrozumiałej sztuki czeskiej (albo słowackiej, Jackson nie słuchał zbyt uważnie), która nie dotyczyła ani równika, ani Grenlandii (ani, skoro już o tym mowa, poszukiwania czegokolwiek). Julia przywiozła mu do Francji scenariusz i poprosiła, aby go przeczytał, co dziesięć minut pytając: „No i jak ci się podoba?”, tak jakby choć trochę znał się na teatrze, a nie znał się wcale.

– Chyba... w porządku – odparł bezradnie.

– Czyli uważasz, że powinnam przyjąć tę rolę?

– Wielkie nieba, oczywiście – odpowiedział nieco za szybko.

Z perspektywy czasu zrozumiał, że *nieprzyjęcie* roli w ogóle nie wchodziło w rachubę. Był ciekaw, czy od początku wiedziała, jakim koszmarem okaże się znalezienie sponsora, i chciała, żeby czuł się zaangażowany w całe przedsięwzięcie. Nie była manipulantką, wręcz przeciwnie, ale czasami zaskakiwała go swoją umiejętnością perspektywicznego myślenia. „A w ogóle, jeśli odniesiemy sukces, dostaniesz z powrotem swoje pieniądze – zauważyła wesoło, gdy zaproponował jej pomoc. – Kto wie, może jeszcze na nas zarobisz”. Wolne żarty, pomyślał Jackson, ale nie powiedział tego głośno.

„Aniele nasz!” – wykrzyknął minionego wieczoru Tobias, reżyser spektaklu, obejmując go w zniewieściały sposób. Tobias miał więcej wspólnego z kampem niż międzynarodowy zlot skautów. Jackson nie był przeciwny gejom, po prostu wolałby, żeby czasami byli mniej gejuwaci, szczególnie jeśli witają go w – jak się niestety okazało – porządnym, staroświeckim szkockim pubie dla prawdziwych mężczyzn. „Zbawiciel”, „anioł” – cóż za religijne skojarzenia u ludzi, którzy programowo nie byli religijni. Jackson doskonale wiedział, że nie jest niczym zbawicielem ani aniołem, tylko zwyczajnym facetem. Facetem, który ma więcej kasy niż oni.

Julia dostrzegła go i gestem zachęciła, żeby podszedł bliżej. Była zarumieniona, lewa powieka drgała jej jak zwykle, gdy zbyt mocno coś przeżywała. Prawie całą szminkę miała startą, ciało szczelnie zakryte workowatym kostiumem barwy popiołu i niemal w niczym nie przypominała znanej Jacksonowi Julii.

Domyślił się, że ten poranek nie należał do udanych. Mimo wszystko powitała go szerokim uśmiechem i serdecznym uściskiem (wiele można by o niej powiedzieć, ale nie to, że była marudą), on zaś otoczył ją ramionami i wsłuchał się w jej oddech, płytki i chrapliwy. Prowizoryczna scena, na której występowali, znajdowała się poniżej poziomu gruntu, w trzewiach wiekowego gmachu, wewnątrz labiryntu wilgotnych kamiennych korytarzy rozbiegających się na wszystkie strony. Jackson poczuł obawę, że Julia może przypłacić pobyt w tych lochach galopującymi suchotami.

– Nici z lunchu? – domyślił się.

Pokiwała głową.

– Nie zdążyliśmy nawet zrobić porządnej próby technicznej. Będziemy musieli to nadgonić w przerwie na lunch. A jak tobie minął ranek?

– Poszedłem na spacer – odparł Jackson – do muzeum i do Świata Iluzji. Zajrzałem na grób Bobby’ego w Greyfriars...

– Och. – Julia zrobiła tragiczną minę.

Wzmianka o psie – jakimkolwiek psie – zawsze wywoływała u niej reakcję emocjonalną. Wspomnienie psa, który nie żył, znacznie podbijało stawkę; myśl o niezującym *wiernym* psie była dla niej praktycznie nie do zniesienia.

– Oddałem mu hołd w twoim imieniu – dodał. – Obejrzałem też nowy gmach parlamentu.

– Jaki jest?

– Czy ja wiem? Nowy. Dziwny.

Widział, że słucha go jednym uchem.

– Chcesz, żebym został? – zapytał.

Na twarzy Julii odmalowała się panika:

– Nie chcę, żebyś oglądał spektakl przed pokazem przedpremierowym, jest jeszcze trochę niedopracowany.

Julia zawsze bardzo optymistycznie podchodziła do wszystkich swoich występów, więc domyślił się, że „trochę niedopracowany” należy rozumieć jako „kompletnie do niczego”. Żadne z nich jednak głośno tego nie powiedziało. Wokół jej oczu zauważył zmarszczki, których jakiś czas temu nie było. Wspięła się na palce, żeby go pocałować,

i powiedziała:

– Masz moje błogosławieństwo, żeby dać drapaką. Idź i baw się dobrze.

Jackson powściągliwie cmoknął ją w czoło. Poprzedniego wieczoru po powrocie z pubu spodziewał się, że zaraz po przekroczeniu progu wynajętego mieszkania w Marchmont, które znaleźli jej organizatorzy, będą uprawiać z Julią gorący seks. Nowe miejsca zawsze dodawały jej wigoru, jeśli o to chodzi, lecz tym razem oznajmiła: „Zaraz *umrę*, skarbie, jeśli *natychmiast* nie położę się spać”. To, że nie miała ochoty na seks, było do niej całkiem niepodobne; Julia zawsze miała chęć się kochać.

Domyślił się, że przydzielono im studenckie lokum wolne w czasie letnich wakacji – wystarczył rzut oka na ślady taśmy klejącej na ścianach i na sedes, który zaczął jako tako wyglądać dopiero po zużyciu przez Jacksona dwóch butelek wybielacza. Julia nie czyściła toalet, właściwie w ogóle nie sprzątała, przynajmniej nie tak, żeby można było zauważyć efekty jej działań. „Życie jest na to zbyt krótkie” – mawiała. Bywały dni, gdy Jacksonowi wydawało się, że jest ono wręcz za długie. Zaproponował, że sfinansuje wynajęcie na czas występów czegoś przyjemniejszego i droższego, choćby pokoju w hotelu, jeśli tylko Julia sobie tego życzy, lecz pomysł nie przypadł jej do gustu. „Mam się pławić w luksusach, podczas gdy inni gnieźdzą się w norze? To nie byłoby w porządku, skarbie, nie sądzisz? Solidarność grupowa i te rzeczy”.

Gdy się obudził rano, zajmowana przez Julię połowa łóżka była tak zimna i gładka, jakby Julia nie wierciła się obok niego niespokojnie przez całą noc. Wyczuwał, że powietrze w mieszkaniu jest nieruchome, niezakłócone jej obecnością, że Julia nie kąpie się, nie oddycha ani nie czyta, których to czynności nigdy nie umiała wykonywać w ciszy. Jego serce ścisnęło się lekko ze smutku wywołanego jej nieobecnością. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Julia obudziła się pierwsza, i doszedł do wniosku, że chyba nigdy. Jackson nie lubił zmian, wolał myśleć, że wszystko zawsze będzie takie samo. Zmiany były podstępne, zaskakiwały człowieka jak

w czasie zabawy w „Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”. Na co dzień można było odnieść wrażenie, że się z Julią nie zmieniają, lecz kiedy myślał o sobie i o niej sprzed dwóch lat, z czasów, gdy się poznali, widział dwoje zupełnie innych ludzi. Uczepili się siebie kurczowo z wdzięcznością i brakiem umiaru dwojga szczęśliwców ocalałych z katastrofy, by z czasem upodobnić się do rozbitków, dryfujących bezradnie po pustym oceanie. A może powinien powiedzieć: wraków? Nigdy nie pamiętał, czym jedno różni się od drugiego.

– Zaczekaj, mam coś dla ciebie – oznajmiła Julia, przetrząsając zawartość swojej torebki i triumfalnie wyciągając kartkę z rozkładem jazdy autobusów miejskich.

– Autobusowy rozkład jazdy? – zapytał, gdy mu ją podała.

– W rzeczy samej. Żebyś mógł złapać autobus. Dam ci jeszcze swój bilet dobowy.

Jackson nie miał w zwyczaju podróżować autobusami. Jego zdaniem było to dobre dla ludzi starych, młodych albo zubożałych.

– Wiem, do czego służy rozkład jazdy – odparł dość gburowato, jak sam stwierdził. – Dzięki – dodał – ale chyba zwiedzę zamek.

Odchodząc, usłyszał jeszcze Julię mówiącą:

– I jednym skokiem wyrwał się na wolność.

Przedzierając się do wyjścia przez labirynt korytarzy, Jackson mimowolnie spodziewał się ujrzeć stalaktyty i stalagmity („Stalaktyty u góry, stalagmity u dołu” – nieoczekiwanie zabrzmiał mu w uszach zrzędlawy głos dawnego nauczyciela geografii). Pomieszczenia wyrąbane w żywej skale, tchnące stęchlizną piwniczne mury, słabe oświetlenie – wszystko to sprawiało, że Jackson czuł się w tej podziemnej pieczarze co najmniej nieswojo. Pomyślał o ojcu zjeżdżającym co wieczór do kopalni.

Miał wrażenie, że cały budynek jest śmiertelnie chory. Jackson przypuszczał, że wdycha powietrze skażone pałeczkami dżumy. Nie wyobrażał sobie, jak ktokolwiek mógłby wyjść stąd żywy, gdyby zaczęło się tu palić. Kilka lat wcześniej na tej samej ulicy wybuchł potworny pożar

i z perspektywy czasu Jackson uznał to za szczęśliwe zrządzenie losu: po dżumie – oczyszczający ogień. Wcześniej zagadnął ospałą dziewczynę w kasie biletowej, czy mają ważny atest przeciwpożarowy i czy mógłby go zobaczyć, ale tylko spojrzała na niego tak, jakby w tym momencie wyrosła mu jeszcze jedna głowa.

Jackson lubił porządek. W domu we Francji miał teczkę opatrzoną napisem: „Co zrobić po mojej śmierci”, w której umieścił wszystkie informacje niezbędne do uporządkowania swoich spraw doczesnych: nazwiska i adresy księgowego oraz prawnika, pełnomocnictwo dla tego ostatniego (na wypadek gdyby przed śmiercią znikował), swój testament, polisę ubezpieczeniową, numery kont bankowych... Był pewien, że nic nie umknęło jego uwagi i zabezpieczył się z każdej flanki, ponieważ w głębi duszy wciąż był wojskowym. Miał czterdzieści siedem lat i cieszył się dobrym zdrowiem, znał jednak wielu ludzi, którzy umarli, choć wcale tego nie planowali, i nie miał powodów, aby sądzić, że jego to nie spotka. Niektóre rzeczy można było kontrolować, innych nie. Do tych pierwszych należał porządek w papierach.

Jackson – były wojskowy, były policjant, a teraz także były prywatny detektyw – zostawił za sobą wszystko poza Julią. Sprzedał biuro detektywistyczne, a następnie niemal z dnia na dzień nieoczekiwanie wycofał się z zawodu, otrzymawszy spadek po klientce, starszej kobiecie zwanej Binky Rain. Była to poważna suma, okrągłe dwa miliony, aż nadto, żeby mógł odłożyć coś dla córki i kupić dom we Francji u podnóża Pirenejów w pakiecie ze strumieniem pełnym pstrągów, sadem, łąką oraz dwoma osiołkami. Jego córka Marlee miała obecnie dziesięć lat i była w takim wieku, że wołała osiołki od niego. Francuska sielanka, o której niegdyś marzył, stała się teraz jego codziennością, on zaś nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo rzeczywistość różni się od fantazji.

Julia twierdziła, że dwa miliony to w gruncie rzeczy nie tak wiele – dwa miliony „ledwo” starczyły na mieszkanie w Londynie albo Nowym Jorku. „Prywatny odrzutowiec kosztowałby cię dwadzieścia pięć milionów – rzuciła lekko

– a na dobry jacht w dzisiejszych czasach z trudem starczyłoby ci pięć milionów”. Zawsze brakowało jej pieniędzy, mimo to zachowywała się, jakby je miała („Na tym polega cała sztuka, skarbie”). Nigdy też, o ile się orientował, nawet nie widziała jachtu wartego pięć milionów, o pływaniu nim nie wspominając. Jackson dla odmiany pieniądze miał i zachowywał się, jakby tak nie było. Na grzbiecie nosił od lat tę samą sfatygowaną skórzaną kurtkę, na nogach – te same sprawdzone wojskowe buty Magnum Stealths. Wciąż strzygł się u kiepskiego fryzjera i nadal był pesymistą. „Mam się pławić w luksusach, podczas gdy inni gnieźdzą się w norze? To nie byłoby w porządku, skarbie, nie sądzisz?”. Rzeczywiście, to nie byłoby w porządku.

„O rety, jakbyś się przyłożył, jednego dnia mógłbyś wydać te swoje dwa miliony” – zauważyła kiedyś Julia. Oczywiście miała rację; odziedziczenie takiej sumy było jak wygrana na loterii (Julia nazywała to „śmieciowymi pieniędzmi”). Prawdziwe majątki były stare i składały się na nie sumy, których nie sposób było wydać, choćby się człowiek nie wiadomo jak starał. Przekazywane z pokolenia na pokolenie i *kumulowane*, pochodziły z groźnienia pól, tworzenia zrębów rewolucji przemysłowej i handlu niewolnikami niezbędnymi na plantacjach trzciny cukrowej. Ludzie z prawdziwymi pieniędzmi rządzą tym światem.

– To ludzie, których nie lubimy – stwierdziła Julia.
– Wrogowie naszej socjalistycznej przyszłości, która wszak czeka tuż za rogiem, prawda, skarbie? I oby zawsze tak było, na wieki wieków amen. Nie daj Boże, aby ziścił nam się ten pastoralny raj na ziemi, bo wtedy trzeba by wreszcie zacząć żyć, zamiast wiecznie na wszystko narzekać.

Jackson popatrzył na nią z powątpiewaniem. Nie sądził, aby kiedykolwiek spotkał się z określeniem „pastoralny”, wołał jednak nie pytać, co miała na myśli. Jeszcze nie tak dawno czytał w niej jak w otwartej księdze; ostatnio coraz częściej jej nie rozumiał.

– Pogódź się z tym, Jacksonie – dodała. – Prostaczkowie mają teraz prawo swobodnie podróżować i skupywać akcje na

azjatyckich rynkach wysokiego ryzyka.

Zabawne, że czasem mówiła zupełnie jak jego żona. Ona także bywała swarliwa. „Ja się kłócę tylko z tymi, których lubię – broniła się Julia. – To znaczy, że czuję się przy tobie bezpieczna”. Jackson z zasady kłócił się tylko z tymi, których *nie lubił*. Na przykład ze swoją *byłą* żoną, upomniał się w myślach. Kolejny po „byłej pracy” „były” element w jego życiu. Rozwiedli się, ona ponownie wyszła za mąż i obecnie była w ciąży z innym mężczyzną. Mimo to Jackson nadal myślał o niej – formalnie, nie uczuciowo – jak o swojej żonie. Może wynikało to z jego katolickiego wychowania.

Poza tym Julia nie miała racji. Prostaczkowie oglądali w telewizji reality shows, nowe opium dla mas. Jemu samemu też zdarzyło się obejrzeć kilka odcinków – miał we Francji szerokopasmowe łącze satelitarne – i nie mógł uwierzyć, jak ludzie mogą być takimi niepoczytalnymi ignorantami. Czasami, gdy włączał telewizor, miał poczucie, że przyszło mu żyć w jakiejś koszarnej wersji przyszłości, na którą się nigdy nie pisał.

Z trudem przepychał się przez stłoczoną przy wejściu tasiemcową kolejkę. Ludzie czekali na jakiś spektakl komediowy. Mimowolnie rzucił okiem na afisz i fotografię mężczyzny z miną przygłupa. Napis głosił: „Richard Moat – komediowa viagra dla twojego umysłu”. Żeby rozbawić Jacksona, trzeba było czegoś więcej. Za moich czasów, pomyślał, komedie były przynajmniej śmieszne. „Za moich czasów” – tak mówili starcy, mający życie za sobą.

Wydostawszy się wreszcie na coś, co można było nazwać światłem dziennym, po obu stronach ulicy ujrzał rzędy wysokich wiekowych kamienic, które patrzyły na siebie nawzajem pustymi oczodołami okien. Człowiek czuł się tu jak w tunelu, jakby wokół niego zapadła noc. Gdyby nie wszechobecny tłum, można by pomyśleć, że trafiło się przez przypadek na plan filmowej adaptacji którejś z powieści Dickensa. Albo w ogóle cofnęło w czasie.

Julia twierdziła, że to dobre miejsce na przedstawienie, choć wszyscy byli zawiedzeni, że nie udało im się „załapać do

Traverse”. „Ale tu naprawdę nie jest źle – pocieszała się Julia – centralna lokalizacja, mnóstwo ludzi”. Co do tego ostatniego miała całkowitą rację: budynek był zatłoczony, jego ojciec powiedziałby, że pękał w szwach. Ojciec Jacksona był górnikiem z Fife i chyba nie darzył drogiej, tętniącej życiem stolicy zbyt ciepłymi uczuciami. Miasto było zbyt pretensjonalne, przy czym „pretensjonalne” to określenie Julii. Słownik Jacksona zdawał się ostatnio pełen cudzych wyrażen. Głównie francuskich, jako że Francja była teraz jego „miejszem zamieszkania” – a to nie to samo, co „dom”.

Poza tym, że został poczęty na wakacjach w Ayrshire (jeśli wierzyć ojcu), Jackson nie miał dotąd okazji odwiedzić Szkocji. Nigdy szczególnie się nad tym nie zastanawiał, teraz jednak uderzyło go, jakie to dziwne (i jak wiele mówi o jego psychice), że nigdy dotąd nie odwiedził swojej małej ojczyzny. Gdy poprzedniego dnia wysiadł z pociągu na dworcu Waverley, oczekiwał, że szkocka połowa jego genów natychmiast rozpozna swoje korzenie. Spodziewał się odkryć emocjonalną więź łączącą go z nieznaną przeszłością – będzie szedł ulicą, a twarze przechodniów nagle wydadzą mu się znajome; skręci za róg albo wdrapie się po schodach i dozna jakiegoś objawienia – lecz w istocie Edynburg był mu się bardziej obcy niż Paryż.

Przepychając się przez tłum, starał się kierować w stronę zamku. Wyglądało jednak na to, że pierwotna część jego mózgu, tak zwykle skuteczna, gdy chodzi o orientację w terenie, zaraz po przyjeździe do Edynburga postanowiła zrobić sobie wolne. Miało to prawdopodobnie związek z tym, że Jackson został nagle sprowadzony do upokarzającej roli pieszego (i to jak upokarzającej; bądźmy szczerzy: w tym mieście piesi stanowili podgatunek). Aby jego mózg mógł sobie przyswoić topografię Edynburga, musiały mieć bezpośrednie połączenie z kołem kierownicy, Jackson należał bowiem do mężczyzn, dla których samochód stanowi przedłużenie umysłu. Kiedy wyjeżdżał do Francji, porzucił bmw, swoją dawną miłość, i we francuskiej stodole miał teraz upchniętego nowiutkiego, wartego sto pięćdziesiąt tysięcy euro mercedesa.

Rzecz jasna, w tej chwili dysponował jedynie biletem dobowym. Nie pojmował, jak ludzie radzą sobie bez samochodu. „Chodzą pieszo” – wyjaśniła mu Julia. Sama wiele nie spacerowała, zwykle jeździła metrem albo rowerem. Jackson nie potrafił wyobrazić sobie nic bardziej niebezpiecznego od jazdy rowerem po Londynie. („Zawsze się tak zamartwiałeś – spytała go raz Julia – czy zacząłeś dopiero, jak się poznaliśmy?”) Lekkomysłność Julii nie miała granic. Jackson nieraz się zastanawiał, czy uważała się za nieśmiertelną, czy po prostu nie dbała o to, że może umrzeć. Straciła całą rodzinę poza jedną siostrą – fakt, który najwyraźniej kazał jej traktować własną egzystencję z zadziwiającą nonszalancją („Wszyscy kiedyś umrzemy”; jasne, byle nie za wcześnie).

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Jacksonie. Bez samochodu czujesz się odarty z męskości – oznajmiła mu podczas podróży pociągiem z Londynu.

„Odarty z męskości”... Sformułowanie dokładnie w jej stylu, odpowiednio archaiczne i dramatyczne.

– Wcale nie – zaprotestował. – Po prostu czuję, że nie mogę się nigdzie *przemieścić*.

– Przecież właśnie się przemieszczasz – zauważyła, gdy mijali stację w Morpeth.

„No to w drogę. W górę, aż do samej Szkocji” – powiedział nieopatrznie Jackson, gdy wyruszali.

Kilka godzin później Julia zwróciła się do niego i w typowy dla siebie sposób wyciągając całkowicie błędne wnioski, rzuciła gniewnie:

– Poza tym, jadąc z Londynu, nie mówi się „w górę”, tylko „w dół”, bo to stolica.

– Wiem – odrzekł Jackson. – Nie jestem kmiotkiem. Po prostu uważam, że to głupie. Edynburg też jest stolicą, w dodatku pod względem geograficznym cała północ Anglii ewidentnie znajduje się *u góry*.

– Ojejku – zamruczała łagodnie Julia – nie wiedziałam, że aż tak się tym przejmiesz.

Nie miała racji, kiedy twierdziła, że to brak samochodu

odziera go z męskości. Chodziło o pieniądze. Prawdziwe pieniądze, zdobyte ciężką pracą, taką jak w kopalni na przodku – dosłownie i w przenośni. Ich posiadacze nie trwonili swoich dni, wypełniając iPody smętnymi piosenkami country i karmiąc jabłkami francuskie kucyki.

Na ulicę wyszedł akurat, aby zobaczyć, jak w zderzak srebrnego peugeota uderza honda civic (samochód dla prawdziwych frajerów). Koleś, który z niej wyskoczył, z wściekłości aż toczył pianę – całkiem bez powodu, bo na zderzaku hondy nie było nawet wgniecenia. Jackson zwrócił uwagę na jego akcent – Anglik tak jak on. Obcy w obcym kraju. Koleś miał na dłoniach rękawiczki samochodowe. Kierowca peugeota był niewysoki, ale żyłasty, o wyglądzie twardziela, kogoś, kto w razie potrzeby potrafi o siebie zadbać, lecz jego mowa ciała sugerowała postawę pojednawczą, co nasunęło Jacksonowi podejrzenie, że przywykł do niebezpiecznych sytuacji – jako żołnierz albo policjant. Poczul cienką nić empatii łączącą go z tym facetem.

Koleś z hondy był dla odmiany szukającym zwady świrem i gdy ni stąd, ni zowąd w jego ręku pojawił się kij bejsbolowy, Jackson zdał sobie sprawę, że musiał go mieć przy sobie, już kiedy wysiadał z samochodu. Premedytacja i ciężkie uszkodzenie ciała – pomyślał tkwiący w nim były gliniarz. W Szkocji pewnie mieli na to inne określenia, na wszystko mieli inne określenia. Na tylnym siedzeniu hondy zauważył psa. Słyszał gardłowe, basowe szczekanie i widział krótki pysk atakujący tylną szybę, jakby zwierzak chciał się przez nią wydostać i wykończyć kierowcę peugeota. To prawda, co mówią o właścicielach psów upodabniających się do swoich pupili. Julia wciąż opłakiwała śmierć swojego czworonoga z dzieciństwa, żwawego teriera Rascala. Oto i cała Julia – rozentuzjasmowany terier.

Na widok kija bejsbolowego w Jacksonie przebudził się dawny instynkt. Niecierpliwie wspiał się na palce i gotów na wszystko, poczał przeciskać się przez tłum. Zanim jednak znalazł się wystarczająco blisko, żeby interweniować, ktoś z kolejki rzucił w napastnika czymś, co przypominało teczkę.

Uderzenie w ramię kompletnie zaskoczyło koleś z hondy i powaliło go na ziemię. Jackson wycofał się i patrzył. Nie chciał się mieszać, o ile nie było to konieczne. Koleś z hondy pozbił się i odjechał, kilka minut później na miejsce zdarzenia dotarł radiowóz. Dźwięk zbliżających się syren sprawił, że Jacksonowi żywiej zabiło serce. Na francuskiej prowincji nie słyszało się wycia syren policyjnych. Z radiowozu wysiadły dwie policjantki, obie młodziutkie, jedna ładniejsza od drugiej, niesłychanie władcze w swoich żółtych odbłaskowych kurtkach i ciężkich pasach.

Gość, który rzucił teczką, siedział na krawężniku i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Jackson zagadnął go:

– Nic panu nie jest? Niech pan wsadzi głowę między kolana.

Facet posłusznie postarał się zrobić, co mu kazano, mimo że ta akrobatyczna propozycja miała przyciężkawy podtekst seksualny.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zapytał Jackson, kucając przy nim. – Jak się pan nazywa?

Facet pokręcił głową, jakby nie wiedział. Był biały jak prześcieradło.

– Ja nazywam się Jackson Brodie – przedstawił się Jackson.

– Byłem kiedyś policjantem.

Przeszedł go nagły dreszcz. Tak to teraz wyglądało: całe życie zawarte w dwóch zdaniach. „Nazywam się Jackson Brodie, byłem kiedyś policjantem”.

– Mogę panu jakoś pomóc?

– Nic mi nie będzie – odparł tamten z wysiłkiem.

– Przepraszam. Martin Canning – dodał.

– Nie musi mnie pan przepraszać – rzekł Jackson. – To nie mnie powalił pan na ziemię.

Powiedzenie tego było błędem, bo gość zrobił przerażoną minę:

– Nie zaatakowałem go. Chciałem pomóc *tamtemu*

– powiedział, wskazując kierowcę peugeot, który wciąż leżał na jezdni; teraz zajmowali się nim sanitariusze.

– Wiem, wiem – uspokoił go Jackson. – Wszystko widziałem. Dam panu numer swojej komórki. Gdyby potrzebował pan

świadka, który poprze pańskie zeznania, proszę śmiało dzwonić. Albo gdyby policja czy tamten wariat z hondy zaleźli panu za skórę. Do czego z pewnością nie dojdzie, niech się pan nie martwi.

Zapisał numer telefonu na odwrocie ulotki reklamującej spektakl teatralny, którą wcześniej wsunął do kieszeni, i podał mężczyźnie, po czym wstał. Towarzyszące temu trzeszczenie w kolanach nie uszło jego uwagi. Chciał się jak najszybciej ulotnić. Nie lubił być na miejscu przestępstwa i patrzeć, jak kręcą się po nim policjantki raptem o kilka lat starsze od jego córki; czuł się wtedy jak starzec. Całkowicie zbędny. Ogarnęła go nagła tęsknota za legitymacją policyjną.

Zanotował w myślach numer rejestracyjny hondy, lecz odszedł, nie przekazując tej informacji policjantkom. Ktoś inny na pewno zapamiętał rejestrację, wokół pełno potencjalnych świadków – przekonywał sam siebie. Lecz prawda była taka, że nie miał ochoty wikłać się w biurokratyczne procedury. Skoro sam nie prowadził dochodzenia, nie zamierzał brać w nim udziału. Ostatecznie był tylko postronnym obserwatorem.

Archie i Hamish obmyślili plan. Właściwie to było zadanie aktorskie, coś jak występowanie w filmie. Wchodzili osobno w odstępie kilku minut, ponieważ jednoczesna obecność w sklepie więcej niż jednego nastolatka powodowała, że sprzedawcy wpadali w paranoję i zwyczajnie im *odbijało* (kompletnie bez sensu; ile to razy wchodził do sklepu z Hamishem *nie* po to, żeby popełnić przestępstwo?). Przez pewien czas oglądali towar w dwóch różnych częściach sklepu, po czym ukryty przed wzrokiem sprzedawcy Archie dzwonił na komórkę Hamisha, a ten odbierał i zaczynał odstawiać swoją szopkę. Czasem po prostu wściekał się na dzwoniącego: „Co jest, do kurwy nędzy, ty skurwysynu, nawet, kurwa, nie próbuj” i takie tam, czasem wprowadzał element dramatyczny, udając, że dzwoniący właśnie poinformował go o strasznym wypadku kogoś z rodziny. Zresztą wszystko jedno, byleby zająć czymś uwagę sprzedawcy. „O mój Boże, tylko nie moja siostrzyczka! Jezu, tylko nie to”. Niekiedy Hamishowi zdarzało się *odrobinę* przeszarżować.

Archie tymczasem nadal udawał, że się rozgląda po półkach. Ogląda towary. A tak naprawdę je kradł. Cha, cha! Żeby wszystko się udało, sklep nie mógł być duży – bez zastępów sprzedawców, alarmu w drzwiach, który reagował na zabezpieczenia przy metkach, i tym podobnego szajsu. Archie potrafił wyciągać wnioski z dawnych błędów. Oczywiście jeżeli w sklepie nie zainstalowano alarmu, zwykle znaczyło to, że nie ma w nim nic, co warto by wynieść (nie kradli po to, żeby kraść, bo to było do dupy; kradli, ponieważ *chcieli* coś mieć). Czasami to on odbierał telefon, a Hamish podwędzał towar. Ale Archie był beznadziejnym aktorem, choć za nic by się do tego nie przyznał.

Był pierwszy dzień nowego semestru, przerwa na lunch,

Archie zaś nie zdołał jeszcze wykombinować, czy szkolny mundurek czyni ich mniej, czy bardziej podejrzanymi. Był to mundurek tak zwanej dobrej szkoły – jego matka skłamała i jako miejsce zamieszkania podała adres przyjaciółki, żeby Archie znalazł się w rejonie Gillespie. (Potem mówiła mu, że nie wolno kłamać! Sama kłamała na okrągło). Dla Archiego nowa szkoła oznaczała codziennie dwie długie przejażdżki autobusem.

Była połowa festiwalu, prawie sam środek lata, w mieście wprost roiło się od debilnych obcokrajowców i turystów, którzy świetnie się bawili i wciąż mieli wakacje, podczas gdy oni musieli wracać do szkoły. „Wystarczy, żeby młody człowiek wstąpił na drogę występku, co nie, Archie?” – szturchnął go Hamish. Zawsze tak dziwnie gadał. Początkowo Archie wziął go za zniewieściałego, potem jednak doszedł do wniosku, że chyba po prostu zgrywa paniczyka. Hamish został wyrzucony z Fettes i dopiero przed rokiem dołączył do klasy Archiego. Był dziwny, ale Archie kładł to na karb tego, że kumpel pochodzi z bogatej rodziny.

Tym razem trafiła im się świetna miejscówka, malutki sklepik przy Grassmarket handlujący sprzętem do snowboardingu. Niczego sobie. Zarabisty towar. W środku była tylko ta jedna ekspedientka, nadęta zdzira – ostry makijaż i pretensje do całego świata. Chętnie by to z nią zrobił, miałyby nauczkę. Na razie nie zdołał „tego” zrobić z żadną dziewczyną, lecz przez dziewięćdziesiąt procent dnia i sto procent nocy nie myślał o niczym innym.

Wybrał numer komórki Hamisha i zaraz się rozłączył. Podczas gdy Hamish odstawiał tradycyjne przedstawienie: „Co ty mówisz, mamó? W którym szpitalu? Przecież jeszcze rano tata był całkiem zdrowy...” i tak dalej, Archie wpychał do plecaka koszulkę z logo Quiksilver. Niewykluczone, że Hamish przesadził albo ta nadęta zdzira była bardziej kumata, niżby się mogło wydawać. W każdym razie zanim się obejrzel, już byli na ulicy i zasuwali jak jacyś cholerni *lekkoatleci*. Archie myślał, że dostanie zawału. Zatrzymał się i zgięty w pół próbował złapać oddech. Hamish pośliznął się i wpadł na niego od tyłu.

Rechotał tak, że prawie się posikał.

– Śpiąca królewna nawet nie ruszyła dupy ze sklepu – wysapał, po czym, rozglądając się wkoło, zapytał: – A co tu się dzieje?

– Nie wiem. Coś.

– Biją się – wykrzyknął Hamish, triumfalnie wyciągając do góry dłoń. – *Super!*

Archie zobaczył wzniesiony do ciosu kij bejsbolowy oraz faceta na jezdni, który cofał się przed ciosem, odwrócił się do Hamisha i powiedział:

– Ale jaja!

Jedna z policjantek zagadnęła go: „Pojedzie pan z nim do szpitala?”. Najwyraźniej sądziła, że on zna rannego mężczyznę. Ponieważ nikt inny nie wyraził chęci towarzyszenia poszkodowanemu, Martin posłusznie wsiadł do karetki. „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”.

Dopiero gdy dotarli do nowego Szpitala Królewskiego na przedmieściach, uświadomił sobie, że nie ma torby z laptopem. Pamiętał, jak z szurgotem sunęła po mokrym bruku, ale nie miał pojęcia, co się z nią później stało. W sumie żadna katastrofa, wszystkie dokumenty miał na wszelki wypadek skopiowane na pamięć przenośną – malutką liliową płytkę firmy Sony bezpiecznie schowaną w portfelu. Natomiast zapasową kopię dysku ukrył w jednej z szuflad w „biurze”. Wyobraził sobie, jak znalazca laptopa włącza go, wchodzi w „Moje dokumenty” i najpierw czyta jego teksty sam, mrużąc: „Co to za gówno?”, a potem czyta je na głos swoim znajomym, którzy pękają ze śmiechu. W jego wyobraźni znalazca laptopa należał do kategorii tych, którzy „pękają ze śmiechu”, nie zaś zwyczajnie się śmieją. No i na pewno nie chichoczą.

Martin wyobraził sobie kogoś mniej drobnomieszczańskiego i mniej żalosego od siebie („Zachowujesz się jak stara baba” – słyszał od ojca przy więcej niż jednej okazji), dla kogo jego życie i praca zasługiwały wyłącznie na drwiny. „Coś się szykuje, Bertie – szepnęła Nina, chwytając się na ramionach Bertiego, na które wspięła się, żeby lepiej widzieć lorda Carstairsa w jego wypełnionej palmami oranżerii na zamku Dunwrath”. Bertie był siedemnastoletnim kompanem Niny, dzięki niej porzucił życie kłusownika.

W laptopie Martin miał również korespondencję („Bardzo dziękuję za list, cieszę się, że podobają się Panu/Pani przygody

Niny Riley. Z serdecznymi pozdrowieniami, Alex Blake”). Być może owe pękające ze śmiechu indywidua odszukają jego adres i zwrócą mu komputer. Albo zjawią się u niego, żeby ukraść wszystko, co ma. A może laptop wpadnie pod koła samochodu, które zmiażdżą pełną sekretów płytę główną i zgniotą ekran plazmowy?

Kierowca peugeota odzyskał świadomość, był całkiem przytomny. Na jego skroni widniał potężny guz, jakby ktoś wsunął mu pod skórę kurze jajo.

– Mój dobry samarytanin – zwrócił się do sanitariuszki, wskazując ruchem głowy Martina. – Ocalił mi życie.

– Serio? – zdziwiła się kobieta, niepewna, czy to aby nie przerośnięta.

Kierowca peugeota leżał zawinięty w bawełniany, luźno tkany biały pled niczym niemowlę w beciku. Z trudem uwolnił jedną rękę i wyciągnął ją do Martina.

– Paul Bradley – przedstawił się.

Martin podał mu dłoń, mówiąc:

– Martin Canning.

Uważał, żeby zbyt mocno nie ścisnąć dłoni mężczyzny i nie sprawić mu bólu; zaraz jednak pomyślał z przestrachem, że jego uścisk może się tamtemu wydać zbyt miękkiej. Jego ojciec zawsze podkreślał wagę męskiego uścisku dłoni („Co za cholerna meduza – podawaj rękę jak prawdziwy mężczyzna!”). Niepotrzebnie się martwił: zaskakująco mała, gładka dłoń Paula Bradleya zacisnęła się na jego ręce z siłą automatycznego imadła.

Martin od miesięcy dotykał drugiego człowieka tylko przypadkiem: kiedy odbierał resztę od kasjerki w supermarkecie albo podtrzymywał pewnego wieczoru Richarda Moata nad miską klozetową, gdy ten zwracał przemysłowe ilości wypitego alkoholu. Tydzień wcześniej pomagał wejść do autobusu staruszce i zdumiał się, jak wzruszający był dla niego dotyk jej niemal nieważkiej, papierowej dłoni.

– Chyba pan powinien tutaj leżeć zamiast mnie – zauważył Paul Bradley. – Jest pan błąd jak ściana.

– Naprawdę? – Rzeczywiście Martin czuł się słabo.

– Słyszałam, że incydent był poważny – wtrąciła sanitariuszka.

„Incydentem” nazwała ów przypadek agresji drogowej jedna z policjantek. „Będziemy musiały spisać pańskie zeznania w związku z tym incydem, sir”. Miłe neutralne słowo, prawie tak miłe jak „niewinny”. Może wykorzysta je, żeby opisać, co go spotkało. „Rzeczywiście, podczas pobytu w Rosji przydarzył mi się pewien godny pożałowania incydent...”

Gdy weszli na oddział ratunkowy i rejestratorka spytała Martina o dane kierowcy peugeota, ten uświadomił sobie, że zdążył zapomnieć nazwisko usłyszane w karetce. Ranny został przewieziony w głąb oddziału, więc rejestratorka zmierzyła Martina wzrokiem surowej nauczycielki i powiedziała:

– Czy mógłby się pan dowiedzieć? I zdobyć adres jego najbliższego krewnego?

Martin ruszył więc na poszukiwanie kierowcy peugeota i znalazł go na leżance za parawanem; pielęgniarka mierzyła mu akurat ciśnienie.

– Przepraszam – szepnął Martin – ale potrzebne mi są jego dane.

Mężczyzna próbował się podnieść, lecz został delikatnie powstrzymany przez pielęgniarkę.

– W kieszeni kurtki mam portfel, kolego – rzucił więc, leżąc na wznak.

Czarna skórzana kurtka wisiała na metalowym oparciu krzesła w kącie. Martin sięgnął ostrożnie do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął portfel. Grzebanie w cudzych kieszeniach było dla niego czynnością dziwnie intymną, czuł się jak złodziej z przypadku. Kurtka została uszyta z drogiej, mięsistej skóry – jagnięcej, jak sądził. Musiał użyć całej siły woli, aby jej nie przymierzyć i nie sprawdzić, jak to jest: być kimś innym. Machnął portfelem przed nosem pielęgniarki, żeby wiedziała, że go znalazł i obcy jest mu wszelki podstęp. Kobieta uśmiechnęła się życzliwie.

– Mam się zaopiekować pańską torbą? – zwrócił się do kierowcy peugeota.

Turystyczna torba przyjechała wraz z nimi karetką i mężczyzna odrzekł: „Dzięki”, co Martin uznał za przyzwolenie. Torba wyglądała na pustą, lecz okazała się zaskakująco ciężka.

Rejestratorka sprawnie przetrząsnęła zawartość portfela. Paul Bradley miał trzydzieści siedem lat, mieszkał w północnym Londynie, w portfelu miał prawo jazdy, zwitek dwudziestofuntowych banknotów i umowę z firmą Avis na wypożyczenie peugeota. Poza tym nic więcej; żadnej karty kredytowej, żadnych zdjęć, żadnych świstków z nabazgranymi na nich numerami telefonów, żadnych paragonów, żadnych odcinków biletów. Ani śladu informacji o najbliższym krewnym. Martin zaproponował, żeby wpisać jego nazwisko, na co rejestratorka odparła:

– Przecież nie wiedział pan nawet, jak on się nazywa.

Mimo to wpisała „Martin Canning” w odpowiednią rubrykę formularza.

– Kościół Szkocji? – spytała.

– To Anglik, więc lepiej wpiszmę Kościół Anglii – zdecydował Martin.

Był ciekaw, czy istnieje coś takiego jak Kościół Walii. Nigdy o nim nie słyszał.

Budynek bardziej przypominał dworzec kolejowy albo lotnisko niż szpital, jak przystanek w drodze, a nie miejsce, dokąd ludzie zgłaszają się z konkretną sprawą. Były tam kawiarnia oraz sklep, który wyglądał jak mały supermarket. Nic nie wskazywało na to, że mogą tutaj przebywać chorzy.

Martin zajął miejsce w poczekalni. Doszedł do wniosku, że musi doprowadzić tę sprawę do końca. Przejrzał od deski do deski czasopismo poświęcone stylowym domom i numer „Hello!” z datą sprzed trzech lat. Przypomniał sobie przeczytaną gdzieś informację, że wirus zapalenia wątroby typu C potrafi długo przeżyć poza organizmem człowieka. Można się nim zarazić przez zwykły dotyk – wzięwszy do ręki klamkę, kubek lub czasopismo. Te ostatnie były starsze niż sam szpital. Ktoś musiał je spakować i przywieźć tu ze starego Szpitala Królewskiego przy Lauriston Place. Martin pamiętał, że był

tam kiedyś na ostrym dyżurze, gdy jego matka oparzyła sobie rękę podczas jednej ze swych rzadkich wizyt u syna. Była to jedyna rzecz, jaką zapamiętał z tamtych odwiedzin – nie przejeżdżkę do posiadłości Hopetoun House (zrobili sobie uroczy spacer, a następnie zjedli podwieczorek), nie lunch w restauracji Pompadour w hotelu Caledonian, nie zwiedzanie pałacu Holyrood, tylko właśnie to, że jakimś cudem wylała sobie na rękę wrzątek z czajnika. „To ten twój czajnik” – powiedziała, jakby Martin był osobiście odpowiedzialny za temperaturę wrzenia wody.

Tamta poczekalnia wyglądała jak miejsce rodem z Trzeciego Świata: brudna, ze starymi, cuchnącymi moczem krzesłami. Matka zniknęła za przepierzeniem z seledynowego materiału pochłapanego zaschniętą krwią. Później stary szpital przebudowano, w jego części powstały mieszkania. Martina dziwiło, jak można chcieć zamieszkać w miejscu, w którym inni umierali, cierpieli albo po prostu śmiertelnie się nudzili, czekając na wizytę w ambulatorium. Sam zajmował wiktoriański dom w rejonie Merchiston. Jak przypuszczał, kiedyś było tam pole. Mieszkanie na dawnym polu wydawało mu się znacznie lepsze od mieszkania w miejscu dawnej sali operacyjnej czy kostnicy. Tyle że ludzie mieli to gdzieś; w Edynburgu chronicznie brakowało lokali mieszkalnych. W gazecie sprzed tygodnia pisano o garażu sprzedanym za sto tysięcy funtów. Martin był ciekaw, czy ktoś naprawdę w nim zamieszka.

Swój dom kupił przed trzema laty. Po przeprowadzce do Edynburga – czyli po tym, jak podpisał umowę na wydanie swojej pierwszej książki – mieszkał początkowo w wynajętym mieszkanku w pobliżu Ferry Road i oszczędzał na zakup czegoś ciekawszego. Udzieliło mu się wówczas szaleństwo innych poszukiwaczy nieruchomości w tym mieście, śledzących jak opętani ogłoszenia i wyczekujących niczym sprinterzy w blokach startowych na czwartkowy wieczór oraz niedzielne popołudnie, gdy można było oglądać lokale.

Dom w Merchiston urzekł go od chwili, gdy przekroczył jego próg pewnego mglistego październikowego dnia. Pokoje

sprawały wrażenie pełnych tajemnic i cieni, przedwieczne światło matowiało, wpadając przez witrażowe okna. Co za wykwint, pomyślał wtedy. Wyobraził sobie, jak ten dom musiał kiedyś wyglądać, jak rozbrzmiewał echem dziecięcego śmiechu – chłopców w staroświeckich szkolnych czapkach w prążki, dziewcząt w haftowanych sukienkach i białych skarpetkach. Dzieci spiskowały, planując wesołe psoty przed kominkiem w swoim pokoju. Każdy zakątek tętnił życiem, służąca – bez klasowych resentymentów – z ochotą zmywała i szorowała, czasem nawet sekundowała małym figlarzom w ich psotach i sama ich nakłaniała, by obmyślali nowe. Byli tam też ogrodnik oraz kucharz; ten ostatni przygotowywał staroświeckie potrawy (wędzone śledzie, budynie, zapiekanki mięsno-warzywne). Nad wszystkim zaś czuwali kochający rodzice, wyrozumiali i łagodni – chyba że psoty wymykały się spod kontroli, wówczas zmieniali się w srogich i poważnych sędziów. Ojciec codziennie dojeżdżał do miasta, tam w swoim biurze zajmował się czymś tajemniczym, podczas gdy matka urzędowała wieczorki brydżowe i pisała listy. W mroczniejszych czasach ojca omyłkowo wzięto za przestępcę albo szpiega, co oznaczało dla jego rodziny przejściowe niewygody i niedostatek (matka wspaniale sobie z tym poradziła), lecz ostatecznie wszystko zostało wyjaśnione, a porządek przywrócony.

– Chcę ten dom – oznajmił kobiecie z kancelarii adwokackiej, która mu go pokazywała.

– Tak jak dziesięć innych osób, które były nim zainteresowane – odparła.

Nie zrozumiała, że mówiąc: „Chcę ten dom”, Martin nie wyrażał jedynie chęci zakupu nieruchomości. Nie chodziło mu tylko o mechaniczne oglądanie, składanie ofert i dokonywanie płatności, był to płynący z głębi serca krzyk tęsknoty za prawdziwym domem. Po koczowniczym dzieciństwie zafundowanym mu przez ojca wojskowego, młodości spędzonej w szkole z internatem i latach gnieźdzenia się w służbowym domku na terenie szkoły w Lake District Martin łaknął własnego ogniska domowego. Podczas studiów na prośbę kolegi zaliczającego zajęcia z psychologii poddał się jednemu

z testów asocjacyjnych i gdy pokazano mu słowo „dom”, narysował pusty kształt – umowną przestrzeń, którą powinny wypełniać emocje.

Gdy ojciec przeszedł z wojska na emeryturę, matka usiłowała nakłonić go do powrotu do jej rodzinnego Edynburga. Poległa na całej linii i zamiast w Edynburgu wylądowali w Eastbourne. Okazało się (właściwie nie była to żadna niespodzianka), że Harry nie jest charakterologicznie predysponowany do bycia emerytem i mieszkania w jednym miejscu, w porządnym domu szeregowym z trzema sypialniami i białą ozdobną stolarką, przy spokojnej ulicy oddalonej o pięć minut od kanału La Manche. Morze nie stanowiło dla niego żadnej atrakcji; każdego ranka wybierał się na dziarski spacer po plaży, lecz chodziło mu bardziej o wysiłek fizyczny niż o przyjemność. Wszystkim, zwłaszcza jego żonie, ulżyło, gdy trzy lata po przejściu na emeryturę podczas kłótni z sąsiadem, który zaparkował samochód przed ich domem, Harry zmarł na zawał serca. „Nigdy nie pogodził się z tym, że to droga publiczna” – wyjaśniła Martinowi i Christopherowi w dniu pogrzebu ich matka, jakby to było w jakimś sensie przyczyną śmierci ich ojca.

Wdowie nie starczyło silnej woli na wyprowadzkę z Eastbourne – nigdy nie była szczególnie energiczna – za to Martina i Christophera ciągnęło do Szkocji (tak jak węgorze albo łososie), byle dalej od matki.

Christopher był rzeczoznawcą żyjącym ponad stan w Borders ze swoją neurotyczną, jędzowatą żoną Sheeną i dwójkiem zaskakująco sympatycznych nastoletnich dzieci. Geograficznie odległość dzieląca Martina od brata nie była wielka, mimo to praktycznie się nie widywali. Christopher nie był łatwy w obejściu; w tym, jak sobie w życiu poczynał, było coś sztucznego i wymuszonego, jakby obserwując innych, dochodził do wniosku, że będzie bardziej znośny i autentyczny tylko dzięki naśladowaniu ich. Natomiast Martin dawno porzucił wszelką nadzieję, że stanie się taki jak inni.

Ani jeden, ani drugi brat nigdy nie nazywał domu w Eastbourne swoim domem; ich matce brakowało charakteru

potrzebnego, aby stworzyć tam atmosferę domowego ogniska. Bracia zawsze pytali: „Kiedy będziesz w domu matki?”, jakby budynek wyróżniał się silniejszą osobowością niż ona. Tymczasem nie miał on właściwie żadnego charakteru; co kilka lat malowano go farbą w tym samym nieszkodliwym jasnobrązowym kolorze, lecz nie mijało wiele czasu, a ściany znów przybierały swoją zwykłą barwę nikotynowej żółci. Ich matka paliła jak smok i była to chyba jej najbardziej charakterystyczna cecha. Martin wyobrażał sobie piekło jako niekończącą się deszczową niedzielę w domu matki – na zegarze zawsze jest godzina czwarta po południu, w kalendarzu styczeń, z niewietrzzonej kuchni dolatuje zapach pichącego się gulaszu z pręgi wołowej. Dym z papierosów, cienka herbata i przyprawiająca o szczękościsk słodycz marcepanowych babeczek z lukrem. A w telewizorze powtórka *Morderstw w Midsomer* odtwarzanych z magnetowidu.

Ich matka była obecnie drzącą staruszką, nic jednak nie wskazywało, że zamierza się rychło przenieść na tamten świat. Ledwo wiążący koniec z końcem Christopher narzekał, że matka go przeżyje, on zaś nigdy nie odziedziczy należnej mu połowy domu w Eastbourne, którego to spadku jego rachunek bankowy wyglądał jak kania dżdżu.

Martin odwiedził matkę wkrótce po tym, jak jego nazwisko po raz pierwszy pojawiło się na listach bestsellerów. Pokazał jej tygodniowe zestawienie pięćdziesięciu najlepszych książek w „The Bookseller” i wyjaśnił: „Alex Blake to ja. To mój pseudonim literacki”. Roześmiał się, a ona westchnęła: „Och, *Martinie*”, jakby zrobił coś wyjątkowo irytującego. Kupując dom w Merchiston, Martin nie miał może pewności, co czyni miejsce zamieszkania prawdziwym domem, lecz wiedział doskonale, co go nim nie czyni.

Christopher odwiedził go tylko raz, tuż po tym, jak Martin się wprowadził, i nie była to przyjemna wizyta, dodatkowo uprzykrzona obecnością Sheeny, istnej megiiery.

– Po cholerę ci taki wielki dom? – dziwił się brat. – Przecież jesteś sam jak palec.

– Zawsze mogę się ożenić i mieć dzieci – odparł obronnym

tonem Martin.

Sheena zaskowyczała wtedy:

– Ty?!

Na poddaszu znajdował się niewielki pokój z widokiem na ogród, który Martin przeznaczył na swój gabinet. Czuł, że właśnie tam będzie w stanie napisać coś naprawdę mocnego i pełnokrwistego, nie schematyczne i błahe powieściółko w rodzaju przygód Niny Riley, ale tekst, którego każda strona będzie stanowić twórczy dialog między namiętnościami a rozumem, prawdziwie przełomowe arcydzieło. Niestety, nie tylko mu się to nie udało, ale w dodatku cała pełnia życia, jaką wyczuwał w murach domu, zniknęła, kiedy tylko go kupił. Teraz, przekraczając próg, często miał wrażenie, że dom ten był i jest niezamieszany. Ani śladu po wesołych psotach. „Wesoły” było słowem, które Martin szczególnie lubił. Zawsze myślał, że gdyby miał dzieci, dałby im imiona Sonny i Merry. Imię czyni człowieka. Wiele zalet miały na przykład imiona zapożyczone z religii: Patience, Grace, Chastity, Faith. Lepiej nosić miano biblijnej cnoty, niż być skazanym na coś tak przeciętnego jak „Martin”. Jackson Brodie – oto dumnie brzmiące imię i nazwisko. Niewzruszony w obliczu wydarzeń („Byłem kiedyś policjantem”) w przeciwieństwie do Martina, którego nadmiar emocji przyprawił o mdłości. Nie chodziło przy tym o emocje pozytywne, związane z wesołą psotą, lecz na odwrót – z *incydentem*.

Na studiach przez krótki czas spotykał się z dziewczyną o imieniu Storm, „burza” (ponieważ wbrew temu, co sądziła większość ludzi, *miał* w życiu kilka dziewczyn). Doświadczenie to – gdyż było to raczej doświadczenie niż trwały związek – utwierdziło go w przekonaniu, że ludzie zachowują się stosownie do swoich imion. „Martin” było dość nudne, „Alex Blake” miało natomiast pewną klasę. Jego wydawcy nie uważali, aby „Martin” było wystarczająco przebojowe. Pseudonim „Alex Blake” został wybrany po długich naradach, których uczestnicy w większości wykluczyli „Martina”. „Mocny, konkretny pseudonim – orzekła jego redaktorka – żeby zrekompensować całą resztę”. Jaką resztę, tego nie

powiedziała.

Mimowolnie trącił stopą torbę turystyczną Paula Bradleya. Zamiast miękkich ubrań wyczuł coś twardego i sztywnego. Z ciekawości pomyślał, co taki człowiek – w podziwiiu godny sposób kompetentny pomimo doznanych urazów – mógł ze sobą nosić. Skąd pochodził? Dokąd zmierzał? Nie wyglądał na turystę, którego przyciągnął festiwal, wydawało się, że przyświeca mu jakiś poważniejszy cel.

Martin rzucił okiem na swój przegub i przypomniał sobie, że rano nigdzie nie mógł znaleźć zegarka. Przypuszczał, że Richard Moat go sobie pożyczył. Stale pożyczał od niego różne rzeczy, jakby przebywanie w czyimś domu automatycznie dawało mu prawo do korzystania z całego dobytku gospodarza. Gość Martina regularnie przywłaszczał sobie jego książki i koszule, a nawet jego iPoda („Jakiego ty szajsu słuchasz, Martinie?”). Udało mu się również znaleźć zapasowe kluczyki do samochodu Martina i najwyraźniej wyobrażał sobie, że może nim jeździć, kiedy mu się spodoba.

Zaginiony zegarek był prawdziwym rolexem oyster yacht-master. Martin kupił go, aby uczcić sprzedanie praw do druku swojej pierwszej książki. Była to spora ekstrawagancja, która wpędziła go w poczucie winy i sprawiła, że uznał za konieczne przekazać identyczną kwotę na cele dobroczynne, aby uspokoić sumienie. Jego pieniądze zasiliły konto fundacji wyposażającej ofiary min przeciwpiechotnych w sztuczne kończyny. Na jakichś niewyobrażalnych peryferiach tak zwanej cywilizacji koszt jego rolexa stanowił równowartość niemal stu rąk i nóg. Oczywiście gdyby go nie kupił, mógłby sfinansować dwieście takich protez, więc jego poczucie winy w istocie się podwoiło. Cena zegarka była żałośnie niska w porównaniu z kosztem domu w Merchiston. Za tę sumę zdołaliby prawdopodobnie wyposażyć w protezy wszystkich potrzebujących na świecie. Mimo to nie schował rolexa do szuflady, choć każdego dnia przypominał mu tamten *incydent* w Rosji. To była jego kara – nigdy nie zapomnieć.

Richard Moat najprawdopodobniej zakończył występ. Martin przypuszczał, że po spektaklu utknie w jakimś barze, gdzie

będzie pił i udzielał się towarzysko, nawiązując cenne kontakty. Nagrywany dla BBC show był jednorazowym wydarzeniem, przeglądem dokonań kilku komików. Zwykły występ Richarda zaczynał się o dziesiątej. „Komedia zawsze dzieje się nocą” – wyjaśnił Richard Martinowi, który uznał, że brzmi to dość zabawnie, i podzielił się tym spostrzeżeniem z Richardem. „Taaa” – odparł Richard tym swoim dziwnie lakonicznym tonem londyńczyka. Był specjalistą od gagów, lecz nie człowiekiem zabawnym z natury. W ciągu dwutygodniowej znajomości ani razu nie rozśmieszył Martina, przynajmniej nie celowo. Być może oszczędzał siły na ten występ o dziesiątej.

Dni chwały Richarda przypadły na lata osiemdziesiąte, okres, gdy łatwo było drwić z polityków. Po wykopaniu z rządu Thatcher gwiazda Richarda Moata zaczęła blednąć, choć nigdy nie zszedł za sceny na dość długo, by móc sobie pozwolić na triumfalny powrót. Występował to tu, to tam, udzielając się w alternatywnych teleturniejach, pełniąc rolę niezawodnego wypełniacza telewizyjnych programów rozrywkowych, a nawet imając się aktorstwa (z oplakany skutkiem).

Ogólnie rzecz biorąc, Martin wolał przeglądać stare, przeżarte zarazkami gazety w szpitalu, czekając na wieści o rannym nieznanym, niż udzielać się towarzysko w jakimś festiwalowym barze z Richardem Moatem.

Richard był kumplem jego znajomego. Kilka miesięcy wcześniej niespodziewanie zadzwonił, oznajmił, że dostał „fuchę na festiwalu”, i zapytał, czy w związku z tym nie mógłby przypadkiem wynająć u Martina pokoju. Ten przeklął w duchu wspólnego znajomego, że dał Richardowi jego numer. Odmawianie zawsze przychodziło mu z trudem. Kiedyś, parę lat wcześniej, gdy rozpaczliwie próbował dokończyć książkę stale niepokoiony przez rozmaitych ludzi pukających do jego drzwi, niezapowiedzianych gości, którzy „akurat wpadli na jeden dzień do Edynburga”, zaczął w końcu trzymać w przedpokoju płaszcz i pustą aktówkę, żeby na dźwięk dzwonka móc się szybko ubrać, chwycić teczkę i powiedzieć: „Och, bardzo mi przykro, właśnie wychodziłem”.

Działo się to na krótko po jego przeprowadzce do Edynburga

z Lake District, gdy próbował nawiązywać jakieś znajomości, pragnąc rozpocząć od nowa życie towarzyskie, już nie jako „pan Canning”, stary pierdoła, ale „Martin Canning. Jak się pan miewa? Ja? Och, jestem pisarzem. Powieści kryminalne. *Romans w górach*. Tak, jest na liście bestsellerów. Skąd czerpię pomysły? Sam nie wiem, zawsze miałem bogatą wyobraźnię, czułem potrzebę tworzenia. Wie pan, jak to jest”. Tymczasem zamiast prowadzić bogate życie towarzyskie, musiał się rzecz jasna użerać z całym mnóstwem nieproszonych gości, których następnie całymi miesiącami (w niektórych przypadkach latami) usiłował się pozbyć. Niemal wszyscy natręci zdawali się nie mieć nic lepszego do roboty, jak tylko odwiedzać Martina o różnych porach dnia i nocy. Szczególnie jeden – niejaki Bryan Legat – prześladował go w nieskończoność.

Bryan był nieudacznikiem po czterdziestce, z niewydanym rękopisem i głęboką urazą do wszystkich agentów literackich w Wielkiej Brytanii, z których żaden nie był się w stanie poznać na jego geniuszu. Martin miał okazję czytać niektóre z listów wysyłanych przez Bryana do wydawnictw w odpowiedzi na liczne pisma odmowne. Były to komunikaty w rodzaju: „Ty durna, durna, durna, arogancka angielska suko” i „Wiem, gdzie mieszkasz, ty prymitywny kutasie”. Ich obłąkańczy ton przerażał Martina. Bryan pokazał mu swój rękopis, swoje *magnum opus* zatytułowane *Ostatni kierowca autobusu*. „No cóż – wymamrotał uprzejmie Martin, zwracając tekst autorowi. – Z pewnością jest to *oryginalne*. I nie da się zaprzeczyć, że potrafisz pisać”. Mówiąc to, nie kłamał. Bryan *potrafił* pisać, potrafił wziąć do ręki wieczne pióro z turkusowym atramentem i pętłkowym pismem stawiać wielkie litery, bez ładu i składu rozrzucać czasowniki w zdaniach, w których każda kropka oraz wykrzyknik krzyczały: „Wariat!”. Niestety, Bryan znał jego adres, więc Martin wolał mu się nie narażać.

Gdy pewnego dnia rozległ się dzwonek do drzwi, Martin prędko narzucił płaszcz, wziął do ręki aktówkę i jednym szarpnięciem otworzył drzwi wejściowe, aby ujrzeć na progu pełnego nadziei Bryana.

– Bryan! – powitał go z beztroską, której nie odczuwał. – A to niespodzianka! Co za pech, właśnie wychodziłem.

– Dokąd się wybierasz?

– Na pociąg.

– W takim razie odprowadzę cię na stację – oznajmił radośnie Bryan.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

– To żaden kłopot, Martinie.

Koniec końców przejechali się razem do Newcastle pociągiem linii Great North Eastern Railway o jedenastej trzydzieści, relacji Edynburg – Londyn. W Newcastle Martin wybrał na chybił trafił biurowiec w centrum miasta, rzucił: „To tutaj”, po czym dał nura do windy. Wylądował na ósmym piętrze w firmie oferującej domy na współwłasność, gdzie z prawdziwą ulgą omówił warunki zakupu luksusowej posiadłości na Florydzie „sąsiadującej z polem golfowym oraz obiektami rekreacyjnymi”. Zabrał ze sobą niepodpisaną umowę – „do przejrzenia”. Po wyjściu wyrzucił ją do najbliższego kosza na śmieci.

Rzecz jasna, Bryan czekał na niego w lobby.

– Udane spotkanie? – zapytał przyjaźnie na widok Martina.

Wrócili więc razem do Edynburga pociągiem o czwartej trzydzieści i jakoś tak się złożyło, że Bryan wsiadł razem z nim do taksówki na dworcu Waverley. Martinowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby mu powiedzieć, poza krótkim: „Wypierdalaj z mojego życia, ty obłąkany świrze”. Poza tym zanim zapłacił taksówkarzowi, Bryan stał już pod jego drzwiami i proponował:

– Może nastawię czajnik? Chciałbym pogadać o swojej powieści. Zastanawiam się, czy nie przerobić wszystkiego na czas terażniejszy.

Rok później Bryan Legat runął z klifu Salisbury Crags. Nie było jasne, czy sam skoczył, czy może spadł (albo został zepchnięty). Na wieść o jego zgonie Martin poczuł zarówno ulgę, jak i wyrzuty sumienia. Należało jakoś pomóc człowiekowi, który niewątpliwie sam siebie oszukiwał. Tymczasem jedyne, co Martin był mu w stanie powiedzieć, to:

„Cóż za efektowne użycie dialektu”.

Przyparty do muru, miał więc również problem z odmówieniem Richardowi Moatowi. Na jego pytanie: „To ile chcesz?” Martin odparł: „Nie bądź niemądry, nie mógłbym przyjąć od ciebie pieniędzy”. W ramach podziękowania Richard podarował mu płytę DVD z zapisem swojej ostatniej trasy. W ciągu kilku dni pobytu kupił butelkę wina i większość wypił, a w ramach pomocy w obowiązkach domowych raz naładował zmywarę, usiłując zmienić ową przyziemną czynność w występ komediowy. Po jego wyjściu z kuchni Martin musiał poprzekładać wszystkie naczynia. Gość kupił także drogi stek i usmażył go sobie, opryskując całą kuchenkę tłuszczem; poza tym najwyraźniej stołował się na mieście.

Przed dwoma dniami z okazji premiery (na którą Martinowi udało się nie pójść) Richard zaprosił go na curry z „paroma osobami” z Londynu, które przyjechały na jego występ. Martin zaproponował restaurację Kalpna przy placu św. Patryka, ponieważ był wegetarianinem („Nie jadam właściwie niczego, co miało twarz”), lecz, nie wiedząc kiedy, wylądowali w knajpie dla zajadłych mięsożerców, którą jakieś inne „osoby” z Londynu poleciły wcześniej Richardowi. Gdy przyszło do płacenia rachunku, Martin zaskoczył sam siebie, ponieważ zaoferował, że go ureguluje. „Dzięki, Martinie, wielkie dzięki – rzucił jeden z londyńczyków – chociaż, no wiesz, mógłbym to sobie wrzucić w koszty”.

– Przeszkadza ci, kiedy ktoś pali u ciebie w domu? – spytał Richard dziesięć minut po swoim przyjeździe.

Martin poczuł się rozdarty między rolą ciepłego, gościnnego gospodarza a pragnieniem wyznania, że nie cierpi wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z papierosami.

– No cóż... – zaczął, lecz Richard mu przerwał:

– Paliłbym tylko w swoim pokoju, rzecz jasna, nie kazałbym ci wdychać tego plugawego rakotwórczego dymu.

Oczywiście każdego ranka, schodząc na dół do kuchni, Martin widział w salonie stertę niedopałków na spodeczku albo talerzu (raz nawet w wazie na zupę) podwędzonym z porcelanowego serwisu Wedgwooda, który kupił wkrótce po przeprowadzce.

Richard wracał późnym wieczorem i przed południem nie wystawiał nosa z pokoju, za co w zasadzie należała mu się wdzięczność. Natomiast po wstaniu z łóżka całymi godzinami wisiał na telefonie. Miał nowy bezprzewodowy wideofon, który Martin uprzejmie pochwalił („Tak, seksowna bestyjka, nie uważasz?” – zgodził się z nim Richard), choć w istocie uznał go za pękate cudactwo, które kojarzyło mu się z komunikatorami ze *Star Treka*. Jako dzwonek Richard ustawił sobie motyw przewodni z *Robin Hooda*, starego serialu telewizyjnego z lat pięćdziesiątych; dźwięk tej melodyjki, głupiej i brzękliwej, powoli doprowadzał Martina do szału. W ramach antidotum ściągnął sobie *Ptasią pieśń* i był przyjemnie zaskoczony, słysząc, jak naturalnie brzmi w jego telefonie ptasi świergot.

Rozglądając się po poczekalni oddziału ratunkowego, Martin dostrzegł na ścianie zegar; było wpół do drugiej. Miał wrażenie, że jest o wiele później – dzień rozszedł mu się w szwach, odkształcił pod ciężarem zaskakującej rzeczywistości.

Wcześniej w „The Scotsman” zobaczył zjadliwą recenzję występu Richarda Moata. Napisano w niej między innymi coś takiego: „Dowcipy Richarda Moata są ostatnio do bólu banalne. Serwuje widzom odgrzewany materiał sprzed dziesięciu lat. Świat poszedł naprzód, Richard Moat niestety nie”. Martin czuł się zażenowany, czytając te słowa. Nie mógł wspomnieć o recenzji Richardowi, gdyż wówczas obaj musieliby zmierzyć się z zawartą w niej gorzką prawdą, Martin zaś zebrał swego czasu wystarczająco dużo cięgow, żeby wiedzieć, jakie przygnębienie wywołują.

– Nigdy nie czytam recenzji swoich przedstawień – oznajmił mu markotnie Richard zaraz po premierze.

Martin mu nie uwierzył. Wszyscy czytali recenzje swoich dokonań. Od czasu ostatnich występów Richarda na festiwalu minęło parę lat i większość uczuć, jakie budził w nim niegdyś Edynburg (w początkach kariery odnosił tu spektakularne sukcesy), zmieniła się w antypatię. „Zrozumcie, to jest wspaniałe miasto – tłumaczył »człowiekowi z Londynu« podczas krwawej uczty w przyprawiającej o klaustrofobię, tłocznej hinduskiej restauracji – fantastycznie wygląda i tak

dalej, ale brak mu *libido*. Rzecz jasna, wszystkiemu winny jest Knox”. Martin nie cierpiał obcesowego, familiarnego tonu, jakim Richard wypowiedział nazwisko przywódcy szkockiej reformacji. Miał ochotę powiedzieć mu: „Knox może i był ponurym, sztywniackim, purytańskim draniem, ale był *naszym* ponurym, sztywniackim, purytańskim draniem, a nie twoim”.

– W rzeczy samej! – przyklasnął mu jego rozmówca.

Na nosie miał wąskie okulary w grubej czarnej oprawce i palił jeszcze więcej niż Richard. Martin, okularnik od czasu, gdy skończył osiem lat, nosił lekkie szkła bez oprawy, woląc ukrywać swoją wadę wzroku, niż się z nią afiszować.

– Brak mu *libido*. Dobrze powiedziane, Richardzie.

– Mężczyzna w czarnych oprawkach dźgnął powietrze papierosem dla podkreślenia swego entuzjazmu. – Toż to *cały* Edynburg.

Martin chciał bronić honoru swego rodzinnego miasta, lecz nie bardzo wiedział jak. To prawda, że Edynburgowi brakowało *libido*, ale kto by chciał mieszkać w mieście, które miało *libido*?

– Barcelona! – zawołał przez stół inny znajomy Richarda (byli głośni i więcej niż odrobinę pijani).

Na co mężczyzna w staromodnych, lecz stylowych oprawkach odszczeknął:

– Rio de Janeiro!

Zaczęli się licytować („Marsylia!”, „Nowy Jork!”), aż doszli do „Amsterdamu” i wywiązała się sprzeczka na temat tego, czy Amsterdam ma własne *libido*, czy jest raczej „miejscem opartej na wyzysku merkantylnej wymiany *libido* różnych osób”.

– Seks i kapitalizm – wtrącił bełkotliwie Richard. – Czym się od siebie różnią?

Martin czekał na puentę, najwyraźniej na próżno. Osobiście był zdania, że różnica jest ogromna, zaraz jednak przypomniał sobie, jak rozbierał się przed Iriną w tamtym okropnym pokoju hotelowym z widokiem na Nową i karaluchami umykającymi wzdłuż listew przypodłogowych. „Solidnie zbudowany. Liczy się komfort, a nie szybkość” – zażartował, kuląc się z zażenowania. „*Da?*” – zaśmiała się uprzejmie, najwyraźniej nie rozumiejąc ani słowa. Na samo wspomnienie tamtej chwili

Martin aż zgiął się wpół, jakby dostał cios niewidzialną pięścią.

– Dziewczyny – powiedział nagle jeden z nich – powinniśmy poszukać sobie potem jakichś dziewczyn.

Wzbudziło to przerażający entuzjazm.

– Taniec na burze. – Richard chichotał jak nastolatek.

– Och, wybacz, Martinie – rzucił nagle jeden z mężczyzn.

– Wybacz, że zachowujemy się jak niewyżyci heterocy.

– Myślicie, że jestem gejem? – zdziwił się Martin.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, jakby po raz pierwszy tego wieczoru powiedział coś interesującego.

– Nie ma w tym nic złego, Martinie – pouczył go Richard.

– Wszyscy są teraz gejami.

Martin gotów był polemizować z tak absurdalną tezą, ale właśnie się zorientował, że przeżuwa kawałek kurczaka z „wegetariańskiego biriani”. Wyjął go z ust tak dyskretnie, jak tylko się dało, i odłożył na krawędź talerza. Ostatni makabryczny szczątek jakiegoś nieszczęsnego, sponiewieranego ptaka faszerowanego hormonami, antybiotykami i wodą gdzieś za granicą. Zbierało mu się na płacz.

– Nie ma się czego wstydzić – dodał Richard Moat, waląc go w plecy – jesteś wśród przyjaciół.

Nie pytając, czy w ogóle ma ochotę się wybrać, Richard poinformował go, że zostawił mu w kasie bilet na pokazówkę dla BBC, lecz gdy Martin dotarł na miejsce, obojętna dziewczyna w okienku zwróciła się do równie obojętnej koleżanki: „Masz jakieś darmowe wejściówki na nazwisko Richard Moat?”, na co tamta zrobiła dziwną minę i zaczęła się rozglądać, podczas gdy pierwsza wbiła gniewny wzrok w ekran komputera.

Martin uświadomił sobie, że gapi się na plakat zapowiadający występ Richarda. Widniało na nim zbliżenie twarzy tamtego z dziwnym grymasem. Na pasku poniżej umieszczono tytuł: „Komediova viagra dla twojego umysłu”. Martin pomyślał, że brzmi to raczej odstręczająco niż zachęcająco.

Gdy stało się jasne, że żadna z dziewcząt niczego nie znalazła, Martin wskazał wiszącą w głębi na ścianie koślawą szafkę

z przegródkami, z których każda była opatrzona przyklejoną taśmą karteczką z nazwiskiem. W tej, którą opisano nazwiskiem Richarda Moata, tkwiła biała koperta. Druga obojętna dziewczyna odczytała nazwisko na kopercie. „Martin Canning?” – spytała podejrzliwie, po czym podała mu ją, nie czekając na potwierdzenie. Zajrzał do środka i na jednym z biletów znalazł nagryzmołoną informację: „Twój samochód stoi przed Macbet na Leith Walk. Pozdro, R”.

– Mogę od razu wejść? – zwrócił się do pierwszej dziewczyny.

Nie odrywając wzroku od ekranu komputera, odparła:

– Nie, musi pan stanąć w kolejce.

– Dziękuję – rzucił, zlekceważony i niewidoczny, po czym posłusznie stanął w kolejce.

A potem z hondy wysiadł facet z kijem bejsbolowym.

Jackson parł pod górę Królewskiej Mili, przedzierając się przez tłum przechodniów i handlarzy tandetnymi pamiątkami, aż wreszcie stanął pod zamkiem, wznoszącym się niczym twierdza katarska na szczycie skały wulkanicznej. Zapłacił za wstęp i przeszedł się po amfiteatrze, mijając górujące po obu stronach podesty wybudowane specjalnie na potrzeby festiwalu orkiestr wojskowych. „Ci zawsze mają zapewnioną stuprocentową frekwencję” – oznajmiła mu Julia z zawiścią w głosie. Bilety rozchodziły się podobno jak świeże bułeczki. Mimo to już kilka minut po ich przyjeździe do Edynburga udało jej się zdobyć darmowe wejściówki od kompletnie obcego faceta (podającego się za dudziarza, choć Jackson nigdzie nie dostrzegł żadnych dud). Usiłowała wcisnąć je Jacksonowi, lecz ten nie potrafił wyobrazić sobie nic gorszego od siedzenia przez dwie godziny po ciemku w wilgoci letniej nocy i bycia zmuszonym do oglądania żenującego spektaklu, niemającego nic wspólnego z wojskową rzeczywistością.

– Patrz na to nie jak na wojskową paradę, tylko jak na przedstawienie teatralne. Skomasowanie dud oraz bębnów – przekonywała go, czytając z podarowanej przez rzekomego dudziarza ulotki – połączone z pokazem wojskowej grupy kaskaderskiej motocyklistów. Tańce szkockich górali? Och, i popatrz tylko: „kozacka grupa taneczna”. Szykuje się niezła zabawa, nie sądzisz?

– Nie.

Jackson nie potrafił sobie wyobrazić, żeby przedstawienie Julii odniosło jakikolwiek sukces kasowy; nie wierzył, by ktokolwiek chciał zapłacić za oglądanie *W poszukiwaniu równika na Grenlandii*.

Zamek był surowym gmaszyskiem – z dołu szkocka baśń, w środku nieprzyjazne mury, wilgotne i przesiąknięte

zapachem śmierci. (Akurat ten zakątek Edynburga mógłby się spodobać jego ojcu). Mniej wytwór inżynierii, bardziej organicznego wzrostu – ciosany kamień trwale złączony z porowatym czarnym bazaltem wzgórza i własną krwawą historią. Zamiast pożyczyć przewodnik audio, Jackson kupił zwykły książkowy; nie cierpiał tych urządzeń, monotonnego głosu jakiejś kobiety (bo to zawsze była kobieta) bezmyślnie powtarzającej sztapkowe informacje. Kojarzyło mu się to ze słuchaniem wskazówek systemu nawigacji samochodowej („Jane”). Wypróbował kolejno pozostałe głosy, ale żaden mu nie odpowiadał: Francuzka była zbyt seksowna, Amerykanka nazbyt amerykańska, a jeśli chodzi o włoski, to nawet gdyby znał ten język, nigdy nie zaufałyby Włoszce mówiącej mu, jak ma jechać. Prędzej czy później zawsze wracał więc do umiarkowanej natarczywej Jane, kobiety uważającej, że ma zawsze rację. Przypominało to trochę podróżowanie samochodem z jego żoną. Jego była żoną.

Miał ze sobą aparat Julii i zrobił kilka ujęć widokowych z murów obronnych. Julia nigdy nie fotografowała krajobrazów, twierdząc, że zdjęcia mają sens o tyle, o ile są na nich ludzie, poprosił więc jednego z grupy japońskich turystów o sfotografowanie go przy armacie, z której codziennie z wyjątkiem kilku dni w roku punktualnie o godzinie pierwszej oddawano strzał. Japończycy najwyraźniej uznali jego pomysł za przezabawny i uparli się, żeby z nim pozować, po czym niby ławica ryb odpłynęli za swoim przewodnikiem.

Julia zawsze uśmiechała się szeroko do obiektywu, jakby to był najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Niektórzy tak mieli, w przeciwieństwie do innych. Sam Jackson robił zwykle na zdjęciach wrażenie ponuraka. Może nie tylko na zdjęciach? Julia powiedziała mu kiedyś, że ma „trochę groźny sposób bycia”, który to werdykt Jackson uznał za niepokojący. Do zdjęcia z Japończykami postarał się przybrać łagodniejszy wyraz twarzy. Na chwilę im pozazdrościł. Wyobraził sobie, jak miło jest być członkiem grupy. Większość ludzi miała go za samotnika, podejrzewał jednak, że najszczęśliwsze chwile spędził na służbie, najpierw w szeregach wojska, potem policji.

Indywidualizm był według niego przereklamowany.

Znalazł wolny stolik przed kawiarenką i zamówił herbatę oraz ciasto cytrynowe z makiem. Za sprawą ziarenek maku ciasto wyglądało, jakby było usiane jajami owadów, i Jackson zostawił je w większości nietknięte. Julia utrzymywała, że nie warto nigdzie wychodzić, jeżeli na koniec nie czekają na człowieka herbata z ciastem. Jackson znał wszystkie jej przekonania. Mógłby wziąć udział w jednym z tych teleturniejów dla par i wymienić wszystkie jej sympatie oraz antypatie. Ciekawe, czy ona znała go równie dobrze. Jeśli miał być szczery, to nie miał pojęcia.

Tradycyjny wystrzał z armaty poprzedził szmer podniecenia. Według legendy mieszkańcy Edynburga byli zbyt skąpi, żeby zapłacić za dwanaście wystrzałów armatnich w południe, więc przystali na godzinę pierwszą. Jackson zastanawiał się, ile w tym prawdy. Czy przysłowiowe skąpstwo Szkotów miało swoje realne uzasadnienie? Sam był w połowie Szkotem (choć tego nie czuł) i wolał myśleć, że był hojny, nawet gdy brakowało mu pieniędzy. Teraz, gdy je miał, starał się rozdawać majątek na prawo i lewo: brylantowe kolczyki dla Julii, stado krów dla wioski gdzieś w Afryce. W dzisiejszych czasach uprawianie dobroczynności w internecie przypominało buszowanie po wirtualnych półkach Tesco i było równie łatwe – wystarczyło dodać kozy i kury do „koszyka”, jakby były torebkami cukru albo puszkami z fasolką.

Jackson zdawał sobie sprawę, że odkąd odziedziczył majątek, niestrudzenie szuka sposobów odciążenia swojego sumienia. Odzywał się tkwiący w nim purytanin i szeptał mu do ucha, że nic, co nie zostało okupione cierpieniem, nie jest wiele warte. To właśnie podziwiał u Julii: była zdeklarowaną i skończoną hedonistką. I nie w tym rzecz, że za mało w swoim życiu wycierpiała, bo cierpiała bardziej niż Jackson. Oboje mieli siostry, które zostały zamordowane, oboje wychowywali się bez matki, a starszy brat Jacksona i najstarsza siostra Julii odebrali sobie życie. Istna czarna seria. Coś, czym raczej nie należy się chwalić, bo odkrywanie tego rozmiaru zniszczeń przed obcymi nie jest najlepszym pomysłem. Zaletą Julii było to, że jej

rodzina była jeszcze bardziej popieprzona niż jego. Stanowili parę dziwnie osieroconych ludzi.

Ramię w ramię stali w kostnicy policyjnej, spoglądając na kruche, jakby ptasie kosteczki Olivii, zaginionej przed laty siostry Julii. Takie przeżycia kładą się długim cieniem na duszy i Jackson obawiał się, że to właśnie wspólne doświadczenie straty uczyniło z nich przyjaciół od serca. Przypuszczał, że to może być niezdrowe – czy jednak smutek, który tkwił w każdym z nich na podobieństwo drzazgi, nie połączył ich mocniej niż wspólna miłość do kuchni tajskiej albo inne rzeczy, na których opiera się życie wielu par?

– Para? – spytała z zadumą Julia, gdy podzielił się z nią podobnym wnioskiem. – Tak o nas myślisz?

– A ty nie? – odparł nagle zaniepokojony.

Roześmiała się i powiedziała:

– Oczywiście, że tak – odrzucając głowę w taki sposób, że jej niesforne loki zadrgały jak sprężynki.

Dobrze znał ten gest, obserwował go zawsze wtedy, gdy Julia coś przed kimś odgrywała.

– Nie uważasz nas za parę?

– Myślę o nas jak o tobie i o mnie – stwierdziła Julia – dwojgu ludziach, a nie jednym bycie.

Jedną z cech Julii, które mu się podobały, była jej niezależność; jedną z cech, które mu się nie podobały, była jej niezależność. W Londynie miała własne życie; Jackson odwiedzał ją tam, a ona przyjeżdżała do jego domu w Pirenejach. Rozpalali wtedy porządny ogień w wielkich, kamiennych kominkach, pili dużo wina i dużo się kochali, rozmawiali też o tym, że warto byłoby sprawić sobie pirenejskiego psa górskiego (raczej Julia o tym mówiła). Czasami jeździli razem do Paryża, bo bardzo lubili to miasto, lecz potem ona zawsze wracała do Londynu. „Traktujesz naszą znajomość jak wakacyjny romans” – narzekał Jackson, na co Julia odpowiadała: „I to jest właśnie cudowne, nie sądzisz?”.

Z okazji kwietniowych urodzin Julii Jackson zabrał ją do Wenecji, do hotelu Cipriani, choć, jak oboje się przekonali, tydzień spędzony w jednym z tych miejsc był przydługi, a co

dopiero w obu naraz. Julia stwierdziła, że to tak, jakby znaleźć najlepsze ciastko na świecie i żywić się wyłącznie nim: „Człowieka zaczyna mdlić na sam widok tego, czego najbardziej pragnął”. Jackson zastanawiał się, czy to przypadkiem nie cytat z jakiejś sztuki; często coś cytowała, a on rzadko się orientował, o jakie dzieło chodzi.

– Zacznijmy od tego, że nie lubię słodczy – odrzekł, nieco naburmuszony.

– Całe szczęście, że w rzeczywistości życie nie jest pudełkiem czekoladek, prawda? – rzuciła.

To akurat załapał. Nie cierpiał tego filmu. Siedzieli w tramwaju wodnym sunącym w górę Canal Grande i Jackson pstryknął Julii fotkę akurat wtedy, gdy przepływali obok bazyliki Santa Maria della Salute. Wszędzie człowiek czuł się tutaj jak na planie filmowym. Coś w sam raz dla Julii.

W dniu urodzin Julii Jackson zaprosił ją na wieczorną przejażdżkę gondolą – pomyśl, na który w tym samym czasie wpadli chyba wszyscy turyści w Wenecji. „Jak myślisz, chyba nie będzie śpiewał?” – szepnęła mu do ucha Julia, gdy mościli się na obitych czerwonym aksamitem siedzeniach. „Mam nadzieję, że nie – odparł Jackson. – Za to chyba płaci się dodatkowo”. Gondolier w podkoszulku w prążki i słomkowym kapeluszu wyglądał jak koszmarne ucieleśnienie wyobrażeń przeciętnego turysty i skojarzył się Jacksonowi z płaskodennymi łodziami na rzece w Cambridge. Cambridge było miejscem, w którym mieszkał w swoim „poprzednim życiu”, w którym dorastała Julia i obecnie wychowywała się jego własna córka. Wcześniej nigdy nie myślał o Cambridge jak o domu; domem było dla niego (o dziwo) wojsko albo ponure miejsce, w którym spędził dzieciństwo. W jego wspomnieniach wiecznie tam lało i niewykluczone, że tak w istocie było. Z przekłętej perspektywy czasu dostrzegał, że Cambridge mogło być dla niego prawdziwym domem – bezpieczną przystanią, w której mógł zamieszkać z żoną i dzieckiem. Innego rodzaju instytucją. Przed i po – tak teraz dzielił swoje życie. Przed spadkiem i po spadku.

Gondolier nie śpiewał, przejażdżka natomiast nie okazała się

aż taka banalna. Nocą Wenecja prezentowała się jeszcze bardziej olśniewająco: latarnie odbijały się migotliwie w czarnej wodzie niczym miękkie klejnoty, za każdym zakrętem kryło się coś zaskakującego i pięknego, czym można się było zachwycić. Jackson czuł, jak dusza wzbiera mu poezją, dopóki Julia nie syknęła mu do ucha: „Chyba mi się nie oświadczysz, co?”. Podobna myśl nie powstała mu dotąd w głowie, lecz słysząc ją z ust Julii – wypowiedzianą tym samym tonem, jakim wcześniej wyraziła swoje obawy w związku ze śpiewającym gondolierem – poczuł irytację. Czemu nie miałby się jej oświadczyć, czy to taki okropny pomysł? Wiedział, że nie są to okoliczności, w jakich należałoby wszczynać kłótnię (Wenecja, urodziny, gondola i tak dalej), ale nie mógł się powstrzymać.

– Czyli nie wyszłabyś za mnie, gdybym ci się oświadczył?
– zapytał obronnym tonem.

– Czy to mają być oświadczyzny, Jacksonie?

– Nie. Pytam tylko, czy w takim przypadku byś mi odmówiła.

– Oczywiście, że tak.

Trafili właśnie na coś w rodzaju korka na kanale i przeciskali się obok wielkiej gondoli po brzegi wyładowanej Amerykanami.

– Bądźże rozsądny. Żadne z nas nie nadaje się do małżeństwa.

– Ja się nadaję – oznajmił Jackson – a ty nigdy nie byłaś mężatką, więc skąd możesz wiedzieć?

– Co za bałamutny argument – stwierdziła Julia, odwracając twarz i teatralnie udając, że zagląda w okna jakiegoś *palazzo*.

Gondola zakołysała się, gdy gondolierowi udało się wreszcie wyminąć Amerykanów.

– *Jak* w takim razie wyobrażasz sobie naszą wspólną przyszłość? – nie ustępował. Dobrze wiedział, że nie powinien tego drażnić. – Mamy się widywać raz na jakiś czas, kiedy przyjdzie ci na to ochota, pieprzyć się do upadłego, aż po kilku latach się mną znudzisz i wtedy wszystko się skończy? Tak to ma wyglądać? Na litość boską, Julio – dodał sarkastycznie – nigdy z nikim tak długo nie byłaś. Ile wynosił twój dotychczasowy rekord? Tydzień?

– Ojejku, ty naprawdę poważnie się nad tym zastanawiałeś,

prawda?

– Jasne, że się zastanawiałem. Chryste, a ty nie?

– Najwyraźniej nie aż tak chorobliwie drobiazgowo – odparła łagodnie Julia. – Naprawdę uważasz, skarbie, że dzięki małżeństwu nie znudzimy się sobą?

– Nie, ale nie o to chodzi.

– Właśnie że o to. Przestań już, Jacksonie, nie bądź takim zrzedą, bo zepsujesz uroczy wieczór.

Wieczór był już jednak najwyraźniej zepsuty.

Jackson wcale nie był pewien, czy naprawdę chciałby poślubić Julię, lecz jej zdecydowany opór w tej kwestii zwyczajnie wytrącił go z równowagi. Wiedział, że nie zdoła wrócić do tego tematu bez wywołania przy tym karczemnej awantury, co w zaskakujący sposób go rozjątrzyło.

Armata zahuczała nad miastem, turyści obowiązkowo wzdrygnęli się i wybuchnęli śmiechem. Zdawało się to mieć więcej wspólnego z teatrem niż z odmierzaniem czasu, zwykła szopka dla Japońców i jankesów. Na pewno nie miało to nic wspólnego z ostrzałem armatnim. Prawdziwa artyleria huczała i dudniła tajemniczo gdzieś w oddali albo strzelała tuż obok tak głośno, aż pękały bębni.

Jackson zajrzał do gmachu w samym sercu zamku, upamiętniającego Szkotów poległych w kolejnych wojnach. Zdumiał się, jak pięknie jest w środku – od Julii wiedział, że wewnątrz urządzono w stylu ruchu Arts and Crafts. Nazwiska poległych, tak wielu poległych, wypisano w wielkich czerwonych księgach. Wiedział, że gdzieś wśród nich jest jego trzech stryjecznych dziadków (trzech braci – Boże, ulituj się nad ich matką), ale nie próbował ich szukać. Były tu nazwiska Szkotów z całego świata, którzy budowali Imperium Brytyjskie, a następnie za nie ginęli. Jego własny ojciec nie walczył w drugiej wojnie światowej, ponieważ górnik był zawodem chronionym. „Jakby to był lekki kawałek chleba – szydził – robić na dwie zmiany w bebeczach ziemi”. Jackson odszedł ze szkoły jako szesnastolatek. Chciał się najać do pracy w kopalni, lecz ojciec stwierdził, że nie po to przez całe życie harował „w tej piekielnej dziurze”, żeby jego syn musiał robić

to samo. Jackson zaciągnął się więc do wojska, do regimentu Yorkshire, gdyż to Yorkshire było mu domem, a nie to miejsce z szarego kamienia, po którym hulał wiatr. Jego brat Francis pracował w kopalni jako spawacz i ojciec nie zrobił nic, by temu zapobiec. Lecz Francis nie żył już, gdy Jackson kończył szesnaście lat, i tym samym Jackson był jedynym z trojga dzieci, jakie ojcu pozostało. Jak przypuszczał, czyniło go to w pewnym sensie bezcennym – choć ten stary drań nigdy nie dał mu tego odczuć.

Stosunkowo niewielkie wrażenie zrobiły na nim nieprzeliczone zastępy zmarłych (śmierć była tak powszechnym zjawiskiem) – te wszystkie tablice upamiętniające poległych w boju, kobiety i marynarzy floty handlowej. Nawet fragment wiersza Binyona: *O zmierzchu zachodzącego słońca i o poranku zawsze będziemy o nich pamiętać*³, upamiętniający kobiety ze służby pomocniczej, nie poruszył go tak jak zwykle; emocje wywołało w nim dopiero coś całkiem innego – niewielka płaskorzeźba w kamieniu znajdująca się na wysokości kolan, przedstawiająca klatkę z kanarkami i stadko myszy. „Towarzysze broni z kompanii podkopowych” – głosił napis. Jackson zamrugał, żeby powstrzymać łzy, odkaszlnął i trochę po męsku pochrząkał, żeby ukryć wzruszenie. Gdyby była z nim Julia, padłaby teraz na kolana i pogłaskała kamień, jakby to było żywe zwierzę. Zapewne także wycalowałyby płaskorzeźbę. Może przyprowadzi ją tutaj po premierze. To by jej się spodobało.

Wyszedłszy na zewnątrz, stanął po przeciwnej stronie dziedzińca i sfotografował gmach muzeum, dobrze wiedząc, że gdy pokaże go Julii, będzie wyglądał jak każdy inny budynek.

Aparat był jego ostatnim gwiazdkowym prezentem dla Julii – ładny, masywny cyfrowy Canon, który spodobał mu się jako sprzęt fotograficzny. Ich zdjęcia z Wenecji wciąż były na karcie pamięci i popijając herbatę w zamkowej kawiarni, Jackson przeglądał kolorowe obrazki przypominające miniaturowe malowidła. Przez cały tydzień ich pobytu we Włoszech niebo było doskonale błękitne, więc na małym wyświetlaczu

3 Laurence Binyon, Oda do pamięci, przekład Maryli Ossowskiej.

fotografie wyglądały jak malutkie pejzaże Canaletta z doklejonymi sylwetkami Jacksona i Julii. Tylko na dwóch zdjęciach byli razem – jedno zrobił im na moście Rialto życzliwy niemiecki turysta, drugie zrobili sobie sami za pomocą samowyzwalacza – siedzieli na małżeńskim łóżu w hotelu Cipriani i wznosili toast szampanem tuż przed tamtą przejażdżką gondolą.

Julia była bardzo fotogeniczna, za każdym razem rozciągała umalowane usta w szerokim, promiennym uśmiechu. Pięknie się uśmiechała. Jackson westchnął, zapłacił za herbatę oraz ciasto, zostawił na stoliku sowity napiwek i opuścił zamek.

Tłum spływał w dół Królewskiej Mili niczym lawa, która niegdyś wyrzeźbiła ten krajobraz z ognia, omijając po drodze kolejne przeszkody: pomnik Davida Hume’a, ulicznego mima, dudziarza, kilka studenckich zespołów teatralnych, ludzi rozdających ulotki (całe mnóstwo), innego dudziarza, połykacza ognia, zonglera pochodniami, kobietę przebraną za Marię Królową Szkotów, mężczyznę w stroju Sherlocka Holmesa i jeszcze jednego dudziarza. Miasto niewątpliwie było *en fête*. Aż dziw brał, że gdzieś – w jakimś odległym kraju, o którym nikt tutaj nie słyszał – trwała właśnie wojna. Choć z drugiej strony, gdzieś zawsze trwała wojna. Wojna była dla ludzkości stanem naturalnym. Swego czasu właśnie dzięki wojnie Jackson był najedzony, miał się w co ubrać i zarabiał pieniądze, więc może akurat on nie powinien na nią narzekać. (Ale ktoś z pewnością powinien).

Zszedł do pałacu Holyrood, kupił torebkę frytek i wrócił pod górę wzdłuż Królewskiej Mili. Kolejny dzień, w którym nic się nie dzieje, pomyślał. Upomniął się w duchu, że to przecież dobrze. Jak brzmiało to chińskie przekleństwo? „Obyś żył w ciekawych czasach”. Mimo wszystko mogłoby być choć *odrobinę* ciekawiej – czy naprawdę prosił o zbyt wiele? Przypomniął sobie kołesia z hondy i kierowcę peugeot; dla nich obu z pewnością był to ciekawy dzień. Poczul wyrzuty sumienia na myśl, że nie zachował się jak przykładowy obywatel i nie zgłosił policji numeru rejestracyjnego hondy. Wciąż potrafiłby go wyrecytować – zawsze miał dobrą pamięć do

liczb, choć ani krzty polotu, jeśli chodzi o matematykę; była to jedna z wielu zdumiewających jego anomalii umysłu.

Musiał wyglądać na miejscowego, bo ktoś, Szwed albo Norweg, zagadnął go o drogę. Jackson odparł: „Pan wybaczy, ale jestem tu obcy”. To chyba nie było najwłaściwsze słowo? „Obcy”. Mówiło się raczej: „przyjezdny”. „Obcy” sugerowało intruza, zagrożenie.

– Turysta – dodał tonem wyjaśnienia. – Też jestem turystą.

Gloria otworzyła drzwi frontowe i stanęła twarzą w twarz z kolejną parą policjantek. Wyglądały podobnie jak te, które wcześniej spotkała, jakby wszystkie pochodziły z jednego kompletu.

– Pani Hatter? – odezwała się jedna, automatycznie przybierając stosowny wyraz twarzy, towarzyszący zwykle przekazywaniu złych wiadomości. – Pani Gloria Hatter?

Graham nie był, jak sądziła Gloria, na naradzie kryzysowej ze swoimi księgowymi przy Charlotte Square. Znalazł się na oddziale ratunkowym nowego Szpitala Królewskiego, doznawszy zawału serca w pokoju hotelu Apex, gdzie przebywał w towarzystwie kogoś podającego się za Jojo. Według Glorii Jojo było imieniem dobrym dla klauna, choć w istocie jego właścicielka okazała się dziewczyną do towarzystwa, czyli po prostu dziwką.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu – westchnęła Gloria.

Policjantki („posterunkowa Clare Deponio, posterunkowa Gemma Nash”) wyglądały jak dwie nastolatki, które wypożyczyły mundury policyjne na bal przebierańców. „Telefon w zupełności by wystarczył” – zapewniła je Gloria. Zrobiła im herbaty i usiadły razem z nią na krytej brzoskwiowym adamaszkim sofie w salonie w całości utrzymanym w tonacji brzoskwiowej, sztywno trzymając na kolanach porcelanowe spodeczki oraz filiżanki z serwisu Royal Doulton i uprzejmie skubiąc upieczone przez Głorię kruche ciasteczka. Była pewna, że dziewczęta mają ciekawsze zajęcia, mimo to zdawały się być jej wdzięczne za tę chwilę relaksu. „To miła odmiana” – zauważyła jedna (Clare). Gemma dodała, że mają teraz pełne ręce roboty z powodu wybuchu letniej epidemii grypy, która przetrzebiła szeregi metropolitalnej policji „jak dzuma”.

– Ma pani ładny dom – powiedziała z podziwem Clare.

Gloria rozejrzała się po brzoskwiniowym salonie, próbując zobaczyć go cudzymi oczami. Ciekawe, za czym najbardziej by tęskniła, gdyby jej to wszystko odebrano? Za ceramiką Moorcrofta? Chińskimi dywanami? Bibelotami ze Staffordshire? Była bardzo przywiązana do swojej kolekcji porcelanowych figurek ze Staffordshire. Nie brakowałoby jej natomiast obrazu znad kominka, dziewiętnastowiecznego bohomazu w typie osaczony jelen, przedstawiającego przerażone zwierzę zaszczute przez stado oszalałych ogarów – prezent od Murdo Millera na sześćdziesiąte urodziny Grahama. I na pewno nie tęskniłaby za tą paskudną nagrodą dla Szkockiego Przedsiębiorcy Roku, zajmującą honorowe miejsce na gzymsie kominka. Tuż obok niej stało zdjęcie Grahama i Glorii zrobione w dniu ślubu – jak się później okazało, jedyna pamiątka tej uroczystości. Gloria nie miała wątpliwości, że gdyby wybuchł pożar i Graham musiał szybko zdecydować, czy ratować ślubną fotografię, czy nagrodę dla Szkockiego Przedsiębiorcy Roku, wybrałby nieciekawą statuetkę z żywicy. Prawdę mówiąc, była też całkiem pewna, że gdyby wybór dotyczył ratowania z pożaru statuetki albo jej samej, z kretesem przegrałaby tę rywalizację.

Policjantka o imieniu Clare wzięła do ręki ich ślubną fotografię. „To pani mąż?” – zapytała, współczująco pochylając głowę, jakby Graham był już spisany na straty. Gloria zastanawiała się, czy to nie dziwne, że popija herbatę z delikatnej filiżanki od Doultona, zamiast jak przykładna żona pędzić na złamanie karku do szpitala. Najwyraźniej niedający o sobie zapomnieć fakt istnienia Jojo skutecznie osłabił jej zapał, kładąc się cieniem na cudownej perspektywie rychłego zejścia Grahama.

Gloria wyjęła zdjęcie z rąk Clare i przyjrzała mu się krytycznie. „Trzydzieści dziewięć lat temu” – powiedziała. Gemma na to: „Powinna pani dostać medal”, a Clare: „Chryste, to strasznie długo, pani wybaczy szczerłość. Szkoda – dodała – że tak to się skończyło. Niefajnie dla pani. Mam na myśli to, jak go znaleźli, i w ogóle”.

– Wszyscy faceci to ciule – mruknęła Gemma, ta bardziej pospolita.

Ciężka srebrna ramka nie mogła ukryć faktu, że zdjęcia nie robił profesjonalista. Odbitka z czasem żółkła i wyglądała jak fotka pstryknięta przez niewprawnego krewnego (którą zresztą była). Głorię zdumiewała bierność rodziców ich obojga, w wyniku której dzień jej ślubu z Grahamem nie został odpowiednio udokumentowany.

Żałowała, że nie wzięła ślubu kościelnego z wszelkimi atrakcjami, bo teraz miałyby przynajmniej wielki, oprawny w białą skórę album pełen zdjęć, które mogłyby oglądać; zdjęć będących dowodem na to, że miała kiedyś rodzinę, której zależało na niej bardziej, niż przypuszczała. Poza tym w albumie wszyscy wyglądaliby lepiej niż w rzeczywistości, a w centrum tego wszystkiego byłaby sama Gloria, promieniejąca i szczupła, nieświadoma, że ziemia właśnie usuwa jej się spod nóg. Zaskoczyło ją, że Graham znalazł się w Apeksie; to hotel nie w jego stylu.

Zamiast białego ślubu miała ślub brązowy. Graham włożył nowiutki garnitur w kolorze, który za szczenięcych lat Glorii niefrasobliwie nazywano „murzyńskim brązem”, ona zaś miała na sobie kupione w sklepie z odzieżą używaną przy Grassmarket futro w stylu z lat czterdziestych, z kanadyjskich bobrów. Uszyto je w czasach, gdy ludzie nie zastanawiali się jeszcze, czy noszenie futer jest etyczne. Choć teraz nie chciałaby czuć na skórze dotyku żadnego zwierzęcia, pocieszała się, że bobry i tak były martwe, gdy je kupiła, a wcześniej wiodły szczęśliwy, nieskomplikowany żywot w przedwojennej Kanadzie.

Gdyby miała taki oprawny w białą skórę album, jej matka, ojciec oraz starsza siostra zyskaliby na jego kartach nieśmiertelność. Podobnie jak Jill, rzecz jasna, „pierwsza, która kopnęła w kalendarz”. Zjawiała się na ich weselu z tabunem szkolnych koleżanek Glorii i piła do białego rana, długo po tym, jak wszyscy pokładli się spać. Na zdjęciach zabrakłoby tylko brata Glorii, Jonathana, który zmarł jako osiemnastolatek. Gloria miała wtedy zaledwie czternaście lat i w swoim

dziecięcym rozumku wykombinowała, że pewnego dnia brat do nich wróci. Później, gdy dorosła i zrozumiała, że to nigdy nie nastąpi, tęskniła za nim bardziej niż wtedy, kiedy umarł.

Patrząc, jak młode policjantki wsiadają do wozu patrolowego, Gloria rozmyślała o Grahamie w pokoju hotelowym, leżącym na podwójnym łóżku z fornirowanym wezgłowiec, przerzucającym kanały w telewizorze, zjadającym stek z frytkami oraz żalonym przybraniem z sałaty – do tego pół butelki czerwonego wina – i czekającym na kobietę, która przyjdzie, by odbyć z nim płatny seks. Ile razy zdradzał ją w tak plugawym stylu, podczas gdy ona siedziała sama w domu, za jedyne towarzystwo mając panoramiczny telewizor Bang & Olufsen Avant? I czy w pewnym sensie, tak w głębi duszy, tego nie podejrzewała? Niewinność nie może być usprawiedliwieniem niewiedzy.

W tej samej chwili spojrzała w dół i spostrzegła, że ma na sobie bezkształtny kaszmirowy kardigan w kolorze wielbłądzim z Jennersa. Zapięty na mosiężne guziki możliwe do opisanie tylko jednym słowem: nudne. Dotarło do niej, że ubiera się tak, jak robiłaby to jej matka, gdyby ją było na to stać. Stateczny kaszmir zdawał się potwierdzać coś, co Gloria podejrzewała od pewnego czasu, a mianowicie że w jej przypadku po młodości nastąpił od razu podeszły wiek, że – nie wiedzieć czemu – ominęły ją wszystkie dobre lata między jednym a drugim.

Nie było to dla niej nowe uczucie. Gloria często miała wrażenie, że jej życie przypomina amfiladę pokoi opuszczonych przez wszystkich poza nią. Wojna skończyła się rok przed jej urodzeniem, mimo to kładła się mrocznym cieniem na życiu ich rodziny. Ojciec walczył „z Montym” – jakby szli do boju ramię w ramię – podczas gdy matka służyła na froncie domowym, heroicznie hodując warzywa i kury. Gloria dorastała w poczuciu, że ominęło ją coś doniosłego, co się nigdy nie powtórzy (i miała rację), że jej życie będzie w związku z tym uboższe. Podobnie odbierała lata sześćdziesiąte. Jej osobowość kształtowała się w okresie między dwiema rewolucyjnymi epokami, w czasie niezawłaszczonym przez nikogo. Zanim lata sześćdziesiąte na dobre się rozkręciły,

Gloria była mężatką i sporządzała listy zakupów na „suchościernalnych tabliczkach”.

Gdyby mogła cofnąć czas, nie zsunęłaby się z tamtego barowego stołka w pubie przy moście Jerzego IV i nie poszła za Grahamem. Zamiast tego skończyłaby studia, przeprowadziła się do Londynu, nosiła wysokie obcasy i krótkie kostiumiki (oczywiście zachowałaby dobrą figurę). W weekendy piłaaby na umór i uprawiała seks z wieloma różnymi mężczyznami, których imion nie byłaby w stanie spamiętać, o twarzach nie wspominając. Spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że internetowa aukcja dobiegła końca. Była ciekawa, czy przelicytowano jej ofertę zakupu porcelanowych chartów. Jakie to podobne do Grahama – pokrzyżować jej plany nawet wtedy, gdy był jedną nogą w grobie.

W drodze do nowego szpitala na przedmieściach zwanych małą Francją Gloria ćwiczyła w myślach rozmowę, jaką zamierzała odbyć z Grahamem. Choć Gemma i Clare uprzedziły ją, że jest nieprzytomny, w zasadzie nie docierało do niej, jak mogłoby mu to w czymkolwiek przeszkodzić. Graham stale *mówił*, to właśnie czyniło go Grahamem, gdy więc ujrzała go na oddziale ratunkowym podłączonego do wielu migoczących i popiskujących monitorów, mimo wszystko spodziewała się, że lada moment otworzy oczy i powie coś w swoim stylu („Glorio, nie spieszyłaś się, do cholery”). Jego kompletna bierność była tym bardziej intrygująca.

Lekarz dyżurny wyjaśnił jej, że serce Grahama doznało przeciążenia i się zatrzymało. Jego organizm przez dłuższy czas pozostawał niesprawny, czego wynikiem był obecny stan zawieszenia czynności życiowych, z którego Graham mógł wyjść albo nie.

– Szacuje się – mówił lekarz – że mniej więcej jeden na stu mężczyzn umiera podczas stosunku seksualnego. Puls mężczyzny kochającego się z żoną wynosi dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę, przy kochance wzrasta do stu sześćdziesięciu.

– A przy dziewczynie do towarzystwa? – spytała Gloria.

– Domyślam się, że bije wtedy wszelkie rekordy – odparł

wesoło lekarz. – Oczywiście reanimacja przebiegłaby sprawniej, gdyby nie był związany.

– Związany?

– Dziewczyna, z którą był, usiłowała go reanimować. Wydaje się dość zaradna.

– Był związany?

Okazało się, że zaradna dziewczyna do towarzystwa posługująca się godnym klauna pseudonimem Jojo wciąż sterczy w poczekalni. W rzeczywistości miała na imię Tatiana.

– A ja Gloria – przedstawiła się Gloria.

– Witaj, Glorio – odparła Tatiana; głębokie „l” sprawiło, że powitanie zabrzmiało nieco złowieszczo, jakby dziewczyna była czarnym charakterem z filmów o Jamesie Bondzie.

– Jestem jego żoną – dodała Gloria gwoli wyjaśnienia.

– Wiem. Graham o tobie mówi.

Gloria była ciekawa, w którym momencie transakcji dokonującej się między Grahamem a dziewczyną do towarzystwa mogło paść jej imię. Przed transakcją, po niej, czy może w trakcie?

– Nie w trakcie – uspokoiła ją Tatiana. – W trakcie on nie może mówić.

W odpowiedzi na nieme pytanie Glorii uniosła w górę wyraziste brwi.

– Knebel – wyjaśniła w końcu.

– Knebel? – wymamrotała Gloria przy kawie i cięcie z owocami w szpitalnej kafejce. Po raz pierwszy była w nowym Szpitalu Królewskim i czuła się trochę zdezorientowana faktem, że przypomina on zwykle centrum handlowe.

– Żeby nie wrzeszczał – stwierdziła rzeczowo Tatiana, odwijając bibułkę z *pain aux raisins* i delikatnie nagryzając ciastko w sposób, który skojarzył się Glorii z wiewiórkami w jej ogrodzie. Zmarszczyła brwi, usiłując wyobrazić sobie kogoś przywiązanego do hotelowego łóżka w Apeksie. To chyba nie było możliwe (brak słupków).

– I co o mnie mówi? – zapytała. – Kiedy już może mówić.

Tatiana wzruszyła ramionami.

– To i owo.

– Skąd jesteś? – spytała ją Gloria.

– Z Tollcross – odparła Tatiana.

– Miałam na myśli, skąd pochodzisz – wyjaśniła Gloria.

Tamta spojrzała na nią tymi zielonymi kocimi oczami i odparła:

– Z Rosji. Jestem Rosjanką.

Przez chwilę Gloria miała wizję bezkresnych obszarów porośniętych smukłymi brzoźami i zadymionych wewnątrz egzotycznych kawiarni, choć, jak przypuszczała, dziewczyna mieszkała prawdopodobnie w betonowym bloku na jakimś potwornie przygnębiającym przedmieściu.

Tatiana miała na sobie dżinsy oraz podkoszulek bez rękawów i z pewnością nie było to jej robocze ubranie.

– Nie – potwierdziła – tutaj mam kostium.

Pokazała Glorii zawartość dużej torby, którą postawiła obok siebie. Gloria kątem oka dostrzegła sprzączki, skórę i gorset, który na krótką surrealistyczną chwilę przywołał wspomnienie cielistego ortopedycznego gorsetu jej matki.

– Lubi być uległy. – Tatiana ziewnęła. – Ważniacy, wszyscy tacy sami. Graham i jego kumple. *Idioty*.

Jego *kumple*? Wielkie nieba. Gloria pomyślała o mężu Pam, Murdo. Pomyślała też o Pam, sunącej przez miasto nowiutkim audi 8, udającej się do klubu brydżowego, klubu fitness albo do Plaisir du Chocolat na popołudniową herbatkę, podczas gdy Murdo wyczyniał – co takiego właściwie? Gloria wołała się nie domyślać.

Westchnęła. Czy właśnie tego pragnął Graham? Nie strojów z Windsmoore'a czy Country Casuals, nie nudnych mosiężnych guzików, ale kobiety dość młodej, by być jego córką, która pętała go jak indyka? Dziwne, że to, czego nigdy byśmy się nie spodziewali, w rzeczywistości może nie być żadną niespodzianką.

Zauważyła, że Tatiana ma w uszach malutkie złote krzyżyki. Czy była religijna? Czy teraz, gdy Rosjanie nie byli już komunistami, stali się nagle wierzący? Oczywiście nie mogła o to spytać, to byłoby nie do pomyślenia. Nie w Wielkiej Brytanii. Na urlopie na Mauritiusie kierowca wiozący ich

z lotniska do hotelu zagadnął Głorię: „Pani się modli?” – ot tak, po prostu, pięć minut po tym, jak podjechał i załadował do bagażnika ich walizki. „Czasami” – odparła, co nie było całkiem zgodne z prawdą, wyczuła jednak, że tamten byłby rozczarowany, wiedząc, jaka z niej bezbożnica.

Gloria nie pojmowała, czemu ktoś miałby nosić narzędzie tortur i zbrodni jako ozdobę. Równie dobrze można by zakładać pętlę albo gilotynę. Dobrze przynajmniej, że kolczyki Tatiany były gładkie i nie prężyło się na nich ciało umierającego Chrystusa. Czy krzyżyki odstraszały czasem jej klientów? Żydów, muzułmanów, ateistów, wampiry – jak musieli się czuć na ich widok?

Jej ojciec, zwierzyła się niespodziewanie Tatiana, był „słynnym klaunem”. (Może to tłumaczyło wybór *nom de guerre*). Na Zachodzie, dodała, klaunów uważa się za ślapstickowych durniów, ale w Rosji są artystami egzystencjalnymi. W nagłym przypływie słowiańskiej melancholii poczęstowała Głorię gumą do żucia, lecz ta odmówiła.

– Czyli że nie są zabawni? – upewniła się Gloria, wyjmując pięćset funtów z bankomatu na szpitalnym korytarzu.

Od pół roku codziennie wypłacała z bankomatu po pięćset funtów. Pieniądze chowała w szafie w czarnym plastikowym worku na śmieci. Do tej pory uzbierała siedemdziesiąt dwa tysiące w banknotach dwudziestofuntowych. Zajmowały zaskakująco mało miejsca. Gloria była ciekawa, ile zająłby okrągły milion. Lubiła gotówkę, była taka namacalna i nigdy nie udawała niczego innego. Graham również lubił gotówkę. Lubił ją nawet za bardzo; olbrzymie jej ilości przepuszczał przez rachunki Hatter Homes, skąd wychodziły czyste jak świeża pościel. Graham wystrzegał się tradycyjnych metod – pralni samoobsługowych i solariów – których wciąż trzymał się jego przyjaciel Murdo. Pam zdawała się trwać w błogiej nieświadomości, że spowijające ją kaszmiry od Jean Muir i Ballantyne’a były kupowane za brudne pieniądze. „Nieświadoma” nie znaczyło „niewinna”.

Gloria podzieliła pieniądze z bankomatu między siebie

i Tatianę. Ostatecznie obie na swój sposób zapracowały na pieniądze Grahama. W latach siedemdziesiątych kobiety demonstrowały, domagając się wynagrodzenia za pracę w domu. Wynagrodzenie za seks zdawało się brzmieć sensowniej. Obowiązki domowe trzeba było wykonywać, czy się tego chciało, czy nie, seks był dobrowolny.

– Nie, ja nie uprawiam z nimi seksu – oznajmiła jej Tatiana i roześmiała się, jakby to była najbardziej absurdalna rzecz, jaką słyszała. – Nie jestem *idiot*, Glorio.

– Ale pieniądze bierzesz?

– Pewnie. To jest biznes. Jak wszystko.

W uniwersalnym geście oznaczającym pieniądze potarła palcem wskazującym o kciuk.

– To za co oni ci właściwie... płacą?

– Chcą, żeby ich trochę obić. Związać. Przyłożyć im. Rozkazywać, żeby robili różne rzeczy.

– Jakiego rodzaju?

– No wiesz.

– Nie, nie mam zielonego pojęcia.

– Każę im się lizać po butach, pełzać po podłodze, jeść z miski jak pies.

– Czyli nic pożytecznego, jak choćby odkurzanie?

Pomyśleć, że przez wszystkie te lata Gloria mogła spuszczać Grahamowi lanie i zmuszać go do jedzenia z psiej miski. *I jeszcze dostawać za to pieniądze!*

– W Rosji ja pracowała w banku – mruknęła ponuro Tatiana, jakby bank był najniebezpieczniejszym miejscem zatrudnienia pod słońcem. – W Rosji ja była głodna.

Gloria zauważyła, że dziewczyna ma bardzo żywą mimikę; ciekawe, czy miało to coś wspólnego z ojcem klaunem.

W podzięcie za gotówkę Tatiana wyłowiła ze swojego przepastnego stanika małą różową wizytówkę i na odwrocie zanotowała numer telefonu komórkowego z dopiskiem: „Prosić Jojo”. Podała wizytówkę Glorii. Na wierzchu widniał wypukły czarny napis: „Przysługi – zrobimy, o cokolwiek nas poprosisz!”. Wykrzyknik nasuwał skojarzenie, że Przysługi zapewniają artystów rozrywkowych i balony na kinderbale.

Znowu klauni, pomyślała Gloria. Widziała gdzieś takie logo.

– Czy Przysługi nie zajmują się przypadkiem sprzątaniami?

Widywała w okolicy ich różowe furgonetki, a Pam korzystała z ich usług, gdy jej własna sprzątaczką miała przed rokiem problemy z wypadającym pęcherzem moczowym. Gloria zawsze sprzątała sama, lubiła to robić. Dzięki temu mogła pożytecznie wypełnić czas.

– Tak, jasne. – Tatiana wzruszyła ramionami. – Jeśli trzeba, to posprzątają.

Za sprawą ponurego tonu Tatiany czasownik „posprzątają” nabralł całkiem nowego znaczenia, jakby paradoksalnie dotyczył brudnej (czy wręcz makabrycznej) czynności.

Wizytówka była wciąż ciepła od bliskiego sąsiedztwa piersi Tatiany. Glorii przypomniało się wybieranie jajek spod kur, które jej matka hodowała w ogródku za domem jeszcze długo po tym, jak wojna i głód dobiegły końca. Tatiana wcisnęła banknoty głęboko do stanika. Gloria także często chowała cenne rzeczy pod pancierzem bielizny w przekonaniu, że nawet najśmielszemu zbirowi zabraknie śmiałości, aby sforsować szaniec jej postmenopauzalnego biustonosza od Triumphy, model „Doreen”, rozmiar 42 EE.

Ruszyły razem do wyjścia z centrum handlowego/szpitala. Po drodze Gloria kupiła w sklepie pół kwarty mleka, znaczki pocztowe oraz czasopismo. Nie zdziwiłaby się, zobaczywszy gdzieś w głębi myjnię samochodową.

Wejście stanowiły dwie pary ogromnych automatycznie otwieranych drzwi. Kręciło się przy nich mnóstwo ludzi. Rozmawiali przez komórki, czekali na taksówki albo kogoś, kto ich odbierze, lub po prostu szukali oddechu od narodzin, śmierci czy rutynowego zabiegu, które ich tu przywiodły. Kilku pacjentów w szlafrokach i kapciach gapiło się smętnie na świat przez pokropioną deszczem szybę. Stojący z drugiej strony palatce równie smętnie gapili się do środka.

Na dworze zaskoczył je chłód, ponieważ w szpitalu panowała temperatura jak w szklarni. Tatiana zadrżała i Gloria oddała jej swój zielony płaszcz trzy czwarte z Dannimaca. Sama wyglądała w nim jak klon każdej innej kobiety w średnim

wieku, lecz na Tatianie nabrał on całkiem niedannimakowego szyku. Dziewczyna żuła gumę i paliła papierosa, rozmawiając jednocześnie bardzo szybko po rosyjsku przez komórkę. Głorię ogarnął nagły podziw. Tatiana była o wiele bardziej interesująca od jej własnej córki.

– Nie spodziewałaś się tego – stwierdziła, gdy zakończyła rozmowę.

– Cóż, istotnie – zgodziła się Gloria – można tak powiedzieć. Zawsze wyobrażałam go sobie na polu golfowym. O rety, mówię, jakby już umarł.

Tatiana poklepała ją po ramieniu i stwierdziła:

– Nie martw się, Glorio, niedługo umrze.

– Tak myślisz?

Tatiana zapatrzyła się w przestrzeń niczym wróżbitka i odparła:

– Wierz mi.

Potem ponownie zadrżała, choć tym razem nie miało to chyba związku z pogodą, i dodała:

– A teraz muszę już iść.

Zsunęła z ramion płaszcz w elegancki, nieco teatralny sposób, aż Gloria nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać jej, czy tańczyła kiedyś w balecie. Tatiana pokręciła głową i oddając jej płaszcz, rzuciła:

– Gimnastyka artystyczna.

Zwinnie wsiadała do samochodu z przyciemnionymi szybami, który niepostrzeżenie zatrzymał się przy krawężniku. Wtedy Gloria widziała ją po raz ostatni. Przez chwilę myślała, że to auto Grahama, zaraz jednak przypomniała sobie, gdzie znajduje się jej mąż.

Pielęgniarka o miłym uśmiechu odnalazła Martina w poczekalni. Usiadła przy nim i przez ułamek sekundy Martin spodziewał się wiadomości, że Paul Bradley nie żyje. Czy wówczas musiałby zorganizować mu pogrzeb, skoro w pewnym sensie był teraz za niego odpowiedzialny?

– To jeszcze trochę potrwa – oznajmiła pielęgniarka.

– Czekamy na powrót lekarza. Potem pewnie go wypiszą.

– Wypiszą? – zdumiał się Martin.

Powróciło wspomnienie Paula Bradleya w karetce, krwi ciekącej mu z głowy i płamiącej miękkiej jak niemowlęcy becik pled, którym go owinięto. Martin wciąż myślał o nim jak o człowieku, który zmaga się ze śmiercią.

– Rana głowy jest powierzchowna, brak uszkodzeń czaszki. Nie ma powodu, żeby nie mógł wrócić do domu, o ile do rana będzie miał go pan na oku. To standardowe zalecenie, gdy ktoś nawet na krótko traci przytomność.

Nadal uśmiechała się do niego, odparł więc:

– Dobrze. Jasne. Nie ma sprawy. Dziękuję siostrze, siostrze...?

– Sarah.

– Sarah. Dziękuję, Sarah.

Wydawała się bardzo młoda i drobna, istne ucieleśnienie schludności, z jasnymi włosami ściągniętymi w ciasny koczek jak u baletnicy.

– Powiedział, że jest pan bohaterem.

– Myli się.

Sarah uśmiechnęła się; nie był pewien dlaczego. Przechyliła głowę w bok jak wróbelek.

– Skądś pana znam – zauważyła.

– Naprawdę?

Wiedział, że ma twarz, którą łatwo się zapomina. Był przeciętnym człowiekiem, wiecznym rozczarowaniem dla tych,

k którzy mieli okazję poznać go osobiście. „Och, ależ pan niski!” – wykrzyknęła przed rokiem jakaś kobieta na spotkaniu z czytelnikami. „Prawda?” – dodała, zwracając się do publiczności, która skwapliwie pospieszyła z potwierdzeniem; wszyscy kiwali głowami i uśmiechali się do niego, jakby na ich oczach przeistoczył się właśnie z chłopca w mężczyznę. Miał metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, na pewno nie był karłem.

Czy pisał jak ktoś niskiego wzrostu? A niby jak pisali niscy ludzie? Po wewnętrznej stronie okładek jego powieści nigdy nie było zdjęcia autora. Według Martina wydawcy nie sądzili, aby jego podobizna mogła się przyczynić do wzrostu sprzedaży książek. „Skądże znowu – zaprzeczyła Melanie – chodzi o to, żebyś był bardziej tajemniczy”. Przy ostatniej powieści zmienili jednak zdanie i przysłali słynną fotografkę, aby zrobiła mu klimatyczne zdjęcie. („Dodaj mu trochę pieprzyku” – brzmiało oryginalne polecenie użyte w e-mailu, który omyłkowo trafił do skrzynki Martina; przynajmniej miał nadzieję, że to była pomyłka). Fotografka zasugerowała staw Blackford, gdzie zamierzała zrobić mu nastrojowe czarno-białe zdjęcia na tle nagich, zimowych drzew. „Niech pan pomyśli o czymś naprawdę smutnym – poleciła mu, podczas gdy matki ze swoimi pociechami, jak zwykle karmiące tam kaczki i łabędzie, przyglądały im się z nieskrywanym zaciekawieniem. Martin nie potrafił zmartwić się na zawołanie; smutek był u niego niekontrolowanym odruchem wyzwalanym przez przypadkowy przekaz – afisze Królewskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt przedstawiające martwe kocięta, stare dokumentalne ujęcia stert okularów i walizek, drugi koncert skrzypcowy Haydna. Ckliwość, potworność i wzniosłość wywoływały w nim tę samą łzawą reakcję.

– Proszę przywołać coś z własnego życia – zachęcała go słynna fotografka. – Na przykład jak się pan czuł, kiedy porzucał kapłaństwo. To chyba musiało być trudne?

Martin odparł wojowniczo, zupełnie jak nie on:

– Nie zamierzam tego robić.

– To dla pana zbyt bolesne... – domyśliła się fotografka, kiwając głową i siląc się na współczującą minę.

Ostatecznie wyszedł na tych zdjęciach jak uprzejmy seryjny zabójca z przedmieścia i książka ukazała się jak zwykle bez jego wizerunku na okładce.

– Musisz być bardziej *obecny*, Martinie – wyrzucała mu Melanie. – Moim zadaniem jest uświadamiać ci takie rzeczy – dodała.

Marszcząc brwi, mruknął:

– Doprawdy?

Przeciwieństwem obecności była nieobecność. Nijaki, niewart zapamiętania człowiek o nijakiej twarzy. Raczej nieobecny niż obecny na tym świecie.

– Mówię serio – ciągnęła Sarah – jestem pewna, że pana gdzieś widziałam. Czym się pan zajmuje?

– Jestem pisarzem.

Natychmiast pożałował swojej odpowiedzi. Po pierwsze, zawsze brzmiało to tak, jakby się przechwalał (choć w samym byciu pisarzem nie było nic, co mogłoby wbić człowieka w pychę). Po drugie, był to ślepy zaułek, tego rodzaju rozmowy zawsze przebiegały tak samo: „Naprawdę? Jest pan pisarzem? A co pan pisze?” „Powieści”. „Jakie?” „Kryminalne”. „Serio? A skąd pan czerpie pomysły?” Szczególnie to ostatnie pytanie wydawało się Martinowi niezwykle pojemne, egzystencjalne, zahaczające niemal o neurobiologię. Absolutnie nie czuł się kompetentny, żeby na nie odpowiadać, mimo to wciąż mu je zadawano. „No cóż – kręcił ostatnio coraz częściej – to tu, to tam”. („Za dużo myślisz, Martinie – powtarzał mu jego chiński akupunkturzysta – to akurat nie jest dobre”).

– Naprawdę?

Na ślicznej twarzy Sarah odbił się wysiłek, jakby próbowała sobie wyobrazić, co to znaczy być pisarzem. Z jakiegoś powodu ludziom się wydawało, że to wspaniały zawód, lecz Martin nie widział nic wspaniałego w tym, że dzień w dzień siedzi samotnie w tym samym pokoju i próbuje nie oszaleć.

– Piszę lekkie kryminały – rzekł Martin – wie pani, żadnych krwawych, makabrycznych opisów. Takie skrzyżowanie panny Marple z doktorem Finlayem – dodał świadom, jak żałośnie brzmi takie tłumaczenie. Był ciekaw, czy słyszała o którejś

z tych postaci; pewnie nie. – Główna bohaterka nazywa się Nina Riley – czuł się zmuszony mówić dalej. – Po wuju dostała w spadku agencję detektywistyczną.

Ależ to głupio brzmiało. Głupio i beznadziejnie.

W poczekalni pojawiły się znane mu policjantki. Na widok Martina pierwsza z nich wykrzyknęła:

– Tutaj pan jest! Musimy spisać zeznanie. Wszędzie pana szukałyśmy.

– Cały czas tu siedzę – wyjaśnił Martin.

– Nie uwierzycie, czym on się zajmuje – zwróciła się do policjantek Sarah.

Przez chwilę policjantki mierzyły go ciężkim wzrokiem, po czym ta druga odparła:

– Nie wiem. Poddaję się.

– Jest pisarzem! – oznajmiła triumfalnie Sarah.

– Niemożliwe – mruknęła pierwsza policjantka.

Druga tylko pokręciła głową ze zdumieniem.

– Zawsze się zastanawiałam, *skąd* wy, pisarze, czerpicie pomysły.

Martin wybrał się na spacer po szpitalu. Zabrał ze sobą torbę Paula Bradleya. Coraz bardziej czuł się tak, jakby należała do niego. Zaszedł do kiosku i przejrzał gazety. Wstąpił do kawiarni, wypił filiżankę herbaty i przetrząsnął kieszeń w poszukiwaniu drobnych. Zastanawiał się, czy udałoby się zamieszkać w szpitalu tak, żeby nikt tego nie zauważył. W zasadzie było tu wszystko, czego człowiek mógł potrzebować: żywność, ciepło, toalety, łóżka, lektura. Ktoś zostawił na stoliku egzemplarz „The Scotsman”. Martin apatycznie przymierzył się do krzyżówki Dereka Allena. „Pierwszy Szkot na szosie”. Sześć liter. „Asfalt”.

Pijąc herbatę, zwrócił uwagę na głos z silnym obcym akcentem – należący do dziewczyny albo młodej kobiety – który niósł się ponad brzękiem naczyń i gwarem kawiarni. Akcent był rosyjski, ale gdy się rozejrzał, nie zdołał namierzyć mówiącej. Rosjanka objawiająca się niespodziewanie w Szpitalu Królewskim, aby go napiętnować i pociągnąć do odpowiedzialności. A może miał halucynacje? Próbował się

skoncentrować na czarnych i białych polach. Nie był mistrzem krzyżówek. „Anagram *Greben* w północnoskandynawskim mieście”, sześć liter. Najbardziej lubił anagramy. Drobną zonglerkę literami. „Bergen”.

Był pewien, że słyszał, jak ta Rosjanka mówi: *idijot*. W Petersburgu była kawiarnia o nazwie Idiota. Był tam z Iriną, jedli barszcz w kolorze identycznym jak marynarka, którą jako uczeń musiał codziennie nosić do szkoły. Jak na człowieka zmagającego się z niemoralnym, nieczułym wszechświatem, Dostojewski spędzał sporo czasu w kawiarniach; co druga knajpa w Petersburgu zdawała się uważać go za swojego klienta. „Jack i mały Artur jadą do stolicy”. Osiem liter. „Dżakarta”. Martin zdjął okulary i potarł nasadę nosa.

To była jedna z tych zorganizowanych wycieczek, których reklamy można znaleźć w sobotniej prasie w dodatkach turystycznych: „Zobacz zorzę polarną – pięciodniowy rejs wzdłuż wybrzeży Norwegii”; „Cuda Pragi”; „Piękno Bordeaux – degustacja win dla początkujących”; „Jesień nad jeziorem Como”. Gwarantowała bezpieczną podróż (w sam raz dla tchórze) i dopięcie wszelkich formalności, wystarczyło tylko stawić się z paszportem w dniu wyjazdu. Skrojona pod angielską – i rzecz jasna szkocką – klasę średnią, w średnim wieku, o konserwatywnych poglądach. W grupie, w stadzie zawsze bezpieczniej.

W ubiegłym roku była to akurat „Magiczna Rosja – pięć noclegów w Sankt Petersburgu”, mieście, które Martin zawsze pragnął odwiedzić. Mieście Piotra Wielkiego, Dostojewskiego i Diagilewa, scenie ostatnich lat życia Czajkowskiego i pierwszych Nabokova. Szturm na Pałac Zimowy, przyjazd Lenina na Dworzec Fiński, transmisja VII symfonii Szostakowicza, nadawana w sierpniu 1942 roku w trakcie oblężenia – aż trudno uwierzyć, że jedno miejsce mogło mieć aż tak bogatą historię. (Czemu nie wybrał na studiach historii zamiast religioznawstwa? W historii było więcej pasji, w ludzkich czynach – więcej duchowej prawdy niż w wierze). Pomyślał, jak bardzo chciałby napisać powieść, której akcja toczyłaby się w Petersburgu, prawdziwą powieść, nie

kryminalik o Ninie Riley. Zresztą u schyłku lat czterdziestych Ninie trudno byłoby pojechać do Petersburga zwanego wówczas Leningradem. Być może zdołałaby dotrzeć tam potajemnie ze Szwecji przez Finlandię, przedrzeć się przez zieloną granicę lub przepłynąć Bałtyk jakąś małą łodzią (dobrze radziła sobie ze skifem).

Jak zwykle bez trudu zdobył nieproszonego towarzysza podróży w osobie mężczyzny, który przyczepił się do niego w hali odlotów i odtąd praktycznie nie odstępował go na krok. Był to emerytowany sklepikarz z Cirencester, który w ramach prezentacji zwierzył się Martinowi, że cierpi na nieuleczalnego raka. Wizytę w Petersburgu miał na liście „rzeczy do zrobienia przed śmiercią”.

Ich hotel reklamowano jako jeden z najlepszych w klasie turystycznej; Martin był ciekaw, czy klasa turystyczna to rosyjskie określenie bezkształtnego klocka z betonu z epoki sowieckiej z niekończącymi się identycznymi korytarzami i wstrętnymi posiłkami. W przewodniku, który studiował przed wyjazdem, znajdowały się zdjęcia Astorii oraz Grand Hotelu Europa – miejsc, których wnętrza tchnęły luksusem i przedbolszewicką dekadencją. Tymczasem w ich hotelu pokoje były wielkości pudełka po butach. Okazało się, że nie był sam w swoim pudełku. Pierwszej nocy wstał, żeby pójść do toalety, i niemal nastąpił na karalucha pasącego się na dywan obok łóżka. Na dodatek w hotelu trwały prace budowlane, budynek zdawał się przechodzić jednocześnie rozbiórkę i remont. Mężczyźni i kobiety kręcili się po rusztowaniach, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych zabezpieczeń. Wszystko pokrywała cienka warstwa betonowego pyłu. Jego pokój znajdował się na siódmym piętrze i gdy pierwszego ranka Martin odsunął zasłony, ujrzał za oknem dwie kobiety w średnim wieku stojące na rusztowaniu w chustkach na głowach i z narzędziami w rękach.

Łazienka była stosunkowo znośna dzięki widokowi – panorama Newy, zwieńczona koronką Pałacu Zimowego, obrazek równie legendarny jak Wenecja od strony laguny. Z okna widział przycumowaną naprzeciwko „Aurorę”.

– „Aurora”! – wykrzyknął nazajutrz przy śniadaniu ogromnie podniecony, zwracając się do śmiertelnie chorego sklepikarza. – To z niej padł pierwszy wystrzał rewolucji – dodał, gdy śmiertelnie chory sklepikarz odpowiedział mu tępym spojrzeniem.

Pierwszy dzień upłynął im na zwiedzaniu cerkwi, dreptali więc posłusznie w ślad za przewodniczką o imieniu Maria od soboru Kazańskiego, przez sobór Świętego Izaaka, cerkiew Zbawiciela na Krwi, do soboru Świętych Piotra i Pawła („Tu pochowani są nasi carowie” – oznajmiła im z dumą Maria, jakby komunizm nigdy się nie wydarzył).

– Musi pan być zachwycony – zauważył sklepikarz podczas krótkiej przerwy na lunch w lokalu, który kojarzył się Martinowi ze szkolną stołówką, tyle że palenie było tu wręcz mile widziane. – Taki religijny człowiek jak pan...

– Nie – sprostował Martin, nie po raz pierwszy zresztą. – Jestem *nauczycielem* religioznawstwa, ale to nie czyni mnie automatycznie człowiekiem *religijnym*.

– Czyli uczy pan czegoś, w co sam pan nie wierzy? – zapytał śmiertelnie chory sklepikarz, przybierając znienacka dość napastliwy ton.

Wyglądało na to, że bliskość śmierci uczyniła go wyjątkowo prawym. Albo zawsze taki był.

– Nie, tak, nie – jękał się Martin.

Rozmowa nie kleiła się również ze względu na fakt, że wciąż podawał się za nauczyciela religioznawstwa, choć od ostatniej jego bytności w szkole minęło dobrych siedem lat. Nie miał ochoty przyznawać, że jest pisarzem, i obnosić się przez pięć dni z tą etykietką, domyślając się, jakie pytania by to sprowokowało, i wiedząc, że nie zdoła przed nimi uciec. W drodze powrotnej jeden z jego współtowarzyszy podróży, siedzący po przeciwnej stronie przejścia w samolocie, czytał *Zakazane łowy*, drugi z cyklu kryminałów o Ninie Riley. Martin miał ochotę zagadnąć go od niechcienia: „Dobra ta książka?”, ale nie był gotów na odpowiedź. Prędzej spodziewał się usłyszeć: „Stek bzdur” niż: „Fantastyczna, powinien ją pan przeczytać!”.

Nie zapierał się dłużej swojej religijności w rozmowie ze sklepikarzem; ostatecznie facet umierał i Martin nie mógł wykluczyć, że wiara to jedyna rzecz, jaka dodaje mu sił – ona i odhaczanie kolejnych punktów z listy. Osobiście nie uważał jej za dobry pomysł; gdy człowiek dochodził do ostatniego punktu, nie pozostawało mu już nic innego, jak tylko umrzeć. A może to *śmierć* była ostatnim punktem na liście?

Wracając z lunchu, gdy spacerowali wzdłuż kanału w stronę kolejnej cerkwi, w jednej z bocznych uliczek minęli stojącą na chodniku drewnianą tablicę, która zachęcała: „Petersburskie panny młode – zapraszamy do środka”. Na jego widok kilka osób z ich grupy zaczęło chichotać. Sklepikarz, który najwyraźniej postanowił trwać u boku Martina aż do *grobowej deski*, powiedział: „Wszyscy wiemy, co to znaczy”.

„Miesiąć terroru dla pomidora”. Osiem liter. „Termidor”.

Martin poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Wcześniej szperał w internecie. Rozważał kupno żony (ponieważ, nie oszukujmy się, nie był w stanie znaleźć żadnej za darmo). Gdy zaczął być sławny, z początku miał nadzieję, że stanie się przez to bardziej atrakcyjny dla kobiet, że jego bardziej interesujące alter ego, Alex Blake, użyczy mu nieco swojej charyzmy. Na próżno; najwidoczniej była mu pisana rola pariasa. Należał do tych, którzy na imprezach łądownali w kuchni i zmywali kieliszki. „To trochę tak, jakbyś był aseksualny, Martinie” – powiedziała pewna dziewczyna, myśląc, że mu w ten sposób pomaga.

Gdyby istniała strona internetowa oferująca „staroświeckie brytyjskie panny młode (ale nie takie jak twoja matka)”, mógłby się skusić na którąś z nich, ale niestety nie istniała, więc w pierwszej kolejności wziął pod lupę Tajki („drobne, seksowne, usługowe, uległe”), lecz pomysł wydał mu się potwornie *plugawy*. Kilka miesięcy wcześniej widział taką parę w domu towarowym Johna Lewisa – brzydkiego, otyłego faceta w średnim wieku z uwieszoną na jego ramieniu śliczną, *maleńką* kobietką, która śmiała się do niego, jakby był bogiem. Ludzie gapili się na nich i *wiedzieli*. Wyglądała identycznie jak dziewczyny z katalogów internetowych – krucha i drobna jak dziecko. Martinowi zrobiło się niedobrze, jakby odwiedził

stronę pornograficzną. Wolałby umrzeć, niż zrobić coś takiego – przede wszystkim obawiał się, że tego rodzaju strony są monitorowane i wystarczy jedno ciekawe zerknięcie na „Wilgotne zakamarki” lub „Seksowne fotki”, by po chwili rozległo się walenie do drzwi, do mieszkania wpadła policja i aresztowała go. Byłby równie zażenowany, gdyby kupował w kiosku czasopismo dla panów. Wiedział (taka jego karma), że gdyby tylko podszedł do lady, stojąca za nią dziewczyna (na pewno byłaby dziewczyna) wrzasnęłaby do kierownika: „Ile za *Wielkie cycki*?”. Gdyby zaś zamówił coś pocztą, gotów był się założyć, że przesyłka wypadłaby z koperty w chwili, gdy listonosz wręczałby mu ją na progu. Do tego zapewne w tym samym momencie obok przechodziliby duchowny, staruszka oraz dziecko. „Żegnał się z bronią”, dziewięć liter. „Hemingway”.

Dla odmiany dostępne w internecie rosyjskie panny młode wcale nie robiły wrażenia dziecinnych, nie wydawały się nawet szczególnie uległe. Ludmiły, Swietłany oraz Leny wyglądały jak kobiety, i to takie, które dobrze wiedzą, czego chcą (sprzedać się, bądźmy szczerzy). Dysponowały zdumiewającym repertuarem przymiotów i talentów, lubiły muzykę disco na równi z klasyczną, uczęszczały do muzeów i parków, czytały prasę codzienną i powieści, dbały o formę i mówiły płynnie kilkoma językami, z zawodu były księgowymi albo ekonomistkami, były „poważne”, „uprzejme”, „zdecydowane” oraz „eleganckie”, poszukiwały „uczciwego mężczyzny”, „ciekawego rozmówcy” bądź „romantyka”. Trudno było uwierzyć, że za tymi wyidealizowanymi życiorysami kryją się prawdziwe, żywe kobiety, a jednak tak było – Ludmiły, Swietłany i Leny lub im podobne czekały za wielkimi drewnianymi drzwiami na (skądinąd strasznych) ulicach Petersburga, nie dryfowały jedynie gdzieś w wirtualnej przestrzeni. Na samą myśl aż go ścisnęło w dołku. Znał to uczucie: nie pożądanie, lecz pokusa. Mógłby zdobyć to, czego pragnął, mógłby kupić sobie żonę. Nie sądził, rzecz jasna, że czekają na niego *wewnątrz* budynku zamknięte w pokrytych luszczącą się farbą murach. Ale były blisko. W tym mieście.

Czekały.

Martin miał swój ideał kobiety. Nie była nią Nina Riley ani sprzedajna panna młoda potrzebująca zabezpieczenia finansowego albo paszportu; nie, jego ideałem była kobieta z przeszłości – staroświecka pani domu z podlondyńskiego hrabstwa, młoda wdowa, która w bitwie o Anglię straciła męża, pilota myśliwca, lecz mimo to dzielnie borykała się z życiem, samotnie wychowując dziecko. „Tatuś zginął, kochanie, był taki przystojny i dzielny, walczył i chciał żyć dla ciebie, ale musiał nas opuścić”. Jej dziecko, poważny chłopczyk o imieniu Peter albo David, nosiło kamizelki w norweskie wzory na szarą koszulę. Malec miał napomadowane włosy, odrapane kolana i za niczym nie przepadał bardziej niż za wieczornym sklejaniem modeli samolotów z Martinem. („Takim latał mój tatuś, prawda?”). Martin nie miał nic przeciwko temu, by być namiastką pilota spitfire’a („Roly’ego” albo „Jima”), mężczyzny, który niczym jaskółka śmigał po błękitnym niebie nad Anglią. Wiedział, że kobieta jest mu wdzięczna za pomoc w sklejaniu szczątków dawnego życia i że nigdy go nie opuści.

Czasami miała na imię Martha, bardzo rzadko Abigail (w zmyślnym życiu tożsamość była znacznie bardziej płynna), lecz zazwyczaj była bezimienna. Nadać jej imię znaczyłoby uczynić ją realną. Realną, czyli nieosiągalną.

Kobiety najlepiej zamknąć w wyobraźni. Kiedy przedostawały się do chaotycznego rozgardiaszu, jakim była rzeczywistość, stawały się niezrównoważone, nieżyczliwe, wreszcie – groźne. Prowokowały *incydenty*. Martinowi zrobiło się niedobrze. „Coś przydatnego do wykonywania wyroków w zawieszeniu”. Pięć liter.

Przy sztucznym wzgórzcu Jackson wsiadł do autobusu numer 41, myśląc: „Dobra, skoro tak bardzo chce, żebym jeździł autobusami, to proszę bardzo”. Numer 41 miał długą trasę, która kończyła się w Cramond. Dotąd znał Cramond tylko z kościelnego hymnu, nie jako miejsce na mapie. A może ten hymn nazywał się *Crimond*? Tylu rzeczy nie wiedział. „Pan jest moim pasterzem”. Czyżby? Wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Czekająca z nim na przystanku staruszka powiedziała: „Och, w Cramond jest bardzo ładnie, można popłynąć na wyspę o tej samej nazwie. Spodoba się panu”. Uwierzył jej; lata doświadczenia nauczyły go, że staruszki zwykle mówią prawdę.

Usiadł na górnej platformie z przodu autobusu i na chwilę znów poczuł się dzieckiem – powróciło mgliste wspomnienie, jak kiedyś w nagrodę pozwolono mu tak siedzieć obok starszej siostry. W czasach gdy piętro autobusu zarezerwowane było dla palących, w czasach gdy życie było tak boleśnie proste. Często rozmyślał o swojej zmarłej siostrze, lecz zazwyczaj stanowiła ona wyizolowany obraz (*ideę* jego siostry). Rzadko zdarzało mu się widzieć tak wyraźnie coś, co naprawdę miało miejsce, więc to nagle, niespodziewane wspomnienie Niamh siedzącej obok niego w autobusie – zapach jej fiołkowej wody toaletowej, szelest halki, dotyk ręki spoczywającej obok jego ramienia – sprawiło, że serce Jacksona ścisnęło się boleśnie.

Staruszka miała rację, w Cramond naprawdę *było* ładnie. Przedmieście stanowiło satelitę Edynburga, ale przypominało zwykłą wioskę. Minął drogie domy i ładny stary kościół, by na koniec zejść do przystani, gdzie na wodzie leniwie kołysały się łabędzie. Woń kawy i smażeniny buchająca z wentylacji zajazdu Cramond Inn mieszała się tam ze słonym zapachem ujścia rzeki. Jackson zamierzał poszukać czegoś w rodzaju

promu, który zawiózłby go na wyspę, lecz zorientował się, że można się na nią przedostać po krótkiej kamiennej grobli. Nie potrzebował informacji o przyptywach i odpływach, żeby stwierdzić, że morze się cofa i oddala od skalistego kręgosłupa grobli. Powietrze wciąż tchnęło wilgocią po porannym deszczu, lecz niespodziewanie zza chmur wyszło dawno wyczekiwane słońce, złocąc świeżo obmyty piasek i skały. Chmara różnego rodzaju ptaków brodzących i mew pilnie przeczesywała plażę, grzebiąc między kamieniami. Ruch i świeże powietrze to jest to, czego nam trzeba, powiedziała by Julia. Musiał przewietrzyć głowę z zatechłych myśli, jakie się w niej nagromadziły, odnaleźć dawnego Jacksona, którego najwyraźniej gdzieś zagubił. Ruszył przed siebie groblą.

Po drodze minął parę emerytów z klasy średniej w nieprzemakalnych wiatrówkach i z lornetkami na szyi maszerujących żwawo w stronę brzegu; ich serdeczne „dzień dobry” wciąż dźwięczało mu w uszach. „Prąd się odwraca!” – dodała radośnie lepsza połowa pary. Jackson potwierdził to skinieniem głowy.

Obserwatorzy ptaków, pomyślał. Jak to się na nich mówiło? Ptasiarze. Bóg wie dlaczego. Nie potrafił pojąć, co może być tak atrakcyjnego w podpatrywaniu ptaków; same w sobie były całkiem w porządku, ale *obserwowanie* ich przypominało trochę obserwowanie pociągów. Jackson nigdy nie odczuwał tej autystycznej i (przeważnie) męskiej potrzeby kolekcjonowania i katalogowania.

Słońce zniknęło niemal natychmiast po tym, jak dotarł na wyspę; w rezultacie atmosfera tego miejsca stała się dziwnie przytłaczająca. Tu i ówdzie napotykał pozostałości dawnych fortyfikacji, szpetne kawałki betonu, które nadawały okolicy wygląd ponurej obłożonej twierdzy. Mewy śmigły i skrzeczały mu groźnie nad głową, broniąc swego terytorium. Wyspa była mniejsza, niż się spodziewał, obejście jej całej zajęło mu raptem chwilę. Po drodze nie spotkał żywej duszy, co raczej go ucieszyło. Niechętnie myślał, jakiego rodzaju świry mogą się czaić na takim odludziu. Sam siebie, rzecz jasna, do tej kategorii nie zaliczał. Mimo że wokół nikogo nie było, miał

dziwne uczucie – choć za skarby świata nigdy by się do tego nie przyznał – że ktoś go obserwuje. Delikatny dreszczyk paranoi, nic więcej. Nie zamierzał ulegać przywidzeniom, ale gdy od strony morza ukazała się ciężka fioletowa chmura i poczęła nieubłaganie sunąć w głąb zatoki Firth of Forth, uznał to za dobry pretekst, żeby wracać.

Spojrzał na zegarek. Czwarta – na planecie Julii pora picia herbaty. Przypomnił sobie leniwe popołudnie spędzone wspólnie ostatniego lata w Orchard Tea Rooms w Grantchester; oni oboje, wyciągnięci pod drzewami na leżakach, opici popołudniową herbatą. Złożyli wówczas krótką, dość krępującą wizytę siostrze Julii, która wciąż mieszkała w Cambridge, lecz odmówiła wzięcia udziału w ich „eskapadzie”. Kolejne słowo Julii. Jej słownik pękał w szwach od dziwnych archaicznych słówek, takich jak „przedni”, „hultaj” czy „rany Julek” – które zdawały się pochodzić nie z jej własnych zasobów, lecz z jakiegoś przedwojennego czasopisma dla dziewcząt. Dla Jacksona słowa miały swoje funkcje, otwierały drzwi i pomagały zrozumieć różne rzeczy. Dla Julii niosły ładunek niezrozumiałych emocji.

Sama „popołudniowa herbatka” należała, rzecz jasna, do ulubionych wyrażeń Julii („Osobno te słowa brzmią całkiem, całkiem, ale w parze – wprost idealnie”). Przed „popołudniową herbatką” stało zwykle kilka przesadnych przymiotników, takich jak „przepyszna”, „smakowita”, „boska”.

„Wybór świeżego pieczywa” było kolejnym z jej ulubionych wyrażeń, podobnie jak (z nieodgadnionych powodów) „równonoc jesienna” oraz „kopeć”. Jak mówiła, niektóre słowa sprawiały, że aż palce u nóg podkurczały jej się ze szczęścia: rum, wulgarny, pralnia, ryzyko, perfidny, skarb, *divertimento*. Niektóre urywki i linijki wierszy: *Z kości jego są korale*⁴ czy *Stronią ode mnie, które ongi mnie szukały*⁵, wprawiały ją w sentymentalne uniesienie. Chór śpiewający „Alleluja” w *Mesjaszu* przyprawiał ją o lzy, podobnie jak *Lassie, wróć*

4 William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha.

5 Sir Thomas Wyatt, *Stronią ode mnie, które ongi mnie szukały*, przekład Stanisława Barańczaka.

(płakała przez cały film, od napisów początkowych po końcowe). Jackson westchnął. Jackson Brodie, mistrz świata w teleturniejach dla par.

Komórka zawibrowała mu w kieszeni niczym uwieczniona pszczoła. Mrużąc oczy, spojrzał na wyświetlacz – skoro tu jest, warto, by zbadał sobie wzrok. Wiadomość od Julii o treści: „Siema, wejść na dziś 4 r moat u nas w kasie! Całusy, Julia xxxxxxxxxxxxxx”. Jackson nie zrozumiał z tego ani słowa, ale poczuł nagły przypływ wzruszenia na myśl o Julii mozolnie wystukującej w telefonie kolejne ikony symbolizujące buziaki.

Już miał zawrócić, gdy jego uwagę przykuło coś na skałach poniżej betonowych ruin dawnego punktu obserwacyjnego. W pierwszej chwili pomyślał, że to porzucony tobolek odzieży, ale w czasie równym jednemu nierytmicznemu uderzeniu serca pojął, że patrzy na ciało, które wyrzucił przypływ. Rozbitek, a może wrak?

To była młoda kobieta, w dzinsach i podkoszulku bez rękawów, bosa, z długimi włosami. Tkwiący w nim policjant automatycznie zarejestrował: „Pięćdziesiąt pięć kilo wagi, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu”, chociaż akurat wzrost trudno było ocenić, bo leżała zwinięta w pozycji płodowej, z kolanami podciągniętymi pod brodę, jakby zasnęła na skałach. Gdyby żyła, automatycznie pomyślałby: „Co za ciało”, lecz po śmierci mógł tylko ocenić, że miała ładną figurę – estetyczne i aseksualne określenie, zupełnie jakby kontemplował marmurowe członki posągu w Luwrze.

Topielica? Świeża, nie „pływak”, który poszedł na dno, by ponownie wychynąć w całym koszmarze oślizłych, napuchniętych zwłok. Ucieszył się, że nie jest naga, nagość automatycznie sugerowałaby coś całkiem innego. Jackson zszedł w dół po trawie na skały niebezpiecznie najeżone pąklami i śliskie od wodorostów. Na pierwszy rzut oka nie zauważył na ciele nic podejrzanego – żadnych śladów duszenia na szyi, czaszka wyglądała na nieuszkodzoną. Zero wkluc, tatuaży, znamion, blizn; była czysta jak świeżo zagruntowane płótno, tylko w uszach miała małe złote krzyżyki. Jej zielone oczy – na wpół otwarte – były pokryte mglistym

bielmem śmierci i puste jak u wspomnianego posągu.

Dostrzegł kartonik, coś jakby wizytówkę, wystający z miseczki jej stanika. Był bladoróżowy niczym oderwany skrawek pomarszczonej skóry. Wyciągnął go dwoma palcami. Czarne litery głosiły: „Przysługi – zrobimy, o cokolwiek nas poprosisz!”, poniżej widniał numer telefonu komórkowego. prostytutka? Tancerka erotyczna? A może Przysługi to zwykła organizacja charytatywna, pomagająca staruszkom w robieniu zakupów? Akurat, pomyślał cynicznie Jackson.

Sam nie wiedząc, dlaczego to robi, dotknął policzka dziewczyny; ewidentnie była martwa. Może chciał, żeby poczuła na skórze czyjś przyjazny dotyk. Żeby zanim rozkroi ją skalpel patologa, dowiedziała się, że jej przedwczesna śmierć kogoś poruszyła. Fala obmyła jej ciało i buty Jacksona. Kobieta leżała poniżej linii wód przyływu i Jackson wiedział, że będzie musiał wciągnąć ją wyżej. Kolejna fala. Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, przyływ zabierze ciało z powrotem na otwarte morze. Przyływ? Gdy się wyprostował i spojrzął za siebie na groblę, dotarło do niego, że baseny pływowe szybko wypełniają się morską wodą, a piasku i kamienistej plaży prawie nie widać. „Prąd się odwraca”, powiedziała tamta ptasiara. Nie ku otwartemu morzu, jak sądził, tylko w stronę lądu. Cholera.

Następna fala zachlupotała mu u nóg. Jeśli się nie ruszy, utknie tu jak w pułapce. Wyciągnął komórkę i wykręcił numer alarmowy, lecz w słuchawce rozległo się jedynie elektroniczne popiskiwanie, świadczące o braku zasięgu. Przypomniawszy sobie, że ma w kieszeni aparat – przynajmniej będzie mógł wykonać dla policji dokumentację położenia zwłok *in situ*, zanim je przeniesie. Szybko pstryknął zdjęcie niemające nic wspólnego z tradycyjną wakacyjną fotką, zaraz jednak musiał porzucić fotografowanie, ponieważ woda przybierała tak prędko, że chcąc chwycić ciało, zmuszony był w niej brodzić. Ledwo zanurzył stopy, fala większa niż poprzednie porwała kobietę, dźwignęła ją i uniosła w dal. Psiakrew, pomyślał Jackson. Cisnął aparat na ziemię, ściągnął kurtkę i rzucił się do szarej wody. Była zaskakująco zimna, a prąd silniejszy, niż można się było spodziewać. Jackson nie sądził, by którykolwiek z jego

celtyckich przodków był związany z morzem. Sam nieźle pływał, lecz woda nie była jego żywiołem; wolał ziemię, suchy ląd pod stopami.

W ogrodzie domu we Francji zbudował basen. Jego wnętrze pokrywała lazurowa mozaika i latem odbijające się od powierzchni słońce wprost oślepiało, tak że nie sposób było patrzeć na wodę. Gdy jeszcze mieszkał w Cambridge, codziennie rano biegał, lecz od czasu przeprowadzki do Francji bieganie wydawało mu się czymś absurdalnym. Na francuskiej prowincji nikt nie biegał. Ludzie pili i jeśli nie piłeś z nimi, nie byłeś częścią lokalnej wspólnoty. Francuzi zdawali się wlewać w siebie litry alkoholu bez żadnych konsekwencji, podczas gdy Jackson odczuwał owe konsekwencje niemal każdego ranka. Pływał więc w swoim turkusowym basenie, w tę i we w tę, w tę i we w tę, jedna długość za drugą, żeby wypocić z siebie alkohol i nudę.

Basenu nie dało się porównać do wrogiego środowiska zatoki Firth of Forth w sierpniu. „Typowy Strzelec – mawiała o nim Julia – znak żywiołu ognia. Woda to twój wróg”. Czy ona naprawdę wierzyła w te brednie? „Uważaj na Ryby” – powiedziała mu kiedyś. To znaczy na ludzi spod znaku Ryb, od łacińskiego *piscis*. Basen w jego francuskim domu nazywał się *la piscine*. Julia była Baranem, innym ognistym znakiem – jej zdaniem niezbyt idealne połączenie. To jak zwalczać ogień ogniem. Co ich czekało? Czy po prostu się spalą? Zamienią w zimny popiół?

Zdołał chwycić nieżywą kobietę pod pachy niczym tonącego, ale była ciężka jak kamień i równie jak on martwa. Kolejne nieubłagane fale chłostały teraz ich oboje. Jackson zachłysnął się słoną morską wodą i zaczął się krztusić. Próbował młócić nogami, obmyślając jednocześnie najlepszy sposób wydobycia ich obojga na ląd, lecz fale nadchodziły jedna za drugą. Uratował od utonięcia dwie osoby – raz na służbie, raz poza nią. Raz podczas weekendowego wypadu do Whitby z Josie i Marlee widział, jak jakiś mężczyzna skoczył z mola do morza za swoim psem – ruchliwym terierkiem, który był tak podniecony, że pędząc przed siebie, runął z krawędzi mola

prosto do wody, co wywołało pełne przerażenia okrzyki stojących wokół ludzi. Jego pan natychmiast napytał sobie biedy i dwóch innych mężczyzn skoczyło do morza w ślad za nim. Byli to bracia, obaj trzydziestokilkuletni, żonaci, ojcowie w sumie pięciorga dzieci. Tylko pies wyszedł z tego żywy. Jackson także by skoczył i próbował ich wszystkich ocalić, lecz powstrzymała go kotwica w postaci czteroletniej rozhisteryzowanej Marlee, która kurczowo uczepiła się jego nogi. Później wielokrotnie powtarzał sobie, że w drodze była przecież ściągnięta z plaży łódź ratunkowa, lecz dotąd miał do siebie żal i gdyby mógł cofnąć czas, oderwałby od siebie Marlee i skoczył w fale. To nie był heroizm, tylko pewna konieczność. Może również chrześcijański obowiązek.

Zanurzył się pod wodę, wciąż podtrzymując ciężkie ciało. W jakimś zakamarku mózgu słyszał Marlee krzyczącą: „Tatusiuuu!” oraz staruszkę z przystanku mówiącą: „W Cramond jest bardzo ładnie, spodoba się panu”. Na jedną błogosławioną sekundę znów znalazł się w swoim basenie we Francji, a ciepłe słońce odbijało się od turkusowej mozaiki. Wiedział, że przez cały czas znosi go coraz dalej od lądu, że martwa kobieta ściąga go na dno niczym chora z miłości syrena. Pół kobieta, pół ryba, astrologiczna Ryba. Powróciły słowa z wiersza Binyona: „Nie zestarzeją się, jak starzejemy się my, którzyśmy pozostali”. Pomyślał, jaka by to była ironia losu, gdyby utonął, usiłując ratować trupa. Zastanawiał się, która część jego osoby wciąż wierzy, że może ją uratować. (Pewnie znów ten upierdliwy katolik). Był ciekaw, czy nadal próbuje ocalić tamtych trzech mężczyzn, którzy utonęli przy molo w Whitby. Jeśli chce przeżyć, będzie musiał ją puścić. Ale nie mógł.

Mała syrenka – Marlee uwielbiała tę baśń, gdy była mała. Nigdy więcej nie będzie mała, lada moment zanurzy się w swoją przeszłość. Jeżeli Jackson utonie, nigdy się nie przekona, jak ta jej przeszłość będzie wyglądać. „Szłam słonych głębin”. Nie wiedział, skąd przyszły mu do głowy te słowa, musiały należeć do kogoś innego. „Z kości jego są korale”. W zatoce Firth of Forth nie było żadnych koralu. Julia, brązowa

jak orzech, pływająca w jego basenie we Francji, Julia na rzece w Cambridge, odpychająca płaskodenną łódź z nim na pokładzie, Julia przewoźniczka, przeprowadzająca go przez Styks. Marlee miała książkę pod tytułem *Mity greckie dla dzieci*, którą kazała czytać sobie na głos. Wiele się z niej nauczył, ta książka była jego wprowadzeniem do kultury klasycznej.

Skierował modlitwę najpierw do jakiegokolwiek boga, który akurat tego popołudnia miał dyżur, potem zwrócił się do Maryi, Matki Boskiej – utajony instynkt, bezwarunkowy odruch dawnego katolika stojącego twarzą w twarz ze śmiercią. Czy tak to się miało odbyć? Bez ostatniego namaszczenia, ostatniej posługi? Zawsze sobie wyobrażał, że pod koniec życia się nawróci i wszystko znów będzie jak dawniej, pojedna się z matką swoją, Kościołem, i wszystko zostanie mu zapomniane, lecz najwyraźniej nic z tego nie miało się wydarzyć.

Przypomniało mu się wyciągnięte z kanału ciało jego siostry. No jasne – to *dlatego* woda nie była jego żywiołem, czemu wcześniej na to nie wpadł? Znaki zodiaku nie miały tu nic do rzeczy. *Stella maris*. Matka Boska Bolesna z koroną z gwiazd na głowie. Woda, wszędzie woda. Tonął, pogrążał się coraz bardziej w wodnym królestwie Posejdona, syrena zabierała go ze sobą do domu.

Grahama przeniesiono z oddziału ratunkowego na oddział intensywnej opieki medycznej. Według personelu OIOM-u jego stan nie uległ zmianie. Gloria zastanawiała się, czy zawsze taki będzie – nieruchomy niczym kamienna postać na sarkofagu. Może przeniosą go do jakiegoś zakładu opieki długoterminowej, gdzie przez kolejnych kilka dekad będzie blokował miejsce, pozbawiając lepszych od siebie nerek i stawów biodrowych? Gdyby od razu umarł, różne części jego ciała można by wykorzystać do ratowania bardziej przydatnych osób.

Na OIOM-ie panowała cisza, życie toczyło się wolniej, atmosfera była gęstsza niż gdzie indziej. Czuło się, że szpital to wielka szumiąca maszyna, zasysająca powietrze i wypychająca je na zewnątrz. Przez szyby wentylacyjne ulatywały chemikalia, wydostawały się zakłócenia statyczne i bakterie – wszystko niewidoczne dla oka.

Gloria żałowała, że nie robi na drutach; w oczekiwaniu na śmierć Grahama mogłaby dziergać wygodne ubrania. Dziewiarka z OIOM-u. Jej teściowa chętnie dziergała, bez końca produkując dziecięce ubranka, gdy Emily i Ewan byli mali: czapeczki, sweterki, rękawiczki, buciki, rajtuzki zapinane na nieporęczne kokardki i pełne dziur, w które mogły się zaplątać cienkie paluszki. Gloria ubierała dzieci jak lalki. Emily odziewała swoją Xanthyę – co za dziwaczne imię! – w praktyczne elastyczne śpioszki i ciasne czapeczki. Gloria prawie nie widywała wnuczki. Emily oznajmiła im, że jest w ciąży, takim tonem, jakby była pierwszą kobietą na ziemi spodziewającą się dziecka. Szczerze mówiąc, Gloria bardziej by się cieszyła, gdyby jej córka wydała na świat szczenię niż wiecznie naburmuszoną Xanthyę, która najwyraźniej odziedziczyła po matce jej najgorsze cechy.

Obserwowała powolnie unoszącą się i opadającą klatkę piersiową Grahama, jego pozbawioną wyrazu twarz. Wydawał się teraz mniejszy. Tracił swoją moc, kurczył się, nie był półbogiem. Jakże nisko upadli bohaterowie! Graham wydał z siebie cichy dźwięk, mamrotanie, jakby mówił przez sen. Jego twarz pozostała jednak nieporuszona. Gloria pogładziła jego dłoń wierzchem palców i poczuła ukłucie żalu. Nie na myśl o Grahamie mężczyźnie, lecz o chłopcu, którego nigdy nie poznała, chłopcu w długich flanelowych szortach, szarej koszuli, szkolnym krawacie i czapce, chłopcu, któremu obce były ambicja, chęć posiadania oraz dziewczyny do towarzystwa.

– Ty głupi gnojku – powiedziała nie bez czułości.

Dokąd by powędrował, gdyby wyłączyć te wszystkie urządzenia? Dryfowałby w jakimś wewnętrznym wszechświecie niczym samotny astronauta porzucony przez swoją załogę. Ależ by było zabawne (no, może nie zabawne, raczej zdumiewające), gdyby się okazało, że istnieje życie po życiu. Niebo. Gloria nie wierzyła w niebo, choć czasami się obawiała, że może to być miejsce, które istnieje, pod warunkiem że się w nie *wierzy*. Ciekawe, czy ludzie wciąż trzymaliby się tak myśli o życiu wiecznym, gdyby miało ono trwać, dajmy na to, pod ziemią. Albo gdyby raj miał być pełen ludzi takich jak Pam. Na dodatek niemiłosiernie, śmiertelnie nudny niczym niekończące się nabożeństwo baptystów, tyle że bez okazjonalnej atrakcji w postaci chrztu przez całkowite zanurzenie w wodzie. Dla Grahama raj przypuszczalnie oznaczałby trzydziestosiedmioletnią whisky Macallan, cygaro Montecristo i najwyraźniej pannę Szpicrutę.

Wydawało mu się, że jest niepokonany, mimo to dopadła go śmierć. Graham wierzył, że jest w stanie wykupić się z każdej sytuacji, lecz kostucha nie zamierzała się zadowolić jego bakszyszem. Kostucha, poprawiła się Gloria – jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, by pisać jego imię dużą literą, to na pewno Śmierć. Niekoniecznie musiała być sroga; Gloria podejrzewała wręcz, że jest całkiem wesoła („No to idziemy, o co tyle hałasu?”).

– Nigdy mnie nie dorwą – powiedział jej Graham.

Ten sam, który zawsze zachowywał się, jakby był nietykalny, istny outsider, banita niepodlegający powszechnie obowiązującym prawom, szczycący się tym, że gra na nosie urzędowi podatkowemu albo urzędowi cel, omijający przepisy BHP i budowlane, rozpychający się łokciami w wydziale planowania przestrzennego, opłacający kolejne przedsięwzięcia łapówkami i wziętkami, pędzący sto mil na godzinę po najszybszym pasie tą swoją cholerną wypasioną bryką z przyciemnianymi szybami. Po co komu przyciemniane szyby? Chyba tylko po to, żeby ukryć jakąś nikczemność. Gloria nie lubiła zaciągniętych zasłon i zamkniętych drzwi, wszystko powinno być wystawione na pokaz, na światło dzienne. Jeżeli ktoś wstydzi się tego, co robi, nie powinien tego robić.

Dwukrotnie Graham zdołał się wywinąć od mandatu za przekroczenie prędkości, raz za nieostrożną jazdę, raz za promile – niewątpliwie dzięki bratu Masonowi pracującemu w sądownictwie. Kilka miesięcy wcześniej zatrzymano go na autostradzie A9, gdy jechał z prędkością ponad stu dwudziestu mil na godzinę, jednocześnie rozmawiając przez komórkę i jedząc podwójnego cheeseburgera. To nie wszystko! Gdy zbadano go alkomatem, okazało się, że jest pod wpływem, a mimo to sprawa nigdy nie trafiła do sądu. W odpowiednim momencie została umorzona z powodu jakiejś błahostki, ponieważ Graham nie dostał na czas odpowiednich dokumentów. Gloria wyobrażała go sobie aż za dobrze z jedną ręką na kierownicy, przyciskającego ramieniem telefon do ucha, z tłuszczem z hamburgera spływającym mu po brodzie i oddechem cuchnącym whisky. Wówczas wydawało jej się, że jedynym brakującym elementem tego wstępnego obrazka jest kobieta na fotelu pasażera robiąca Grahamowi fellatio. Teraz doszła do wniosku, że prawdopodobnie tak właśnie było. Gloria nie cierpiała zwrotu „robić komuś laskę”, wołała słowo „fellatio”, brzmiało jak włoski termin muzyczny – *contralto*, *alto*, *fellatio* – mimo że sam akt wydawał jej się niesmaczny w każdym znaczeniu tego słowa.

Gdy ostatnio wykrcił się od oskarżenia, uczcił to hałaśliwą, dętą kolacją w Prestonfield House wspólnie z Gloria, Pam,

Murdo oraz szeryfem Alistairem Crichtonem. Posiadanie dobrego kumpla od golfa, który przypadkiem był szeryfem, stanowiło niewątpliwą korzyść. Choć mieszkali w Szkocji od czterech dekad, słowo „szeryf” nie od razu skojarzyło się Glorii z przedstawicielem szkockiego wymiaru sprawiedliwości; wyobrażała sobie raczej cynowe gwiazdy w samo południe i Alana Wheatleya w roli złego szeryfa z Nottingham w starym serialu dla dzieci o Robin Hoodzie. Zaczęła nucić pod nosem motyw przewodni. Czemu galopował górską doliną? Czy w Nottingham były takie doliny?

Gloria lubiła *Robin Hooda* i jego prosty przekaz – zło było zawsze karane, prawość wynagradzana, sprawiedliwość triumfowała. Zabierać bogatym i dawać biednym, oto podstawowe dogmaty komunizmu. Zamiast zsuwać się ze stołka w barze i iść za Grahamem, powinna przywdziać budrysówkę i w sobotnie poranki sprzedawać „Socjalistycznego Robotnika” na mokrych i wietrznych skrzyżowaniach ulic (oraz nadal kochać się z tyłoma mężczyznami, że nie mogłaby pamiętać ich imion, o twarzach nie wspominając).

„Nigdy mnie nie dorwą”. A jednak. Pomyślała o osaczonym jeleniu na ścianie ich salonu, o jego wywiniętych wargach i zębach obnażonych z przerażenia na widok nadciągającej sfory. Żadnej ucieczki. Oczywiście jeleni był zwierzęciem zbyt sympatycznym, żeby porównywać do niego Grahama. Jej mąż bardziej przypominał srokę, skrzekliwego ptasiego chuligana okradającego cudze gniazda.

– Wielbłądy i ucha igielne – zwróciła się do Grahama.

Nie miał nic do powiedzenia na żaden z tych tematów; jedyny dźwięk słyszalny w pomieszczeniu wydobywał się z urządzeń, które podtrzymywały go przy życiu. „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” Odpowiedz mi.

W tej samej chwili na OIOM wszedł pastor Kościoła Szkocji sumiennie posługujący zbłąkanym owieczkom ze swojej trzódki. Gloria wpisała „Kościół Szkocji” w szpitalne dokumenty Grahama wyłącznie po to, żeby go wkurzyć, gdyby jakimś cudem przeżył. Teraz pożałowała, że nie wpisała

„dżinista”, „buddysta” albo „druidysta”; mogłoby to doprowadzić do ciekawej i pouczającej dyskusji z kapłanem, który akurat reprezentowałby te religie w Szpitalu Królewskim. Natomiast pastor Kościoła Szkocji, poza tym, że się zdumiał, słysząc, jak Gloria cytuje Pismo („Dziś nikt tego nie robi”), okazał się nieszkodliwym rozmówcą, który gawędził z nią o globalnym ociepleniu i kłopotach ze ślimakami.

– Gdybyż tylko dało się je przekonać, żeby się żywiły *chwastami* – powiedział, załamując ręce.

– Może niech się pastor o to pomodli – zachęciła go Gloria.

– Cóż, nie ma pokoju dla bezbożnych – oznajmił wreszcie pastor, wstając i ujmując oburącz jej dłoń na całą nabrzmiałą emocjami chwilę. – To zawsze trudny czas, gdy ktoś, kogo kochamy, leży w szpitalu – dodał, zerknąwszy nieuważnie na Grahama.

Nawet leżąc na wznak w śpiączce, Graham nie wyglądał na kogoś, kogo można by kochać.

– Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze dla pani – wymamrotał pastor.

– Ja też mam taką nadzieję – odparła Gloria.

Louise biegła. Nie cierpiała biegać, ale było to minimalnie lepsze od chodzenia na siłownię. Siłownia wymagała konsekwencji i zaangażowania, a ona – nie licząc pracy – była beznadziejna, jeśli chodzi o konsekwencję i zaangażowanie. Wystarczyło zapytać Archiego. Zatem, ogólnie rzecz biorąc, łatwiej było jej zacisnąć zęby, wciągnąć dres i najpierw statecznie potruchtąć dla rozgrzewki wokół osiedla, a następnie wypuścić się na pola albo nawet, jeśli czuła się wyjątkowo szlachetnie albo miała akurat wyrzuty sumienia (dwie strony tego samego medalu), pobiec na wzgórze i z powrotem. Bieganie miało jedną zaletę: można było spokojnie pomyśleć. Rzecz jasna, była to także wada. Dualizm, edynburska choroba, Jekyll i Hyde, ciemność i światło, wzgórze i dolina, Nowe Miasto, Stare Miasto, katolicy i protestanci. Raz jedno było górą, raz drugie. Odwieczna manichejska dychotomia. Miała wolny dzień, więc mogła pójść popływać, przeczytać książkę, zrobić zaległe pranie, ale nie, musiała oczywiście pchać się na to cholernie wielkie wzgórze. Spowiedź usprawiedliwionego grzesznika. *Antysyzygia i szkocka psyche*. Przerabiała Hogga do swojej pracy licencjackiej, ale kto tego nie robił?

Poprzedniego wieczoru wypila umiarkowaną, w swojej ocenie, ilość wina – trzy kieliszki – i teraz miała za swoje. W ustach czuła smak starego kaptia i kaczki po pekińsku, która stanowiła podkład pod wino i wciąż z wielką żywotnością dawała znać o sobie. Rzadkie i nieco spóźnione babskie wyjście do Jasmine, żeby uczcić jej awans sprzed dwóch tygodni. Później postanowiły obejrzeć jakiś festiwalowy spektakl – nieprzemyślana, spontaniczna eskapada, w której nie wzięły pod uwagę faktu, że bilety na cokolwiek, co miało jakąś wartość, dawno się rozeszły. Ostatecznie wylądowały w speluncie, w całkiem stosownym sąsiedztwie policyjnej

kostnicy, gdzie obejrzały występ jakiegoś koszmarne komika, niegdysiejszej gwiazdy. Wystarczyły trzy kieliszki, żeby Louise zaczęła go zakrzykiwać. Hałaśliwą gromadką wróciły przez stare miasto, wyśpiewując na całe gardło *You Make Me Feel Like A Natural Woman*, niczym uczestniczki wieczoru panieńskiego z piekła rodem. Louise wolała myśleć, że było to wierne naśladownictwo wykonania Carole King, a nie coś bardziej wyuzdanego, wiedziała jednak, że tylko się łudzi. Miały szczęście, że nie zgarnęła ich policja. Co za wstyd.

No i proszę, teraz za to płaciła; żaden członek tej sekty, jaką stanowili mieszkańcy Szkocji, nie mógł się wykpić od kary. Nic na piękne oczy.

Zanim dotarła do połowy zbocza, zdążyła się porządnie zasapać. Miała trzydzieści osiem lat i martwiła się, że nie jest tak sprawna, jak by chciała i jak powinna być. Bolało ją dokładnie tam, gdzie znajdowałby się wyrostek, gdyby ciągle go miała – wyobraziła sobie pustą przestrzeń w miejscu, gdzie gnieździł się kiedyś niczym tłusta larwa. Wycięto go jej przed rokiem (w żargonie personelu szpitalnego „usunięto”). Zarówno jej matka, jak i babka musiały się poddać appendektomii, a ona zastanawiała się, czy podobny zabieg czeka również Archiego.

Archie przebąkiwał, że przed rozpoczęciem studiów chciałby przez rok podróżować, choć w wieku czternastu lat obydwie perspektywy – podróżowania i studiowania – wciąż wydawały się zbyt odległe, by traktować je jak coś więcej niż mglistą, nierealną przyszłość. Była ciekawa, czy uda jej się przekonać go, aby poddał się planowemu zabiegowi usunięcia zbędnych organów, zanim wyruszy w podróż (*o ile* w nią wyruszy; nie wierzyła, by starczyło mu na to energii, był taki leniwy), żeby przypadkiem gdzieś w połowie drogi na nowozelandzki szczyt nie dopadło go zapalenie otrzewnej. Gdyby żyli jakieś sto lat temu, już byłoby po niej. Albo weźmy zęby – mnóstwo ludzi musiało umrzeć z powodu zębów, ropni, które prowadziły do zakażenia krwi. Drobne zadrapanie, zwykłe przeziębienie. Banalne drobiazgi. Jej własna matka umarła na marskość wątroby – skóra w kolorze starożytnego pergaminu, narządy

wewnętrzne jak kiszone ogórki. Dobrze jej tak. Gdy tydzień wcześniej Louise szła ją zobaczyć w komunalnym zakładzie pogrzebowym, musiała się powstrzymać, żeby nie wziąć ze sobą igły – stara marynarska sztuczka wobec tych, którzy umarli na pełnym morzu – i nie wbić w poźółkłą (jak zjełczały ser) tkanę jej nosa. Na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że naprawdę nie żyje.

Pogrzeb odbył się przed trzema dniami w krematorium Mortonhall. Sama ceremonia była równie drętwa jak życie jej matki. Choć na imię miała Aileen, dyżurny pastor z uporem nazywał ją Eileen, lecz ani Louise, ani garstka ludzkich wraków uważających się za przyjaciół zmarłej nie zadali sobie trudu, aby go poprawić. Louise nawet się podobało, że „Eileen” robi z matki kogoś całkiem innego, obcą osobę.

Gdy po skończonym biegu rozciągała się na ścieżce przed domem, zauważyła coś na progu w miejscu, gdzie powinna stać butelka mleka, gdyby w tej okolicy rozwożono mleko. Nijaki brązowy kanister. Poczowała irracjonalny lęk. Czyżby bomba? Jakiś dziwaczny żart? Czy otworzywszy go, znajdzie w środku odchody, robactwo albo truciznę? Na chwilę ogarnęła ją panika, dopóki nie uświadomiła sobie, że to urna z tym, co zostało z jej matki. Z bliżej niesprecyzowanego powodu spodziewała się czegoś gustownego i klasycznego – amfory z alabastru z pokrywą i ozdobnym zwieńczeniem – nie czegoś zrobionego z plastiku, co w oczach niezorientowanych mogło wyglądać jak puszka herbaty. Przypomniała sobie kuzyna matki mówiącego, że w imieniu Louise odbierze prochy z krematorium. Gdyby sama miała to zrobić, w ogóle by się nie pofatygowała.

Teraz miała kłopot, co zrobić z prochami. Czy mogła je tak po prostu wyrzucić do śmieci? Coś jej mówiło, że to może być nielegalne.

Przekręciła klucz w zamku. Musiała mocno popchnąć, żeby drzwi się otworzyły. Lato było deszczowe i drewno w całym domu spęczniało, choć te drzwi od początku były wypaczone. Dom liczył sobie raptem trzy lata, lecz wszędzie było mnóstwo irytujących niedoróbek: wystające zadry, o których

wygładzenie nie mogła się doprosić, popękany tynk, krzywo zamocowane gniazdko, nieuziemiony zlew. Wielkie dzięki, Grahamie Hatterze. Domek typu „Kinloch” był najmniejszym jednorodzinnym modelem dostępnym na rynku, ale jednak był to dom, prawdziwy dom, taki, jakie rysowała, będąc dzieckiem: dwa okna i drzwi pośrodku. Wyglądał jak domy, które zamieszkiwały idealne rodziny – takie też rysowała: mama, tata, dwoje dzieci i pies. W rzeczywistości miała tylko matkę, i to biedną jak mysz kościelna. Biedna Louise. Gdy myślała o sobie w dzieciństwie, zwykle robiła to w trzeciej osobie. Przypuszczała, że każdy psychiatra miałby z tego powodu nie lada używanie, ale na pewno żaden taki nie będzie jej mącił w głowie.

Nowoczesne budownictwo to tandeta, ale przynajmniej jej osiedle (Glencrest) dawało poczucie bezpieczeństwa – na tyle, na ile to możliwe. Większość sąsiadów tej enklawy знаła się, choćby tylko z widzenia. W pobliżu nie było żadnych pubów, była za to straż sąsiedzka, młode kobiety z wózkami, które należały do klubów matki i dziecka, oraz mężczyźni, którzy co weekend pucowali swoje auta. Bardziej normalnie się nie da.

Zabrała urnę do środka i postawiła na kuchennym ociekaczu. Odkręciła wieczko, przesyła część zawartości na spodek i przyjrzała jej się uważnie, grzebiąc w niej nożem niczym technik kryminalistyki. Ziarnista, przypominająca bardziej klinkier niż popiół. Louise poniekąd spodziewała się znaleźć kawałek zęba lub rozpoznawalną kość. Odpady toksyczne. Może gdyby naląła na spodek wody, jej matka by zmartwychwstała, glina wskrzeszona z prochu. Jej delikatne jak skrzydła śmy płuca ponownie napełniłyby się powietrzem, a ona uniosłaby się niczym dżin, usiadła na wprost Louise przy jej zbyt małym stole w zbyt małej kuchni i powiedziałyby, jak bardzo żałuje wszystkich swych złych uczynków. Louise odparłaby: „Za późno, kurwa, wracaj do swojej urny”.

Żelek, stary i artretyczny kot, wskoczył niezgrabnie na ociekacz i z nadzieją powąchał zawartość spodka. Ostatnio podupadł na zdrowiu, w jego ciele rósł guz. Weterynarz twierdził, że wkrótce nadejdzie ten czas, gdy Louise będzie

musiała podjąć decyzję.

Żelek był kiedyś ruchliwą kuleczką futra lekką jak piórko; teraz został z niego wiotki worek kości. Był starszy niż Archie. Louise знаła go właściwie dłużej niż kogokolwiek innego z wyjątkiem matki, ale ta się nie liczyła. Znalazła go, gdy był kociakiem porzuconym w opustoszałym domu. Nigdy wcześniej nie miała własnego zwierzątka, nawet nie lubiła kotów – i nadal ich nie lubiła, ale kochała Żelka. Tak samo było z dziećmi – nie lubiła niemowląt, nie lubiła dzieci, ale Archiego kochała. Nie mogła tego nikomu powiedzieć (zwłaszcza Archiemu), bo uznano by ją za wariatkę, ale wydawało jej się, że kocha Żelka na równi z Archiem. Może nawet bardziej. Stanowili jej dwie pięty achillesowe. Mówi się, że miłość dodaje sił – ale zdaniem Louise było dokładnie na odwrót. Miłość wkręcała się człowiekowi w serce i nie mógł się jej pozbyć, chyba że rozerwałby sobie serce na strzępy. Pocałowała czubek trzęsącego się kociego łebka i poczuła, że płacz dławi ją w gardle. Chryste, Louise, weź się w garść, do cholery.

Drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i zaraz zatrzęsnęły. Przejściu Archiego przez dom towarzyszyły odgłosy ciskanych na podłogę rzeczy i stukot mebli, o które się obijał. Był jak kulka w automacie do gry. Wpadł z impetem do kuchni, prawie potykając się o własne stopy. Po jego narodzinach położna powiedziała: „Chłopcy demolują ci dom, dziewczynki serce”. Archie najwyraźniej obrał sobie za cel jedno i drugie.

Wydawał się zgrzany i rozdrażniony. Znała to uczucie, kiedy nagle trzeba włożyć szkolny mundurek, choć wydaje się, że jest środek lata. Angielscy uczniowie rozpoczynali nowy semestr od września, jednak szkockie władze szkolne uważały za świetny pomysł zmuszanie dzieciaków do nauki w czasie kanikuly. To musiało mieć coś wspólnego z prezbiterianizmem. Zapewne pewnego pięknego sierpniowego poranka John Know wyrzwał przez okno i widząc jakieś dziecko toczące obręcz po ulicy (czy co tam dzieciaki w szesnastym wieku robiły dla zabawy), stwierdził, że zamiast tego powinno cierpieć w dusznej klasie wciśnięte w idiotyczny mundurek. Tak, to by było podobne do Knoxa, pomyślała Louise. Hej, Knox, zostaw tego dzieciaka

w spokoju!

Co się stało z jej syneczkiem, czy pożarł go ten potwór? Jeszcze nie tak dawno Archie był ślicznym dzieckiem – jedwabiste blond włoski, pełne ramionka, które aż chciało się całować. Teraz patrząc na niego – na to pokraczne ciało, jakby złożone z pozbieranych po innych ludziach kawałków – trudno było uwierzyć, że jakakolwiek kobieta uzna go kiedyś za atrakcyjnego i zechce się z nim przespać, że Archie będzie się wił, szczytował i kogokolwiek macał, że będzie to robił z dziewczycami i mężatkami, studentkami i ekspedientkami. Serce jej krwawiło na widok tej jego nowej brzydoty, tym bardziej przejmującej, że zdawał się jej nie dostrzegać.

– Co to? – spytał Archie, zerkając na spodek z prochami.

Żadnego: „Cześć, mamó” czy „Jak ci minął dzień?”.

– Moja matka. To, co z niej zostało.

Mruknął coś, co miało wyrażać zaskoczenie.

– W ubiegłym tygodniu ją skremowali – przypomniała mu Louise.

Publiczne spalenie. Nie pozwoliła Archiemu pójść do krematorium; trzymała go z dala od babki, gdy ta jeszcze żyła, i nie zamierzała pozwolić, aby tracił czas z jej powodu, gdy w końcu umarła. Sama wzięła wolny ranek, mówiąc w pracy, że ma umówioną wizytę w szpitalu. Niewiarygodne, jakie kłamstwa można ludziom wciskać, a ci wierzą w nie bez wahania. Gdyby ktoś przejrzał jej historię zatrudnienia, przekonałby się, że według akt już dawno straciła matkę. Wszyscy, których Louise znała, sądzili, że jej matka zmarła przed wieloma laty. „Bo dla mnie umarła” – broniłaby się, gdyby zarzucono jej poświadczenie nieprawdy.

Archie wziął spodek do ręki i uważnie przyjrzał się jego zawartości.

– Fajne – rzucił – mogę to sobie wziąć?

Nie jego wina (codziennie musiała sobie o tym przypominać), że jakiś niezycziwy biologiczny imperatyw zmienił go w pracującą pełną parą fabrykę hormonów na dwie zmiany produkującą całe strumienie tego świństwa. Powinien teraz grać w piłkę nożną, pływać w basenie w kościelnym klubie

młodzieżowym albo maszerować na paradzie z innymi kadetami – cokolwiek, byle skanalizować jakoś ten nadmiar substancji chemicznych w swoim organizmie. Ale nie, on wolał zalegać w swojej śmierdzącej norze zwanej sypialnią podpięty do iPoda, PlayStation, komputera i telewizora niczym jakaś na poły ludzka, na poły mechaniczna hybryda, potrzebująca elektryczności, żeby przeżyć. Bioniczny chłopiec.

Przynajmniej nie zażywał narkotyków (w każdym razie jeszcze nie). Była przekonana, że natychmiast by się zorientowała. Trochę pornografii w postaci kolorowych pisemek – wątpiła, aby zdołał przed nią cokolwiek ukryć, była bezwzględna, była ekspertem, jeśli chodzi o te rzeczy, była matką. Kilka stosunkowo łagodnych świerszczyków, nic poza tym. U czternastolatka to chyba norma? Lepiej być realistką, niż stosować drakońskie metody. O ile wiedziała, żadnego ściągania pornosów z sieci, chyba że zdobył skądś kartę kredytową, choć to byłaby łatwizna; Archie miał rękę do komputerów, ale nie był tak dobry jak jego kumpel Hamish Sanders. Jak na czternastolatka Hamish był przerażająco dobry. Na pewno obaj mieli do tego odpowiedni sprzęt. Hamish założył Louise bezprzewodowe łącze szerokopasmowe, poza tym był hakerem, nie miała co do tego większych wątpliwości. Nie lubiła Hamisha, bo był fałszywy i był urodzonym kłamcą. Louise również kłamała jak z nut, ale z powodów praktycznych, nie żeby komuś zaszkodzić. Tak się przynajmniej usprawiedliwiała.

Za pierwszym razem, gdy Archie go do nich przyprowadził, Hamish powiedział: „Dzień dobry, pani Monroe, mogę mówić pani po imieniu?”, ona zaś była tak zaskoczona, że nie odparła: „Nie, nie możesz, ty gówniarzu”. Hamish był nowym kolegą z klasy Archiego, wylanym ze szkoły dla bogatych dupków i wcisniętym do Gillespie przez zamożnych rodziców. Louise wciąż usiłowała się dowiedzieć, za co go wylali. „Takie tam” – mruknął Archie. „Ooo, twoja mama to bombowa policjantka, Archie – podsłuchiwała kiedyś ich rozmowę – jest taka władcza, uwielbiam to”.

Nie była pewna, ile właściwie Archie wie o hakowaniu. Nie

miałaby nic przeciwko temu, gdyby próbowali włamać się do Pentagonu albo doprowadzić do upadku jakiś międzynarodowy koncern, ale pewnie po prostu grzebali w mailach jakiegoś biedaka z Singapuru czy Düsseldorfu.

Tamta kradzież w sklepie była zapewne jednorazowym wybrykiem. Wszystkie dzieciaki kradły. Louise też. U Woolwortha aż się prosili, żeby podwędzić im towar – słodycze, ołówki, breloczki, szminki. Louise mogłaby o nich najwyżej pomarzyć, gdyby sama ich sobie nie wzięła. Kiedy trochę podrosła i w soboty pracowała u Woolwortha, zawsze przymykała oko na dzieciaki, które kradły. Ale jej własny syn to co innego. Rób, co ci każe, i nie powtarzaj moich błędów.

Spójrzmy też na pozytywy – Archie miał przyjaciół (podobnych sobie ubierających się na czarno obiboków, ale zawsze to przyjaciele) i nadal żył. W przypadku dzieciaków to najważniejsze. Ich śmierć była nie do pomyślenia. Nigdy o tym nie myśl, na wypadek gdyby się spełniło, jak jakieś złe czary.

– Co w szkole?

Ich codzienna litania, odkąd skończył pięć lat.

– Co robiliście?

Nigdy nie doczekała się zadowolającej odpowiedzi: „Rysowaliśmy drzewo, na lunch był budyń, jeden chłopak przewrócił się i poobijał”. Zero informacji o programie nauczania. Louise zastanawiała się kiedyś, czy w ogóle ich czegoś uczą. Teraz nie mogła liczyć nawet na te codzienne kąski.

Archie coś wymamrotał.

– Słucham?

– Różne rzeczy – odparł, gapiąc się w podłogę.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio nawiązali kontakt wzrokowy.

– Robiłeś w szkole „różne rzeczy”?

– Uhm.

– A konkretnie?

– No... – Udawał, że się zastanawia.

Wyglądał na nieobecnego, roztargnionego. Czyżby coś wziął?

– Co zawdzięczamy nazistom – wydukał wreszcie.

– Chyba coś ci się pomyliło.

Chciałaby się z nim porządnie pokłócić, sprowokować karczemną awanturę, ale on tego nie potrafił; kiedy na niego naskakiwała, po prostu cichł i cierpliwie czekał, aż się wykrzyczy, a potem pytał: „Mogę już iść?”.

Zadzwonił telefon. Nie musiała podnosić słuchawki, żeby wiedzieć, że dzwonią z pracy. Tego dnia miała wolne, ale cierpieli na niedobory kadrowe, ludzi wykosił jakiś wirus, więc przez cały dzień spodziewała się wezwania. Rozmawiając przez telefon, przyglądała się Archiemu. Mierzył się wzrokiem z kotem, który z nich dłużej wytrzyma – w sumie żadne wyzwanie, bo Żelek miał kataraktę i ostatnio równie często jak Archie wpadał na ściany i meble. Jej syn zdawał się nie przejawiać cieplejszych uczuć wobec zwierząt, choć jeszcze nigdy nie widziała, żeby któregoś potraktował okrutnie. Nie jest potencjalnym psychopatą, upomniała się w duchu, tylko czternastoletnim chłopcem. Jej synkiem. Odłożyła słuchawkę.

– Muszę iść – rzuciła. – W Cramond zdarzył się pewien incydent.

– Wiem, co znaczy incydent – odparł – to znaczy, że ktoś nie żyje.

Louise wolałaby, żeby wyglądał na mniej podekscytowanego tą myślą.

– Prawdopodobnie – przyznała.

Martina coraz bardziej zaczynało mdlić. Zjadł za dużo miętówek i nic poza tym, jeśli nie liczyć skromnego tosta na śniadanie, które spożył tego ranka, w innym życiu.

Wyszedł na zewnątrz zaczerpnąć powietrza i zapoznał się z rozkładami jazdy autobusów. Potem siedział na murku, dopóki nie zaczęło padać, wówczas wrócił do środka i odszukał kaplicę szpitalną. Była przyjemnie nijaka i cicha – co za ulga po nieustannej bieganinie, na której zdawało się zasadzać życie szpitala. Przez cały ten czas miał ze sobą torbę Paula Bradleya. Była czarna, uszyta z taniej sztucznej skóry i nie wiedzieć czemu robiła wrażenie bardzo męskiej. Wydawała się zapadnięta niczym bezzębne usta, jej dziwny ciężar sugerował, że kryje w środku cegłę albo Biblię. Martin położył ją na sąsiednim krześle.

Nieznajomy, na którego tak stoicko czekał, budził w nim coraz większą ciekawość. Im dłużej czekał, tym bardziej był zaintrygowany. Przyszło mu do głowy, że w całej tej historii może kryć się opowiadanie, może nawet powieść, i to poważna, nie w stylu tych o Ninie Riley. Fabuła utkana wokół postaci tajemniczego nieznanego, który pewnego dnia zjawia się w mieście. Nie, to brzmiało jak *Za garść dolarów*. Mężczyzna, którego dzień wywraca się do góry nogami, który z anonimowego i nikomu nieznanego człowieka niespodziewanie staje się bohaterem dramatu. Byłaby to powieść egzystencjalna, a zarazem trzymająca w napięciu (doświadczenie mówiło mu, że te dwie rzeczy rzadko chodzą ze sobą w parze). Dokąd zmierzał Paul Bradley, zanim odmienił się jego los? I to przez taki drobiazg. Człowiek schodzi ci z krawężnika prosto przed maskę. Dziewczyna pyta: „Chcesz kawy?”. Drobiazgi potrafią na zawsze odmienić życie.

Martin był ciekaw, czy do kaplicy rzeczywiście przywiodła go

bezcelowa włóczęga po szpitalu. Może wiedział, że tu właśnie będzie najspokojniej? Czy nie kryła się za tym dziwnie nieprzyzwoita pokusa, żeby zajrzeć do torby? Czyż nagrodą za to, że się jej ulegnie, nie była wiedza? Ewa, nieposłuszna żona Adama, dobrze o tym wiedziała. Podobnie jak nieposłuszna żona Sinobrodego – bezimienna jak zmyślona małżonka Martina.

Niepotrzebnie się łudził. Czy nie dostał wystarczającej nauki? Uległ pokusie w Petersburgu i proszę, jak to się skończyło. Wiedza nie zawsze jest dobra. Spytajcie Ewę. Szperanie w cudzej torbie było czymś niewłaściwym, nie da się temu zaprzeczyć. Moralny człowiek tak nie postępował. Mimo to, gdy ta myśl załęgła się w jego głowie, nie potrafił jej od siebie odsunąć. Czuł więc z Paulem Bradleyem, ostatecznie ocalił mu życie. Kto wie, może to był najlepszy uczynek, jaki miał spełnić w swoim życiu? Czy owa więc nie dawała mu prawa, żeby wiedzieć więcej? Można się zmagać z pokusami, można mówić nie, nie przejdę przez te drewniane drzwi i nie kupię Ludmiły albo Swietłany, lecz w końcu podrywa się dziewczynę ze straganu z matroszkami. „Jesteś tchórzliwym pedałem bez kręgosłupa, Martinie”. Kwieciste słownictwo ojca... Przy jakiej okazji Martin to usłyszał? Nie mógł sobie przypomnieć. Najprawdopodobniej wtedy, gdy odszedł z podchorążówki, bo nie mógł ukończyć biegu z przeszkodami. Podrywa się dziewczynę o imieniu Irina, o najbledszej skórze, która nazwała go Marty.

Oczywiście mogłaby to być opowieść o kimś takim jak Martin, człowieku, któremu nic się nigdy nie przytrafia. *Mężczyzna, któremu nic się nigdy nie przytrafiało.* O tym, jak został niespodziewanie uwikłany w czyjeś życie i odkrył w torbie coś, co na zawsze odmieniło jego świat. To nie była prawda. Przez cały czas się okłamywał. Coś mu się przytrafiło. Raz. Pewien *incydent*. Przytrafiła mu się dziewczyna ze straganu z matroszkami. Raz całkowicie wystarczy.

Kaplica była pusta. Kilkakrotnie się co do tego upewnił. Właśnie tak by się czuł, gdyby miał się publicznie masturbować – choć nie można powiedzieć, by kiedykolwiek miał na to

ochotę. Co to byłby za koszmar, gdyby go przyłapano! Od niechcenia, jakby to była jego torba, a on musiał coś z niej wyjąć, chwycił za suwak i pociągnął. Kosmetyczka, zmiana bielizny, jakieś pudełko i to wszystko. Pudełko było zwyczajne, całkiem czarne jak torba, ale zrobione z jakiegoś sztywnego plastiku, z metalowymi zatrzaskami i usiane drobnymi wgłębieniami niczym skórka pomarańczy. Nic więcej: zajrzał do torby i nie znalazł w niej niczego, co powiedziałoby mu coś więcej o Paulu Bradleyu. Tylko czarne pudełko, zagadka w zagadce. Być może w środku będzie inne pudełko, i tak dalej, jak w matryoszce. Jego własnej matryoszce, preludium do krótkotrwałych zalotów i skonsumowania związku z dziewczyną ze straganu z matryoszkami. Czy tamto nie było dla niego wystarczającą nauką? Nauką, żeby nie zapuszczać się, gdzie nie trzeba?

Ktoś wszedł o kaplicy i Martin zacisnął dłoń na torbie, jakby ta miała głośno wykrzyknąć imię winowajcy. Myślał, że to jakiś pacjent albo krewny pacjenta, lecz okazało się, że to tylko duchowny, który uśmiechnął się do niego krzepiąco i zapytał: „Wszystko w porządku?”. Martin potwierdził, że wszystko gra, na co pastor skinął głową i rzekł: „To dobrze, bardzo dobrze, to zawsze trudny czas, gdy ktoś, kogo kochamy, leży w szpitalu”, po czym wyszedł.

Paul Bradley mógł być kimś w rodzaju przedstawiciela handlowego, komiwojazerem, czarne pudełko mogło zawierać próbki. Próbki czego? A może w środku była biżuteria? Jakiś prezent? Coś, co Bradley miał komuś dostarczyć? Co by szkodziło zajrzeć? Czy Martin w ogóle mógł tego *nie* zrobić? Dopiero gdy zwolnił metalowe zatrzaski i zaczął unosić wieko, przyszło mu do głowy, że to może być bomba.

– Tu się schowałeś, Martinie! – Martin zatrzaskał pudełko.

Serce poszybowało mu kilka pięter w górę, by zaraz gwałtownie opaść z powrotem.

– Wszędzie cię szukaliśmy – dodała Sarah, pielęgniarka z ładnym uśmiechem, która pojawiła się w drzwiach kaplicy.

– Twój znajomy został wypisany, może już wyjść.

– Świetnie. Zaraz idę – odparł Martin zbyt głośno,

bezmyślnie szczerząc do niej zęby i jednocześnie ukradkiem zaciągając suwak.

Wstał, a Sarah, dotykając jego łokcia, zapytała:

– Dobrze się czujesz, Martinie?

Wyglądała na zatroskaną, wiedział jednak, że nazajutrz zapomni, jak miał na imię.

– Witaj, Martinie – odezwał się Paul Bradley.

Czekał na korytarzu z zabandażowaną głową, lecz poza tym wyglądał całkiem zdrowo. Wziął torbę, mówiąc:

– Dzięki, że się nią zaopiekowałaś.

Wystarczył mu rzut oka na torbę, żeby odkryć, że ktoś w niej grzebał, Martin nie miał co do tego wątpliwości.

– Odmawiałaś pacierz, Martinie? – zainteresował się Paul Bradley, wskazując ruchem głowy kaplicę.

– Właściwie to nie.

– Czyli nie jesteś wierzący?

– Nie. Absolutnie nie.

Dziwnie to brzmiało, gdy Paul Bradley zwracał się do niego: „Martinie”, jakby byli kumplami.

Na postoju przed szpitalem stała tylko jedna samotna taksówka.

Martin przypomniał sobie nagle o srebrnym peugeocie i zatroszczył się, co się z nim stało. Najpewniej zajęła się nim policja, ale Paul Bradley zdawał się nieporuszony tym faktem. „Był wypożyczony” – stwierdził niefrasobliwie. Samochód Martina wciąż stał tam, gdzie go wcześniej zostawił Richard Moat, na parkingu przy centrum handlowym St. James. Było za późno, żeby po niego jechać; Martin wolał sobie nie wyobrażać, ile rano będzie go kosztowało jego odzyskanie.

W zasadzie nie zastanawiał się, dokąd pojedą, dopóki nie wsiedli do taksówki i kierowca nie zapytał: „Dokąd?”. Zanim Martin zdążył się odezwać, Paul Bradley rzucił: „Hotel Czterech Klanów”. Martin zaprotestował i zaproponował własne lokum (jakby mało mu było Richarda Moata). Paul Bradley tylko się roześmiał i odparł, że zgodził się, by ktoś nad nim czuwał, tylko po to, żeby się wyrwać ze szpitala, wobec czego Martin może się czuć „zwolniony z tego obowiązku”. Poprosił Martina o adres

i zwrócił się do taksówkarza: „Słyszał pan?”. Wyjął z pliku banknotów w portfelu dwadzieścia funtów i podał je kierowcy. „Zawieziesz go tam, jak podrzucisz mnie do hotelu. Zgoda, kolego?”.

Co za zimna krew, pomyślał Martin, facet mógł dzisiaj zginąć, a tu proszę, prawdziwy z niego twardziel. Tylko fachowy opatrunek na głowie mógł świadczyć o tym, że jego dzień potoczył się inaczej, niż to sobie zaplanował. Martin, gdy musiał zwrócić mu portfel, czuł dziwną niechęć, której nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Taksówka zajeżdżała przed niewielki hotel klasy turystycznej na West Endzie, zwany Hotelem Czterech Klanów. W jednym z okien wisiał podświetlony na czerwono neon z informacją: „Wolne pokoje”. Zdaniem Martina hotel wyglądał przez to jak burdel. Nie miał pojęcia, o jakie cztery klany chodzi. Jako Szkot z urodzenia i z przekonania, urodzony w Edynburgu, lecz wychowany gdzie indziej, Martin dobrze wiedział, że nigdy nie zrozumie pewnych rzeczy związanych ze swoją rodzimą kulturą i historią.

– Tylko to udało mi się znaleźć – oświadczył Paul Bradley, spoglądając przez okno taksówki na mało atrakcyjną fasadę hotelu. – W całym mieście brak wolnych miejsc.

– Mamy festiwal – mruknął pośepnie Martin.

Paul Bradley wysiadł z taksówki. Martin westchnął i z determinacją podążył za nim. Nie miał innego wyjścia; bez względu na to, jak bardzo chciał wrócić do domu i położyć się we własnym wygodnym łóżku, zwyczajnie nie mógł pozwolić Paulowi Bradleyowi odejść w ten sposób. Zawarł przecież umowę z sympatyczną pielęgniarką o imieniu Sarah.

– Serio – powiedział Paul Bradley – wracaj do domu, kolego.

Martin z uporem pokręcił głową, niemal wrastając w chodnik, jakby Paul Bradley miał go siłą wsadzić do taksówki.

– Nie mogę. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyś umarł tej nocy w pokoju hotelowym z dala od domu, rodziny, przyjaciół.

Martin zdawał sobie sprawę, że mówi jak wujek dobra rada, i nie przypuszczał, aby udało mu się przekonać kogoś takiego jak Paul Bradley.

– Nie umrę, Martinie.

– Mam taką nadzieję, ale wolałbym mieć pewność – stanowczo stwierdził Martin. – Może pan jechać – dodał, zwracając się do taksówkarza, zatrzasnął drzwi od strony pasażera i poklepując je dwukrotnie jak koński zad; nietypowy dla niego stanowczy gest, który jego samego zadziwił.

Dźwignął torbę Paula Bradleya, zdecydowanym krokiem wspiął się po kamiennych schodach i przeszedł przez drzwi obrotowe hotelu, zanim Paul Bradley zdążył ponownie zaprotestować.

Paul Bradley podążył za nim do pustej recepcji, zrezygnowany machnął ręką, roześmiał się i powiedział:

– Zgoda, Martinie. Niech ci będzie, stary.

Pomimo późnej pory w hotelu pachniało smażonym bekonem, aż Martinowi pocięła ślinka, choć od dwudziestu lat nie jadł wieprzowiny i nie zamierzał teraz zaczynać. Było tu niespodziewanie tanio i – czego akurat można się było spodziewać – obskurnie. Wszystko, co tylko się dało, zdobила szkocka krata, nawet sufit pokrywał pogrzebowy wzór noszony przez tak zwaną Czarną Straż. Na ścianach wisiały oprawione w ramki widoczki starego Edynburga oraz insygnia heraldyczne szkockich klanów umieszczone na drewnianych tarczach.

Martin miał w domu książkę poświęconą klanowym tartanom, kupioną, gdy szukał wzoru na kilt. Łudził się wtedy, że jako pisarz będzie wiódł życie pełne przepychu, zapraszany na eleganckie kolacje i lunche z celebrytami, może nawet podejmowany w pałacu Holyrood. Alex Blake otrzymywał mnóstwo zaproszeń, lecz Martin zawsze czuł, że stanowi nieodpowiednie zastępstwo swojego o wiele bardziej ekscytującego alter ego. Miał wrażenie, że wszyscy spoglądają ponad jego ramieniem, wypatrując prawdziwego Alexa Blake'a, i w ostatnim czasie rzadko gdziekolwiek bywał.

Jego matka była z domu McPherson, więc ostatecznie zdecydował się na kilt w barwach klanu McPhersonów. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by go nosić publicznie, więc strój wisiał zapomniany w szafie. Od czasu do czasu Martin

przymierzał go i nosił po domu, pachniało to jednak dziwną konspiracją, jakby był utajonym transwestytą, nie zaś buńczucznym Szkotem.

Paul Bradley zdecydowanie nacisnął staroświecki mosiężny dzwonek w recepcji. W wytłumionym wnętrzu jego dźwięk zabrzmiał bardzo głośno.

– Nie sądzisz, że jest trochę za późno, żeby się zameldować? – zatroskał się Martin.

Paul Bradley spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi i odparł:

– To ja *im* płacę, Martinie, nie robią mi żadnej grzeczności.

Za kontuarem pojawił się niesympatyczny nocny portier i odstawił szopkę, udając, że szuka rezerwacji Paula Bradleya. Potem zmierzył ich obu wzrokiem i oznajmił: „Tutaj mam napisane, że ma być jedyńka”. Martin już miał powiedzieć: „Nie jesteśmy gejami”, ale się zawahał. A jeśli Paul Bradley *jest* gejem? Mógłby uznać takie oświadczenie za obraźliwe. (Zresztą nocny portier też mógł być gejem). Przyszło mu do głowy, że gdyby on sam był gejem, Paul Bradley jako potencjalny partner byłby poza jego zasięgiem, nawet na jedną noc.

– Ja tu nie nocuję – zwrócił się do nocnego portiera. – To znaczy nie będę tu spał.

– Mam gdzieś, co będziecie robili – odparł nocny portier cierpiętniczym tonem, ledwo rzucając okiem na opatrunek na skroni Paula Bradleya – ale jeśli jest was dwóch, musicie zapłacić za dwójkę.

– Nie ma sprawy – odrzekł uprzejmie Paul Bradley, wyjmując z portfela kolejne banknoty dwudziestofuntowe i kładąc je na kontuarze.

Martin chciał znów wziąć jego bagaż, ale Paul Bradley mruknął:

– Daj spokój, Martinie, nie jesteś moim służącym – i zarzucił sobie ciężką torbę na ramię, jakby nic nie ważyła, po czym ruszył na górę po schodach, z Martinem drepczącym w ślad za nim po miękkim chodniku w barwach klanu Stewartów.

Martin odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć w zbolale oczy wielkiego pogryzionego przez mole jelenia, którego głowa

wisiała nad schodami. Nie zdziwiłby się, gdyby jeleni otworzył pysk i do niego przemówił. Ciekawe, dlaczego ludzie nie widzą nic złego w wieszaniu na ścianach łbów jelenich, ale nie końskich albo psich.

Choć oficjalnie pokój miał być pojedynczy, stało w nim podwójne łóżko. Paul Bradley rzucił torbę na brązowo-pomarańczową narzutę i swobodnym tonem zarządził:

– Ja po lewej, ty po prawej.

Można było pomyśleć, że przywykł do sypiania z innymi mężczyznami bez podtekstów erotycznych. W młodości Martin znał wielu takich Paulów Bradleyów. Z wojska.

– Służyłeś w wojsku? – spytał odruchowo.

Uświadomił sobie, że to pierwsze osobiste pytanie, jakie zadał tamtemu. Bradley przyjrzał mu się zaskoczony. Trwało to nieco dłużej niż zwykle w podobnych sytuacjach, więc Martin dodał:

– Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

Paul Bradley wzruszył ramionami i odparł:

– Spokojnie, nie mam nic do ukrycia. Tak się składa, że faktycznie byłem w marynarce. W siłach specjalnych. SBS. Nie zależy nam na reklamie aż tak jak tym z SAS. Teraz jestem zwykłym gryzipiórkiem, przerzucam papiery. Straszna nuda. A ty też byłeś mundurowym?

– Właściwie to nie – odparł Martin. – Ojciec był starszym sierżantem sztabowym. Zrobił nam z domu koszary.

– Nam?

– Mnie i mojemu bratu Christopherowi.

– Jesteście ze sobą bardzo życzliwi?

– Nie – odrzekł Martin. – Raczej nie.

Wiedział, o co chodzi Paulowi Bradleyowi: odbijał piłeczkę, zadając mu pytania, żeby nie mówić o sobie.

– Posiedzę tu, w fotelu – dodał. – Mam cię pilnować, a nie spać.

– Jak wolisz – mruknął Paul Bradley.

Zniknął z torbą w maleńkiej łazience i zamknął za sobą drzwi. Martin usiłował nie nasłuchiwać odgłosów innego mężczyzny kąpiącego się, myjącego zęby, sikającego. Włączył telewizor w nadziei, że je zagłuszy, ale na wszystkich kanałach śnieżyło.

Przekartkował od niechcenia jedyną drukowaną rzecz w tym pokoju, broszurę reklamującą szkockie atrakcje turystyczne, miszmasz gorzelnicy whisky, zakładów przetwórstwa wełny i szlaków historycznych.

– Łazienka wolna – oznajmił Paul Bradley, wychodząc i rozsiewając wokół zapach taniego mydła oraz pasty do zębów.

Martin poczuł się jak nieśmiała panna młoda w noc poślubną, której dziewicze skrzępowanie uchodzi uwagi świeżo upieczonego małżonka.

Paul Bradley otworzył minibar i zaproponował:

– Napij się czegoś.

– Może łyżeczek wody mineralnej – poprosił Martin.

Zajrzał do minibaru i zorientował się, że miał zbyt wygórowane oczekiwania. Zawartość barku ograniczała się do absolutnego minimum: żadnej wody ani napojów bezalkoholowych, żadnych czekoladek, żadnych niezjadliwych japońskich krakersów, żadnego szampana w małych buteleczkach, nawet słonych orzeszków, tylko piwo w puszkach, małpki z alkoholem i napój gazowany o smaku cytrynowym. Widok miniaturowych buteleczek obudził w nim pragnienie czegoś mocniejszego, co pozwoliłoby mu splukać trudy tego dnia.

– Daj, coś ci zrobię – zaofiarował się Paul Bradley, wyjmując z minibaru buteleczkę whisky i puszkę napoju gazowanego.
– Zaczekaj, wezmę tylko szklankę z łazienki.

Martin spojrzał przerażony na szklankę pomarańczowego płynu, z którą wrócił Paul Bradley, lecz poczuł się w obowiązku podziękować i wypić. Był pewien, że niektóre komórki jego wątroby wolały popełnić samobójstwo, niż zmierzyć się z dwoma narodowymi szkockimi napojami, zmieszany w jeden zabójczy koktajl. Miedziane tony wystroju wnętrza, fluoroscencyjna poświata napoju gazowanego i marmoladowy odcień ulicznej latarni sodowej za oknem nasiliły tylko jego uczucie wyobcowania, jakby znalazł się nagle w jakimś chorym świecie rodem z fantastyki naukowej, skażonym katastrofą ekologiczną.

– Może być?

– Tak, w porządku – sapnął Martin.

Pociągnął jeszcze jeden łyk pomarańczowego płynu. Miał nieprzyjemny, choć zarazem dziwnie frapujący smak. Szybko i bez cienia zażenowania Paul Bradley rozebrał się do szarego podkoszulka oraz szarych bokserek. Droga i ładna bawełniana dzianina, zauważył w myślach Martin. Niemal natychmiast odwrócił wzrok i wbił go w wiszącą nad łóżkiem niezwykle wymowną reprodukcję bitwy pod Culloden – ciała porzebijane mieczami oraz bagnietami, rozdziawione usta, toczące się po ziemi głowy. Gdy znów spojrzął na Paula Bradleya, ten leżał na łóżku na brązowo-pomarańczowej narzucie. Martin był ciekaw, kiedy ostatni raz ją prano. W okamgnieniu rysy twarzy Paula Bradleya wygładził sen.

Martin wszedł do łazienki, zamknął drzwi na zasuwkę. Postarał się jak najciszej wysikać. Umył ręce i wytarł je cienkim ręcznikiem, jeszcze wilgotnym po ablucjach Paula Bradleya. Szczoteczka do zębów tamtego stała w pozycji „spocznij” w szklance obok kranu. Stara, z wytartym, nierównym włosiem, świadectwo życia sprzed ich dziwnego spotkania. Martina zawsze wzruszał widok samotnej szczoteczki do zębów. Nigdy nie zdarzyło mu się wejść do własnej łazienki i ujrzeć w niej dwóch szczoteczek stojących zgodnie obok siebie.

Torba turystyczna leżała otwarta na podłodze. Martin wyraźnie widział czarne pudełko. Paul Bradley nie zostawiłby go chyba tutaj, gdyby miał tam coś osobistego lub nielegalnego? W jednym uchu słyszał szept żony Adama, w drugim żony Sinobrodego; obie nakłaniały go, żeby tylko zerknął do środka. Za jego plecami zaś stała Pandora – jasne, nie zapominajmy o Pandorze – i nalegała: „Otwórz pudełko, Martinie, przecież nic złego się nie stanie”. Powróciło niewyraźne wspomnienie, jako dziecko oglądał w telewizji teleturniej *Take Your Pick*, w którym publiczność krzyczała do zawodników: „Otwórz pudełko!”. Ci rozsądni wybierali gotówkę, hazardziści otwierali pudełko. Martin otworzył pudełko.

Wewnątrz znajdowała się wyściółka z gąbki w kolorze

ciemnego grafitu wyprofilowana odpowiednio do zawartości, a mianowicie trofeum golfisty, statuetki o wysokości nieco ponad dwadzieścia centymetrów, której chromowana powierzchnia odbijała łazienkowe światło jak lustro. Golfista miał na sobie pumpy, sweter w romby i szkocki берет. Przedstawiono go w momencie, gdy brał zamach, z nakrapianą piłeczką już na wieki spoczywającą u jego stóp. Cokół, na którym umieszczono figurkę, zdobiły wygrawerowane nazwisko oraz data: „R.J. Benson – 1938”; ani słowa, za jakie zawody przyznano nagrodę. Trofeum wyglądało tanio i pospolicie, jak coś, co zakończyło swój żywot w sklepie z rzeczami używanymi po śmierci jakiegoś staruszka i wyprzedaniu jego dobytku. Na pewno był jednym z tych, którzy mieszkają samotnie, z jedną tylko szczoteczką do zębów.

Figurka nie wyglądała na tak wartościową, by zasługiwać na wyściełane pudełko, zresztą samo pudełko było nieodpowiednie. Jego wymiary świadczyły o tym, że w środku znajduje się wolna przestrzeń. Nina Riley w try miga odkryłaby podwójne dno, lecz Martinowi zajęło to nieco więcej czasu. Postawił trofeum na umywalce obok szklanki z samotną szczoteczką do zębów Paula Bradleya i zaczął się mocować z ciemnografitową gąbką. Była lepka w dotyku jak te stare zielone, w które jego matka wtykała łodygi kwiatów, bez większego entuzjazmu ćwicząc się w sztuce układania bukietów. Pandora, Ewa, bezimienna żona Sinobrodego i cała upiorna widownia *Take Your Pick* sterczały za plecami Martina, dzielnie mu sekundując. Wreszcie zdołał wyciągnąć gąbkę.

Pistolet.

Nie spodziewał się tego, lecz gdy go zobaczył, wydało mu się to całkowicie logiczne.

Myśl o pistolecie była tak przytłaczająca, że wykluczała wszelkie domysły co do tego, po co ktoś miałby go potrzebować. Martinowi dosłownie zaparło dech w piersiach. Musiał na moment przytrzymać się umywalki, zanim doszedł do siebie.

Nie byle jaka broń, tylko welrod. No jasne, nic w tym

dziwnego – były żołnierz sił specjalnych musiał mieć welroda. Jego ojciec miał taki sam jeszcze z wojska, nielegalnie. Trzymał go w pudełku po butach stojącym na szafie tam, gdzie matka Martina chowała swoje wyjściowe pantofle – wyjątkowo frywolne obuwie z pozłacanej czy posrebrzanej skóry. Choć Martin urodził się dobrą dekadę po zakończeniu wojny, on i Christopher od małego byli karmieni opowieściami o najlepszych latach swego ojca: skokach spadochronowych za linią wroga, walce wręcz, brawurowych ucieczkach. To było tak, jakby któryś z bohaterów ich chłopięcych komiksów nagle ożył. Czy wszystkie opowieści Harry’ego były prawdziwe? Z perspektywy czasu wydało się to mało prawdopodobne. Życie po wojnie musiało być dla niego pełne rozczarowań. Martin od dziecka wiedział, że ojciec zdążył wykorzystać wszystkie okazje do bohaterstwa, jakie jemu samemu mogłyby się w życiu przytrafić.

Posługiwanie się bronią nie było Martinowi obce. Wojskowe doświadczenia ojca przełożyły się na chęć, aby nauczyć synów strzelania. Christopher okazał się fatalnym strzelcem, lecz Martin, ku nieustającemu zdumieniu ojca, nie był taki zły. Może i nie potrafił dobrze rzucać piłką do krykieta, ale był w stanie wymierzyć i trafić do celu. Nigdy nie zastrzelił żadnej żywej istoty (co budziło w ojcu niesmak), ograniczał się do strącania martwych przedmiotów podczas zawodów strzeleckich młodzików.

Harry lubił zabierać ich do lasu, żeby postrzelać z dubeltówki do królików. Martin aż wzdrygnął się na myśl o ojcu odzierającym królika ze skóry z taką łatwością, jakby obierał banana. Wspomnienie wyłaniającego się spod futerka śliskiego, różowego jak landrynka korpusu wciąż przyprawiało go o mdłości, nawet teraz.

Raz, gdy Martin i Christopher byli mali, po powrocie ze szkoły zastali ojca z pistoletem – welrodem właśnie – w rękę, przytkniętym do głowy ich matki. „I co powiecie, chłopcy – odezwał się ojciec, przyciskając lufę do skroni żony – mam ją zastrzelić?”. Oczywiście był pijany. Martin nie potrafił sobie przypomnieć, co wówczas zrobił czy powiedział; miał zaledwie

osiem lat i najwyraźniej wymazał z pamięci resztę tego incydentu. Miał nadzieję, że stanął w obronie matki, choć Bóg jeden wie, ile razy ona jego samego zawiodła. Zawsze żył w przekonaniu, że pewnego dnia ojciec strzeli sobie w łeb, więc bardzo go zdziwiło jego spokojne odejście.

Teraz nie mógł spokojnie patrzeć na broń i widzieć w niej czegoś dobrego. Dotknął pistoletu. Zauważył, że dłoń lekko mu drży. Spodziewając się poczuć pod palcami zimno, pogładził gładki metal, lecz ten miał niemal temperaturę ludzkiego ciała. Welrod, ukochana broń sił specjalnych na całym świecie, wyprodukowana podczas wojny w Wielkiej Brytanii. Jedyny naprawdę wyciszony pistolet, kaliber 9 mm, jednostrzałowy. Nieszczerólnie rewelacyjny zasięg, najlepiej sprawdzał się z niewielkiej odległości. Welrod przydawał się w zasadzie w jednej sytuacji – gdy trzeba było oddać strzał z bliska i w miarę możliwości niepostrzeżenie. Innymi słowy, była to broń zabójcy.

Martin głęboko wciągnął powietrze. Wyjdzie teraz cichutko z łazienki i pokoju hotelowego. Na palcach zejdzie na dół, minie recepcję, opuści budynek, wskoczy do pierwszej taksówki, jaką uda mu się znaleźć, i każe się zawieźć na najbliższy posterunek.

Otworzył drzwi łazienki. Paul Bradley smacznie spał, lekko pochrapując, z rękoma rozrzuconymi na boki, niewinny jak dziecko. Martin zaczął się skradać przez pokój do drzwi, lecz naraz nogi się pod nim ugięły. Gdy spojrział w dół, dywan zafalował mu przed oczami. Ogarnęły go silne zawroty głowy. Poczul się niesłychanie zmęczony; nigdy w życiu nie był tak wyczerpany, nie wiedział nawet, że można się tak czuć. Musiał się położyć i odrobinę zdrzemnąć, właśnie tutaj, na tym paskudnym dywanie w szkocką kratę.

Gloria upewniła się, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte, nastawiła alarm przeciwwłamaniowy i zeszła do piwnicy, żeby sprawdzić monitoring.

Na froncie ogrodowym bez zmian, jeśli nie liczyć lisicy, przemierzającej żwawym truchtem trawnik. Gloria prawie co noc dokarmiła lisy. Zaczęła od podrzucania im odpadków, ostatnio jednak kupowała jedzenie specjalnie z myślą o nich, a to opakowanie wieprzowych kielbasek, a to kawałeczek mięsa na gulasz. Dla jeża (niewykluczone, że było ich więcej, ale skąd mogła to wiedzieć?) wystawiała kocią karmę, chleb oraz mleko. Oczywiście lis zjadał również to. Czasem po trawniku hasały króliki (lis nimi nie gardził), Gloria widywała też niezliczone koty z sąsiedztwa oraz drobne płochliwe gryzonie, żerujące wyłącznie nocą. Lis szczególnie upodobał sobie drobne płochliwe gryzonie. Siedząc w piwnicy, Gloria miała czasami wrażenie, że ogląda w telewizji program przyrodniczy.

W nocy kamery pokazywały wszystko w dziwnych odcieniach zieleni i szarości, więc wydawało jej się, że ma przed sobą całkiem inny ogród, mroczne miejsce widziane oczyma ducha. Coś poruszyło się w płataninie liści wielkich rododendronów rosnących wzdłuż podjazdu. Coś błysnęło – dwa diamenty na tle smolistej czerni. Oczy. Gloria była ciekawa, jakie zwierzę mogło być aż tak wysokie. Niedźwiedź? Koń? Mało prawdopodobne, żeby się tutaj kręciły. Mrugnęła i oczy znikły. Pewnie jakieś nocne stworzenie.

Przy całej zaawansowanej technologii kamery nie mogły wybiec na ogród i powęszyć między liśćmi, nie mogły też zawyć ani zaszczekać na intruza. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłaby Gloria po śmierci Grahama, byłaby wyprawa do psiego schroniska w Seafield i sprawienie sobie łagodnookiego mieszańca charta z owczarkiem szkockim albo skoczego

małego teriera. Graham nie lubił zwierząt, toteż żadnego nie mieli, bo twierdził, że ma silną alergię na sierść oraz pierze. Gloria nigdy nie dostrzegła u niego przejawów tej ani żadnej innej alergii. Raz zebrała trochę sierści od kota sąsiadów – biedactwo łyślało i wystarczyło je pogłaskać, żeby zdobyć pełną garść – i umieściła ją pod poduszką Grahama. Przez całą noc nie zmrużyła oka, ciekawa, co się wydarzy, jednak nazajutrz jej mąż obudził się jak zwykle, żądając dwóch jajek w koszulkach. Gloria przypuszczała, że ich dzieci wyrosłyby na znacznie miłszych ludzi, gdyby wychowywały się w towarzystwie psa.

Pomyślała o Grahamie trwającym w stanie zawieszenia na OIOM-ie w półmroku ziemi niczyjej pomiędzy życiem a śmiercią, czekającym, aż Wielki Architekt w niebiosach ujawni swe plany wobec niego. Gloria postanowiła zachować całe zdarzenie w sekrecie i w spokoju przygotować się na jego konsekwencje. Nie zadzwoniła do Ewana ani do Emily, żeby ich zawiadomić, że ojciec stoi u wrót wieczności, czekając, czy się przed nim otworzą. Prawdę mówiąc, nikomu o niczym nie powiedziała. Wiedziała, że powinna zawiadomić różnych ludzi, ale jakoś nie potrafiła się do tego zmusić. Na pewno zaraz narobiliiby mnóstwo zamieszania. Jej zdaniem w obliczu tego rodzaju wydarzeń najlepiej było zachować ciszę. Poza tym miała jeszcze parę spraw do załatwienia, zanim Graham umrze i ktokolwiek się o tym dowie. Niech lepiej leży sobie w szpitalnym łóżku, niewidzialny, choć na widoku, podczas gdy ona będzie się szykowała do wdowieństwa. Jego nagłe spotkanie ze śmiercią było dla niej kompletną niespodzianką. Graham rzadko do tego stopnia ją zaskakiwał.

Gloria położyła się do łóżka z kubkiem napoju słodowego, talerzem owsianych ciasteczek i serem Wensleydale oraz sążnistą powieścią Maeve Binchy. Jadała tylko ser Wensleydale, nigdy Lancashire, poczucie lokalnego patriotyzmu wyszała bowiem z mlekiem matki. W podobnym duchu oglądała *Emmerdale* zamiast *Coronation Street*, tylko dlatego, że *Emmerdale* kręcono w Yorkshire, choć co prawda w żadnym znanym jej miejscu.

Jakże obszerne i cudowne wydało jej się nagle ich małżeńskie łożo. Zdążyła wyprać pościel, przewrócić i wywietrzyć materac oraz ściągnąć odkurzaczem z poduszek martwy naskórek Grahama. Ledwo wygodnie się umościła, jak na złość rozległ się uporczywy dzwonek telefonu. Gloria, według której Alexander Graham Bell miał sporo na sumieniu, latami nie godziła się na zainstalowanie telefonu obok łóżka. Nie widziała takiej potrzeby; w łóżku miała ochotę spać, nie rozmawiać. Graham miał komórkę praktycznie przyspawaną do ucha, więc nie potrzebował mieć w sypialni telefonu, poza tym przy łóżku był przycisk alarmowy do użycia „w nagłych wypadkach”, choć Gloria wołała sobie nie wyobrazać, jaki nagły wypadek w sypialni miałby ją skłonić do uruchomienia alarmu. Może tylko Graham domagający się od niej seksu. Niechętnie zwlokła się z łóżka i zesłała na dół. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie uprzedzać niepożądane pytania.

Na wyświetlaczu migła identyfikacja rozmówcy: „Pam”. Gloria westchnęła i podniosła słuchawkę, ale to nie była Pam, tylko jej mąż Murdo.

– Glorio! Wybacz, że cię niepokoję o tak późnej porze, ale nie mogę się dodzwonić do Grahama na komórkę – wyraźnie silił się na uprzejmy ton.

Murdo nie był uprzejmym człowiekiem, więc wysiłek, jaki musiał włożyć w udawanie uprzejmego, zabarwił jego głos odrobiną szaleństwa.

– Mieliśmy się dziś po południu spotkać, ale nie przyszedł. Zostałem go? Czy już się położył?

– Nie, jest w Thurso.

Na te słowa Murdo jakby dostał histerii.

– W Thurso? Chyba żartujesz. Jak to: jest w Thurso? Co on robi w Thurso, Glorio, do kurwy nędzy?

Czemu wybrała akurat Thurso? Może dlatego, że brzmiało podobnie jak Murdo. A może po prostu było to najbardziej oddalone miejsce, jakie jej przyszło do głowy.

– Buduje tam osiedle.

– Od kiedy?

– Od dzisiaj.

– To jeszcze nie tłumaczy, czemu nie odbiera komórki.
– Zapomniał zabrać – odparła rezolutnie Gloria.
– *Graham* zapomniał *telefonu*?
– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie się stało. Cuda stale się zdarzają. (I tak rzeczywiście było).

Zdesperowany Murdo wydał z siebie nieokreślony dźwięk, w równym stopniu wyrażający frustrację i panikę. Na szczęście w tej samej chwili w jakimś zakątku domu rozdzwoniła się komórka *Grahama*, wygrywając irytującą melodyjkę *Cwał Walkirii*. Gloria podążyła za tonami Wagnera niczym sznur za flecistą z Hameln, przemierzała kolejne pokoje, aż trafiła do pomieszczenia gospodarczego, w którym porzuciła przyniesioną ze szpitala plastikową torbę z rzeczami *Grahama*. Wkurzyłby się, gdyby wiedział, że jego szyty na miarę letni garnitur z wełny oraz ręcznie robione buty leżą upchnięte w szpitalnym worku na śmieci.

Przekopawszy zawartość worka, znalazła wreszcie komórkę w wewnętrznej kieszeni marynarki *Grahama* i podniosła ją w górę, żeby Murdo mógł usłyszeć, jak dzwoni.

– Poznajesz? – spytała. – *Cwał Walkirii*. Mówiłam ci, że zapomniał zabrać telefonu.

Murdo fuknął coś w odpowiedzi i się rozłączył.

– Baba z wozu, koniom lżej – mruknęła Gloria. – Niektórzy ludzie nie mają za grosz dobrych manier.

Odebrała dzwoniącą komórkę *Grahama*. W słuchawce rozległ się niespokojny głos:

– *Graham*, to ja, *Maggie*. Gdzie jesteś? Wydzwaniam do ciebie przez całe popołudnie.

– *Maggie Louden* – wymamrotała pod nosem Gloria, próbując przypomnieć sobie rysy dzwoniącej.

Maggie Louden była nowym nabytkiem w zespole handlowców *Grahama*, kobietą pod pięćdziesiątkę o wąskiej twarzy, z hełmem ufarbowanych na czarno włosów tak obficie spryskanych lakierem, że przylegały jej do głowy niczym pancerz chrząszcza. Ostatnio Gloria widziała ją na Gwiazdkę. Raz do roku wszyscy – od sędziów i komendantów policji po dostawców cegieł oraz dekarzy, a także co bardziej

uprzywilejowani członkowie personelu biurowego w Hatter Homes – byli zapraszani na szampana i kruche ciasteczka z bakaliami do rezydencji Hatterów w Grange. Gloria pamiętała, że Maggie pełzła przez jej wyłożony terakotą hol niczym karaluch, postukując źle dopasowanymi szpilkami od Kurta Geigera. Nie przypominała sobie, aby jacyś handlowcy byli wcześniej zapraszani na ich gwiazdkowe przyjęcia.

Już miała się odezwać i powiedzieć: „Witaj, Maggie, tu Gloria”, gdy Maggie zapytała:

– Graham, kochanie, jesteś tam?

„Kochanie”? Gloria zmarszczyła brwi. Powróciło wspomnienie Grahama stojącego przed choinką z Maggie Louden, Murdo Millerem i szeryfem Crichtonem ze szklaneczką słodowej whisky w jednej ręce, a z drugą beczelnie opartą na plecach Maggie w miejscu, w którym czarna krepa koktajlowej sukienki stykała się z białą krepej jej skóry. Gdy jedna z zatrudnionych na ten wieczór kelnerek podsunęła im półmisek z kruchymi ciasteczkami, Graham wziął dwa i zdołał oba wsadzić sobie do ust. Maggie Louden natomiast odsunęła półmisek takim gestem, jakby ciasteczka były radioaktywne. Gloria nie ufała ludziom, którzy nie jadaliby słodczy; była to dla niej dyskwalifikująca cecha osobowości, tak samo jak picie słabej herbaty. Herbata i cukier stanowiły próbę charakteru. Już wtedy powinna się domyślić.

Graham nachylił się do Maggie; jego obwisłe policzki niemal muskały szelak włosów podwładnej, gdy szeptał jej coś do ucha. Gloria uznała za mało prawdopodobne, że jej mąż komentuje wygląd nowych lampek choinkowych, które niedawno kupiła w Dobbies, stwierdziła jednak, że po prostu jest sobą. Często się zastanawiała, czy jako śmieciarz lub kioskarcz byłby dla kobiet równie atrakcyjny. Bez pieniędzy, władzy i charyzmy byłby – nie oszukujmy się – zwykłym *facetem w podeszłym wieku*.

Nagle poczuła, że telefon w jej ręku rozgrzewa się do czerwoności.

– Czy to już? Wszystko załatwione? – pytała Maggie.

– Pozbyłeś się Glorii? Pozbyłeś się tej starej krowy?

Zaskoczona Gloria niemal upuściła komórkę. Czyżby Graham zamierzał się z nią *rozwieść*? Graham miał romans ze swoją pracownicą i wspólnie omawiali plany *pozbycia się jej*? Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni Grahama i pozwoliła Maggie Louden mówić do wełnianej marynarki. Wciąż słyszała jej przytłumiony głos, nawołujący:

– Graham? Jesteś tam, Graham?

Zupełnie jakby Maggie brała udział w seansie spirytystycznym. Z oddali dobiegały stłumione odgłosy wybuchających fajerwerków, obwieszczające koniec występów orkiestr wojskowych. Czy kapitalizm naprawdę był wybawieniem ludzkości? Mało prawdopodobne, lecz wszystko wskazywało na to, że za późno spierać się o to z Grahamem.

Puścił ją. W uchu wyraźnie słyszał głos Marlee mówiącej cichutko: „Tatusiu”, jakby unosiła się w wodzie tuż obok niego, porzucił więc swoją martwą syrenę i zaczął płynąć do brzegu. Czyjeś pomocne dłonie wyłowiły go z przystani i powiodły do Cramond Inn, gdzie whisky słodowa oraz talerz gorącej zupy przywróciły go do życia. Zanim zjawiała się policja, opatulono go w koce, a jego ubranie zostało wyprane i wysuszone w przemysłowych maszynach pralniczych gdzieś w zakamarkach zajazdu.

Potem musiał zdać sprawę ze swojej przygody całej procesji ludzi. „Czy spożywał pan alkohol, sir?” – spytał go posterunkowy, który zjawił się na miejscu jako pierwszy, spoglądając znacząco na dopiero co napełnioną szklaneczkę w dłoni Jacksona.

Jackson chętnie by mu przyłożył, gdyby tylko zdołał wykrzesać z siebie dość energii. Jednocześnie w głębi duszy niechętnie musiał przyznać, że chłopak po prostu robi, co do niego należy.

Jako ostatnia (słyszał, że mówi do kogoś: „Właściwie to mam dzisiaj wolne”) stawiała się policjantka prowadząca śledztwo, raczej wyszczekana niż uprzejma. Wręczyła mu wizytówkę ze swoim stopniem oraz nazwiskiem: „sierżant Louise Monroe”, przy czym słowo „sierżant” zostało przekreślone długopisem i zastąpione odręcznym dopiskiem „inspektor”. Pomyślał, że to zabawne. Świeżo upieczona pani inspektor. Miał nadzieję, że babka nie musi nikomu nic udowadniać. Ona też zapytała go, czy pił.

– Tak, piłem – odparł, pokazując na wpół opróżnioną szklaneczkę. – Pani też by się napiła w takich okolicznościach.

– Niech pan nie będzie tego taki pewny – rzuciła ostro.

Była ładna... w pewnym sensie. Jej usta wydawały się

odrobinę za duże w stosunku do twarzy, a nos odrobinę za mały, miała skrzywioną górną jedynekę, ale i tak była ładna. W pewnym sensie. Przed czterdziestką, brunetka, ciemne oczy. (Jackson nigdy nie miał szczęścia do blondynek). Fryzura typu bob, schludna i praktyczna. Co jakiś czas zakładała sobie włosy za uszy gestem, który zawsze tak się Jacksonowi podobał, przynajmniej u kobiet. Cała ta ocena dokonała się w jakimś dalekim zakamarku jego mózgu. Głównie usiłował nie zasnąć z wyczerpania.

Lubiła zadawać pytania: „Czego szukał na wyspie Cramond, czy wyruszając, zdawał sobie sprawę, że nadchodzi przyływ, jak tu dojechał?”.

– Autobusem – odrzekł niechętnie.

Zupełnie jakby przyznawał się, że jest jakąś niższą formą życia. Pod kocem był całkiem nagi i czuł się absurdalnie bezbronny. Nagi mężczyzna podróżujący autobusami i niemający do roboty nic lepszego niż szwendanie się w podejrzany sposób po wyludnionych wyspach. Na dodatek w czasie przyływu. Czy był aż tak głupi? Wszystko na to wskazywało.

„Co robi w Edynburgu?”. Jackson wzruszył ramionami i odparł, że przyjechał na festiwal. Kobieta spojrzała na niego z powątpiewaniem, wtedy poczuł się, jakby przyłapano go na kłamstwie – widocznie nie wyglądał na bywalca festiwalu teatralnych. Miał powiedzieć, że jego dziewczyna występuje w jednym ze spektakli, jest aktorką, ale w zasadzie to nie powinno nikogo obchodzić, poza tym „dziewczyna” głupio brzmiało – dziewczyny miewali młodzi faceci. Próbował sobie wyobrazić, jak by się zachował, gdyby sam prowadził to śledztwo. Czy byłby wobec siebie równie podejrzliwy jak Louise Monroe, czy raczej wysłałby na poszukiwania motorówki policyjne z nurkami i kazał mundurowym przeczesywać wybrzeże?

– Większość ludzi bardzo przeżywa znalezienie zwłok – zauważyła Louise Monroe. – Szok i przerażenie to najczęstsze reakcje, tymczasem pan wydaje mi się wyjątkowo flegmatyczny, panie Brodie. Widział pan wcześniej martwe

ciało?

Ubzduriała sobie, że pomyliłem fokę z kobietą albo kawał wyrzuconego przez morze drewna z trupem, pomyślał poirytowany.

– Owszem – warknął; ze zmęczenia zaczynał tracić cierpliwość. – Widziałem setki zwłok. Wiem dokładnie, jak wygląda ciało człowieka rozerwanego przez wybuch, spalonego, powieszzonego, utopionego, zastrzelonego, pchniętego nożem, zatłuczonego, rozszarpanego na strzępy. Wiem, jak wygląda ciało kogoś, kto wpadł pod pociąg pędzący z prędkością stu mil na godzinę, ciało, które całe lato przeleżało w zamkniętym mieszkaniu. Wiem też, jak wygląda trzymiesięczne niemowlę, które umarło we śnie, na pierwszy rzut oka całkiem bez powodu. Wiem, jak wygląda trup, okej?

Towarzyszka Louise Monroe posterunkowa – prawdziwy babochłop – zrobiła taką minę, jakby miała go zaraz zakuć w kajdanki, ale Louise Monroe tylko skinęła głową i odparła:

– Okej.

Od razu ją za to polubił.

– Policjant? – domyśliła się.

– Były – potwierdził. – Żandarmeria wojskowa, potem policja w Cambridge.

Wolno było podać tylko nazwisko, stopień i numer; wróg nie miał prawa wiedzieć więcej.

– Ktoś z dowództwa najwyraźniej stwierdził, że kobieta może jeszcze żyć, straż przybrzeżna wysłała na poszukiwania łódzie ratunkowe, ściągnięto też śmigłowiec RAF-u – poinformowała go. – Czyli nie musi się pan dłużej zamartwiać, panie Brodie.

„Zamartwiać” nie było słowem, jakiego sam by użył.

– To bez sensu – mruknął – z pewnością nie żyła.

Miał wrażenie, że im częściej to powtarza, tym bardziej tamta dziewczyna mu się wymyka.

– Czy ktoś zgłosił zaginięcie młodej kobiety? – spytał.

Takie jak ona stale przepadały bez wieści, zawsze tak było i będzie. Louise Monroe odparła, że nie zgłoszono zaginięcia kobiety ani dziewczyny odpowiadającej podanemu przez niego rysopisowi.

– W takim razie nikt tego jeszcze nie zauważył – stwierdził Jackson. – Nie leżała długo w wodzie. Czasami trochę trwa, zanim ludzie się zorientują, że kogoś nie ma tam, gdzie być powinien. Nie każdy ma bliską osobę, która zauważyłaby jego brak.

Kto by tęsknił za nim? Julia, Marlee i nikt więcej. Gdyby nie Julia, zostałyby tylko Marlee.

– Ma pan przy sobie brewiarz? Może w kieszeni? – zapytała. Jackson zmarszczył brwi.

– O co pani chodzi?

– Tak sobie pomyślałam, że gdyby miał go pan przy sobie, a ja byłabym księdzem, mógłby mnie pan nauczyć pacierza.

Pyskata mała bestyjka. Nie taka znowu mała, wyższa od Julii, choć z drugiej strony wszyscy byli wyżsi od Julii.

Jackson był ciekaw, czy Louise Monroe miała w domu kogoś, kto zauważyłby jej zniknięcie. Nie dostrzegł obrączki, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Jego własna żona (była żona) nigdy nie nosiła obrączki, po ślubie nawet nie zmieniła nazwiska, a mimo to – ciekawostka – na odwrocie ubiegłorocznej kartki bożonarodzeniowej od niej znalazł małą naklejkę z adresem nadawcy, jednoznacznie głosząca: „Pan i pani D. Lastingham”. Jackson lojalnie nosił swoją obrączkę. Przestał dopiero pod koniec ubiegłego roku i podczas weekendowego wypadu do Paryża wrzucił ją do Sekwany z mostu Pont Neuf. W zamierzeniu miał to być dramatyczny gest, lecz w końcu po prostu pozwolił jej cicho spaść – krótki złoty błysk w zimowym słońcu – skrępowany, co ludzie o nim pomyślą („Żaloszny frajer w średnim wieku, którego rozwód właśnie stał się faktem”).

– To mogło być samobójstwo – podsunął.

(Tak, chyba rzeczywiście miał przy sobie brewiarz, za to Louise wcale nie wyglądała na księdza).

– Chociaż niewiele dziewcząt się topi, kobiety rzadko trafiają do kartotek z tego powodu. Może po prostu wpadła do wody, może akurat była pijana. Ostatnio sporo dziewczyn chodzi pijanych.

Nie ulegało wątpliwości, że pewnego dnia jego córka Marlee

też się upije. Statystycznie rzecz biorąc, jako nastolatka będzie paliła papierosy. Przynajmniej raz zażyje narkotyk i o mały włos doprowadzi do wypadku samochodowego. Ktoś złamie jej serce (niewykluczone, że więcej niż raz), urodzi dwoje dzieci, raz się rozwiedzie, zachoruje, będzie wymagała operacji, wreszcie się zestarzeje. Na starość dopadną ją osteoporoza oraz reumatyzm, będzie człapała o lasce albo z chodzikiem, trzeba jej będzie wymienić staw biodrowy, będzie patrzyła, jak jej przyjaciele jeden po drugim umierają, przeprowadzi się do domu starców i wreszcie sama umrze.

– Panie Brodie?

– Tak?

Zanim popołudnie dobiegło końca, okolica zaroila się od specjalistycznego sprzętu. RAF, Brytyjskie Ochotnicze Stowarzyszenie Ratownictwa Morskiego, policyjna motorówka, łódź pilotowa kapitanatu portu oraz całe mnóstwo ludzi uwijali się jak w ukropie – wszystko na próżno. Niczego nie znaleźli, nawet aparatu, który zostawił na brzegu przed wejściem do wody, choć odzyskali jego kurtkę („Dziękuję”), co przynajmniej dowodziło, że był na wyspie, jako że nawet ten fakt zdawał się być kwestionowany.

– Przynajmniej wiemy, że to wszystko się panu nie przywidziało – stwierdziła Louise Monroe.

Uśmiechnęła się krzywo, burząc iluzję życzliwości.

– Nic mi się nie przywidziało – mruknął Jackson.

Pierwsza osoba na miejscu przestępstwa zawsze jest najbardziej podejrzana. Tak sobie założyła. On też by tak zrobił. „Jaki był cel pańskiej wizyty w Cramond, sir?” Co miał jej odpowiedzieć – bumelantwo? To, że permanentnie nie miał nic do roboty? Chciał ją zapewnić, że wszystko rozumie, bo jest jednym z nich, ale nie był, już nie, sam się z tego wypisał. Stracił członkostwo w klubie. W dodatku jakaś jego część – bez dwóch zdań perwersyjna – była ciekawa, jak to jest po drugiej stronie barykady. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio się tam znalazł: kariera przestępcza Jacksona zaczęła się i zakończyła, gdy jako piętnastolatek został przyłapany na włamaniu do lokalnego sklepiku, skąd zamierzał z kumplem zwędzić

papierosy. Gliniarze nakryli ich, zawlekli na posterunek i nastraszyli tak, aż im w piętę poszło.

– Miała przy sobie wizytówkę – powiedział nagle, zwracając się do Louise Monroe. – Całkiem o niej zapomniałem. Różowa, czarne litery, nazwa firmy...

Co tam było napisane? Miał tę wizytówkę przed oczami, wyraźnie widział nazwę, ale nie potrafił jej odczytać, jakby usiłował odcyfrować coś w obcym języku albo napis we śnie. „Przyprawy”? „Przemiany”? A poniżej numer telefonu. Jego doskonała pamięć do liczb najwyraźniej go opuściła.

– To było coś na literę „P” – dodał.

Nie pamiętał, co zrobił z wizytówką, pewnie wsunął ją do kieszeni kurtki, lecz nie było po niej śladu.

– Nie znaleźliśmy na wyspie żadnej różowej wizytówki – odparła Louise Monroe.

– Bo jej nie szukaliście, prawda? – zdenerwował się Jackson. – Trudno się o nią potknąć.

– Sfotografował pan zwłoki? – spytała naraz posterunkowa babochłop.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, mówiło: „Ty szurnięty psycholu”.

Pomyślał o zdjęciach, które wciąż były w aparacie, barwnych klejnocikach z Wenecji z Julią w pełnej krasie sąsiadujących teraz z fotografiami niezidentyfikowanego trupa.

– Oczywiście, że tak – potwierdził.

Posterunkowa babochłop nazywała się Jessica Jakaśtam, jej nazwisko umknęło mu, gdy się przedstawiała. „Jessica” było bardzo dziewczęcym imieniem dla kogoś, kto nie miał w sobie za grosz dziewczęcości.

– Czy to aby na pewno nie jest jakiś głupi żart, panie Brodie? – drążyła.

Zignorował ją; miał tę nazwę na końcu języka. Przyprawy, przemiany, przysłona...

– Przysługi! – zawołał nagle.

To było to; właśnie ta nazwa widniała na zaginionej wizytówce.

Odchodząc, słyszał jeszcze, jak Louise Monroe prosi

o wsparcie policyjnych nurków. Był ciekaw, czy bardzo się na niego wkurzy, jeżeli niczego nie znajdą. Pewnie bardzo. Jeden z mundurowych podrzucił go do miasta, na miejsce wystawienia spektaklu Julii. Został aktorów podczas przerwy w trakcie próby generalnej.

Julia, teraz dla odmiany raczej błada niż zaróżowiona, wyszła z nim na zewnątrz, żeby z przerażającą determinacją wypalić papierosa. Każdemu zaciągnięciu się dymem towarzyszył chrapliwy oddech.

– Tobias to jełop – oznajmiła gniewnie.

Wcześniej milcząca i przygaszona, teraz cała rozdygotana nie mogła przestać mówić.

– Wiesz, która to Molly?

– Mhm – mruknął Jackson, choć nie miał pojęcia.

– To ta neurotyczna – wyjaśniła mu Julia (żadna wskazówka; o ile Jackson się orientował, wszyscy oni byli neurotyczni).

– W ogóle nie zna roli. Cały czas jedzie z kartki.

– Serio? – bąknął Jackson, usiłując wykrzesać z siebie choć cień oburzenia. Nie był pewien, co znaczy „jechać z kartki”, ale mógł się domyślić.

– Wszystko się dziś posypało. Bogu dzięki, że dopiero jutro mamy pokaz przedpremierowy. Dostałeś moją wiadomość o bilecie na występ Richarda Moata?

Więc o to jej chodziło. Nazwisko Richarda Moata brzmiało znajomo, ale nie potrafił go z nikim skojarzyć.

– Jak ci się udało zdobyć wejściówkę? – zapytał.

– Spotkałam się z nim na drinka w porze lunchu. Dał mi bilet.

– Tylko we dwoje?

– Tak. Tylko we dwoje.

Dobrze pamiętał, jak mówiła, że nie ma czasu na lunch. „Będziemy musieli nadgonić w przerwie na lunch”. Jackson zmarszczył brwi.

– Nie martw się – dodała Julia – Richard Moat nie jest w moim typie.

– Nie martwię się.

– Ty zawsze się czymś martwisz, Jacksonie. Tak zostałeś zaprogramowany. Później mógłbyś po mnie wpaść. To potrwa

jeszcze *wieki całe*. – Julia westchnęła, zgasiła papierosa i jakby po namyśle zagadnęła: – Jak ci minęło popołudnie?

Jackson przeanalizował możliwe odpowiedzi („O mały włos dziś nie utonąłem, znalazłem trupa, zapoczątkowałem zakrojone na szeroką skalę daremne poszukiwania na morzu i w powietrzu, ach, w dodatku policja ma mnie za paranoika i świra z urojeniami”) i wreszcie odparł:

– Pojechałem do Cramond.

– Jak miło! Zrobiłeś jakieś zdjęcia?

– Zgubiłem aparat.

– O nie! Nasz aparat? Och, Jacksonie, to okropne. – Jackson poczuł nieoczekiwany przyływ emocji, gdy powiedziała: „nasz aparat” zamiast: „mój aparat”.

Domyślał się, że z punktu widzenia Julii to rzeczywiście było okropne, lecz gdy podsumował wszystko, co przydarzyło mu się tego popołudnia, jakoś nie potrafił przejąć się zgubą.

– Wiem – przytaknął. – Przykro mi.

Odprowadził ją z powrotem aż do pierwszego kręgu piekła. Patrzył, jak wchodzi na scenę i zajmuje swoje miejsce, przyjmuje umęczoną pozę polegającą na gapieniu się przez dziesięć minut w czarny kwadrat w tym akurat momencie (był to bowiem wielofunkcyjny element scenografii) odgrywający rolę okna, za którym szalał arktyczny sztorm. Jackson wiedział to tylko dlatego, że w Londynie przez pewien czas ćwiczył z Julią jej kwestie. Pomyślał, że w razie potrzeby mógłby być jej dublerem (*to dopiero byłby koszmar*). Było coś szlachetnego i tragicznego w niemej pozie, jaką przyjęła; w tym swoim worku na ziemniaki, z potarganymi włosami wyglądała jak ocalona z jakiejś niewymownie potwornej katastrofy. Zastanawiał się, czy odgrywając tego rodzaju sceny, rozmyśla o własnej przeszłości.

Zdecydowanie odwrócił się na pięcie i podziemnymi tunelami wydostał się z budynku. Dobiegające z oddali zawodzenie syreny policyjnej wprawilo jego serce w znajome drżenie. Gdy w Cramond zjawily się pierwsze śmigłowce i motorówki, z całej duszy pragnął przejąć dowodzenie i zaskakująco trudno przychodziło mu patrzeć na dzierżącą niepodzielną władzę

Louise Monroe. Dwukrotnie tego samego dnia miał do czynienia z młodszymi od siebie kobietami, które mogły więcej niż on. Nie miało to nic wspólnego z ich płcią (ostatecznie jego najdroższa jedynaczka była dziewczynką), bardziej z tym, że Jackson nie czuł się mężczyzną. Prawdziwym mężczyzną. Prawdziwi mężczyźni nie przyjmowali spadków po starszych i nie mieszkali we Francji. Tęsknił za swoją legitymacją policyjną, za swoim dzieckiem i za iPodem, którego zapomniał zabrać. Tęsknił za kobietami o smutnych głosach, które pozwalały mu dzielić swój ból. Za Lucindą, Trishą, Elizą, Kathryn, Gillian, Emmylou. Najbardziej tęsknił za Julią, chociaż to właśnie ją miał przy sobie.

Nie mając nic lepszego do roboty poza leżeniem w pustym łóżku i rozmyślaniami o tym, czego mu brak, poszedł odebrać bilet na występ Richarda Moata.

Jackson pamiętał Richarda Moata jeszcze z lat osiemdziesiątych; nie bawił go wówczas i nic się pod tym względem nie zmieniło. Podobnie zdawała się uważać większość publiczności – Jacksona zszokowały niektóre złośliwe pokrzykiwania i gwizdy. Kilka razy zdarzyło mu się przysnąć, choć okoliczności bynajmniej nie były sprzyjające. Gdy Richard Moat wreszcie zakończył występ i rozległy się zdawkowe brawa, Jackson pomyślał, że oto bezpowrotnie stracił kolejne dwie godziny życia. Był za stary i nazbyt świadomy skończonej natury własnej przyszłości, żeby trwonić bezcenny czas na jakiś gówniany kabaret.

Szybko wymknął się z widowni i zanurzył w podziemne otchłanie, w których znajdowała się scena Julii, po to tylko, by zobaczyć ciemność i pustkę. Któregoś dnia natknął się tu na Minotaura. Julia twierdziła, że próba potrwa wieki całe, ale nigdzie nie dostrzegł żywej duszy. Włączył komórkę i odebrał wiadomość od Julii: „Skończyliśmy, do zobaczenia w mieszkaniu”.

Dostrzegł wyjście awaryjne i popełnił błąd, bo zdecydował się opuścić budynek tą drogą: znalazłszy się na ulicy, nie miał pojęcia, gdzie właściwie jest. Przeczytał w „National Geographic” (ostatnio wykupił prenumeratę, potwierdził zatem

swój status starego piernika), że kobiety odnajdują kierunek na podstawie punktów orientacyjnych, mężczyźni zaś korzystają ze wskaźników przestrzennych – dowiodły tego badania. Jako że było ciemno i nie mógł się posłużyć wskaźnikami przestrzennymi, spróbował odnaleźć jakieś punkty orientacyjne, wypatrując znajomego kształtu Królewskiej Mili, zarysów iglic i schodkowych szczytów wieńczących majestatyczną bryłę zamku. Szukał masywnego gmachu muzeum przy Chambers Street, rozglądał się za przesłami wiaduktów, lecz jedyne, co zdołał dostrzec, to wylot ciemnej uliczki, wąska gardziel zakończona niknącymi w mroku kamiennymi stopniami. U góry widział światła i ulicę wciąż rozbrzmiewającą festiwalowym gwarem, więc niewiele się zastanawiając, ruszył w tamtą stronę. To mi wygląda jak droga na skróty, pomyślał. „Chodzić na przełaj”, mówiło się, gdy był chłopcem. Inny język, inne czasy.

Jackson do znudzenia przypominał Marlee (także Julii, skoro o tym mowa, lecz ta nigdy go nie słuchała), że zapuszczanie się w ciemne zaułki to głupi pomysł. „Tatusiu, przecież mi nawet nie wolno wychodzić z domu po zmroku” – odpowiadała rozsądnie Marlee. Oczywiście, będąc małą dziewczynką, w ogóle będąc kobietą, nie trzeba się było zapuszczać w ciemne zaułki, żeby zostać napadniętą. Można było jechać pociągiem, wysiadać z autobusu, uzupełniać papier w kserokopiarce i przedwcześnie rozstać się z życiem za sprawą jakiegoś szaleńca. Niekoniecznie szaleńca; większość napastników nie była szalona, byli facetami i to wystarczało. Jackson byłby szczęśliwszy, gdyby kobiety jego życia nigdy nie opuszczały domu. Wiedział jednak, że nawet to nie zagwarantuje im bezpieczeństwa. „Jesteś jak pies pasterski – żartowała Julia – każda owieczka musi być policzona”.

Sam Jackson nie bał się ciemnych zaułków; zawsze uważał, że stanowiłby większe zagrożenie niż ktokolwiek, kogo mógłby tam spotkać, lecz najwyraźniej nie wziął pod uwagę kolesia z hondy. Niewiarygodnego Hulka na sterydach w całej jego umięśnionej chwale, który wyskoczył nie wiadomo skąd i runął na niego z gracją napastnika w meczu rugby. Chryste Panie,

pomyślał Jackson, padając na ziemię, co za miasto. Minotaur wydostał się z labiryntu.

Odruchowo poderwał się na nogi – nigdy nie zostawaj w parterze, leżący prosi się o kopniaka, leżeć to znaczy umrzeć – lecz zanim zdołał racjonalnie pomyśleć (warto byłoby zacząć od pytania: „dlaczego?”), koleś z hondy z siłą tarana wymierzył mu cios w brzuch. Jackson usłyszał, że powietrze wydostaje się z jego ciała z głośnym „puf!”, po czym osunął się na ziemię. Jego przepona zmieniła się w kamień i natychmiast stracił zainteresowanie racjonalnymi rozważaniami. Jego jedynym zmartwieniem stał się mechanizm oddychania: to, dlaczego przestał oddychać i jak zacząć od nowa. Zdołał dźwignąć się na czworaki jak pies i w nagrodę poczuł, że koleś z hondy z całej siły następuje mu na dłoń – zdaniem Jacksona wyjątkowo wredna zagrywka. Zabolalo go tak bardzo, że miał ochotę się rozplakać.

– Zapomnisz o wszystkim, co widziałeś – polecił mu koleś z hondy.

– Zapomnę? Ale o czym? Co ja takiego widziałem? – wysapał Jackson.

Maksymalne noty za próbę podjęcia konwersacji, pomyślał. Na czworakach, a wciąż nawijał, naprawdę zasługiwał na medal. Wypuścił z płuc powietrze i zaraz głęboko je wciągnął.

– Nie próbuj, kurwa, cwaniakować! Dobrze wiesz, co widziałeś.

– Tak?

W odpowiedzi koleś z hondy wymierzył mu niedbałego kopniaka w żebra, aż Jackson zwinął się z bólu. Facet miał rację, lepiej było nie cwaniakować.

– Podobno robi pan niepotrzebny szum, panie Brodie. (Koleś zna jego *nazwisko*?)

Jackson miał odpowiedzieć, że nic podobnego, wręcz przeciwnie, celowo powstrzymał się od poruszania kwestii tamtej napaści drogowej w rozmowie z policją i nie miał najmniejszej ochoty zeznawać jako świadek, lecz zdołał jedynie wydusić z siebie: „Uch!”, ponieważ ciężki buciór tamtego znów dał mu solidnego kuksańca w żebra. Koniecznie musiał wstać.

Po każdym upadku trzeba się podnosić. W jednej sekundzie przemknęły mu przed oczami wszystkie filmy z Rockym. Stallone wykrzykujący pod koniec imię swojej żony, jakby umierał: „Adrian!”. Cała seria, od jedyńki do piątki, niosła ze sobą ważne moralne przesłanie mówiące facetom, jak żyć, ale czego ich uczyła o nierównej walce? Nie poddawaj się, choćby nie wiem co. Gdy nie pozostaje nic innego, trzeba godnie dotrwać do końca.

Koleś z hondy przykucnął na jezdni jak zawodnik sumo i prowokował Jacksona do ataku, wykonując dłońmi takie gesty, jakby pomagał mu parkować tyłem – uniwersalny znak wszystkich macho, mówiący: „No, dawaj!”.

Dwukrotnie większy od Jacksona, bardziej przypominał niepowstrzymany żywioł niż istotę ludzką. Jackson wiedział, że nie ma szans, by pokonać go w walce, żadnych szans, by walczyć i *przeżyć*. Nagle przypomniał sobie o kiju bejsbolowym. Gdzie się podział? Gość chował go w rękawie? Nie, to absurdalne, nie był przecież magikiem. Okrażali się na ugiętych kolanach niczym uliczni gladiatorzy. Kolesiowi z hondy najwyraźniej brakowało poczucia humoru, w przeciwnym razie wybuchnąłby śmiechem na widok Jacksona zachowującego się tak, jakby miał jakiegokolwiek szanse na zwycięstwo. Gdzie się podział ten kij?

Druga rzecz, jaką Jackson starał się wpoić Marlee oraz Julii, dotyczyła postępowania w sytuacji, gdy ktoś je napadł, bo były tak głupie, żeby zignorować jego dobre rady, i zapuściły się w ciemny zaułek. „Pamiętaj, że jesteś w niekorzystnej sytuacji – pouczal je. – Przeciwno sobie masz wzrost, wagę i siłę napastnika, dlatego musisz walczyć nieczysto. Kciuki w oczy, palce w nozdrza, kolano w krocze. I krzycz, nie zapomnij głośno krzyżeć. Masz narobić hałasu. A jeżeli dojdzie do najgorszego, złap zębami, za co się da – jego nos, wargi – i przytrzymaj. Tylko potem znów zacznij krzyżeć. I nie przestawaj”.

Będzie musiał zapomnieć o szlacheckich zasadach obowiązujących prawdziwych mężczyzn i walczyć jak dziewczyna, choć jak na kobiece standardy orientację w terenie

niał raczej słabą. Zaatakował kciukami oczy agresora – i spudłował. To było jak skakanie do kosza. Jakimś cudem udało mu się sięgnąć nosa, więc ugryzł i przytrzymał. Nie była to najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu zrobił, ale prawie. Koleś wrzasnął – niesamowity ryk olbrzyma z kreskówki.

Jackson rozchylił szczęki. Twarz napastnika spływała krwią, tą samą, której żelazisty i plugawy smak czuł w swoich ustach. Skorzystał z własnej rady i zaczął krzyczeć. Chciał, żeby zjawiała się policja, praworządni obywatele albo przypadkowi przechodnie. Ktokolwiek, kto zdołałby powstrzymać tę rozszalałą górę mięśni. Niestety, jego krzyk zwabił psa i Jackson uświadomił sobie jedną zasadniczą rzecz: to nie o kij powinien się martwić, ale o psa. Zwierzak gnał ku niemu z obnażonymi kłami podobny do bestii z piekła rodem.

Wiedział, jak zabić psa, przynajmniej w teorii – łapie się za przednie łapy i najzwyczajniej rozrywa – ale teoretyczny pies to jednak co innego niż pies prawdziwy, w dodatku rozwścieczony, żywa kula mięśni oraz kłów, której jedynym marzeniem jest rozszarpać ci gardło.

Koleś z hondy przestał wrzeszczeć na krótką chwilę, która wystarczyła, żeby wydać psu rozkaz. Wskazując Jacksona, ryknął: „Bierz go! Zabij!”.

Oniemiały, sparaliżowany przerażeniem Jackson patrzył, jak pies odbija się od ziemi i leci ku niemu w powietrzu.

Środa

16

Richard Moat drgnął i się obudził. Zupełnie jakby w głowie rozdzwonił mu się alarm. Nie wiedział, która godzina. Martin nie miał tyle przyzwoitości, żeby w pokoju gościnnym umieścić zegar. Za oknem było jasno, ale to o niczym nie świadczyło, jako że w tej części kraju praktycznie się nie ściemniało. „Zadupie owczarzy”, nazywał ją w myślach od pewnego czasu. Edynburg – Ateny Północy, dobre sobie. Miał wrażenie, że kiedy spał, do ust wpelzł mu ślimak i zajął miejsce języka. Na brodzie czuł wilgotny ślad ślimaczego śluzu.

Gdy kładł się spać, była czwarta i nie dawało się ukryć, że świta. Ćwir, ćwir, ćwir, kurwa, przez całą drogę do domu. Wziął taksówkę czy wrócił na piechotę? Pił w barze Traverse długo po północy i miał wyraźne, dziwne wspomnienie wizyty w klubie tańca erotycznego na Lothian Road oraz niejakiej Shani – jeśli dobrze pamiętał – która usiadła mu okrakiem na twarzy. Prawdziwa zdzira. Jego show wypadł nieźle; tego rodzaju południowe występy dla BBC zawsze przyciągały starszą, kulturalną publiczność, nadal wierzącą, że BBC to gwarancja pewnej jakości. Ale poranek o dziesiątej... co za banda kutasów. Cholernych kutasów.

Słońce wetknęło swój obojętny palec między zasłony i Richard zauważył na swoim przegubie rolexa Martina. Za dwadzieścia piąta. Martin nie potrzebował takiego zegarka, to nie był ten typ faceta. Jaka była szansa, że mu go podaruje? A może by tak „przypadkiem” zabrać go do domu?

Alarm w jego głowie znów się rozdzwonił. Wreszcie dotarło do niego, że to dźwięk dzwonka do drzwi. Czemu Martin nie otwiera, do cholery? I jeszcze raz, tym razem dłużej. Chryste

Panie. Dźwignął się z łóżka, zwlókł na dół po schodach. Drzwi wejściowe były zamknięte na zatrask, a nie jak zwykle na niezliczone zasuwki, zamki oraz łańcuchy, za pomocą których Martin się barykadował. Pod pewnymi względami zachowywał się jak baba. Pod wieloma względami. Richard Moat otworzył szeroko drzwi i natychmiast oślepiło go światło. Wiedział teraz, jak muszą się czuć wampiry. Na progu stał jakiś facet, zwyczajny facet, nie listonosz ani mleczarz ani ktokolwiek inny, kto mógłby rościć sobie prawo do budzenia go o tak niehumanicznej porze.

– Czego? Nie ma nawet piątej. Na litość boską, jeszcze jest wczoraj!

– Nie dla ciebie – odparł mężczyzna na progu, popychając go brutalnie do środka – dla ciebie jest już jutro.

– O co...? – zaczął Richard Moat, gdy tamten wepchnął go do salonu.

Intruz był prawdziwym wielkoludem o spuchniętym, rozpaskudzonym nosie, jakby się z kimś bił. Miał bardzo nosowy angielski głos, w którym płasko pobrzmiwał lokalny akcent, z Nottingham albo Lancasteru. Richard Moat wyobraził sobie, jak po wszystkim podaje policji jego rysopis, wyobraził sobie, jak mówi: „Znam się na akcentach, w końcu robię w tym biznesie”. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych próbował swoich sił w aktorstwie, załapał się nawet w *The Bill* na rolę faceta (komika, żeby nie musiał się za bardzo napinać) prześladowanego przez szaloną wielbicielek, która chce go zabić. Pamiętał, jak jeden ze śledczych z posterunku przy Sun Hill radził jego bohaterowi, że aby przeżyć, trzeba *myśleć* jak ocalony, wyobrazać sobie siebie w przyszłości, już *po* napaści. Teraz rada ta ponownie zabrzmiała mu w uszach, zaraz jednak przypomniał sobie, że jego bohater w istocie zginął, zamordowany przez swoją prześladowczynię.

Nieznajomy wariat miał na dłoniach rękawiczki samochodowe i Richard poczuł, że to chyba nie jest dobry znak. Rękawiczki miały otwory, przez które wystawały kłykiec tamtego, małe atole białej skóry. Pomyślał, że mógłby obrócić to w niezły żart, wspomnieć o słowach „LOVE” i „HATE”, jakie

prymitywnymi metodami tatuuje się właśnie na kłykciach, lecz choć bardzo się starał, nie potrafił sklecić tekstu choćby pozornie spójnego, a co dopiero zabawnego. Nagle, nie wiadomo skąd, w rękę mężczyzny pojawił się kij bejsbolowy.

To, co stało się potem, powinno się dziać w zwolnionym tempie, bez dźwięku, tylko z podkładem muzycznym, dajmy na to *Psycho Killer* zespołu Talking Heads albo jakimś przejmującym klasycznym kawalkiem na wiolonczelę (Martin coś by wymyślił). Nogi się pod nim ugięły i Richard Moat padł na kolana. Nigdy przedtem nie doświadczył niczego podobnego; o takich rzeczach się słyszy, ale nikt nie wierzy, że zdarzają się naprawdę.

– No i pięknie – odezwał się tamten – na podłogę, gdzie twoje miejsce.

– Czego pan chce? – W ustach miał tak sucho, że prawie nie mógł wydobyć z siebie głosu. – Niech pan bierze wszystko. Wszystko, co jest w domu.

Richard dokonał w myślach błyskawicznej inwentaryzacji dobytku Martina. Zestaw stereo był niezły, w kącie stał fantastyczny telewizor z panoramicznym ekranem. Chciał wskazać go pozbawionym czucia ramieniem, ale zauważył na swoim przegubie rolexa i spróbował na niego zwrócić uwagę mężczyzny.

– Niczego nie chcę – odparł tamten (całkiem spokojnie; ten spokój był najgorszy).

Zadzwoiła komórka Richarda; jej sygnał zakłócił poczucie dziwnej, pełnej napięcia intymności między nimi. Obaj gapili się na wibrujący na stoliku do kawy aparat, zaskoczeni tą niespodziewaną ingerencją z zewnątrz. Richard Moat kalkulował, czy zdoła najpierw sięgnąć po telefon, otworzyć klapkę i krzyknąć do tego, kto wydzwaniał do niego o tak wczesnej porze: „Pomocy, napadł na mnie wariat!”, a potem udowodnić, że to nie żart, i jeszcze podać adres Martina (widział to w jakimś filmie; przemknęła mu przed oczami postać Jodie Foster w *Azylu*). Wiedział jednak, że to wszystko na nic i zanim zdąży wyciągnąć rękę po telefon, ten wariat zmiażdży mu ją jednym uderzeniem kija. Wolał nawet nie

myśleć, do zadawania jakiego bólu był zdolny. Zaczął skamleć jak pies. Wyraźnie słyszał swój głos. Jodie Foster musiała być ulepiona z lepszej gliny, bo nie skamlała.

Komórka przestała dzwonić i wariat ze śmiechem wsunął ją do kieszeni, podśpiewując tytułową piosenkę z *Robin Hooda*.

– Banda pedałów, gdyby mnie kto pytał – rzucił do Richarda.
– Nie uważasz?

Richard poczuł na swoim udzie ciepły strumyczek moczu.

– Nie spodobało mi się to, co dzisiaj zrobiłeś.

– Mój występ? – spytał Richard z niedowierzaniem.

– Przyszedł pan, bo nie spodobał się panu mój *występ*?

– Tak byś to nazwał?

– Nie rozumiem. Chyba nigdy się nie spotkaliśmy?

Aż do tej chwili szedł przez życie doskonale obojętny na to, czy ktoś uraził, czy nie; teraz dotarło do niego, że może powinien być ostrożniejszy.

– Nie ruszaj się z podłogi i patrz na mnie.

– Mam panu obciągnąć? – zaproponował desperacko Richard, siłąc się na ochoczy ton, choć w ustach miał watę, a na bokserkach mokrą plamę. Zastanowił się, do czego byłby zdolny, byle tylko uniknąć skrzywdzenia przez tego człowieka. Prawdopodobnie do wszystkiego.

– Ty obleśny gnoju – warknął tamten. (Zgoda, źle odczytał jego zamiary). – Nie chcę, żebyś cokolwiek *robił*, Martin. Po prostu się zamknij, dobra?

Richard Moat otworzył usta, żeby powiedzieć, że nie nazywa się Martin. Martin śpi na górze w swoim pokoju. On, Richard, chętnie wskaże panu drogę, żeby mógł skrzywdzić Martina zamiast niego, ale zdołał jedynie wychrypieć:

– Jestem komikiem.

Tamten odrzucił głowę do tyłu i zarechotał, otwierając usta tak szeroko, że Richard Moat mógł dojrzeć plomby w jego zębach trzonowych. Poczuł, że z gardła wyrывa mu się łkanie.

– Fakt, kurwa, bez dwóch zdań – rzucił wreszcie mężczyzna i szybko, szybciej, niż Richard mógł to sobie wyobrazić, spuścił w dół kij.

Cały świat Richarda Moata eksplodował w rozbłysku jasnego

światła. Zobaczył żarzące się włókna, takie jak w staroświeckich żarówkach, i zdał sobie sprawę, że właśnie powiedział swój ostatni dowcip. Mógłby przysiąc, że słyszy owacje; żarzące się włókna zaczęły jedno po drugim gasnąć, aż pozostała tylko ciemność, w której się zanurzył.

Jego ostatnie myśli dotyczyły nekrologu. Kto mu go napisze? I czy będzie dobry?

Jackson przebudził się w samym środku koszmaru. Ktoś, jakaś niewyraźna sylwetka, której nie rozpoznał, wręczyła mu pakunek. Jackson wiedział, że jest on niezwykle cenny i jeżeli go upuści, stanie się coś niewypowiedzianie okropnego. Pakunek był jednak zbyt ciężki i nieporęczny, nie miał ustalonego środka ciężkości i zdawał się poruszać w jego ramionach, więc choć bardzo się starał, nie mógł go utrzymać. Gdy wiedział, że lada moment na zawsze wyśliznie mu się z rąk, drgnął i zbudził się przerażony.

Dźwignął się i usiadł na krawędzi czegoś, co z grubsza przypominało łóżko. Czuł się zmaltretowany, jakby w nocy ktoś przepuścił jego ciało przez gigantyczną wyżymaczkę, a kiedy spał, ugotował mu – albo usmażył – oczy. Bolały go żebra, dłoń pulsowała; spuchła też jak się patrzy i widniał na niej wyraźny odcisk podeszwy buta.

Woda morska, która poprzedniego dnia przepłukała jego organizm, najwyraźniej rozrzedziła mu krew; trzeba będzie litrów mocnej kawy, żeby przywrócić jej dawną gęstość, natomiast Jacksonowi pozory życia. Ciekawe, jakie toksyny i zanieczyszczenia są w takiej wodzie. No i ścieki; na pewno było w niej pełno ścieków. Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Przypomniał sobie o martwej kobiecie – choć nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek miał o niej zapomnieć. Ciekawe, czy morze wyrzuciło ją gdzieś na brzeg.

Gdyby był we Francji, mniej więcej o tej porze szedłby popływać w swoim *piscine*. Ale był nie we Francji, tylko w celi aresztu posterunku na ulicy św. Leonarda w Edynburgu.

Nigdy dotąd nie siedział w areszcie. Wsadzał tam różnych ludzi i wypuszczał ich stamtąd, lecz sam nigdy nie znalazł się za kratkami. Nigdy nie odbył przejażdżki z celi do sądu okręgowego w budzie więźniarki, co – jak sobie wyobrażał

– przypominało podróżowanie skrzyżowaniem miejskiego szaletu z przyczepą do przewożenia koni. Nigdy też nie stawał przed sądem po drugiej stronie barierki, a już na pewno nigdy nie słyszał, że jest winny i ma zapłacić sto funtów grzywny za napaść. W jednym ospałym jak u gada mgnieniu sędziowskiego oka z szanowanego obywatela stał się kryminalistą z prawomocnym wyrokiem. Co krok jakaś nowość. Przypomniawszy sobie, jak przesłuchiwany przez Louise Monroe myślał, że ciekawie byłoby choć raz znaleźć się po drugiej stronie barykady. „Ciekawie”, dobre sobie; najwyraźniej ściągnął wczoraj na siebie tę chińską klątwę.

Po wyjściu z sądu zadzwonił na komórkę Julii, by powiedzieć jej, że znów jest wolnym człowiekiem. Spodziewał się trafić na skrzynkę głosową – jak przez mgłę pamiętał, że mówiła coś o przedpremierowym spektaklu o jedenastej – lecz odebrała zaspana, jakby właśnie ją obudził:

– O rety, skarbie, dobrze się czujesz?

Tego ranka w jej głosie słychać było szczerą i wzruszającą troskę o niego, podczas gdy minionej nocy, kiedy zadzwonił powiedzieć, co się stało, spotkał się z nietypowym odrzuceniem.

– Aresztowany? Ależ z ciebie filut, Jacksonie – westchnęła.

– Nie, serio – aresztowano mnie i postawiono mi zarzuty – odparł.

Filut? Co to za słowo?

– Za *warcholstwo*?

– Mam wrażenie, że oficjalny termin brzmi: „napaść”. Rano stanę przed sądem okręgowym. Do tego czasu muszę pozostać w areszcie.

– Na litość boską, czy ty zawsze *musisz* szukać kłopotów?

– Nie szukałem kłopotów, same mnie znalazły. Nie pytasz, czy nic mi nie jest?

– Nic ci nie jest?

– Ręka boli mnie jak diabli i myślę, że mam pęknięte co najmniej jedno zębro.

– Tak się zwykle kończą tego rodzaju błazenady.

– Błazenady?

Jego położenie zdawało się ją prowokować do nadużywania dziwnego słownictwa. Oczekiwał współczucia, ona zaś jak gdyby nigdy nic odłożyła słuchawkę, choć w sumie mógł się tego spodziewać – ostatecznie wyrwał ją ze snu w środku nocy, tyle bowiem trwało, zanim go formalnie oskarżono i aresztowano. Łudził się, że zostawiła mu jakąś życzliwą wiadomość na komórce, która czekała na niego wraz z resztą dobytku, ale skrzynka głosowa była pusta.

Wiedział, że bez względu na wszystko nie może jej pisać ani słowa na temat psa.

– Zabiłeś psa, Jacksonie?

– Nie! Sam umarł, nawet go nie tknąłem.

– Zabiłeś go siłą woli?

– Nie! To był zawał, może wylew, nie jestem pewien.

Słyszał, jak po drugiej stronie Julia zapala papierosa i łączywie się nim zaciąga. Jej świszczące płuca niczym akordeon wygrywały swoją chorą melodię.

Sparaliżowany strachem patrzył, jak warczący pies gna ku niemu ciężko niby otyły lekkoatleta szykujący się do skoku przez kozioł, i myślał: „Święta Mario, Matko Boża”, ponieważ mogła go ocalić tylko interwencja sił nadprzyrodzonych. Przygotował się na atak, powtarzając w myślach wytyczne: „Chwycić za łapy, pociągnąć, rozerwać”, lecz oto – patrzcie państwo! Matka Boska we własnej osobie musiała się chyba za nim wstawić, ponieważ gdy rozwścieczona bestia zbliżyła się do Jacksona, padła u jego stóp niczym przekłuty balon. Jackson gapił się kompletnie osłupiały, pewien, że bestia zaraz się poderwie i rozszarpie go na strzępy, lecz jej nawet nie drgnął ogon. Za to koleś z hondy wydał z siebie straszliwy żalobno-miłosny ryk i runął na kolana obok swojego pupila. Chociaż był oszalałym psychopata, na widok ogromu jego cierpienia Jackson nie mógł pohamować lekkiego współczucia.

Podrapał się w głowę – on i koleś z hondy wyglądali teraz zupełnie jak Flip i Flap, przy czym Jackson był tym pierwszym – zastanawiając się, co powinien zrobić. Ucieczka wydawała się dobrym pomysłem, ale jakoś nie potrafił się na nią zdobyć. Zanim podjął decyzję dotyczącą dalszego postępowania – zabić

kolesia z hondy czy raczej go pocieszać – wyrósł przy nich policjant. Może i znajdowali się w zapomnianym przez Boga ciemnym zaułku, lecz mimo wszystko w bliskim sąsiedztwie Królewskiej Mili. Robili przy tym wystarczająco dużo hałasu, żeby obudzić biednego starego bobby'ego w Greyfriars, śniącego swój wieczny sen rzut kamieniem stąd. Czyli krzyki jednak się opłaciły; musi pamiętać, żeby położyć na ten fakt szczególny nacisk w rozmowie z Marlee. Oraz z Julią.

Jackson domyślał się, jak to musi wyglądać z perspektywy policjanta: kolesz z hondy na ziemi szlochający nad martwym psem, nad nimi Jackson drapiący się w głowę ze zdumienia i z ustami ociekającymi krwią. Chyba powinien podnieść ręce do góry i powiedzieć: „Panie władzo, przyznaję się, proszę odczytać mi moje prawa”, ale tego nie zrobił, za to gwałtownie protestował („Zrobiłem to w samoobronie, on na mnie napadł, ten facet to wariat!”), został zatem skuty kajdankami i посаdzony na tylnym siedzeniu radiowozu.

Nazajutrz jego wizyta w sądzie była krótka i bolesna. Funkcjonariusz, który go aresztował, odczytał raport. Zastał pana Terence'a Smitha na ziemi w kałuży krwi, szlochającego nad ciałem jego psa. Poszkodowany oskarżył podsądnego o zabicie zwierzęcia, lecz na ciele tego ostatniego nie znaleziono żadnych śladów przemocy. Wszystko wskazywało na to, że podsądny ugryzł pana Smitha w nos. Pan Smith okazał się całkiem wiarygodnym poszkodowanym – w eleganckim garniturze od Hugo Bossa, z fioletowym, spuchniętym nosem, który jednoznacznie świadczył o winie Jacksona. Nie szukał zwady, po prostu wyprowadzał psa na spacer. Spacer z psem – czy porządny obywatel mógł się oddawać bardziej niewinnej czynności?

Minionej nocy Jackson odmówił wizyty u lekarza policyjnego, twierdząc, że nic mu nie jest. Głupia męska duma nie pozwoliła mu przyznać się do odniesionych obrażeń. „Jest pan w naszym mieście gościem, panie Brodie – upomniał go szeryf Alistair Crichton – i szczerze żałuję, że nie mogę pana stąd przegonić jak za dawnych dobrych czasów”. Zamiast tego wlepił mu grzywnę w wysokości stu funtów za napaść i przykazał, żeby

„się pilnował”.

– Czemu się nie broniłeś? – spytała Julia. – Idiota z ciebie, Jacksonie. – Nie była zaspana, wręcz przeciwnie.

– Dzięki za współczucie.

– No i co teraz będzie? – drążyła.

– Nie wiem. Chyba będę musiał odtąd przestrzegać prawa.

– To nie jest śmieszne.

– Chyba że podoba ci się rola dziewczyny gangstera.

– To nie jest śmieszne.

Jacksona dobiegł dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi oraz gwar głosów w tle. Jakiś mężczyzna zadał pytanie, którego Jackson nie dosłyszał, na co Julia odwróciła się od słuchawki i odparła:

– Tak, poproszę.

– Jesteś w sklepie?

– Nie, mam próbę. Muszę skończyć, na razie. – I już jej nie było.

Nie mogła być na próbie, jej scena znajdowała się tak głęboko pod ziemią, że żaden zasięg nie zdołałby się tam przebić. Jackson westchnął. Dla Babilonu nastały ciężkie czasy.

Louise straciła aż dwadzieścia minut na budzenie Archiego. Gdyby nie to, leżałby w łóżku do jej powrotu z pracy. Teraz prawie pół godziny siedział pod prysznicem. Nie zdziwiłaby się, gdyby znowu tam zasnął, bo po wyjściu z łazienki wcale nie wyglądał na czystsze. Wolą nie myśleć, co mógł z zamkniętymi drzwiami wyczyniać ze swoim chłopięco-męskim ciałem. Aż dziw, że kiedyś był nowiutki, różowy i nieskalany jak poduszki łapek małego Żelka. Teraz wszędzie puszczały mu się włosy i zarost, pryszczycie pęczniały, głos gwałtownie wznosił się i opadał niczym kolejka górską, kompletnie nie do przewidzenia. To była jakaś nienaturalna transformacja, jakby zmieniał się w zwierzę, bardziej podobny do wilkołaka niż do chłopca.

Trudno uwierzyć, że Archie wyszedł z jej własnego ciała; nie wyobrażała sobie, jak mógł się w niej kiedykolwiek zmieścić. Ewa została stworzona z ciała Adama, lecz w rzeczywistości to mężczyźni wychodzili z wnętrza kobiet – nic dziwnego, że mieli potem nierówno pod sufitem. Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie. Czasami można by się zastanawiać, po co w ogóle gramoli się z kołyski, skoro to, co go czeka, jest tak diabelnie trudne. Nie powinna myśleć w ten sposób, depresyjne matki rodzą depresyjne dzieci (czytała o tym w jakimś opracowaniu klinicznym). Myślała, że właśnie jej uda się przerwać to błędne koło, ale kiepsko się spisała.

Dopiła kawę i z gniewem spojrzała na urnę, wciąż stojącą na kuchennym ociekaczu. Kobieta zrodzona z kobiety. Gdyby tak rozsypać zawartość w ogrodzie jako nawóz? Wokół ich domu prawie nie było ziemi – wielkie dzięki, Grahamie Hatterze – więc pierwszy raz w życiu jej matka mogłaby się na coś przydać. Louise zdała sobie sprawę, że przygryzła wargę tak mocno, aż pocięła jej krew. Lubiła smak swojej krwi, słonawy

i żelazisty. Z pewnością czytała gdzieś o soli zawartej we krwi – była tam, ponieważ wszelkie życie zrodziło się w morzu – lecz wydało jej się to mało prawdopodobne: raczej poezja niż fakt naukowy. Pomyślała o Archiem jak o embrionie, bardziej rybnie niż człowieku, skulonym w swoim wodnym świecie, na podobieństwo konika morskiego wywijającym wewnątrz niej fikołki.

Westchnęła. Nie potrafiła jeszcze uporać się ze swoją matką. „Pomyślę o tym jutro” – wymamrotała. Duch Scarlett przemknął obok. Powitała go, niedbale salutując. „Miło panią widzieć, panno O’Hara”.

To mogło być pierwsze dochodzenie w sprawie morderstwa, które Louise poprowadziłaby jako starszy rangą funkcjonariusz. Niestety, zmieniło się w fatamorganę. O świecie nurkowie rozpoczęli poszukiwania i niczego nie znaleźli. Posłała na miejsce Sandy’ego Mathiesona, żeby ją zastąpił. Czowała przez skórę, że nic z tego nie będzie. Pewnie oberwie jej się za marnowanie czasu i środków. Miała nadzieję, że martwa kobieta jednak się odnajdzie – nie dlatego, że chciała, aby była martwa, ale dlatego, że zdobyłaby dowód, że nie stanowiła jedynie wytworu wyobraźni Jacksona Brodiego. Louise chciała usprawiedliwić Jacksona. Usprawiedliwiony grzesznik. Czy był grzesznikiem? A kto nim nie był?

Poprzedniego dnia Jessica Drummond potwierdziła jego tożsamość na policji w Cambridge. Tak, rzeczywiście był u nich inspektorem, ale przed kilku laty zwolnił się ze służby i został prywatnym detektywem. „Tajniakiem, cholernym tropicielem śladów – parsknęła Jessica (naprawdę parsknęła). – Fantazja z chłopięcych komiksów”.

Louise słyszała, że koleżdy nazywają ją „nadgorliwcem”. Jessica tak bardzo chciała zostać „jednym z chłopaków”, że niewiele brakowało, a zaczęłaby się golić. W porównaniu z nią Louise czuła się jak wielka różowa landrynka, uosobienie kobiecości.

– Co gorsza – ciągnęła Jessica – Brodie odziedziczył forszę po klientce, rzucił robotę i dał nogę do Francji.

– Ile tego było? – zainteresowała się Louise.

– Dwa miliony.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Dwa miliony funtów spadku po *bardzo* wiekowej staruszce. Aż się człowiek zastanawia, ile w tym było *wymuszenia*. Skołowana staruszka zmienia testament na korzyść jakiegoś bajeranta. Moim zdaniem z naszym panem Brodiem jest coś nie tak – mówiąc to, Jessica postukała się w czoło. – Sprytny naciągacz tęskni za robotą w policji, brak mu stałego zajęcia, więc postanawia zwrócić na siebie uwagę. To mitoman.

– Trochę mi to za bardzo trąci operą mydlaną – odparowała Louise. – Poza tym nie zauważyłam, żeby próbował kogokolwiek bajerować.

W zasadzie było wręcz przeciwnie. Mieć dwa miliony na koncie i podróżować autobusem? Nie wyglądał na kogoś, kto jeździ autobusami. „Nie każdy ma bliską osobę, która zauważyłaby jego brak”. Czy miał na myśli siebie? Powiedział to, patrząc na nią, więc może sądził, że Louise nie ma nikogo, kto by za nią tęsknił? Archie tęskniłby za nią na pewno. I Żelek. Żelek nawet bardziej niż Archie. Archie okopałby się w swoim pokoju i grał w *Najemników – igrzyska zatracenia*, oglądał *Punk’d*, *W domu u...* i *Odpicuj mi brykę* oraz zamawiał pizzę na jej kartę kredytową.

Ale co potem, kiedy skończyłyby mu się pieniądze? Był chłopcem, który nie potrafił samodzielnie otworzyć puszki z fasolką. Gdyby przedwcześnie umarła, Archie zostałby sierotą. Myśl o osieroconym synu była jak kopniak w samo serce – gorsza byłaby tylko jego śmierć (nie myśl o tym). Z drugiej strony każdy kiedyś zostaje sierotą, prawda? Louise sama była teraz sierotą, choć różnica między matką żywą a umarłą wydawała jej się minimalna.

Bardziej ze względu na Archiego niż na siebie miała nadzieję, że umrze śmiercią naturalną we własnym łóżku jako spełniona staruszka, gdy Archie będzie całkiem dorosły, samodzielny i gotów się z nią rozstać. Pewnie wyrośnie na prawicowego bankiera mówiącego swoim dzieciom: „Ja w twoim wieku też się trochę buntowałem”. Wtedy Louise będzie martwa, lecz

wszyscy łatwo się z tym pogodzą, nie wyłączając niej samej. Jej geny będą trwać w jej dziecku, potem zaś w jego dziecku, i w ten sposób wszystko wróci do normy.

Louise potrafiła wyobrazić sobie siebie jako staruszkę, lecz nie jako spełnioną kobietę.

„Niewiele kobiet się topi”. Jackson Brodie mógł mieć rację. Stworzyła w myślach listę tych, które się utopiły: Maggie Tulliver, Virginia Woolf, Natalie Wood, Rebecca de Winter. Fakt, niektóre były postaciami fikcyjnymi, zresztą gwoli ścisłości Rebecca de Winter sama się nie utopiła, prawda? Została zamordowana, w dodatku miała raka. Rasputin romantycznej literatury – najwyraźniej złe kobiety trzeba było zabijać kilka razy. Dobrą kobietę można stłamsić, złej nigdy. Louise wstąpiła do policji zaraz po studiach na St. Andrews (licencjat z filologii angielskiej) i nigdy tego nie żałowała. Chcieli, żeby zrobiła mały doktorat, ale właściwie po co? W policji można było wyjść na zewnątrz, na ulicę, i coś robić, zmieniać, wyłamywać drzwi i znajdować bezradne dzieci zdane na łaskę pijanych matek. Wówczas miało się władzę, żeby odebrać te bezradne dzieci ich pijanym matkom i je ocalić, umieścić w rodzinie zastępczej albo sierocińcu – wszystko było lepsze od pozostawienia ich w domu, gdzie byłyby świadkami ruiny własnego dzieciństwa. Jackson Brodie nie wyglądał na naciągacza, ale naciągacze i oszuści bywali wiarygodni. Może wpadł do wody i spanikował, miał omamy, robił z igły widły? Wymyślił trupa z czystej złośliwości, bo coś mu się przywidziało albo był niespełna rozumu? Z początku zaskoczył ją swoim profesjonalizmem – opis ciała i okoliczności, w jakich zostało odnalezione, nie odbiegały od tego, co spodziewałaby się usłyszeć od członka swojej ekipy – tylko skąd mogła mieć pewność, że nie jest patologicznym kłamcą? Sfotografował zwłoki, lecz nigdzie nie było śladu aparatu, znalazł wizytówkę, lecz ta przepadła, usiłował wyciągnąć z wody martwą kobietę, lecz ciało zniknęło. To się zwyczajnie nie trzymało kupy.

Równie dobrze mógł wcześniej wrócić na ląd, zostawić kurtkę na brzegu, po czym wejść do wody w Cramond... Jak na mistyfikację wydawało jej się to trochę zbyt naciągane.

A może martwa dziewczyna naprawdę *istniała* i to Jackson Brodie ją zabił? Ten, kto pierwszy znajduje zwłoki, automatycznie staje się głównym podejrzanym. Był świadkiem i jednocześnie czuł się jak podejrzany. (Z jakiego powodu?) Twierdził, że próbował wyciągnąć ciało, żeby nie porwał go prąd, ale równie dobrze sam mógł je *wrzucić* do wody. Zawiadomienie policji mogło być próbą odsunięcia od siebie podejrzeń.

Usłyszała, jak Archie, potykając się, zbiega po schodach, wpada do kuchni i mamrocze coś, co prawie na pewno nie brzmiało jak „dzień dobry”. Twarz miał czerwoną od pryszczy, nakrapiana skóra wyglądała, jakby ją ugotowano. A jeśli nie przechodzi żadnej przemiany? Jeśli to nie stadium poczwarki, tylko efekt *końcowy*?

Louise nasypała do miseczki płatków pełnoziarnistych, zalała je mlekiem i podała synowi łyżkę. „Jedz” – powiedziała. Pies byłby bardziej samodzielny. Osiągnięcie wieku czternastu lat w przypadku Archiego oznaczało spadek na drabinie ewolucyjnej na przedspołeczny szczebel rozwoju. Niektórym znanym jej mężczyznom nigdy nie udało się wspiąć z powrotem.

Pragnęła porozmawiać z nim o tej kradzieży w sklepie. Chciała to zrobić w sposób racjonalny, cierpliwie, bez krzyków i wypominania, jaki z niego pieprzony krety. Mnóstwo dzieciaków kradło w sklepach i nie zostawało kryminalistami, weźmy choćby ją samą. Można powiedzieć, że przestępczość była jej zawodem, tyle że Louise stała po tej dobrej stronie. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Może kradł regularnie, a może był to jednorazowy wyskok, tego nie wiedziała. Była z nim wtedy, musiała więc założyć, że to swoisty przejaw buntu przeciw niej, psychologiczna demonstracja. Wybrali się do centrum handlowego St. James, żeby uczcić śmierć jej matki zakupem wielkiego płaskiego telewizora na poczet należnego ubezpieczenia. Przed laty Louise wykupiła matce ubezpieczenie na życie, doszedłszy do wniosku, że skoro za życia nie ma z niej żadnego pożytku, skorzysta chociaż na jej śmierci. Suma była skromna – Louise

nie mogła sobie pozwolić na wysokie składki. Raz czy dwa przyszło jej na myśl, że gdyby chodziło o duże pieniądze („dwa miliony”), mogłaby ulec pokusie i jednak matkę kropnąć. Niewinny wypadek – pijani stale spadali ze schodów. Jako policjantka umiałaby zatrzeć ślady.

Archie zwinął głupi drobiazg – paczkę baterii paluszków, za które spokojnie mógłby zapłacić. Tyle że nie o to chodziło. Louise była w drugim końcu sklepu, gdy rozległ się alarm. Ochroniarz minął ją biegiem i dopadł Archiego w chwili, gdy ten wychodził ze sklepu. Chwyił chłopaka stanowczo za ramię i łokieć, obrócił i pchnął z powrotem do środka. Louise policjantka doceniła profesjonalizm i skuteczność zatrzymania; jako matka miała ochotę skoczyć ochroniarzowi na kark i wsadzić mu kciuki w oczy. Nikt jej nie uprzedził, jak zajadła potrafi być matczyzna miłość. Spójrzmy prawdzie w oczy: nikt jej o niczym nie uprzedził.

Przeszło jej przez myśl, żeby udawać bezradną i zdać się na łaskę ochroniarza. Niestety, udawanie bezradnej nie było jej najmocniejszą stroną. Zamiast tego podeszła do nich obu zdecydowanym krokiem, machnęła legitymacją policyjną i powiedziała: „Proszę się nie martwić, zabiorę go na posterunek i porządnie natrę mu uszu”, po czym wyprowadziła Archiego ze sklepu, zanim ochroniarz zdołał zaprotestować, a Archie powiedzieć coś głupiego (na przykład: „mamo”). Słyszała jeszcze, jak ochroniarz woła za nią: „Zawsze oddajemy takie sprawy do sądu!”. Wiedziała, że oboje są na taśmach monitoringu i przez pewien czas niespokojnie czekała, co z tego wyniknie. Dzięki Bogu, nic się nie wydarzyło. Prawdopodobnie mogła sprawić, żeby taśma zniknęła. *Zjadłaby* ją, gdyby to było konieczne.

Po wyjściu ze sklepu przez dłuższy czas siedzieli w zimnym samochodzie w mroku wielopoziomowego parkingu podziemnego, gapiąc się przez szybę na zaplamioną olejem posadzkę, betonowe filary i matki przynaglające maluchy do wsiadania i wysiadania z wózków oraz fotelików samochodowych. Boże, jak ona nie znosiła centrów handlowych! Nie było nawet sensu pytać go, czemu to zrobił;

wzruszyłyby tylko ramionami i wbijając wzrok w trampki, mruknął: „Nie wiem”. Cholerny cwaniak.

Domyślała się, że z jego punktu widzenia taki układ musiał być niesprawiedliwy – ona miała niemal nieograniczoną władzę, podczas gdy on nie miał żadnej. Boleśnie ścisnęło ją w dołku. Korkociąg znowu się obracał. To była miłość. Równie silna jak wtedy, kiedy dotknęła go po raz pierwszy zaraz po narodzinach po tym, jak przywarł jej do piersi niczym pąklą; leżała na sali porodowej dawnego oddziału położniczego w Pawilonie Simpsona (w nowo wybudowanym szpitalu zmieniono nazwę na „Oddział medycyny reprodukcyjnej” i z jakiegoś powodu nie brzmiało to tak samo). Od tego pierwszego dotyku Louise wiedziała, że tak czy inaczej zawsze będą ze sobą związani.

Siedzieli więc na parkingu. Miała wrażenie, że Archie jest równie bezradny, jak wtedy w szpitalu, jednocześnie aż ją korciło, żeby się odwrócić i walnąć go w łeb. Nigdy go jeszcze nie uderzyła, ale z tysiąc razy była bardzo blisko tego, zwłaszcza w ubiegłym roku. Wcisnęła klakson i przytrzymała. Ludzie na parkingu zaczęli się rozglądać, myśląc, że to alarm przeciwwłamaniowy. „Mamo – odezwał się wreszcie bardzo cicho Archie – przestań. Proszę cię, przestań”. Było to najdłuższe zdanie, jakie usłyszała od niego od wielu tygodni. Przestała. Wszystko to wydawało się zbyt wygórowaną ceną za jeden desperacki numerek po pijaku z żonatym kolegą, który nigdy się nawet nie dowiedział, że spłodził syna.

W nagłym przeblysku wróciło do niej niechciane wspomnienie ostrej jazdy podczas poczęcia Archiego. Posterunkowa Louise Monroe na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu oraz inspektor Michael Pirie w noc jego imprezy pożegnalnej. W kieszeni miał awans, w domu starą żonę, ale to mu nie przeszkodziło. Dawniej uważano, że okoliczności poczęcia dziecka kształtują jego charakter. Louise miała nadzieję, że to nieprawda.

– No co? – spytał Archie, wlepiając w nią wściekły wzrok.

Nad górną wargą miał wąsy z mleka.

– Ofelia – odparła Louise. – Ona też się utopiła. Ofelia się

utopiła.

Louise poszła na górę do łazienki, otworzyła okno, wymyła kabinę prysznicową, zebrała przemoczone ręczniki i spuściła wodę w sedesie. Była ciekawa, czy jej syn kiedykolwiek zacznie po sobie sprzątać. Niemożliwością było wpłynąć na zmianę jego zachowania. Ciekawe, jak zareagowałby na groźbę tortur. Może powinna sprzedać go naukowcom albo wojskowym jako królika doświadczalnego? CIA uznałoby go za fascynujący obiekt badań – chłopiec, którego nie można złamać.

Włożyła soczewki kontaktowe i zrobiła makijaż – w sam raz taki, żeby wyglądało, że się stara, ale żeby jej kobiecość za bardzo nie rzucała się w oczy. Biała koszula, schludny czarny kostium z Nexta, pantofle na niewielkich obcasach, żadnej biżuterii z wyjątkiem zegarka i skromnych złotych kolczyków. Pojedzie do Cramond i dołączy do swojej ekipy, żeby wszystkiego dopilnować i domknąć sprawę, której nigdy nie było, ale najpierw czeka ją wizyta w sądzie i składanie zeznań przed Alistairem Crichtonem. Oszustwa samochodowe; luksusowe auta kradziono w Edynburgu i sprzedawano w Glasgow z nowymi tablicami rejestracyjnymi. Wspólnie z sierżantem Jimem Tuckerem pracowali w pocie czoła, żeby przygotować tę sprawę dla prokuratury, ale z Crichtona był kawał starego drania, pedant w kwestii procedur, i Louise nie chciała, żeby to, jak wygląda, wpłynęło na odbiór jej zeznań. Przed rokiem wyświadczyła Jimowi wielką przysługę. Sierżant miał nastoletnią córkę Lily, jedną z tych sympatycznych dziewcząt o gęstych włosach i idealnym zgryzie, będącym owocem ciężkiej pracy ortodonta, które zdają egzaminy z gry na fortepianie. Lily właśnie śpiewająco zaliczyła maturę i wybierała się na uniwersytet, gdzie miała zagwarantowane stypendium Marynarki Królewskiej na wydziale medycyny, gdy wpadła w ręce Louise podczas nalotu oddziału antynarkotykowego na mieszkanie w Sciennes. Później się okazało, że to szóstoklasiści z Gillespie i paru studentów z pierwszego roku palili trawkę. Louise natychmiast rozpoznała Lily. Dzieciaki zostały przewiezione na posterunek i kilkorgu z nich postawiono zarzuty posiadania narkotyków. To była

jedna z tych akcji, które po fakcie wydają się kompletnie przesadzone – mnóstwo krzyku i wyłamywania drzwi. W całym tym zamieszaniu Louise mocno ujęła Lily za ramię, wyprowadziła z mieszkania, syknęła jej do ucha: „Zwiewaj” i ni mniej, ni więcej zepchnęła ją ze schodów w noc, prosto w bezpieczną, pełną sukcesów przeszłość.

Jim to porządny chłop – z wdzięczności byłby gotów odrąbać sobie nogę albo rękę i sprezentować ją Louise w szklanym słoju, gdyby tylko tego zażądała. Lily musiała być uczciwa do bólu, ponieważ opowiedziała ojcu o całej sprawie. Louise nie wyobrażała sobie, aby w tym samym wieku było ją stać na podobną szczerłość. Właściwie w żadnym wieku nie byłoby ją stać. Sama nie zająknęłaby się Jimowi ani słowem na temat nalotu – uważała, że im mniej słów, tym lepiej. Woląa myśleć, że gdyby Jim znalazł się w podobnej sytuacji z Archiem, jej syn mógłby liczyć na równie łagodne potraktowanie i miałby przynajmniej jednego funkcjonariusza szkockiej policji po swojej stronie. Dwóch, jeśli liczyć jego matkę.

Wsyłała sobie do ust połowę paczki miętówek i pomyślała, że bardziej gotowa nie będzie.

Richard Moat się nie obudził. Leżał przez nikogo nie niepokoiony w salonie Martina Canninga w Merchiston. Wielka wiktoriańska rezydencja w stylu neogotyckim miała w sobie coś z plebanii. Trawnik od frontu zdominowała olbrzymia araukaria zasadzona, gdy dom wciąż jeszcze był nowy. Od ulicy odgradzały go szpaler wiekowych drzew oraz żywopłot. Obecnie płatanina korzeni araukarii sięgała daleko poza trawnik, wijąc się wokół biegnących pod jezdnią przewodów gazowych oraz rur kanalizacyjnych i zakradając się po kryjomu do cudzych ogrodów.

Rozbity rolex na przegubie Richarda Moata wskazywał, że ten zmarł dokładnie za dziesięć piąta (linia prosta, a jakże), obserwowany jedynie przez diabelskie czerwone oczko diody w telewizorze – tym fantastycznym telewizorze, który Richard przez chwilę miał nadzieję przehandlować za swoje życie – za jedyne towarzystwo mając stłumione odgłosy życia na przedmieściu, które narastały wraz z nastaniem świtu. Furgonetka mleczarza z turkotem przejechała ulicą. Przedmieście było tak zamożne, że furgonetki wciąż dostarczały jego mieszkańcom szklane butelki z mlekiem pod same drzwi. Poranna poczta cichutko wsunęła się przez otwór na listy umieszczony w drzwiach. W Londynie dopiero nadejście poczty oznaczało dla Richarda Moata początek nowego dnia. Miał takie wrażenie, jakby dni, kiedy poczta nie przychodziła, właściwie się nie zaczynały (choć coś zawsze przychodziło). Tego dnia poczta przyszła, i to niemal w całości na jego nazwisko (z adnotacją: „aktualnie przebywa pod adresem pana Martina Canninga”). Czek od agenta, pocztówka od kumpla z Grecji, dwa listy od wielbicieli i dla równowagi dwa z pogrózkami. Mimo to dla Richarda Moata ten dzień nigdy nie miał się rozpocząć.

Znalazła go pokojówka, Czeszka z Pragi, absolwentka wydziału fizyki. Na imię miała Sophia i spędzała tu lato, „harując jak wół” za grosze. Nie były żadnymi pokojówkami, tylko zwykłymi sprzątaczkami; „pokojówka” – co za idiotyczne staroświeckie słowo. Zatrudniała je firma o nazwie Przysługi, przyjeżdżały z mopami w rękach różową furgonetką, nadzorowane przez szefową zwaną „dozorczynią” – kobietę, która pochodziła z Isle of Lewis i była wredna dla wszystkich pracownic. Po doliczeniu prowizji i ukrytych kosztów cena ich usług trzykrotnie przekraczała pensję sprzątaczkii przychodzącej dwa razy w tygodniu. Ogólnie rzecz biorąc, sprzątane przez nie domy należały do ludzi, którzy byli zbyt bogaci albo zbyt głupi (albo i jedno, i drugie), żeby wpaść na tańsze rozwiązanie. Każda z dziewcząt miała różowe karty wizytowe ze sloganem: „Wyświadczyliśmy ci przysługę!”. Sophia poznała słowo „slogan” (jak również zwrot „harować jak wół” oraz wiele innych) dzięki swojemu szkockiemu chłopakowi, absolwentowi marketingu. Po skończonej pracy dziewczyny zostawiały taką kartę w widocznym miejscu z dopiskiem: „Dzisiaj twoimi pokojówkami były Maria i Sharon”. Albo ktokolwiek inny. Połowa z nich pochodziła z zagranicy, zwykle z Europy Wschodniej. Oficjalnie nazywało się to „imigracją ekonomiczną”; tak naprawdę chodziło o niewolniczą pracę.

Dozorczyni dawała im listę rzeczy do zrobienia. Lista taka była wcześniej uzgadniana z właścicielem domu, zawsze znajdowały się na niej truizmy w rodzaju: „wyczyścić umywalkę”, „odkurzyć schody”, „zmienić pościel”. Nikt nigdy nie napisał: „sprzątnąć kocie rzygi”, „sprać spermę z pościeli”, „wyjąć włosy z odpływu w łazience”, co byłoby bliższe prawdy. Niektórzy ludzie żyli jak wieprze, zostawiali swoje śliczne domy w obrzydliwym stanie. „Rzygi” było rzecz jasna słowem, którego Sophia nauczyła się od swojego szkockiego chłopaka, doskonałego znawcy miejscowego żargonu. Powierzchny, ale świetnie się pieprzył (jego słowa) – czego chcieć więcej od zagranicznego chłopaka?

Dozorczyni przywoziła je na miejsce różową furgonetką, po

czym robiła Bóg wie co, zapewne nic, co wymagałoby wysiłku. Sophia wyobrażała ją sobie siedzącą w wygodnym fotelu, zajadającą czekoladowe herbatniki i oglądającą telewizję śniadaniową.

W Merchiston miały do sprzątnięcia trzy domy w bliskim sąsiedztwie, więc najpewniej zadziałał tam marketing szeptany; dziewczyny z „Przysług” znały się na sprzątanii. Dom z araukarią (bardzo ładny, Sophia często fantazjowała o zamieszkaniu w nim) odwiedzały co tydzień. Właściciela praktycznie nigdy nie było; gdy przekraczały próg, wymykał się tylnymi drzwiami jak kot. To pisarz, powiedziała im dozorczyńni, więc nie ruszajcie żadnych papierów, nie naróbcie bałaganu. Był to najczystszy, najporządniejszy dom, w jakim bywały – wszystko zawsze na swoim miejscu, łóżka posłane, ręczniki złożone, żywność w lodówce pochowana do plastikowych pojemników. Mogłyby się w kuchni, wypić kawę, przeczytać gazetę i wyjść, nie kiwnąwszy nawet palcem, a dozorczyńni i tak by się nie zorientowała. Lecz Sophia nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Nie była leniem. Z chęcią polerowała, zamiatała i odkurzała, ponieważ pisarz czyścioszek na to zasługiwał. Ostatnio nawet bardziej, bo miał gościa, który był zwykłą świnią: palił, pił i rozrzucał ubrania po podłodze, a jeśli natknął się na Sophię, wygadywał wstrętne, nieprzyzwoite rzeczy.

Raz zaproponował jednej z nich – pewnej smutnej Rumunce – pieniądze, żeby poszła z nim na górę (na szybki numer), po czym dał jej tylko połowę obiecaną kwoty i swoje zdjęcie z autografem. „Kutas” – stwierdziły zgodnie wszystkie pokojówki. Sophia nauczyła je tego słowa – ponowny ukłon w stronę szkockiego chłopaka – one zaś uznały je za bardzo przydatne. Rumunka była głupia, że się zgodziła. Później przez kilka dni płakała, mocząc łzami pięknie wypolerowane powierzchnie i zużywając czyste ręczniki. Twierdziła, że była dziewczicą i potrzebowała pieniędzy. Wszystkie ich potrzebowały. Mnóstwo dziewcząt przebywało tu nielegalnie, niektórym odebrano paszporty, inne po jakimś czasie ginęły bez śladu. Handel żywym towarem. To samo czekało tę małą,

miała to wypisane na twarzy. Krążyły pogłoski o złych rzeczach, jakie spotykały niektóre pracownice Przysług, ale pogłoski zawsze krążą, a złe rzeczy zawsze spotykają różne dziewczyny. Takie jest życie.

Sophia wolała myśleć, że pisarz nie jest ani zbyt bogaty, ani zbyt głupi, żeby zatrudnić zwykłą sprzątaczkę, i może odpowiada mu bezosobowy charakter usług jej firmy. Wyobrażała sobie, że tacy jak on nie przepadają za bliskimi kontaktami z innymi ludźmi, którzy mogliby ich odrywać od pisania.

Tego dnia brakowało im rąk do pracy, ponieważ szalała grypa, i dozorczyńni powiedziała jej, żeby zaczęła sama, więc Sophia zastukała do drzwi domu pisarza. Miała swój klucz, ale zawsze najpierw pukają. Zastukała jeszcze raz, głośniej. Pisarz miał solidną mosiężną kołatkę w kształcie lwiej głowy i używając jej, Sophia czuła dziwną satysfakcję, jakby była z policji. Gdy wciąż nikt nie odpowiadał, otworzyła drzwi kluczem i zaanonsowała śpiewnie: Przysługi!, na wypadek gdyby pisarz akurat był z kimś w łóżku. Mało prawdopodobne – w całym domu nie było śladu życia seksualnego ani z kobietą, ani z mężczyzną. Choćby jednego świerszczyka. Tylko kilka oprawionych w ramki fotografii, wśród których rozpoznała katedrę Notre Dame w Paryżu i holenderskie domy nad kanałem – wakacyjne fotki wyglądające jak pocztówki, bez choćby jednego człowieka.

Pisarz zgromadził też kolekcję rosyjskich lalek, matrioszek, bardzo drogie. Ostatnimi czasy w praskich sklepach z pamiątkami oferowano mnóstwo rosyjskich lalek. Te, które miał pisarz, stały w równym rzędzie na parapecie, Sophia co tydzień je odkurzała. Czasami wkładała jedną w drugą, bawiąc się tak, jak to robiła, gdy była dzieckiem. Myślała wtedy, że lalki pożerają się nawzajem. Jej matrioszki były tanie, prymitywnie pomalowane na podstawowe kolory, podczas gdy te tutaj wyglądały przepięknie, ozdobione przez prawdziwego artystę scenkami z Puszkina. W Rosji było teraz tylu bezrobotnych artystów, którzy dekorowali drewniane szkatułki, lalki, jajka, wszystko, co dało się opchnąć turystom. Pisarz miał

komplet składający się aż z piętnastu lalek! Jako dziewczynka dałaby się za taki pokroić. Teraz oczywiście zrezygnowała z wszelkiej dziecinady. Była ciekawa, czy pisarz jest gejem. W Edynburgu spotykała mnóstwo gejów.

W gabinecie miał półkę ze swoimi książkami. Wiele wydań w obcych językach, nawet po czesku! Przekartkowała je – wszystkie opowiadały o dziewczynie zwanej Nina Riley, prywatnym detektywie. „Niech pan odłoży broń, lordzie Hunterston! Wiem, co zaszło podczas polowania na głuszce, śmierć Davy’ego to nie był wypadek”. Gównu, jak ująłby to jej szkocki chłopak. W „Przysługach” o pisarzu mówiło się „pan Canning”, ale nie takie nazwisko widniało na okładkach jego książek; tam nazywał się Alex Blake.

Wszystko pięknie, jak zwykle. Na stoliku w holu pachnące róże z ogrodu w szklanej misie. Pisarz zawsze wsuwał pod nią hojny dziesięciofuntowy napiwek. Musiał być bardzo bogatym człowiekiem. Dzisiaj – rzecz do niego niepodobna – nie zostawił żadnego banknotu. Jadalnia nieużywana, normalka. Sophia otworzyła drzwi do salonu. Zasłony zaciągnięte – to coś nowego. W środku było ponuro, jakby całą przestrzeń wypełniała mgła. Pomimo półmroku zorientowała się, że zaszło tu coś złego. Idąc po dywanie, słyszała trzeszczenie szkła pod stopami. Rozsunęła zasłony. Do pomieszczenia wlało się słońce, oświetlając panujący wewnątrz bałagan. Lustro nad kominkiem, wszystkie bibeloty, nawet śliczne szklane abażury w staroświeckich oprawach rozbito w drobny mak. Stolik do kawy leżał przewrócony, podobnie lampa stołowa; jej żółty jedwabny abażur był zgnieciony i połamany. Wszystko wywrócone do góry nogami, jakby przebiegło tędy stado słoni. I to bardzo niezdarnych słoni. Matrioszki wały się po podłodze porozrzucane jak miniaturowe kręgle. Niewiele myśląc, Sophia podniosła jedną z nich i włożyła do kieszeni, ciesząc się dotykiem gładkiego, obłego kształtu.

Czuła dziwny ucisk w żołądku; taki ucisk pojawia się wtedy, gdy ma się wydarzyć coś bardzo ekscytującego, czego się dotąd nie przeżyło. Miała go, oglądając wyburzenie wielkiego bloku mieszkalnego. Bum! W sekundę wszystko spowiała wielka

chmura gęstego szarego pyłu, jak po wybuchu wulkanu albo po zawaleniu się nowojorskich wieżowców, tyle że to było jeszcze przed zamachem.

Nagle krzyknęła po czesku: „Boże święty, Boże święty!”. Przeżegnała się, choć nie była wierząca, i powtórzyła: „Boże święty”, jakby nie знаła innych słów. Widok leżącego na podłodze mężczyzny wymazał na chwilę cały jej zasób słów angielskich i czeskich.

Jesteś przecież naukowcem, nie sprzątaczką, upomniała się w duchu, powinnaś umieć spojrzeć na to obojętnie i obiektywnie. Zmusiła się, żeby podejść bliżej. Mężczyzna, zapewne pisarz, leżał na podłodze, jakby osunął się na plecy podczas modlitwy. Pozycja ta wydawała się dość niewygodna, ale jemu to już nie przeszkadzało. Głowę miał kompletnie zmiażdżoną, jedno oko wypłynęło z oczodołu. Wszędzie rozbryzgany mózg niczym szkocka owsianka. I krew. Mnóstwo krwi, która wsiąkła w czerwony dywan, dlatego w pierwszej chwili Sophia jej nie zauważyła. Krew na pomalowanych czerwoną farbą ścianach i czerwonych aksamitnych kanapach. Ten pokój jakby prosił się o morderstwo, czekał, by wchłonąć krew jak gąbka.

Z wolna przyzwyczajała się do tego widoku. Powróciły też słowa – angielskie słowa. Uświadomiła sobie, że powinna krzyknąć: „Na pomoc!” albo: „Morderstwo!”, lecz gdy minął pierwszy szok, wydało jej się to dość idiotyczne. Przemknęła więc cichutko przez dom i wyszła frontowymi drzwiami na ulicę, gdzie zastała dozorczynię wciąż wyładowującą plastikowe wiadra i mopy z paki różowej furgonetki. Poinformowała ją, że dom pisarza pod żadnym pozorem nie może być dzisiaj sprzątnięty.

– Podobno zabiłeś psa. Fatalnie wyglądasz. Skoczmy na kawę?

Louise Monroe. Louise Monroe, szczerząca do niego zęby w uśmiechu i wskazująca gmach Szkockiego Muzeum Królewskiego naprzeciwko sądu okręgowego.

– To jednak bratamy się z wrogiem?

– Podają tam dobrą kawę – odparła.

Ależ się dziś wystroiła: czarny kostium, biała bluzka, obcasy. Poprzedniego dnia była w dżinsach, podkoszulku i marynarce. Bardziej podobała mu się w dżinsach, ale kostium też jej pasował. Dostrzegł od razu zgrabne kostki u nóg, jego brat powiedziałby: „toczone”. Jackson miał słabość do damskich kostek. Lubił też inne części ciała, z których składała się kobieta, ale przede wszystkim zwracał uwagę na kostki. Rzecz jasna, o kostkach Louise Monroe myślał ten zły Jackson, jego zepsuty sobowtór czający się podstępnie w zakamarkach jego umysłu. Dobry Jackson, zły Jackson. Ostatnimi czasy stale się ze sobą mocowali. Jackson wolał nie wyobrazać sobie, co by się stało, gdyby zły Jackson wygrał. Czy doktor Jekyll zwyciężył pana Hyde’a? Który z nich był dobry, który zły? Nie miał pojęcia; nigdy nie czytał książki, obejrzał tylko na wideo film *Mary Reilly* – wybór Josie. No dobrze, połowę filmu, zanim po spałaszowaniu pizzy zapadł w sen na kanapie.

– Nie zabiłem żadnego psa – odparł. – Sam zdechł. Wbrew temu, co się uważa, psom zdarza się umierać z przyczyn naturalnych. Rozumiem, że jej nie znaleźliście? Tamtej martwej dziewczyny.

– Nie. Przykro mi.

„Jeszcze nie” byłoby lepszą odpowiedzią. Louise dodała: „przykro mi”, jakby w poszukiwaniu zwłok chodziło o wyświadczenie mu osobistej przysługi, nie zaś o dochodzenie

policyjne. Kątem oka dostrzegł wychodzącego z sądu Terence'a Smitha z komórką przyklejoną do ucha. „Ej, ty tam!” – zawołał, ruszając w ślad za nim. Louise chwyciła go za rękaw i przytrzymała:

– Wyluzuj, kowboju, chyba nie chcesz trafić z powrotem na salę sądową.

Terence Smith zasalutował mu dwoma palcami i wszedł do taksówki.

– Kłamliwy drań – mruknął Jackson.

– Zawsze tak się mówi.

– Czyli przyznałeś się do winy, chociaż byłeś niewinny?

– zadumała się nad szklanką latte Louise Monroe, podczas gdy Jackson jednym ruchem opróżnił filiżankę z potrójnym espresso, jakby zażywał lekarstwo. – Musisz być katolikiem.

– Moja matka była Irlandką – odrzekł. – Głęboko wierząca. Bardzo ją rozczarowałem.

– Ja jestem szkocką katoliczką. To podwójne przekleństwo. Te same bzdury i dodatkowo żal do całego świata.

– Też rozczarowałaś swoją matkę?

– Nie. To ona rozczarowała mnie.

– Po prostu łatwiej było przyznać się do winy.

– I to ma być rozsądne zachowanie tam, skąd pan pochodzi, panie Brodie? W świecie na opak?

„Panie Brodie”. Kiedyś Julia też tak się do niego zwracała, na początku ich znajomości, wymawiając jego nazwisko w sugestywny, intymny sposób, jakby był bohaterem romansu z epoki regencji. Teraz mówiła do niego ostro: „Jacksonie”, jak ktoś, kto zna go na wylot.

– Uznałem, że tak będzie szybciej, niż najpierw stawiać się na rozprawę, a potem wracać na ogłoszenie wyroku, brać adwokata, uczestniczyć w tych wszystkich skomplikowanych procedurach. Nie miałem świadków, tamten miał obrażenia, ja o swoich nie wspomniałem, kiedy mnie aresztowano.

Podsunał jej dłoń do obejrzenia, rezygnując z zadarcia koszuli i zaprezentowania reszty swoich fioletowych trofeów w dystyngowanym zaciszu muzeum.

– I jak będę teraz dzierzył miecz? – pożalił się.

– Nadepnął ci na rękę? – zapytała. – Kiedy leżałeś na ziemi? I nie powołałeś się na obronę konieczną? Jesteś kompletnym idiotą.

– Już mi to mówiono.

– Były policjant, człowiek o nieposzlakowanej opinii, nienotowany...

– Przeszedłem na ciemną stronę mocy.

– Czemu?

– Może chciałem sprawdzić, jak tam jest?

– No i jak jest?

– Ciemno.

Jackson westchnął i wzdrygnął się, bo zakłuło go w żebrach. Miał dość tej rozmowy.

– A co z „Przysługami”? Udało ci się cokolwiek znaleźć?

– Wczoraj zleciłam to Jessice. Nie ma ich w książce telefonicznej...

– Kto by pomyślał.

– Ani śladu w rejestrze spółek, brak adresu e-mailowego i strony internetowej, za to tysiące trafień w wyszukiwarce, od wyprowadzania psów po twardą pornografię, jednak nic, co miałyby ścisły związek z Edynburgiem. W obyczajówce nigdy nie słyszeli o saunie ani o klubie z tańcem erotycznym pod nazwą „Przysługi”.

– Trzeba by się rozejrzeć za różowymi wizytówkami w budkach telefonicznych, sprawdzić toalety publiczne, knajpy, nocne kluby.

Jackson zaczynał czuć coś, czego od dawna mu brakowało; w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, co to jest. Potem uświadomił sobie, o co chodzi. Rozpracowywał sprawę; to było podniecenie towarzyszące łączeniu luźnych elementów w spójną całość, próbie *dotarcia* do celu. („Spójrzmy prawdzie w oczy, Jacksonie, czujesz się odarty z męskości”).

– Przepytaliście dziewczyny na ulicach?

– Widzę, jak kręcą ci się policyjne antenki. Wyłącz je.

Jakiś czas temu musiała przygryźć sobie wargę aż do krwi; wyraźnie widział bliznę albo strupek, co mogło wskazywać, że robi to dość regularnie. Sprawiała wrażenie bardzo

opanowanej, tymczasem historia z upuszczaniem własnej krwi świadczyła o całej kolekcji ukrytych nerwic. Jackson pomyślał o wężu gryzącym własny ogon, pożerającym samego siebie. Był ciekaw, co ją sprowadziło do sądu okręgowego, ale nie zapytał. Zamiast tego powiedział:

– Facet, który na mnie wieczorem napadł, niejaki Terence Smith, zwany też kolesiem z hondy, zaatakował wczoraj w ciągu dnia innego kierowcę. Zachowywał się jak wariat, kompletnie mu odbiło. Wypisz, wymaluj wiking w szale bitewnym.

– Widziałeś to? Kim ty właściwie jesteś: zawodowym świadkiem, podróżującym w poszukiwaniu kolejnych przestępstw?

– Nie, to jakaś klątwa.

Roześmiała się i spytała:

– Kto cię przeklął?

– Chyba sam ją na siebie ściągnąłem – odpowiedział, ponieważ najwyraźniej był kompletnym idiotą.

Kiedy się śmiała, wyglądała jak całkiem inna osoba.

– Najpierw widzę, jak facet rzuca się na kogoś na ulicy z kijem bejsbolowym, kilka godzin później napada na mnie i każe mi trzymać głowę na kłódkę w związku z tym, co widziałem wcześniej. Wiedział, jak się *nazywam*. Skąd?

– Byłeś jedynym świadkiem tamtego incydentu?

– Nie. Świadków było na pęczki. Zresztą nawet mnie wtedy nie widział. Bardziej opłacałoby mu się odszukać człowieka, który go powstrzymał. Jakiś facet rzucił w niego teczką. Może jego też próbował zastraszyć?

– Wyobraziłeś sobie, że koleś ci grozi, tymczasem może to był całkiem zwyczajny napad rabunkowy?

– Wyobraziłem sobie?

Tak uważnie go słuchała; był przekonany, że mu wierzy. Ogarnęło go nagłe rozczarowanie.

– Przeanalizuj materiał dowodowy – zasugerowała.

– Mówisz, że byłeś świadkiem aktu przemocy na drodze. Twierdzisz, że rzekomy sprawca incydentu później zaatakował ciebie, choć sam przyznałeś się przed sądem do napaści na

niego. Twierdzisz też, że znalazłeś zwłoki, ale brak dowodów na poparcie tych zeznań. Jesteś milionerem, lecz płaczesz się tam, gdzie nie trzeba, i stale pakujesz w kłopoty. Spójrzmy prawdzie w oczy, Jackson, na papierze nie robisz najlepszego wrażenia.

To, że nieoczekiwanie zwróciła się do niego po imieniu, zaskoczyło go bardziej niż wzmianka o jego położeniu finansowym, choć to *oczywiste*, że go sprawdziła. Nie ona była głupia, tylko on z tymi swoimi siniakami i wyrokiem skazującym. Odparł więc:

– Masz krew na wardze.

Martina zbudził poranny chór ptasich głosów. Choć jego mózg był wciąż otępiały od snu, wydało mu się to nieprawdopodobne; miał wrażenie, że znajduje się w miejscu, gdzie nie śpiewają żadne ptaki. No i faktycznie, po krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że to sygnał jego komórki, nie prawdziwe ptasie trele.

Macając wokół siebie w poszukiwaniu okularów, stracił telefon na podłogę. Założył je wreszcie, lecz wciąż miał wrażenie, że ktoś natarł mu oczy wazeliną. Zanim zdążył zlokalizować komórkę, aparat przestał świergotać. Spojrzał na wyświetlacz – jedno nieodebrane połączenie. Wszedł w rejestr połączeń. Richard Moat. Richard pewnie się zastanawiał, co się z nim działo ostatniej nocy, choć właściwie nie należał do ludzi, którzy troszczyliby się o innych. Bardziej prawdopodobne, że znów chciał coś pożyczyć.

Martin odłożył telefon na nocny stolik i stwierdził, że ma przed sobą kobietę paloną na stosie. Jej usta były szeroko otwarte w zdławionym krzyku, gdyż płomień z ułożonych wokół stert drewna zaczęły lizać jej ciało. Patrzył na wiszący na ścianie drzeworyt; tabliczka u dołu głosiła: „Dawny Edynburg”. Kiedy osuszono Nor’ Loch pod park Princes Street Gardens, okazało się, że jezioro nie tylko stanowiło zbiornik miejskich ścieków i odpadów, lecz było także miejscem ostatniego spoczynku czarownic. Ich spętane od stóp do głów szkielety przypominały tuszki drobiu przygotowane do pieczenia. I to były te niewinne, te, które utonęły. Martin nigdy nie zdołał tego pojąć; wydawałoby się, że niewinność to coś lotnego, co utrzyma człowieka na powierzchni, podczas gdy zło jak kamień pociągnie go na dno w oślizgły, cuchnący szlam.

Obecnie w miejscu, gdzie palono czarownice, stała droga restauracja, w której stołowała się śmietanka edynburskiej

burżuazji. Taki był ten świat, wszystko szło naprzód, lecz nie zmieniało się na lepsze.

Bolał go kark, ręce i nogi miał tak zdętwiałe, jakby przez całą noc były skrępowane, jakby sam został spętany jak indyk. Leżał na łóżku, chociaż nie pamiętał, by kładł się obok Paula Bradleya. Nie przypominał sobie także, by zdejmował okulary oraz buty. Poczul ulgę, widząc, że poza tym jest kompletnie ubrany. Wypełniająca pokój woń smażonego bekonu przyprawiła go o mdłości. Spojrzał na budzik cyfrowy wbudowany w stojące przy łóżku radio. Dwunasta. Nie do wiary, że tyle spał. Po Paulu Bradleyu nie było śladu – zniknęła jego turystyczna torba, jego kurtka, wszystko. Równie dobrze mógłby wcale nie istnieć. Martin przypomniał sobie o pistolecie i jego serce wykonało malutkie salto. Spędził noc w pokoju hotelowym (w jednym łóżku!) z zupełnie obcym uzbrojonym człowiekiem. Z zabójcą.

Ostrożnie rozprostował ciało i opuścił nogi na podłogę. Sparaliżował go nagły spazm bólu w okolicach krzyża. Musiał zaczekać, aż minie, zanim wstał i na miękkich jak galareta nogach pokuśtykał do łazienki. Miał wrażenie, że usta wypełnia mu tektura; głowa wydawała się olbrzymia, zbyt ciężka, żeby utrzymać się na cienkiej szyi. Czuł się jak po narkozie i na jedną paranoiczną sekundę jego serce przyspieszyło, gdy przyszło mu do głowy, że Paul Bradley mógł być zamieszany w jakiś rozległy spisek polegający na pozbawianiu przypadkowo spotkanych przechodniów ich narządów wewnętrznych. A może to zatrucie tlenkiem węgla albo początek słynnej letniej grypy? Ewentualnie końcówka kaca po wczorajszym pomarańczowym koktajlu...

Ugasił koszarne pragnienie kranówką o chemicznym posmaku i przejrzał się w lustrze łazienkowym, ale nie znalazł żadnych widocznych śladów ingerencji chirurgicznej. Czyżby to był rohypnol? Pigułka gwałtu? (Chybaby się zorientował?). Coś go spotkało, ale nie wiedział co. Może podano mu jakiś lek psychotropowy, po którym oszalał? Tylko po co? Chyba że to spóźniona zemsta bogów. Nie spieszyli się; od jego pobytu w Rosji, od tamtego *incydentu*, upłynął rok z kawałkiem.

Ostatniego dnia ich przewodniczka Maria dała im czas wolny, żeby pokręcili się po targu na tyłach Newskiego Prospektu, gdzie stragany uginały się od dóbr produkowanych z myślą o turystach: drewnianych matrioszek, lakierowanych szkatulek, malowanych jajek, pamiątek z czasów komunizmu i futrzanych czapek z godłem Armii Czerwonej. Przeważały jednak matrioszki, tysiące matrioszek, całe zastępy drewnianych lalek złożonych i porozkładanych – szeregi zwielokrotnionych malejących kopii jak niekończące się odbicia w gabinecie luster. Martinowi przyszedł do głowy pomysł na dzieło w stylu Borgesa, w którym każda opowieść kryłaby w sobie załączek kolejnej i tak dalej. Rzecz jasna, żadnej Niny Riley – dla niej była dobra narracja linearna – lecz coś (coś dobrego) z intelektualnym piętrem.

Nigdy wcześniej nie interesowały go matrioszki, ale w Petersburgu nie dało się ich uniknąć, zdawały się wszechobecne. Jego towarzysze podróży z dnia na dzień stali się znawcami rosyjskiej sztuki ludowej i nieustannie rozprawiali, jakiego rodzaju matrioszki kupią przed powrotem do domu. Głośno spekulowali, ile lalek nabędą za swoje ruble. Twierdzili, że Rosjanie na pewno spróbują obedrzeć ich ze skóry, oni zaś ze swej strony zrobią wszystko, żeby obedrzeć Rosjan. „Przyjęli kapitalizm – stwierdził jeden z uczestników wycieczki – więc muszą się pogodzić z tym, że bywa on krwawy”. Martin nie miał pewności, czy to przenośnia, czy też mówi on o prawdziwych ofiarach dzikiego kapitalizmu. Już wcześniej zauważył, że wycieczki krajoznawcze wywołują zwykle silną ksenofobię; nawet podziwiając cuda Pragi czy uroki Bordeaux, dzielni Brytyjczycy stale walczący w ariergardzie nieodmiennie widzieli w miejscowych wrogo nastawionych łajdaków.

Sklepik w holu ich opanowanego przez karaluchy hotelu – duszny, jaskrawo podświetlony, ze ścianami zwielokrotnionymi w lustrach – sprzedawał matrioszki po bardzo wygórowanych cenach. Nikt w nim niczego nie kupował. Martin zapuścił się tam pod wieczór i buszował po półkach śledzony pełnym rozczarowania spojrzeniem

sprzedawczyni („Tylko się rozglądam”, wymamrotał przepaszającym tonem), badając, oceniając i porównując matrioszki pod kątem czekającej go transakcji z ręki do ręki na jednej z petersburskich ulic. Były laleczki małe i duże, wysokie i przysadziste, lecz wszystkie miały takie same twarze: wydęte różane usteczka i wielkie błękitne oczy, zawsze szeroko otwarte w wyrazie permanentnego przerażenia jak u dmuchanej lalki z sex-shopu.

Były też matrioszki w kształcie kotów, psów oraz żab, były podobizny amerykańskich prezydentów i sowieckich przywódców, komplety złożone z pięciu albo pięćdziesięciu figurek, kosmonauci i klauni, lalki prymitywne i wykwitnie zdobione, które wyszły spod pędzla prawdziwego artysty. Martin opuścił sklepik z zawrotami głowy; w oczach migwały mu niezliczone odbicia malowanych twarzącychek. Położył się na wąskim, niewygodnym łóżku i śniło mu się, że z nieba obserwuje go olbrzymie masońskie oko, które po chwili zmieniło się w oko wymalowane na dnie nocnika jego babki tuż nad lubieżną inskrypcją: „Nikommu nie powiem, co tutaj widziałem”. Obudził się złany potem. Od lat nie myślał o swojej babce, a co dopiero o jej nocniku. Przyszła na świat w epoce wiktoriańskiej i w zasadzie nigdy jej nie opuściła; jej robotnicza czynszówka w Fountainbridge była ciemną, ponurą norą spowitą w kordonkowe serwetki i zatęchły aksamit. Babka umarła wiele lat temu. Martina zaskoczył fakt, że w ogóle ma jakiegokolwiek związane z nią wspomnienia.

* * *

„Wezmę taką dla swojej przyszywanej wnuczki” – oznajmił mu umierający sklepikarz, gdy wędrowali wzdłuż rzędu straganów. Znów zaczęło padać. Duże, mokre płatki wczesnego śniegu topniejące w zetknięciu z asfaltem i ludzką skórą. Dzień wcześniej również padało, ulice pokrywała szara breja. Powietrze było nieprzyjemne, przenikliwie chłodne i wilgotne, a sklepikarz, który postanowił kupić sobie futrzaną czapkę z nausznikami, targował się ze straganiarzem. Martin głowił się, jaki to ma sens, skoro jego towarzysz był rzekomo jedną

nogą w grobie. Powoli zaczynał się zastanawiać, czy sklepikarz naprawdę jest umierający, czy tylko tak mu powiedział, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Martin zdołał umknąć, bo mężczyzna wciąż zawzięcie negocjował ze sprzedawcą czapek. Ten człowiek psuł mu całą frajdę z pobytu w „magicznej Rosji”; rano snuł się za nim krok w krok przez cały Ermitaż, bez przerwy krytykując przepych wnętrza (a przecież właśnie o to tam chodziło) i głośno się zastanawiając, jakie „ohydne pomyje” dostaną znów na kolację. Nie zamknął się nawet na widok kolekcji Rembrandta: „Żałosny stary pierdziel, prawda?”, zauważył, kontemplując autoportret mistrza. Martin wiedział, że to jedynie chwilowe wytechnienie – kiedy tylko tamten wsadzi na głowę nową czapkę, niezawodnie odszuka go między straganami i przez resztę popołudnia będzie mu marudził, jak został okantowany przez handlarza czapek, mizernego chudzińca, który wyglądał, jakby miał ubiec swojego klienta i pierwszy przenieść się na tamten świat.

Martin zamierzał kupić komplet matrioszek dla matki. Wiedział, że będą stały regularnie odkurzane, lecz tak naprawdę zapomniane na jakiejś półce razem z innymi tandetnymi bibelotami, porcelanowymi figurkami, lalkami w strojach ludowych i obrazkami haftowanymi ścięciem krzyżkowym. Nic, co kupował, nie sprawiało matce przyjemności, ale gdy zjawiał się bez podarku, zaraz zaczynała biadolić, że wcale o niej nie myśli (logika jej rozumowania była nie do podważenia). Gdyby Martin dostał w prezencie kamień zawinięty w papier, odczułby wdzięczność na myśl, że ktoś zadał sobie trud, żeby ten kamień znaleźć i zawinąć go w papier specjalnie dla niego.

Doszedł do wniosku, że kupi coś zwyczajnego, bo matka na nic więcej nie zasługiwała – na przykład komplet matrioszek w strojach ludowych: każda w fartuszkach i w chusteczce zawiązanej pod brodą. Wziął nawet jedną do ręki, chcąc poczuć pod palcami gładkość drewna i kształty bogini płodności, gdy stojąca za straganem dziewczyna zagadnęła go:

– Bardzo ładna.

– Tak – wymamrotał.

Wcale nie uważał, że lalka jest ładna. Starał się nie patrzeć na dziewczynę, bo była naprawdę śliczna. Na dłoniach miała wełniane rękawiczki bez palców, głowę omotała ciepłym szalem, spod którego wymykały się jasne włosy. Wyszła zza straganu i zaczęła podnosić kolejne lalki, otwierać je i rozchyłać jak skorupki jajek, ukazując mu ich zawartość.

– Ta też piękna, i ta. Ta bardzo wyjątkowa, bardzo dobry artysta. Sceny z Puszkina. Puszkina, sławny rosyjski pisarz. Pan zna?

Była tak nienachalna, że niegrzecznie byłoby jej odmówić i po namyśle dłuższym, niż zasługiwały na to sama decyzja oraz matroszki, Martin nabył kosztowny komplet piętnastu lalek. Rzeczywiście były ładne, ich pękate brzuszki zdobiły scenki zimowe z Puszkina. Pomyślał, że w zasadzie to małe dzieła sztuki, o wiele za dobre dla jego matki, i postanowił, że zatrzyma je dla siebie.

– Są bardzo piękne – zwrócił się do dziewczyny.

– Dolarów *niet*? – spytała ze smutkiem, gdy wręczył jej garść rubli.

Ubrana była w staromodny praktyczny płaszcz i botki do kostek na wysokich obcasach. Wszystkie dziewczęta w Petersburgu nosiły buty na wysokich obcasach i zręcznie mknęły w nich przez pośniegowe błoto, podczas gdy Martin wciąż chwiał się i ślizgał niczym komik z burleski.

– Chcesz kawy? – zagadnęła nieoczekiwanie.

Wprawilo go to w zakłopotanie. Miał wrażenie, że dziewczyna zaraz wyciągnie skądś termos, ona jednak zawołała coś ochryple do mężczyzny przy sąsiednim straganie, handlującego starymi odznaczeniami Armii Czerwonej, ten zaś odkrzyknął coś równie ochryple, na co dziewczyna chwyciła torebkę i ruszyła przed siebie, wymachując torebką i kiwając na Martina, jakby był małym chłopcem.

Wypili wtedy nie kawę, tylko barszcz. Na deser wzięli gorącą czekoladę, gęstą i słodką, podawaną w wysokich kubkach z ciastkami z kremem. Dziewczyna sama wszystko zamówiła i nie pozwoliła mu zapłacić, machnięciem ręki wskazawszy

torbę foliową, w której tkwiły jego przed chwilą kupione matroszki, ciasno wtulone jedna w drugą. Przeszło mu przez myśl, że może dziewczyna chce się odwdziżyć za kosztowny zakup. Może w ten sposób załatwiało się w Rosji interesy? Może jeśli ktoś otrzymał od ciebie sumę, za którą mógł żyć przez tydzień, w podzięcie zabierał cię do ciepłej kawiarni i dmuchał ci w twarz dymem z papierosa? Podczas wakacji na Krecie („Odkryj cuda starożytności”) zaskoczyło go, że za każdym razem, gdy kupował coś w sklepie, właściciel nalegał, aby przyjął jeszcze coś innego za darmo, jakby chciał w ten nadać ludzki wymiar dzikiemu kapitalizmowi. Podarkami zwykle były niciane serwetki. Przed powrotem do domu Martin zgromadził w walizce spory ich zwitek. Później przekazał je do sklepu z rzeczami używanymi.

– Irina – przedstawiła się, podając mu rękę i ściskając jego dłoń.

Gdy zdjęła szal, włosy opadły jej luźno na plecy.

– Martin.

– Marty – powiedziała z uśmiechem.

Nie poprawił jej. Nikt jeszcze tak go nie nazwał. Spodobało mu się to, że „Marty” robi wrażenie o wiele bardziej rozrywkowego niż on sam. Usiłował wyjaśnić Irinie, że jest pisarzem, ale nie miał pewności, czy go zrozumiała.

– Dostojewski – dodał. – Puszkina.

– *Idiot!* – wykrzyknęła z nagłym ożywieniem na ślicznej jak u lalki twarzy. – Tutaj *idiot*.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że kawiarnia, w której siedzieli, nazywała się Idiota.

Chciał zrobić na niej wrażenie swoimi sukcesami. Z zasady nie rozmawiał o swoich osiągnięciach zawodowych. Melanie zawsze było mało – uważała, że stać go na więcej, nieliczni znajomi nie odnosili żadnych sukcesów, nie chciał więc uchodzić wśród nich za pyszałka. Matce jego kariera była obojętna, z kolei brat mu zazdrościł. Martin doszedł zatem do wniosku, że lepiej nie chwalić się swoimi małymi triumfami. Chciał jednak, by Irina wiedziała, że w swojej ojczyźnie jest kimś ważnym („Z każdą nową powieścią wzrasta sprzedaż jego

książek”), lecz ona tylko się uśmiechnęła i zlizła z palców okruchy ciastka.

– Jasne – odparła.

Gdy skończyli jeść, gwałtownie wstała i nie patrząc na zegarek, rzuciła:

– Ja już iść.

Wkładając płaszcz, dopiła czekoladę i była w tym geście pewna zachłanność, która wydała mu się godna podziwu.

– Wieczorem? – zapytała, jakby się wcześniej na coś umówili.

– Bar Kawiorowy, Grand Hotel, siódma. Okej, Marty?

– Okej – odrzekł prędko, jako że stała w drzwiach i nie oglądając się za siebie, unosiła rękę na pożegnanie.

Po wyjściu z kawiarni ujrzał sypiący śnieg. Pomyślał, że to romantyczne: śnieg i ta jasnowłosa dziewczyna w szalu na głowie, zupełnie jak Julie Christie z *Doktora Żywago*.

Martin gapił się na swoje odbicie w nieco krzywym lustrze łazienki w Hotelu Czterech Klanów. Był głodny jak wilk, więc może stąd te mdłości? Nie pamiętał, kiedy ostatnio zjadł porządny posiłek. Przez jego ciało przebiegły fale dreszczy i chwilę później klęczał, obejmując rękoma miskę klozetową, wstrząsany gwałtownymi torsjami. Po wszystkim spuścił wodę i gdy tak patrzył, jak wirujące wymiociny mieszają się z paskudnym niebieskim detergentem ze zbiornika spłuczki, uderzyła go myśl... Został okradziony. No jasne!

Wypadł z łazienki i zajrzał do kieszeni kurtki, w której powinien mieć portfel. Pusta. Martin westchnął ciężko na myśl o wszystkich uciążliwych telefonach, jakie przyjdzie mu wykonać do banku i operatorów kart kredytowych. W portfelu miał prawo jazdy oraz sto funtów gotówką, a także – o zgrozo! – małą wrzosową pamięć przenośną firmy Sony zawierającą całość *Śmierci na Czarnej Wyspie*. Wszystko przepadło. Martin poczuł lodowatą falę paniki, po chwili zastąpioną przez gorącą falę ulgi – na szczęście miał zapasową kopię powieści na płycie CD w „biurze”. Ocalił życie Paulowi Bradleyowi i w zamian został przez niego okradziony. Ta zdrada tak go zabolala, że w oczach zakreśliły mu się łzy.

Gęste opary smażonego bekonu i wszechobecna w recepcji

szkocka krata potęgowały atmosferę opuszczenia. Taka sama musiała panować na pokładzie „Mary Celeste”. Martin przycisnął mosiężny dzwonek i po dłuższym oczekiwaniu zjawił się młodzieniec w stroju kuchcika. Z niebywałą wprost ospałością przesunął palcem wzdłuż listy nazwisk w księdze hotelowej i potwierdził, że Paul Bradley istotnie się wymeldował.

– Wszystko zapłacone – wymamrotał, wycierając nos wierzchem dłoni. – Jest pan wolny – dodał, jakby wypuszczał Martina z więzienia.

Martin nie wspomniał, że go okradziono, bo chłopak nie wyglądał na kogoś, kogo by to obeszło. Czemu zresztą miałby się tym przejąć? Martin nie mógł się oprzeć myśli, że w pewnym sensie dostał to, na co zasłużył.

Gloria zbudziła się wcześniej rano. Zeszła na dół na palcach, jakby w domu był ktoś, kogo mogłaby obudzić, choć przecież nareszcie była sama. Przy Grahamie cały dom trzeszczał i huczał od hałasu, nawet jeśli jej mąż akurat spał. Bez niego wszystko toczyło się własnym utartym torem, wśród pastelowych barw i w promieniach światła, których Gloria dotąd nie zauważała.

Między palcami bosych stóp czuła przypominające owczą sierść węzłki kremowego berberyjskiego chodnika, w dłoni gładki dotyk poręczy schodów z czerwonej sosny oregońskiej. Pozwoliła sobie na chwilę zadumy nad wszystkimi ludźmi, którzy przez z górą sto pięćdziesiąt lat polerowali tę poręcz. Ona też to robiła, tyle że stosowała nie tanie środki czyszczące, lecz prawdziwy воск pszczeli. Nauczyła się doceniać drobne przyjemności, których tak wiele ma w tym domu – domu, który będzie stał jeszcze długo po tym, jak ona sama spocznie w ziemi.

Każdy dzień to dar, powtarzała sobie; nic dziwnego, że w języku angielskim „teraźniejszość” i „prezent” określało się tym samym słowem. Wiedziała, że ten dom zostanie jej odebrany. Padnie ofiarą żalonych machinacji Grahama, skonfiskowany jako korzyść pochodząca z przestępstwa (czytała trochę na ten temat w internecie). Zostanie zajęty i sprzedany na poczet zadośćuczynienia za wszystkie lata przekrętów Grahama. Domek z kart, zwykła iluzja – tylko tyle udało mu się zbudować. Jego śmierć albo dochodzenie wydziału do walki z przestępczością gospodarczą – zależy, co nadejdzie pierwsze – odkryje wszystkie tajemnice, odsłoni zasłony oraz żaluzje i napełni światłem najmniejszy brudny zakamarek.

Gloria otworzyła wysokie okna balkonowe w salonie. Przez

kilka minut stała, wdychając świeże poranne powietrze i obserwując podrygującego na płocie wróbla. Trochę brązowych piórek, czarny krawacik. Miło byłoby mieć pewność, że czuwa nad nim oko opatrności, gdyby jednak nie, to zarówno Gloria, jak i kamery monitoringu zauważyłyby grożące mu niebezpieczeństwo. Nadleciała roztrajkotana sroka i Gloria zaraz ją przegoniła.

Ich dom na przedmieściach Edynburga w Grange (nazwany „Providence” na długo przed tym, zanim osiedlili się w nim Gloria i Graham) nie miał nic wspólnego z tandetnie budowanymi i sprzedawanymi po wygórowanych cenach domami, na których wzbogacił się jej mąż. Tam drzwi szafek kuchennych były źle dopasowane, kominki stawiano z betonu imitującego kamień, podłogi pokrywała tania wykładzina. Pachniało w nich plastikiem i chemikaliami. Przed rokiem Graham zaczął coś przebąkiwać o wyprowadzce z Grange; twierdził, że są za bogaci na taką siedzibę i że ma na oku jakąś posiadłość na północy, wiele akrów ziemi, gdzie mógłby łowić pstrągi i polować. (Strącałby w locie niepodejrzewające niczego ptactwo). Przez lata dom w Grange otulił Głorię wygodnym kokonem i wydawało jej się czymś okrutnym porzucić go tak nagle na rzecz kupy kamieni na jakimś pustkowiu.

Odparła wtedy, że nie rozumie, jak można być „za bogatym”. Jeśli ktoś ma za dużo pieniędzy, może oddać trochę potrzebującym i znów będzie po prostu bogaty. A jeszcze lepiej niech odda cały majątek i stanie się biedny. Wcale zresztą nie byli bogaci; wszystko to pic na wodę, całe życie oparte na brudnej forsie.

Przeszła do kuchni i zaparzyła pierwszy tego dnia dzbanek kawy, rozkoszując się aromatem ziaren, zanim wsypała je do młynka. Płytki włoskiego marmuru na podłodze w kuchni były zimne i martwe – tak jakby chodziła po kamieniach nagrobnych. Płytki kosztowały wręcz nieprawdopodobnie drogo, lecz Graham zdołał je kupić wręcz nieprawdopodobnie tanio (oczywiście). Przed rokiem zrobili remont, korzystając z usług co bardziej wykwalifikowanych członków ekipy budowlanej Grahama. Wyburzyli między innymi jedną ścianę

i zrobili wielką otwartą kuchnię w stylu amerykańskim. „Nic nie jest zbyt dobre dla mojej żony – oznajmił wylewnie Graham w rozmowie z architektem. – Co powiesz, Glorio, na zabudowaną lodówkę, płytę grzewczą Gaggenau, taką ze stanowiskiem do smażenia w głębokim tłuszczu?” Poprosiła o różowy zlewozmywak, jaki widziała w jednym z programów telewizyjnych poświęconych urządzeniu wnętrza, na co Graham odparł: „Różowy zlewozmywak? Po moim trupie”. Tak to właśnie wyglądało.

Gloria lubiła zwiedzać każde nowe osiedle Hatter Homes. Im bardziej oddalone, tym większa frajda z wycieczki. Brała ze sobą zimny lunch albo zaglądała do lokalnych herbaciarni. Lubiała oglądać domy pokazowe i słuchać zachwalania handlowców („To uroczy pokój, prawdziwy pokój rodzinny”). Graham nic nie wiedział o tych jej eskapadach.

Od czasu do czasu zdarzało jej się udawać potencjalną klientkę – naiwną rozwódkę albo kobietę niedawno owdowiałą, nareszcie uwolnioną od męża, która zamierza zmienić swoje lokum na mniejsze. Przy innych okazjach w imieniu córki szukała domku jednorodzinnego albo czegoś na początek dla pracującego za granicą syna. Była to niewinna rozrywka, dzięki której miała możliwość otwierać i zamykać szafki, zaglądać do ciasnych łazieneczek, w sam raz dla jednej niedożywionej osoby. Wszystko wybudowano zgodnie ze ścisłymi wytycznymi – jak najmniejszy ogródek, jak najmniejsza łazienka – jakby do budowy domów wziął się prawdziwy *sknera*.

Przed Wielkanocą wybrała się, by obejrzeć nowe osiedle w Fife. Robotnicy wreszcie zeszli z budowy, a ostatni mieszkańcy właśnie się wprowadzali, choć na miejscu wciąż stały dom pokazowy oraz biuro sprzedaży w przenośnym kontenerze, a w górze ciągle powiewał baner reklamowy ze sloganem: „Hatter Homes, prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”. Istna tania bandera.

W tym konkretnym przypadku było jej szczerze żal nowych lokatorów, ponieważ osiedle powstało na dawnym składowisku śmieci, a w przydomowych ogródkach było raptem kilka centymetrów ziemi. („To chyba nie może być legalne?”

– zagadnęła Grahama. „*Caveat emptor*, Glorio – rzekł Graham. – Jedyne łaciński zwrot, jaki kiedykolwiek mi się przydał”).

W tymczasowym biurze sprzedaży siedziała Maggie Louden, która na widok Glorii poderwała się zatrwożona.

– Pani Hatter? Czy mogę w czymś pomóc?

Bez sukienki koktajlowej wyglądała całkiem inaczej, mniej modnie i zdecydowanie mniej odświeżenie.

– Chciałam się tylko rozejrzeć – odparła Gloria, siląc się na nonszalancję. – Lubię trzymać rękę na pulsie.

Sekretną wycieczkę miała tym razem popsutą. Zamierzała podać się za kochankę jakiegoś bogacza, który chce sprawić jej dom. Dopiero teraz dotarła do niej ironia tej sytuacji.

Nocą wróciła tam potajemnie jak terrorystka, żeby pod każdymi drzwiami postawić ładny kwiat w doniczce. Nie mogło to wynagrodzić ludziom braku własnego ogrodu, ale zawsze.

Czasami zastanawiała się, czy Graham budował domy rodzinne dlatego, że jego własna rodzina okazała się tak niezadowolająca. Kiedyś wybrali się do Lyceum na przedstawienie *Mistrza Solnessa* – Hatter Homes było jednym ze sponsorów spektaklu – i porównania same jej się nasunęły. Rozmyślała wówczas, czy Graham kiedykolwiek spadnie z wieży, prawdziwej lub metaforycznej. No i proszę, spadł.

Kawiarka zaczęła syczeć, parskać, aż osiągnęła zwykły punkt wrzenia. Gloria naląła sobie kawy, zaniósła ją do brzoskwiniowego salonu i usiadła na kanapie. Na śniadanie zjadła resztkę pełnoziarnistych ciasteczek z czekoladą. Gdy Graham był w domu, zawsze jadali przy stole kuchennym. Zawsze domagał się od niej czegoś na ciepło – jajecznicy, wędzonego łupacza, bekonu, kiełbasek, czasem nawet cynaderek. Jedząc, słuchali w radiu porannej audycji – *Good morning, Scotland* – nieprzerwanego bełkotu o polityce i katastrofach, który to rytuał Graham uważał za ważny i konieczny, choć nie miał najmniejszego związku z ich codziennym życiem. Więcej można by zyskać, obserwując parę sikor modrych, wyjadających orzeszki z karmnika, niż wysłuchując bluzgów na szkocki parlament nad talerzem

owsianki.

Nastawiła radio na audycję Terry'ego Wogana. Wogan był dobry. Zadzwoił telefon. Dzwonił regularnie od chwili, gdy Gloria zbudziła się o piątej rano. Zdążyła skontaktować się ze szpitalem i potwierdzić, że stan Grahama nie uległ zmianie. Naprawdę nie miała ochoty na rozmowy z tymi wszystkimi ludźmi pragnącymi się dowiedzieć, czemu Graham przepadł bez wieści w samym środku tygodnia i w dodatku nie odbiera komórki. Gloria pozwalała im gadać z automatyczną sekretarką; było to mniej męczące niż kłamstwa, jakie musiałaby wygłaszać.

Gdy tak stała w holu, odsłuchując najnowszą wiadomość („Graham, ty stary draniu, myślałem, że gramy dzisiaj w golfa”), przez otwór na listy w drzwiach wpadła poranna poczta.

Co za człowiek odgryza głowę kociakowi? Co za człowiek wchodzi do przydomowego ogródka kompletnie obcych ludzi, zabiera trzytygodniowego kociaka i *odgryza mu głowę*? *I nic mu za to nie grozi!* Gloria z obrzydzeniem rzuciła gazetę na podłogę.

Jaka kara byłaby odpowiednia dla kogoś (mężczyzny, rzecz jasna), kto odgryzł głowę trzytygodniowemu kotkowi? Śmierć, to oczywiste, ale chyba nie szybka i bezbolesna. To byłoby jak niezасłużony podarunek. Gloria wierzyła, że kara powinna być odpowiednia do przewinienia – oko za oko, ząb za ząb. Głowa za głowę. Jak odgryźć głowę człowiekowi? Trzeba wziąć do pomocy rekina albo krokodyla, doszła do wniosku Gloria. Bez pomocy musiałaby wystarczyć zwykła dekapitacja.

Mężczyzna, który odgryzł głowę kociakowi, według gazety znajdował się pod wpływem narkotyków. Jakby to miała być okoliczność łagodząca! Podczas swojej krótkiej przygody ze studiami Gloria wypaliła raz skręta (bardziej z grzeczności niż z jakiegoś innego powodu) i w swoim czasie wypila morze alkoholu, była jednak pewna, że nawet po zażyciu dowolnej ilości zakazanych substancji nie czułaby potrzeby odgryzienia głowy żadnemu Bogu ducha winnemu domowemu zwierzęciu. Koszyczek pełen kociąt – Gloria wyobraziła sobie długowłose,

pręgowane maluchy z kokardami na szyi, obrazek jak ze staroświeckiej bombonierki. Maleńkie. Bezbronne. Niewinne. Czy na bombonierkach wciąż umieszczano takie obrazki? Na aukcji internetowej kupiła śliczny obraz na płótnie – dwójka kociąt, koszyk, motki wełny, kokardy i tak dalej – lecz dotąd nie znalazła odpowiedniego miejsca, żeby go powiesić. No i oczywiście Graham twierdził, że jest „zbyt cukierkowy”; sam był koneserem brutalnie zaszczuwanych jeleni.

W ogrodzie trwało przyjęcie – „rodzinne przyjęcie przy grillu” – gdy nagle wtargnął tam intruz, porwał jedno z kociąt z koszyka i odgryzł mu głowę, jakby to był lizak. Czy później ją połknął? Czy tylko odgryzł i zaraz wypluł?

Kogoś, kto odgryza głowę kotu, można by wsadzić do klatki z tygrysami i powiedzieć mu: „No dalej, zobaczymy, czy odgryziesz głowę któremuś z nich”. Choć to akurat mogłoby być nie fair w stosunku do tygrysów. Blake napisał chyba jakiś wiersz o tygrysach. A może to były rudziki?

Bill, ogrodnik, zaanonsował swe przyjście głuchym łoskotem i stłumionym pobrzękiwaniem narzędzi w szopie, jakby chciał, żeby Gloria wiedziała o jego obecności, lecz nie miał ochoty z nią rozmawiać. Na nazwisko miał Tiffany, jak ten słynny jubiler. Z okazji trzydziestej rocznicy ślubu Graham kupił jej u Tiffany’ego zegarek z czerwonym skórzanym paskiem i diamentkami wokół cyferblatu. Poprzedniego dnia Gloria wrzuciła go do oczka wodnego. Wszystkie żyjące w oczku ryby z wyjątkiem jednej – złotej orfy – stopniowo padały ofiarą czapli z sąsiedztwa. Była ciekawa, czy zegarek nadal wskazuje dobrą godzinę, tykając sobie cichutko w błocie i zielonym szlamie na dnie zbiornika, odliczając dni, jakie pozostały złotej rybce i Grahamowi.

Zaparzyła więcej kawy, posmarowała bułeczkę masłem i włączyła komputer. Świetnie radziła sobie z komputerami. Nauczyła się je obsługiwać dawno temu, pracując jeszcze na starych amstradach z ich czarno-zielonymi monitorami i irytującymi zwyczajami. W owym czasie pomagała prowadzić księgowość w Hatter Homes. Już wtedy Graham fałszował księgi, lecz na stosunkowo niewielkie sumy. Hatter Homes

pozostało firmą rodzinną, z Grahamem i Glorią jako właścicielami. Spółka nigdy nie weszła na giełdę i nie podlegała surowym audytom zewnętrznym. Kontrolę nad finansami sprawowali księgowi firmy. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się sieć współwinnych przekrętów – księgowych, prawników, sekretarek, handlowców (handlowców i kochanek w jednym). Sama Gloria latami podpisywała wszystko, co jej podsuwano: papiery, dokumenty, umowy. Wcześniej niczego nie kwestionowała, teraz zdawała się nie robić nic innego. „Niewinność” nie znaczy „niewiedza”.

Gloria miała własnego ładnego laptopa podłączonego do szerokopasmowego łącza internetowego w kuchni – i tak spędzała tam najwięcej czasu, więc czemu nie? Graham nigdy nie korzystał z jej komputera, swoje brudne interesy załatwiał w biurze. Mogła sobie wyobrazić, jak przegląda strony pornograficzne albo odpala jedną z tych transmisji, a nieznana kobieta w jakimś pokoju gdzieś (gdziekolwiek) na świecie występuje tylko dla niego.

Jedyne wiadomości, jakie zwykle odbierała – poza rzadkimi e-mailami od dzieci – dotyczyły ofert powiększenia penisa oraz promocji na Boots.com. Gloria z chęcią zajrzałaby do skrzynki e-mailowej Grahama, lecz ta była chroniona hasłem. Usiłowała je złamać na długo przed ostatnimi wydarzeniami, ale nie trafiła na zakłęcie otwierające wrota Sezamu – tego ostatniego słowa też próbowała, podobnie jak innych losowo wybranych słów, które tylko przyszły jej do głowy. „Kinloch”, „Hartford”, „Braecroft”, „Hopetoun”, „Villiers” oraz „Waverley”. I nic. Były to nazwy sześciu podstawowych modeli domów stawianych przez Hatter Homes. „Kinloch” był najtańszy, „Waverley” – najdroższy. Graham teraz budował znacznie więcej niż dawniej domów wolno stojących. Ludzie woleli mieszkać osobno, choćby nawet na najmniejszej powierzchni. „Kinloch” był tak ciasny, że przypominał Glorii domki z „Monopoly”.

W przyszłym miesiącu kończyła sześćdziesiąt lat. Słyszała, jak ktoś w radiu mówił, że sześćdziesiątka to teraz nowa czterdziątka. Nigdy w życiu nie słyszała czegoś równie głupiego. Sześćdziesiątka to sześćdziesiątka i nie ma sensu

udawać, że jest inaczej. Kto zatroszczy się o nią na stare lata? To, czy Graham umrze, czy przeżyje, nie będzie miało żadnego znaczenia dla policji i sądów – i tak zniszczą Hatter Homes. Zdaniem Glorii całkiem słusznie. Lecz zanim to nastąpi, miło byłoby ocalić dla siebie jakąś niewielką sumkę. Wyobraziła sobie, że gdzieś istnieje wielka czarna księga wszystkich sekretów Grahama, kryjąca informacje o całym jego majątku. Czarodziejska Księga. Ale tak jak z kapitalizmem – za późno było teraz go o nią pytać.

Zrezygnowała z prób złamania hasła i sprawdziła stan konta w banku. Mieli wspólne konto z pieniędzmi na codzienne wydatki i prowadzenie domu. Gloria była od Grahama całkowicie zależna finansowo – szokująca rzecz, z której dopiero po kilku dekadach zdała sobie sprawę. W jednej chwili siedzisz na stolku przy barze, sącząc dżin z sokiem pomarańczowym i martwiąc się, czy aby na pewno ładnie wyglądasz, a już w następnej ledwo rok dzieli cię od karty miejskiej dla emerytów, grozi ci bankructwo i publiczne upokorzenie. Sześćdziesiątka jest wciąż tą samą zgrzybiałą sześćdziesiątką, jaką zawsze była.

Rachunek bieżący był automatycznie zasilany z konta firmowego – kolejne obciążenia były natychmiast kredytowane, kwota wydana jednego dnia nazajutrz była uzupełniana. Istne czary. Nikt chyba nie zwrócił uwagi na codzienny ubytek pięciuset funtów regularnie wyprowadzanych przez Glorię. To były jej zaskórniaki. Wszystko odbywało się całkiem legalnie – ostatecznie rachunek był wspólny, także na jej nazwisko. Pięćset funtów dziennie, każdego dnia z wyjątkiem niedziel; jej sumienie baptyстки nakazywało wówczas odpoczywać. Nowe przepisy dotyczące prania brudnych pieniędzy utrudniały obracanie większymi sumami, ale pięćset funtów dziennie nie wzbudzało raczej podejrzeń księgowych Hatter Homes ani banku. Przypuszczała, że prędzej czy później ktoś włączy się alarm i zawyje sygnał ostrzegawczy, lecz wówczas rachunki firmy będą zapewne zamrożone, a jeśli na świecie istnieje sprawiedliwość, Gloria zdąży ulotnić się ze swoim łupem ukrytym w czarnym

plastikowym worku. Siedemdziesiąt dwa tysiące funtów to nie tak wiele, gdy trzeba zaczynać nowe życie, ale lepsze tyle niż nic. To więcej, niż śniło się większości ludzi.

Gloria wysypała rzeczy Grahama z worka i rozłożyła je w pralni na ociekaczu z drewna klonowego. Buty wypastowane tak, że można się było w nich przejrzeć, marynarka i spodnie, koszula od Austina Reeda, drogie jedwabne skarpetki, które ktoś, pewnie pielęgniarka, zwinął w kulkę, bawełniany podkoszulek oraz bokserki z Marksa & Spencera – zwłaszcza bielizna zrobiła na Glorii przygnębiające wrażenie – wreszcie nudny korporacyjny krawat zwinięty na dnie worka jak zniechęcony wąż.

Dziwnie było jej patrzeć na tak rozłożone ubrania Grahama, płaskie i dwuwymiarowe, jakby ich właściciel nagle z nich wyparował. W istocie zamienił je na bawełnianą szpitalną koszulę, spod której wystawały sine jak roquefort nogi i niezbyt jędrne pośladki. Jeżeli będzie miała szczęście, miejsce bawełnianej koszuli wkrótce zajmie całun.

Niespodziewanie stanęło jej przed oczami zmasakrowane ciało jej brata w dniu, gdy pokazywano je rodzinie w kostnicy szpitalnej, zawinięte w białe prześcieradła jak mumia albo prezent. Gloria była ciekawa, które z jej rodziców uznało, że widok martwego ciała brata, ładnie zawiniętego lub nie, jest odpowiedni dla czternastolatki.

Jonathan miał zapewnione miejsce na studiach technicznych – praca w zakładzie przetwórstwa wełny miała być tylko dorywczym zajęciem na lato, wypełniaczem czasu między szkołą a uczelnią wyższą. Gdy Gloria była dzieckiem, w jej rodzinnym miasteczku działało kilka takich zakładów, potem został tylko jeden. Niektóre wyburzono, większość przebudowano na mieszkania lub hotele; w jednym mieściła się galeria sztuki, w innym muzeum, gdzie byli pracownicy zakładu demonstrowali zwiedzającym swoje dawne obowiązki, które oficjalnie przeszły do historii.

Na tydzień przed śmiercią brat zabrał Glorię ze sobą do zakładu. Był dumny z tego, gdzie pracuje, z takiej męskiej roboty. W środku „szatańskiego młyna” nie było wcale ciemno

ani strasznie, jak to sobie wyobrażała, śpiewając *Jeruzalem* na szkolnych akademiach, ale jasno i przestronnie jak w katedrze – istny hymn ku chwale przemysłu. W powietrzu niczym piórka wirowały nitki oraz puszki wełny. I ten hałas! „Łoskot, terkot i stukot krosien” – napisała potem w wierszu do szkolnej gazetki. Wiersz miał być w stylu Gerarda Manleya Hopkinsa i Gloria liczyła na to, że pomoże jej choć trochę ukoić ból, lecz okazał się kiepski („nakrapiane wełną białe powietrze”), bo wyszedł z jej głowy, nie z serca.

Po śmierci Jonathana mówiło się o dochodzeniu – w zakładzie lekceważono wszelkie przepisy bezpieczeństwa i higieny pracy – lecz na gadaniu się skończyło. Rodzicom Glorii zabrakło silnej woli, by dalej naciskać. Jej siostra (ta, która niedawno umarła) miała wówczas dwadzieścia lat i godnie zastąpiła brata, zjawiając się na jego baptystycznym pogrzebie w dżinsach i czarnym golfie. Gloria szczerze ją za ten gest podziwiała.

Przedtem tylko raz była w świątyni przemysłu. Wiele lat wcześniej zwiedziła z wycieczką szkolną zakład cukierniczy Rowntree w Yorku. Jej klasa ekscytowała się tam każdym etapem produkcji czekoladowych cukierków Smarties – obserwowali, jak obracają się w czymś w rodzaju miedzianej betoniarki, zajrzeli też do pakowni, gdzie kobiety przewiązywały wstążkami bombonierki z wizerunkami kociąt na wieczku (a jednak!). Na koniec zwiedzania każde z nich otrzymało torebkę odrzutów produkcyjnych i po powrocie do domu Gloria triumfalnie rozpakowała kilkadziesiąt podwójnych wafelków Kit-Kat, tak jak Jonathan pogruhotanych przez maszyny.

Z kieszeni marynarki Grahama wyjęła komórkę. Co takiego powiedziała poprzedniego wieczoru Maggie Louden? „Czy to już? Wszystko załatwione? Pozbyłeś się Glorii? Pozbyłeś się tej starej krowy?” Czy tym właśnie się stała – starą krową? Maggie Louden miała dobrze pod pięćdziesiątkę, sama niedługo będzie starą krową.

W telefonie wyczerpała się bateria (dziwne podobieństwo do stanu jego właściciela). Garnitur warto by było oddać do pralni

chemicznej, ale właściwie szkoda zachodu. Po śmierci Grahama jego garnitury trafią do sklepu z używanymi rzeczami przy Morningside Road. Wszystkie poza jednym, w którym jej mąż wystąpi na pogrzebie. Ten był w sam raz, wystarczyło go tylko wyszczotkować i przeprasować; nie ma sensu prać czegoś, co i tak zgnije w ziemi.

Podłączyła komórkę Grahama do ładowarki w kuchni i starannie wystukała wiadomość do Maggie Louden: „Jestem w thurso pogadamy jutro g”. Była niemal pewna, że Graham nie zawracałby sobie głowy interpunkcją ani gramatyką. Później jednak zmieniła to na: „Wybacz kochanie jestem w thurso pogadamy jutro g”, po czym jeszcze raz przeredagowała całość na: „Wybacz kochanie jestem w thurso kiepski tu zasięg więc nie dzwoń pogadamy jutro g”.

Wyraźnie pamiętała, że York pachniał czekoladą, podczas gdy jej rodzinne miasteczko cuchnęło sadzą. Rzecz jasna, czasy zwiedzania zakładu Rowntree minęły na dobre, odkąd właścicielem został jakiś międzynarodowy koncern, który nikogo nie wpuszczał za bramę – po co ktoś miałby wiedzieć, co się tam dzieje? Teraz, po śmierci siostry, tylko Gloria pamiętała o Jonathanie. Niewiarygodne, jak szybko można wymazać pamięć o człowieku. Oto prawdziwy triumf śmierci.

Spod zlewu w pralni wyjęła torebkę z ziarnem dla ptaków i napełniła nim miskę. Rozsypała ziarno na trawniku i przez krótką chwilę czuła się jak święta, gdy wszystkie ptaki Edynburga zleciały się do jej ogrodu.

Louise przyjrzała się obojętnie zwłokom na stole prosektoryjnym. Uważała, że jeśli chodzi o sekcje, wszelkie emocje najlepiej zostawiać za progiem. Ostatnio w telewizji nastąpił prawdziwy wysyp programów, w których policjanci i technicy kryminalistyki jednym głosem ogłaszali, że zwłoki to nie tylko zwłoki, lecz przede wszystkim *człowiek*. Patolodzy zawsze zwracali się do zmarłych tak, jakby ci nadal żyli („Kto ci to zrobił, złociutka?”), jakby ofiara miała ni z tego, ni z owego usiąść i podać im nazwisko oraz adres zabójcy. Martwi byli po prostu martwi; przestawali być ludźmi, stawali się tym, co zostaje z człowieka, gdy odchodzi na zawsze. Szczątkami. Louise pomyślała o matce i sięgnęła po miętówki.

W kostnicy tłoczyli się zwykli uczestnicy dramatu: fotograf, technicy, ludzie z laboratorium kryminalistycznego oraz dwóch patologów, istna arka Noego speców od autopsji. Nieco z boku stał Jim Tucker; Louise wiedziała, że ma za słaby żołądek na takie rzeczy. Zauważył ją i zmarszczył brwi, zdziwiony tym widokiem. Pokazała mu skierowany w dół kciuk i zobaczyła, jak mówi bezgłośnie: „Psiakrew!”

Ackroyd, patolog, również ją dostrzegł i odezwał się:

– Ominęło cię samo najlepsze: żołądek, płuca, wątroba.

Ackroyd był trochę rąbnięty.

Drugi patolog, na oko raczej postronny obserwator, powitał ją lekkim skinieniem głowy i uśmiechem. Nigdy wcześniej go nie widziała. Tylko najbardziej rutynowe sekcje odbywały się z udziałem jednego patologa, obecności dwóch wymagano „w celu weryfikacji”. Jeden gracz, jeden rezerwowo.

– Neil Snedden – przedstawił się i ponownie uśmiechnął, jakby byli na spotkaniu towarzyskim.

Czyżby z nią flirtował? Nad trupem? Jak miło.

– Przyszłaś po nią? – zapytał, ruchem głowy wskazując

kobietę na stole.

– Nie, muszę zamienić słówko z Jimem... z sierżantem Tuckerem.

Martwa dziewczyna źle wyglądała, gorzej niż większość zwłok. Ackroyd zważył w dłoni jej serce. Jego asystentka, niejaka Heather, jeśli Louise dobrze zapamiętała imię, czekała w pogotowiu z metalowym naczyniem niczym z rękawicą do bejsbola, jakby patolog miał rzucić narzędziem w jej stronę. Gdy serce zostało umieszczone (bez rzucania) w naczyniu, Heather zabrała je i starannie zważyła, jakby zamierzała go użyć do pieczenia ciasta.

Louise wierzchem dłoni dotknęła martwej ręki dziewczyny. Ciepłe ciało w kontakcie z zimną gliną. Szybcy i martwi. Nagle przypomniała jej się matka leżąca w zakładzie pogrzebowym z twarzą jak zimny roztopiony wosk. Zła Czarownica z Zachodu. Jim Tucker podniósł pytająco brew, więc gestem odwołała go na stronę.

Obok na ławce ubranie zmarłej czekało na spakowanie i wywiezienie do laboratorium kryminalistycznego w Howdenhall. Stanik i majtki nie były od kompletu, choć przy obu widniała metka Matalan. I dlatego trzeba zawsze nosić bieliznę od kompletu, upomniała się w duchu Louise – nie na wypadek mało prawdopodobnej przygody na jedną noc, ale właśnie na takie okazje. Sytuacje, gdy człowiek leży martwy na metalowej płycie jak ryba na ladzie, a cały świat widzi, że kupował niepasujące do siebie majtki i staniki tanich marek.

– prostytutka znaleziona w bramie przy Coburg Street. Przedawkowała. Ci z obyczajówki ją znali – poinformował ją Jim Tucker i ścisząc głos, spytał: – Co jest?

– Crichton uwalnił postępowanie z powodów formalnych. Niestawiennictwo świadka.

– Chyba żartujesz? Mógł odroczyć rozprawę, nakazać doprowadzenie świadka.

– Będziemy się odwoływać – pocieszyła go Louise. – Będzie dobrze.

– Cholera.

– No.

Coś zwróciło jej uwagę, coś leżącego na ławce razem z ubraniem: niewielki plik wizytówek spoczywających w naczyniu laboratoryjnym.

– Co to jest?

– Znaleźliśmy w jej kieszeni – odparł Jim Tucker. – Karty wizytowe tej damy.

Bładoróżowe z czarnym napisem. „Przysługi”. Poniżej numer telefonu. Tak jak mówił Jackson Brodie.

– Myślimy, że to może być agencja towarzyska – dodał Jim Tucker. – Numer telefonu nic nam na razie nie dał.

– Babka ma wizytówki agencji, a wy uważacie ją za zwykłą prostytutkę? – zdumiała się Louise.

– To narkomanka. Domyślam się, że było jej wszystko jedno, czy robi to w pokoju hotelowym, czy w bramie.

Louise ani trochę się z nim nie zgadzała. Gdyby miała sprzedawać swoje ciało, wolałaby to robić w ładnym, ciepłym pokoju hotelowym, wiedząc, że ktoś wie, gdzie się znajduje.

– Szukam tych „Przysług” i do tej pory też niczego nie znalazłam.

– Coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Raczej nie. Zaginiona dziewczyna, ale nie jestem przekonana, czy w ogóle istniała.

– Ach, twoja tak zwana topielica z wczoraj. Podobno na darmo ściągnęłaś posiłki. Do tej pory nie wypłynęła?

– Jeszcze nie.

– Co to za historia z tym trupem w Merchiston?! – zawołał do niej Ackroyd.

– Nie mam pojęcia – odparła. – To południowy Edynburg, nie mój rewir.

– Ja mieszkam w Merchiston – burknął Ackroyd.

– Czyli dzielnica schodzi na psy, Tom – roześmiał się Neil Snedden i mrugnął do Louise.

Była ciekawa, czy mogłaby się przespać z kimś, kto jest tak kokieterjny w obliczu śmierci. Pewnie wszystko zależałoby od tego, jak bardzo byłby przystojny. Snedden w żadnym razie nie był przystojny.

Ackroyd wyjął małą piłę elektryczną i zaczął odcinać

dziewczynie czubek głowy, jakby to było gotowane jajko.

– Dobrze się przyjrzyj – zwrócił się do zielonego Jima Tuckera – masz niepowtarzalną okazję zobaczyć, co się kryje w głowie kobiety.

* * *

Na widok Jacksona Brodiego wychodzącego rano z gmachu sądu Louise aż się wzdrygnęła. Jej zdradzieckie serce wpadło w splotzony trzepot.

Ciekawe, jaki był w wieku czternastu lat. Czy już wtedy miał wszystkie swoje atuty (i wady), tak że wystarczyło spojrzeć na chłopca, żeby zobaczyć w nim zapowiedź mężczyzny? I czy wystarczy spojrzeć na mężczyznę, żeby zobaczyć w nim chłopca?

Różowe wizytówki istniały. Louise miała dowód w kieszeni – zwinęła jedną z wierzchu, gdy wszyscy oglądali popisowy numer Ackroyda. Zgoda, majstrowała przy materiale dowodowym, ale ostatecznie został im jeszcze cały plik. Jakie znaczenie miał brak jednej wizytówki? Tak naprawdę?

Zadzwoiła do Jeffa Lennota, kolegi z posterunku, który zawsze o wszystkim wiedział, sierżanta parę tygodni przed emeryturą, z twarzą żółwia i pamięcią słońca. Unieruchomiony przez chore kolano dożywał swoich dni na służbie, niechętnie nadrabiając zaległą papierkową robotę. Wiedziała, że z radością powita każdą odmianę.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytała.

– Jeżeli ładnie poprosisz.

– Proszę cię ładnie. Mógłbyś się dowiedzieć czegoś o wczorajszej napaści na kierowcę na starym mieście? Napastnik odjechał samochodem. Sprawdź, czy ktoś przypadkiem nie spisał numeru rejestracyjnego.

Według Jacksona świadków było na pęczki, ale gdy Jeff oddzwonił po kilku minutach, okazało się, że nikt niczego nie zapamiętał. Wyjątkiem była jedna osoba, której „wydawało się, że auto było niebieskie”.

– W takim razie mam dla ciebie dobre wieści – odparła.

– Niebieski kolor się zgadza, co więcej, była to honda civic,

znam numer rejestracyjny. Mam świadka.

Zwróciła się do niego po imieniu, „Jacksonie”. Wydało jej się to mało profesjonalne, chociaż wcale takie nie było.

– Jeff? Mogę cię prosić o jeszcze jeden drobiazg? Znajdź mi adres niejakiego Terence’a Smitha, rano miał sprawę w sądzie.

Jim Tucker miał martwą dziewczynę z wizytówką firmy o nazwie „Przysługi”. Jackson Brodie miał martwą dziewczynę z wizytówką firmy o nazwie „Przysługi”. Dziewczyna Jima była z pewnością kimś w rodzaju prostytutki, istniało zatem spore prawdopodobieństwo, że dziewczyna Jacksona miała tę samą profesję. Louise uświadomiła sobie, że myśli o Jimie Tuckerze i Jacksonie Brodiem, jakby byli kolegami po fachu. Napisać w domu dziesięć razy: „Jackson Brodie nie jest śledczym”. Tylko świadkiem. Może nawet potencjalnym podejrzanym – choćby o to, że marnuje cenny czas policji. W dodatku został oficjalnie uznany za winnego napaści, choć twierdził, że jest niewinny. Dobrze to sobie zapamiętaj, Louise. Ten facet to świadek, podejrzanym *oraz* prawomocnie skazany przestępca.

Nie ma jak noc spędzona w areszcie, żeby nabrać apetytu. Jackson był głodny jak wilk, tylko że po przetrząśnięciu szafek w ciasnej kuchni znalazł jedynie skamieniały sos błyskawiczny w proszku i kilka dziurawych torebek z herbatą o zapachu ziołowego repelentu. Oto pożyteczne zadanie na dziś: namierzyć supermarket albo jeszcze lepiej dobre delikatesy, zrobić porządne zakupy i ugotować z nich coś na wieczór, coś pożywne. Na repertuar kulinarny Jacksona składało się pięć potraw, które potrafił nieźle przyrządzać, czyli o pięć więcej, niż potrafiła ugotować Julia.

Wyobraził sobie, jak tego ranka wyglądałby jego lokalny targ we Francji – stragany uginające się pod ciężarem pomidorów, bazylii, serów, fig i soczystych brzoskwiń tak dojrzałych, że niemal pękały. Nic dziwnego, że ludzie Północy byli takimi ponurymi zrzędami, od tysięcy lat karmieni wilgotnym ziarnem i cienkimi kleikami.

Zapewne poprzedniego dnia Julia nic nie jadła, w porze lunchu wypła tylko drinka z Richardem Moatem. Po obejrzeniu jego występu Jackson przestał uważać go za groźnego rywala; Julia nigdy nie zainteresowałaby się podobnym beztalenciem. Facet *poległ* na scenie.

O czajnik oparty był liścik od Julii. Zamaszystym charakterem pisma oznajmiała mu zwięźle: „Do zobaczenia później, ściskam J”. Inicjałowi towarzyszył tylko jeden całus, żadnych wykrzykników. Julia była osobą szafującą wykrzyknikami; twierdziła, że dzięki nim przesłanie staje się bardziej przyjazne. Jackson sądził, że raczej wprowadzają niepokój, lecz teraz stwierdził, że mu ich brakuje. Za wszystko analizował. Co właściwie można wyczytać z wiadomości: „Do zobaczenia później, ściskam J”? Chyba niewiele? Brak wykrzykników, oszczędność w słowach, inicjał

zamiast imienia, mało precyzyjne określenie miejsca i czasu. „Do zobaczenia później” – czyli kiedy?

Miała dziś pokaz przedpremierowy (na pewno?), pamiętał też, jak mówiła, że Tobias miał im przekazać swoje uwagi. Był pewien, że wieczorem jest wolna. Mógłby ugotować dla niej makaron penne z sosem pesto, do tego sałata i truskawki, chociaż nie, Julia wołała maliny. Odrobina gorgonzoli, wiedział, że ją lubi; sam jej nie cierpiał. Butelka szampana. A może szampan wyda się zbyt uroczysty? Niepotrzebnie podkreśli fakt, że nie za bardzo mają co świętować? Od kiedy zaczęło się u niego to dzielenie włosa na czworo?

Wziął prysznic, ogolił się, zmienił ubranie. Nie poczuł się dzięki temu jak nowo narodzony, ale przynajmniej wyglądał lepiej niż zapuszczony kryminalista, który wcześniej stanął przed sądem. Buty miał wciąż wilgotne po wczorajszej przygodzie, lecz na to nie mógł nic poradzić, zresztą bywało gorzej. Na twarzy nie pozostały żadne ślady bójki, za co powinien być wdzięczny losowi. Chętnie zabandażowałby sobie dłoń – bardziej ze względów estetycznych niż jakichkolwiek innych – ale siniaków nie należało uciskać. Swego czasu zaliczył wystarczająco dużo kursów pierwszej pomocy, żeby znać się na opatrywaniu ran. Kilkakrotnie rozprostował i zgiał palce. Bolało potwornie, ale przynajmniej dłoń była sprawna. Gdyby coś miał złamane, już by się zorientował.

Siniaki stanowiły przynajmniej twarde dowód walki, jaką stoczył z kolesiem z hondy. Dla odmiany martwa dziewczyna nie pozostawiła w jego życiu żadnego śladu. Powoli zaczynał wątpić, że to się zdarzyło naprawdę. Może incydent w Cramond zwyczajnie mu się *przywidział*? Może tak bardzo chciał, żeby coś się stało, coś ciekawego, że wszystko sobie wymyślił? Kto wie, do jakich dziwnych sztuczek zdolny był ludzki mózg? Ale nie; dotykał przecież bladej skóry, zaglądał w martwe oczy zielone jak morska woda. Musiał zaufać świadectwu zmysłów. Dziewczyna istniała, była martwa i wciąż można ją było odnaleźć.

Po uzupełnieniu poziomu kawy w organizmie i solidnym śniadaniu w barze „Tost” tuż za rogiem ruszył do miasta przez

Meadows.

Park był pełen ludzi zajmujących się rzeczami, które trudno byłoby uznać za pożyteczne. Czy nikt tu nie miał normalnej pracy? Japońscy bębniarze, grupka osób (Szkotów, jeśli sądzić po jasnej cerze) przeważnie w średnim wieku ćwiczących tai-chi. Nie pojmował fenomenu tai-chi; w telewizji wydawało się jeszcze w porządku, gdy pokazywali ćwiczących Chińczyków, ale spójrzmy prawdzie w oczy, w wykonaniu Szkotów wyglądało to po prostu kretyńsko. Kilka osób przebranych jak statyści z *Walecznego serca* wałkonilo się na trawie w sposób, który przyparzyłby Williama Wallace'a o palpitację. O takich jak oni mówiło się, że należą do grup rekonstrukcyjnych. Latem ubiegłego roku Julia też się w to bawiła; na kilka tygodni wcieliła się w postać Nell Gwyn w jakimś zabytku z listy National Trust („za grosze i pomarańcze”). „Udostępniała siebie na godziny” (jej własne słowa), gotowa przyjąć każde prozaiczne zlecenie, od roli dziewczki służebnej na bankiecie po fuchę prowadzącej grę w bingo. Każda praca wymaga aktorstwa, twierdziła, nieważne, czy jest się prostytutką, czy sprzedawczynią, i tak trzeba wejść w rolę. „Nawet gdy jesteś po prostu Julią?” – spytał. „Och – odparła – to akurat najłatwiejsza rola pod słońcem, skarbie”.

Po drodze wypił jeszcze jedną kawę, kupił ją w kiosku przerobionym z niebieskiej budki policyjnej, Tardisa Doktora Who. Dziwny jest ten świat, pomyślał. Oj, dziwny.

Edynburg robił wrażenie miasta, w którym nikt nie pracuje, za to wszyscy ciągle się *bawią*. Wszędzie wokół widział młodych ludzi, zdecydowanie poniżej dwudziestego piątego roku życia, których beztroska i swoboda go irytowały. Miał ochotę wygarnąć im, że choćby nie wiedzieć jak dobrze się teraz czuli, każdy nowy dzień życia przyniesie im nowe rozczarowania i zetrze z twarzy uśmieшек zadowolenia. Zaniepokoił go ten nagły przypływ zgorzknienia, wręcz czarnej żółci. To nie w jego stylu, raczej w stylu jego ojca. Jak mógł być zgorzkniały, skoro jego własne życie sprowadzało się do chlapania w turkusowym basenie?

Na wprost niego jakiś młody chłopak w jednej z tych

idiotycznych błazeńskich czapek blokował całą ścieżkę. Uczył się żonglować trzema pomarańczami, zupełnie jakby Jackson wyczarował go, rozmyślając o Nell Gwyn. Rzecz jasna, Julia była znakomitą Nell Gwyn, z tą swoją pełną figurą i skłonnością do flirtowania. Przesłała mu zdjęcie w kostiumie z epoki – z ciasnego gorsetu wyłaniały się piersi krągłe jak pomarańcze, choć znacznie od nich większe, a Julia prezentowała je przed obiektywem w skrajnie prowokacyjny sposób. Jackson był ciekaw, kto ją wtedy fotografował. „Co trzeba robić jako Nell Gwyn?” – zapytał wtedy, a ona odparła z prowincjonalnym akcentem rodem z Devonu albo Somerset: „Pomarańcze, komu moje śliczne pomarańczki?”.

Wyjaśniła mu też, że Nell Gwyn wcale nie handlowała pomarańczami, tylko była prawdziwą aktorką. „Zupełnie jak ty” – zauważył Jackson. Zabrzmiało to nieco bardziej sarkastycznie, niż zamierzał. A może dokładnie tak sarkastycznie, jak zamierzał. Z Julii byłaby urodzona kochanka króla, urodzona kochanka każdego mężczyzny. I fatalna żona. W głębi serca o tym wiedział i dlatego było mu tak ciężko.

Tłumiąc chęć wymierzenia żonglerowi kukuśnia i zepchnięcia go ze ścieżki, Jackson łypnął na niego wilkiem i rzucił: „Przepraszam” znaczącym, zręczliwym tonem. Nic by się nie stało, gdyby po prostu go wyminął, przechodząc z boku po trawie tak jak wszyscy, ale chodziło mu o *zasadę*. Ścieżki w parku były przeznaczone do chodzenia, nie do pokazów żonglowania w wykonaniu idiotów w błazeńskich czapkach.

Żongler nie odpowiedział, ale przesunął się nieco w bok, nie odrywając wzroku od pomarańczy. Przechodząc obok, Jackson celowo trącił go w łokieć i pomarańcze potoczyły się po trawie na trzy strony.

– Przykro mi – burknął, nie mogąc ukryć wyrazu zadowolenia.

– Palant – mruknął za nim chłopak.

Jackson wykonał błyskawiczny obrót, zawrócił i rozkraczył się na ścieżce.

– Coś ty powiedział? – warknął, unosząc groźnie podbródek i przybliżając twarz do twarzy chłopaka.

W jego żyłach oprócz żółci płynęła teraz adrenalina, a jakiś głosik szeptał mu do ucha: „No, dawaj!”. Wróciło nieprzyjemne wspomnienie ubiegłej nocy i szyderczej, paskudnej twarzy Terence’a Smitha.

Chłopak cofnął się przerażony i stęknął:

– Nie, stary, nic nie mówiłem.

Wyglądał na przestraszonego i markotnego. Do Jacksona dotarło, że ma przed sobą szesnasto-, siedemnastolatka. Właściwie jeszcze dziecko (choć w jego wieku Jackson wstąpił do wojska – żołnierz, któremu się zdawało, że jest prawdziwym mężczyzną). Przypomniał sobie Terence’a Smitha wysiadającego poprzedniego dnia z samochodu i z wściekłością wywijającego kijem bejsbolowym. Więc tak objawia się agresja drogowa. Albo ścieżkowa. Jackson parsknął śmiechem, szorstkim i gwałtownym, na którego dźwięk chłopak aż się wzdrygnął. Zakłopotany Jackson rzucił się zbierać pomarańcze, po czym zwrócił je właścicielowi. Chłopak wziął je od niego tak ostrożnie, jakby to były granaty.

– Przepraszam – powiedział Jackson i odszedł prędko, żeby oszczędzić tamtemu dalszych upokorzeń.

Ty draniu, zrugął się w duchu, ty skończony, pieprzony draniu. Powoli zamieniał się we własnego wroga, w najgorszą wersję samego siebie.

Martin zatankował na stacji przy Leith Walk. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że samochód istotnie czeka na niego na parkingu przy centrum handlowym St. James niczym cierpliwy kucyk w zagrodzie. Jego mózg, pracujący na jakimś nienaturalnie przyspieszonym biegu, wykonywał karkołomne metaforyczne salta. Pół godziny zajęło mu odszukanie wozu, jako że wskazówki Richarda Moata nie były zbyt precyzyjne: „Twój samochód stoi przed Macbet na Leith Walk. Pozdro, R”, nagryzmołone na bilecie, który poprzedniego dnia odebrał z kasy. Gdy wreszcie znalazł auto, całe było oblepione mandatami.

Przy sąsiednim dystrybutorze jakiś chłopczyk w foteliku na tylnym siedzeniu toyoty stroił do niego miny tak okropne i kretyńskie, że Martin zaczął się zastanawiać, czy dzieciak nie jest przypadkiem upośledzony. Jego matka płaciła w sklepie za paliwo. Martin zastanowił się, czy odważyłby się zostawić dziecko bez opieki. Gdyby wóz był zamknięty i akurat wybuchłby pożar (tyle wokół benzyny), dziecko spłonęłoby żywcem. Gdyby zaś był otwarty, ktoś mógłby je wykraść albo samo by się wymknęło, wybiegło na jezdnię i zostało rozjechane przez ciężarówkę. Jedną z rzeczy, które rekompensowały mu brak własnych dzieci, było poczucie, że nie musi podejmować decyzji, od których zależałoby ich życie lub śmierć.

Kobiety niepotrafiące znaleźć sobie partnera mogły zgłosić się do banku spermy, ale co mieli zrobić mężczyźni? Przypuszczał, że poza kupnem żony pozostawała im jeszcze możliwość przekonania jakiejś kobiety, żeby urodziła im dziecko za pieniądze, lecz – bez względu na punkt widzenia – to też była transakcja handlowa. No i jak potem wytłumaczyć wszystko dziecku pytającemu, kim była jego mama? Można by pewnie

skłamać, ale ludzie zawsze wpadali na kłamstwach, nawet jeśli nikt poza nimi nie był świadomy tego, że kłamali.

Może naprawdę *powinien* zostać mnichem, miałby przynajmniej jakieś życie towarzyskie. Braciszek Martin. Mógłby na przykład prowadzić infirmerię, snuć się po ukrytym za murami ogrodzie pełnym ziół, doglądając roślin leczniczych; pszczoły brzęczałyby cichutko, gdzieś z oddali dobiegałoby bicie dzwonów, a w ciepłym powietrzu unosiłby się zapach lawendy i rozmarynu. Z pobliskiej kaplicy płynęłyby kojące dźwięki chorału albo śpiewu gregoriańskiego – czy to przypadkiem nie jedno i to samo? A jeśli nie, to czym się od siebie różnią? Proste posiłki w refektarzu, chleb oraz zupa, słodkie jabłka i śliwki z klasztornego sadu. W piątki tłusty karp ze stawów rybnych. Zimą spieszyłyby przez lodowate kruzganki, jego oddech tworzyłyby wówczas białe obłoczki w mroźnym powietrzu kapitulacza. Oczywiście wiedział, że roi mu się życie klasztorne sprzed reformacji, w innym miejscu i czasie, skrzyżowanie braciszka Cadfaela z *Wigilią św. Agnieszki*, nie zaś prawda historyczna. Zresztą nie ma czegoś takiego jak „prawda historyczna”; rzeczywistość jest tu i teraz, w tej nanosekundzie, nawet nie w oddechu, tylko w atomie oddechu, najmniejszym, najdrobniejszym szczególe. Wczoraj i jutro nie istnieją. Każdy trzyma się pazurami nitki, na której wisi.

Jego bezimienna wymaginowana żona, kobieta bez metki z ceną (choć droższa od rubinów), mieszkała z nim w chatce położonej w idealnej wiosce, skąd w ciągu godziny można było skoczyć do Londynu, jeśli komu przyszła taka ochota. Ich chatka była uboga, miała strop z bali, uroczy ogród i pod każdym względem przypominała domek pani Miniver. Martin obejrzał ostatnio kontynuację *Pani Miniver* zatytułowaną *Drewniany koń* w porannym paśmie na kanale TCM i do tej pory nie mógł się pogodzić z faktem uśmiercenia biednej Greer Garson *kompletnie bez powodu*, jakby nie było dla niej miejsca w powojennym świecie. Faktycznie nie było tam dla niej miejsca, ale nie w tym rzecz. W dodatku nawet nie walczyła ze swoją nienazwaną chorobą (wiadomo, rak). Martwiło ją jedynie, aby jej umieranie nie stało się dla nikogo ciężarem.

Żadnych dolegliwości, wymiotów, krwi, ropy, żadnego mózgu rozbryzganego w jej salonie, żadnego buntu, gdy światło się mroczy – po prostu ucałowała męża na pożegnanie, weszła po schodach na górę i zamknęła drzwi do sypialni. Śmierć tak nie wyglądała. Śmierć przychodziła, gdy człowiek najmniej się jej spodziewał. Wystarczyła sprzeczka na ulicy albo to, że jakaś rosyjska wariatka otworzy usta do krzyku. Najmniejszy drobiazg.

Jego powojenna małżonka będąca klonem pani Miniver potrafiła radzić sobie w trudnych czasach, rozpogadzać zatroskane czoła i podnosić upadłych na duchu, poznała smak tragedii, lecz była w stanie po stoicku stawić jej czoła. No i pachniała wodą konwaliową.

Zazwyczaj była wczesna wiosna, niebo jasne i srogie, wiatr przenikliwy, pierwsze żonkile wychylały główki ze swoich podziemnych pieleszy. Z jakiegoś powodu niemal zawsze był też niedzielny poranek (prawdopodobnie miało to związek z weekendami spędzonymi w szkole z internatem). Udziec jagnięcy (podczas snucia tych fantazji nigdy nie ucierpiało żadne zwierzę) skwierczał w piekarniku staroświeckiej żeliwnej kuchenki. Wcześniej Martin zdążył posiekać miętę, uprawianą w ich własnym ogródku. Siedzieli w salonie w fotelach obitych tkaniną we wzór Williama Morrisa „Złodziej truskawek”, każde z kieliszeczką sherry, słuchając nagrania *Wariacji Goldbergowskich*. Bezimienna kobieta zgodnie podzielała jego gusta w dziedzinie muzyki, poezji i dramatu. Gdy się uporali z udźcem jagnięcym (z sosem, zielonym groszkiem, pieczonymi ziemniakami), przyszła pora na domową tartę z kremem jajecznym, drżącym i bladeżółtym, nakrapianym drobinkami gałki muszkatołowej. Później wspólnie myli naczynia przy staroświeckim porcelanowym zlewie. Ona zmywała, on wycierał, a Peter/David odkładał naczynia na półki. („Chochle do tamtej szuflady, kochanie”). Później strzepywali okruszki z obrusa i szli na spacer, nazywając po imieniu ptaki i pierwsze wiosenne kwiaty, gramoląc się przez przełazy i chlapiąc w kałużach. Śmiejąc się razem w głos. Powinni mieć też psa, pełnego wigoru przyjacielskiego teriera. Najlepszego

przyjaciela małych chłopców. Po powrocie do domu, zgrzani i lekko zmęczeni, pili herbatę i zjadali coś domowego i smakowitego z puszki na herbatniki.

Wieczorem robili kanapki z resztek jagnięciny, rozwiązywali wspólnie krzyżówkę albo słuchali radia. Kiedy Peter/David położył się spać, każde z nich czytało swoją książkę, ewentualnie muzykowali w duecie – ona na fortepianie, on na oboju. Ku swemu wielkiemu rozżaleniu Martin nie zdołał opanować gry na żadnym instrumencie, lecz w wyobraźni grał niezłe, czasami wręcz w natchnieniu. Żona sporo szydełkowała – tradycyjne wełniane swetry z Fair Isle dla Petera/Dawida i trochę mało męskie blezery dla Martina. Zimą siadywali przy ogniu buzującym w kominku, czasami Martin opiekował racuchy albo kawałki keksu na długim mosiężnym widelcu. Od czasu do czasu lubił czytać żonie poezje, nie nazbyt nowoczesnego.

Później, gdy i oni kładli się spać, Martin nakręcał budzik, sprawdzał zamki w drzwiach i czekał, aż kobieta skończy to, co miała do zrobienia w zimnej, lekko wilgotnej łazience. Kiedyś nieuchronnie musiał nadejść dzień modernizacji – komplety łazienkowe i zestawy szafek kuchennych, kuchenki elektryczne i centralne ogrzewanie – ale na razie ich dom tchnął atmosferą pewnego ubóstwa typowego dla tego konkretnego miejsca i czasu w historii brytyjskiego społeczeństwa. Później i on szedł na górę po schodach (wąskich, sosnowych, z chodnikiem i przytrzymującymi go mosiężnymi prętami), by wejść do sypialni pod ukośnym dachem, gdzie ona oczekiwała go w kwiecistej koszuli nocnej, siedząc w mahoniowym łóżu z ubiegłego stulecia i czytając książkę w przytulnym kręgu światła padającego z wiszącej u sufitu lampy z pergaminowym abażurem. „Chodź do łóżka, Marty”.

Źle, wróć; ona nigdy nie zwracała się do niego „Marty”. Źle, źle, źle. „Martin”, mówiła na niego „Martin” – zwyczajne imię zwyczajnego człowieka, który nikomu nie zapadał w pamięć.

Matka chłopca z toyoty wyszła spieszenie ze sklepu, ściskając w rękach chrupki, colę i batoniki czekoladowe. Spiorunowała Martina wzrokiem (jego zdaniem zupełnie bez powodu) i przekazała lupy chłopcu na tylnym siedzeniu, po czym oboje

ruszyli w oparach spalin. Chłopiec odwrócił się i w wiadomym geście przyłożył do szyby wyprostowany palec.

Dopiero gdy Martin wszedł do sklepu, żeby zapłacić, przypomniał sobie, że nie ma portfela.

Gdy zajechał przed dom, zastał swój podjazd odgradzony taśmą policyjną i strzeżony przez posterunkowego w mundurze. Przyszło mu na myśl, że w środku wybuchł pożar albo ktoś zgłosił włamanie, a może on sam niezamierzenie popełnił jakieś przestępstwo – niewykluczone, że w ciągu tych godzin niebytu spędzonych w Czterech Klanach. Albo w końcu go dopadli? Interpol wyśledził jego adres i przyszli go aresztować, by potem wydać Rosjanom?

– Panie władzo – zagadnął – czy coś się tu stało? (Ludzie zwracali się chyba do policjantów: „panie władzo”? A może mówili tak tylko w amerykańskiej telewizji? Martin wciąż był okropnie otepiały).

– Zdarzył się wypadek, proszę pana – odparł policjant.

– Obawiam się, że nie może pan podejść bliżej.

Nagle olśniło go, że jest środa.

– Dziś mamy środę – nie zamierzał powiedzieć tego na głos; chyba wyszedł na idiotę.

– Owszem, proszę pana – przytaknął policjant. – Mamy środę.

– W środy przychodzą sprzątaczkі – ciągnął Martin.

– Z „Przysług”, to taka agencja. Czy którejs z nich zdarzył się wypadek?

Martin spotkał przelotnie jedną czy dwie z ubranych na różowo kobiet, które sprzątały mu dom. Nie lubił być przy tym, gdy szorowały i polerowały, niczym służące, i zawsze starał się zniknąć, zanim go zauważyły. Czyżby któraś z nich śmiertelnie poraził prąd, bo on miał niesprawną instalację, może pośliznęła się na zbyt mocno wyfroterowanej podłodze albo potknęła na źle umocowanym chodniku na schodach i skręciła kark?

– Czy któraś ze sprzątarek nie żyje?

Posterunkowy wymamrotał coś do krótkofalówki na swoim ramieniu i zwrócił się do Martina:

– Mogę wiedzieć, jak się pan nazywa?

– Martin, Martin Canning – odrzekł Martin. – To mój dom – dodał, myśląc, że zapewne powinien wspomnieć o tym na początku rozmowy.

– Ma pan przy sobie jakiś dokument tożsamości?

– Nie – odparł Martin – w nocy skradziono mi portfel.

– Musiał przyznać, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Zgłosił pan kradzież?

– Jeszcze nie.

Na stacji benzynowej przy Leith Walk dokładnie przetrząsnął wszystkie kieszenie. Znalazł cztery funty i siedemdziesiąt jeden pensów. Zaproponował, że na resztę wypisze skrypt dłużny, lecz jego propozycja wzbudziła jedynie wesołość. Martin, który uważał, że każdemu należy wierzyć na słowo, dopóki nie okaże się nieuczciwy (przez takie podejście wielokrotnie dał się oszwabić), poczuł się głęboko urażony tym brakiem zaufania. Ostatecznie jedyne, co mu przyszło do głowy, to zadzwonić do Melanie i poprosić, żeby zapłaciła za niego swoją kartą kredytową.

Dyżurujący przed domem policjant obrzucił go przeciągłym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem i znów mruknął coś do krótkofalówki.

Wolnym krokiem nadeszła staruszka wyprowadzająca na spacer równie wiekowego labradora. W przeciwieństwie do kobiety pies wydał się Martinowi znajomy; widywał go czasem w sąsiedztwie. Labrador i jego właścicielka stanęli przy bramie. Dopiero teraz zauważył, że po drugiej stronie ulicy zebrała się grupka ludzi – jak przypuszczał, sąsiadów, przechodniów oraz robotników korzystających z przerwy na lunch – którzy przestępowali z nogi na nogę podobnie jak staruszka. Na moment przypomniała mu się publiczność wczorajszego krwawego spektaklu ulicznego z udziałem Paula Bradleya.

Staruszka z labradorem dotknęła ręki Martina, jakby byli dobrymi znajomymi.

– Czy to nie okropne? – zagadnęła. – Kto by pomyślał, przecież to taka spokojna okolica.

Martin podrapał wyleniałe psisko za uszami. Zwierzę stało jak wmurowane, wyrażając swoje zadowolenie ledwo zauważalnym

drzeniem ogona. Przypominało drewniane psy na kółkach, którymi bawią się dzieci. On i jego brat Christopher w dzieciństwie też takiego mieli, z grubsza przypominał teriera. Pewnego dnia ojciec potknął się o niego i tak się wściekł, że chwycił zabawkę za kijek służący do jej popychania i z całej siły cisnął nią przez okno salonu. W ich domu takie zachowanie uchodziło za normalne. Ojciec nie mówił: „w domu” tylko „na froncie domowym”. Jak się później okazało, była to próba generalna przed wyrzuceniem prawdziwego psa kundelka przez okno salonu ich kwatery w Niemczech. Zabawka ocalała, prawdziwy pies – nie. Martinowi przypomniał się wczorajszy rzut laptopem – czyżby jakaś jego część napawała się tą chwilą agresji? Czyżby – uchowaj Boże – miał w sobie coś z ojca?

– I pomyśleć, że nikt niczego nie słyszał – dodała staruszka z labradorem.

– Nie słyszał? A co się właściwie stało? – spytał ją Martin.

Zerknął przy tym na policjanta, zastanawiając się, czy wolno mu zadać takie pytanie, czy przypadkiem nie usiłuje wydrzeć jakiegoś pilnie strzeżonego sekretu. Może odkryli, że Richard jest terrorystą – mało prawdopodobne, zważywszy na jego kompletny brak zainteresowania czymkolwiek, co nie dotyczyło jego samego. Richard! Czy coś się przydarzyło Richardowi?

– Richard Moat – zagadnął policjanta – ten komik, mieszkał u mnie, czy coś mu się stało?

Posterunkowy zmarszczył brwi i znów powiedział coś do krótkofalówki, tym razem bardziej nagłym tonem, następnie zwrócił się do właścicielki labradora:

– Obawiam się, że muszę panią prosić o oddalenie się z tego miejsca.

Zamiast odejść, staruszka przysunęła się bliżej do Martina i szepnęła konspiracyjnie:

– Alex Blake, ten autor kryminałów, to jego zamordowano.

– To ja jestem Alex Blake – odparł Martin.

– Myślałem, że nazywa się pan Martin Canning – zaprotestował policjant.

– Bo to prawda – przytaknął Martin, świadom, że mówi to bez przekonania.

* * *

Poważny mężczyzna, który przedstawił się Martinowi jako „nadinspektor Robert Campbell”, oprowadził go po domu niczym agent nieruchomości usiłujący sprzedać wyjątkowo kłopotliwą posiadłość. Ktoś wręczył Martinowi coś, co przypominało papierowe czepki pod prysznic, a okazało się ochraniaczami na buty („Nadal badamy miejsce zbrodni, proszę pana”), nadinspektor Campbell mruknął wtedy cicho: „Proszę stąpać ostrożnie, sir”, jakby cytował Yeatsa.

Wśród panującego w salonie bałaganu Martin dostrzegł wciąż pracujących techników kryminalistyki – skupionych i niczym się niewyróżniających, w przeciwieństwie do olśniewająco przystojnych bohaterów serialu *CSI*. W jego powieściach nie występowali żadni technicy, zagadki kryminalne rozwiązywano dzięki intuicji, zbiegom okoliczności oraz niespodziewanym przeczuciom. Sporadycznie Nina Riley korzystała z rad dobrego przyjaciela swojego wuja, samozwańczego emerytowanego kryminologa. „Och, mój drogi Samuelu, cóż poczęłoby biedne dziewczę bez twego błyskotliwego umysłu?”. Martin nie miał pojęcia, kim właściwie jest kryminolog, ale w ten sposób mógł załatać sporo dziur w edukacji Niny Riley.

Tak się zresztą składało, że kryminolog ów mieszkał w Edynburgu i Nina właśnie złożyła wizytę w jego domu stojącym w pobliżu ogrodu botanicznego. W tej chwili była na stronie sto pięćdziesiątej, w drodze powrotnej na Czarną Wyspę, i zwiślała z mostu kolejowego nad zatoką Firth of Forth, podczas gdy nad jej głową „huczał jak smok” pociąg relacji Edynburg – Dundee. Czy smoki huczały? „W ładne tarapaty się wpakowaliśmy, co, Bertie? Chwała Bogu, że to nie ekspres z King’s Cross do Inverness, tyle ci powiem!”. Z salonu zalatywało padliną. Czy Richard ciągle tam leżał? Martin wzdrygnął się i stwierdził, że trzęsie mu się lewa ręka. Skądże, zapewnił go nadinspektor Campbell, ciało zostało zabrane do kostnicy policyjnej. Richard Moat zanieczyszczał jego dom za życia i po śmierci robił to samo. Nie ma czegoś takiego jak rzeczywistość, upomniał się w duchu Martin, tylko ta

nanosekunda, ten atom oddechu. Oddechu przesyconego wonią rzeźnickiej jatki. Cieszył się teraz, że nie jadł śniadania ani lunchu.

– Jak zginął? – spytał z wahaniem w głosie.

Czy naprawdę chciał to wiedzieć?

– Wciąż nie mamy wyników sekcji, panie Canning.

Martin czekał na odpowiedni moment, żeby powiedzieć: „Ostatnią noc spędziłem odurzony w hotelowym pokoju z uzbrojonym mężczyzną”, ale Campbell dręczył go pytaniami, czy z domu na pewno nic nie zginęło. Jedyna rzecz, jaka przyszła Martinowi do głowy, to zegarek, który zniknął wszakże na dzień *przed* zbrodnią.

– Rolex – powiedział.

Na co śledczy uniósł w górę brew i zapytał:

– Osiemnastokaratowy oyster yacht-master? Taki jak ten, który miał na ręce pan Moat?

– Czyżby? Sądzi pan, że Richard zginął zabity przez włamywacza? Może ktoś myślał, że dom jest pusty („bo ja spędziłem ostatnią noc odurzony w hotelowym pokoju z uzbrojonym mężczyzną”), włamał się, a Richard zszedł na dół i go zaskoczył?

Martin wiedział, że mówi jak prowadzący program *Crimewatch*. Chciał przestać, ale zwyczajnie nie mógł się powstrzymać.

– Przeszkodził intruzowi?

– Wszystko wskazuje na to, że sprawca wykorzystał nadarzącą się okazję – odparł ostrożnie Campbell. – Istotnie mógł zostać przyłapany na gorącym uczynku, jak pan mówi, ale na razie niczego nie wykluczamy. Poza tym nie było włamania, pan Moat musiał sam wpuścić zabójcę lub wręcz przyprowadzić go ze sobą do domu. Szacujemy, że zginął dziś między czwartą a siódmą rano.

Na schodach minęła ich umundurowana funkcjonariuszka. Po całym domu kręcili się obcy ludzie. Martin sam czuł się tutaj obcy. Policjantka niosła duże plastikowe pudełko, które skojarzyło mu się z pojemnikiem na chleb. Trzymała je z dala od ciała, jakby zawierało coś niebezpiecznego albo kruchego.

– Mijanie się na schodach – rzuciła wesoło do nadinspektora – przynosi pecha. A jeszcze te rozbite lustra na dole – dodała, kręcąc głową ze śmiechem.

Campbell zmarszczył brwi na taką swawolność.

– Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni – wyjaśnił Martinowi.
– Musimy wiedzieć, czy z domu nie zginęło coś, co mogło posłużyć do zabicia pana Moata.

Absurdem wydawało mu się używanie słów w rodzaju „narzędzie zbrodni” czy „zabójstwo” w odniesieniu do jego ślicznego domu w Merchiston. Takie określenia należały do słownika Niny Riley. „Tak więc widzisz, Bertie, narzędziem zbrodni, od którego zginął dziedzic, był soplek lodu oderwany spod daszku gołębnika. Po zabójstwie morderca po prostu wrzucił go do kuchennego pieca, dlatego policja niczego nie znalazła”. Martin podejrzewał, że podkradł ten pomysł Agacie Christie. Ale ostatecznie czy nie mówi się: „wszystko już było”?

– Nie możemy również wykluczyć osobistych porachunków, Martinie.

Martin zastanowił się, kiedy to przeszli od „sir” do „Martina”.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś zjawił się tu z *zamiarem* zabicia Richarda? – zapytał.

W sumie nie byłby tym zdziwiony, Richard potrafił wzbudzać w ludziach mordercze instynkty.

– To oczywiście też – odrzekł Campbell – ale myślałem o panu. Czy ma pan wrogów, Martinie? Może jest ktoś, komu mogłoby zależeć na *pańskiej* śmierci?

Martinowi wydało się, że miazmaty przeklętego domu Usherów nieoczekiwanie się zmaterializowały i spowiły cały dom wilgotnym całunem. Po jego pokojach grasowała Śmierć. Okropnie bolała go głowa. Śmierć go odnalazła. Co prawda, jeszcze go z sobą nie zabrała, ale go odnalazła. Przyszła wymierzyć mu zasłużoną karę.

Robert Campbell odeskortował Martina do „sypialni jego przyjaciela”. Martin chciał to sprostować, powiedzieć: „Richard nie był moim przyjacielem”, lecz uznał, że byłoby to okrutne i bezduszne w obliczu tego, co się stało.

Martin nie był w tym pokoju od dnia, gdy przyprowadził tu

Richarda, mówiąc: „Gdybyś czegoś potrzebował, po prostu mi powiedz”. Wówczas był to pokój gościnny ze ścianami obitymi śliczną białą-błękitną tkaniną „Toile de Jouy”, kremowym dywanem i piramidą białych gościnnych ręczników starannie złożonych na francuskim łóżku z wysokim wywiniętym zagłówkiem i zwieńczonych kostką mydła konwaliowego Crabtree & Evelyn. („Zawsze jesteś takim sztywniakiem, Martinie?” – parsknął Richard Moat, wchodząc do pokoju. „Tak” – odparł Martin).

Teraz jego pokój gościnny bardziej przypominał pomieszczenie w taniej noclegowni. Wstrętnie cuchnął, jakby Richard jadał tu dania na wynos – i owszem, spod łóżka wystawały karton po pizzy, w którym ostał się kawałek pepperoni, i tacka z folii aluminiowej, najprawdopodobniej z jakąś chińszczyzną, oraz talerze i spodki pełne niedopałków papierosów. Podłoga usłana była zwiniętymi brudnymi skarpetkami, majtkami, zużytymi chusteczkami higienicznymi (Bóg jeden wie, co na nich było), zabazgranymi skrawkami papieru i kilkoma magazynami pornograficznymi.

– Nie cenił porządku – mruknął Martin.

– Jak pan myśli, Martinie, czy w tym pokoju czegoś brakuje?

– Przykro mi, ale nie wiem.

Brakowało Richarda Moata, lecz to było oczywiste.

Jakiś posterunkowy przetrząsał plastikową siatkę pełną korespondencji.

– Sir? – zagadnął Roberta Campbella i podał mu list trzymany ostrożnie za sam róg koperty palcami w rękawiczce.

Robert Campbell przeczytał go ze zmarszczonym czołem i zwrócił się do Martina:

– Czy ktoś mógł chować urazę do pana Moata?

– No cóż, dostawał sporo listów od widzów – odparł Martin.

– Listów od widzów? O jakiej treści?

– „Richard Moat to cholerny kretyn”. I tym podobne.

– A był kretynem? – spytał Robert Campbell.

– Owszem.

– Mogę spytać, gdzie spędził pan ubiegłą noc, Martinie?

– zagadnął Campbell.

Nic w jego szerokiej, przyjaznej twarzy nie zdawało się mówić, że uważa go za w jakikolwiek sposób odpowiedzialnego za to, co tutaj zaszło, za śmierć jego „przyjaciela”. Po tych słowach w oczekiwaniu na odpowiedź Martina westchnął – głębokie, ciężkie westchnięcie, jakie mógłby wydać bardzo zmartwiony koń.

Martin poczuł w dołku palący ból, jakby zgagę. Wiedział, że to poczucie winy, choć przecież był niewinny. Przynajmniej *tej* zbrodni. Ale jakie to miało znaczenie? Wina to wina. Ktoś musiał ją wziąć na siebie. Ktoś musiał za nią zapłacić. Jeżeli istniał jakiś kosmiczny wymiar sprawiedliwości, a Martin skłaniał się ku temu pogładowi, kiedyś szale musiały się wyrównać. Oko za oko.

– Ubiegła noc...? – przynaglił go Campbell.

– No więc tak – zaczął Martin – wszystko zaczęło się od człowieka z kijem bejsbolowym. – Zabrzmiało to jak początek opowiadania, które mogło potoczyć się w dowolny sposób, na przykład: „który osiągnął mistrzostwo w lidze”. Albo smutniej: „a gdy dowiedział się, że umiera, zapisał kij swojemu ulubionemu wnukowi”. W porównaniu z fikcyjnymi alternatywami treść prawdziwej opowieści wydawała się nieprawdopodobna. Ostatecznie Martin nie wspominał nic o pistolecie, uznał bowiem, że byłby to chyba o jeden szczegół za dużo.

Ogrodnik Bill stanął za szybą drzwi prowadzących na taras zniecka jak zjawą, aż Gloria drgnęła przestraszona. Zaczęło się śniadanie, lecz Bill nigdy nie zwracał uwagi na pogodę. Ilekroć Gloria zagadywała go: „Czyż nie prześliczny ranek?” albo: „Wielkie nieba, ale dziś zimno” i tak dalej, rozglądał się z wyrazem zakłopotania, jakby chciał dostrzec coś niewidzialnego. Dziwna to cecha u ogrodnika; można by sądzić, że pogoda jest dla niego ważna. Jak zwykle zaproponowała mu kawę, choć w ciągu pięciu lat ani razu nie skorzystał z oferty. Bill zawsze przynosił ze sobą płócienny chlebak w kolorze khaki, miał w nim staroświecki termos i rozmaite zawiniątka w papierze pergaminowym – kanapki, jak przypuszczała Gloria, oraz ciasto, może jajko na twardo, wszystko przygotowane przez żonę.

Kiedyś Gloria też przygotowywała Grahamowi drugie śniadanie do pracy. Było to dawno temu, gdy świat był o wiele młodszy, a ona czerpała jeszcze dumę z pieczenia ciast, obsmażania kielbasek oraz z napelniania plastikowych pojemniczków sałatą, pomidorami i słupkami marchewki – wszystko po to, żeby Graham mógł je bezmyślnie skosztować gdzieś na poboczu drogi. A może po prostu wyrzucał zawartość pojemniczków do najbliższego kosza na śmieci i szedł do pubu z jakąś biuściastą i chętną kobietą na krewetki z frytkami? Czasami Gloria zastanawiała się, gdzie była, kiedy wybuchł feminizm – zapewne w kuchni, przyrządzając urozmaicone drugie śniadania. Rzecz jasna, Graham od lat nie brał jedzenia do pracy. Teraz w ogóle nie jadł; zastępujące posiłki tajemnicze substancje były mu dostarczane przez rurki i odprowadzane z jego ciała w podobny sposób, jakby był astronautą.

Była ciekawa, czemu Bill nie rozpakowuje właśnie swoich

zapakowanych w papier pergaminowy spożywczych zawiniątek w zaciszu szopy na narzędzia. Ogrodnik odchrząknął z zażenowaniem. Był drobny jak dżokej, z tego powodu Gloria czuła się przy nim jak słonica.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytała.

Zawsze zwracała się do niego po imieniu, Bill, podczas gdy on nieodmiennie nazywał ją „panią Hatter”. Dawno zrezygnowała z powtarzania: „Mów mi Gloria”. Bill pracował niegdyś w majątku jakiegoś arystokraty z Borders i czuł się swobodniej w relacji pani – sługa. Gloria spodziewała się niemal, że będzie jej się kłaniał w pas.

Rozproszył ją widok plamy z czekolady na białej bluzce. Domyśliła się, że to pamiątka po pełnoziarnistych ciasteczkach, które zjadła na śniadanie. Wyobraziła sobie, jak mała wytwórnia komórek, którą był jej organizm, przyjmuje czekoladę, tłuszcz oraz mąkę (jak również zapewne wszelkie rakotwórcze dodatki) i przesyła je pasami transmisyjnymi do dalszego przetworzenia. Ów zakład przemysłowy działający na rzecz większego dobra, czyli Glorii, funkcjonował na zasadach kooperatywy, zyski dzielono po równo. We wzorcowej wytwórni zwanej Glorią komórki stanowiły zawsze zadowoloną siłę roboczą, podśpiewującą do dźwięków audycji *Workers' Playtime* płynących ze staroświeckiego odbiornika. Związki zawodowe działały jak trzeba, wszyscy mieli zapewnione dopłaty mieszkaniowe oraz opiekę zdrowotną i nigdy się nie zdarzyło, by ktoś stracił życie, wciągnięty i zmasakrowany przez maszynę fabryczną jak jej brat Jonathan.

Okazało się, że żona Billa miała mózg, który – jak twierdził Bill – „powoli zamieniał się w gąbkę”, w związku z czym ogrodnik był zmuszony zrezygnować z pracy („jeśli się pani zgodzi, pani Hatter”) i zamiast ogrodem Glorii zajmować się w środy swoją gąbczastomózgą małżonką. Gloria rozważała, czy nie wspomnieć mu o obecnym stanie Grahama. Po raz pierwszy mieli ze sobą coś wspólnego: wybrakowanego partnera, lecz i tak odbyli już najdłuższą rozmowę od początku znajomości i Gloria doszła do wniosku, że Bill prawdopodobnie więcej nie zniesie.

Telefon rozzwonił się po raz setny. Bill nie zapytał, czemu Gloria nie odbiera, tylko cierpliwie czeka, aż dzwonek ucichnie. Ciekawe, jak by to było, mieć za męża kogoś równie biernego. Zapewne doprowadzałyby ją do szału. Graham był, jaki był, ale nigdy się przy nim nie nudziła.

Po wyłuszczeniu swojej sprawy Bill zniknął w szopie, gdzie najprawdopodobniej jak zwykle spożył drugie śniadanie, ponieważ po trzydziestu minutach wyłonił się stamtąd, strzepując z wąsów okruszki, i zaczął napowietrzać trawnik za pomocą urządzenia przypominającego narzędzie tortur. Gloria zrobiła sobie kanapkę z serem i konfiturą (agrestową, według jej własnego przepisu, z owoców zebranych kilka tygodni wcześniej na Stanton Farm), po czym zjadła ją na stojąco przy kuchennym blacie. Później przeszła do holu, żeby odsłuchać wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce. Było ich teraz tyle, że te najnowsze wykasowały wcześniejsze. Gloria pomyślała, że coś podobnego dzieje się z jej pamięcią, tyle że na odwrót.

Wszyscy z jakiegoś powodu poszukiwali Grahama. Jego nieobecność wywołała rosnącą falę paniki w biurach Hatter Homes, w których i tak panowało podwyższone ciśnienie w związku z natarciem wydziału do walki z przestępczością gospodarczą. „Chyba nie wywinąłeś numeru w stylu Roberta Maxwella, co?” – pytał z napięciem w głosie zastępca Grahama, Gareth Lawson.

Pam, świergocząca: „Och, Glorio, czy możesz mi podać przepis na swój sernik? Wiem, że gdzieś go sobie zapisałam, ale przepadł bez śladu”. Przepis był znakomity – opakowanie serka Philadelphia, puszkę pasteryzowanej śmietanki Fussella i pół tuzina jaj należało ubić na jednolitą masę, przelać do formy nasmarowanej karmelem i piec w kąpieli wodnej. Był to przepis, którego trzeba było strzec, gdy raz wpadł komuś w ręce. Lekkomyślna Pam nie dostanie go od Glorii po raz drugi.

Krótkie, burkliwe: „Graham, nadal jesteś w tym pieprzonym Thurso?” Murdo Millera i niekończąca się litania: „Mamo? Mamo-gdzie-jesteś?” Emily. Głos z szorstkim akcentem

z Zachodniego Wybrzeża, który Gloria rozpoznała jako należący do ich prawnika, dopytywał się: „Co się z tobą dzieje, Grahamie? Nie odbierasz komórki, wczoraj nie było cię na spotkaniu”. Alistair Crichton ryczał stentorowo: „Gdzie się, kurwa, podziewasz, Graham? Zupełnie jakbyś się zapadł pod pieprzoną ziemię”. Glorii przyszło do głowy, że nie chciałaby być przestępcą i stawać przed jego obliczem. Przed sędzią, który, gdyby sam miał być osądzony, okazałby się więcej niż niedoskonały. „Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z prawem” – zwrócił się kiedyś do niej lekkim tonem znad półmiska kanapek na jakimś przyjęciu. „Grahamie, dlaczego nie odbierasz komórki? Musimy pogadać, rozumiesz? Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie wystawić”.

Telefon znowu zadzwonił, zanim odtworzyła wiadomość do końca, więc automatyczna sekretarka bezceremonialnie weszła w słowo szeryfowi Crichtonowi i zaczęła nagrywać zawodzenia Christine Tennant, od dziesięciu lat nieziemsko cierplivej sekretarki Grahama. („Właściwie osobistej asystentki, Glorio” – poprawiała ją wiecznie przepraszającym tonem, ale Gloria wiedziała, że ktoś, kto stuka w klawiaturę, robi notatki i odbiera telefon, jest zwykłą sekretarką. Nazywajmy rzeczy po imieniu). W jej zazwyczaj jęklwym głosie dały się teraz słyszeć niemal histeryczne tony. „Glorio, wszyscy szukają Grahama, jest tutaj pilnie potrzebny. Czy wiesz, jak mogę się z nim skontaktować w Thurso?”. Przez lata zdarzało jej się zastanawiać, czy Graham choć raz przespał się z Christine Tennant. Pracowała dla niego przecież od dziesięciu lat i mimo to zdawała się nienaturalnie nim zauroczona. Chyba tylko kobieta beznadziejnie zakochana mogłaby być aż tak przywiązana do Grahama? Z drugiej strony, Graham był chodzącym banałem, więc seks z sekretarką to byłoby coś dokładnie w jego stylu. Ciekawy pomysł na epitafium: „Graham Hatter – chodzący banal”. Po kremacji nie ma się chyba nagrobka? Zostaje się z niczym, z epitafium pisanym na wietrze i wodzie.

Rzecz jasna, pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, gdy ktoś zaginie, jest obdzwonienie szpitali; każdy o tym wie. To proste

rozwiązanie nie przyszło jednak na myśl żadnej z osób, które tak rozpaczliwie usiłowały dorwać Grahama, podczas gdy ten leżał sobie spokojnie na swoim katafalku na OIOM-ie, niewidoczny, choć przecież na widoku, czekający na swojego odkrywcę.

Kątem oka dostrzegła coś dziwnego, jakiś błysk wśród rododendronów, blask czegoś gładkiego i odbijającego światło. Sięgnęła po lornetkę, która przydawała jej się do obserwowania ptaków. Chwilę zajęło jej wyregulowanie ostrości, po czym ujrzała nagle wyraźnie gęstwinę połyskliwych liści oraz twarz wśród zieleni jak w Arkadii u Owidiusza. W ułamku sekundy twarz ta na powrót stopiła się z liśćmi. Tym razem Gloria miała przynajmniej pewność, że to nie koń ani niedźwiedź. Nie była to także kobieta zakłeta w drzewo ani na odwrót. Zdecydowanym krokiem wyszła do ogrodu, płosząc po drodze wróble, lecz gdy znalazła się przy rododendronach, nie zastała tam żadnego intruza, natknęła się tylko na Billa, dyskretnie oddającego mocz pod żywopłotem.

Zdalnie sterowana brama otworzyła się, przepuszczając czerwonego golfa Glorii. Przejeżdżając przez nią, zawsze czuła się jak zbieg umykający z miejsca przestępstwa. Pojechała na George Street, tam bogowie parkingowi podarowali jej wolne miejsce tuż przed sklepem z artykułami metalowymi, w którym kupiła klucz do odpowietrzania kaloryferów oraz specjalistyczny odplamiacz (skuteczny w przypadku gumy do żucia, kleju oraz lakieru do paznokci). Później powłokła się do oddziału Banku Królewskiego na rogu Castle Street, skąd podjęła swoje codzienne pięćset funtów.

Gdy wróciła, Bill właśnie się pakował, ładując narzędzia do bagażnika samochodu. Choć w ich szopie były wszystkie możliwe narzędzia, wołał przywozić własne, niektóre z nich tak wiekowe, że mogłyby się znaleźć na wystawie w muzeum rolnictwa.

– No to – rzucił lakonicznie – będę się zbierał.

Gloria przypuszczała, że gdyby wróciła nieco później, odjechałby całkiem bez pożegnania. Pięć lat i jedyne, na co go było stać, to: „Będę się zbierał”. Ostatnie słowa, jakie usłyszała

od Grahama, były w podobnym stylu. Spróbowała przypomnieć sobie, co powiedział do niej poprzedniego ranka. „Prawdopodobnie wrócę późno” – nic nowego – i coś na temat „tych pieprzonych glin od przestępstw gospodarczych”, na koniec rzucił: „No to już mnie nie ma”. Jakże proroczo.

Powinna wręczyć Billowi jakiś prezent pożegnalny, kupić mu coś w mieście, ale nie przyszło jej to do głowy. Mogłaby mu dać gotówkę, ale pieniądze zawsze wydawały jej się takie bezosobowe. Od małego Ewan i Emily prosili ich o pieniądze na urodziny oraz Gwiazdkę. Gloria wolała ofiarowywać prezenty, nie pieniądze. Pieniądze się przydawały, ale nie były czymś *osobistym*. Dawanie ich było jak załatwianie interesów.

Bill zatrzasnęła bagażnik swojego auta.

– Nie, zaczekaj jeszcze chwilę – poprosiła go i pospieszyła do domu, żeby poszukać czegoś odpowiedniego.

Trudno było przewidzieć, co mogłoby się spodobać komuś tak małowównemu. Zawahała się nad parą uroczych dalmatyńczyków z porcelany ze Staffordshire, które przysiadły zawadiacko na ciemnoniebieskich poduszkach. Bill wyglądał na kogoś, kto mógł lubić psy. Albo może ten unikatowy ceramiczny wazon Moorcrofta? Na szczęście przypomniała sobie, jak pewnego dnia stał przy drzwiach prowadzących na taras (przez pięć lat ani razu nie przekroczył progu ich domu), podziwiając jelenia osaczonego przez ogary. Zdjęła obraz ze ściany – był o wiele cięższy, niż się spodziewała – i wyniosła go przed dom.

Ogrodnik wzdragał się z przyjęciem prezentu.

– Jest wiele wart, pani Hatter – wymamrotał nieśmiało.

– Nie aż *tak* wiele – odparła Gloria. – Dajże spokój, Billu, weź go, Bóg nie rozdaje prezentów na prawo i lewo.

Pomyślała o żonie Billa z jej mózgiem jak gąbka. Czasami Bóg jedną ręką coś dawał, a drugą prawie wszystko zabierał.

Wreszcie udało jej się go namówić, by dał schronienie nieszczęsnemu jeleniowi. Bill schował obraz do bagażnika, ułożył go na narzędziach, i po raz ostatni wyruszył w drogę do domu. Nigdy nie wzbudzał jej sympatii ani antypatii, mimo to Gloria nieoczekiwanie poczuła ukłucie bólu na myśl, że go

więcej nie zobaczy. Choć prawie ze sobą nie rozmawiali, środa była dla niej zawsze „dniem Billa”. Poniedziałek natomiast był „dniem hospicjum” – Gloria przyklejała wtedy do twarzy idiotycznie radosny uśmiech i pchała przed sobą wózek z herbatą przez kolejne sale miejscowego hospicjum: dobra porcelana, domowe herbatniki, wszystko jak należy, bo jej podopieczni byli umierający i dobrze o tym wiedzieli.

Z kolei piątek był „dniem Beryl”. W tej chwili wszystko wskazywało na to, że Beryl przeżyje swojego syna. Mieszkała kilka ulic od nich, w domu opieki, i Gloria odwiedzała ją w każde piątkowe popołudnie, choć Beryl nie miała pojęcia, kim ona jest, gdyż jej mózg także rozmiękł jak gąbka. Gloria dla odmiany miała wrażenie, że jej własny mózg zmienia się w coś twardego i znacznie mniej przyjaznego, na przykład w koral. Podczas urlopu na Malediwach oglądali korale mózgowy, gdy Gloria, nurkując z fajką, nieśmiało stawiała pierwsze kroki w podwodnym świetle. Miała na sobie stary granatowy kostium jednoczęściowy, w którym pływała jeszcze na basenie w Warriston, i była boleśnie świadoma, że od bioder do ramion ma ciało jak jaszczurka, blade, bez śladu talii. Wszystkie inne kobiety na rozpalonej złocistej plaży były szczupłe, spalone na brąz i ubrane w drogie bikini.

W styczniu wyjeżdżali na urlop w tropiki – Seszele, Mauritius, Tajlandia – i zatrzymywali się w najdroższych hotelach z najlepszą obsługą. Graham lubił być bogaty, lubił też, żeby inni wiedzieli, że jest bogaty. Czy gdyby przeżył – uchronaj Boże! – i doszedł do siebie, potrafiłby żyć jako biedak? Raczej nie. Czyli Śmierć mogłaby być dla niego Dobra.

Wich hotelu na Malediwach wypoczywało wielu Rosjan. Kobiety – chude blondynki – stale zajmowały się dziećmi, podczas gdy tłuści i włochaci mężczyźni kojarzący się Głorii z morsami całymi dniami wylegiwali się na słońcu w złotej biżuterii i przyciasnych kąpielówkach, nasmarowani olejkiem. „Gangsterzy” – poinformował ją rzeczowo Graham. Gloria nie mogła dojść, kogo jej oni przypominają, aż wreszcie ją olśniło; otóż Grahama. Byli jeszcze bardziej grahamowaci niż on, co samo w sobie stanowiło spore osiągnięcie.

Wtedy, na Malediwach, kochała się z nim po raz ostatni, na gładkiej białej kapie ich łóżka, pod sufitem z tropikalnego drewna ułożonym w spiralę podobną do skorupy ślimaka. Był to akt niezręczny i nieco konfrontacyjny.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek odwiedzałby ją, gdyby trafiła do domu opieki. Nie wyobrażała sobie Emily wpadającej regularnie ze zmianą bielizny, kremem do rąk albo hiacyntem w doniczce. Nie wyobrażała jej sobie siedzącej przy niej tygodniami, czeszącej jej włosy, masującej dłonie, podtrzymującej jednostronne bezsensowne rozmowy. Wizyt Ewana nie wyobrażała sobie jeszcze bardziej.

Telefon znów zadzwonił. Gloria weszła do holu i spojrzała na aparat. Powoli wykształcał własną osobowość – irytującą i nieustępliwą jak głos, który krzyczał właśnie do automatycznej sekretarki: „Mamo!”. Z otworu na listy wystawał jęzor „Evening News”, więc Gloria wyciągnęła gazetę i przekartkowała ją, podczas gdy Emily do znudzenia powtarzała na jednej nucie swoją dwusylabową litanie – robiła tak samo jako dziecko. Jak mantrę powtarzała: „Mamo-mamo-mamo-mamo”, a gdy Gloria pytała ją, czego właściwie chce, wzruszała ramionami, rzucała jej nieobecne spojrzenie i odpowiadała: „Niczego”.

„Mamo! Mamo! Mamo! Wiem, że tam jesteś, odbierz telefon. Odbierz telefon albo dzwonię na policję. Mamo, mamó, mamó, mamó”.

Ostatni raz spotkali się całą rodziną na święta Bożego Narodzenia. Ewan pracował w agencji ochrony środowiska i przyleciał prosto z Patagonii. Praca na rzecz środowiska nie czyniła z niego szczególnie sympatycznego człowieka. Za punkt honoru postawił sobie, aby nie być częścią biznesowego imperium Grahama, które najwyraźniej miało swój mały udział w „globalnym spisku kapitalistów”. Nie przeszkadzało mu to jednak brać od ojca pieniędzy za każdym razem, gdy przyjeżdżał do domu. Ewan zawsze był dla Grahama jednym wielkim rozczarowaniem, za nic mając podstawowe założenia szkockiej religii – alkohol, piłkę nożną oraz poczucie krzywdy – na których opierała się wiara Grahama. On sam miał właśnie

spełnić swoje życiowe marzenie o posiadaniu klubu piłkarskiego z Premier League, gdy do gry wkroczyło przeznaczenie; kiedy zasłabł u boku Tatiany, miał w teczce umowy gotowe do podpisania.

Ewan oznajmił im, że wstąpił do Partii Zielonych. Jedyne komentarz jego ojca brzmiał: „Durny gówniarz”. Jeśli chodzi o pieniądze Grahama, Emily nie miała żadnych zasad. Graham powinien ją rzecz jasna wychowywać na swą następczynię, byłby z niej idealny kapitalistyczny krwiopijca.

Jako dziecko Emily była uroczą, sama słodycz i dobroć, wielbiła Glorię i wszystko, co Gloria robiła. Aż pewnego dnia obudziła się jako trzynastolatka i – gdyby kto pytał jej matkę – od tamtej pory wciąż zachowywała się jak trzynastolatka. Obecnie miała trzydzieści siedem lat, męża i własne dziecko, lecz macierzyństwo zdołało uczynić ją jeszcze bardziej zrędliwą, o ile to w ogóle było możliwe. Mieszkała w Basingstoke z mężem Nickiem („kierownikiem działu rozwoju projektów w firmie informatycznej”; co to u licha *znaczyło?*) i poświęcała mnóstwo czasu na pielęgnowanie urazy.

W święta głównym tematem rozmów tak Ewana, jak Emily były wielkie zmiany w ich życiu, to, jak oboje ewoluowali i dojrzeli – zarazem co roku oczekiwali, że Gloria będzie taka sama jak zawsze. Jeżeli wspomniała o jakiegokolwiek zmianie w swoim życiu, na przykład: „Zapisałam się na gimnastykę” (próbowała i poległa; jej grupa nosiła nazwę „Szykowne pięćdziesiątki”, potem były „Szałowe sześćdziesiątki”, a po sześćdziesiątkach najwyraźniej nic) albo: „Chciałabym chodzić na konwersacje do instytutu francuskiego”, reagowali tak samo. Ze zniecierpliwieniem, niby do wyjątkowo niepojętego dziecka, mówili: „Oj, mamoo”.

Podczas ostatniej Wigilii, gdy Graham był w pełni sprawnym członkiem rodziny, a nie astronautą orbitującym w kosmosie, Gloria przygotowywała w kuchni roladę czekoladową. W pierwszy dzień świąt zawsze oprócz puddingu jadal ten tradycyjny deser. Kręciła masę – tylko jajka i cukier, bez mąki, za to z mnóstwem drogiej czekolady – i gdy ta była gotowa,

zawijała w nią bitą śmietanę i purée z kasztanów, pokrywała kremem czekoladowym, robiła widelcem rowki i żłobienia, żeby całość przypominała polano, wreszcie oprószała ciasto cukrem pudrem podobnym do śniegu. Na koniec ścinała w ogrodzie gałązkę bluszczu, zanurzała ją w białku i cukrze, owijała wokół rolady, a na czubku sadzała plastikowego rudzika. Za każdym razem myślała, że całość wygląda prześlicznie, całkiem jak z bajki; gdyby wciąż zawracała sobie głowę pilnowaniem wagi, jedno takie ciasto kosztowałoby ją punkty za całe dwanaście miesięcy.

Gdy nadchodziła pora deseru, Ewan nieodmiennie mówił (ponieważ zachowywali się jak aktorzy grający zawsze według tego samego scenariusza): „To nie dla mnie, zjem tylko bożonarodzeniowy pudding”. Emily zaś wzdychała: „Chryste, mam, takie rzeczy są zabójcze dla organizmu”. Od kiedy miała Xanthię, dodawała jeszcze groźnie: „I nie próbuj przypadkiem częstować tym Xanthii” – ponieważ, o ile Glorii było wiadomo, roczna Xanthia po odstawieniu od piersi żywiona była *kaszą jaglaną*. Graham natomiast drwił: „Nie wiem, po co robisz to gówno, bo nikomu z nas nie smakuje”, na co Gloria odpowiadała: „*Mnie smakuje*”, odkrawała sobie spory kawałek i zjadała go. Następnie co dzień wyjmowała roladę z lodówki i odkrawała kolejny spory kawałek, dopóki nie została ostatnia porcja z rudzikiem, którą zwyczajowo wystawiała na dwór dla wiewiórek i ptaków, oczywiście bez rudzika, żeby wiewiórki nie zjadły go przez pomyłkę. Albo żeby nie zaatakował go inny rudzik, myśląc, że ten miniaturowy, nieruchawy intruz naruszył jego terytorium.

Ich role były od dawna rozpisane – Graham był czarnym charakterem, Ewan odgrywał nobliwego bohatera, Nick był jego cierpliwym towarzyszem, Emily wiecznie niedojrzałą, naiwną i kapryśną córką, której życie rujnowali (najwyraźniej) inni ludzie. Sama Gloria tkwiła za kulisami w roli podkuchennej. W pierwszym dniu Bożego Narodzenia na scenę wjeżdżała jeszcze na wózku inwalidzkim Beryl, by ślinić się na kanapie. Statystka bez linii tekstu.

– Masz klasyczną osobowość pasywno-agresywną – syknęła

w kuchni Emily, gdy Gloria nadziewała indyka. Nie miała pewności, czym właściwie jest „osobowość pasywno-agresywna”, klasyczna czy jakakolwiek inna, lecz najwyraźniej nie podobała się Emily.

– Zawsze jesteś dla wszystkich taka *miła* – ciągnęła Emily.

– A to niedobrze? – spytała Gloria.

Emily mówiła dalej, jakby nie słyszała jej pytania, z hukiem postawiwszy na blacie salaterkę z pieczonymi ziemniakami:

– Ale w środku po prostu się *gotujesz*. Wiesz, z czego ostatnio zdałam sobie sprawę?

Emily chodziła na jakąś terapię w Basingstoke w każde środy popołudnie, do faceta o nazwisku Bryce, który przeprogramowywał jej mózg na „bardziej pozytywne myślenie”.

– Nie. Z czego zdałaś sobie sprawę? – spytała Gloria, ciekawa, czy gdyby rąbnęła córkę w głowę łyżką do nadzienia, nie przeprogramowałyby to jej mózgu znacznie szybciej i taniej, niż robił to niejaki Bryce.

– Uświadomiłam sobie, że przez całe życie nie byłam *sobą*.

– To kim w takim razie byłaś? – Gloria wiedziała, że powinna się zdobyć na większą empatię, ale zwyczajnie nie mogła.

– Doskonały żart, mamo. Nie wkładałam żadnej energii w bycie *sobą*, bo cały czas żyłam w strachu, by nie stać się *tobą*.

Gloria nie uważała się wcale za *miłą osobę*, prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie, przypuszczała jednak, że tego rodzaju odczucia bywają względne; w porównaniu z Emily większość ludzi nadawała się do kanonizacji.

Jedyną świąteczną potrawą przygotowaną przez jej córkę była przystawka z fig i szynki parmeńskiej. Emily musiała tylko kupić figi i szynkę w delikatesach Harveya Nicholasa i wyłożyć te cholerstwa na talerz, mimo to jej przystawka została poprzedzona gromkim wstępem: „A teraz dla odmiany coś naprawdę pysznego”, następnie zaś była wychwalana pod niebiosa (przez samą Głorię): „Prawda, że wspaniale smakuje? Jak to miło zjeść coś innego niż zwykle”. Przystawce towarzyszyło ostrzeżenie skierowane do Nicka i wypowiedziane ze sztuczną wesołością, gdy Emily stawiała półmisek na stole:

„Kochanie, tylko nie waż się tego *spostponować*”. Emily zrobiła magisterkę z literatury na Goldsmiths. Uczyniło to z niej osobę używającą takich słów jak „postponować”, na dodatek w odniesieniu do potraw.

„Nie układało im się z Nickiem”, jak zwierzyła się w kuchni Glorii, rozważali nawet „próbą separację”. Glorię aż ścisnęło w dołku z przerażenia na myśl, że Emily mogłaby się znów do nich wprowadzić.

– Dopóki śmierć was nie rozłączy – mruknęła.

Na co Emily odparła:

– Co takiego? Mielibyśmy jak ty i tata męczyć się pod jednym dachem, nie mogąc na siebie patrzeć?

Dzieci nie były chyba tym, co w życiu najlepsze.

Czy gdyby wiedzieli, że dla ich zepsutego, cudzołóżnego i oszukańczego *pater familias* będzie to ostatnie Boże Narodzenie, zachowywaliby się inaczej? Gloria mogłaby upiec gęsę zamiast indyka, Graham lubił gęsinę, ale to chyba wszystko, na co byłoby ją stać.

Siedziała na sofie pokrytej brzoskwiniowym adamaszkiem w swoim utrzymanym w tonacji brzoskwiniowej salonie, piła herbatę i jadła kupioną w mieście kanapkę z mozzarellą, awokado i rukolą. Żaden z tych składników nie istniał w muzealnej przeszłości Glorii. Dobrze pamiętała czasy, gdy jedyną rzeczą, jaką można było kupić, była sałata. Miękkie, przywiedle liście, kompletnie bez smaku. Angielska sałata. Sięgała pamięcią do czasów przed mozzarellą i awokado, przed bakłażanami i cukiniami. Pamiętała dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyła jogurt w sklepiku na rogu w pewnym mieście na północy, które było jej domem i nadal nim jest, choć nie odwiedzała go od z górą dwudziestu lat.

Pamiętała czasy, gdy nie znano dań na wynos ani restauracji tajskich, a liofilizowane produkty Vesty stanowiły najbardziej egzotyczną potrawę, jaką można było sobie wyobrazić. Jadło się wtedy śledzie, siekane mięso oraz mielonkę. Wspomniała raz Emily, że pamięta czasy przed bakłażanami, i została ofuknięta: „Nie bądź śmieszna”. Zakończyła lunch kawałkiem biszkoptu genueńskiego (sekret polegał na tym, żeby do masy

dodać łyżkę gorącego mleka). Zdążyła zawiesić wiktoriańskie kocięta w koszyku w miejsce posepnego jelenia wśród ogarów. Jego widmo wciąż tu straszło za sprawą przybrudzonego prostokąta na ścianie tam, gdzie odcisnęła się rama obrazu. Rok wcześniej po zainstalowaniu nowego systemu alarmowego odmalowali cały salon, lecz Glorii nie przestawało zadziwiać tempo, w jakim wszędzie gromadził się kurz. Kocięta nad kominkiem czuły się jak u siebie.

Była tak pogrążona w kontemplowaniu tych niewinnych stworzeń, że nie zauważyła postaci człapiącej przez ogród, dopóki ta nie stanęła za drzwiami prowadzącymi na taras i wznosząc w górę wielkie łapsko, nie zastukała w szybę. Gloria prawie spadła z sofy.

– Na litość boską – prychnęła gniewnie, dźwigając się z brzoskwiniowego adamaszku i otwierając drzwi – niewiele brakowało, Terry, a przyprawilibyś mnie o atak serca.

– Przepraszam.

Terence Smith. Golem Grahama ulepiony ze szlamu zaczerpniętego z dna mętnej sadzawki gdzieś w środkowej Anglii. Czasami Murdo wypożyczał go od nich, by powierzyć mu funkcję bramkarza albo ochroniarza (agencja ochroniarska Murdo dbała o kruchych celebrytów, gdy ci musieli pojawiać się publicznie w stolicy), lecz przez większość czasu Terry był po prostu zaufanym zbirzem Grahama, który woził go, gdy ten był zbyt pijany, żeby znaleźć kierownicę – Graham odmawiał wciskania swojego ego do czerwonego golfa Glorii – albo kręcił się w pobliżu z tą samą głupawą wiernością, jaką obserwowała u jego psa. Gloria dokarmiła ciastem ich obu – psa oraz jego pana – trzymając ich z dala od kotów i małych dzieci. Dzisiaj jednak po psie nigdzie nie było śladu.

– A gdzie twój pies, Terry? Gdzie jest Spike?

Z gardła mężczyzny wydobył się dziwny zduszony dźwięk. Milcząc, pokręcił głową, a gdy się wreszcie odezwał, zadał jej pytanie o Grahama, swojego pana i władcę.

– Jest w Thurso – odpowiedziała. To dziwne, ale im częściej to powtarzała, tym bardziej wydawało jej się to prawdziwe, przynajmniej w sensie metafizycznym, jakby Thurso było

czymś w rodzaju czyścica, dokąd trafiało się po śmierci. Gloria była w Thurso tylko raz i wiedziała, że jej skojarzenie jest jak najbardziej uzasadnione.

– W Thurso? – powtórzył z powątpiewaniem mężczyzna.

– Tak – potwierdziła Gloria. – To na północ stąd.

Wątpiła, aby geografia Szkocji zajmowała wysoką pozycję na liście zainteresowań Terry'ego. Przyjrzała mu się spod zmarszczonych brwi. Jego twarz, na co dzień tak brzydka, nabrała nowych, niepokojących cech.

– Terry, co ci się stało w nos?

Zasłonił ręką twarz, jakby nagle go zawstydziła.

Ponownie rozległ się dzwonek telefonu, po którym oboje w milczeniu wysłuchali pobekiwania Emily: „Mamo, mamo, mamo...”.

– To pani córka – zauważył w końcu Terry, jakby Gloria mogła nie rozpoznać jej głosu.

Westchnęła i odparła:

– Co ty powiesz?

Wreszcie wbrew rozsądkowi podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Od wieków do ciebie wydzwaniem – powiedziała Emily – i ciągle włącza się automatyczna sekretarka.

– Sporo wychodziłam – odrzekła Gloria. – Trzeba było zostawić wiadomość.

– Nie chcę zostawiać żadnych wiadomości – burknęła gniewnie Emily.

Gloria patrzyła, jak Terry człapie z powrotem ogrodową ścieżką. Przypominał jej trochę King Konga, ale był o wiele mniej sympatyczny.

– Mamo?

– Hm?

– Czy coś się stało? – spytała ostrym tonem Emily.

– Stało? – powtórzyła Gloria.

– Właśnie, stało. Czy z tatą wszystko w porządku? Możesz go poprosić do telefonu?

– Akurat w tym momencie nie może podejść.

– Mam dla ciebie nowiny – powiedziała Emily tonem,

któremu daleko było do słodczy. – Dobre nowiny.

– Dobre nowiny?

Przyszło jej do głowy, że Emily znowu jest w ciąży (czy to byłaby dobra nowina?), była więc zaskoczona, gdy Emily oznajmiła:

– Spotkałam Jezusa.

– Och – westchnęła Gloria. – Gdzie dokładnie?

Louise wpatrywała się w strugi deszczu na przedniej szybie samochodu. Kiedy padało, ten kraj potrafił być naprawdę piaszczystym miejscem. I kiedy nie padało też.

Samochód stał zaparkowany na przystani w Cramond, przodem do wyspy. W środku było ich troje: ona, sierżant Sandy Mathieson i nadgorliwa Jessica Drummond. Od ich oddechów zaparowały wszystkie szyby, jakby byli kochankami albo spiskowcami, choć nie robili nic ekscytującego, tylko gadali o cenach nieruchomości.

– Gdzie dwóch albo trzech zgromadzi się w Edynburgu...
– mruknęła Louise.

– Podaż i popyt, szefowo – odparł Sandy Mathieson. – W tym mieście popyt jest większy od podaży.

Louise wolałaby, żeby zwracał się do niej „proszę pani” zamiast „szefowo”; „proszę pani” sprawiało, że czuła się bardziej kobieco (coś pomiędzy arystokratką a kierowniczką szkoły, oba skojarzenia dość bulwersujące), podczas gdy „szefowa” czyniła z niej „członka ferajny”. Ale czy nie trzeba było być członkiem ferajny, żeby w ogóle mieć coś do powiedzenia?

– Czytałem ostatnio w „The Evening Standard” – ciągnął Sandy Mathieson – że w Edynburgu brakuje drogich domów. Milionerzy biją się o nieruchomości z górnej półki.

– Bo wszystko wykupują Rosjanie – wtrąciła Jessica.

– Rosjanie? – zadziwiła się Louise. – Jacy Rosjanie?

– Bogaci.

– Podobno Rosjanie wypierają Amerykanów – zauważył Sandy Mathieson.

– W ubiegłym tygodniu ktoś zapłacił sto tysięcy za garaż – narzekła Jessica. – Czy to jest normalne? Mnie nie stać nawet na pierwszy dom w Gorgie.

– To był garaż na dwa samochody – podkreślił Sandy Mathieson.

Louise roześmiała się i uchyliła szybę, żeby wypuścić z auta trochę rozgrzanego powietrza. Zaczynał się odpływ, wilgoć na zewnątrz tchnęła lekkim zapachem zgnilizny. Nigdy nie wiedziała, kiedy Sandy Mathieson żartuje, a kiedy nie. To drugie wydawało się teraz bardziej prawdopodobne; brakowało mu bystrości, żeby mógł być dowcipny. Zgodnie ze swoim imieniem miał rudawe włosy i bródkę oraz piegi płowe jak u żyrafy. Przypominał Louise herbatnik, maślany albo pełnoziarnisty, a może pierniczek? Uczciwy do szpiku kości, żonaty, dwójka dzieci, posłuszny pies, karnet sezonowy na mecze klubu piłkarskiego Hearts, w weekendy grill u teściów. Powiedział jej kiedyś, że ma wszystko, o czym zawsze marzył; w obronie tego gotów był oddać życie, a nawet karnet sezonowy na mecze drużyny Hearts.

„To musi być miłe uczucie”, powiedziała mu wówczas Louise, kompletnie nieszczerze. Sama nie była skłonna do poświęceń. Życie mogłaby oddać tylko za Archiego.

– A *pani* gdzie mieszka, szefowo? – zagadnęła ją Jessica.

– W Glencrest – odparła niechętnie Louise, nie mając najmniejszej ochoty na pogawędkę z Jessicą o swoim życiu prywatnym.

Dobrze znała takie jak ona ze szkoły – wyciągały z innych poufne informacje, a potem wykorzystywały je przeciwko nim. „Matka Louise Monroe to pijaczka, Louise Monroe dostaje w szkole darmowe obiady, Louise Monroe to kłamczucha”.

– Na tym osiedlu Hatter Homes niedaleko Braids? – dociekał Sandy Mathieson. – My też je oglądaliśmy i stwierdziliśmy, że jest za drogie.

Louise zauważyła, że „my” wypowiedział z lekkim naciskiem, jakby Sandy chciał szczególnie podkreślić to krótkie słówko: „Ja i moja żona, i moich dwoje dzieci, i mój posłuszny pies”. Nie to co samotna kobieta z dzieckiem, którego ojcostwo zawsze stanowiło przedmiot spekulacji. Sandy był wyrobikiem zbyt prostolinijnym, żeby zdradzać żonę, i zbyt tępym, żeby piąć się po szczeblach kariery. Ale wobec swoich dzieci był

zawsze w porządku, nie kluczył i nie mijał się z prawdą, nie zaskarbiał sobie niczyjej wdzięczności, przymykając oko to na to, to na tamto. Nie przeleciałby inspektora na tylnym siedzeniu radiowozu, zbyt pijany, żeby pamiętać, że seks to imperatyw biologiczny, któremu przypisany jest tylko jeden cel. („Nadużywam wobec ciebie swojego stanowiska, Louise”. Boki zrywać. Ależ się z tego śmiali. Chryste).

– To bardzo mały dom – dodała obronnym tonem.

– Mimo to... – mruknął Sandy, jakby właśnie coś udowodnił.

– Czy to nie w Glencrest pojawiły się te problemy? – spytała Jessica.

– Jakie problemy? – nie zrozumiała Louise.

– Osiedlanie gruntu czy coś takiego.

– Słucham?

– „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi” – odparła Jessica. – Mówi się, że Graham Hatter idzie na dno.

– Idzie na dno? Mówisz jak statystka z *The Bill*.

Otóż to; Louise z łatwością potrafiła wyobrazić sobie Jessicę, jak po powrocie do domu wyciąga wieczorem te swoje grube kopyta przed ekranem telewizora i pałaszując danie na wynos, ogląda kolejny odcinek *The Bill*.

– Za co właściwie idzie na dno?

– Ptaszki ćwierkają, że jest ściągany za pranie brudnych pieniędzy. Między innymi. Podobno chodzi o jakiś wielki przekręt, korupcję na szczytach władzy i takie tam.

– Co za ptaszki? – zainteresowała się Louise.

– Mam przyjaciela w wydziale do walki z przestępczością gospodarczą.

– Serio? Ty masz przyjaciela?

– Wymieńcie jakąś znaną kobietę, która się utopiła – poprosiła Louise.

Jessica spojrzała na nią z niepokojem, jakby podejrzewała ją o rodzaj intelektualnego znęcania się, o to, że oczekuje od niej wykazania się tajemną wiedzą niezbędną, by pełnić służbę po cywilnemu. Jej tłuste czoło aż zmarszczyło się z wysiłku włożonego w przypomnienie sobie czegoś, czego i tak nie wiedziała.

– Widzicie? – triumfowała Louise, nie słysząc odpowiedzi
– kobiety rzadko się topią.

– To ja wolę rebusy – mruknął Sandy Mathieson.

Przez cały ranek, który Louise spędziła w sądzie, jej mała przetrzebiona przez grypę ekipa bardzo się natrudziła, głównie pukając do drzwi okolicznych domów. Czy nikt nie zauważył czegoś niezwykłego, czy ktoś widział kobietę wchodzącą do wody, czy ktoś widział kobietę na brzegu, czy ktoś widział kobietę albo w ogóle cokolwiek? Odpowiedzi na wszystkie pytania były negatywne. Nurkowie niczego nie znaleźli. Louise patrzyła, jak gramolą się z wody. Dawniej nazywano ich płetwonurkami, ale ostatnio coraz rzadziej się to słyszało. Skojarzyli jej się z serialem *The Man from Atlantis*.

Szukali wiatru w polu, refleksu światła na wodzie.

– *Widzę martwych ludzi* – zaintonowała Jessica.

W ciągu ostatnich kilku godzin jedynymi źródłami zamieszania w Cramond były przeraźliwie wyjący alarm samochodowy oraz potrącony pies. Pies podobno miał się szybko wylizać. Niewiarygodnie niski poziom przestępczości – właśnie to dostawało się w zamian za małą fortunę, którą trzeba było wydać, żeby zamieszkać w jednej z najładniejszych dzielnic Edynburga.

Pokazała swojej ekipie zabraną z kostnicy różową wizytówkę, nie wspominając, jak weszła w jej posiadanie, i kazała popytać ludzi, czy przypadkiem nie słyszeli o „Przysługach”. Wyglądało jednak na to, że dobrzy mieszkańcy z Cramond nie obracają się w towarzystwie dziewcząt rozdających różowe wizytówki z numerami telefonów.

Louise wysłała paru mundurowych w kurs po lokalnych sklepikach z taną biżuterią w poszukiwaniu złotych kolczyków w kształcie krzyża. „Nie do wiary, ile tam mają dziewięciokaratowego szajsu” – raportował jej po powrocie jeden z funkcjonariuszy. Okazało się, że kolczyków w kształcie krzyżyków jest w sprzedaży więcej, niż można by się spodziewać, nikt jednak nie przypominał sobie blondynki o wzroście metr sześćdziesiąt osiem i wadze około pięćdziesięciu pięciu kilogramów, która takie kupowała.

„Dziewczyna z krzyżem” – to brzmiało jak tytuł zaginionego obrazu Vermeera. Louise widziała *Dziewczynę z perłą* w The Filmhouse z dwiema koleżankami, singielkami jak ona. Film był skierowany właśnie do samotnych kobiet w pewnym wieku – stonowany, przejmujący, bardzo artystyczny i nieskończenie przygnębiający. Sprawił, że (na krótko) zapragnęła zamieszkać w siedemnastowiecznej Holandii. W młodości często fantazjowała o życiu w przeszłości głównie dlatego, że terażniejszość była taka okropna.

– Kto zajmuje się tym morderstwem w Merchiston?
– zapytała.

– Robert Campbell i Colin Sutherland – odparła natychmiast Jessica. – Śmierć takiego celebryty zawsze przyciąga najgrubsze ryby z samego szczytu łańcucha pokarmowego.

– Celebryty?

– Richarda Moata – rzucił lekceważąco Sandy Mathieson.

– Komik z lat osiemdziesiątych. Słyszała pani, co tam się stało?

– Nie, co? – spytała Louise. Nazwisko ofiary zabrzmiało znajomo.

– Pomylili się przy identyfikacji ciała – odrzekła Jessica.

– Żartujesz?

Sandy się roześmiał.

– Facet mieszkał z kimś jeszcze, jakimś pisarzem, no nie?
– upewnił się, zwracając się do Jessiki (Chryste, co za duet), która podjęła opowieść.

– I miał na rękę zegarek swojego chłopaka – dodała.

– Kto? – Louise kompletnie się w tym pogubiła.

– Richard Moat – wyjaśniła jej Jessica z teatralną cierpliwością – miał na rękę zegarek tego drugiego. Swojego chłopaka. Który to chłopak, niech pani uważa, jest autorem kryminałów.

– Życie jako naśladowanie sztuki – wyrecytował Sandy, jakby właśnie sam to wymyślił. – Alex Blake. Zna pani gościa?

– Nie – odparła Louise. – Zidentyfikowali zwłoki na podstawie zegarka?

– Podobno z twarzy niewiele zostało – stwierdziła Jessica lekkim tonem, jakby pytała: „Chcesz octu do frytek?”.

Louise zjadłaby konia z kopytami; od śniadania nie miała nic w ustach.

– Macie coś do jedzenia? – zagadnęła Jessicę.

– Niestety, szefowo.

Bezczelna krowa. Louise jej nie uwierzyła; nikt, kto nie miał stałego dostępu do żarcia, nie mógł być aż taki gruby. Przyszło jej na myśl, że powinna żywić do koleżanki ciepłe, siostrzane uczucia – ostatecznie było ich w szeregach policji tylko dwadzieścia pięć procent, bla, bla, bla. Szczerze mówiąc, miała ochotę zapędzić Jessicę w jakiś kąt i zafundować jej kilka wyjątkowo bolesnych uszczypnięć.

Z policyjnej radiostacji płynął nieprzerwany strumień komunikatów. Sporo zgłoszeń o kradzieżach w sklepach. Co będzie, jeśli złodziejski wyczyn Archiego nie okaże się jednorazowym wybrykiem? I co ona robi, jeśli następnym razem go złapią? Louise spojrzała na zegarek; jej syn powinien wrócić do domu ze szkoły.

Sandy odwrócił się do niej i zadał jej nieoczekiwane pytanie z rodzaju „między nami, rodzicami”:

– A co tam słychać u pani małego?

– Świetnie – odrzekła Louise. – Archie ma się świetnie. Doskonale – dodała, siłąc się na optymistyczny ton.

– Wszystko w jak najlepszym porządku.

Sandy też miał syna, ale dopiero sześć- czy siedmioletniego, czyli wciąż niegroźnego.

Louise wysiadła z samochodu, machając Sandy’emu i Jessice komórką w geście, który mówił aż nadto wyraźnie: „Zamierzam do kogoś zatelefonować i nie chcę, żebyście podsłuchiwali”. Była ciekawa, co mówią o niej za jej plecami. Nie obchodziło jej to, o ile tylko uważali, że zna się na swojej robocie.

Wyszła na groblę: tylko jedna kreska na wyświetlaczu telefonu. Jackson Brodie twierdził, że w ogóle nie mógł złapać zasięgu i dlatego nie zadzwonił z wyspy na policję.

Wróciła na brzeg i złapała zasięg. Po kilku sygnałach włączyła się jej domowa automatyczna sekretarka i stanowczy męski głos poinformował ją, że w tej chwili nikt nie może odebrać telefonu, w związku z czym należy zostawić wiadomość.

Uprzejmie i neutralnie, żadnego „proszę” ani „dziękuję” (czyli jestem miłą kobietką, która aż się prosi, żeby ją obrazić), żadnego „przykro mi, ale nikogo nie ma w domu” (otwarte zaproszenie dla włamywaczy), żadnych obietnic, że ktokolwiek później oddzwoni. Męski głos należał do męża koleżanki zwerbowanego do nagrania wiadomości po tym, jak Louise została zasypana lawiną anonimowych telefonów, chociaż jej numer był zastrzeżony. Niektórzy faceci wykręcali po prostu wszystkie możliwe numery, dopóki słuchawki nie podniosła jakaś kobieta. Były ich tysiące i całymi nocami wydzwaniali do telefonu zaufania, na linię pomocy telefonicznej dla dzieci oraz do niczego niepodejrzewających kobiet. Cholerni onaniści. Miała nieprzyjemne przeczucie, że autorem tamtych anonimowych telefonów był Hamish, kolega Archiego.

– Archie, odbierz, jeżeli jesteś w domu.

Akurat, prędej piekło zamrażnie. Louise nie wiedziała, po co w ogóle zawraca sobie głowę, Archie nigdy nie podnosił słuchawki, o ile nie był pewien, że dzwoni któryś z jego kumpli. Wybrała numer jego komórki i została automatycznie przełączona do poczty głosowej. Gdyby mogła, wszczepiłaby mu czip pod skórę na karku.

W końcu dała za wygraną i uciekając się do jedyne go języka zrozumiałego dla czternastolatków, wysłała mu SMS o treści: „Jesteś w domu? Zjedz coś z zamrażarki. Mogę wrócić późno. Kocham Cię, mama”. Dziwnie było określać samą siebie tym mianem, a jeszcze dziwniej widzieć je na piśmie; nigdy nie myślała o sobie jak o „mamie”. Może na tym polegał jej błąd. Czy gdzieś popełniła błąd? Prawdopodobnie tak.

Archie ledwo był w stanie wyjąć z zamrażarki pizzę albo hamburgera i wsadzić do mikrofalówki. Nie było sensu zachęcać go, żeby spróbował czegoś ambitniejszego. („Omlet, chyba dałbyś radę usmażyć omlet?”).

Rozległ się sygnał jej komórki, ale to był nie Archie, tylko Jim Tucker.

– Moja dziewczyna zmarła z powodu przedawkowania heroiny – oznajmił bez żadnych wstępów. – Tożsamość na razie nieznana. Dentysta z laboratorium kryminalistycznego

twierdzi, że ma w ustach, cytuje, „pełno gówna”, przez co należy rozumieć zagraniczne wypełnienia. Na oko wschodnioeuropejskie.

– Czyli żadnych rejestrów dentystycznych – zauważyła Louise.

– Żadnych. Nie wiem, na ile to pewne, ale ktoś mi powiedział, że jego zdaniem te „Przysługi” to firma sprzątająca.

– Sprzątająca?

Ledwie pożegnała się z Jimem Tuckerem, jej komórka znów zadzwoniła.

– Nie można się do ciebie dodzwonić – poskarżył się Archie.

– Ja stale usiłuję się do ciebie dodzwonić, tylko że ty *nigdy* nie odbierasz.

– Czy Hamish może zostać u nas na noc?

– Przecież jutro idziecie do szkoły.

– Mamy do zrobienia wspólną pracę na geografię.

– Jaką pracę?

W tle wywiązała się szybka stłumiona dyskusja. Niewątpliwie Hamish pouczał Archiego, co ma odpowiedzieć. Po chwili jej syn powiedział do słuchawki, bardzo z siebie zadowolony:

– „Omówienie czynników transportu, wpływających na lokalizację zakładów przemysłowych”.

Zabrzmiało to całkiem wiarygodnie. Hamish był naprawdę niezły.

– Czy jego mama się zgodziła?

– *Oczywiście.*

– No to zgoda.

– Możemy zamówić coś na wynos?

– Okej. Masz pieniądze?

– Tak.

– Nie zapomnisz nakarmić kota?

– Dobra, dobra.

– Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

– *Taaak.* W porządku? Chryste...

Louise westchnęła. Naprawdę potrzebowała drinka. Daiquiri z limonką. Wystarczająco zmrożonego, żeby zamarzył jej mózg. Potem seks, dużo seksu. Niezobowiązującego, bezmyślnego,

bezosobowego, wolnego od emocji. Wydawałoby się, że o niezobowiązujący seks powinno być łatwo, ale gdzie tam. Od kiedy Archie zaczął dojrzewać, praktycznie z nikim się nie kochała. Nie można przyprowadzić do domu faceta i przelecieć go, podczas gdy po drugiej stronie cienkiej jak opłatek gipsowo-kartonowej ściany twój nastoletni syn gra w „Grand Theft Auto”. Każdy kolejny rok przynosił nową niespodziankę, coś, czego nigdy by się nie spodziewała w związku z macierzyństwem. Może zawsze tak będzie, może Archiemu stuknie sześćdziesiątka, a ona jako osiemdziesięcioparoletnia staruszka pomyśli: „No proszę, nie przypuszczałam, że sześćdziesięciolatki robią *takie rzeczy*”.

Zobaczyła, że umundurowany funkcjonariusz puka w szybę po stronie Jessiki i coś jej podaje przez okno.

– Czego chciał posterunkowy? – zapytała, sadowiąc się z powrotem w samochodzie.

– Przyniósł to – odparła Jessica, podając jej egzemplarz „Evening News”, usłużnie otwarty na jednej ze środkowych stron, i wskazując nierzucający się w oczy nagłówek: „Policja prosi o pomoc w dochodzeniu”.

– Trochę to mało konkretne, prawda? – odezwał się Sandy. – „Policja pyta, czy ktoś widział wchodzącą do wody kobietę”. „Wchodzącą do wody”? To bardzo niejasne.

– *Cała* ta sprawa jest niejasna – odparła Louise. – Znaleziono ją w wodzie, więc jakoś musiała do niej wejść.

– O ile w ogóle istniała – mruknęła Jessica.

Kichnęła, a Sandy zauważył:

– Mam nadzieję, że to nie początki grypy.

Louise miała gdzieś, czy Jessica zachoruje na gripę.

Nagle ogarnęło ją niewiarygodne zmęczenie.

– Chrzanić to. W Radiu Forth nadadzą jutro jakiś komunikat, ale na dzisiaj to wszystko. Jeżeli gdzieś jest jakieś ciało, morze w końcu wyrzuci je na brzeg. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

– Moim zdaniem nigdy nie było żadnego ciała – odezwała się Jessica. – Sądzę, że Brodie to wszystko zmyślił. Potrafię poznać świra, kiedy mam z nim do czynienia.

- Mnie też się nie podobał – oświadczył Sandy z pewnością człowieka, który uważa swoje sądy moralne za bezsporne.
- Jestem za tym, żeby się stąd zwijać.
Zwracając się do Jessiki, rzucił:
 - Do domu, James.

Jackson miał koszmarną wizję wieczności spędzonej w autobusie. Tym razem utknął w typowym turystycznym piętrusie z otwartą platformą, które krążą ospale po ulicach brytyjskich miast, skutecznie wstrzymując ruch. Przed rokiem jeździli takim z Marlee po Cambridge, bo Jackson uznał, że to łatwy sposób na przyswojenie sobie odrobiny (zapewne rewizjonistycznej) historii, ale w tej chwili nie pamiętał ani słowa z tego, co wówczas usłyszeli. Na platformie było zimno, paskudny wiatr przywłókł się aż znad Morza Północnego chyba tylko po to, żeby chłostać Jacksona po karku. Właśnie dlatego przeprowadziłem się za granicę, przypomniał sobie w duchu.

Powoli zaczynał się czuć na Królewskiej Mili jak u siebie w domu. Miał niemal ochotę zagadnąć najbliższego sąsiada i pokazać mu katedrę St. Giles oraz nowy gmach parlamentu (dziesięciokrotnie przekroczony budżet – jak można dziesięciokrotnie przekroczyć budżet?). Ich przewodniczką była kobieta w średnim wieku o skłonnościach melodramatycznych, pracująca za napiwki. Była to tego rodzaju fucha, jaką mogłaby przyjąć Julia, gdyby ją przycisnęło.

Autobus toczył się wzdłuż Princes Street – tu nie było mrocznego gotyku, jego miejsce zajęły brzydkie sieciówki. Zaczęło lekko siąpić, mniej odporni cudzoziemcy szukali schronienia na dole, pozostawiając na platformie garstkę Brytyjczyków, kulących się pod parasolami i kapturami nieprzemakalnych skafandrów. Jackson jednym uchem słuchał przewodniczki, opowiadającej o czarownicach (bądźmy szczerzy, zwykłych kobietach) wrzucanych żywcem do wód Nor' Loch, „które zmieniło się nie do poznania, gdyż jego miejsce zajmuje obecnie *światowej sławy* park Princes Street Gardens” (w Edynburgu najwyraźniej wszystko było „światowej

sławy”; był ciekaw, czy to prawda – czy któreś z tych miejsc jest znane w Somalii? Albo w Bhutanie?). Wtem jego uwagę zwróciła różowa furgonetka – citroën combo – na sąsiednim pasie. Stali właśnie na czerwonym świetle i gdy zmieniło się na żółte, furgonetka ruszyła z miejsca. W pierwszej chwili widok ten nie obudził w nim w zasadzie żadnych skojarzeń poza tym, że rzadko widuje się różowe furgonetki. Jednocześnie jego wzrok na wpol świadomie zarejestrował slogan zdobiący bok furgonetki, wypisany wielkimi czarnymi literami: „Przysługi – zrobimy, o cokolwiek nas poprosisz!”. Z zakamarków pamięci Jacksona wypłynęło wspomnienie różowej wizytówki znalezionej poprzedniego dnia w staniku martwej dziewczyny.

Trochę to trwało, zanim różne części mózgu porozumiały się ze sobą – Jackson wyobraził sobie raczej flagi sygnałowe niż szybkie szerokopasmowe łącze internetowe. Pewnego dnia okaże się, że jego umysł nie jest w stanie przetwarzać odbieranych informacji. Flagi sygnałowe opadną i to będzie początek końca. Starość.

Jackson poderwał się i zbiegł po schodach z platformy, przecisnął się przez zbity tłum i poprosił kierowcę o otwarcie drzwi. Różowa furgonetka stała kawałek dalej na Princes Street. Spokojnie by ją dogonił, lecz prędzej czy później wyrwałaby się z korka, a wtedy by mu uciekła. Przeciął więc jezdnię tuż przed maską trąbiącego, nacierającego nań autobusu (nie wiedzieć kiedy autobusy stały się jego zmorą) i na postoju taksówek przy Hanover Street rzucił się na tylne siedzenie czarnego auta.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz.

Jackson poczuł przyływ idiotycznego zadowolenia na myśl, że może mu odpowiedzieć:

– Widzi pan tę różową furgonetkę? Za nią!

Droga wiodła przez przyjemnie zielone przedmieścia Edynburga. („To Morningside” – wyjaśnił mu taksówkarz). Z dala od ulic łączy, pomyślał Jackson. Czarna taksówka, powolna i rzucająca się w oczy, nie była wymarzoną pojazdem do prowadzenia dyskretnej obserwacji. Mimo to kierowca różowej furgonetki chyba się nie zorientował; może

taksówka była czymś tak oczywistym, że nie zwracała niczyjej uwagi. Jackson przypuszczał, że powinien to komuś zgłosić. Wciąż miał przy sobie wizytówkę Louise Monroe ze służbowym numerem telefonu. Ale na posterunku słuchawkę podniósł jakiś jej pomagier, który oznajmił mu, że inspektor Monroe jest poza biurem, i spytał, czy Jackson chciałby jej coś przekazać. Nie, nie chciałby, serdeczne dzięki. Ponownie wybrał numer (wiedział z doświadczenia, że ta sama osoba rzadko odbiera telefon dwa razy z rzędu) i potwierdził nieobecność Louise. Poprosił o numer jej komórki i spotkał się z odmową. Gdyby naprawdę zależało jej, żeby się z nią skontaktował, podałaby mu chyba swój numer komórkowy? Nikt teraz nie powie, że nie próbował. Nie jego wina, że jest zdany sam na siebie. Renegat, stary, samotny wilk rozwiązujący zagadki kryminalne.

Furgonetka gwałtownie zahamowała, więc Jackson zwrócił się do kierowcy:

– Niech pan pojedzie kawałek dalej i zatrzyma się za rogiem.

Zapłacił, wysiadł i nonszalanckim krokiem ruszył z powrotem.

„Przysługi – zrobimy, o cokolwiek nas poprosisz!”. Wykrzyknik w stylu Julii. Jackson był ciekaw, czy rzeczywiście byliby w stanie zrobić wszystko. Na przykład zmienić spektakl *W poszukiwaniu równika na Grenlandii* w dobrą sztukę. Albo uzdrawiać chorych i przywracać sprawność chromym. Odnaleźć tę martwą kobietę z zatoki Firth of Forth.

– To tylko slogan – odparła kobieta o wrednym wyrazie twarzy wyładowująca z furgonetki na chodnik wiadra i mopy. Na przedniej kieszonce jej różowego uniformu widniała haftowana naszywka ze słowem „dozorczyni”, która to funkcja wydała się Jacksonowi dziwnie groźna. W mafii płatni zabójcy byli chyba nazywani „sprzątaczkami”. (Pewnie tylko w powieściach, które z rzadka czytał). Czym wobec tego była „dozorczyni”? Kimś w rodzaju *über*-zabójcy?

– Przysługi – zagadnął uprzejmym tonem – ładna nazwa.

– To firma sprzątająca – wyjaśniła kobieta o wrednym wyrazie twarzy, nawet na niego nie patrząc.

– Chciałem spytać – ciągnął Jackson – czy ma pani może

adres waszego biura, nigdzie nie mogę was znaleźć.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– A po co to panu?

– Och, wie pani – mruknął Jackson – chciałbym wpaść i pogawędzić, umówić się na sprzątanie.

W takim ujęciu jeszcze bardziej przypominało to mafijny żargon.

– U nas wszystko załatwia się przez telefon – ucięła dozorczyńni.

Miała taką minę, jakby na śniadanie codziennie jadła cytryny. „Krzywa gęba”, powiedziałby ojciec Jacksona. Tylko jej akcent był tak miękki jak szkocka mgła.

– Przez telefon? – powtórzył Jackson. – To jak znajdujecie nowych klientów?

– Z polecenia. Marketing szeptany.

Młoda kobieta o ziemistej cerze, zbudowana jak chłopka i emanująca wrogością, wyszła z pobliskiego domu, bez słowa chwyciła wiadra oraz mopy i wniosła je do środka.

– Wróć po ciebie za dwie godziny! – zawołała za nią dozorczyńni, po czym wsiadła do furgonetki i odjechała, nie zaszczycając Jacksona choćby jednym spojrzeniem.

Jackson ruszył sprężystym krokiem w przeciwnym kierunku, usiłując wyglądać niefrasobliwie, na wypadek gdyby dozorczyńni obserwowала go w lusterku wstecznym. Gdy różowa furgonetka znikła mu z oczu, zawrócił i wszedł do domu frontowymi drzwiami. Z kuchni dobiegał szum ciekącej wody, z piętra jakieś łaskoty. W głębi domu hałasował agresywnie przesuwany odkurzacz i Jackson doszedł do wniosku, że znajdują się tu przynajmniej trzy kobiety. Oczywiście nie musiały to być kobiety. Daruj sobie seksistowskie stereotypy, Jacksonie, zawsze z ich powodu wpadałeś w tarapaty. Przynajmniej w relacjach z płcią przeciwną.

Postanowił wziąć na cel tę w kuchni. Wyluzuj, Jacksonie, upomniał się w duchu, nie jesteś w sytuacji zagrożenia życia. Wojskowy żargon. Tak dawno wyszedł z wojska, a ono wciąż w nim tkwiło i narzucało mu schematy zachowań. Czasami się zastanawiał, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby zamiast posłać

go w kamasze, ojciec pozwolił mu pracować w kopalni. Każdy aspekt jego życia wyglądałby inaczej, on sam byłby innym człowiekiem. Rzecz jasna, do tej pory zdążyłby trafić na złom – zwolniony z pracy, nikomu niepotrzebny. Choć czy w gruncie rzeczy tak właśnie nie skończył?

W 1995 – dobrze pamiętał tamten rok i tamten moment – był w swoim domu w Cambridge. Jego żona wciąż była jego żoną, nie *byłą* żoną; on pracował w policji, ona od kilku miesięcy nosiła w brzuchu Marlee (Jackson wyobrażał sobie ich dziecko, jak zwinięte w kłębek tkwi w ciele jego żony niczym głąb w kapuście). Właśnie zmywał naczynia po kolacji (którą w tamtych czasach nazywał jeszcze „podwieczorkiem”; później żona przerobiła jego słownictwo na takie, jakim posługiwali się członkowie żyjącej na południu kraju klasy średniej). Pod koniec ciąży jadali wcześniejsze posiłki – trochę spóźnienia i Josie narzekała, że jest zbyt przejeżdżona, żeby spać – i gdy tak zmywał naczynia, słuchając w Radiu 4 *Wiadomości o szóstej*, gdzieś w połowie audycji ogłoszono zamknięcie kopalni, w której jego ojciec przepracował całe swoje życie. Jackson nie pamiętał teraz, dlaczego akurat ta kopalnia wzbudziła powszechne zainteresowanie, skoro wcześniej zamknięto tyle innych i nikogo to nie obeszło. Może dlatego, że chodziło o jedno z największych złóż węgla w okolicy albo że była to ostatnia czynna kopalnia w regionie? W każdym razie stał wtedy z namydlonym talerzem w rękę, słuchał spikera i nagle, całkiem bez ostrzeżenia, z oczu pociekły mu łzy. Nie był nawet pewien, dlaczego płacze – pewnie z żalu za wszystkim, co właśnie odeszło. Za ścieżką, której nie obrał, światem, w którym nigdy nie żył. „Czemu płaczesz?” – spytała go Josie, wtaczając się do kuchni; pod koniec ciąży z trudem mieściła się w drzwiach. Wtedy jeszcze interesowało ją, jakie emocje przeżywał. „Pieprzona Thatcher” – odparł, kwitując sprawę męskim wzruszeniem ramion, jakby chodziło o politykę, a nie o kwestie osobiste, choć akurat w tym przypadku nie było żadnej różnicy.

Potem urodziła się Marlee, sprawili sobie zmywarkę, Jackson żył jak dawniej i przez długi czas nie wracał myślami do ścieżki,

której nie obrał, ani do życia, którego nie przeżył. Tylko jakaś udęczone część jego duszy nigdy nie przestała opłakiwać tej wymyślonej przeszłości.

Wybrana przez niego sprzątaczką też stała przy zlewie, wyzymając ścierkę i energicznie przecierając ociekacz w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. O ile mógł się zorientować, nie miała w uszach żadnych krzyżyków, chociaż stała plecami do niego i z wyraźnym obcym akcentem podśpiewywała do wtóru z radiem. W domu panował taki hałas, że Jackson nie wiedział, jak ją zagadnąć, żeby się nie przestraszyła. Uderzyły go trzy rzeczy: po pierwsze, nie była to tamta chłopka, na którą wcześniej warczała dozorczyńni; po drugie, dziewczyna miała świetny tyłek, w dodatku opięty ciasną spódniczką różowego uniformu. „Dwa jajka na twardo zawinięte w chusteczkę” – mawiał jego brat. Brat Jacksona był koneserem kobiet. Pewnego dnia, zdecydowanie zbyt szybko, mężczyźni będą tak patrzeć na jego córkę. Spierze ich na kwaśne jabłko, jeśli ich na tym przyłapie.

Jackson pół życia spędził w mundurze, nie przywiązując do tego jakiejś szczególnej wagi. (Może tylko czasami stwierdzał, że poranne wstawanie jest znacznie łatwiejsze, gdy nie trzeba się zastanawiać, co na siebie włożyć). I nie pojmował, skąd bierze się fenomen kobiet w uniformach. Oczywiście nie we wszystkich – mundury nazistowskie, strażniczek miejskich czy stroje kucharek raczej nikogo nie kręciły. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział Julię w mundurze. Nie przychodził mu do głowy żaden do niej pasujący; Julia nie była dziewczyną, której do twarzy w uniformie. Czarny kostium i biała koszula Louise Monroe też stanowiły swego rodzaju uniform. Na szyi miała pulsującą żyłkę, co sprawiało, że wydawała się bardziej krucha, niż zapewne była.

Nie zdążył ubrać w słowa trzeciej rzeczy, która zwróciła jego uwagę, bo w tej samej chwili kobieta w różowym uniformie dostrzegła go, sięgnęła do zmywarki, chwyciła z kosza duży płaski talerz i cisnęła nim jak frisbee, celując w głowę Jacksona. Jackson się uchylił, więc talerz wyleciał przez otwarte drzwi do holu i tam rozbił się z trzaskiem. Zanim

dziewczyna zdążyła sięgnąć po następny, Jackson podniósł rękę do góry.

– Nie bierzesz jeńców, co? – odezwał się.

– Na studiach byłam mistrzynią w rzucie dyskiem – odparła bez widocznej skruchy, choć niewiele brakowało, żeby go zdekapitowała. – Co się pan tak skrada?

– Wcale się nie skradam. Szukam kogoś, kto wysprzątałby mi mieszkanie – odrzekł Jackson, próbując odgrywać rolę bezradnego samca (niemal słyszał głos Josie mówiącej: „To nie powinno być trudne”). – Zobaczyłem waszą furgonetkę i...

– Nie jesteśmy sprzątaczkami, tylko pokojówkami.

– Dziewczyna nieco złagodniała. – Przepraszam, jestem zdenerwowana. – Usiadła przy stole i przeczesała włosy rękami, które były czerwone i pokryte jakąś wysypką. Po chwili powiedziała: – Dziś rano Sophia, inna pokojówka, moja koleżanka, znalazła zamordowanego faceta w domu, który zwykle sprzątamy. To było straszne – dodała smętnie.

– Domyślam się – odrzekł Jackson.

– Za mało nam płacą, żebyśmy musiały przeżywać takie rzeczy.

Pieniądze. Wiedział z doświadczenia, że zawsze dobrze od nich zacząć.

Wyjął z portfela pięć banknotów dwudziestofuntowych i położył je na stole.

– Jak się nazywasz? – zapytał dziewczynę.

– Marijut.

– No dobrze, Marijut – rzucił Jackson, włączając czajnik elektryczny. – Co powiesz na filiżankę dobrej herbaty?

– Młoda kobieta – powtórzył cierpliwie Jackson – chcę się dowiedzieć, czy u was pracowała.

W biurze Przysług panowała gnuśna atmosfera. Siedząca w recepcji dziewczyna, która najwyraźniej była jedyną osobą w budynku, słabo mówiła po angielsku i sprawiała wrażenie kogoś, kto celowo przeinacza wszystko, co Jackson mówi. Automatycznie przeszedł na uproszczony język mieszany, ponieważ w głębi swej atawistycznej brytyjskiej duszy uważał, że cudzoziemcy nigdy nie będą mówić biegle po angielsku,

podczas gdy prawda była taka, że to Brytyjczycy nie byli w stanie opanować żadnego obcego języka.

– Uszy? Krzyżyki? – powiedział głośno.

Biuro firmy znajdowało się w zaniedbanym brukowanym zaułku w pobliżu High Street. Sadza dawno została zdmuchnięta z oblicza Edynburga, lecz w tym miejscu kamienie wciąż nosiły czarne piętno cuchnącej przeszłości. Był to zimny, przez nikogo niekochany zakątek, dziwnie zapomniany przez orędowników postępu i deweloperów.

„Przysługi” były wcisnięte między restaurację (samozwańczo okrzykniętą „bistrem”) oraz „scenę festiwalową numer 87”. Jackson zajrzał do mrocznego i dusznego wnętrza bistra, gdzie wciąż bawiło kilku ostatnich amatorów lunchu. W myślach przykazał sobie nigdy tutaj nie jadać. Z zewnątrz „scena festiwalowa” wyglądała na saunę, lecz, jak się okazało, w środku grupa skwaszonych amerykańskich uczniów wystawiała *Kaukaskie kredowe koło* dla publiczności złożonej z dwóch mężczyzn. Wyglądali tak, jakby również omyłkowo wzięli to miejsce za saunę. Julia ostrzegła go przed edynburskimi „saunami”. „Nawet przez chwilę nie wyobrażaj sobie, że to prawdziwe sauny, Jacksonie”.

Z ulicy do biura prowadziły niczym się niewyróżniające, pomalowane na czarno drzwi, do framugi przymocowano tandetną plastikową tabliczkę z informacją: „Przysługi – import i eksport”. Tym razem nie było żadnych wykrzykników, żadnych obietnic spełnienia najskrytszych pragnień. „Import i eksport” – trudno wyobrazić sobie lepszą przykrywkę dla rozmaitych grzeszków. Nad dzwonkiem wisiała kamera, nikt więc nie mógł wejść bez uprzedniej kontroli. Jackson przybrał najbardziej budzący zaufanie wyraz twarzy i dostał się do środka, udając kuriera. Kurierów najwyraźniej nie proszono, żeby się wylegitymowali.

Wszedł na schodek i pokonał korytarz zastawiony środkami czystości w przemysłowych opakowaniach. „Substancje niebezpieczne” – ostrzegwał napis na jednym z nich. Na innym widniała czarna czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, lecz informacja na opakowaniu była w nieznanym Jacksonowi

języku. Pomyślał o Marijot, wyzymającej ścierkę i szorującej ociekacz rękami czerwonymi jak u praczki. W najgorszym razie zawsze może donieść na „Przysługi” do Wydziału Zdrowia Publicznego. Kolejna ściana pudeł, wszystkie opisane tajemniczym słowem: „matrioszki”.

Może „Przysługi” to jakiś kartel przestępczy, który rządzi całym miastem? Tylko co z tymi krzyżami? Czyżby kartel był zarządzany z Watykanu?

– Tamta kobieta miała w uszach małe krzyżyki – zwrócił się do recepcjonistki. – Krzyżyki.

Wziął z jej biurka długopis, narysował na bloczku krzyż i dotknął swoich uszu.

– Kolczyki – dodał – takie jak pani.

Wskazał palcem srebrne kółka w uszach recepcjonistki. Spojrzała na niego, jakby postradał zmysły. Marijot powiedziała mu, że nie przypomina sobie żadnej dziewczyny z kolczykami w kształcie krzyżyków. Podany przez niego rysopis: „metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, pięćdziesiąt pięć kilo wagi, blondynka” odpowiadał rysopisom połowy dziewcząt, które znała. „To mogłabym być ja” – zauważyła. Albo ta recepcjonistka.

Jackson postukał w ekran monitora i powiedział:

– Może sprawdzimy tutaj.

Dziewczyna rzuciła mu nieprzyjazne spojrzenie i ospale przesunęła kursor w dół ekranu.

– Do czego pan jej potrzebuje? – zapytała.

– Do *niczego* jej nie potrzebuję. Chcę się dowiedzieć, czy macie ją w swoim rejestrze.

Wyginając szyję, usiłował rzucić okiem na ekran. Dziewczyna otworzyła jakiś plik, wyglądający jak życiorys; w lewym górnym rogu znajdowała się miniaturowa fotografia, ale recepcjonistka natychmiast go zamknęła.

– Moment – rzucił. – Niech się pani cofnie i jeszcze raz otworzy ostatni plik.

Mógłby przysiąc, że to była ona. Jego martwa dziewczyna.

– Ona już u nas nie pracuje – odparła recepcjonistka. Wydała z siebie przypominający czkawkę śmieszek, jakby to był żart.

– Jej umowa została rozwiązana.

Zamknęła wszystkie foldery nieodwołalnym gestem i wyłączyła monitor.

– Właśnie tej kobiety szukam – oznajmił, wymawiając każde słowo powoli i wyraźnie. – Ona nie żyje. – Przejechał palcem po swojej szyi, naśladując cięcie nożem. Dziewczyna cofnęła się przestraszona. Nie nadawał się na mima. Przydałaby mu się Julia; nikt nie grał w szarady z takim entuzjazmem jak ona, może tylko Marlee. *Jak*, u licha, pokazać, że ktoś nie żyje? Skrzyżował ramiona na piersi i zamknął oczy. Gdy je otworzył, stała przed nim „dozorczyni” i mierzyła go pytającym wzrokiem.

– Mówił, że jest kurierem – stwierdziła ironicznie dziewczyna za biurkiem.

– Czyżby? – mruknęła dozorczyni.

– Szukam kogoś – odparł stanowczo Jackson. – Dziewczyny, która zaginęła.

– Jak się nazywa? – spytała go dozorczyni.

– Nie wiem.

– Szuka pan kogoś i nie wie, jak się nazywa?

– Mogę dać panu kogoś innego – zaproponowała dziewczyna za biurkiem.

– Nie chcę nikogo innego – zdenerwował się Jackson. – Co z was właściwie za *firma*?

Dziewczyna nachyliła się nad blatem biurka i posyłając mu drapieżny uśmiech, spytała:

– A jakiej właściwie firmy pan potrzebuje?

– W zajeździe brak wolnych pokoi – powiedziała policjantka przydzielona Martinowi do opieki.

Siedzieli w radiowozie przed kostnicą policyjną i czekali, aż jakiś cywil na posterunku po drugiej stronie radiostacji znajdzie mu jakiś nocleg. Nie mógł przecież spać na pobojowisku, jakim stał się jego dom, na „wciąż badanym miejscu zbrodni”. Nawet gdyby mógł, z pewnością by nie chciał.

– Nie ma pan znajomych, u których mógłby pan przenocować? – spytała go policjantka.

– Niestety, nie.

Rzuciła mu współczujące spojrzenie. Miał, rzecz jasna, brata w Borders, ale w jego domu nie znalazłby raczej ukojenia i wątpił, czy w ogóle byłby tam mile widziany.

Clare („posterunkowa Clare Deponio”) wyglądała jak jedna z tych policjantek, które poprzedniego dnia przyszły z pomocą Paulowi Bradleyowi, ale w mundurach one wszystkie wyglądały tak samo. Radiowóz stał teraz niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym dwadzieścia cztery godziny wcześniej doszło do stłuczki hondy z peugeotem. Kto by pomyślał, że tamto wydarzenie do tego stopnia zblednie w jego pamięci?

– Festiwal – rzuciła Clare, rozłączając się – wygląda na to, że w żadnym hotelu nie ma wolnych miejsc.

Nadinspektor Campbell przekazał Martina w ręce kogoś trochę tylko niższego rangą („nadkomisarz Colin Sutherland”). Zabrał on („odeskortował”) Martina z domu na posterunek, gdzie pobrano mu odciski palców – zupełnie jak w trakcie wycieczki zorganizowanej przez Towarzystwo Autorów. Nadkomisarz poinformował go, że odciski są potrzebne do porównania. Nic więcej nie przypominało tamtej wycieczki. Polecono mu przebrać się w biały jednorazowy kombinezon,

zabrano całe ubranie, a jego samego posadzono w pokoju przesłuchań i przez długi czas wypytywano o znajomość z Richardem Moatem oraz alibi na czas śmierci Richarda. Martin czuł się jak skazaniec. Poczęstowano go co prawda herbatą i ciasteczkami, lecz były to najzwyklejsze suche herbatniki, jakby chciano w ten sposób podkreślić jego obecny status. Wafelki z kremem truskawkowym i herbatniki z czekoladą dla niewinnych członków Towarzystwa Autorów, zwykłe suche herbatniki dla ludzi, którzy odurzeni narkotykami spędzali noce w podrzędnych hotelach z obcymi mężczyznami. („Czyli spał pan razem z panem Bradleyem? W jednym łóżku?”). Do tej pory nie wspomniał nikomu o pistolecie. Udawanie zbitego z tropu sprawiało nadkomisarzowi Sutherlandowi wyraźną frajdę.

– Chyba nie do końca to wszystko ogarniam, panie Canning. Ocalił pan życie nieznanemu i spędził pan z nim noc, on jednak zniknął przed świtem. W tym samym czasie w pana własnym domu pański przyjaciel został zatłuczony na śmierć.

Paul Bradley miał w dokumentach londyński adres. Martin pamiętał, że pielęgniarka na oddziale ratunkowym go spisywała, i ten sam adres wpisał potem w jego obecności do księgi meldunkowej hotelu.

– Stołeczni mają to dla nas sprawdzić – poinformował go Sutherland.

Nadkomisarz kogoś mu przypominał, ale Martin nie był sobie w stanie przypomnieć kogo. Miał zwyczaj uśmiechania się niepokojąco w całkiem nieodpowiednich momentach, wobec czego Martin, który odruchowo odpowiadał uśmiechem na uśmiech, łapał się na tym, że reaguje głupawym uśmieszkiem na zdania w rodzaju: „Czaszka pana Moata została roztrzaskana przy użyciu tępego narzędzia”.

Obok Sutherlanda siedziała kobieta w stopniu sierżanta. Przez cały czas milczała, jakby była niemową. Na ścianie wisiało lustro. Martin był ciekaw, czy to jedno z tych, przez które obserwuje się podejrzanych. Nie przychodził mu do głowy żaden inny powód, żeby wieszać lustro w pokoju przesłuchań. Czy po jego drugiej stronie ktoś przygląda się

właśnie, jak Martin macza w herbacie swój więzienny herbatnik?

– On naprawdę istniał – powiedział.

– Nikt z nas nie wątpi w jego *istnienie*, panie Canning – odparł Sutherland tonem pedantycznego filozofa.

Martin zatęsknił za sympatycznym nadinspektorem Campbellem, który zwracał się do niego po imieniu, jakby byli dobrymi znajomymi.

– Brał on udział w pewnym incydencie – ciągnął Sutherland. Uśmiechnął się i zrobił znaczącą pauzę, po czym dodał: – Tym samym, w który pan również był podobno zaangażowany.

– Owszem – przyznał Martin. – Przecież złożyłem zeznania.

– Jak wynika z raportu, do incydentu doszło wczoraj tuż po dwunastej w południe, a ofiarę, pańskiego Paula Bradleya, odwieziono do Szpitala Królewskiego z lekkim urazem głowy, gdzie udzielono mu pomocy. Następnie pan Bradley zameldował się w Hotelu Czterech Klanów. Setki ludzi widziały go w ciągu wczorajszego dnia. To, że istnieje, nie ulega żadnej wątpliwości. Kłopot w tym...

Kolejna dobrze zaplanowana pauza na uśmiech, wargi rozciągnięte do niemożliwości; kot z Cheshire nie dorastał nadkomisarzowi Sutherlandowi do pięt.

– Kłopot w tym, panie Canning, że nikt nie pamięta *pana*.

– Policja spisała moje zeznania w szpitalu.

– A potem?

– Byłem z Paulem Bradleyem.

Rozległo się pukanie. Do pokoju wszedł posterunkowy i na biurku przed milczącą panią sierżant położył jakąś kartkę. Zapoznawszy się z jej treścią – z jej twarzy sfinksa nie dało się niczego wyczytać – przekazała kartkę Sutherlandowi.

– Nasz tajemniczy pan Bradley – mruknął Sutherland.

– On naprawdę istnieje – zaoponował Martin. – Jego nazwisko widnieje w księdze meldunkowej.

– Ale pańskie nie, prawda? – Sutherland pomachał trzymaną w rękę kartką. – Poprosiliśmy stołeczną policję o sprawdzenie adresu, który podał Paul Bradley. Okazuje się, że stoją tam garaże. Najwyraźniej tajemniczy pan Bradley jednak nie

istnieje.

Dotychczas milcząca sierzant gwałtownie nachyliła się do przodu i zwróciła do Martina z taką szczerością, jakby chciała mu pomóc, jakby była terapeutką albo psychologiem:

– Czy ty i Richard Moat byliście kochankami, Martinie? Poprzykaliście się?

– Poprzykaliśmy?

– Sprzeczką wymknęła się spod kontroli, eskalowała i doszło do przemocy? Może był zazdrosny, że poszedłeś do hotelu z innym mężczyzną?

– To nie tak. To *zupełnie* nie tak! – Martin zdjął okulary i potarł oczy.

Marzył o tym, żeby przestali go wreszcie maglować.

– A może było inaczej – podsunął zyczliwie nadkomisarz Sutherland. – Wdał się pan w gejowski trójkąt i coś poszło nie tak.

Rodzice Richarda Moata przyjechali z Milton Keynes, żeby zidentyfikować zwłoki. Richard miał w swoim repertuarze cały zestaw żartów ze swoich rodziców, ich przekonań politycznych i religijnych oraz złego gustu. Żadna z rzeczy, które opowiadał o nich na scenie, nie wydawała się adekwatna w odniesieniu do załamanej, oszołomionej i zrozpaczonej pary w kostnicy policyjnej. Identyfikacja okazała się dla policjantów dość kłopotliwa. Nie chcąc narażać państwa Moatów na makabryczny widok, jaki przedstawiało ciało ich syna, dodatkowo zawikłali sprawę, pokazując im zepsuty rolex podebrany Martinowi. Starsi państwo rozplakali się z ulgi i stwierdzili, że zegarek „zdecydowanie nie należał do Richarda”.

Co gorsza, gdy pokazano rolex Martinowi, ten zaś potwierdził, że to istotnie jego własność (szkiełko było pęknięte i Martin próbował wyobrazić sobie, jak mogło do tego dojść), pan Moat wykrzyknął: „No i sami widzicie!”. Celował przy tym palcem w Martina, jakby jego słowa miały stanowić dowód, że to on jest trupem, a nie ich rodzony syn. Richard Moat przywłaszczył sobie zatem wszystko, co należało do Martina, łącznie z tożsamością.

– Możemy poczekać na rejestry dentystyczne – wymamrotał do Martina niezmiernie uprzejmie Sutherland – ale to trochę potrwa, a cała ta sprawa jest już wystarczająco... *skomplikowana*.

Martin wiedział, że oczekuje się od niego, by zgłosił się na ochotnika, i nie bardzo wiedział, jak miałby odmówić. *Bądźże mężczyzną*. Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe. Błogosławieni ci, albowiem oni na własność posiadają ziemię.

Chciał zyskać w oczach Sutherlanda, więc po krótkim instruktażu – „Proszę się przygotować na szok, obrażenia są naprawdę paskudne” – pozwolił się zaprowadzić do niedużego pomieszczenia, które było czuć środkami odkażającymi oraz czymś słodkim i nieprzyjemnym i gdzie pod białym prześcieradłem spoczywały zmaltretowane szczątki Richarda Moata. Samo przeżycie nie było gorsze ani lepsze, niż to sobie wyobrażał. Po prostu inne i w pewnym sensie nieco sztuczne, jakby Richarda ucharakteryzowano do jakiegoś filmu – Martinowi przyszedł do głowy teledysk do *Thrillera* Michaela Jacksona – lecz z całą pewnością był to on we własnej osobie. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Martin spodziewał się, że na widok trupa ogarnie go przerażenie; był ciekaw, czy zemdleje, czy raczej zwymiotuje, lecz do niczego takiego nie doszło. Jedyne, co czuł, to wdzięczność na myśl, że na prosektoryjnym stole leży Richard Moat, a nie on, Martin. Bądź co bądź, spotykały go w życiu gorsze rzeczy niż oglądanie martwego Richarda Moata.

– Niewiele brakowało, żeby to pan tutaj leżał – zauważył Sutherland.

– Nie rozumiem – odparł zdumiony Martin – kto zidentyfikował mnie jako Richarda Moata? Albo Richarda Moata jako mnie?

Przypuszczał, że można było na to spojrzeć z obu stron.

– Pański brat, jak sadzę, panie Canning – odrzekł Sutherland.

– Mój *brat*?

Jego rodzony brat dokonał błędnej identyfikacji? W pewnym sensie mówiło to wszystko o ich kiepskich relacjach.

Sutherland poklepał się po nadgarstku. Martin był niemal pewien, że chodzi o jakiś masoński znak rozpoznawczy, gdy tamten wyjaśnił:

– Zegarek. Pokazaliśmy mu pański zegarek. Nie chodziło o oficjalną identyfikację, prędzej czy później doszlibyśmy prawdy.

– Powiniennem do niego zadzwonić – stwierdził Martin.

– Zapewne.

Ich rozmowa była nieco dziwna („Ja żyję, Chris, policja się pomyliła”) i przybrała nie najlepszy obrót. Christopher wciąż był w samochodzie, jechał do domu. „Właśnie mijam Haddington – powiedział, jakby jego położenie geograficzne było istotne. – Zaczekaj chwilę, nie włączyłem zestawu głośnomówiącego”. Po czym rozległy się odgłosy szperania, padło przekleństwo świadczące o tym, że brat upuścił telefon, znowu szuranie i wreszcie: „Nie chciałbym zostać zatrzymany przez jakiegoś pieprzonego glinę”. Martin był ciekaw, czy siedzący po przeciwnej stronie biurka Sutherland słyszał tę obelgę.

Christopher zaprezentował cały wachlarz emocji – od niedowierzania poprzez szok, rozczarowanie aż po pełne irytacji: „Martin, do cholery”, jakby Martin spletał mu jakiegoś obłąkanego figla. Przez tych kilka godzin żaloby brat zdążył się przyzwyczaić do myśli, że właśnie stał się wyłącznym posiadaczem praw autorskich do powieści Martina na najbliższych siedemdziesiąt lat, o domu w Merchiston nie wspominając.

Dzięki Bogu nie zdążył jeszcze zatelefonować do ich matki w Eastbourne. Martin usiłował wyobrazić sobie, jak zareagowałyby na wiadomość o jego śmierci. Podejrzewał, że nie zrobiłoby to na niej większego wrażenia.

* * *

Anonimowy cywilny pracownik posterunku policji ponownie się z nimi połączył i Clare przewróciła oczami na wiadomość, że wciąż nie udało się znaleźć noclegu dla Martina.

– Myślałby kto – powiedziała; było to najwyraźniej zdanie

niewymagające zakończenia.

Martin westchnął i rzekł:

– Chyba wiem, gdzie mogą mieć wolne miejsca.

– Niezła wtopa, co? – zagadnęła go radośnie Clare. – Mam na myśli pańską śmierć. Trafiła na pierwsze strony gazet.

– Moja śmierć – powtórzył Martin.

Jego śmierć została oficjalnie podana do ogólnej wiadomości. *Morderstwo odbędzie się...* Zupełnie jakby jakiś czarownik rzucił na niego klątwę, skazując go na bycie niewidzialnym albo martwym. Czy nie tak to działało? Czarownik mówił ci, że umrzesz, i rzeczywiście umierałeś, bardziej za sprawą sugestii niż jego zdolności magicznych. Lecz środki mogą być wątpliwe, gdy rezultat jest pewny.

Martin poprosił Clare, żeby zatrzymała się przy kiosku na George Street. Jedną z zalet jeżdżenia policyjnym radiowozem, może nawet jedyną, była możliwość parkowania w dowolnie wybranym miejscu.

– „Miejscowy pisarz zamordowany” – wróciwszy do samochodu, przeczytał jej nagłówek w „Evening News”.

– Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone – dodał.

– No tak – zadumała się – bo w zasadzie nie jest pan martwy, prawda?

– Rzeczywiście, nie jestem – zgodził się.

Poniżej nagłówka zamieszczono zdjęcie. Wyglądało jak kiepskiej jakości amatorska fotka z wakacji, której Martin sobie nie przypominał; ciekawe, skąd coś takiego wygrzebali.

Korek zmusił ich do zatrzymania się przed gmachem Assembly Rooms, gdzie na afiszu zapowiadającym galę na rzecz Amnesty International wciąż widniało nazwisko Richarda Moata wypisane u dołu drobnym drukiem.

Clare skorzystała z okazji, żeby przejrzeć artykuł w gazecie.

– Ale pan sławny – zauważyła z wyraźnym zdziwieniem.

– „Alex Blake, w rzeczywistości Martin Canning, przygotowywał się do stanu kapłańskiego, zanim przyjął posadę nauczyciela religioznawstwa – przeczytała. – Dopiero u schyłku życia zajął się pisaniem”.

– Nigdy nie byłem księdzem – sprostował Martin. – To

mylna informacja. Poza tym miałem wtedy czterdzieści dwa lata – dodał – to chyba nie jest „schyłek życia”, nie uważa pani?

Policjantka nie odpowiedziała, tylko znów uśmiechnęła się do niego współczująco. Był ciekaw, ile miała lat, bo wyglądała na dwunastolatkę.

Otworzył opakowanie kupionych w kiosku mlecznych czekoladek i wysypał jej kilka na dłoń.

– To jakie książki pan pisze?

– Powieści.

– Jakiego rodzaju?

– Kryminały.

– Serio? Co za ironia losu. Fikcja dziwniejsza od prawdy i tak dalej.

Znowu ruszyli, by w ślimaczym tempie dobrnąć do najbliższego przejścia dla pieszych, przez które ciągnął z pozoru niekończący się strumień ludzi.

– Specjalnie się tak wloką – stwierdziła Clare – daje im to fałszywe poczucie władzy, ale ostatecznie to oni idą na piechotę, a ja siedzę w samochodzie.

„Autor siedmiu powieści, osnutych wokół postaci prywatnej detektyw Niny Riley” – czytała nieubłaganie Clare.

– Fajnie, że bohaterką jest kobieta – zauważyła. – Potrafi porządnie dokopać?

Martin zadumał się nad jej pytaniem. Spodobała mu się myśl, że Nina Riley mogłaby komuś dokopać; przenosiło ją to niejako z powojennego świata tweedów i pereł w znacznie bardziej dynamiczną rzeczywistość. Potrafiła pilotować samolot, wspinać się po górach, jeździła wozem wyścigowym, znała szermierkę, choć niewiele miała okazji do fechtunku, nawet w latach czterdziestych. „Ten nicpoń próbuje dać nogę, Bertie. Potrzebna mi jakaś broń – rzuć mi ten kij do hokeja!”

– Owszem, sędzę, że na swój sposób tak.

– Można się z tego utrzymać? – spytała Clare.

– Tak, i to na wyższym poziomie niż większość ludzi. Jestem prawdziwym szczęściarzem. Dużo pani czyta? – zagadnął, próbując skierować rozmowę na inne tory, byle dalej od swojej osoby.

– Nie mam czasu – roześmiała się Clare.

Martin nie potrafił wyobrazić sobie świata, w którym nie byłoby czasu na lekturę.

– „Jego agentka Melanie Lenehan – kurczę, jakie trudne nazwisko! – powiedziała nam: »To tragedia w każdym sensie tego słowa. Martin właśnie zaczynał zbierać owoce swoich fenomenalnych sukcesów. Jako pisarz był w szczytowej formie«”.

Martin poczuł ukłucie rozczarowania na myśl, że Melanie nie zdobyła się na nic więcej poza garścią banałów. Czyżby nie sądziła, że zasługiwał na coś więcej?

* * *

Clare towarzyszyła mu aż do Hotelu Czterech Klanów i osobiście nacisnęła mosiężny dzwonek w recepcji. Do Martina powoli zaczynało docierać, czym tak naprawdę wyróżniają się policjanci – zachowywali się, jakby nie musieli nikogo prosić o pozwolenie, i w istocie go nie potrzebowali. Paul Bradley miał podobny autorytet. Było w tym coś naturalnego i niewymuszonego; tacy ludzie nie marnowali czasu na przeproszanie, że żyją.

Z pomieszczenia na zapleczu recepcji niechętnie wyłoniła się jakaś kobieta. Starła okruszek z kącika warg i obrzuciła ich oboje nieprzyjaznym spojrzeniem. Była masywnie zbudowana, jej źle dopasowany kostium i zgrzebna fryzura, o zachowaniu nie wspominając, przywiodły Martinowi na myśl postać naczelnik więzienia (czy raczej jego własne *wyobrażenie* o naczelnik więzienia, ponieważ nigdy żadnej nie spotkał, przynajmniej do tej pory). Na przypiętej do piersi plakietce widniało jej imię – „Maureen” – lecz groźny wygląd wykluczał podobną poufałość. W głębi zaplecza Martin zauważył stół z zaczytanym egzemplarzem „Evening News” oraz talerzem, na którym spoczywała niedojedzona grillowana kanapka. Nawet ze swego miejsca mógł dostrzec nagłówek gazety krzyczący: „Miejscowy pisarz zamordowany” i rozpoznać własne rysy na ziarnistej fotografii.

„Maureen” zameldowała go, zupełnie niewzruszona faktem,

że towarzyszy mu policjantka. Ani słowa na temat tego, jak zamierzał uregulować rachunek. Klucz do pokoju został mu wręczony takim gestem, jakby był więźniem, któremu pozwolono samemu zamknąć się w celi.

– No to na mnie pora – oznajmiła Clare. – Powodzenia z pisaniem i... w ogóle.

Gdy zmordowany wspinał się na górę, pochwycił spojrzenie jelenia. Zwierzę patrzyło na niego niemo z wyrazem naburmuszonej obojętności na nadgryzionym przez mole pysku.

– Zamordowany, Jacksonie! – oznajmiła Julia, otwierając oczy w wyrazie przestachu rodem z pantomimy; mimo to w jej głosie dało się wyczuć nutę podniecenia.

– Zamordowany? – powtórzył Jackson.

– Jeszcze wczoraj jadłam z nim lunch, a dziś Richard Moat nie żyje. Przyszła na niego pora i po nim. Czarna mogiła.

„Mogilę” wymówiła ze wschodniolondyńskim robotniczym akcentem Dicka Van Dyke’a. W porównaniu z porankiem zdawała się tryskać energią.

– Policja przesłuchuje wszystkich jak leci. *Zamordowany*, Jacksonie – powtórzyła, smakując to słowo.

Stali w drzwiach kłitki w miejscu występów Julii, pełniące rolę damskiej garderoby, w której upchnięto również aktorki grające w innej sztuce. Większość z nich była w samej bieliźnie; Jackson starał się im nie przyglądać. Miał wrażenie, że znalazł się za kulisami klubu ze striptizem, takiego przeintelektualizowanego, gdzie mówiło się rzeczy w rodzaju: „Nie do wiary, wczoraj *przez cały spektakl* próbował skraść mi mój show”. Julia zdążyła zdjąć swój bury worek i się przebrać, lecz wciąż zwlekała z odejściem, nieskora schodzić ze sceny. Oczywiście dla niej każdy dzień był przedstawieniem.

– Mówiłaś, że wypiliście drinka – zauważył Jackson – a nie, że razem *jedliście*.

– A jakie to ma znaczenie? – Julia zmarszczyła brwi.

– *Teraz* żadnego – odparł.

– Co znaczy: „*teraz* żadnego”? Czyli miałoby znaczenie, gdyby on nadal żył? – Ochrypli głos Julii przybrał wyższy, teatralny ton. Gdyby zechciała, mogłaby wystąpić bez nagłośnienia w wypełnionej po brzegi sali Albert Hall. – Ja jadłam bułkę z serem, Richard makaron, nie uprawialiśmy przecież *seksu oralnego!*

Odziane w bieliznę aktorki jak jeden mąż odwróciły się i wlepiły w nich wzrok.

– *Proszę* cię – syknął Jackson.

Kiedy wszystko między nimi tak się zagmatwało? Czy Richard Moat płacił za tamten lunch? Nie ma czegoś takiego jak darmowe obiady, chyba że jest się bardzo grubą rybą.

– A jak ty się czujesz, Julio? – wyrecytowała Julia. – Jak się udał pokaz przedpremierowy?

– Wybacz – powiedział Jackson. – Jak się udał pokaz przedpremierowy?

– Nie chcę o tym gadać.

– Kolejny pokaz przedpremierowy? Dzisiaj wieczorem? – zdumiał się Jackson.

– Bóg jeden wie, że bardzo tego potrzebujemy – odparła Julia, zaciągając się głęboko papierosem i zanosząc się paskudnym kaszlem.

Stali na ulicy przed sceną festiwalową. Nieco ponad dobę wcześniej dokładnie w tym samym miejscu Jackson był świadkiem, jak koleś z hondy próbował zabić kierowcę peugeotota.

– Mówiłam ci zresztą dziś rano – mruknęła wymijająco Julia, gdy jej pokiereszowane płuca złapały wreszcie oddech po napadzie kaszlu.

– Nie widzieliśmy się dziś rano – zauważył Jackson.

– W ogóle mnie nie słuchasz – rzuciła Julia.

Jak na nią była to dziwnie małżeńska uwaga.

– Nie mogłem cię *słuchać* – odrzekł Jackson – bo w ogóle się nie *widzieliśmy*. Siedziałem w areszcie.

– Ale na pokaz przyjdiesz? Nie masz innych planów?

Westchnął.

– Nie, nie mam innych planów. A teraz? Może się czegoś napijemy? Popołudniowej herbatki?

Te słowa musiały wywołać u niej oczekiwaną reakcję.

– Jest o wiele za późno na popołudniową herbatkę – odparła gniewnie Julia. Jej lewa powieka drżała; znów desperacko zaciągnęła się papierosem. – Poza tym Tobias ma nam przekazać swoje uwagi.

– Zawsze ma do was jakieś uwagi – mruknął Jackson.

– I chwała Bogu – warknęła Julia – bo przyda nam się każda dostępną pomoc.

Zgniotła niedopałek podeszwą botka. Miała na nogach czarne sznurowane botki z wysokimi obcasami, na których widok Jacksona naszły nieczyste myśli o wiktoriańskich guwernantkach.

– Przepraszam cię – odezwała się nagle skruszona i przytuliła się do niego.

Poczuł, jak jej ciało się rozluźnia, jakby była marionetką, której ktoś właśnie odciął sznurki, i oparł podbródek na czubku jej głowy. W botkach była wyższa niż zwykle. Oboje trzymali ręce luźno opuszczone i tylko opierali się o siebie jak dwoje ludzi, którzy nie mogą ustać o własnych siłach. Czuł zapach perfum, których dotąd nie używała – ostry, lekko cynamonowy. Dopiero teraz zauważył, że w uszach ma porcelanowe kolczyki w kształcie malutkich bratków. Nie sądził, aby je wcześniej widział. Włosy miała jak zwykle w nieładzie, z łatwością można było sobie wyobrazić ptaki wijące w nich gwiazdo. Wcale by się nie zdziwił, gdyby pewnego wieczoru stado gawronów zleciało się, żeby założyć jej na głowie kolonię. („Czy to nie byłoby cudowne?” – zachwyciła się Julia). Drewniana chińska pałeczka, która niczym symbol zwycięstwa kreatywności nad prawami fizyki zdawała się utrzymywać całą tę konstrukcję na miejscu, prawie wybiła mu oko.

Na murze za nimi wisiał plakat zapowiadający premierę *W poszukiwaniu równika na Grenlandii*. Widniała na nim Julia wyciągająca ręce do publiczności w geście, który według niej miał być błagalny, a zdaniem Jacksona wydawał się cudaczny. Twarze pozostałych członków obsady tworzyły wokół niej coś w rodzaju piramidy, co niestety przywodziło na myśl teledysk grupy Queen do utworu *Bohemian Rhapsody*. Tuż obok wciąż tkwił afisz z Richardem Moatem i jego „komediową viagrą dla umysłu”. Przez twarz komika biegł nabazgrany przez kogoś flamastrem napis: „Odwołane”.

Julia odsunęła się od niego i powiedziała:

– Pokaz powinien się skończyć koło dziewiątej, chociaż dziś

po południu trochę nam się przedłużyło. Pójdziemy najpierw coś zjeść, a potem czegoś się napić. Dołącz do nas. Pomożesz nam lizać rany.

Jackson pożałował, że Julia nie gra w dobrej sztuce, na której punkcie krytycy by oszaleli i która miałaby szanse trafić na West End.

Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl.

– Twoja siostra nie wybiera się chyba na premierę, co?

– Amelia?

Dziwne, że zareagowała w ten sposób – tak jakby miała więcej niż jedną siostrę, jakby Olivia i Sylvia wciąż żyły. A może dla niej *żyły*.

– Tak, Amelia.

– Nie. Powiedziałam jej, żeby przyjechała później, jak się trochę rozegramy. Zresztą i tak sztuka by jej się nie spodobała, nie jest w jej guście. Ona woli Szekspira, Ibsena, Czechowa. Pomyślałam, że mogłaby wpaść na kilka dni. No co, nie byłoby miło?

– Trzymajcie mnie...

– Nie bądź taki, Jacksonie. Ostatecznie mam tylko Amelię.

Jackson powstrzymał cisnący mu się na usta komentarz: „Masz też mnie”, żeby nie prowokować dalszych nieporozumień.

– Och, byłabym zapomniała – powiedziała Julia z niespodziewanym ożywieniem. (Od kiedy to jej nastroje zaczęły się zmieniać jak w kalejdoskopie?). Sięgnęła do wielkiej szmacianej torby i wyciągnęła z niej mnóstwo rozmaitego śmiecia, zanim znalazła to, czego szukała.

– Darmowe wejściówki! – oznajmiła z wymuszoną wesołością.

Gdy Jackson nie wykonał żadnego gestu, żeby je przyjąć, wcisnęła mu je do ręki.

– Z kim musiałaś zjeść lunch, żeby je dostać? – zapytał.

Czemu nie potrafił trzymać gęby na kłódkę? To miał być żart (co prawda nie najlepszy), a zabrzmiało jak obelga. Mimo wszystko Julia roześmiała się i odparła:

– Och, skarbie, musiałam przelecieć dwóch klaunów i słonia,

żeby zdobyć te wejściówki. *Cyrk*, Jacksonie, to są bilety do cyrku, rozdawali je za darmo dla reklamy. Dostałam je od naganiacza cyrkowego. Będzie fajnie, idź. Przeżyj na nowo dzieciństwo, którego nigdy nie miałeś.

* * *

– Daiquiri z limonką i szklaneczkę glenfiddich proszę – rzucił Jackson do barmana.

Pub był sympatycznie staroświecki, bez głośnej muzyki i automatów do gry, za to z mnóstwem wypolerowanego na wysoki połysk drewna i witrażowymi oknami. Z natury nie był amatorem whisky, a wyglądało na to, że od przyjazdu tutaj nic innego nie pije. Najwyraźniej przez cały czas miał w swojej szkockiej krwi taką potrzebę i to ona go tu przywiodła.

– Mimo to nigdy dotąd nie byłeś w Szkocji? – zdziwiła się Louise Monroe. – Trochę to dziwne, nie uważasz? Z psychologicznego punktu widzenia tak jakbyś przed czymś uciekał.

I tyle, jeśli chodzi o niezobowiązującą pogawędkę, pomyślał Jackson; żadnych zapoznawczych banałów, żadnego omijania szerokim łukiem swojej przeszłości, żadnego „Spędziłem urlop we Francji”. „Tak, a gdzie dokładnie?” Albo: „Lubisz muzykę country? No popatrz, ja też”. Zamiast tego od razu przechodzimy do rzeczy: „Masz jakieś psychologiczne urazy? Wypierasz coś?”

– Nie wiem – odrzekł. – A ty? Też przed czymś uciekasz?

– Pytanie za pytanie – stwierdziła, jakby właśnie oblał egzamin. – Psychopatologia tej reakcji jest bardzo interesująca, nie sądzisz?

– Takie wielkie słowo – mruknął Jackson. – A więc nie tylko ładna, ale i *mądra*, tak?

– Możesz udawać idiotę, chociaż nie jesteś głupi.

Jackson nie wiedział, czy to miał być komplement.

– Tak czy inaczej, na zdrowie – dodała, wychylając spory haust daiquiri z limonką.

– Na pohybel królom i tyranom – zawtórował jej Jackson, wznosząc szklaneczkę.

Miał wrażenie, że coś takiego jak daiquiri powinno się saczyć. Unikał koktajli, żeby przypadkiem nie dostać czegoś przyozdobionego parasolką i z obrzydliwie słodką wisienką na wykałacze, ale daiquiri wyglądało prosto i zachęcająco.

– Spróbuj – powiedziała, podsuwając mu kieliszek.

Poczuł się zaszokowany nieoczekiwanie poufałym charakterem tej propozycji. Dorastał w wyjątkowo oszczędnym domu, gdzie raczej podkradano sobie kaski z talerza, niż samorzutnie nimi częstowano. Wciąż miał przed oczami swojego brata Francisa, który puszczać doń oko, podbierał kielbaskę z talerza ich siostry – i natychmiast dostawał za to w ucho od Niamh. Julia dla odmiany dzieliła się jedzeniem z psem. Wiecznie wpychała mu do pyska widelce i łyżki: „spróbuj tego, zjedz to”, oblizując przy tym usta i palce; nie znał drugiej osoby, dla której granica między jedzeniem a seksem byłaby taka cienka. To, co wyprawiała z truskawkami, przyprawiało dorosłego mężczyznę o rumieńce. Niespodziewanie wyobraził ją sobie w kostiumie Nell Gwyn, podsuwającą fotografowi bujne piersi, gdyż nie samymi pomarańczami człowiek żyje. Widział ten film w telewizji, Julia przeczytała książkę – to ich różniło. Między przednimi zębami miała malutką przerwę i niemal niezauważalnie sepleniała. Zabawne – od początku to wiedział, a jednak aż dotąd się nad tym nie zastanawiał.

– Nie trzeba – zwrócił się do Louise Monroe, wznosząc w górę szklaneczkę whisky w geście świadczącym, że jest zadowolony z wyboru alkoholu.

– Nie proponowałam ci wymiany płynów fizjologicznych.

– Wcale tak nie pomyślałem.

* * *

Pub znajdował się w uliczce odchodzącej od Królewskiej Mili, niedaleko biura „Przysług”.

– Widzę, że w końcu odkryłeś poczerniały od sadzy, napęczniały whisky i krwią metafizyczny rdzeń tego wrzodu, jakim był niegdyś Edynburg – powiedziała, gdy spotkali się w brukowanym zaułku.

– Faktycznie – odrzekł.

Była całkiem wygadana, kiedy się rozkręciła. Tak jak Julia. W końcu zdołał się do niej dodzwonić i jedyne, co Louise Monroe była łaskawa mu powiedzieć, to: „Powinieneś do mnie zadzwonić, zanim tu przyszedłeś. Chociaż nie, zaczekaj, przecież nie jesteś już policjantem. *W ogóle nie powinieneś tu przychodzić*”.

– Nie mogłem cię złapać, bo nie dałaś mi numeru swojej komórki.

– No dobra, ale teraz już tu jestem, możesz mi więc wyjaśnić, czego szukamy? Na pierwszy rzut oka wygląda mi to na podejrzaną saunę, w której ktoś wystawia z góry skazane na fiasko przedstawienie *Kaukaskiego kredowego koła*.

– Cholera – mruknął Jackson. Z futryny zniknęła tabliczka z napisem: „Przysługi – import i eksport”. W ogóle nie było żadnej tabliczki. Ani dzwonnka, ani kamery. Stwierdził z ulgą, że drzwi są wciąż na miejscu, czyli nie przeniósł się jednak do równoległej rzeczywistości. Gdy Louise Monroe je pchnęła, otworzyły się, trzeszcząc teatralnie – odgłos, którego nie powstydziliby się żaden fachowiec od efektów specjalnych. Weszli na górę po schodach. Na ich miejscu amerykańscy gliniarze dawno wyciągnęliby pistolety, ponieważ jednak płynęła w nich krew szkocka i w połowie szkocka, nie mieli innej broni poza własnym dowcipem.

– Pierwsze piętro – szepnął Jackson.

– Dlaczego szepczesz? – zapytała Louise pełnym głosem, który odbił się echem na klatce schodowej. – Podobno to zwykła firma sprzątająca.

– Bo tak jest – przyznał – w pewnym sensie.

– W pewnym sensie?

– To znaczy na pewno tak jest – sprostował. – Sam widziałem, jak sprzątają: szorują, odkurzają i tak dalej. W różowych uniformach. – Przed oczami stanęły mu poruszające się rytmicznie pośladki Marijut, lecz natychmiast odpędził od siebie tę wizję. – Po prostu... dzieje się tu coś bardzo dziwnego. Sam nie wiem. Dużo firm zajmujących się profesjonalnie sprzątaniem zatrudnia byłych przestępców, więc

może jednak jest coś na rzeczy. Dziewczyny, które widziałem w Morningside, były najprawdziwszymi sprzątaczkami. Ale wydaje mi się, że w ich bazie danych widziałem zdjęcie tamtej martwej dziewczyny.

Pomieszczenie biura było kompletnie puste. Ani śladu komputera, szafki na dokumenty, biurka. Dozorczynie i recepcjonistka spakowały manatki i zniknęły. Mogłoby się wydawać, że lokal nigdy nie był zajęty. Tania wykładzina, lekko lepiąca się do butów, odrapane ściany i dawno niemyte okna – nic nie wskazywało na to, że kilka godzin wcześniej działała tu jakaś firma. Powietrze czuć było stęchlizną i czymś odrobinę śmierdzącym.

– I co to była za baza danych? – mruknęła Louise Monroe, rozglądając się po pustym pomieszczeniu. – Ta, którą widziałeś na ekranie niewidzialnego komputera?

– Nic nie rozumiem – wymamrotał Jackson.

Dostrzegł coś na wykładzinie – malowaną drewnianą laleczkę nie większą od fistaszka. Wziął ją do ręki i obejrzał, mrużąc przy tym oczy, na co Louise Monroe zauważyła:

– Potrzebujesz okularów. Nie powinieneś być taki próżny.

Jackson zignorował tę uwagę.

– Co to jest? – spytał, podsuwając jej laleczkę.

– Jedna z tych rosyjskich laleczek, które sprzedaje się w kompletach – odparła – i wkłada jedną w drugą. Matri-coś tam.

– Matrioszka?

– Właśnie.

– Ale ta nie ma nic w środku – stwierdził.

– Bo jest ostatnia. Najmniejsza.

Jackson schował laleczkę do kieszeni. Odkąd tu był, minęły niespełna dwie godziny; jakim cudem zdołali w tym czasie zwinąć całą firmę i wynieść się stąd bez śladu? Chociaż nie, coś zostawili – jego uwagę zwrócił jakiś świstek na parapecie. Różowa wizytówka. „Przysługi – zrobimy, o cokolwiek nas poprosisz!”. Rzucił się na nią i podetknął Louise Monroe pod sam nos.

– Patrz – oznajmił triumfalnie. – Nie zmyśliłem tego.

– Wiem – odrzekła, wyjmując z kieszeni identyczną wizytówkę. – A kuku!

– Skąd to masz?

– Była przy ciele martwej prostytutki.

– Martwej? Znaczy została zamordowana?

– Nie, przedawkowała. Nic podejrzanego, rzecz jasna, z wyjątkiem handlu narkotykami, prostytucji, wyzysku i nielegalnej imigracji. Nie moje śledztwo – dodała, wzruszając ramionami, jakby jej to nie obchodziło.

Jackson był pewien, że tak nie jest.

– Dwie martwe dziewczyny znalezione w odstępie dwudziestu czterech godzin – zauważył. – Obie miały przy sobie takie same wizytówki. Jaki z tego wniosek?

– Wizytówki to jedyne, co je ze sobą łączy.

– I wystarczy – nie ustępował Jackson. – Założę się, że firma sprzątająca to przykrywka, może w ten sposób ściągają z zagranicy dziewczyny, wyszukują te mniej zaradne, odbierają im paszporty, grożą ich bliskim. Na litość boską, chyba *wiesz*, co się teraz wyrabia. Między tymi dwiema dziewczynami jest jakiś związek, musi być. Ślad prowadzi w to miejsce.

– To może być zwykły zbieg okoliczności.

– Bawisz się w adwokata diabła. Poza tym nie wierzę w zbiegi okoliczności – stwierdził Jackson. – Zbieg okoliczności to nic innego jak logiczne wyjaśnienie, na które jeszcze nikt nie wpadł.

– Cóż za mądrość w ustach głupka. Chciałabym ci jeszcze raz przypomnieć, że nie jesteś już policjantem i to nie jest twoje śledztwo.

– Tylko *twoje*.

Zaczynała go ogarniać frustracja. Żałował, że nie skuł „dozorczyni” kajdankami i nie przywiązał do najbliższego ciężkiego przedmiotu. Gdyby tylko przywiązał tamtą martwą dziewczynę do jakiejś boi, unieruchomił po południu różową furgonetkę albo zaprowadził Marijut na posterunek – cokolwiek, co zapewniłoby mu twarde dowody zamiast ulotnych miraży. Miał wrażenie, że próbuje chwytać się wody.

– Byłoby łatwiej, gdybyś mi uwierzyła – mruknął; zabrzmiało

to żałośniej, niż planował.

Myślał, że go ofuknie (znowu), lecz zamiast tego podeszła do jednego z brudnych okien i wyjrzała na kamienny mur naprzeciwko. Potem westchnęła i powiedziała:

– Późno już, a ja kończę służbę. I muszę się czegoś napić.

– Lubisz muzykę country? – spytała z powątpiewaniem Louise Monroe. – Kobiety o wielkim sercu, źli faceci i tym podobne brednie?

– Nie wszystkie piosenki są takie.

– I mieszkasz we Francji?

Przypominało to bardziej przesłuchanie niż towarzyską pogawędkę. Chyba wolał, gdy podawała w wątpliwość jego „psychopatologię” i wymyślała mu od głupków.

– Nigdy nie byłam we Francji.

– Nawet w Paryżu?

– Nawet w Paryżu.

– Nawet w Disneylandzie?

– Chryste, chyba mówię, że nie byłam we Francji. Okej?

– Okej. Jeszcze jednego? – zaproponował.

– Dzięki, prowadzę. W ogóle nie powinnam pić.

– A jednak pijesz.

Ich rozmowa stała się niemal po męsku neutralna, choć Jackson przyznał się do rozwodu, na co ona wzruszyła ramionami i odparła: „Ja nigdy nie wyszłam za mąż, bo i po co?”. Dowiedział się też, że lubi saaby, szybko awansowała na inspektora – „po trupach” – i nosi szkła kontaktowe („Też powinieneś spróbować”). Nagle zapytała:

– Masz kogoś?

– Ma na imię Julia. Jest aktorką – odpowiedział.

Niemal słyszał we własnym głosie przepraszający ton, jakby aktorstwo było zawodem, którego trzeba się wstydzić (często tak było). Czy gdyby go wprost nie zapytała, przyznałby się do Julii? Smutna, prawdziwie męska odpowiedź brzmiała: nie.

– Występuje w spektaklu na festiwalu.

– Jaka ona jest?

– Jest aktorką.

– Już to mówiłeś.

– Wiem, ale to ją w pewnym sensie *opisuje*. Nie wiem, jest niska i jest optymistką. Zazwyczaj – dodał.

– Lepiej opisałeś mi tamtą topielicę – mruknęła Louise.

– Trudno opisać Julię – odparł, wpatrując się w ostatnie krople whisky, jakby miał tam znaleźć odpowiedź. Julia była niemożliwa do opisania; żeby ją zrozumieć, trzeba ją było poznać. – Po prostu... jest sobą.

– To chyba dobrze, prawda?

– Pewnie tak – przyznał, chociaż wcale tak nie uważał.

Rzecz jasna, na tym polegał cały kłopot. Ktoś nam się spodobał, bo był taki, nie inny, a potem zaczynaliśmy go zmieniać.

Louise spodobała mu się, bo była nieustępliwa, cyniczna i pewna siebie, ale niechby minęło kilka miesięcy, a te same cechy zaczęłyby go doprowadzać do szału. *Niechby minęło kilka miesięcy? Co on sobie, u licha, wyobraża?*

– No cóż, dzięki za drinka – rzuciła naraz Louise, wstając i wkładając marynarkę. – Powinnam się zbierać.

Zaproponowałby, że pomoże jej się ubrać, ale nie wiedział, czy to się jej spodoba. Niemniej przytrzymał jej drzwi. Matka wpoila mu dobre maniery, głównie za pomocą celnych trzepnięć w głowę. „Zawsze przytrzymuj drzwi, zawsze ustępuj miejsca. Dżentelmen nigdy nie dopuści do tego, żeby kobieta szła od strony krawężnika”. Sama wychowała się na zapadłej irlandzkiej wsi, gdzie nawet nie mieli krawężników, ale nie chciała, żeby jej synowie wdali się w ojca. Nigdy w pełni nie rozumiał, o co chodzi z tym krawężnikiem. („Żebyś to ty zginął pierwszy, jeśli konny zaprzęg wymknie się spod kontroli, to przecież jasne” – wyjaśniła mu Julia).

Ruszył z Louise w górę High Street. Im dalej, tym więcej imprezowiczów, poza tym była tam ta sama zbieranina co zwykle: połykacze ognia, żonglerzy, monocykliści oraz dowolne połączenia wyżej wymienionych. Facet na monocyklu żonglujący płonącymi pochodniami wyraźnie kusił los. Zauważyli też kobietę udającą żywy pomnik Marii Antoniny. Czy to naprawdę było właściwe zajęcie dla kobiety? Dla kogokolwiek, skoro już o tym mowa? Jak by się czuł, gdyby

Marlee dorosła i pewnego dnia oznajmiła mu, że chce tak zarabiać na życie?

– Czy ja wiem – stwierdziła Louise – przez cały dzień nie trzeba nic robić. Chyba mogłabym tak żyć.

– Wierz mi, nie wszystko złoto, co się świeci.

Przed skrzyżowaniem nastąpiła chwila niezręcznego zawahania na chodniku, jakby oboje nie byli pewni, jak powinni się ze sobą pożegnać. Przez złudną chwilę Jackson spodziewał się, że Louise pocałuje go w policzek; jedna jego połowa miała nadzieję, że to zrobi, podczas gdy druga była tym przerażona. Taka mała szamotanina między dobrym a złym Jacksonem. Ona jednak powiedziała tylko:

– No dobra. Dam ci znać, gdyby coś się pojawiło.

– Coś?

– Twoja dziewczyna.

„Jego” martwa dziewczyna, zadumał się. Rzeczywiście *była* jego dziewczyną, na dobre i na złe, bo nikt inny nie chciał się do niej przyznać czy choćby uwierzyć w jej istnienie.

– To dobranoc – dodała.

– Nie miałybyś ochoty pójść ze mną do cyrku?

Martin znów był w Hotelu Czterech Klanów, tym razem w innym pokoju. Leżał na łóżku i próbował się zdrzemnąć. Jego ciało było wyczerpane, lecz mózg najwyraźniej odkrył sekretną wytwórnę amfetaminy i łykał prochy na czas. Wiszący na wprost łóżka obraz, szkic przedstawiający Burke'a i Hare'a przyłapanych na radosnym wykopywaniu z ziemi trupa, prawie – ale nie całkiem – bił na głowę paloną na stosie czarownicę z poprzedniego pokoju. Martin usiadł i odwrócił się ciekaw, co wisi nad łóżkiem. Bitwa pod Flodden Field, masakra Szkotów w całej krasie. Przed dwudziestoma czterema godzinami nie wiedział nawet o istnieniu Hotelu Czterech Klanów, teraz jego życie zdawało się toczyć niemal wyłącznie w jego pokrytych szkocką kratą ścianach. Był osaczony przez tartan, poddawany ciąglemu praniu mózgu.

Włączył telewizor i trafił na wieczorne wydanie lokalnych wiadomości. „Komik Richard Moat... zatłuczony na śmierć... w domu autora powieści kryminalnych Alexa Blake'a... wcześniej w wyniku niewiarygodnej pomyłki... pisarz odludek Alex Blake, którego prawdziwe nazwisko brzmi... rzecznik szkockiej policji apeluje do świadków morderstwa... w edynburskiej dzielnicy Merchiston”. Wyłączył telewizor.

Rzecz jasna, nie miał ze sobą żadnych książek ani laptopa, nie mógł więc ani czytać, ani pisać. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo te dwie czynności zdominowały jego życie. Jak by sobie poradził, gdyby nagle oślepl? Jako niewidomy mógłby przynajmniej sprawić sobie psa przewodnika – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: pociecha w postaci pomocnych labradorów i szlachetnych owczarków niemieckich gotowych zastąpić mu oczy. A gdyby stracił słuch? Psy pomagały również niesłyszącym, lecz Martin nie miał pewności, jak to się odbywało. Pewnie ciągnęły właścicieli za

rękaw, patrząc przy tym znacząco na to czy na tamto.

Jego telefon zaczął w słuchawce rozległ się silny dubliński akcent jego agentki.

– Żyjesz, Martinie – zapytała – czy nie żyjesz? Mógłbyś się w końcu zdecydować, bo przez ciebie muszę odpowiadać na masę pytań.

– Żyję – odparł. – W telewizji nazwali mnie odludkiem. Skąd im to przyszło do głowy? Nie jestem samotnikiem, nie żyję jak odludek.

– Ale też nie masz zbyt wielu przyjaciół – Melanie ściszyła głos, jakby oprócz niej w pokoju znajdował się ktoś jeszcze, i zapytała: – Zabiłeś go, Martinie? Zabiłeś Richarda Moata? Wiem, wciąż powtarzamy, że zła reklama jest lepsza niż żadna, ale morderstwo to naprawdę za wiele. Rozumiesz mnie?

– Po jakie лихо miałbym zabijać Richarda Moata? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Gdzie byłeś, kiedy zginął?

– W hotelu.

– Z kobietą? – w głosie Melanie brzmiało zdziwienie.

– Nie, z mężczyzną.

Obojętnie, jak to ujął, brzmiało źle. Wolał sobie nie wyobrażać, jak by zareagowała, gdyby powiedział jej o broni. Pistolet stał się wstydliwą tajemnicą, od której nie potrafił się uwolnić. Powinien od razu powiedzieć o nim policji, przekonać tych niedowiarków, że mówi prawdę, lecz noc spędzona w towarzystwie uzbrojonego zabójcy nie wydawała się najlepszym alibi.

– Chryste – westchnęła Melanie. – Masz adwokata, Martinie?

– Oczekała tyle, ile jej zdaniem wymagała przyzwoitość, i zapytała: – A jak ci idzie pisanie?

Naprawdę sądziła, że pisze w takich okolicznościach? Ktoś, jego znajomy, został zamordowany u niego w domu. Na jego stoliku do kawy leżały resztki *zmiażdżonego mózgu*.

– Potraktuj to jak antidotum – dodała. – Sztuka jako antidotum na życie.

Ninę Riley trudno było uznać za sztukę. „To doprawdy przednia zabawa, Bertie, powinniśmy częściej wybierać się

w rejs. Teraz musimy tylko dowieść, że naszym włamywaczem jest Maud Elphinstone i że nazwisko na jej akcie urodzenia brzmi Malcolm Elphinstone”. Zwykła szmira, jeśli miał być szczerzy.

– Jesteś tam, Martinie? Wiesz, że masz się jutro pojawić na festiwalu książki? Chcesz, żebym przyjechała i wsparła cię moralnie?

– Nie, nie chcę. Odwołaj to.

– Będzie ogromne zainteresowanie.

– I dlatego chcę to odwołać.

Rozłączył się i na nowo zagapił w sufit.

Miał całkiem pusty żołądek; od wczoraj nic nie jadł, jeśli nie liczyć opakowania czekoladek mlecznych, którymi podzielił się w radiowozie z Clare. Przez większość dnia z różnych powodów męczyły go mdłości – z rana koszmary kac, potem krwawa jatka kalająca jego śliczny dom, wreszcie twarz Richarda Moata, istne zombi. Teraz jednak poczuł nagły wilczy apetyt. Miał ochotę na solidny podwieczorek: jajka w koszulkach, pomarańczowe żółtka na gorącym toście posmarowanym masłem. Do tego na stole duży porcelanowy imbryk z herbatą i ciastko w kształcie cylindra z kandyzowanymi wiśniami albo orzechami włoskimi w słodkiej polewie. W tle żona, cicho dziergająca coś w kącie.

Hotelowy pokój był inny, lecz w minibarze wciąż próżno by szukać czegoś na ząb. Na widok lypiącej ze środka puszeki cytrynowego napoju gazowanego Martin poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Chciał iść do domu. Chciał wrócić do siebie, wczłgać się do własnego łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i sprawić, żeby to wszystko zniknęło, choć wiedział, że to niemożliwe – to była jego kara. Kara, która wypełni się dopiero wtedy, gdy całe jego życie rozpadnie się na kawałeczki, a te z kolei zostaną przepuszczone przez wyżymaczkę i tak spłaszczone, że nikt nie zdoła złożyć ich z powrotem. Był pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, lecz wystarczył jeden ruch wskazówki zegara, żeby znalazł się w kleszczach łęku i stał wyrzutkiem. Taki drobiazg. Łuk nakreślony w powietrzu przez kij bejsbolowy, talerz barszczu i dziewczyna rozpuszczająca

włosy.

Piękna jasnowłosa dziewczyna chciała się z nim spotkać (z nim, *Martym*) w Barze Kawiorowym Grand Hotelu Europa. Zastanawiał się, czy zwróciła na niego uwagę, bo był cudzoziemcem. Może ujęła ją jego niepewna, zająkliwa brytyjskość i zamiast nudy dostrzegła w nim powściągliwy urok?

Wcześniej zaprosił sklepikarza do Grand Hotelu Europa na popołudniową herbatę, lecz ten odstawił szopkę, oglądając ze wszystkich stron malutkie kanapki oraz ciastka i gderając: „Za taką cenę można by się spodziewać czegoś więcej, prawda?”, jakby płacił on, a nie Martin. Wokół było wiele dziewcząt, znakomicie ubranych młodych Rosjank, i w pewnej chwili umierający sklepikarz uniósł znacząco brwi i ruchem głowy wskazał Martinowi jedną z nich, mówiąc:

– Obaj wiemy, co to za jedne, prawda?

– Czyżby? – odparował Martin.

Sklepikarz prychnięciem skwitował ignorancję współtowarzysza i wykrzywił usta.

– Petersburskie panny młode – wyjaśnił i się roześmiał.

Kawałeczek wędzonego łososia przyłgnał mu do mięsistej wargi. Martin zastanawiał się, jaki jest sens tego wszystkiego. Przebywanie ze sklepikarzem było niczym spacer pod rękę z żywym, gadatliwym *memento mori*.

– Myli się pan – odparł żarliwie – moim zdaniem to po prostu atrakcyjne młode kobiety. Nie sądzę, aby były... no wie pan.

– Tylko skąd *pan* miałby to wiedzieć, Martinie? – odrzekł pobłażliwym tonem tamten.

Podwieczorek zjedli w jasnej, przestronnej kawiarni, lecz Bar Kawiorowy okazał się znacznie ciemniejszym i bardziej wyrafinowanym miejscem z witrażowymi oknami i miedzianymi ozdobami w stylu rosyjskiego *modernizmu*.

– My nazywamy to Art Nouveau – wyjaśnił Irinie.

– *Da?* – odparła, jakby była to najbardziej fascynująca rzecz, jaką w życiu słyszała.

Nawet teraz, rok po tamtych wydarzeniach, miał przed

oczami czerwone i czarne perły kawioru połyskujące w szklanych naczynkach napełnionych pokruszonym lodem. Sam niczego nie jadł; myśl o rybie była dla niego wystarczająco odpychająca, a o rybiej ikrze wręcz wstrętna. Irina zdawała się tego nie zauważać i spałaszowała wszystko do ostatka. Pili szampana, rosyjskiego i taniego, ale zaskakująco dobrego. Zamówiła butelkę, nie pytając go o zdanie, i gdy stuknęli się kieliszkami, powiedziała:

– My się dziś dobrze bawić, Marty.

Przebrała się na wieczór, upięła wysoko włosy, botki zastąpiła pantoflami, lecz jej sukienka miała mały dekolt i wyglądała skromnie. Chciał spytać, czemu sprzedaje pamiątki na ulicznym straganie, czy ma właśnie dołek finansowy, czy może robi to z powołania, ale nie potrafił zrozumiale wyrazić czegoś tak skomplikowanego.

Godziny między barszczem w Idiocie a wizytą w Grand Hotelu spędził, rozmyślając o nadchodzącym spotkaniu. Wyobrażał sobie, jak wesoło gawędzą. Ona, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczyna nagle płynnie mówić po angielsku, u niego zaś garstka z trudem wymawianych słów zmienia się w biegłą znajomość rosyjskiego. Powinien być w tym czasie z innymi na przedstawieniu baletowym w Teatrze Maryjskim, ale gdy sklepikarz wstąpił po niego, Martin skłamał, że ma lekkie zatrucie pokarmowe. Mężczyzna odszedł zde gustowany; najwyraźniej problemy z żołądkiem nie były wystarczającym usprawiedliwieniem dla kogoś, kto sam zmagał się ze śmiercią.

Martin obawiał się, że Irina mogła opacznie zrozumieć całą sytuację i będzie oczekiwała zapłaty, lecz w kawiarni sama uregulowała rachunek, co świadczyło na jej korzyść. Może wcale się nie sprzedawała, tylko po prostu chciała znaleźć męża? Szczerze mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu. W centrum handlowym St. James nikt nie patrzyłby na nią tak jak na dziewczyny z Tajlandii. Na pierwszy rzut oka nikt by się nie domyślił, że została kupiona. (Czy aby na pewno?). „Tak, to Irina Canning, moja żona. Tak, rzeczywiście jest Rosjanką. Poznaliśmy się w Petersburgu i pokochaliśmy. To bardzo

romantyczne miasto”. Ona nauczyłaby się angielskiego, on opanowałby rosyjski. Mieliby małe dzieci, pół-Rosjan, Saszę i Anastazję. Dałby jej wszystko, czego potrzebowała: zabezpieczenie finansowe, śliczny dom, dzieci wychowywane na zamożnym Zachodzie, opiekę zdrowotną dla starzejącej się matki, wykształcenie dla młodszego rodzeństwa. Ona w zamian dałaby mu złudzenie miłości. Zysk i strata, towary i usługi; ostatecznie wszystko się do tego sprowadzało. Do załatwiania interesów. W pewnym momencie dopili szampana i zaczęli pić wódkę. Wódka była tak zimna, że aż ścierpła mu skóra na głowie.

Zdał sobie sprawę, że jest porządnie pijany. Nie był amatorem alkoholu, kieliszek dobrego wina wieczorem to było wszystko, na co się porywał, poza tym jego głowa i żołądek były za słabe, żeby sprostać taniemu szampanowi zmieszanemu z osiemdziesięcioprocentową rosyjską wódką. Czas ruszył naprzód długimi susami, zmieniając się w serię stop-klatek – w jednej chwili przetrząsał portfel w poszukiwaniu wystarczającej kwoty w rublach na zapłacenie rachunku, w następnej siedział na przednim siedzeniu taksówki, prowadzonej brawurowo z oszalemiącą prędkością. Przyszło mu do głowy, że został porwany. Słyszał, jak Irina mamrocze coś po rosyjsku do taksówkarza. Martin usiłował zapiąć pas bezpieczeństwa, ale mężczyzna burknął: „*Niet*”, po czym powiedział do Iriny coś, co ją rozbawiło. „Nie trzeba” – dodał, jakby Martin kwestionował jego umiejętności kierowcy. Martin także się roześmiał, oddając swoje życie w ręce szalonego rosyjskiego taksówkarza i rosyjskiej kandydatki na żonę. Ogarnęła go niespodziewana beztroska. Coś wisiało w powietrzu, jakaś zmiana.

W szufladzie nocnego stolika w Hotelu Czterech Klanów znalazł laminowany błyszczący informator z kartami dań i numerami telefonów okolicznych lokali oferujących jedzenie na wynos. W brzuchu mu burczało, w gardle czuł kwas. Mógłby zamówić pizzę, ale wiedział, że przyjedzie równie nieapetyczna jak na zdjęciu w karcie, poza tym i tak nie miał przy sobie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby za nią zapłacić. „Wyskoczę

tylko coś przekazać” – poinformował recepcjonistkę. Wiedział, że nie ma powodu tłumaczyć jej się ze swoich poczynań, nie potrafił się jednak otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, że Hotel Czterech Klanów jest jego tymczasowym aresztem. Był praktycznie splukany, lecz sądził, że stać go na frytki i może talerz zupy w jakiejś niedrogiej knajpie.

– Świetny pomysł – odparła obojętnie recepcjonistka.

Na podbródku miała czerwoną kropkę, która wyglądała jak krew, choć Martin uznał, że to najprawdopodobniej keczup.

Wylądował w taniej kafejce internetowej. Wyglądała jak staroświecki sklepik na rogu, tyle że jej ściany pomalowano na czarno, a na fasadzie ktoś wypisał fioletową fluorescencyjną farbą: „e-kawa”. W środku pachniało starymi fusami kawowymi i wanilią. Martin zamówił zupę pomidorową, która smakowała zwierzęcym suszonym oregano, ale mieściła się w jego skromnym budżecie.

Otoczony komputerami ponownie zdał sobie sprawę, jak bardzo brakuje mu stałej obecności laptopa. Wspomniał o jego zniknięciu nadkomisarzowi Sutherlandowi, który ograniczył się do spisania szczegółów. Martin nie miał wątpliwości, że ta sprawa znajduje się dość nisko na liście jego priorytetów.

– W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin spotkało pana sporo przygód, panie Canning – zauważył. – Ale – dodał wesoło – niech pan tylko pomyśli: pewnego dnia, gdy będzie po wszystkim, może pan to opisać.

Przez krótką chwilę Martin rozważał, czy nie zalogować się do internetu. W pewnym sensie był ciekaw, czy jego śmierć wpłynęła jakoś na jego pozycję na Amazonie (przypuszczał, że na dwoje babka wróżyła). Ostatecznie zdecydował się nie zaglądać na stronę Amazona ani nie wpisywać do wyszukiwarki swojego nazwiska (ani nazwiska Richarda). Naprawdę nie miał ochoty znaleźć w sieci szeroko rozpowszechnionych dowodów własnej śmierci.

Gdy zapłacił za zupę wyszperanymi w kieszeniach drobnymi, zostało mu raptem sześćdziesiąt jeden pensów. Był tylko o dziesięć minut spacerem od swojego biura – podjął świadomy wysiłek, aby tym razem nie dodawać cudzysłowu

– więc przyszło mu na myśl, że mógłby się tam przejść i zobaczyć, co i jak. Może nazajutrz zdoła umknąć z Czterech Klanów, kupi nadmuchiwany materac i rozbije biwak na panelach w biurze? Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek będzie w stanie ponownie zamieszkać w swoim domu. Nawet gdy policja zakończy pracę, jak miałby się pozbyć wizji zamordowanego Richarda w swojej (o ironio) bawialni? I jak miałby to wszystko posprzątać? Nie potrafił sobie wyobrazić kobiet z „Przysług” zeskrobujących mózg Richarda Moata z dywanów i ścian w tych ładnych różowych uniformach.

W biurze była toaleta oraz malutka kuchenka z czajnikiem i mikrofalówką. Wszystko, czego tak naprawdę potrzebował. Będzie tam mógł pędzić żywot prosty i pozbawiony upiększeń, jak mnich, którym nigdy nie był.

W młodości często wyjeżdżali na kempingi – ze skautami (Christopherowi pasowała jowialna sztuczność skautingu, Martin z trudem ją tolerował), a parę razy z rodzicami; matka wchodziła wówczas w rolę posłusznego kaprała ich ojca Harry’ego, nieustannie grzejąc w czajniku wodę na rozchwanym prymusie, podczas gdy Harry szkolił swój szczupły oddział w mroczniejszej sztuce przetrwania (jak skrócić kark królikowi, schwytać pstrąga i obezwładnić węgorza). Wyglądało na to, że nie da się przetrwać, nie odbierając życia innej istocie.

Nina Riley była zapaloną obozowiczką. Przebywając w Szwajcarii w czasie wojny, zasmakowała w życiu na łonie natury, często więc pakowała zapasy do bagażnika swojego bristolu i ruszała do domku w górach. Miała parę solidnych butów do pieszych wycieczek, wojskowy namiot i staroświecki płócienny plecak ze skórzanymi paskami, w którym nosiła termos oraz grube pajdy chleba z wołowiną i musztardą. Żeby zaparzyć herbatę, gotowała wodę z torfowisk. Łowiła też ryby – w rzekach pstrągi, w morskich zatokach makrele – potem smażyła je na śniadanie przed całodziennymi wędrówkami. Na trasie miała wszelkie szanse, by się natknąć na różne podejrzane indywidua, które następnie należało śledzić. „Podejrzenie mi to wygląda, Bertie. Sądzę, że nasz znajomy to

zwykły szubrawiec”. Sam Bertie rzadko otwierał usta. Pewien producent telewizyjny zasugerował Martinowi, że między Niną a Bertie’em powinno być „jakieś seksualne napięcie, bo oboje są trochę *nijacy*, wie pan?”. Martin zastanawiał się, czy traci zmysły – czy tak to się objawiało?

W drodze z kafejki do biura minął cyrk w parku Meadows. Cyrki zawsze były dla niego niepokojące; cyrkowcy, istoty kruche i całkiem zbędne z punktu widzenia potrzeb reszty planety, zachowywali się tak, jakby wiedzieli o rzeczach, o których on nie miał pojęcia. Jakby posiadli jakieś Tajemnice. Cyrk był rosyjski. No jasne, jakżeby inaczej? Cała Mateczka Rosja ściągnęła do miasta, żeby postawić go przed sądem z powodu swej utraconej córki. „Ta tutaj lalka bardzo wyjątkowa, bardzo dobry artysta. Sceny z Puszkina, Puszkina, sławny rosyjski pisarz. Pan zna?”. Życie pisał mu teraz sam Kafka. Przestawał istnieć, wymazywano go z pamięci oraz historii – i całkiem słusznie, w końcu to samo zrobił z Iriną. Porzucił ją jak śmieć. Stał z oblicza ziemi i teraz za karę spotykało go to samo.

W jego biurze ktoś był. Nic nie zostało zniszczone ani przewrócone, chodziło raczej o drobiazgi: otwarte drzwiczki mikrofalówki, plastikowe opakowanie z niedojedzonym hamburgerem i pusta puszka po coli w kuchennym koszu na śmieci. Na podłodze leżał papierek od cukierka, krzesło stało w innej części pokoju niż zwykle. Bloczki różnokolorowych karteczek, które trzymał ułożone równo na biurku, poprzesuwno. Nie, żeby od razu grasował tu złodziej; wyglądało to raczej, jakby niechlujna sekretarka nie miała co robić i nudziła się przez całe popołudnie.

Martin wysunął szuflady biurka. Tutaj wszystko było w porządku, długopisy i ołówki schludnie ułożone, spinacze do papieru i mazaki fluoroscencyjne na swoich miejscach. Brakowało tylko jednej rzeczy. Martin rzecz jasna wiedział, co to będzie, zanim jeszcze otworzył szufladę. Płyta z kopią zapasową *Śmierci na Czarnej Wyspie*, ostatnim istniejącym egzemplarzem jego powieści, zniknęła. Osunął się na drogie krzesło biurowe, które było na wyposażeniu biura. W tym

samym momencie zauważył, że z bloczka wyrwana została różowa karteczka, która teraz tkwiła przyklejona na wprost biurka pośrodku nagiej, białej ściany. Ktoś zostawił mu wiadomość: „Pieprz się, Martin”. Serce zabiło mu gwałtownie, wygrywając w piersi pulsujący capstrzyk. To było jak *wirus*. Od telefonu, który obudził go dziś rano, po wieczorne uwięzienie w Hotelu Czterech Klanów – kolejne wydarzenia, wszystkie tak samo okropne.

Telefon, który obudził go dziś rano, był od Richarda! „Jedno nieodebrane połączenie”. Martin był wtedy zbyt otepiały, żeby odebrać, a potem kompletnie o nim zapomniał. Musi koniecznie zawiadomić policję. To przecież ważny dowód. Wyjął telefon i zobaczył, że bateria za moment się rozładuje.

Pożałował, że nie odebrał rano tego połączenia; mógł być ostatnią osobą, z którą Richard miał szansę rozmawiać. „Dobry Boże” – powiedział głośno, układając usta w taki sam owal jak palona na stosie czarownica na sztychu w jego hotelowym pokoju. A jeśli Richard telefonował do niego podczas... swojej karni? Jeżeli rozpaczliwie potrzebował pomocy? Czy odbierając telefon, mógł w jakiś sposób zapobiec śmierci Richarda? („Stój, ty szubrawcze!”). Martin oparł głowę na biurku i jęknął. Nagle przyszło mu coś na myśl. Poderwał głowę i spojrzał na przyczepioną do ściany różową karteczkę. Richard telefonował do niego o dziesiątej – Martin pamiętał, że spojrzał na radio z budzikiem stojące przy łóżku w Hotelu Czterech Klanów. Tymczasem nadinspektor Campbell twierdził, że Richard zmarł między czwartą a siódmą rano, więc nie mógł dzwonić do Martina o dziesiątej. *Chyba że dzwonił zza grobu*. Jakby na dany sygnał, coś, czego nawet Nina Riley nie zdołałaby zorganizować, telefon w jego ręku zaświergotał. Grobowe bicie serca gwałtownie przyspieszyło i stało się nieregularne. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko: Richard Moat.

Znów był na „Pirackiej łajbie” i czuł, jak huśtawka wznosi się bez końca, porywając ze sobą jego ciało, lecz umysł pozostawiając w dole, jak sunie ku swemu zenitowi, tej nanosekundowej pauzie na wierzchołku łuku. To nie wznoszenie było przerażające, tylko upadek.

Jego wyimaginowana małżonka dzielnie podjęła dzierganie. Niedawno zaczęła robić dla niego na drutach wełniany półgolf. „Żebyś mi nie marzył w zimie, najdroższy”. Martin opiekował racuchy na mosiężnym widelcu. Ogień huczał w kominku, racuchy skwierczały, było bezpiecznie i przytulnie. Richard Moat przeszedł na drugą stronę i *o wszystkim się dowiedział*. Serce Martina biło tak mocno, że aż bolało. Czyżby miał zawał? Żona coś do niego mówiła, ale nie słyszał, bo ogień tak głośno huczał. Błękitne jak u lalki oczy Iriny otworzyły się gwałtownie. Nie, jej tutaj nie było. Nie mogła być w ich uroczej chatce. To niedopuszczalne. Opadał, tonął, kurtyna się opuszczała. Tłukło się w nim jakieś czarne, potworne stworzenie, jego skrzydła trzepotały mu w piersi. Druty żony stukwały wściekle, próbowała go ocalić swoim dzierganiem.

Z wahaniem odezwał się do słuchawki: „Halo?”. Nikt mu nie odpowiedział. Jego komórka wydała ostatnie słabe piśnięcie i zdechła. Zbrodnia i kara. Oko za oko. Do miasta wkroczył kosmiczny wymiar sprawiedliwości. Martin zaczął płakać.

Słoni oczywiście nie było – w tych czasach w cyrkach nie widywało się zwierząt. Z dzieciństwa Jackson pamiętał tylko jedną wizytę w cyrku; w przeciwieństwie do tego, co sądziła Julia, miał jednak dzieciństwo (jakie było, takie było, ale było). Cyrk, który pamiętał sprzed czterdziestu lat (czy naprawdę był taki stary?), rozbił namiot na skraju miasta, na polu należącym do kopalni węgla, w cieniu wielkiej hałdy. Pełno w nim było zwierząt: słoni, tygrysów, psów, koni, były tam nawet – tak mu się wydawało – tresowane pingwiny, choć tu akurat mógł się mylić. Dobrze pamiętał upajający zapach namiotu cyrkowego, woń trocin i zwierzęcego moczu, waty cukrowej i potu, oraz czar egzotycznych postaci, których życie tak bardzo różniło się od życia Jacksona, że odczuwał to jako fizyczny ból.

Louise Monroe odrzuciła jego zaproszenie. I tak dostał od Julii tylko jeden bilet, choć chętnie kupiłby drugi, gdyby Louise zgodziła się z nim pójść.

Cyrk w parku Meadows nie wyglądał, jakby krył w swym wnętrzu te same pokusy i strachy co tamten sprzed lat. Był to cyrk rosyjski, choć w wirujących talerzach, skokach na trapezach i akrobacjach na linie nie było nic szczególnie rosyjskiego. Tylko klauni nawiązali do kraju swego pochodzenia w występie odwołującym się do rosyjskich lalek matryoszek, jak informował program. Słowo dnia. Jacksonowi przypomniały się sterty pudeł w korytarzu biura „Przysług” opisanych słowem „matryoszki”. Dotknął palcami ukrytej w kieszeni laleczki wielkości fistaszka. Warstwy cebuli. Chińskie szkatułki, chińskie szepty, rosyjskie szepty. Tajemnice ukryte w innych tajemnicach. Lalki ukryte w innych lalkach.

Konferansjer (to chyba jego miała na myśli Julia, mówiąc „cyrkowy naganiacz”) wyglądał jak wszyscy cyrkowi konferansjerzy na świecie: czarny cylinder, czerwony frak,

w ręku bat. Bardziej pasował do roli prowadzącego polowanie na lisy niż do roli mistrza ceremonii w królestwie świecącego kiczu. Był za wysoki, żeby się podobać Julii. W programie wspomniano, że cyrk dzieli scenę z „transseksualistami z Bangkoku”. Jacksonowi ulżyło, że żaden/zadna z nich na podarował/nie podarowała Julii biletów na swój show.

„Zamordowany”, powiedziała Julia. Poprzedniego wieczoru oglądał Richarda Moata na scenie, teraz biedak leżał w jakiejś lodówce. Jackson oklaskiwałby go goręcej, gdyby wiedział, że to ostatni występ komika. Czy zamordowano go, bo nie był zabawny? Ludzie zabijali z mniej ważnych powodów. W istocie przyczyny, dla których jedni mordowali drugich, często wydawały mu się błahe, gdy jeszcze służył w policji. Przypuszczał, że z perspektywy mordercy wygląda to trochę inaczej. Prowadził kiedyś śledztwo w sprawie, w której pewien osiemdziesięciolatek rozbił żonie głowę młotkiem, ponieważ przypaliła mu poranną owsiankę. Kiedy Jackson zauważył, że nie jest to powód, który przekonałby ławę przysięgłych, starszek odparł: „Tylko że ona przypalała ją codziennie od pięćdziesięciu ośmiu lat”. („Mógł pan jej wcześniej zwrócić na to uwagę” – stwierdził sucho sierżant, ale Jackson dobrze wiedział, że nie tak to działa w małżeństwie). Gdy później opowiadał tę historię, wydawała się niemal zabawna, lecz w widoku mózgu tamtej starej kobiety rozbryzganego na wytartym linoleum nie było niczego śmiesznego, podobnie jak w widoku starszka o załzawionych oczach i trzęsących się rękach wsadzanego na tył radiowozu.

Jeśli miałyby być szczerzy, dziwiło go, że ludzie częściej się nie zabijają. A Julia zdecydowanie go okłamywała.

Jedna twarz w morzu twarzy po przeciwnej stronie areny przykuła jego uwagę. Tym razem nie był to tylko frazes, naprawdę miał przed sobą morze twarzy, praktycznie niemożliwością było skupienie wzroku na jednej. Do tej pory sądził, że dalekowzroczność powinna poprawiać się z wiekiem, a krótkowzroczność pogłębiać (może na odwrót?), najwyraźniej jednak przegrywał na obu tych polach. Ale gdy się skupił – chociaż nie, właściwie lepiej było, gdy się nie skupiał – mógł

wypatrzeć tę dziewczynę. Z zadartą do góry głową przyglądała się akrobatom na trapezach, a na jej twarzy malował się wyraz błęgiego spokoju. Oczy miała na wpół przymknięte, jakby myślała o czymś innym, oglądając występ. Była tak podobna do jego martwej dziewczyny, że to aż niemożliwe. Wypisz, wymaluj, jego dziewczyna zwinięta na skale niczym śpiąca syrena, której zakłócił sen. Zmrużył oczy, usiłując przypatrzeć się jej rysom, lecz wystarczyło, że na moment stracił ją z oczu, i zniknęła, rozplynęła się w morzu innych twarzy.

Gdy na arenie akrobaci utworzyli ludzką piramidę, zasnął i ocknął się kompletnie zdezorientowany. Pułap cyrkowego namiotu był teraz ciemnoniebieski, usiany srebrnymi gwiazdami; coś mu to przypominało, ale nie mógł skojarzyć co. Potem zdał sobie sprawę, że chodzi o sklepienie – niebieski firmament – w bocznej kaplicy kościoła katolickiego, do którego matka ciągnęła ich po trzy razy w każdą niedzielę, gdy byli mali, aż wreszcie straciła energię i posłała ich do diabła.

Może i Julia wcale nie kłamała, po prostu nie mówiła mu prawdy.

Gdy wraz z tłumem wylegających na Meadows widzów opuścił namiot, powitał go perłowy zmierzch. Szarówka. Tu, na północy, było o wiele jaśniej; ulotne nordyckie światło przemawiało do jego duszy. Usiadł na ławce i włączył telefon. Odebrał wiadomość od Julii: „Bar trav przyjdź i znajdź nas” (zauważył, że tym razem nie było już „J” czy choćby jednego symbolicznego buziaka. O „całusach” czy interpunkcji nie wspominając). Domyślił się, że „trav” oznacza Traverse, co było i dobre, i złe – dobre, ponieważ bar znajdował się w pobliżu i Jackson wiedział, jak do niego trafić; złe, gdyż był tam pierwszego wieczoru z Julią i resztą obsady, a lokal okazał się zadymioną spelunką pełną pozerów z Londynu. Może zdoła ją namówić, żeby z nim wyszła, i wstąpią do którejś z licznych w tej części miasta włoskich knajpek. Jak przez mgłę pamiętał, że tego wieczoru miał jej coś ugotować. Przemysłne plany myszy i ludzi. Omawiali tę książkę w szkole – to znaczy koledzy ją omawiali, podczas gdy Jackson gapił się w okno albo wagarował. Przypomnił sobie niewielką tabliczkę z pomnika

ku czci Szkotów poległych w różnych wojnach. „Towarzysze broni z kompanii podkopowych”. Poczul się dziwnie osamotniony.

Choć wokół wciąż kręciło się sporo ludzi, na Meadows szybko zapadał zmrok i w pewnym oddaleniu od ustawionych w parkowych alejkach latarni zalegały kałuże gęstego cienia, wprost zachęcające do wszelkiego rodzaju występków. Nagle jeszcze bardziej pociemniało i Jackson zdał sobie sprawę, że to zgasy światła na cyrkowym namiocie. Coś się w nim zapadło, jakiś ołowiany ciężar, wspomnienie drogi powrotnej z tamtego cyrku sprzed czterdziestu lat, gdy trzymając matkę za rękę – ona sama była teraz jedynie mglistym wspomnieniem – wspinał się pod górę. Ich miasto rozsiało się na wzgórzach i pamiętał, że oglądając się za siebie, ujrzał, jak rozświetlony namiot cyrkowy gwałtownie pogrąża się w ciemności. Widok ten dotknął go w sposób, którego jako mały chłopiec nie potrafił sobie wytłumaczyć. Dziś wiedział, że to była melancholia. Melancholik, choleryk. Flegmatyk – tak określiła go poprzedniego dnia Louise Monroe – „Pan wydaje mi się wyjątkowo flegmatyczny, panie Brodie”. Jak nazywał się czwarty do kompletu? Sangwinik. Ale to melancholia zdominowała jego temperament. Innymi słowy, był wiecznie nieszczęśliwym sukinsynem.

Gasną światła w całej Europie, pomyślał. Boże, co za beznadziejny cytat. Ostatnimi czasy sporo czytał o historii wojskowości – w tym miejscu Amazonowi należał się ukłon. Po raz kolejny przyszedł mu do głowy tamten wiersz Binyona. *O zmierzchu zachodzącego słońca...* Kolejne wersy były do niczego. W rzeczywistości wicehrabia Grey patrzył na *zapalające się*, a nie gasnące uliczne latarnie, choć niektórzy uznawali rzecz jasna ów cytat za apokryficzny. Wielkie nieba, co się z nim porobiło? Smutny frajer w średnim wieku siedzący o zmierzchu na ławce w parku i rozmyślający o dawno minionej wojnie, w której nie brał udziału. Z zasady rzadko zdarzało mu się rozmyślać o wojnach, w których *brał* udział. Jedyne, czego teraz potrzebował, to puszka jasnego piwa. Odkąd zaczął się uważać za frajera? „Wątpię, czy zobaczymy je ponownie

zapalone za naszego życia”. Nie winiłby Julii, gdyby się nim znudziła.

Niespodziewanie całe to uzalenie się nad sobą poszło w niepamięć, ponieważ ją zobaczył. To była ona, jego martwa dziewczyna. Nie przywidziała mu się w cyrkowym namiocie, naprawdę tam była, a teraz była *tutaj* i szła ku niemu przez Meadows, co chwila niknąc w cieniu rzucanym przez drzewa w alejce.

Miała na sobie szpilki i krótką letnią spódniczkę, więc siłą rzeczy ogarnął go podziw dla jej fantastycznych nóg. Jackson zerwał się z ławki i ruszył w stronę dziewczyny, obmyślając, co powinien powiedzieć. „Cześć, wyglądasz zupełnie jak pewna martwa dziewczyna, którą znam”? Nie o taki wstęp do rozmowy mu chodziło. Wiedział, że to nie może być jego martwa dziewczyna, chyba że umarli właśnie zmartwychwstali, w co szczerze wątpił. Wolał sobie nie wyobrażać, jakie by się zrobiło zamieszanie.

Naraz – Jackson pomyślał, że to się robi odrobinę męczące – ktoś wyłonił się z mroku? Jego odwieczny wróg, koleś z hondy. Terence Smith skradał się na palcach za niemartwą dziewczyną krokiem, który przywodził na myśl postaci złoczyńców z kreskówek. Ten człowiek był niszczyielskim żywiołem, a żywioły nie skradały się na paluszkach. Dziewczyna może i była żywa, lecz wyglądało na to, że Terence Smith wkrótce położy temu kres; tym razem nie miał w rękę wypróbowanego kija bejsbolowego, tylko coś, co wyglądało jak nylonowa linka. Pies, kij, linka, ten facet był chodzącym arsenałem! „Hej! – wrzasnął Jackson, próbując zwrócić na siebie uwagę dziewczyny. – Za tobą!”. Naprawdę to powiedział? Nie chodziło jednak o skecz ani o napad rodem z burleski – Terence Smith właśnie zarzucił jej linkę na szyję. Ostrzegawczy krzyk Jacksona na coś się jednak przydał, bo dziewczyna zdążyła złapać linkę i teraz ciągnęła za nią z całej siły, uniemożliwiając napastnikowi zaciśnięcie pętli.

Jackson rzucił się biegiem w ich kierunku. Inni byli bliżej, lecz najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że na ich oczach ktoś usiłuje udusić kobietę. Zanim Jackson dobiegł na miejsce,

dziewczyźnie udało się wykonać błyskawiczny i niezwykle skuteczny manewr z udziałem podeszwy jej buta oraz krocza kołosa z hondy i biedny Terry osunął się na ziemię z paskudnym jękiem. „Odarty z męskości”, pomyślał Jackson. Dziewczyzna nie czekała, tylko zrzuciła szpilki i popędziła z powrotem tam, skąd przyszła, w stronę cyrku. Zanim Jackson dopadł skrecającego się z bólu Terence’a Smitha, całkiem znikła mu z oczu.

Jęki kołosa z hondy zwróciły uwagę kilku przechodniów, którzy najwyraźniej uznali, że padł on ofiarą napaści, sprawcą zaś musi być stojący nad nim mężczyzna. Już to przerabiałem, pomyślał Jackson. Cenne sekundy mijały, podczas gdy jego mózg pracował na zwolnionych obrotach, usiłując ogarnąć sens tego zaskakującego spotkania: on, jego stary kumpel Terry i dziewczyna wyglądająca identycznie jak tamta znaleziona w zatoce Firth of Forth. Gdy mocowała się z dusicielem, w jej uszach zauważył malutkie krzyżyki. Zbieg okoliczności, powiesz – pomyślał – a ja powiem, że to się ze sobą łączy. W zaskakujący i kompletnie niezrozumiały sposób, ale niewątpliwie te dwie pozornie różne sprawy łączyły się ze sobą. Jackson był rozdarty między pragnieniem przesłuchania Terence’a Smitha i przy okazji sprania go na kwaśne jabłko dla własnej satysfakcji a chęcią pogoni za sobowtórem martwej dziewczyny.

Decyzja zapadła bez jego udziału i przypieczętował ją przyjazd policyjnego radiowozu z dwojgiem mundurowych w środku – kobieta i mężczyzna, doprawdy śliczna parka – którzy szybko wysiedli i ruszyli parkową alejką stanowczym krokiem, który Jackson tak dobrze znał. Dość wolno, żeby móc spokojnie ocenić sytuację, lecz gotowi w każdej chwili przyspieszyć. Któryś z przechodniów wskazał im Jacksona i zawołał: „To on to zrobił!”. No nie, pomyślał Jackson, wielkie dzięki. Już raz skazano go dzisiaj za pobicie Terence’a Smitha; za recydywę od razu trafiłby pewnie za kratki. Wziął głęboki wdech, aż go zabolalo, i puścił się biegiem w przeciwnym kierunku.

Połowa patrolu, posterunkowa, została przy wielkoludzie,

który wciąż lamentował z powodu swojej męskości. Jackson był bardzo ciekaw, co takiego zrobiła mu dziewczyna, i chętnie przekazałby ową tajemną wiedzę kobietom swego życia na wypadek, gdyby ktoś kiedyś próbował podnosić je do góry z linką zaciśniętą na szyi. Co nie daj Panie Boże.

Drugi policjant potoczył się alejką za Jacksonem. Był dość zwalisty i w zwykłych okolicznościach Jackson umknąłby mu bez trudu, lecz spowalniały go obite żebra. Skręcił w labirynt przyczep kempingowych i ciężarówek otaczających namiot cyrkowy. Zahaczył o coś, potknął się i przewrócił z łoskotem jakiś przedmiot. Ktoś zaczął mu wymyślać, ale biegł dalej, klucząc między różnymi pojazdami tworzącymi obozowisko cyrkowców.

W przejściu między ciężarówkami przystanął dla złapania tchu. Słyszał, jak posterunkowy z kimś rozmawia. Czy instykt włóczęgowski, powszechny wśród członków trupy cyrkowej, sprawi, że zechcą mu pomóc i pokierują przedstawiciela władzy w drugą stronę? Na to liczył. Akurat. Policjant, zdyszany, ale zawzięty, mignął mu u wylotu przejścia między ciężarówkami. Jackson rozpląszczył się na ścianie wielkiego generatora, ale było za późno – tamten go zauważył i zaskoczony krzyknął coś niezrozumiałego. Tkwiący w Jacksonie policjant chciał go uspokoić. Posterunkowy ścigał go bez wsparcia partnerki, nikt go nie krył, a on nie wiedział, do czego uciekinier jest zdolny, musiał więc mieć większego pietra niż Jackson. Do czego właściwie *byłby* zdolny?

Nie czekał, żeby się przekonać, tylko znów puścił się bezładnym slalomem między pojazdami. Wysilek zaczynał dawać mu się we znaki; żebra bolały go tak bardzo, że ledwo utrzymywał się w pionie. Już myślał, że trzeba będzie zakończyć tę zabawę w chowanego, gdy ktoś (lub coś, miał nadzieję, że jednak ktoś) chwycił go za ramię i wciągnął w mrok.

Niecałkowity mrok; światła wpadało tu akurat tyle, żeby Jackson mógł się zorientować, że znajduje się na zapleczu namiotu cyrkowego, w miejscu, w którym artyści czekali na swój występ. Przed nim ciągnął się tunel prowadzący na arenę.

W pierwszej chwili skojarzył mu się on z Koloseum. Rok wcześniej zabrał Marlee do Rzymu. Zjedli wtedy mnóstwo lodów i pizzy. Wszystkie jego ostatnie wspomnienia dotyczyły wakacji.

Światła było też wystarczająco dużo, żeby mógł dostrzec lśnienie noża połyskującego tuż przy swojej szyi. W pierwszej chwili pomyślał, że to Terence Smith ze swoim arsenałem komandosa, ale Terence w żaden sposób nie zdołałby się tak szybko tu dostać. Przekręcił głowę, czując drapanie ostrza niebezpiecznie blisko tętnicy. Sobowtór martwej dziewczyny. Uśmiechnęła się do niego. Miała dzikie spojrzenie, które nie zachęcało do odwzajemniania uśmiechu. Przydałoby się jeszcze paru klaunów, żeby koszmar osiągnął apogeum.

– Zamknij się, okej? – syknęła.

Miała cudzoziemski akcent. Właściwie nie powinien się dziwić, ostatnio spotykał same cudzoziemki.

– Okej – zgodził się.

Odsunęła nóż o dwa centymetry. Stała tak blisko, że czuł bijącą od niej woń papierosowego dymu i perfum. Zachciało mu się papierosa. Zachciało mu się seksu – myśl, która go zaskoczyła, zważywszy na okoliczności. Był ciekaw, czy te kolczyki to symbol jakiegoś kultu – może świadectwo wiary chrześcijańskiej neofitki? Nie przypominała żadnej znanej mu chrześcijanki, lecz z tym nigdy nic nie wiadomo. Czy uratowała go przed policją, żeby go teraz zabić? To by nie miało sensu, choć z drugiej strony nic tu się nie trzymało kupy.

– Wyglądasz jak ktoś, kto nie żyje – szepnął.

Owszem, wcześniej stwierdził, że to kiepski początek rozmowy, ale i tak to powiedział.

– Wiem – odparła.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Opuściła nieco nóż.

– To była twoja siostra? – zaryzykował.

– Nie, koleżanka – odrzekła, wzruszając ramionami.

– Byłyśmy podobne i tyle.

– Koleś z hondy, Terence Smith – dlaczego cię zaatakował?

Zmrużyła zielone oczy i parsknęła śmiechem.

– Ta lebiega? – rzuciła z pogardą. – On idiota.

– Wiem, że to idiota, ale próbował cię zabić.

Wykonała gest, który, jak się domyślił, musiał wyrażać coś wulgarnego tam, skąd pochodziła. Pewnie z Rosji, sądząc po akcencie.

– *Da* – przytaknęła.

Robiła wrażenie zaskakująco obojętnej na fakt, że ktoś właśnie próbował pozbawić ją życia. Jackson był ciekaw, czy często ją to spotykało.

– Widziałem cię w cyrku – powiedział.

– Cyrk teraz nielegalny? – burknęła.

Nie była mistrzynią konwersacji towarzyskiej.

– Jak masz na imię? – ośmielił się spytać. – Ja się nazywam Jackson Brodie. Byłem kiedyś policjantem.

– Nie mam imienia. Ja nie istnieję – syknęła znowu – i ty też nie będziesz istniał, jeżeli się nie zamkniesz. – Naprawdę, nie szła jej ta pogawędka.

– Jesteśmy po tej samej stronie – zapewnił ją Jackson.

Wydawało się to mało prawdopodobne, ale... Czy wróg jego wroga nie był mimo wszystko jego przyjacielem?

– Ja nie jestem po żadnej *stronie*. Słuchaj...

Lekkie dźgnięcie nożem w żebra, żeby zwrócić jego uwagę.

– Boli.

– I co z tego?

Naprawdę nie miał pojęcia, czemu się o nią martwił. Kolejne ukłucie nożem w żebra.

– Okej, okej, już słucham – jęknął.

– Przestań wtykać nos w nie swoje sprawy. Sama to załatwię.

– Co załatwisz?

Wbiła mu głębiej czubek noża w żebra – w jego obite, obolałe żebra – i powiedziała:

– Możemy już iść – stanowczym tonem, który wykluczał wszelką dyskusję.

Przeprowadziła go przez arenę, w ciemnościach niesamowitą i ograbioną z wszelkiej iluzji, po czym kazała mu przeczołgać się pod połą namiotu pod opustoszałą trybuną. Znaleźli się na trawie, w chłodzie nocnego powietrza. Ani śladu Terence'a Smitha czy policji.

– Ocaliłam ci skórę – oznajmiła i roześmiała się, wyraźnie zadowolona, że zapamiętała angielski idiom. – A teraz spadaj.

Odwróciła się i odeszła. Była boso, ale nie zwracała na to uwagi. Jackson podążył za nią, kulejąc jak zbity pies.

– Spieprzaj – fuknęła, nawet się oglądając.

– Opowiedz mi o swojej koleżance, o tej martwej dziewczynie w wodzie – nalegał. – Kim była?

Nie zwolniła kroku, tylko podniosła w górę nóż, żeby mógł go zobaczyć. Był mniejszy, niż Jackson przypuszczał, lecz wydawał się ostry, a dziewczyna zdecydowanie wyglądała na kogoś, kto użyje go bez żadnego wahania. Jackson czuł respekt przed nożami; w swoim czasie widział wielu ludzi pchniętych nożem, z których większość nie miała szansy nikomu o tym opowiedzieć.

– Czy to Terence Smith zabił twoją koleżankę?

Minęli grupkę ludzi, którzy nawet na nich nie spojrzeli: bosa dziewczyna, nóż, kulejący mężczyzna, podejrzana rozmowa. Jackson domyślił się, że wzięto ich za artystów festiwalowych.

– Upierdliwy jesteście, Jacksonie Brodie! – krzyknęła.

Dotarli do głównej arterii, wokół nagle zaroilo się od ludzi i samochodów. Jacksonowi wydało się, że poznaje ulicę; byli w pobliżu muzeum na Chambers Street, niedaleko sądu okręgowego, sceny jego porannego upokorzenia. Aż trudno uwierzyć, że to wciąż ten sam dzień.

Rozpaczliwie usiłował ogarnąć ostatnie wydarzenia, zanim umknie mu ich sens. Terence Smith próbował zabić szaloną Rosjankę. Szalona Rosjanka była koleżanką jego martwej dziewczyny. Terence Smith napadł na niego i kazał mu zapomnieć o wszystkim, co wcześniej widział. Jackson założył, że chodziło o tamtą stłuczkę. A jeśli o wypadki na wyspie Cramond? Szalona Rosjanka i Jackson byli jedynymi świadkami mogącymi potwierdzić, że martwa dziewczyna naprawdę nie żyje. Teraz Terence Smith próbował zabić tę *drugą*. Po raz pierwszy od swojej niepożądanego kąpieli w zatoce Jackson dostrzegał zarysy czegoś, co miało sens. Namacalny związek, nie zaś zwykły zbieg okoliczności.

Rosjanka czekała, żeby przejść przez jezdnię, kołysząc się na

krawężniku w oczekiwaniu na lukę w strumieniu aut, jak chart niecierpliwie wyglądający otwarcia bramki. W momencie gdy Jackson ją dogonił i wyciągnął rękę, żeby chwycić ją za ramię i zatrzymać, samochody stanęły na czerwonym świetle. W głębi duszy spodziewał się, że ugodzi go nożem albo ugryzie, ale tylko wlepiała w niego wściekły wzrok. Zielony ludzik na przejściu dla pieszych zamigotał i zapiszczał za ich plecami. Światło zmieniło się na czerwone, a ona wciąż się w niego wpatrywała. Był ciekaw, czy pod wpływem jej spojrzenia zmieni się w głaz.

Niespodziewany ogłuszający huk sprawił, że Jackson aż podskoczył. Widział kiedyś, jak jego dom wylatuje w powietrze, i od tamtej pory był wyczulony na głośne dźwięki.

– Fajerwerki – odezwała się dziewczyna. – Na zamku.

Rzeczywiście, w oddali nad zamkiem wzniósł się w niebo pióropusz połyskujących iskier i wolno opadł na ziemię. Nagle, całkiem bez ostrzeżenia, dziewczyna nachyliła się i przysunęła usta do jego ucha, jakby chciała go pocałować. Zamiast tego powiedziała:

– Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi – po czym wybuchnęła śmiechem, jakby opowiedziała wyjątkowo zabawny dowcip.

– Co takiego?

Odwróciła się, żeby odejść. Wyszarpnęła mu rękę, a on poprosił:

– Zaczekaj, nie odchodź, poczekaj chwilę. Jak mogę się z tobą skontaktować?

Roześmiała się i odparła:

– Pytaj o Jojo.

Potem przeszła przez pasy na czerwonym świetle, zatrzymawszy nadjeżdżające auta wyniosłym gestem. Naprawdę miała fantastyczne nogi.

Zanim dał nura do baru Traverse, Julia i reszta towarzystwa dawno sobie poszli. Przypuszczał, że zastanie ją w domu, ale gdy dotarł wreszcie do mieszkania, nie było po niej śladu, choć minęła północ. Próbował się do niej dodzwonić, ale miała wyłączony telefon. Jackson był tak zmęczony, że nawet nie

zauważył, kiedy wśliznęła się obok niego pod koldrę.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– A *ty*? – odparł.

Pytanie za pytanie. Miał wrażenie, jakby znów toczył tę samą dobrze znaną wojnę. Zanim doszło między nimi do sprzeczki, zadzwonił jego telefon. Louise Monroe chciała wiedzieć, jaki był w wieku czternastu lat. Jak się okazało, miała syna. Nigdy by się nie domyślił, że jest matką.

– Czemu kobiety wydzwanają do ciebie w środku nocy z pytaniem, jakim byłeś nastolatkiem? – spytała sennie Julia.

– Może uważają, że jestem interesujący.

Julia zachichotała, głęboko i gardłowo. Śmiech przeszedł w kaszel i zanim doszła do siebie, było za późno, by zapytać, co ją tak rozbawiło.

Louise wybrała jego numer, siedząc w samochodzie, i zanim zdążył się odezwać, zapytała:

– Jaki byłeś w wieku czternastu lat?

– Czternastu?

– Tak, czternastu – powtórzyła. Podniecał ją sam dźwięk jego głosu. Jackson był dla niej tak cudownie nieodpowiedni.

– Nie wiem – odparł po namyśle. – Na pewno nie był ze mnie żaden ministrant. Pewnie trochę łobuzowałem, jak wielu chłopaków w tym wieku.

– Nie wiem absolutnie nic o czternastoletnich chłopakach.

– A czemu miałabyś wiedzieć?

– Mój syn ma czternaście lat.

– Twój syn? – Wydawał się zaskoczony. – Nie myślałem, że jesteś...

– Matką? – podsunęła. – Wiem, trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie jest. Historia stara jak świat: plemnik spotyka jajeczko i trach. Zdarza się najlepszym z nas. – Westchnęła. – Czternastolatki to koszmar.

Uświadomiła sobie, że zaciska dłonie na kierownicy, jakby miała stężenie pośmiertne.

– Jak ma na imię?

– Archie.

„Jak ma na imię?” Takie pytanie mógł zadać tylko rodzic, stwierdziła. Gdy Archie przyszedł na świat, ludzie, którzy pytali ją, ile waży, sami mieli małe dzieci. Faceci niebędący ojcami nigdy nie interesowali się wagą Archiego ani tym, jak Louise da mu na imię. Wydedukowała więc, że Jackson Brodie ma dzieci. Nie chciała nic o nich wiedzieć; nie interesowali jej kolesie z odzysku, w dodatku z bagażem. Dzieci stanowiły bagaż, coś, co wszędzie się ze sobą taszczyło. Właśnie jak bagaż.

– Masz dzieci? – zapytała, bo po prostu nie mogła się

powstrzymać.

– Jedno, dziewczynkę – odparł Jackson. – Marlee. Ma dziesięć lat. Jeśli to cię pocieszy, nie wiem o dziesięcioletnich dziewczynkach.

– Archie nie jest przestępcą – rzuciła Louise, jakby Jackson coś mu zarzucał. – W zasadzie jest nieszkodliwy.

– Mało brakowało, a wylądowałbym w sądzie za kradzież, kiedy miałem piętnaście lat.

– I co się stało?

– Zaciągnąłem się do wojska.

Chryste! Archie w kamaszach, co za myśl.

– Dlatego do mnie dzwonisz? – upewnił się. – Żeby prosić o rodzicielską radę?

– Nie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jestem na osiedlu Burdiehouse.

– Piękna nazwa dla osiedla – powiedział znużonym głosem.

– Stoję przed zlikwidowanym sklepem. Dawniej była tu chyba poczta. Po jednej stronie sprzedają rybę z frytkami, po drugiej jest sklep spółdzielczy. Parterowe obiekty handlowe, na górze żadnych mieszkań, żadnego lokalu, który można by uznać za mieszkalny.

– Po co mi to mówisz i czy w ogóle powinnaś być tam sama po zmroku?

– Bardzo to szarmanckie z twojej strony, ale jestem już dużą dziewczynką. Mówię ci o tym, bo pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, jaki adres zamieszkania podał dziś rano w sądzie twój Terence Smith.

– Koleś z hondy podał fałszywy adres?

– Co stanowi wykroczenie, jak zresztą wiesz. Mówiłam ci, że tylko idiota przyznałby się do winy. A przy okazji: nikt inny nie zapamiętał numeru rejestracyjnego wozu, którego kierowca był zamieszany w tamtą stłuczkę i napaść, więc utrudniłeś śledztwo, zatajając istotne informacje.

– Możesz mnie pozwać – mruknął Jackson. – Zresztą dopiero co go widziałem. Znów próbował kogoś zabić.

– Terence Smith? – spytała ostro. – Tylko mi nie mów, że znowu na niego napadłeś!

– Nie, chociaż policja bardzo chciała mnie w tej sprawie przesłuchać.

– Co ci odubiło?

– Kłopoty to moja specjalność.

– Próbował kogoś zabić? Czy to kolejna z twoich fantazji?

– Ja nie mieszkam w fantazji. Przynajmniej nie na temat ludzi mordujących się nawzajem. Jeśli ci powiem, co zaszło, uznasz, że jestem jeszcze większym paranoikiem, niż sądziłaś, i cierpię na urojenia.

– Przekonajmy się – rzuciła.

– Widziałem dziś dziewczynę. Wyglądała identycznie jak moja martwa dziewczyna, miała nawet te same kolczyki.

– Jesteś jeszcze większym paranoikiem, niż sądziłam, i cierpisz na urojenia.

– Nie mówiłem?

– Wszędzie widzisz martwe dziewczyny?

– Nie, wszędzie widuję tę samą martwą dziewczynę.

Facet jest niewątpliwie obłąkany, stwierdziła. O dziwo, nie tracił przez to nic ze swojej atrakcyjności. Louise westchnęła i powiedziała:

– Dobra, to na razie. Wracam do domu. Śpij dobrze.

Były pewne zasady. Nie flirtowało się ze świadkami, nie flirtowało się z podejrzanymi, nie flirtowało się z prawomocnie skazanymi przestępcami. Tymczasem Jacksonowi Brodiemu udało się być wszystkimi trzema naraz. Naprawdę, Louise, nie mogłaś lepiej trafić. No i oczywiście nie flirtowało się z mężczyzną, który miał już kobietę.

Przynajmniej wyjaśniło się, czemu przyjechał do Edynburga. „Na festiwal” – odparł, gdy pierwszy raz go przesłuchiwała, ale nie wyglądał na bywalca festiwalu. I to się nie zmieniło. Tyle że teraz *Julia* grała w przedstawieniu.

„Jaka jest ta Julia?”. Dźwięk jej imienia sprawił, że Louise poczuła niespodziewane, głębokie ukłucie zazdrości. Trzeba było w porę ugryźć się w język i siedzieć cicho.

„Jest aktorką”. Jego odpowiedź ją zaskoczyła. Wymawiając imię Julii, Jackson zmarszczył brwi.

Bądź szczerą. Szczerość bywała trudna, nawet wobec siebie

samej. Louise z natury lubiła mijać się z prawdą. Sam zwrot „mijać się z prawdą” to w pewnym sensie hipokryzja, bo w gruncie rzeczy była z niej zwykła kłamczucha. Bądź szczerą, Louise, Jackson ci się podoba. „Podoba się”, co za niedorzeczne, dziecinne słowo. „Grant Niven podoba się Louise Monroe” wypisywano w szkolnych toaletach, gdy była w czwartej klasie. Posterunkowa Louise Monroe i inspektor Michael Pirie na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu gdzieś nad ranem po jego imprezie pożegnalnej. „Chryste, Louise, zawsze obłędnie mi się podobałaś”. Tępy blask jego obrączki w ciemnościach, dźgnięcia i pchnięcia rozpasanej lubieżności, z których począł się Archie. Jakie to dziwne, że dzieci znajdujące się na samym szczycie piramidy moralnej, jeśli chodzi o niewinność, powstawały w wyniku czegoś tak wulgarnego. Bestia o dwóch grzbietach. Może nie tyle Jackson jej się podobał, ile widziała w nim kogoś, kto przetrwał życiowe zawieruchy i wciąż jeszcze miał innym coś do ofiarowania. „Nie można mieć jednego i drugiego – pouczała ją jedna z koleżanek. – Wrażliwego twardziela. Mężczyźni są jak steki, nie mogą być jednocześnie delikatni i twardzi”. Wrażliwy twardziel, sprzeczność sama w sobie, heglowska synteza. Dualizm, edynburska choroba. Louise była pewna, że takie połączenie jest możliwe, choć niewykłuczone, że istniało tylko w jakimś odległym zakątku galaktyki. Albo w osobie Jacksona Brodiego. Może.

Zauważyła pod jego brwią bliznę po ospie. Archie miał podobną niemal w tym samym miejscu – malutkie wgłębienie w kształcie tarczy, które, jak przypuszczała, nigdy nie zniknie.

Ciemne włosy przetykała siwizna. Dobrze, że nie zapuścił brody, jak to robi wielu facetów w średnim wieku chcących ukryć podwójny podbródek – akurat jego ten problem nie dotyczył. Choć prawdopodobnie nieźle wyglądałby z brodą. Gdy Louise była młodsza, nie wyobrażała sobie, że podstarzali siwiejący mężczyźni będą kiedyś dla niej choć trochę atrakcyjni. No i proszę. Ale nie zapominajmy o *Julii*. Choć z drugiej strony była aktorką, a Jackson *zmarszczył brwi*, wymawiając jej imię. To dwie rzeczy przemawiające na jej

niekorzyść.

Dziwne, że takie drobiazgi mogą nas pociągać w drugim człowieku. Na przykład to, jak ktoś podaje nam kieliszek, mówiąc: „Proszę”. Blizna po ospie, ściągnięta smutkiem twarz, gdy mówił „Julia”.

Louise cicho wprowadziła auto do garażu. Przypomniała sobie, jak Sandy Mathieson mówił, że ktoś w mieście sprzedał garaż za sto tysięcy funtów. Charakterystyczną cechą Edynburga było to, że nawet najlepsze adresy nie miały czasami garaży, w związku z czym bogate ówoki musiały się borykać z koszmarem parkowania na ulicy, podczas gdy Louise na swoim nowoczesnym, bezpłciowym (a przy tym potwornie drogim) osiedlu mogła się cieszyć garażem na dwa samochody. Dzięki ci, Grahamie Hatterze! Urna z prochami jej matki stała na półce w garażu, wciśnięta między na wpół opróżnioną dwulitrową puszkę farby a słoik z gwoździami. Wsiadając z wozu, Louise zasalutowała jej kpiąco. „Cześć, mamó”.

Żelek czekał tuż za frontowymi drzwiami, żeby ją przywitać. W sypialni Archiego dudniły głębokie basy. Żelek podreptał za nią po schodach. Musiał postawić wszystkie cztery łapki na stopniu, zanim wdrapał się na następny. A jeszcze tak niedawno śmigał po schodach jak żywe srebro. Korkociąg w jej sercu wykonał bolesne ćwierć obrotu.

„Pewnie trochę łobuzowałem”. „Łobuzować” to dobre słowo; gdy następnym razem Archie wpakuje się w kłopoty, będzie mogła go użyć. „Archie trochę łobuzuje, ale jest w porządku”. Coraz częściej dręczyła ją wizja, w której siedziała na sali sądowej i patrzyła na Archiego na ławie oskarżonych; przegrywał życie, a ona swoje razem z nim. „W wieku trzech miesięcy umieściła go pani w żłobku i wróciła do pracy, pani Monroe? Kariera zawsze była dla pani najważniejsza, zgadza się? Nie wie pani, kto jest jego ojcem?”. Jasne, że wiedziała, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Nieszkodliwy, akurat – pomyślała. Jej syn był zwykłym gnojkiem i tyle.

Zapukała do drzwi pokoju Archiego i szybko weszła do środka, nie czekając na odpowiedź. W kontaktach z podejrzanymi liczył się element zaskoczenia. Archie i Hamish

(cholera, całkiem zapomniała o Hamishu) siedzieli skuleni przed komputerem Archiego. Dobiegło ją ściszone ostrzeżenie Hamisha: „Uwaga, idzie!”. Na jej widok Archie natychmiast wyłączył komputer. Pewnie oglądali pornosy. Louise ściszyła muzykę. Nie powinna tego robić, ostatecznie jej syn też miał jakieś prawa. Bzdura, nie miał żadnych praw.

– Co tam, chłopcy? – zagadnęła. Wiedziała, że mówi jak funkcjonariuszka, nie jak matka.

– Wszystko świetnie, Louise – odparł Hamish, posyłając jej szeroki, fałszywy uśmiech.

Pieprzony Harry Potter. Archie nic nie powiedział, tylko wlepił w nią wściekły wzrok. Czekał, aż sobie pójdzie. Gdyby urodziła dziewczynkę, prowadziłyby z nią teraz urocze pogawędki o ciuchach, chłopcach i szkole. Dziewczynka leżałaby na łóżku i bawiła się kosmetykami do makijażu. Dziewczynka dzieliłaby się z nią swoimi tajemnicami, nadziejami, marzeniami, tym wszystkim, czym Louise nigdy nie dzieliła się z własną matką.

– Jutro idziecie do szkoły, powinniście już spać.

– Masz całkowitą rację, Louise – przyznał Hamish. – Chodź, Archie, pora lulu.

Mały skunks, pomyślała, wychodząc z pokoju. Odeszła kilka kroków i zawróciła na palcach, żeby posłuchać pod drzwiami. Nie włączyli muzyki. Wydawało się jej, że czytają na głos jakąś książkę, raz jeden, raz drugi. Żadna pornografia, chociaż chichotali, jakby tak było. Zdecydowany głos Hamisha, bardziej męski teraz, gdy był bezcielesny, oznajmił: „Wiesz, Bertie, myślę, że kryje się za tym coś więcej, niż się na pozór wydaje – rzekła Nina. – Maud Elphinstone sprawia wrażenie bledszej niż przysłowiowa ściana, lecz zdaje mi się, że dama ta zbyt głośno protestuje”. Na co rozległ się skrzeczący głos Archiego: „Ależ Bertie, czyżbyś się rumienił?”.

Czy tych dwóch było gejami? Jak by się czuła, gdyby jej syn okazał się gejem? Prawdę mówiąc, poczułaby sporą ulgę, bo nie musiałyby się w przyszłości zmagać z całym tym maczystowskim cyrkiem. Miałyby za to z kim chodzić po zakupy. Czy nie to chwaliły sobie matki homoseksualistów?

Louise nie cierpiała zakupów; to mógł być pewien problem.

„Chyba się zadurzyłeś w naszej ślicznej Maud, Bertie”.

Zegnali się i wtedy przez chwilę miała wrażenie, że Jackson ją pocałuje. Jak by zareagowała? Natychmiast oddałaby mu pocałunek. Na środku ulicy, jak jakaś nastolatka. „Louise Monroe zadurzyła się w Jacksonie Brodiem”. Ponieważ najwyraźniej była idiotką.

Gloria spędziła wieczór w szpitalu. Bacznie obserwowała Grahama, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie udaje. Może doszedł do wniosku, że jako martwy dla świata zdoła uniknąć piętrzących się wokół niego problemów? „Słyszysz mnie, Grahamie?” – szepnęła mu do ucha. Nawet jeśli ją słyszał, trzymał język za zębami.

Upadły kolos był teraz słaby jak kociak i cichutki jak myszka. Obalony Ozymandias. *Tonie w piasku strzaskana twarz*⁶. W młodości Gloria bardzo lubiła Shelleya. Na sześćdziesiąte urodziny podarowała Grahamowi pięknie ilustrowany tom jego wierszy zebranych wydany przez The Folio Society – na zasadzie, że powinno się obdarowywać innych tym, co sami chcielibyśmy otrzymać.

Graham naturalnie, jak to on, źle zinterpretował wiersz, dostrzegając jedynie triumfalizm i pychę słów: *Ja jestem Ozymandias, król królów. Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpacz!*⁷. Gloria nie potrafiłaby na poczekaniu przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek dostała od członka swojej rodziny coś, czego naprawdę pragnęła. Na ostatnią Gwiazdkę Emily („wraz z Nickiem”) kupili jej mikser kuchenny gorszej jakości niż ten, który miała, Graham zaś podarował jej bon na zakupy do Jennersa – kompletnie bezosobowy prezent, najprawdopodobniej i tak kupiony przez jego pracownicę, kochankę i przyszłą żonę w jednym, Maggie Louden. Nic jej nie ostrzegło, że ta kobieta, stojąca pod jej choinką i opędzająca się od kruchych ciasteczek, nosi się z zamiarem zostania następną panią Grahamową Hatter. *Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce*⁸.

6 Percy Bysshe Shelley, Ozymandias, przekład Adama Asnyka.

7 Tamże

8 Tamże

Wypiła filiżankę herbaty podaną przez sympatyczną pielęgniarkę i przekartkowała egzemplarz „Evening News” kupiony w sklepiku na dole. „Policja pyta, czy ktokolwiek widział wchodzącą do wody kobietę”. Jej uwagę zwróciły słowa: „kolczyki w kształcie krzyżyków”. Odstawiła filiżankę i ponownie przeczytała krótki artykuł od początku do końca. „Wchodząca do wody” – co by to miało znaczyć?

Po powrocie do domu Gloria zeszła do piwnicy i przełączyła system monitoringu na tryb nocny. Na jednym z ekranów coś się poruszyło – para oczu, błyszczących straszliwie w ciemnościach. Lis, lis wielkości sporego psa niósł w pysku resztki wczorajszej kolacji Glorii. Naraz, całkiem nieoczekiwanie, ekran zgasł.

Potem pogasły wszystkie pozostałe, jeden po drugim. Koniec z małutkimi robotami poruszającymi się to tu, to tam i strzegącymi jej czujnie swoimi elektronicznymi oczami. Światelka alarmu zamrugwały i zgasły, w całym domu wysiadł prąd. Tak będzie się czuł Graham, gdy będzie umierał.

Uspokajała się, że to przepalony bezpiecznik. Nie ma się czym przejmować. W całkowitych ciemnościach ruszyła po omacku przez piwnicę w stronę ściany, na której znajdowała się skrzynka z bezpiecznikami. Nagle usłyszała jakiś hałas. Odgłosy stapania i otwieranych drzwi, skrzypienie podłogi.

Serce waliło jej mocno. Wyobraziła sobie, że musi być jak sygnał alarmowy dokładnie wskazujący w mroku jej pozycję. Tego ranka w Merchiston jakiś człowiek został zatłuczony na śmierć; kto wie, może morderca zdążył się tymczasem przenieść na południowe przedmieścia? Żałowała, że nie ma się czym bronić. Dokonała w myślach szybkiego spisu inwentarza. Szopa ogrodowa kryła największy arsenał – były tam sprej na chwasty, siekiera, elektryczne nożyce do żywopłotu oraz podkaszarka. Gloria przypuszczała, że za pomocą podkaszarki można wyrządzić całkiem spore szkody czymś kostkom. Niestety, nie miała szans, by dostać się do szopy i nie minąć po drodze intruza, który wdarł się do jej domu. Czy to on miał oczy błyszczące jak brylanty i był wzrostu niedźwiedzia?

Nagle przypomniały jej się słowa Maggie Louden. „Czy to już?

Wszystko załatwione? Pozbyłeś się Glorii?”. A jeśli nie mówiła o rozwodzie, tylko o zabójstwie?

No jasne, to byłoby dokładnie w stylu Grahama! Rozwód z Glorią oznaczałby dla niego utratę połowy majątku, na co z pewnością by się nie zgodził. Gdyby umarła, mógłby wszystko zatrzymać. Melodramatyczna koncepcja rodem z opery mydlanej, jednak dziwnie prawdopodobna. Zapewne wynajęłby kogoś, bo nie lubił brudzić sobie rąk. Zapłaciłby komuś, żeby się jej pozbyć. Albo skorzystałby z pomocy Terry’ego. Oczywiście, że tak – wykorzystałby Terry’ego.

Gloria przycisnęła dłoń do serca w nadziei, że stłumi jego zdradziecki łomot. Znów zatrzeszczała deska w podłodze, tym razem znacznie bliżej, i Gloria zdała sobie sprawę, że ktoś stoi u szczytu schodów do piwnicy – niewyraźna sylwetka, lekko podświetlona blaskiem księżyca wpadającym przez świetlik w holu.

Sylwetka zaczęła schodzić na dół. Gloria wzięła głęboki wdech i oznajmiła groźnie:

– Zanim zrobisz kolejny krok, wiedz, że jestem uzbrojona.

Kłamstwo, rzecz jasna, lecz w tych okolicznościach prawda nie byłaby skuteczną bronią. Sylwetka zawahała się i schyliła, żeby mieć lepszy widok na pomieszczenie piwniczne, a potem znajomy głos powiedział:

– Witaj, Glorio.

Z ust Glorii wyrwał się krótki okrzyk przerażenia, po czym odparła:

– Myślałam, że nie żyjesz.

Gdy Martin wrócił do Hotelu Czterech Klanów, miejsce recepcjonistki o wyglądzie naczelnik więzienia zajął znany mu nocny portier. Czy Sutherland nie mówił przypadkiem, że mężczyzna był na urlopie? Podał Martinowi klucz, nie podnosząc głowy znad egzemplarza „Evening News” rozłożonego na tandetnym fornirowanym blacie recepcyjnego kontuaru. Z kącika warg zwiślał mu papieros.

– Pamięta mnie pan? – zagadnął go Martin. – Wie pan, kim jestem?

Nocny portier oderwał się niechętnie od lektury, z papierosa spadł słupek popiołu. Spojrzał na Martina i nie znajdując w nim najwyraźniej niczego interesującego, ponownie pochylił się nad gazetą.

– Taaa – mruknął, przewracając stronę – pan jest tym trupem, zgadza się?

– Tak – przyznał Martin. – Jestem trupem.

Czwartek

36

Zapiał kogut. Trudno o lepszy budzik. Przypomniawszy sobie, że jest niedziela, jego ulubiony dzień tygodnia, i przeciągnął się z lubością na łóżku, prostując ręce i nogi. Nie musiał dziś wstawać i iść do pracy. Z pisaniem koniec, dzięki Bogu; dziwnie wyzwalająca była dla niego myśl, że codziennie w tygodniu musi wkładać garnitur, wiązać krawat i dojeżdżać do Londynu do pracy w konserwatywnym biurze o wysokich sufitach, z wielkimi, staroświeckimi biurkami, gdzie młodszy stażem urzędnicy i sekretarki zwracali się do niego: „panie Canning”, a prezes klepał go po plecach i pytał: „Ty stary szczęściarzu, jak się miewa ta cudowna kobieta, którą poślubiłeś?”.

Nie wiedział, na czym upływały mu tam dni, ale w porze lunchu szedł zawsze do restauracji, w której kelnerki nosiły białe zdobione haftem angielskim fartuszki i zgrabne czepeczki. Podawały mu zupełną ogonową i gotowany na parze pudding z kremem z mleka i jajek. Popołudniami zaś, punktualnie o trzeciej, jego sekretarka (June, a może Angela), pogodna młoda kobieta biegła w stenografowaniu i nosząca bliźniaki z miękkiej dzianiny, przynosiła mu filiżankę herbaty oraz talerzyk herbatników.

Kogut nie wiedział, że to dzień wolny od pracy. Wkrótce dołączyło doń inne ptactwo. Na tle ptasiego chóru Martin odróżniał radosny świergot kosa, ale tożsamość pozostałych śpiewaków była dla niego tajemnicą. Jego (cudowna) żona z pewnością by ich rozpoznała, była dziewczyną ze wsi, tam urodzoną i wychowaną. Prawdziwą wieśniaczką, zdrową i wykarmioną mlekiem. Wsparty na łokciu studiował rysy jej zdrowej, wiejskiej twarzy. We śnie była jeszcze ładniejsza, choć

była to uroda wzbudzająca u mężczyzn raczej pełen szacunku podziw niż zwykłe pożądanie. Sama idea pożądania by ją skalala. Była po prostu bez skazy. Na twarzy miała kosmyk miękkich, brązowych włosów. Martin odgarnął go delikatnie i ucałował bezcenny rubinowy łuk jej warg.

Zrobi jej śniadanie do łóżka. Porządne śniadanie, złożone z jajek na bekonie i smażonego chleba. Na lunch zjedzą dziś świetną angielską pieczeń wołową; mięso wciąż racjonowano, lecz wiejski rzeźnik był ich przyjacielem. Wszyscy się z nimi przyjaźnili. (Martin zastanawiał się, czemu w tym drugim życiu tak często był mięsożercą).

Poranek potoczy się według zwykłego, jakże sympatycznego niedzielnego schematu. Gdy lunch będzie prawie gotowy – sos zgęstnieje, mięso zmięknie – Martin wybuchnie śmiechem (to będzie taki ich wspólny żarcik) i powie: „Łykniemy coś przed obiadem, najdroższa?”, po czym sięgnie po sherry w kryształowej karafce Waterforda, która należała jeszcze do jej rodziców. Będą sączyli amontillado, siedząc w fotelach obitych tkaniną we wzór „Złodziej truskawek” i rozkoszując się kwintetem fortepianowym *Pstrąg* Schuberta.

Słyszał ciurkanie wody w łazience, a następnie jej lekkie kroki w holu i na schodach. Peter/David wydawał odgłosy jak samolot, udając, że samodzielnie stawia czoła Luftwaffe. Martin słyszał, jak woła: „A masz, ty podły szwabie!”, po czym naśladuje dźwięk karabinu maszynowego: „Ra-ta-ta-ta”. Dobry był z niego chłopiec; pewnego dnia zostanie pilotem myśliwca jak jego ojciec – na pewno nie będzie tchórzem jak Martin. Gdy poprzedniego wieczoru siedzieli w przytulnym salonie (ogień huczący w kominku i tak dalej) po tym, jak Peter/David wycalował ich oboje na dobranoc i poszedł na górę spać – Martin opiekował placuszki, a jego żona dziergała kolejny tradycyjny wełniany sweter z Fair Isle – małżonka odłożyła na chwilę druty i z uśmiechem powiedziała: „Myślę, że nasz mały zasłużył sobie na braciszka albo siostrzyczkę. Co ty na to?”. Taka chwila to skarb w życiu pełnym skarbów.

Ponownie się przeciągnął i objął żonę, wdychając konwaliowy zapach jej włosów. Poruszyła się lekko na znak, że nie śpi i też

ma ochotę. Wsunął dłoń pod fałdy jej koszuli nocnej, odszukał piersi krągłe jak jabłka i przycisnął się do niej całym ciałem. W tym momencie powinien powiedzieć coś pieszczotliwego, tkliwego. Z jakiegoś powodu miał problemy, gdy przychodziło mu wymieniać z nią czułe słówka. Może byłoby mu łatwiej, gdyby nadał jej imię? Przewróciła się na bok i odwzajemniła pieszczotę. „Marty” – powiedziała.

Drgnął i obudził się. Budzik pokazywał szóstą rano. Przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć pod kołdrę i upewnić się, czy nie zmienił się przypadkiem w wielkiego owada.

Brzask nowego dnia przyćmił latarnie i sączył się do środka przez cienkie pomarańczowe zasłony, wypełniał pokój blaskiem poatomowego świtu. Twarz Martina była skąpana w tym upiornym żółtawym świetle. Nie wyobrażał sobie, że mógłby teraz zasnąć. Ściany hotelu były cienkie jak papier. Każdy splukiwany sedes, każda odkształzona flegma, każdy akt seksualny – rozpoczęty i zakończony – wszystko to zdawało się pobrzmiwać echem w jego pokoju.

Co, jeśli utknął tu na dobre, uwięziony w surrealistycznej pętli czasowej, i odtąd każdego ranka będzie się budził w innym pokoju Hotelu Czterech Klanów? Ile ich tutaj mieli? A jeśli ich liczba była nieograniczona, jeśli było to jedno z tych miejsc ze *Strefy mroku*, z nieistniejącym trzynastym piętrem i personelem, na który w istocie składały się duchy poprzednich lokatorów? Co, jeśli to hotel, z którego nie można się wymeldować?

W trzeźwym świetle poranka nabrał pewności, że to nie Richard Moat dzwonił do niego ostatniej nocy. Co było bardziej prawdopodobne: to, że Richard Moat chciał się z nim skontaktować zza grobu, czy że ten, kto go zabił, dzwonił do Martina ze skradzionego telefonu? Z dwojga złego wolał telefony od mordercy niż od trupa. Było to, rzecz jasna, coś, o czym powinien zawiadomić policję, lecz sama myśl o ponownym spotkaniu z Sutherlandem była zbyt przygnębiająca. Co powiedziałby mu morderca Richarda Moata, gdyby nie rozładowała się bateria w komórce? Może: „Ty będziesz następny”? Oko za oko.

Poprzedniego wieczoru powiedział Melanie, żeby odwołała jego występ na festiwalu książki, lecz teraz rozumiał, że udział w spotkaniu z czytelnikami będzie dowodem odwagi. „Weź się w garść, chłopcze! Staw czoła swoim lękom”. Sprowadzony do roli igraszki bogów nie przestał być Alexem Blake’em. To było jego życie, arena jego zmagania – niezbyt może szlachetnych, ale nic więcej mu nie pozostało.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin stracił laptop, portfel, powieść, dom, a nawet tożsamość. Został mu już tylko Alex Blake.

W recepcji urzędował teraz chłopak w atłasowej prążkowanej kamizelce i z muszką pod szyją, wyglądający, jakby się urwał z kabaretu.

– Czy mógłbym skorzystać z telefonu? – spytał go Martin.

– Oczywiście, panie Canning. Moja matka przeczytała wszystkie książki Alexa Blake’a, jest pana najzagorzalszą wielbicielek.

– Dziękuję. Proszę jej podziękować. To bardzo miłe.

Z kieszeni wyłowił ulotkę, wręczoną mu w jego poprzednim życiu. „Gdyby potrzebował pan pomocy” – powiedział tamten mężczyzna. Właśnie jej potrzebował. Potrzebował kogoś, kto stanąłby po jego stronie. „Staw czoła swoim lękom. Weź się w garść, ty cholerna cioto. Ale z ciebie baba, Martinie”.

Nie da się zastraszyć nieuzasadnionym podejrzeniom ani wydzwaniającym do niego trupom. Pójdzie naprzód z wysoko podniesioną głową. Kosmiczny wymiar sprawiedliwości może go dopaść, ale kapitulacja nastąpi na jego warunkach.

Wybrał numer i słysząc dźwięk podnoszonej słuchawki, powiedział:

– Pan Brodie? Nie wiem, czy mnie pan pamięta.

Jackson przewrócił się na łóżku, przywierając całym ciałem do rozgrzanych pleców śpiącej na boku Julii. Zazwyczaj sypiała nago, lecz tym razem miała na sobie jakąś koszmarną piżamę o wiele na nią za dużą, która mogła niegdyś należeć do jej siostry. Jackson wiedział, że noszenie piżamy o czymś świadczy, ale nieszczególnie miał ochotę to teraz roztrząsać. Brakowało mu dotyku nagiej skóry i brzaskwiniowych krągłości Julii. Przyłgął do znajomych wypukłości i łuków, lecz zamiast się do niego przysunąć i dopasować do kształtu jego ciała, Julia odsunęła się, mamrocząc coś niezrozumiałego. Często mówiła przez sen – bezsensowny bełkot, lecz mimo to Jackson przywykł uważnie się weń wsłuchiwać: a nuż wyjawi jakiś sekret, którego znajomość wpłynie na poprawę albo, co bardziej prawdopodobne, pogorszenie jego nastroju.

Znów się do niej przysunął i pocałował ją w szyję, lecz Julia spała jak kamień. Trudno było ją obudzić, nie uciekając się do szturchania. Raz próbował kochać się z nią, gdy spała, i nawet nie drgnęła, kiedy w nią wszedł; później jednak nie pisał o tym ani słowem w obawie, jak zareaguje. Nie przypuszczał, by była tym szczególnie wstrząśnięta (bądź co bądź, to Julia). Najprawdopodobniej spytałaby tylko: „Zrobiłeś to beze mnie? Jak mogłeś?”. Technicznie rzecz biorąc, był to, rzecz jasna, gwałt. W swoim czasie Jackson aresztował mnóstwo facetów, którzy wykorzystywali pijane albo naćpane dziewczyny. W dodatku Julia spała tak twardo, że cała historia miała dla niego lekki posmak nekrofilii. Zamknął raz nekrofila: gość pracował w kostnicy i nie widział w swoich wyczynach niczego złego, ponieważ, jak twierdził, obiekty jego uczuć „wzniosły się ponad takie przyziemne sprawy”.

Piżama Amelii do spółki z nekrofilią zdołały skutecznie stłumić w nim wszelkie pożądanie, jakie czuł zaraz po

obudzeniu. Zresztą Julia pewnie i tak była na niego wkurzona. Przyłożył ucho do jej pleców jak stetoskop i nasłuchiwał świszczącego oddechu. Robił to samo z trzyletnią Marlee, gdy miała zapalenie oskrzeli. Płuca Julii pewnego dnia ją zabiją. Miała w sobie coś, co kazało powątpiewać, że dożyje późnej starości. Zanim zacznie pobierać emeryturę, dostanie rozedmy płuc i wszędzie będzie taszczyć ze sobą butlę z tlenem, wysoką jak ona sama. Znów się od niego odsunęła.

Wszystko podlega entropii, nawet seks i miłość. Powolne wygasanie namiętności. Z wyjątkiem jego miłości do córki, rzecz jasna; to jedyna więź, której nic nie zdoła zerwać. Albo do siostry. Kochał siostrę całym sercem, lecz Niamh wzniosła się zbyt wysoko „ponad ziemskie sprawy”, aby Jackson mógł czuć prawdziwy żar tej miłości. Jedyne, co mu pozostało, to smutek.

Wsparł się na łokciu i bacznie przyjrzał się twarzy Julii. Coś mu mówiło, że wcale nie śpi, tylko udaje.

– Przestań – powiedziała, przewracając się na brzuch i wciskając twarz w poduszkę.

Gdy znów się przebudził, Julia klęczała przy nim na łóżku zawinięta w ręcznik. W rękach trzymała tacę, na której ujrzał kawę, jajecznicę oraz tost.

– Śniadanie! – oznajmiła radośnie. Rzut oka na zegarek powiedział mu, że jest siódma rano.

– Przez chwilę wziąłem cię za Julię – mruknął.

– Cha, cha, bardzo śmieszne. Nie mogłam spać.

Wilgotne włosy miała związane z boku głowy w niewydarzony kucyk, pachniała mydłem i czystością. Naturalnie oświetlona snopem słonecznych promieni tkwiła jakby w świetlnej kapsule. Jackson zauważył ciemne kręgi pod jej oczami i piętno śmiertelności na czole. A może to było tylko zwykłe rozczarowanie. Usiadła na łóżku po turecku i odczytała mu jego horoskop.

– „Strzelce czekają teraz ciężkie chwile. Może ci się wydawać, że drepcesz w miejscu, ale nie lękaj się, przed tobą światelko w tunelu”. To prawda? Rzeczywiście przeżywasz ciężkie chwile?

– zainteresowała się.

– Nie bardziej niż zwykle.

Nie zapytał, co gwiazdy mówią o niej, bo to by znaczyło, że wierzy w coś, co uważał za nonsens. Podejrzewał, że w głębi duszy Julia też ma horoskopy za bajki i tylko się przed nim w afektowany sposób zgrywa.

– Przeżywasz ciężkie chwile? No jasne – bójki, uliczne *burdy*, zabijanie psów...

– Nie zabiłem tego psa.

– Areszt, sąd, prawomocny wyrok. Już nigdy nie przyjmą cię z powrotem do policji, skarbie.

– Wcale nie chcę wracać na służbę.

– Ależ chcesz.

Nieprawdopodobne, ile potrafi działać przypalone śniadanie dla duszy mężczyzny. Jajecznicza była sucha, tost zwęglony, lecz Jackson zdołał to wszystko przełknąć. Spodziewał się, że rano przyjdzie mu się zadowolić zimnymi resztkami wczorajszej sprzeczki, więc jajka i ogólnie życzliwy nastrój Julii przyjemnie go zaskoczyły.

Julia popijała cienką herbatę i gdy zapytał ją, dlaczego nie je (Julia piesko kochała jeść), odparła:

– Problemy żołądkowe. Trema przed premierą. Na widowni będzie prasa, czy to nie koszmarnie? Już sama myśl, że będą nas oceniali w swoich recenzjach, jest przerażająca, prawie tak samo przerażająca, jak *brak* jakichkolwiek recenzji. Poza tym to festiwal, więc wiadomo, że nie mamy co liczyć na przyzwoitych krytyków, bo ci są zbyt zajęci „kolejnym scenicznym odkryciem”, więc pewnie trafi nam się jakiś dureń, który zwykle pisze o sporcie. Szkoda, że nie będzie jeszcze jednego pokazu przedpremierowego.

– Jak wam wczoraj poszło?

– Och, no wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Okropnie.

Jackson serdecznie jej współczuł.

– Przepraszam, że byłem wczoraj taką zrzędą – powiedziała Julia.

– Nie bardziej niż ja – odparł wielkodusznie Jackson.

Wcale tak nie myślał, ale odrobina rycerskości jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zakładał poza tym, że logiczną kontynuacją śniadania do łóżka, podanego mu przez zawiniętą

w ręcznik Julię, będzie seks. Gdy jednak spróbował swawolnie ją do siebie przygarnąć, zeskoczyła z łóżka zwinnie jak kotka i oświadczyła:

– Muszę się szykować, mam dziś masę roboty.

W drzwiach sypialni odwróciła się i dodała:

– Kocham cię, wiesz?

Jak Jackson nieraz miał okazję zauważyć, w początkach związku ludzie wyglądali zwykle na szczęśliwych, mówiąc: „Kocham cię”, pod koniec zaś wypowiadali te same słowa z widocznym smutkiem. Julia miała niewątpliwie tragiczną minę. Choć z drugiej strony, zawsze we wszystkim przesadzała.

Zadzwoiła jego komórka i w pierwszej chwili Jackson nie miał zamiaru odebrać. Dobre wieści śpią do południa, czyż nie tak właśnie mówiono? A może zaczerpnął to z tekstu jakiejś piosenki Cowboy Junkies? Odebrał jednak i przez dobrą chwilę przetrząsał zakamarki pamięci, zanim nazwisko dzwoniącego cokolwiek mu powiedziało. Martin. Martin Canning, gość, który cisnął teczką w Terence’a Smitha. Dziwny niewysoki człowieczek.

– Cześć, Martinie – rzekł, przybierając ton fałszywego koleżeństwa, ponieważ mężczyzna sprawiał wrażenie nieco rozstrojonego. – Jak mogę ci pomóc?

– Chciałem zapytać, czy mógłby mi pan wyświadczyć pewną przysługę, panie Brodie.

To było silniejsze od niego: słowo „przysługa” natychmiast obudziło w nim ponure skojarzenia.

– Jasne, Martinie, nie mam dziś nic innego do roboty. I mów mi po imieniu. Jackson.

– Co będziesz dzisiaj robił? – zagadnęła Julia, całkowicie ubrana i zbyt przejęta czekającym ją dniem, żeby szczerze interesować się jego planami. Malowała się właśnie przed ustawionym na kuchennym stole lusterkiem. Cienka warstewka pudru oprószyła piramidę pomarańczy ułożonych w szklanym naczyniu żaroodpornym. Jackson nie przypominał sobie, aby kupował jakieś owoce.

– Mam fuchę – odparł.

– Fuchę?

– A tak, fuchę. Pewien gość potrzebuje dziś niańki.

– Niańki?

Jackson zaczął się zastanawiać, czy odtąd Julia już zawsze będzie powtarzała każde jego słowo. Czy nie tak właśnie postępowała królowa? Stwarzało to pozory uprzejmej konwersacji; robiło się wrażenie autentycznie zainteresowanego tym, co mówi druga osoba, bez konieczności angażowania się w rozmowę na bardziej sensownym poziomie czy choćby uważnego słuchania rozmówcy. Chcąc sprawdzić tę hipotezę, dodał:

– A potem pewnie pójde utopić się w zatoce.

Zamiast powtórzyć jak papuga: „W zatoce?”, Julia odwróciła głowę i przyjrzała mu się z namysłem, jakby dopiero teraz naprawdę go zauważyła, po czym spytała:

– Utopisz się?

Jackson natychmiast pojął swój błąd. Najstarsza siostra Julii, Sylvia, utopiła się w wannie; akt niezwykle determinacji, za który Jackson niemal ją podziwiał. Była zakonnica, przypuszczał więc, że lata dyscypliny uczyniły ją tak niezłomną. Jego własna siostra nie utonęła; została zgwałcona, uduszona i dopiero potem wrzucona do kanału. Dokoła woda, woda. To ich łączyło, jego i Julię. „Iście karmiczna konkatenacja” – zadumała się kiedyś. Musiał sprawdzić w słowniku słowo „konkatenacja”; kojarzyło mu się z katolicyzmem, ale nie miał racji. Pochodziło od łacińskiego *catena*, łańcuch. Łańcuch dowodowy. Łańcuszek szczęścia. Pożałował nagle, że brak mu klasycznego wykształcenia; jedyną szkołą było dla niego wojsko. Dobra szkoła, dyplom – świat, w którym dorastała jego córka. Ten sam, w którym wychowywała się Julia, i proszę, jakie miała popieprzone życie.

Miał ochotę opowiedzieć Julii o tamtej kobiecie z zatoki, o tym, jak sam niemal utonął, ale już się od niego odwróciła i zaczęła malować usta, przyglądając im się w lusterku z zawodowym dystansem, cmokając i ściągając je w dzióbek, jakby całowała własne odbicie.

Był ciekaw, jak to świadczy o ich związku: nie móc powiedzieć swojemu „obiektowi uczuć”, że zostało się wyłowionym z wody

niczym na wpół utopiony pies. Pies, który z radości skoczył do morza z mola w Whitby, wabił się – jakże by inaczej – Szczęściarz. Jego właściciel, pierwszy, który owego dnia utonął, miał żonę oraz ośmioletnią córeczkę i Jackson często zastanawiał się później, co zrobiły z psem. Zabrały go ze sobą do domu?

– Ale na spektakl zdążysz? – upewniła się Julia.

– Na jaki spektakl?

Wychodząc z mieszkania, zwróciła się do niego:

– Póki pamiętam. Czy możesz mi wyświadczyć przysługę? Zostawiłam kartę pamięci tutaj obok w drogerii. Pomyślałam, że gdybyś nie miał nic lepszego do roboty, mógłbyś odebrać nasze zdjęcia.

– A jeśli mam ciekawsze zajęcie?

– A masz? – spytała Julia, bardziej z zaciekawieniem niż z przekąsem.

– Moment – ocknął się Jackson – wróc: jakie zdjęcia? Jaka karta pamięci?

– Z naszego aparatu.

– Przecież go zgubiłem – rzekł. – Mówiłem ci, że zgubiłem go w Cramond.

– Wiem, a ja mówiłam *tobie*, że zadzwoniłam do policyjnego biura rzeczy znalezionych w Fettes i okazało się, że ktoś im go odniósł.

– Co takiego? Nic podobnego nie mówiłaś.

– Owszem, mówiłam. – Julia była nieugięta. – Chyba że ten, kto leżał obok mnie w łóżku, tylko *udawał* Jacksona.

Kiedy właściwie Julia zdążyła oddać zdjęcia do wywołania, ułożyć owoce w salaterce, odbyć te wszystkie rozmowy telefoniczne i zjeść lunch z Richardem Moatem? Dla *niego* nie miała ani jednej wolnej chwili.

– Scott Marshall – ciągnęła beztrzesko – ten miły chłopiec, który gra mojego kochanka, pojechał do Fettes i przywiózł mi aparat.

– I tak po prostu mu go oddali? – dociekał zdumiony Jackson („gra mojego kochanka”; w jej ustach zabrzmiało to tak zwyczajnie). – Bez żadnego dowodu?

Pomyślał o tkwiącej w aparacie podobiznie jego martwej dziewczyny. Czy ktoś już ją widział, może nawet zrobił odbitki?

– Przez telefon opisałam trzy pierwsze zdjęcia z karty pamięci – odparła Julia. – Jak widać, to im wystarczyło. Powiedziałam też, że po odbiór aparatu zgłosi się niejaki Scott Marshall. Pokazał im prawo jazdy. Do licha, Jacksonie, naprawdę musimy teraz roztrząsać każdy szczegół policyjnej procedury wydawania rzeczy zaginionych?

– I co *jest* na tych trzech pierwszych zdjęciach? – nie ustępował Jackson.

– Sprawdzasz mnie?

– Nie, skąd, jestem zaintrygowany. *Sam* nie mam pojęcia, co na nich jest.

– Ty – mruknęła Julia. – Ty na nich jesteś.

– Ale...

– Muszę już lecieć. Wybacz, skarbie.

Nic dziwnego, że kradzieże tożsamości rosły tak lawinowo. W drogerii byli tak samo pobłażliwi jak na policji. Jackson nie miał żadnego kwitka, żadnego dowodu, że zdjęcia są jego, mimo to oddano mu je zaraz, gdy oznajmił, że „Julia Land” zostawiła je tam rano do wywołania. Drogista (mężczyzna!) uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i odparł: „Tak, pamiętam”, Jackson uznał więc, że Julia zaprezentowała mu się w całej swojej krasie pomarańczarki. Jeśli chodziło o mężczyzn, mogli mieć osiemdziesiątkę na karku i poruszać się za pomocą chodzika, a Julia i tak z nimi flirtowała, pomagając przy przejściu przez jezdnię, ponieważ – i była to jedna z rzeczy, za które ją kochał – należała do osób przeprowadzających starszych ludzi przez jezdnię, pomagających niewidomym w supermarketach oraz przygarniających zabłąkane koty i ranne ptaki.

Potrzeba flirtu była silniejsza od niej i nic nie mogła na to poradzić – zupełnie jakby stanowiła trzon jej osobowości. Flirtowała nawet z *psami*, na litość boską! Widywał ją też flirtującą z przedmiotami, przymilającą się do czajnika, żeby się szybciej zagotował, do samochodu, żeby zapalił, do ognia, żeby buchnął płomieniem. „No dalej, skarbie, jak się

przyłożysz, na pewno ci się uda”.

Może powinien to traktować jak działalność społecznie użyteczną, a nie zagrożenie, i posyłać ją do domów spokojnej starości, gdzie dawałaby staruszkom złudzenie jurności, żeby znów mogli się poczuć jak prawdziwi mężczyźni. „Viagra dla twojego umysłu”. Starzy mężczyźni mieli w sobie coś żalosnego. Faceci, którzy walczyli w wojnach, byli świadkami upadku imperiów, trzęśli firmami i fabrykami niczym udzielni władcy, którzy zarabiali na chleb, spełniali swój obowiązek i robili to wszystko, czego od nich oczekiwano, na starość nie potrafili się nawet wysikać bez pomocy. Dla odmiany stare kobiety, choćby i najsłabsze, nigdy nie wydawały mu się żalosne. Oczywiście było ich więcej niż mężczyzn w podobnym wieku. Wyszuszone jak stare drewno na rozpałkę, lecz nie do zdarcia.

Zabrał ze sobą zdjęcia do baru Tost i rozsiadł się wygodnie w jednym z boksów. Ogarnęły go emocje, jakie towarzyszą rozpakowywaniu prezentu: to samo niecierpliwe oczekiwanie, ten sam przypływ podniecenia, tyle że jakby w negatywie – ich ciemny awers, tak to się chyba mądrze nazywało, słowo, którego użyłaby Julia. Zdjęcie będzie pożądanym dowodem, że jego przygoda w zatoce nie była przywidzeniem; niestety, będzie również niepożądanym dowodem, że ktoś tam naprawdę umarł.

Kelnerka przyniosła mu kawę. Kiedy oddaliła się na bezpieczną odległość i zniknęła za kontuarem, wysypał z koperty błyszczące odbitki w formacie dziesięć na piętnaście. Wydrukowano je w takiej kolejności, w jakiej znajdowały się na karcie pamięci – na pierwszych trzech faktycznie zobaczył siebie. Zdjęcia zostały zrobione na śniegu we Francji, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, gdy Julia testowała swój nowy aparat. Na wszystkich trzech Jackson wyglądał tak samo, uchwycony w niezdarnych pozach. Na ostatnim, po długich namowach ze strony Julii, zdobył się wreszcie na półśmiech. „No dalej, skarbie, jak się przyłożysz, na pewno ci się uda”. Nie cierpiał pozwania do zdjęć.

Dalej było jeszcze kilka fotek z Francji, a później od razu Wenecja, ponieważ, wyjeżdżając po Nowym Roku, Julia

zapomniała zabrać ze sobą aparat do Londynu. Pakowała się w pośpiechu, jak to ona, a potem jeszcze się kochali – ostatnie, szybkie pożegnanie – choć już dawno powinna być w drodze na lotnisko.

Wybrał numer komórki Louise. Długo nie odbierała.

Wenecja wciąż pięknie wyglądała, lecz teraz obrazki w stylu Canaletta przestały być w jego oczach zwykłymi fotkami z wakacji, a stały się przejmującym świadectwem błogich dni, zapisem cudownych czasów, spędzonych wspólnie jako para. Zanim pojawiły się rysy. „Para? Tak o nas myślisz?”

Gdy poprzedniego dnia Louise zwróciła się do niego po imieniu – Jackson („Spójrzmy prawdzie w oczy, Jacksonie, na papierze nie robisz najlepszego wrażenia”) – poczuł się tak, jakby ktoś spuścił wajchę, i ogarnęło go wewnętrzne drzenie, jakby przeszył go prąd. Niedobry z ciebie pies, Jackson. Nie spodziewałbym się tego po tobie.

Nie dało się ukryć, że była w jego typie. Julia tak bardzo nie była w jego typie, że właściwie o niej zapomniał. *Louise*. Tak to się kończy, gdy ktoś przechodzi na ciemną stronę mocy. Zmieniając się w złego Jacksona, zaczynał pożądać innych kobiet. „Uważaj na Ryby” – ostrzegła go Julia. Czy Louise Monroe była spod znaku Ryb? Byłaby dla niego nowym rozdaniem. Niekoniecznie dobrym czy lepszym, po prostu nowym.

Po kilkunastu sygnałach odezwał się męski głos (z nadętym edynburskim akcentem). „Rezydencja państwa Monroe, czym mogę służyć?”. Kompletnie go to zaskoczyło, nie spodziewał się, że odbierze mężczyzna, a co dopiero taki pretensjonalny dupek. Zanim zdołał coś wykrztusić, Louise podeszła do telefonu i burknęła:

– Tak?

– Mówi Jackson, Jackson Brodie – powiedział.

Właśnie dotarł do ostatniego zdjęcia z Wenecji. Przedstawiało widok na lagunę z ich hotelowego okna i zostało zrobione przez Julię w ostatnim momencie („Czekaj, bo zapomniny ten widok”), zanim po raz ostatni wsiedli na pokład hotelowej łódki, płynącej na plac Świętego Marka. Miała rację,

zapomniałby go, gdyby nie został utrwalony na fotografii. Niemniej jednak, jakkolwiek by patrzeć, był to *tylko* widok. Zrozumiał teraz, co miała na myśli, mówiąc o fotografowaniu ludzi – gdyby w oknie na tle laguny stała Julia, byłoby to zupełnie inne zdjęcie.

Na następnej fotce Jackson stał z Japończykiem przy armacie na edynburskim zamku; kolejna przedstawiała pomnik pamięci poległych Szkotów. Po niej było już tylko jedno zdjęcie. Czarne, całkiem czarne. Zaintrygowany, raz jeszcze przejrzał wszystkie odbitki. To samo – ani śladu martwej dziewczyny. Tylko ta jedna czarna fotografia. Przypominała czarny kwadrat, w który co wieczór wpatrywała się Julia – szalejący arktyczny sztorm. Przyszło mu do głowy, że ktoś przez przypadek skasował zdjęcie martwej dziewczyny. Wiedział, że z karty pamięci nie da się niczego całkowicie usunąć – nie wystarczy skasować plik, trzeba zastąpić go nowym. Istniały programy służące do odzyskiwania utraconych zdjęć. Dla pracownika fotograficznego to powinna być bułka z masłem. Albo dla policyjnych techników.

– Chcesz czego? – spytała Louise. – Czy dzwonisz tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

– Widzę, że żaden z ciebie ranny ptaszek – zauważył.

Nagle dotarło do niego, co się stało. Spiesząc się, żeby zrobić zdjęcie – trup, przyływ i tak dalej – zapomniał zdjąć dekielek z obiektywu. *Psiakrew*. Walnął głową w stół. Pozostali klienci Tosta rzucili mu zaniepokojone spojrzenia.

– Halo? Ziemia do Jacksona.

– Nie, niczego nie chcę. Masz rację, zadzwoniłem, żeby cię wkurzyć.

Coś mu się przypomniało, coś, co usłyszał ubiegłej nocy od tej szalonej Rosjanki, i zapytał jeszcze Louise, czy nie słyszała o prawdziwych domach dla prawdziwych ludzi.

– Wiewiórki zjadają mój dom – odparła niespodziewanie.

– Jasne – odrzekł powoli Jackson, nie wiedząc, jak zareagować na podobną nowinę. Był ciekaw, czy Louise ma na myśli jakieś wyjątkowo duże wiewiórki.

Louise czuła, że ogarnia ją dziwna panika, mgliste wspomnienie jakiegoś filmu – dokumentalnego albo fabularnego – którego bohater budzi się zamroczony i odkrywa, że gdy spał, wymordowano mu całą rodzinę, a następnie, błędząc z pokoju do pokoju, znajduje kolejne ciała.

Przebudziła się gwałtownie, zbyt gwałtownie, z łomoczącym sercem, złana zimnym potem. Musiało minąć kilka chwil, zanim dotarło do niej, że to był tylko sen. W tym samym momencie usłyszała skrobanie. W ścianach? Czy raczej nad głową? Nad głową. Pazury albo paznokcie drapiące w drewno. Coś przebiegło i zamarło. Znow się poruszyło i znow zamarło. Próbowwała wyobrazić sobie, co może tak hałasować. Jakies gryzonie urządziły sobie na jej strychu olimpiadę. Jeszcze kilka lat wcześniej mogłaby tam wpuścić Żelka, pogromcę w kociej skórze. Śpiący na łóżku zwierzak otarł się o jej stopę. Chętnie poznałaby jego zawodową opinię na temat owych stworzeń, ale nie chciała go budzić. Ostatnio przesypiał prawie całe noce i dni. Zaczęła o nim myśleć w kategoriach ostatecznych – może to jego ostatnie śniadanie, ostatnie mycie, ostatni spacer na dworze. Przestała mu dawać kocią karmę i zamiast tego w dziale spożywczym Marksa & Spencera kupowała organicznego, wędzonego łososia, plasterki gotowanej piersi kurczaka oraz kartony świeżego kremu z mleka i jajek, z których kot był w stanie od biedy przełknąć kilka kąsków, mniej z głodu, jak podejrzewała, a bardziej, żeby jej sprawić przyjemność. Ostatnia wieczerza. Archie narzekał, że Louise karmi go gorzej niż kota, i miał rację.

Dźwignęła się z łóżka, podreptała do przedpokoju, gdzie otworzyła drzwi do sypialni Archiego – musiała mieć całkowitą pewność, że ten koszmar był tylko koszmarem. Obaj chłopcy smacznie spali, Archie wyciągnięty w swoim łóżku, Hamish

w śpiworze na podłodze. Pokój cuchnął chłopakami. Przypuszczała, że sypialnia dziewczynki pachniałaby lakierem do paznokci, kredkami i tanimi cukierkami. Woń pokoju Archiego stanowiła koncentrat testosteronu i niemytych nóg. W półmroku z trudem mogła dostrzec ruch jego unoszonej oddechem piersi. Nie zwracała sobie głowy sprawdzaniem oznak życiowych u Hamisha; według niej takich jak on powinno się za młodu odstrzeliwać.

Wyciągnąwszy spod swojej poduszki ciężką służbową latarkę, opuściła składaną drabinkę spod włazu prowadzącego na strych. Wdrapała się na nią i ostrożnie podniosła klapę w obawie, że coś skoczy jej na głowę, zapłaczę się we włosy i zacznie podgryzać jej uszy oraz usta.

Malutki świetlik na strychu wpuszczał do środka więcej porannego brzasku, niż się spodziewała; dodatkowe źródło światła stanowiły szczeliny między dachówkami. Louise była prawie pewna, że między dachówkami nie powinno być żadnych szczelin. Nie był to w zasadzie strych, raczej poddasze ze zbiornikiem na wodę, bez przyzwoitej podłogi i prądu. Przewód elektryczny wił się po stropowych deskach, zamiast tkwić równo w peszlu; Louise zauważyła, że część plastikowej osłony przewodu została przegryziona i widać nagie druty. Krokwie i legary były szorstkie, sterczały z nich drzazgi. Brakowało też jakiegokolwiek izolacji. Ciekawe, czy domy bez izolacji budowano zgodnie z prawem. Jej cały dom robił wrażenie niewykończonego, poddasze nie było wyjątkiem.

Coś poruszyło się w odległym kącie, coś małego i szybkiego. Mignął jej szary ogonek i już go nie było; tajemnicze stworzenie zniknęło w niewielkim otworze w miejscu, gdzie rynna stykała się z wąskim gzymsem nad salonem na parterze. Wiewiórka.

Louise omiotła całą ścianę światłem latarki. Teraz widziała wyraźnie, którędy umknęło zwierzątko – szparę w szkielecie budynku, skąd musiał odpaść kawał cementu albo (co bardziej prawdopodobne, jeżeli się zna możliwości Hatter Homes) gdzie w ogóle go nie było. Przesunęła snop światła po ścianie szczytowej niczym archeolog wchodzący do grobowca faraona i zmarszczyła brwi na widok pęknięcia, biegnącego zygzakiem

wzdłuż spoiwa między ceglami. Nie wyglądało to na robotę wiewiórek.

Nieporadnie wycofała się przez właz i zeszła po drabinie. Właśnie stawiała stopę na najniższym szczeblu, gdy czyjaś dłoń dotknęła jej nagiego ramienia, a ona omal nie wyskoczyła ze skóry. Hamish podawał jej kubek kawy niczym uosobienie służalczego kamerdynera, tyle że nie miał na sobie nic poza parą bokserek. Jak na swój wiek, wyglądał całkiem dojrzałe. Louise poczuła się boleśnie świadoma kusego bawełnianego podkoszulka, w którym spała. Ten mały gnojek podglądał ją przez cały czas, gdy złaźła po drabinie.

– Proszę, Louise. Z mlekiem, bez cukru – odezwał się.
– Uznałem, że wyglądasz na kogoś, kto dba o linię. – Miała ochotę mu przywalić, ale nie chciała ścierać kawy z całego przedpokoju; poza tym wolała nie ryzykować procesu, który z pewnością wytoczyłby jej jego tatuś bankier, dupek, którego poznała kiedyś na zebraniu rodziców. Nic dziwnego, że finansista rymuje się z onanista.

– Dziękuję – odparła, biorąc kubek. – Lepiej się zbieraj, bo się spóźnicie do szkoły. – Ostatnie słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem, żeby przypomnieć mu, że – formalnie rzecz biorąc – jest jeszcze *dzieckiem*. Miała nadzieję ujrzeć, jak upokorzony marszczy to swoje gładkie, burżujskie czółko, on jednak odparł:

– Litości, Louise, naprawdę mogłabyś się wyluzować.

Louise wciągnęła na siebie bezkształtny dres i wyszła przed dom. Wciąż była wściekła na Hamisha, który właśnie robił sobie śniadanie w jej kuchni, rozpanoszony, jakby był u siebie w domu. Chociaż kawę parzył zaskakująco dobrą. Archie nie miał pojęcia o parzeniu kawy, potrafił jedynie zalać wrzątkiem rozpuszczalną. Louise była ciekawa, czy Hamish podaje kawę swojej matce. To musi być miłe, gdy ktoś się nami zajmuje. Może we własnym domu był równie aspołeczny i skrepowany jak Archie, który, skoro już o tym mowa, mógł się dla odmiany zachowywać u Hamisha niczym mały lord Fauntleroy i zwracać do matki kolegi z pytaniami w rodzaju: „Czy mogę pani dolać herbaty, pani Sanders?”. No nie, bez przesady.

Stała na chodniku po przeciwnej stronie ulicy i popijając kawę, wypatrywała nedoróbek murarskich w ścianach swojego domu.

Gdzieś w środku rozdzwoniła się jej komórka.

– Spore pęknięcie – odezwał się jakiś głos.

Louise odwróciła się i ujrzała swojego sąsiada, który właśnie przekreślał kluczyk w drzwiczkach samochodu. Skinął głową w kierunku jej frontowych drzwi i usiadł za kierownicą, a jego rodzina upchnęła się w ślad za nim. Louise przesunęła się zwawo z miejsca, gdzie stała, i zadzierając do góry głowę, dostrzegła siateczkę drobnych pęknięć między cegłami nad gankiem. „Jak się nadmę i jak dmuchnę, z twoim domkiem będzie krucho!”. W bajce zły wilk nie zdołał zburzyć domku postawionego z cegieł przez rozsądną świnkę. Niestety, domu Louise nie zbudowała rozsądna świnka. Postawił go sam zły wilk w osobie Grahama Hattera. Co takiego mówiła Jessica? „Osiadanie gruntu czy coś takiego”.

– Kurwa mać – zakląła.

Sąsiad aż się wzdrygnął. Musiał być chrześcijaninem, bo miał na samochodzie jedną z tych naklejek z rybą i zapewne czego innego oczekiwał od funkcjonariuszki policji. W tygodniu codziennie rano odwoził dzieci do szkoły, w sobotnie poranki jechali na basen, a w niedziele do kościoła. Pan Porządny. Rodzinka jak z obrazka. Louise ich nienawdziła.

– Kurwa – powtórzyła, żeby znów zobaczyć, jak się wzdryga.

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Sąsiad odjechał w chmurze dezaprobaty.

W drzwiach stanął Hamish, trzymając w ręku uniesioną komórkę.

– Dzwoni do pani kawaler! – zawołał.

Bywał tak zniewieściał, że może w istocie daleko mu było do lubieżnego heteryka, jakiego zgrywał. Czy umiałaby powiedzieć swoim koleżankom z Corstorphine: „Mój syn jest gejem”? Głośno i z dumą. Jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie podobnej rozmowy. Przecież oni mają dopiero czternaście lat, upomniała się w duchu; to wciąż dzieci, niemające pojęcia, kim i jakie są. Przecięła jezdnię i wyrwała Hamishowi telefon.

– Tak – rzuciła ostrym tonem do słuchawki i zaraz tego pożałowała, ponieważ to był Jackson Brodie, a potem była dla niego jeszcze bardziej niemila, karząc go za to, że na dźwięk jego głosu poczuła rozkoszne drżenie.

– Chciałem zapytać – powiedział – czy mówią ci coś słowa: „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”?

– Że co?

– Prawdziwe domy dla...

– Słyszałam. Chyba nie bawisz się ciągle w detektywa, co? „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi” to slogan reklamowy Hatter Homes. Rodzinna firma, z siedzibą w Edynburgu. Graham Hatter to szkocka szych, biznesmen milioner i tak dalej. Mieszkam na ich osiedlu. Gówniana ruina. Wiewiórki zjadają mój dom.

Odczekała, aż Archie i Hamish rozłożą się w salonie, żeby oglądać przy śniadaniu MTV, obojętni na wszystko, co nie należało do ich durnego światka, i wśliznęła się do pokoju Archiego. Nacisnęła klawisz spacji i uśpiony monitor komputera ożył, a na ekranie ukazał się jakiś tekst. Przesunęła kursor w dół i przeczytała: „Wiesz, Bertie, musisz pamiętać, że bogaci są inni niż my”. „Wiem, panienko. Mają więcej pieniędzy”. Jakieś opowiadanie albo powieść. Archie pisałby powieść? Wolne żarty. Poza tym gdyby rzeczywiście coś pisał, to nie powieść tego rodzaju, tylko taką, w której cyberroboty dokonywałyby zagłady Ziemi, a na okrasę dorzuciłby jeszcze kilka kobiet, uległych jak lalki z sex-shopu. Weszła w folder „Moje dokumenty”. Plik z powieścią znajdował się na płycie, która z całą pewnością nie należała do Archiego. Była na niej korespondencja niejakiego „Alexa Blake’a”, na pierwszy rzut oka odpowiedzi na listy od czytelników. Na innych listach z tego samego adresu widniało nazwisko Martina Canninga. Był tam także plik tekstowy z fragmentem powieści – kilka rozdziałów czegoś zatytułowanego *Śmierć na Czarnej Wyspie*. To ją Archie i Hamish czytali poprzedniego wieczoru na dwa głosy. „Bertie, myślę, że kryje się za tym coś więcej niż się na pozór wydaje”.

Wtedy to do niej dotarło – „Alex Blake”, pseudonim faceta,

w którego domu zamordowano Richarda Moata. Naprawdę nazywał się Martin Canning – a może było na odwrót? Jej syn, jej *nieszkodliwy* syn, w nielegalny sposób wszedł w posiadanie czegoś, co musiało pochodzić z miejsca zbrodni. Co jeszcze zmalowali? Louise poczuła, że w miejscu, gdzie zwykł znajdować się jej żołądek, ma coś pustego i wydrążonego.

Gloria zamierzała nadać porannemu paleniu w ogrodowym koksowniku wymiar symboliczny – na stosie pogrzebowym miała spłonąć dawna Gloria (żona Grahama), jednocześnie ogień miał być znakiem nowej Glorii (wdowy po Grahامية). Wyobrażała sobie, jak odradza się z płomieni niczym Feniks, była więc dość rozczarowana tym, że jej odzież nie pali się bardziej spektakularnie, nawet jeśli było to tylko kilka sukien wieczorowych – drogich, markowych, które wkładała na oficjalne firmowe przyjęcia z tańcami. Przed oczyma stanęła jej przykra wizja siebie samej, wkraczającej chwiejnie na przestrzeni ostatnich trzydziestu dziewięciu lat do kolejnych sal bankietowych w kolejnych hotelach, starej baby ubranej jak stara baba, z ciałem wbitym w połyskliwy pancerz wyszywanej cekinami sukni i drobnymi stopami (Graham mówił o nich „świńskie raciczki”) wciśniętymi w nieodpowiednie dla niej pantofle.

Bo Graham *musiał* wkrótce umrzeć, była tego pewna. Będzie martwy jak dodo. Jak gład. Zimny trup. Czemu akurat zimny? Czy ciepły trup byłby mniej martwy? (A zresztą trup to trup, po co jeszcze mierzyć mu temperaturę?). Czy przymiotnik „martwy” występuje w ogóle w stopniu wyższym? Czy coś może być bardziej lub mniej martwe od czegoś innego? Martwy, bardziej martwy, najbardziej martwy. Graham będzie bardziej martwy niż Gloria. Najmartwiejszy. Musiała przeżyć niemal całe życie, żeby zrozumieć, jak bardzo go nie lubiła.

Ponieważ dymu było więcej niż ognia, wrzuciła do koksownika podpałkę i patrzyła, jak zielonobłękitne płomienie zaczynają lizać jej wyszywane sztucznymi brylancikami bolerko od Jacques’a Verta. Mineral z minerału, proch z prochu. Jej ubrania nie spaliły się na miękki, syпки popiół, jak się tego spodziewała.

Elektronicznie sterowana brama kilkakrotnie otworzyła się i zamknęła. Gdyby Gloria nie wiedziała, że pracownik firmy ochroniarskiej sprawdza właśnie w piwnicy działanie systemu monitoringu, mogłaby pomyśleć, że na teren posiadłości stopniowo wpuszczane są grupki niewidzialnych gości.

Patrzyła, jak drozd wyciąga z trawnika elastyczną dżdżownicę. Ptaki (z wyjątkiem srok) były Dobre. Nawet jeśli zabijały inne stworzenia. Ptaki żywiły się robakami, robaki już niedługo będą pożywiać się Grahamem. Graham zjadał ptaki (kurczęta, indyki, kaczki, bażanty, kuropatwy, przepiórki) i tak krąg się zamykał. Od kiedy autorytarny reżim Grahama został nieoczekiwanie obalony, Gloria nie wzięła do ust niczego, co oddychało. Graham zawsze powtarzał, że po śmierci woli być spalony, a nie pochowany, lecz według Glorii szkoda byłoby pozbawiać te wszystkie pracowite stworzonka zasłużonego posiłku.

Kara powinna być odpowiednia do winy. Przed rokiem miała okazję obejrzeć wyjątkowo poruszające amatorskie wystawienie *Mikada* w Teatrze Królewskim. Przepadała za operetkami Gilberta i Sullivana, przynajmniej tymi bardziej znanymi. W niektórych przypadkach sprawa była jasna: dajmy na to człowiek, który skopał na śmierć psa, sam powinien zostać skopany na śmierć, najlepiej przez psa, choć to akurat nie było możliwe – psia anatomia wykluczała kopanie. Jak się tak zastanowić, wiele to mówiło o psach. Gloria chętnie widziałaby siebie w roli kopiącej, gdyby zaszła taka potrzeba. Graham. Jaka kara byłaby dla niego odpowiednia?

Może powinno się go zmusić do siedzenia (albo jeszcze lepiej do stania w pozie wiktoriańskiego urzędnika) w dusznym, pozbawionym okien biurze przez cały dzień i przerzucania niekończących się stert papierów – rozszczeń ubezpieczeniowych, deklaracji VAT, deklaracji podatkowych, ksiąg rachunkowych prowadzonych metodą podwójnej ewidencji – które musiałby wypełniać odręcznie, starannie i zgodnie ze stanem faktycznym. Albo jeszcze lepiej: kazać mu przez całą wieczność dniami i nocami na stojąco liczyć cudze pieniądze, bez możliwości przywłaszczenia sobie choćby

ćwierćpensówki. Brakowało jej ćwierćpensówek, tych najmniejszych monet z wizerunkiem maleńkiego ptaszka.

Ostatni raz pogmerała pogrzebaczem w koksowniku. Może jednak powinna skremować Grahama, żeby mieć całkowitą pewność, że do niej nie wróci.

W gazecie (będzie musiała odwołać prenumeratę gazet, ich lektura zdecydowanie jej nie służyła) znalazła relację z sali sądowej – jakiś nastolatek włamał się do domu spokojnej starości, ogołocił pokoje z portfeli, torebek i zegarków, a na koniec wyjął z klatki papużkę należącą do jednej z pensjonariuszek, owinał ptaszka taśmą klejącą i wyrzucił przez okno z piątego piętra. I to ma być cywilizowany kraj! Jakąż by miała satysfakcję, gdyby mogła owinać tego gówniarza taśmą klejącą i wyrzucić przez okno z piątego piętra. Czy nikt już na tym świecie nie zajmował się wymierzaniem sprawiedliwości? Czyżby chuliganom, srokom, Grahamowi, ludziom pożerającym kocięta i nastolatkom owijającym papużki taśmą klejącą *miało się tak po prostu upiec?*

W swojej sypialni na piętrze Gloria odsunęła na bok ukryty w szafie plastikowy worek pełen dwudziestofuntowych banknotów i odszukała prawie nienoszony czerwony „strój sportowy” z weluru, który schowała na samo dno szafy po tym, jak raz go włożyła, a Graham z miejsca go znienawidził. Twierdził, że wyglądała w nim jak gigantyczny pomidor. Teraz przyjrzała się własnemu odbiciu w szerokim lustrze szafy wnekowej. Kolor faktycznie nieco pomidorowy, poza tym w spodniach od dresu miała wielką dupę, za to reszta stroju skutecznie maskowała jej obfity biust i brzuch jak u iguany. Gloria czuła się w nim swobodnie, wręcz zawadiacko, jak w czymś, co mogłaby nosić aktywna pani Mikołajowa. Graham nie cierpiał, gdy używała słów w rodzaju „dupa”. Powtarzał, że kobieta powinna być „damą”, jak jego matka Beryl, która, zanim z mózgu zrobiła jej się gąbka, z uporem nazywała swoje cztery litery *derrière*; było to zapewne jedyne francuskie słowo, jakie znała.

– Dupa, dupa, dupa – powiedziała teraz Gloria do odbicia swego tyłka w lustrze.

Czerwony, welurowy dres był miękki i przytulny. Pomyślała, że tak muszą się czuć w swoich ubrankach niemowlęta. Włożyła sportowe buty, kupione na zajęcia w gronie „Szykownych pięćdziesiątek”, praktycznie nieużywane i niepokalanie białe. Sprężystym krokiem zeszła na dół po schodach, jakby była na coś gotowa. Gotowa do biegu.

Westchnęła. Z automatycznej sekretarki znów dobiegał jękliwy głos sekretarki Grahama: „Graham, naprawdę cię tutaj potrzebujemy!”. Gloria podniosła słuchawkę i rzekła: „Christine, w czym mogę ci pomóc?”, stanowczym głosem kobiety noszącej kuse kostiumiki i szpilki, a nie ześlizgującej się z barowego stołka, żeby podreptać za swoim przyszłym mężem jak jakiś psiak.

– Ci z wydziału do walki z przestępczością gospodarczą znów tutaj byli – odparła Christine. – Chcą przesłuchać Grahama. Wcale nie wyjechał do Thurso, prawda? – dodała, bardziej zasmucona niż rozgoryczona. – Zdradził nas wszystkich, mam rację? Zwiął i zostawił nas, żebyśmy wypili piwo, którego nawarzył.

– Nie wiem, Christine. – Gloria odłożyła słuchawkę.

Niemal żal jej było tej kobiety. Tyle lat wiernej służby i nic z tego nie miała. Może powinna wysłać jej kwiaty albo kosz owoców. Kosz owoców to taki miły prezent.

Pracownik firmy ochroniarskiej wyłonił się z piwnicy niespodziewanie jak kret.

– Coś jest nie tak z czujnikami na pani bramie – oznajmił z większym dramatyзмом, niż Gloria uważała za konieczne. – Przywróciłem obraz na monitorach i działanie przycisków alarmowych, ale będę jeszcze musiał wrócić z nowymi częściami. Nie wiem, co się tam nawyrabiało.

Był niskim człowieczkiem z wieloma charakterologicznymi problemami typowymi dla mężczyzn o niskim wzroście, zauważyła Gloria. Prostując pompacyjnie swoje mikre ciało, zapytał:

– Nie wpuszczała pani przypadkiem do domu nikogo podejrzanego?

– Czemu miałabym wpuszczać jakiegokolwiek podejrzanego

osoby? – zdumiała się Gloria.

Jej odpowiedź go nie zadowoliła i złożony obietnicę rychłego powrotu, oddalił się dumnym krokiem ogrodową ścieżką, pusząc się jak kogut. Równocześnie z przeciwnej strony w podskokach minął go rudzik; człowiek i ptak wzajemnie się zignorowali. Wzdłuż ścieżki ciągnęły się rabaty obsadzone letnimi kwiatami – lwimi paszczami i szalwią – z których żaden nie był w guście Glorii, lecz Bill był staroświeckim ogrodnikiem, a ona wolała nie proponować mu niczego zbyt awangardowego, jeśli chodzi o uprawę ogrodu. Zostając w tym domu, rozpięłaby na łukowatych przejściach pnące róże i kapryfolium. A do tego całe rzędy pachnącego groszku. Ale nie zamierzała tutaj zostać.

Jej nozdrza wychwyciły silny aromat kawy i Gloria podążyła za nim do domu jak w reklamie telewizyjnej. Zapach zaprowadził ją do kuchni, gdzie przy stole siedziała Tatiana, paląc papierosa i czytając gazetę. Pomalowanym paznokciem postukała w nagłówek („Szeroko zakrojona obława po zabójstwie komika na festiwalu”) i odezwała się:

– Na świecie jest wielu złych ludzi.

Tatiana spędziła noc i zjadła śniadanie w praktycznej piżamie Glorii, po czym przebrała się w coś bardziej wyszukanego. Miała teraz na nogach parę delikatnych pantofli.

– Marc Jacobs – oświadczyła, wyginając kokietyjnie stopę i patrząc na nią z podziwem.

Dobrze wyglądała w prostych czarnych spodniach i jedwabnym wzorzystym topie.

– Prada – pochwaliła się, głaszcząc materiał. – Prada to prawda – dodała, wydmuchując dym z papierosa w stronę sufitu. – Znam wiele prawd, Glorio.

– Serio? – odrzekła Gloria. – W takim razie lepiej uważaj.

Gdy poprzedniej nocy Tatiana weszła do piwnicy, serce Glorii prawie przestało bić. – Myślałam, że nie żyjesz – jęknęła, na co Tatiana roześmiała się i odparła: – Skąd taki pomysł? Drzwi frontowe były otwarte – dodała. – Ktoś mógłby zabić *ciebie* we śnie, Glorio.

– Przecież *nie śpię* – obruszyła się Gloria, idąc za nią na górę

do kuchni, gdzie po omacku zaczęła przetrząsać szufladę w poszukiwaniu świec i zapalek. Zanim cokolwiek znalazła, światło znów się włączyło.

– W gazecie pisali, że policja szuka dziewczyny z kolczykami w kształcie krucyfiksów, która mogła utonąć.

– No tak – przyznała Tatiana. – Ale to nie byłam ja.

– A kto?

– Nie zadzwoniłaś do mnie, Glorio – dodała Tatiana, ignorując ostatnie pytanie i wyginając wargi w grymasie rozczarowania.

– Nie wiedziałam, że czekasz na mój telefon.

– Przecież dałam ci numer.

W swoim czasie Gloria rozdawała swój numer na prawo i lewo różnym osobom, nie spodziewając się, że którakolwiek do niej zadzwoni. Tatiana zaczęła myszkować po szafkach, szukając czegoś do zjedzenia, więc Gloria posadziła ją przy stole i zrobiła im obu opiekane kanapki. Skończywszy kanapkę, Tatiana zapaliła papierosa i wgryzła się w mandarynkę. Gloria jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś jednocześnie palił i jadł owoce. W wykonaniu Tatiany palenie wyglądało tak atrakcyjnie, że Gloria zaczęła się zastanawiać, czemu rzuciła papierosy. Miało to coś wspólnego z ciążą, ale czy to istotnie był wystarczający powód?

– Graham ma kochankę – powiedziała nagle.

– A tak, Larwę – zgodziła się Tatiana. – Co za zdzira. Chciał cię zostawić.

„Wszystko załatwione? Pozbyłeś się Glorii? Pozbyłeś się tej starej krowy?” Czyli nie zamierzał jej zabić, tylko opuścić – co za ulga. – Teraz już nie zdąży – ucieła Gloria.

Tatiana straciła nagle zainteresowanie rozmową. Przeciągnęła się, ziewnęła i rzuciła: – Muszę się teraz położyć – więc Gloria ulokowała ją w dawnej sypialni Emily, gdzie przespala większość nocy, chrapiąc jak stary wiarus, po czym zbudziła się, żądając kanapek z bekonem.

– Z pikłami. Masz pikle?

– Tylko kupne – odparła Gloria.

Nie codziennie praktycznie obca rosyjska domina zjawiała się nie wiedzieć skąd i zaczynała buszować po jej domu. Gloria

przeszła za Tatianą do salonu i patrzyła, jak ta bierze do ręki kolejne bibeloty i ogląda je. Przychylnie oceniła ceramikę Moorcrofta, ale porcelanowe figurki ze Staffordshire nie spotkały się z jej aprobatą, podobnie jak para dzbanuszków do śmietanki z 1850 roku w kształcie krów, które nazwała „ohydny”. Pomacała materiał zasłon, powąchała kwiaty, wypróbowała krzesła, siadając na wszystkich po kolei. Gloria zastanawiała się, czy zdarza jej się wyć do księżycy.

Zaczęła się bawić pilotem firmy Bang & Olufsen – szczególnie zainteresowała ją przycisk do zapalania i gaszenia światła – by już po chwili przerwać na moment swoją nerwową bieganię i przejrzeć się lustrze. Wzięła z salaterki jabłko i jedząc je (bardzo głośno), zaczęła skakać po stacjach radiowych. Przystanąła tylko na moment, żeby podkreślić głośność przy piosence Celine Dion *My Heart Will Go On*, po czym znów zaczęła się przechadzać, to tu, to tam.

– Świetny kawałek – zauważyła.

Gloria patrzyła na nią zafascynowana. To było jak przebywanie w jednej klatce z niespokojnym i wygadany zwierzem. Tatiana pod każdym względem stanowiła dla niej egzotyczne zjawisko. Gloria przypuszczała, że gdyby tak przeciąć ją nożem na pół (choć to raczej Tatiana wyglądała na kogoś, kto mógłby użyć noża), smakowałaby surowym mięsem renifera i wędzoną czarną herbatą z żelazistym posmakiem krwi. Cudzej krwi.

Wreszcie Tatiana rzuciła się na sofę, głośno wypuszczając z ust powietrze, jakby miała za moment umrzeć z nudów. Uważnie obejrzała po kolei wszystkie paznokcie u rąk, po czym zmierzyła Glorię spokojnym wzrokiem i odezwała się:

– No dobra, Glorio. Zawrzemy układ?

Gloria nigdy w życiu nie zawierała żadnych układów. Stała przy oknie i patrzyła, jak ogromny gołąb grzywacz, zbudowany jak samolot transportowy, drepcze przez trawnik. Po chwili odwróciła się do Tatiany, która też stanowiła swego rodzaju okaz przyrodniczy, leżąc tak na sofie i przerzucając kanały w telewizorze.

– Układ? – spytała ją Gloria. – Jakiego rodzaju?

„Autorzy powieści kryminalnych na lunch” – tak jakby mieli zostać skonsumowani przez publiczność. „Lunch” składał się z kawy i białych bułek z nadzieniem serwowanych z baru w głębi dużego namiotu. Pisarze stanowili rozrywkę. Jak tańczące niedźwiedzie. Dawniej uczono niedźwiedzie tańczyć, kładąc małe niedźwiedziątka na rozgrzanych węglach. I to miał być humanitaryzm? Martin widział niedźwiedzia w Petersburgu, ale nie tańczącego. Był na smyczy, właściciel wyprowadził go na spacer na niewielki trawiasty splechetek nad Newą – brunatnego niedźwiedzia wielkości dużego psa. Ludzie robili mu zdjęcia i dawali pieniądze właścicielowi. Martin przypuszczał, że mężczyzna właśnie po to sprawił sobie niedźwiedzia – żeby na nim zarabiać. W Petersburgu wszyscy próbowali na czymś zarobić: pozbawieni emerytur nauczyciele sprzedawali książki, pokrecone ze starości babuszki jakies robótki, a młode dziewczęta – swoje ciała.

Spotkanie z czytelnikami prowadziła koścista kobieta o niejasnej proveniencji, która zaznaczyła na wstępie, że jest „zagorzałą wielbicielką beletrystyki”. „Co za niebywały zaszczyt, że możemy dziś gościć wśród nas na lunchu tak zróżnicowaną grupę autorów”. Klap, klap, klap – ręce wzniesione wysoko w kierunku ich trojga i lekki ukłon gejszy.

Martin dzielił scenę z dwojgiem innych twórców. Jednym z nich była Amerykanka, niejaka E.M. Watson, która promowała swoje książki za oceanem, „usiłując podbić brytyjski rynek”, i pisała pełne przemocy, odważne powieści o seryjnych zabójcach. Martin spodziewał się ujrzeć kogoś konkretnego i poważnego, noszącego się na czarno, trochę w stylu harwardzkim, tymczasem pani Watson okazała się nieco niechlujną blondyną z Alabamy o żółtych zębach, spowitą aurą ogólnego niedbalstwa. Mówiąc, zasłaniała usta dłonią.

Martin przypuszczał, że to z powodu żółtych zębów, lecz kobieta zwróciła się ku niemu i powiedziała: „Wolę nie otwierać ust, bo znienawidzą mnie za mój akcent”, co zabrzmiało mniej więcej jak: „Woleneotwelaćus, boznenawydzome zamajaksent”. Z pewnością nie, pocieszył ją Martin. Niestety, miała rację.

Dopełnieniem ich małego tria był Dougal Tarvit, pochodzący z północy, gdzieś z rejonów Niny Riley, autor „psychologicznych thrillerów” luźno inspirowanych autentycznymi zbrodniami. Martin próbował je nawet kiedyś czytać, ale zraziło go to, że w zasadzie nic się w nich nie działo.

Namiot był pełen. Początkowo Martin sądził, że publiczność dopisała tak licznie ze względów ekonomicznych – darmowa wyżerka plus trzech autorów w cenie jednego – lecz w chwili ciszy, jaka poprzedziła otwarcie spotkania, zorientował się, iż to on przyciąga powszechną uwagę. Ludzie rozmawiali ze sobą na jego temat, w niektórych przypadkach całkiem głośno, jakby nie było go na sali. Wyraźnie słyszał, jak jakiś napięty, zrzędlawy głos, w którym pobrzmiwał dialekt z Morningside, mówi: „Podobno go zabili”, tonem sugerującym, że właścicielka głosu czuje się oszukana, widząc Martina wśród żywych.

E.M. Watson nachyliła się do niego i zapytała:

– Alex, dobrze się czujesz, złotko?

Martin zapewnił ją, że tak.

– Naprawdę mam na imię Martin – dodał i zainteresował się, pod jakim imieniem znana jest E.M. Watson, bo chyba nie „Em”.

– Nie – roześmiała się. – To inicjały od Elizabeth Mary – dwie królowe w cenie jednej, jak mawiała moja mamuśka, ale wszyscy mówią na mnie Betty-May.

– Chryste. – Oboje usłyszeli wyraźnie, jak Dougal Tarvit mamrocze pod nosem: – Człowiek czuje się zupełnie jak na planie cholernych *Stalowych magnolii*.

Tarvit, rozwalony na krześle, jakby nieprawidłowa postawa i ospałość były oznaką męskości, zdawał się mieć oboje swoich kolegów po piórze w głębokiej pogardzie, E.M. Watson za to, że była kobietą, Martina za pisanie „populistycznego gówna”.

Dokładnie te słowa rzucił Martinowi w twarz w trakcie wypełnionych zenującymi swarami sześćdziesięciu minut, jakie potem nastąpiły. („Widzę, że idziemy dzisiaj na całość” – zauważyła koścista kobieta, rozglądając się nerwowo po namiocie, jakby chciała się zorientować w położeniu wyjść awaryjnych).

– Myślałam, że mamy tylko czytać fragmenty swoich książek – szepnęła Martinowi na ucho E.M. Watson. – Nie spodziewałam się debaty.

– Nie było jej w planach – odszepnęła.

Dougal Tarvit zmierzył ich oboje wściekłym spojrzeniem. Martin pożałował, że odrzucił propozycję Melanie, która chciała przylecieć do Edynburga; co jak co, ale w bójkach jego agentka była niepokonana. Tarvit potrafił tylko głośno krzyczeć i nie dorastał Melanie do pięt. Gdyby cięty język okazał się niewystarczającą bronią, zabiłaby go gołymi pięściami.

– Jest po prostu zazdrosny – szepnęła Martinowi Betty-May. – To dlatego, że byłeś uwikłany w prawdziwe morderstwo i tak dalej.

– Chcielibyśmy, żeby każde z państwa czytało przez dziesięć minut – poprosiła prowadząca, zanim zaczęli. – Dzięki temu zostanie nam więcej czasu na pytania z sali.

Jak zwykle na tego typu imprezach publiczność składała się przeważnie z kobiet w średnim wieku, choć obecność zgryźliwego Dougala Travita przyciągnęła kilka młodszych osób, głównie mężczyzn. Typowe grono czytelników Martina stanowiły niemal wyłącznie starsze od niego kobiety. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Jacksona, i zobaczył go w pobliżu baru wyprostowanego jak struna, z rękoma złożonymi na wysokości krocza, jakby miał bronić karnego. Brakowało mu tylko czarnego garnituru i słuchawki w uchu, żeby wyglądać niczym agent prezydenckiej ochrony z Secret Service. Stał kompletnie nieruchomo, czujny jak inteligentny pies pasterski, lecz oczami nieustannie wodził po wnętrzu namiotu. Miał uspokajający styl bycia kogoś, kto wie, co robi. Martina ogarnęło absurdalne poczucie dumy na myśl o jego profesjonalizmie. Oto odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu.

„Nic ci się nie stanie na mojej wachcie, Martinie” – rzucił lakonicznie Jackson. Martin sądził dotąd, że tak mówi się tylko w filmach.

Betty-May czytała jako pierwsza – zbyt szybko, bez tchu. Biedacze trzykrotnie przerywano; dwie osoby z widowni poprosiły, żeby „mówiła głośniej” i „wyraźniej”. Raz czyjaś dzwoniąca komórka zaczęła nagle wygrywać pierwsze takty V symfonii Beethovena.

Tarvit dla odmiany odstawił przedstawienie godne starego wyjadacza. Dzięki głośnej lekturze jego tekst nabral dramatyizmu, którego Martin nie znalazł w druku. Czytał długo, znacznie przekraczając wyznaczone dziesięć minut. Martin ukradkowo zerknął na zegarek i zobaczył nagi nadgarstek – ciągle nie mógł się przyzwyczaić do braku rolexa.

Co czuł Richard Moat w tych ostatnich minutach i sekundach, jakie mu pozostały? Nie sposób było o tym myśleć. Po co człowiek, który zamordował Richarda Moata, dzwonił do Martina? Czy chciał wrócić i jego także uśmiercić? Czy od początku zamierzał to zrobić i poniewczasie zrozumiał, że dopadł niewłaściwego człowieka?

Zaburczało mu w żołądku, tak głośno, że pewnie wszyscy usłyszeli. Trochę tego za wiele – siedzieć i patrzeć, jak inni wcinają, zwłaszcza gdy samemu nic się jeszcze nie jadło. Betty-May wcisnęła mu do ręki miętówkę, szczerząc żółte zęby w krzepiącym uśmiechu.

Tarvit do tego stopnia oczarował publiczność, że gdy skończył, rozległ się zbiorowy jęk rozczarowania, jakby słuchacze pragnęli, aby czytał dalej. Błagam, tylko nie to, pomyślał Martin. Koścista prowadząca ponownie zjawiała się na scenie i powiedziała:

– To było wspaniałe, Dougal, trudno będzie ci dorównać, lecz jestem pewna, że Alex Blake postara się sprostać temu wyzwaniu.

Wielkie dzięki, pomyślał Martin.

– Postaraj się streszczać, Alex – szepnęła jeszcze do niego.

Gdy nadszedł czas na pytania z sali, podniósł się las rąk. Młodzi ludzie wyglądający na studentów zaczęli biegać po namiocie z mikrofonami, a Martin przygotował się w duchu na tradycyjny zestaw pytań („Czy pisze pan długopisem, czy na komputerze?” „Czy przestrzega pan jakiejś codziennej rutyny?”). Pamiętał, rzecz jasna, że kiedyś sam stał pod sceną i zadawał podobne pytania podziwianym przez siebie pisarzom. „Panie Faulks, jacy autorzy wywarli na pana wpływ?”. Byłem kiedyś takim czytelnikiem, pomyślał z przygnębieniem. Zaczynał żałować, że przeszedł na drugą stronę barykady.

Tymczasem, ku swemu przerażeniu, został zasypany pytaniami o ostatnie wydarzenia, które przyniosły mu ponurą sławę: „Jakie to uczucie znaleźć się w centrum dochodzenia w sprawie prawdziwego morderstwa?”, „Czy patrzy pan teraz na swoje powieści z innej perspektywy?”, „Czy to prawda, że Richard Moat został zdekapitowany?”.

Koścista prowadząca przerwała niespokojnie:

– Wydaje mi się, że to pytania nie na miejscu, poza tym nie powinniśmy chyba dyskutować o policyjnym śledztwie, które, jakby nie było, jest jeszcze w toku. Porozmawiajmy lepiej o *książkach*, dobrze? W końcu po to się dzisiaj spotkaliśmy.

Wszystkie pytania dotyczące *książek* były skierowane do Betty-May i Tarvita, nie do Martina; wyjątek stanowiła pewna tęga i natarczywa kobieta, która chciała się dowiedzieć, czy to wiara rozbudziła w nim „kreatywność”, czy raczej na odwrót?

– Trudno powiedzieć – odpowiedział Martin.

Prowadząca, Martin nie miał pojęcia, jak się nazywała, i najwyraźniej nie miał się już tego dowiedzieć, klasnęła w dłonie i oznajmiła:

– Przykro mi, ale musimy kończyć, to było bardzo owocne spotkanie, ale jeśli zechcą państwo przejść do sąsiedniego namiotu, będzie tam można nabyć egzemplarze książek naszych autorów i zdobyć ich autograf. A teraz bardzo proszę o oklaski...

W sąsiednim namiocie usiedli przy trzech identycznych stolikach. Za każdym razem gdy podchodził złakniony dedykacji czytelnik, serce Martina ścisnął paniczny lęk, a on

wyobrażał sobie, że delikwent pochyla się nad stołem i podczas gdy on podpisuje mu książkę, wbija w niego nóż albo strzela z pistoletu. Albo wręcz wyciąga to samo narzędzie, którym roztrzaskał czaszkę Richarda Moata i wali nim z całej siły w czubek głowy Martina. Oczywiście większość jego czytelniczek stanowiły panie w pewnym wieku, z których połowa była ubrana w tweed, na litość boską. Śmierć nosi tweedowy kostium, pomyślał pośpiesznie Martin. Świetny tytuł następnej powieści o Ninie Riley.

Za jego plecami stał Jackson, znów w tej samej pozycji ochroniarza, i z czasem Martin powoli się odprężył i wszedł w tryb spotkania autorskiego. „Dla kogo ma być dedykacja? Dla pani? Czy dla kogoś innego?”, „Clare pisane przez »i« czy bez?”, „Dla Pam, z najlepszymi życzeniami, Alex Blake”, „Druga dla pani przyjaciółki Glorii? Służę uprzejmie”.

Gdy ostatni chętni z kolejki się rozeszli, a oni wracali do jurty pisarzy, Betty-May Watson chwyciła go za rękaw i zagadnęła:

– Co powiesz na autorkę kryminałów na lunch?

Martin nie mógł nie zauważyć cienia zarostu nad jej górną wargą.

– Obawiam się, że musimy iść – wtrącił się Jackson, ujmując Martina za łokieć i stanowczo odciągając w bok.

– Ojejku – usłyszał jeszcze mamroczącą Betty-May Watson – ale masz *surowego* wydawcę.

To było śledztwo co się zowie. Całe zastępy bardzo, ale to bardzo zajętych ludzi. Ludzi, którzy dysponowali ciałem ofiary, na dowód czego mieli na ścianach przypięte zdjęcia z miejsca zbrodni. Całe pomieszczenie aż tętniło życiem z powodu czyjejś śmierci. Louise przyjrzała się uważnie kolorowym fotografiom zwłok Richarda Moata przypiętym do ścian pokoju głównej ekipy dochodzeniowej na posterunku przy ulicy św. Leonarda. Posterunek przy Howdenhall okazał się za mały, żeby pomieścić operację takiego kalibru. Louise pracowała przy ulicy św. Leonarda, gdy jeszcze nosiła mundur. Czuła się teraz jak podczas odwiedzin w dawnej szkole. Wszystko wydawało się jednocześnie znajome i obce.

– Paskudny cios w głowę – odezwał się naraz ktoś za jej plecami.

Zaskoczona drgnęła. Odwróciła się i ujrzała tuż za sobą Colina Sutherlanda z uśmiechem od ucha do ucha. Gdyby występował w *The Bill*, miałby na przykład ksywkę „Śmieszek Sutherland”, lecz ponieważ rzeczywistość była taka, a nie inna, znany był jako „ten ciul Sutherland”.

– Szukasz mnie może? – zapytał z pełnym nadziei wyrazem twarzy.

Louise odwzajemniła uśmiech i odparła swobodnie:

– Co to za facet ten Canning? Jest podejrzany?

– A gdzie tam – odrzekł Sutherland. – Zabawny człowieczek, trochę z niego baba, jeśli mam być szczery, ale wątpię, by mógł kogoś zabić.

– Czyli – ciągnęła niezobowiązująco – bierzecie pod uwagę włamanie? Czy z domu coś zginęło?

– Sądzimy, że telefon komórkowy.

– I nic więcej?

– O niczym więcej nam nie wiadomo.

Nie mogła zapytać go wprost: „Nie zginęły przypadkiem żadne płyty CD ani nic w tym rodzaju?”. Zresztą czy zauważyliby brak jednej płyty? Raczej nie, ale Martin Canning chyba się zorientował, prawda?

– Gdzie on teraz jest? Ten Canning?

– W hotelu. Chyba w Czterech Klanach.

Miała ochotę spytać: „Czyli nie sądzicie, że dwóch czternastolatków mogło się tam włamać i pobić ofiarę na śmierć?”. Przyjrzała się fotografii ciała Richarda Moata – co za makabryczny widok. Czy jej syn mógł być za to odpowiedzialny? Wykluczone. Może Hamish, ale na pewno nie jej dziecko.

– Bardzo się interesujesz tą sprawą, Louise. Mam ci znaleźć miejsce w ekipie? Z powodu grypy mamy braki kadrowe. Moglibyśmy przenieść cię z Corstorphine, jeśli nie masz tam nic do roboty. – Zrobił krok w jej stronę, a ona się cofnęła. Idealne zgranie, mogliby tańczyć fokstrota.

– Nie, nie, to zwykła ciekawość, szefie. – Kłamstwo przychodziło jej łatwiej niż prawda. Odszukała w pamięci imię z zamierzchłej przeszłości. – Właściwie to szukam Boba Carstairsa.

– Kilka miesięcy temu przeniósł się na samą górę, Louise, nie słyszałaś?

– Na górę?

– Na spotkanie z szefem wszystkich szefów. – Ten facet był jak chodzący rebus. – Umarł. Na zawał – dodał Sutherland z szerokim uśmiechem. – W jednej chwili tu siedział, w następnej było po nim. – Strzelił palcami jak magik. – Ot, tak.

Zaraz po powrocie do Corstorphine ruszyła na poszukiwania Jeffa Lennona. Zastała go w kącie otwartej przestrzeni biurowej. Ukryty za biurkiem wcinał tabliczkę czekolady. Louise wyobraziła go sobie na emeryturze, otluszczonego i znudzonego jak mops. Albo, co bardziej prawdopodobne, w drodze na spotkanie z „szefem wszystkich szefów”.

– Sprawdziłeś może właściciela tamtej hondy, Jeff?

Jeff głęboko wciągnął nosem powietrze, jakby ćwiczył jogę.

Louise zrobiła kiedyś podejście pod jogę, ale przez całe zajęcia miała ochotę nawrzeszczyć na instruktorkę, żeby się zwałiej ruszała. Teraz miała ochotę nawrzeszczyć na Jeffa Lennona.

– Jak najbardziej – odparł wreszcie. – Właśnie miałem cię szukać.

Nie wyglądał na kogoś, kto zamierzał czegokolwiek w pośpiechu szukać.

– Wóz należy do firmy zwanej Providence Holdings.

– A nie do Terence’a Smitha? – Czyżby to znaczyło, że Jackson Brodie się mylił (albo kłamał), gdy twierdził, że to koleś z hondy zaatakował tamtego kierowcę? A może Smith prowadził wtedy cudzy samochód, na przykład należący do swego pracodawcy? – Providence Holdings. Pierwsze słyszę – stwierdziła. – Tobie coś to mówi?

– Nie, ale wyświadczyłem ci przysługę i sprawdziłem ich w rejestrze spółek.

– No i?

– Dyrektorem jest niejaki Graham Hatter.

– *Ten* Graham Hatter?

– Ten sam – przytaknął Jeff.

– Czyli że koleś z hondy – to znaczy Terence Smith – pracuje dla Grahama Hattera?

Tego ranka Jackson pytał ją o „prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”, wszędzie szukając tych swoich cholernych związków. Co takiego wiedział, o czym jej nie mówił? Na litość boską, zatajenie informacji istotnych dla śledztwa było *wykroczeniem*. Co temu facetowi odbiło?

– Przekazałem tę informację ekipie prowadzącej dochodzenie w sprawie tamtego incydentu drogowego – powiedział Jeff.

– To jest jakaś *ekipa*?

– No nie, raptem dwie młode lalunie. – Ach, seksizmie, imię twoje Jeff Lennon.

– Jesteś cudowny, Jeff. Masz u mnie dług.

– Ano mam – odrzekł wesoło. – A co tam u twojego syna? U Andy’ego?

– Archiego. W porządku, dzięki.

Jackson z trudem stłumił ziewnięcie. Powietrze w namiocie było gęste i przegrzane. „Dekonstrukcja romantycznej ironii” – powiedziała chuda jak szkielet kobieta, która przedstawiała publiczności obecnych na scenie autorów, nie zwracając się w zasadzie do nikogo konkretnego. Jackson nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Miała na sobie bluzkę z głębokim dekoltem, odsłaniającym kościsty mostek i piersi jak dwie obwisłe fałdy skóry. Ktoś powinien ją porządnie nakarmić, pomyślał Jackson. Zachowując niewzruszony wyraz twarzy, przywołał wizję piersi Julii – piersi, które ostatnio rzadko mu było dane oglądać. Louise Monroe miała o wiele mniejszy biust. Żeby to wiedzieć, nie trzeba było oglądać jej nago. Ale nie ulegało wątpliwości, że go *miała*. Nie wolno mu myśleć o nagiej Louise Monroe. Poczul wyrzuty sumienia, jakby kogoś zdradził. Niedobry, bardzo niedobry pies.

Zauważył, że w namiocie było *jeszcze więcej* ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli się czym zająć; jak to możliwe, że gospodarka tego kraju dotąd się nie załamała? Kto w takim razie pracował? Cudzoziemcy i uchodźcy – dziewczęta takie jak Marijut i Sophia. Oraz komputerowe świry, tysiące pryszczatych chłopaków, którym obce było światło dzienne, poza tym garniturowcy z dzielnicy finansowej, paru sprzedawców pomarańczy i to było tyle. No i służby porządkowe, rzecz jasna, ci nigdy nie odpoczywali. Był ciekaw, co teraz porabia Julia. Dyskretnie spojrzął na zegarek; może akurat je z kimś lunch. Aktorstwo nie było prawdziwą pracą, nie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Martin, który ewidentnie powinien był teraz leżeć w zaciemnionym pokoju i słuchać kojącej muzyki, z uporem graniczącym z histerią nalegał, aby Jackson towarzyszył mu na spotkaniu autorskim podczas festiwalu książki, choć zdaniem

Jacksona było to całkowicie zbędne. Tymczasem musiał już po cichu zamienić słowo z dziennikarzem, który zamierzał przeprowadzić z Martinem wywiad. „Nie w trakcie śledztwa” – rzucił groźniej, niż zamierzał. Naprawdę nie miał dziś nastroju na przepychanki.

Wyglądało na to, że od wtorku Martin sporo przeżył. Rzecz jasna, Jackson też w tym czasie sporo przeżył, ale w konkursie na najgorszy dzień z życia Martin wygrałby w cuglach.

– Mój laptop zniknął zaraz po tym, jak rzuciłem nim w kierowcę hondy – zwierzył mu się bez tchu, gdy Jackson spotkał się z nim na festiwalu książki przy Charlotte Square.

Zrobił na nim wrażenie lekkiego wariata. Oczywiście, byli wariaci i wariaci. Jackson nie był pewien, czy ma ochotę na kontakt z tymi ostatnimi, ale Martin wydawał się przytomny i elokwentny. Może trochę zbyt elokwentny jak na gust Jacksona.

– Noc spędziłem w hotelu z kierowcą peugeota, bo w szpitalu martwili się, że mógł doznać wstrząśnienia mózgu. Nazywał się Paul Bradley, tyle że okazało się to nieprawdą, ponieważ kogoś takiego *nie ma*. Nie istnieje. Chociaż rzecz jasna *istnieje*, sam go widziałeś, prawda? Miał przy sobie broń. Pistolet. Welroda. Później straciłem przytomność, bo chyba mnie czymś odurzył i ukradł mi portfel. Nawet nie miałbym mu tego za złe, gdyby nie to, że przecież uratowałem mu *życie*.

– Miał welroda? – zdziwił się Jackson.

Skąd Martin znał się na broni? Na *welrodach*, na litość boską!

– Potem ktoś włamał się do mojego biura, no, może niekoniecznie włamał, bo nie było śladów włamania, ale na podłodze leżał *papierek od cukierka*...

– Papierek od cukierka?

– *Ja nie jem słodyczy!* A teraz okazuje się, że ten Paul Bradley w ogóle nie istnieje! A był moim alibi.

– Alibi?

– Na czas morderstwa.

– Morderstwa? – Jackson zrewidował swoją opinię: może jednak miał do czynienia z tym drugim rodzajem wariata.

– W moim domu zamordowano człowieka! Richarda Moata, tego komika, który później do mnie dzwonił.

– Zaraz, zaraz! Richarda Moata zamordowano w *twoim* domu?

– Tak. A potem do mnie zadzwonił.

– Wiem, już to mówiłeś. – Czy Martin był w stanie odróżnić rzeczywistość od fikcji? Był przecież pisarzem.

– To nie on, wiem, że to nie on. Morderca musiał zabrać komórkę Richarda, bo zaginęła, i później zadzwonił z niej do mnie.

– Po co?

– Nie wiem!

– Dobrze już, dobrze, nie denerwuj się. – Jackson westchnął.

Powiesz komuś cztery słowa: „Jak mogę ci pomóc?” i wychodzi na to, że zaprzedałeś mu swoją duszę. Choć wszystko, co usłyszał od Martina, brzmiało co najmniej dziwacznie, w jego relacji było kilka rozsądnych punktów zaczepienia. Kim zresztą był Jackson, żeby go krytykować? Usiłował ratować martwą dziewczynę od utonięcia i zabił psa siłą woli. Był ciekaw, czy Martin nadal mieszka z matką. Nie, żeby było w tym coś niewłaściwego – Jackson chętnie pomieszkałby z matką, zważywszy na to, jak niewiele czasu dane mu było z nią spędzić. Nie, Martin nie mógł mieszkać z matką, bo mieszkał z Richardem Moatem, czy nie tak?

– Nie *mieszkaliśmy* razem – sprostował Martin. – Richard zatrzymał się u mnie z okazji festiwalu. Właściwie wcale go nie znałem. Nawet go nie lubiłem. Co, jeśli morderca przyjdzie teraz po mnie?

– Chyba powinieneś porozmawiać o tym z policją, Martinie.

– Nie!

– Daj im swój telefon, spróbują namierzyć tamto połączenie.

– Nie!

Co za kłótniwa banda. Jackson nie słyszał wcześniej o Dougalu Tarvicie ani o E.M. Watson. A skoro już o tym mowa, aż do poprzedniego wieczoru nie słyszał też o Alexie Blake’u. W drodze na Festiwal Książki wstąpił do księgarni i przekartkował w kawiarni jedną z jego powieści. Nieszkodliwa

rzecz, przywołująca retroutopijną wizję Wielkiej Brytanii pełnej arystokratów i gajowych, gdzie najwyraźniej nikt nie uprawiał seksu (co pasowałoby do bezpłciowości Martina). Nonsensowna fabuła, w której morderstwa były zawsze popełniane czysto i schludnie, a trupy nie wzbudzały odrazy – idealna historia do oglądania w telewizji w niedzielny wieczór, odpowiednik gorącej kąpeli i kubka ciepłego kakao. Prostaczkowie nie buntowali się, byli wręcz szczęśliwi w swoich kajdanach, a ciężki fetor śmierci nie zanieczyszczał eleganckiej, przesiąkniętej wonią wrzosów atmosfery wokół Niny Riley. „Niech panienka tam nie idzie, panno Riley – poprosił sługa – to nie jest odpowiedni widok dla tak młodej osóбки”.

Nina Riley miała kompana, co nie było żadnym zaskoczeniem. Batman i Robin. „Odkryłam coś ważnego, Bertie. Musimy się zobaczyć”. Najlepszym kompanem jego brata Francisa był gość o imieniu Burt. Obaj pracowali jako spawacze, obaj grali w rugby. Na pogrzebie Francisa Burt kompletnie się rozkleił; była to jedyna rzecz, jaką Jackson zapamiętał z pogrzebu brata: płaczący nad grobem Burt, brzydkie, męskie łkania, wstrząsające twardzielem, który najpewniej nie płakał od czasów swego niemowlęstwa. Francis zabił się w sposób prosty i brutalny, który Jackson dopiero teraz postrzegał jako typowy dla brata. „Francis, ty durny, pieprzony draniu!” – krzyknął z gniewem Burt, gdy opuszczano trumnę, zanim dwóch innych chłopaków zdołało go odciągnąć znad rozwartej paszczy grobu. Nikt nie mówił na Francisa „Frank” ani „Fran”; zawsze zwracano się do niego jego pełnym imieniem. Dodawało mu to pewnej godności, na którą w rzeczywistości chyba nigdy nie zapracował.

Pogrzebu siostry nie pamiętał, bo w nim nie uczestniczył. Zamiast iść na cmentarz, został z sąsiadką, panią Judd. Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz wspominał panią Judd, jej pachnący sadzą salon na tyłach domu z wytartymi, pluszowymi obiciami i złoty kiel, który nadawał jej nieco zawadiacki, cygański wygląd, chociaż w jej życiu wiedzionym w cieniu kopalni nie było niczego niekonwencjonalnego. Była córką górnika, żoną górnika i matką górnika.

Jackson był gotowy do wyjścia na pogrzeb Niamh – pamiętał czarny garnitur, w który go ubrano, uszyty z taniego, przypominającego filc materiału; nigdy wcześniej ani później go nie widział – lecz gdy nadeszła pora, zwyczajnie nie mógł się ruszyć z miejsca i tylko niemo pokręcił głową, słysząc, jak ojciec mówi: „Trzeba się zbierać, synu”. Francis rzucił wtedy szorstko: „Rusz się, Jackson, bo będziesz żałował, że się z nią porządnie nie pożegnałeś”, ale Jackson nigdy nie żałował, że nie poszedł na ten okropny pogrzeb. Mimo to Francis miał rację: nawet się z Niamh porządnie nie pożegnał.

Miał dwanaście lat, nigdy wcześniej nie nosił garnituru i będzie musiało minąć wiele lat, zanim ponownie go założy. Pogrzeb Francisza najwyraźniej nie zasługiwał na garnitur. Jedyne, co zapamiętał, to to, że tego dnia miał na sobie cudzy, źle dopasowany garnitur i siedział przy malutkim stole kuchennym pani Judd, którego laminowany blat nosił ślady gaszenia papierosów, popijając słodką herbatę i jedząc zapiekankę z kurczaka. Dziwne, co się po latach pamięta. „Bertie, to nie był wypadek, tylko morderstwo!”

Spodziewał się, że lada moment ktoś w kawiarni zaczepi go i ze złośliwym uśmiechem zapyta, czy zamierza kupić tę książkę, czy tylko będzie tak siedział przez cały dzień, aż ją przeczyta za darmo. Zrozumiał jednak, że nikogo to nie obchodzi i że gdyby tylko chciał, mógłby naprawdę przesiedzieć tam cały dzień nad mdlącą kawą latte i jeszcze bardziej mdlącym jagodowym muffinem i nie płacąc, przeczytać dzieło Alexa Blake’a od deski do deski. Nikomu nie chciało się pracować, więc książki były za darmo.

Jackson rzadko czytywał beletrystykę, właściwie wcale, od czasu do czasu na urlopie jakąś powieść szpiegowską albo dreszczowiec. Wolał literaturę faktu; dawała mu poczucie, że czegoś się dowiaduje, nawet jeśli natychmiast wszystko zapominał. Nie bardzo widział sens pisania powieści, choć raczej się z tym nie obnosił, nie chcąc być wzięty za filistra. Julia była namiętną czytelniczką, zawsze miała na podorędziu jakąś powieść, lecz z drugiej strony całe jej życie zawodowe opierało się na takiej czy innej fikcji, podczas gdy jego życie

zawodowe całe było oparte na faktach.

Nie lepiej było ze sztuką. Nie przekonywały go rozmazane obrazy impresjonistów, obejrzał dziesiątki lili wodnych, myśląc: „Gdzie w tym sens?”. Z kolei malarstwo religijne sprawiało, że czuł się jak w katolickim kościele. Lubił sztukę figuratywną, obrazy opowiadające jakąś historię. Podobał mu się Vermeer – wszystkie te chłodne wnętrza emanowały zwyczajnością, z którą mógł się utożsamić. Moment w czasie uchwycony na zawsze, ponieważ życie nie składało się z zastępów Madonn ani kęp lili wodnych, tylko z prostych, codziennych czynności: kobieta nalewająca mleko z dzbana, chłopiec przy kuchennym stole jedzący zapiekankę z kurczaka.

Widać było, że Tarvit to arogancki fiut, a E.M. Watson (co to za imię?) to zwykła dziwaczka: albo niedorobiona kobieta, albo facet w kobiecym przebraniu. Transwestytyzm stanowił dla Jacksona zagadkę. Nigdy w życiu nie założył żadnej części damskiej garderoby. Tylko raz pożyczył od Julii kaszmirowy szal, gdy szli razem na spacer, i przez całe popołudnie męczyły go miękki dotyk na szyi i lekka woń perfum, którą przesiąknęła włóczka. Martin zdawał się być beztrąsko nieświadomy sygnałów, wysyłanych przez E.M. Watson. Facet naprawdę na odległość pachniał celibatem, kojarzył się Jacksonowi z księdzem albo mnichem. E.M. Watson – Eustacia Marguerite czy raczej Edward Malcolm? Tak czy siak, E.M. trafił się twardy orzech do zgryzienia.

Jackson czuł się nieco śmiesznie, stojąc za Martinem niczym agent z Secret Service w namiocie, gdzie trwała „sesja podpisywania” (w pierwszej chwili pomylił się i przeczytał „sesja popisywania”, co go zarazem zaniepokoiło i wprawiło w konsternację). Licznie rozbite namioty, w których trwał festiwal książki, przypominały mu wojskowy obóz polowy. Nieoczekiwanie powrócił do niego zapach cyrkowego namiotu z poprzedniego wieczoru, znajoma woń trawy przykrytej płótnem. I szalona Rosjanka niczym królowa rozbójników trzymająca mu nóż przy gardle.

Za każdym razem gdy podchodził do niego ktoś nowy, Martin nerwowo podrywał głowę, jakby spodziewał się nieznanego

zabójcy. Jackson nie rozumiał, dlaczego bierze udział w tym spotkaniu autorskim, skoro aż tak się boi. „Nie będę się ukrywał – stwierdził Martin. – Trzeba stawiać czoła swoim lękom”. Jackson wiedział z doświadczenia, że zwykle najlepiej jest unikać tego, czego najbardziej się lękamy. Roztropność naprawdę była czasami niedocenianą stroną męstwa.

– A przy tym przez cały czas boisz się, że ktoś na ciebie dybie? Ten, kto ukradł komórkę Richarda Moata i włamał się do twojego biura.

– Nie, to nie on na mnie dybie – odparł Martin. – Tylko kosmiczny wymiar sprawiedliwości.

– Kosmiczny wymiar sprawiedliwości? – W ustach Martina zabrzmiało to tak, jakby mówił o żywej osobie, heroldzie Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

– Popelnilem zbrodnię – dodał Martin. – I teraz muszę za nią zapłacić. Oko za oko.

Jackson próbował dodać mu otuchy.

– Daj spokój, Martinie, czy to nie Gandhi powiedział: „Oko za oko uczyni tylko cały świat ślepy”? A przynajmniej coś w tym rodzaju.

Widział raz taki napis na koszulce podczas demonstracji zorganizowanej przez Kampanię na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, którą zabezpieczał w latach osiemdziesiątych. Przed rokiem Julia zmusiła go do pójścia na marsz antywojenny. Oto jak diametralnie zmieniło się jego życie.

– Wybacz – powiedział Martin. – Doceniam, że się na to zgodziłeś.

Jackson nie miał nic przeciwko temu; zlecenie miało wszelkie pozory prawdziwej pracy, a przy tym nareszcie coś robił, zamiast się wałkonić (choć miał wrażenie, że właśnie się wałkoni). Słowem nie było to wymarzone zajęcie, lecz w swoim czasie pracował jako ochroniarz i znał procedury.

– Nic ci się nie stanie na mojej wachcie – zapewnił Martina.

Teksty rodem z filmów zdawały się go uspokajać.

Był ciekaw, jaką to „zbrodnię” popelnił Martin. Parkował w zatoczce autobusowej? Pisał kiepskie powieści?

Martin świetnie sobie radził, wpisywał dedykacje i uśmiechał

się do czytelników. Jackson uniósł kciuki, żeby mu dodać otuchy. A potem odwrócił się i zobaczył ją stojącą tuż obok siebie.

– Chryste Panie – mruknął. – Mogłabyś tego nie robić?

Rozejrzył się w poszukiwaniu noża. To, że nigdzie nie było go widać, nie znaczyło, że go przy sobie nie miała. W poprzednim życiu, w minionej epoce, wzięłby ją za szpiega (czy wręcz za płatnego zabójcę). Niewykluczone, że nim była.

– I co mi dzisiaj powiesz, szalona Rosjanko? – zagadnął.

Zignorowała pytanie i bez żadnych wstępów podała mu fotografię.

Przedstawiała dziewczynę opartą o kamienny falochron.

– Wycieczka do St. Andrews – wyjaśniła mu szalona Rosjanka.

Nie mógł jej tak ciągle nazywać. Wcześniej powiedziała mu – co właściwie? „Pytaj o Jojo”. Mało prawdopodobne, żeby tak miała na imię. Jojo to dobre dla prostytutki.

– Jak się naprawdę nazywasz? – zapytał ją.

Prawdziwe imiona i nazwiska zawsze były dla niego ważne. „Nazywam się Jackson Brodie”.

Wzruszyła ramionami i odparła:

– Tatiana. To żaden sekret.

– Tatiana? – Jacksonowi skojarzyło się to z Tytanią.

Oglądał zdjęcia Julii w roli królowej wrózek w szkolnym przedstawieniu *Snu nocy letniej*, na których była bosa i praktycznie naga; długie włosy miała rozpuszczone, przyozdobione girlandą z kwiatów. Dzika dziewczyna. Żałował, że się wtedy nie znali.

– Tak, Tatiana.

– A kim jest dziewczyna ze zdjęcia?

– To Lena. Ma dwadzieścia pięć lat.

Na fotografii był słoneczny dzień, wiatr rozwiewał włosy dziewczyny i w jej uszach wyraźnie widać było małe krzyżyki. Jego syrena. Podobieństwo do Tatiany było uderzające, tylko oczy patrzyły łagodniej.

– Wszyscy mówią, że wyglądamy jak siostry – dodała Tatiana.

Jackson zrozumiał, że Tatiana nie opanowała angielskiego czasu przeszłego. Dzięki temu martwa dziewczyna wciąż trwała w terażniejszości, w której nie było już dla niej miejsca. Pomyślał o zdjęciach wszystkich martwych dziewcząt, jakie w swoim czasie musiał oglądać, i znów przygniótł go ołowiany ciężar melancholii. Josie miała niezliczone albumy, dokumentujące istnienie Marlee od chwili jej narodzin. Pewnego dnia wszystkie one zmieniają się w pył. A może któryś wpadnie komuś w ręce na pchlim targu, podczas wyprzedaży garażowej czy gdzie tam będzie się handlowało w przyszłości, i jego znalazcę ogarnie ten sam smutek na myśl o nieznanym, zapomnianym życiu. Tatiana szturchnęła go kościstym łokciem w obolałe żebra i syknęła:

– Skup się.

– O co chodzi z tymi krzyżkami? – spytał.

– Lena kupuje je u jubilera w centrum St. James. Para dla niej, para dla mnie. Taki prezent. Jest religijna. Dobry człowiek, tyle że spotyka złych ludzi. – Zapaliła papierosa i zapatrzyła się w dal, jakby dostrzegła coś niewidocznego dla Jacksona. – Bardzo dobry człowiek.

Na widok papierosa chłopak w festiwalowej koszulce ruszył biegiem w stronę Tatiany. Po dwudziestu krokach osadziła go wzrokiem na miejscu.

– Znalazłem ją – powiedział Jackson. – Znalazłem twoją przyjaciółkę Lenę, a potem ją zgubiłem.

– Wiem. – Odebrała mu zdjęcie.

– Wczoraj powiedziałaś mi, że bym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy – przypomniał jej Jackson. – Teraz znów jesteś.

– Dziewczynie nie wolno zmienić zdania?

– Domyślam się, że Terence Smith chce cię zabić, bo wiesz, co się stało z Leną. To on ją zamordował?

Tatiana rzuciła papierosa na ziemię. Chłopak w festiwalowej koszulce, który dotąd krył się poza zasięgiem jej paraliżującego spojrzenia, rzucił się naprzód i podniósł płonący niedopałek. Wyglądał na młodzieńca, który własnym ciałem zakryłby granat, żeby ratować innych od śmierci.

– Skąd Terence Smith wiedział, jak się nazywam?

– zainteresował się Jackson.

– Pracuje dla złych ludzi, a źli ludzie mają swoje sposoby. Mają *układy*.

Według Jacksona zabrzmiało to dosyć mgliście.

– Jak go znaję?

– Przecież mówię – odparła gniewnie. – „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”. – Przynęła się w ten swój niepokojący sposób i utkwiała w nim spojrzenie zielonych oczu.

– Bardzo jesteś głupi, panie Brodie.

– Już to słyszałem. Czy to Terence Smith zabił Lenę?

– Pa, pa – rzuciła i pomachała mu ręką.

Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że machanie ręką może być *sarkastyczne*. Zanim się obejrzał, już jej nie było, wmieszała się w rozentuzjasmowany tłum czytelników.

Jackson zdołał wyrwać Martina ze szponów podejrzanej E.M. Watson.

– Woli, żeby się do niej zwracać Betty-May – zwierzył mu się szeptem Martin.

– Poważnie? – mruknął Jackson. Nagle przyszło mu coś do głowy. – Nie masz przypadkiem samochodu, Martinie?

* * *

Wóz stał zaparkowany na ulicy przed domem Martina, gdzie ten porzucił go minionego ranka. Podjazd wciąż zagradzała rozciągnięta taśma policyjna, a wokół domu kręciły się tabuny funkcjonariuszy, umundurowanych i po cywilnemu. Jackson był ciekaw, czy ktokolwiek rozpoznał go poprzedniego wieczoru w parku Meadows. Mało prawdopodobne, ale i tak lepiej było nie pchać się w szerokie objęcia wymiaru sprawiedliwości. Martin najwyraźniej podzielał jego zdanie, bo zasłonił twarz gazetką z ofertami nieruchomości, którą Jackson skądś wytrzasnął. Jeżeli faktycznie odebrał telefon od mordercy Richarda Moata, to by znaczyło, że zataił przed policją istotną informację, a co za tym idzie, uczynił Jacksona współwinnym. Jackson aż westchnął na myśl o swojej obciążonej kartotece.

Pomyślał o Marijūt w różowym uniformie. „Pokojówka, moja koleżanka, znalazła zamordowanego faceta w domu, który

zwykle sprzątam”. To był właśnie ten dom. A więc znowu „Przysługi”. Ich macki zdawały się sięgać wszędzie, gdzie tylko się ruszył. Ty mówisz: „związek”, ja mówię „związek”. Może Martin coś o nich wiedział?

– Sympatyczne kobiety – odrzekł Martin – i dobre sprzątaczkę. Ubierają się na różowo.

– Jak im płacisz?

– Gotówką, dozorczyńni do ręki. I zawsze zostawiam napiwek.

– Czy żadna z nich... Jak by to ująć? Czy żadna z nich nie proponowała ci dodatkowych usług?

– Raczej nie. Raz jedna miła dziewczyna o imieniu Anna zaproponowała, że rozmrozi mi lodówkę.

– Jasne. Może ja poprowadzę? – rzucił Jackson. Na samą myśl poczuł ożywienie. Martin jeździł nudną vectrą, niemniej jednak były to cztery koła i silnik.

– Nie, nie kłopotz się – odparł uprzejmie Martin, jakby wyświadczał Jacksonowi przysługę, siadając za kierownicą i przekręcając kluczyk w stacyjce. Ruszyli z miejsca kangurzymi skokami.

– Oszczędzaj sprzęgło, Martinie – mruknął Jackson. Nie zamierzał wcale powiedzieć tego głośno – żaden kierowca nie lubi, jak się nim dyryguje z tylnego (w tym przypadku z przedniego) siedzenia, tak przynajmniej powtarzała mu wiecznie jego była żona. Mężczyźni niepotrzebnie zajmują miejsce na ziemi, podczas gdy kobiety to boginie, tylko nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Wybacz – stęknął Martin, niemal obdzierając ze skóry kuriera na rowerze. Jackson miał ochotę wyrwać mu kierownicę siłą, choć z drugiej strony facet powinien mieć poczucie, że ma nad czymś kontrolę (jakkolwiek ograniczoną).

– To dokąd właściwie jedziemy? – spytał Martin.

– Kupić dom.

– Kupimy dom?

– Na pewno jakiś *obejrzymy* – odparł Jackson, kartkując gazetkę z ofertami nieruchomości. – Zwiedzimy sobie nowe osiedla. Słyszałeś o Hatter Homes?

– „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”. Byłem nawet w jednym z ich domów, ale wydał mi się trochę tandetny. Nie przepadam za nowoczesnymi osiedlami. – Martin zaniepokoił się, że Jackson może mieszkać na takim właśnie osiedlu i poczuje się urażony, lecz tamten odrzekł:

– To tak jak ja. Z tym kupowaniem to *żartowałem* – dodał.

Martinowi przyszło do głowy, że Jackson ma go za ograniczonego.

– Będziemy tylko udawać. Szukam kogoś. Uważaj na ten autobus, Martinie, zaraz cię przytrze.

– Wybacz.

– To uroczy, prawdziwie rodzinny pokój. – Kobieta prowadząca ich po domu pokazowym typu „Braecroft” na moment się zawahała. Martin domyślał się, że on i Jackson nie wyglądają na prawdziwą rodzinę. Kobieta miała na piersi identyfikator z imieniem „Maggie” i w błękitnym kostiumie z wielobarwną apaszką wyglądała jak rezydentka biura podróży. Przyszło mu na myśl, że mógłby zrobić sobie taki identyfikator z imieniem „William” albo „Simon”, wszystko byle nie „Martin”. Łatwy sposób na zmianę tożsamości.

– Uroczy – rzucił Jackson z udawaną powagą.

Pokój miał okna od północy i całe światło zdawało się wyciekać z niego jak przez lejek. Martin poczuł bolesną tęsknotę za własnym domem. Czy był gotów znów w nim zamieszkać, jak już policja zakończy swoją pracę? I aż do śmierci żyć pod jednym dachem z duchem Richarda Moata? Czy w ogóle zdołałby go sprzedać? Mógłby zatrudnić tę Maggie.

Wyobraził sobie, jak oprowadza potencjalnych kupców, perorując radośnie: „Oto salon, prawdziwie rodzinny pokój, a to miejsce, w którym rozbryznął się mózg Richarda Moata”.

– Oczywiście w domach Hatter Homes mieszkają rozmaici ludzie – dodała Maggie – nie tylko rodziny. Czym zresztą jest rodzina? – Zmarszczyła czoło, jakby poważnie zastanawiała się nad odpowiedzią. Wydała mu się spięta i poirytowana.

Podążyli za nią po schodach na piętro.

– Mają panowie napięty budżet? – rzuciła przez ramię. – Bo model „Waverley” jest bardziej przestronny i ma większy ogród – nie, żeby „Braecroftowi” czegoś brakowało, skądże znowu, to przykład genialnego wykorzystania przestrzeni.

– Robi wrażenie dziwnie ciasnego – mruknął Jackson.

– Tutaj mamy główną sypialnię – oznajmiła z dumą Maggie – z przyległą łazienką, rzecz jasna.

Martin usiadł na łóżku. Miał ochotę się położyć i zapaść w sen, ale nie przypuszczał, aby to było dozwolone.

– Dziękujemy, Maggie – odezwał się Jackson, gdy schodzili po schodach. – Z pewnością mamy się teraz nad czym zastanawiać.

Kobieta wyglądała, jakby zeszło z niej całe powietrze; rozczarowana czuła, że prowidzja przechodzi jej koło nosa.

– Zapraszam do naszego biura sprzedaży, zapiszę sobie panów nazwiska – powiedziała.

Na dworze światło wydawało się ostrzejsze. Osiedle zbudowano w zagłębieniu między dwoma wzgórzami, z czego wynikała przedziwna akustyka tego miejsca: docierał tu monotony hałas z autostrady, choć samych pojazdów nie było stąd widać. Przy wejściu do przenośnego kontenera, w którym mieściło się biuro, stała doniczka z zakurzonym geranium, jedyny widomy znak organicznego życia. Obok nich przetoczyła się koparka. Osiedle wciąż stanowiło plac budowy, mimo że połowa domów była już zamieszkana. Wewnątrz kontenera stały twarde krzesła i Martin usiadł na jednym z nich. Był okropnie zmęczony.

– Pana godność? – zwróciła się Maggie do Jacksona. – David Lastingham – odparł bez namysłu.

– A pana partner to...? – Spojrzała na Martina.

– Alex Blake – odrzekł ze znużeniem Martin. To było jego nazwisko, czuł, że należy do niego tak, jak „David Lastingham” nie należało do Jacksona.

– Pański numer kontaktowy?

Jackson wyrecytował jakiś numer. Martin był ciekaw, czy jest prawdziwy.

– Przy okazji – Jackson zwrócił się do Maggie swobodnym tonem – jestem dawnym znajomym Terry’ego Smitha. Nie wie pani, gdzie mogę go znaleźć? Miło byłoby odnowić starą znajomość.

Przez twarz Maggie przemknął wyraz odrazy.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest dzisiaj Terry.

Rozległ się dzwonek komórki, Maggie sięgnęła do torebki, mruknęła:

– Przepraszam na moment – i wyszła na zewnątrz.

Ku zaskoczeniu Martina Jackson niczym zawodowy włamywacz dopadł szafki na dokumenty i zaczął przetrząsać jej zawartość.

– To chyba jest niezgodne z prawem – zauważył Martin.

– Chyba masz rację.

– Myślałem, że byłeś policjantem.

– Bo byłem.

W podobnych okolicznościach nie sposób było zachować spokój, więc Martin poderwał się zdenerwowany i stanął przy drzwiach, skąd mógł obserwować Maggie, chodzącą w tę i z powrotem z komórką przy uchu. Najprawdopodobniej ze względu na słaby zasięg musiała głośniej mówić i co kilka chwil zatrzymywała się, żeby zapytać: „Jesteś tam jeszcze?”. Martin słyszał, jak mówi: „Podobno jest w Thurso. Wiem, też w to nie wierzę. Myślę, że mnie porzucił, pomimo tylu obietnic”. Na te słowa jej twarz ściągnęła się boleśnie. Zakończyła rozmowę i otarła oczy.

– Wracaj! – syknął ostrzegawczo do Jacksona.

Gdy Maggie, która tymczasem zdążyła przywdziać na twarz maskę opanowania, ponownie weszła do biura, Jackson był całkowicie pochłonięty lekturą broszury prezentującej różne

modele domów oferowanych przez Hatter Homes.

– Wszystkie są urocze – stwierdził – naprawdę nie wiem, jak miałbym się zdecydować. – Westchnął i pokręcił głową. Był zupełnie nieprzekonujący. – Na nas już pora – zwrócił się do Martina. – Wracamy do naszego batmobilu, Robinie.

– To chyba tutaj – powiedział Martin, zatrzymując się przed elektronicznie sterowaną bramą, w tej chwili szeroko otwartą. Znajdowali się w Grange, pod adresem, który Jackson najwyraźniej ukradł z szafki w biurze Maggie. Napis na bramie głosił: „Providence”.

– Czyj to dom? – zaciekawiał się Martin.

– Grahama Hattera. Właściciela Hatter Homes. Zatrudnia u siebie Terence’a Smitha, więc myślę, że może znać miejsce jego pobytu.

– A kim jest Terence Smith?

– Długo by opowiadać, Martinie.

Mam czas, pomyślał Martin, ale tego nie powiedział. Czas był jedyną rzeczą, jakiej miał pod dostatkiem, kolejno odliczane nanosekundy.

– Poczekam tu na ciebie. – Ziewnął.

Zastanawiał się, czy pomarańczowy koktajl, jaki przyrządził mu tak zwany Paul Bradley, nie wpłynął przypadkiem trwale na jego metabolizm. W jednej chwili był tak podminowany, że aż cały dygotał, w następnej ślaniał się ze zmęczenia. Oczy same mu się zamykały.

– To nie potrwa długo – obiecał mu Jackson.

Martin zajrzał do schowka samochodowego w poszukiwaniu jakiejś lektury. Jedyne, co znalazł, to plik ulotek na występ Richarda. Pomniejszone wersje plakatu anonsującego „komediową viagrę dla twojego umysłu”, które Richard musiał tu zostawić we wtorek.

Martin zamknął oczy i właśnie zapadał w niezdrową drzemkę, gdy poderwał go dobrze znany dźwięk. Włosy stanęły mu dęba na karku, gdy przez uchylone okno samochodu wpłynęły pierwsze taktory motywu przewodniego z *Robin Hooda*. Serce załomotało mu w piersi. Gdzieś w pobliżu dzwoniła komórka Richarda Moata. Tu, na tej ulicy.

Martin odwrócił się gwałtownie, szukając źródła ulotnej melodii. Z tyłu za samochodem zobaczył zaparkowaną niebieską hondę. Niebieska honda? Nie, to niemożliwe; w tym kraju były tysiące niebieskich hond, dlaczego więc miałyby to być akurat ta należąca do szaleńca z kijem bejsbolowym? Ponownie zabrzmiał motyw z *Robin Hooda*. Martin otworzył drzwiczki i wygramolił się z samochodu. Ani żywej duszy. I nagle go zauważył, maszerującego wzdłuż podjazdu do domu Hatterów z telefonem przy uchu. To naprawdę był kierowca tamtej hondy z wtorku. Kierowca hondy miał telefon Richarda Moata. Skąd go wziął? Komórkę miał przecież morderca. Tylko po co kierowca hondy zabijałby Richarda Moata? Chyba że po stłuczce zabrał laptopa Martina, odszukał jego adres i zjawił się w Merchiston, żeby z zemsty go uśmiercić. Coś chwyciło go za serce i mocno ścisnęło. Strach.

Spodziewał się, że tamten zadzwoni do drzwi, anonsując swoje przybycie jak każdy normalny człowiek, tymczasem kierowca hondy przeszedł przez trawnik i stanął przed wyjściem na taras. Zakończył rozmowę i – jak zwykle nie wiadomo skąd – wyciągnął kij bejsbolowy. Wzniósł go wysoko, jakby szykował się do wybicia piłki na sam środek zapola, po czym roztrzaskał nim przeszklone drzwi.

Umowa była taka. Gdy tylko Celine Dion skończyła zawodzić, a Tatiana wyjadła wszystkie owoce z salaterki, sięgnęła do stanika, wydobyla zeń pamięć przenośną i zapytała:

– Wiesz, co to jest, Glorio?

– Sądzę, że pamięć przenośna – odparła Gloria.

– Ale czyja pamięć przenośna, Glorio? Czyja?

– Twoja? – strzeliła Gloria, zastanawiając się, czy przyszło jej brać udział w jakiejś słowiańskiej parodii dialogu sokratejskiego. – Na pewno nie moja – dodała.

Tatiana podała jej pamięć i rzekła:

– Nie, ona jest *nasza*, Glorio. Dzielimy się po połowie.

– Dzielimy się? Czym?

– Wszystkim.

Czarodziejska Księga. Tajne rachunki bankowe Grahama, ukryte w malutkim kawałku plastiku, który Tatiana zabrała z kieszeni jego letniego garnituru z wełny, gdy on sam na hotelowym łóżku łapał powietrze jak ryba.

– Myślałam, że próbowałaś go reanimować – zauważyła z namysłem Gloria.

Tatiana zrobiła smutną minę klauna.

– Przestań – wzdrygnęła się Gloria.

Rano w radiu mówili coś o koniach. Ktoś zamknął w stajni pół tuzina koni i wyjechał, zagłodził zwierzęta na śmierć. Gloria myślała o brązowych końskich oczach, myślała o *Czarnym Księciu*, najsmutniejszej książce, jaką kiedykolwiek napisano. Myślała o wszystkich smutnookich koniach, którym można by pomóc, gdyby się miało dużo pieniędzy. O bezgłowych kociętach, owiniętych taśmą klejącą papużkach i zmasakrowanych chłopcach.

– Hm – mruknęła.

Przez dłuższą chwilę Gloria wpatrywała się w zadumie

w wygaszacz ekranu przedstawiający szczenięta rasy border collie, po czym nacisnęła spację i komputer ożył. Wpisała „Ozymandias” i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwały się przed nią sekretne księgi Grahama.

– Skąd wiedziałaś, jakie miał hasło? – spytała ją Tatiana.

– Ja wszystko wiem.

Przyszło jej do głowy wiele rzeczy, o których Tatiana najprawdopodobniej nie miała pojęcia (przepis na babeczki z dżemem, położenie archipelagu wysp Scilly, paniczny strach przed starością), lecz nie zamierzała tego sprawdzać. Czowała dziwne wzruszenie na myśl, że Graham wykorzystał tytuł wiersza Shelleya jako hasło. Może jednak docenił jej podarunek. A może tylko szukał najmniej znanego słowa, jakie można znaleźć.

Przenośna pamięć Grahama zawierała wiele prozaicznych informacji z dziedziny handlu: „analizy wykonalności”, „prognozowane liczby”, „ograniczone rezerwy”. Świat zdawał się być pełen niejasnych pojęć; aż trudno się nie zastanawiać, komu tak naprawdę były potrzebne. (I czy w ogóle istniały). Życie człowieka powinno się opierać na rzeczach prostych i namacalnych, takich jak rabatka pachnącego groszku przy ścieżce ogrodowej, dziecko na huśtawce, pewien kął padania zimowego światła. Albo kosz pełen kociąt.

Znajdował się tam również wstrząsająco obszerny folder zachowanych przez Grahama e-maili od Maggie Louden, elektronicznych liścików miłosnych w stylu „najdroższy, łączy nas coś cudownego”. Tatiana przeczytała na głos jeden z nich, cedząc słowa, z tym swoim twardym akcentem wampirzycy, który odzierał wyznania z wszelkiej powagi: „Czy rozmawiałeś już z Glorią o rozwodzie? Obiecałeś, że porozmawiasz z nią w ten weekend”.

W jednym z załączników odkryły folder fotografii. Na niektórych Graham i Maggie pozowali razem, lecz większość, zrobiona zapewne przez Grahama, przedstawiała samą Maggie. Gloria nie pamiętała, kiedy ostatnio Graham zrobił jej jakieś zdjęcie.

– Co za zdzira – powiedziała.

Graham zabrał Maggie na wyścigi konne do Yorku, i to w dniu, w którym kobiety prezentowały swoje odświętne stroje i kapelusze – coś, co Gloria nieraz mu proponowała, *wspólny wypad* na jeden dzień. Zatrzymali się w Middlethorpe Hall („Uroczę miejsce, kochanie, jesteś boski”). Kupił jej też różowy brylant: „Jest prześliczny, prześliczny, prześliczny... I taki ogromny! (Jak ty!) Ktoś dostanie dziś wieczorem nagrodę!”.

Wiadomości od niego były zwykle bardziej prozaiczne: „Nowy model »ivanhoe« będzie miał cztery sypialnie i taras oraz własny garaż. Zanim rozpoczniemy budowę, chcemy już mieć kupców. Zwracaj ludziom uwagę na pralnię, bo to nasz mocny punkt”. Wszystko sprowadzało się do interesów, nawet miłość.

Gloria nie mogła mieć w kuchni różowego zlewu, ale kochanka dostała różowy brylant wielkości zamku Balmoral. Niemal pożałowała, że rychle zejście Grahama odbierze jej satysfakcję z patrzenia, jak jej mąż wije się podczas rozprawy rozwodowej. Połowa majątku, połowa firmy.

– Połowa niczego, Glorio – wtrąciła Tatiana. – Pamiętaj, ustawa o środkach pochodzących z przestępstw, rok 2002.

Nie wiedzieć czemu nawet jej nie zdziwiło, że Tatiana jest na bieżąco z przepisami prawa karnego.

– Wszystko jest tutaj, Glorio – powiedziała Tatiana.

Miała rację, wszystko tu było: lewa księgowość, nielegalne przelewy bankowe, firmy wydmuszki, uchylanie się od płacenia podatków. Pieniądze, które Graham przepuszczał przez rachunki Hatter Homes nie tylko na swoje potrzeby, ale też dla innych – jej mąż prał pieniądze na zlecenie, z szorowania do czysta brudnej mamony uczynił swój zawód. Konta bankowe w Szkocji, na Jersey, na Kajmanach i w Szwajcarii, wszystkie chronione hasłami oraz kodami dostępu. Rozmiar i zasięg tego przedsięwzięcia były nieprawdopodobne. Graham miał w kieszeni cały świat.

– Jest też właścicielem „Przysług”? – zdziwiła się Gloria, mrużąc oczy przed ekranem. – Do spółki z Murdo?

– Biznes to biznes, Glorio. Biznes i kłamstwa. Jesteś stara, powinnaś to wiedzieć. Posuń się – rozkazała.

Gloria zwolniła krzesło i Tatiana zasiadła przy komputerze

z rękoma wzniesionymi nad klawiaturą jak wirtuoz, który ma zagrać koncert życia.

Gloria poczuła się zaintrygowana.

– Co ty właściwie robisz? Przelewasz pieniądze? Na nasz rachunek bieżący? – dodała z nadzieją w głosie.

– Jeśli ci powiem, będę musiała cię zabić – odparła Tatiana, zupełnie jakby grała Rosjankę w jakiejś komedii.

Gloria zaczęła powątpiewać, czy naprawdę *była* Rosjanką. Czemu zresztą niby miałyby być tym, za kogo się podawała? Czemu ktokolwiek miałby być tym, za kogo się podaje? Ludzie wierzyli we wszystko, co się im mówiło. Uwierzyli, że Graham jest w Thurso. W przyszłości – tej samej, która zaczynała się tuż za ścieżką obsadzoną lwimi paszczami i szalwią – Gloria będzie mogła być, kimkolwiek jej się zamarzy.

Tatiana wybuchnęła śmiechem, walnęła Glorię w ramię (dość mocno) i powiedziała:

– To tylko żart, Glorio. Przelewam wszystko na jedno z kont w Szwajcarii. Zanim ci od przestępstw gospodarczych je namierzą, minie mnóstwo czasu od zamrożenia pozostałych kont, a wtedy ty i ja... – Strzeliła palcami w powietrze. – Puf! Znikniemy bez śladu.

– Ale jak wydostaniemy pieniądze z banku? – zaniepokoiła się Gloria.

– Glorio, ale z ciebie *idiot!* Przecież to firmowy rachunek Hatter Homes, a ty jesteś dyrektorką, możesz wypłacić tyle, ile zechcesz. Jesteś poważną *kobietą biznesu*. Lepiej do nich zadzwoń i uprzedź, że przyjedziemy, bo to jest *kupa forsy*. I o nic się nie martw. Pamiętaj, że pracuję w *banku*.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Pam.

– To naprawdę nie najlepszy moment – uprzedziła ją Gloria.

– Zostawiłaś bramę otwartą na oścież – odrzekła Pam, wchodząc do holu. – Każdy może tu wejść. Właśnie wracam z festiwalu książki. – Nie czekając na zaproszenie, wmaszerowała do salonu i usiadła na sofie pokrytej brzoskwiniowym adamaszkiem. Gloria podążyła za nią, obmyślając, jak by się jej pozbyć. Może wystarczy pstryknąć palcami i puf! Pam zniknie.

– Muszę przyznać, że niewiele straciłaś – ciągnęła Pam. – Jak na tego rodzaju imprezę spotkanie z autorami było wyjątkowo nieudane. Zdołali jednocześnie wzburzyć i zanudzić słuchaczy. Poza tym nie przekonały mnie te bułki z nadzieniem. Dougal Tarvit był nawet w porządku, ale Alex Blake – co za rozczarowanie!

– Ach tak?

– Okropnie niski. Prezentował się zdecydowanie podejrzanie. Dziwię się, że policja jeszcze go nie zatrzymała za morderstwo Richarda Moata.

– Ach tak?

– Kupiłam ci książkę z autografem.

– Ach tak?

– Przestań powtarzać „ach tak”, Glorio, brzmisz jak chodzący automat. Nastawisz czajnik? Podobno biedny Graham na dobre utknął w Thurso?

Rozległ się kolejny dzwonek do drzwi. – Och, na litość boską – syknęła Gloria.

– Inspektor Brodie – przedstawił się mężczyzna, wchodząc do domu i ściskając jej dłoń.

– Pan inspektor przyszedł – zażartowała Gloria. Podejrzewała, że jest z wydziału do spraw przestępstw gospodarczych, ale czy oni nie grasowali zwykle w stadach? Mężczyzna wszedł za nią do salonu. Żałowała, że nie przytrzymała go za progiem, jak świadków Jehowy. Wszyscy ci nieproszeni goście odciągali ją od przekrętu bankowego na międzynarodową skalę, dokonywanego właśnie w kuchni przez Tatianę pod czujnym okiem czerwonego robota kuchennego Glorii i *Szkoły gotowania* Delii Smith.

– Herbaty? – zaproponowała uprzejmie, usiłując sobie przypomnieć, czy gość się wylegitymował. Gdzie była jego legitymacja policyjna? Mówił coś właśnie o wtorkowym incydencie, gdy z kuchni wyłoniła się Tatiana i rzuciła: „Witam wszystkich”, niczym aktorka grająca w kiepskiej farsie.

– Ojej – westchnęła Pam.

– Nie możemy się tak wciąż spotykać – zwrócił się policjant do Tatiany – bo ludzie zaczną gadać.

Ewentualne wyjaśnienia, jakie mogłyby w tym miejscu paść, nigdy nie padły, ponieważ golem Grahama wybrał właśnie ten moment, aby rozbić prowadzące na taras przeszklone drzwi kijem bejsbolowym. Pam zaczęła wrzeszczeć, jakby chciała przywołać na pomoc wszystkie moce piekielne, i nie przestała, dopóki w ogrodzie nie zjawił się nieznajomy i nie strzelił golemowi prosto w serce.

Jackson wcale nie zamierzał podawać się za policjanta, lecz gdy drzwi się otworzyły i zapytał: „Pani Hatter?”, a ona potwierdziła, samo mu się wyrwało. Tak jakby najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem było powiedzieć: „Inspektor Brodie”.

Gloria Hatter miała na sobie czerwony dres, którego widok wzbudził u Jacksona odległe skojarzenia z Jimmym Savillem w programie *Jim'll Fix It*. Na szczęście nie miała na szyi medalionu ani nie paliła cygara. Najwyraźniej wzięła go za przedstawiciela wydziału do spraw przestępstw gospodarczych. Nie wyprowadził jej z błędu.

Gdy wspomniał o incydencie drogowym, odparła: „Niczego nie widziałam”. Zapytał więc z niedowierzaniem: „To pani też tam była?”. Na sofie siedziała dziwnie znajomo wyglądająca kobieta o pomarańczowych włosach. Trzymała w rękę najnowszą powieść Martina *Zagadka araukarii*. Sam ten szczegół sprawił, że w głowie Jacksona rozpełtała się istna gonićwa myśli. Szkatułki ukryte w innych szkatułkach, lalki ukryte w innych lalkach, światy ukryte w innych światach. Wszystko się ze sobą łączyło. Wszystko i wszędzie.

Zadzwoił telefon. Gdzieś włączyła się automatyczna sekretarka. Histeryczny kobiecy głos, który równie dobrze mógłby obwieszczać inwazję Marsjan, krzychał: „Glorio! Glorio! Mówi Christine! Są tutaj. Zabierają komputery!”.

Uwagę Jacksona odwróciło wejście Tatiany. Pomyślał: no nie, tego doprawdy za wiele. To nie koniec. Za drzwiami prowadzącymi na taras niczym bohater jakiegoś horroru wyrósł koleś z hondy ze swoim nieodłącznym kijem bejsbolowym i utworzył pustkę w miejscu, w którym wcześniej było szkło. W tym momencie Jacksonowi przyszło na myśl, że bierze udział w jakiejś nowej odmianie telewizyjnego reality

show, skrzyżowaniu *Ukrytej kamery z Morderczym weekendem*. Spodziewał się niemal, że lada moment zza sofy w salonie Glorii Hatter wyskoczy prowadzący program i wykrzyknie: „Niespodzianka! Jacksonie Brodie, *wydawało ci się, że znalazłeś trupa w rzece Forth, wydawało ci się, że byłeś świadkiem pobicia kierowcy kijem bejsbolowym, wydawało ci się, że ta oto Rosjaneczka szeptała ci do ucha różne wskazówki (tak jest, to ona zagrała tajemnicze zwłoki), ale to wszystko fikeja. Jacksonie Brodie, ogląda cię na żywo milionowa publiczność. Witamy w przyszłości*”.

Wszyscy tutaj byli: Tatiana, koleś z hondy... Brakowało tylko Martina. Ale nie, zbyt szybko się pospieszył, bo oto nadciągnął Martin we własnej osobie i krokiem zdecydowanym jak nigdy dotąd przemierzał nad podziw zadbane trawnik Glorii Hatter. „Powitajmy także Martina Canninga w roli pozornie fajtlapowatego pisarza!”

Tatiana krzyknęła po rosyjsku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, natomiast Gloria znacznie mniej dramatycznie spytała:

– Terry, co ty wyprawiasz, na Boga?

– Zniknął! – ryknął intruz. Ślina tryskała mu z ust i Jackson pomyślał, że przypomina własnego psa. – Pan Hatter dał nogę. Zostawił mnie, żebym wziął na siebie całą cholerną winę, prawda?

Jednym szybkim ruchem okręcił się wraz z kijem i roztrzaskał szklaną witrynę, wewnątrz której znajdowała się kolekcja porcelanowych zwierzątek. Facet naprawdę lubił dźwięk tłuczonego szkła. Następnie stanął tyłem do środka salonu i na chwilę się zawahał, jakby nie wiedział, co jeszcze zniszczyć. Dało to Jacksonowi akurat dość czasu, żeby zagonić Glorię Hatter i jej pomarańczowowłosą przyjaciółkę za oparcie sofy (dzięki Bogu nie było tam żadnego prowadzącego).

Terence Smith chyba dopiero teraz go zauważył i jego niskie czoło zmarszczyło się lekko.

– Ty? – rzucił. – *Tutaj?* Dlaczego? – W tym momencie dostrzegł Tatianę. – I ty też? – wysapał zaskoczony.

Znów uniósł kij i zamachnął się nim, celując w Tatianę.

Jackson dał nurka w jej stronę, jakby nieporadnie blokował zawodnika w rugby. Chciał przewrócić ją na podłogę i zasłonić własnym ciałem. Kij Terence'a Smitha dosięgnął go w powietrzu, z całej siły trafiając prosto w brzuch, tak że Jackson zgiął się wpół jak scyzoryk i runął na dywan. Bardzo ładny dywan, jak zdążył zauważyć, jeden z tych grubych, chińskich, z wzorem, który wyglądał jak wyrzeźbiony. Mógł mu się przyjrzeć z bardzo bliska. Wystarczyło, żeby odrobinę przekręcił głowę, z wielkim trudem i bólem, a zobaczyłby także Martina wciąż zmierzającego stanowczym krokiem ku domowi. Ramię trzymał wyciągnięte przed siebie, jakby dowodził szarżą kawalerii. Kończyło się ono dłonią (i bardzo dobrze), w dłoni zaś tkwił pistolet. Welrod. Ten sam welrod, o którym Martin wspomniał z rana, czym wprawił Jacksona w zdumienie.

Wszystko się zgadza, pomyślał Jackson; pistolet zaprojektowany do oddawania potajemnych strzałów z bliska, nawet z większej odległości śmiertelnie groźny, lecz tylko w rękach wytrawnego strzelca, ponieważ jego przyrządy celownicze są dość prymitywne. Strzelający nim ma tylko jedną szansę, ponieważ zanim zdążyłby przeładować broń, byłby martwy albo aresztowany. Martin był, bądź co bądź, niedorajdą, musiał więc beznadziejnie strzelać.

Widok nadciągającego Martina to było za wiele jak dla kolesia z hondy. Trybiki w jego mózgu zatarły się i gwałtownie stanęły, najpewniej z wysiłku związanego z próbą odpowiedzi na pytanie, czemu wszyscy ludzie, których chciał zabić, znaleźli się naraz w jednym pokoju. Potem Terence Smith całkiem zrezygnował z myślenia i skupił całą uwagę na Jacksonie. Jeżeli mam od kogoś zacząć, zdawała się mówić jego mina, to czemu nie od tego, który leży na podłodze, jęcząc z bólu. Uniósł kij. Jackson przewrócił się na bok i przyjął pozycję płodową, starając się osłonić głowę rękoma. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, co robią pozostali, podczas gdy on czeka, aż kij zgruchocze mu czaszkę. Tatiana mogłaby chyba zrobić jakiś użytek ze swojego noża? Albo przynajmniej rozszarpać Smithowi gardło zębami. Marne szanse. Słyszał, jak rozmawia przez komórkę, mówiąc coś bardzo szybko po rosyjsku. Był

ciekaw, co takiego mówi. „Przyślijcie prawników, broń i forszę”? Kobieta z pomarańczowymi włosami wrzeszczała. I bardzo słusznie. Hałas na pewno ściągnie tu policję. To by nie było takie złe.

Znajdował się w kokonie, poza obowiązującymi normami czasu. Jego osobisty koniec świata, wszystkie owieczki będą policzone. Znów był w rodzinnym domu i siedział przy stole między bratem a siostrą w półmroku kuchni niewielkiego szeregowca. W jego wspomnieniach przeszłość zawsze spowijał półmrok. Czy to dlatego, że biedacy zwykli kupować niskowatowe żarówki? Ojciec był świeżo wyszorowany po powrocie z kopalni, matka podawała im jakiś gulasz. Siostra swoje śliczne włosy miała splecione w warkocze (ojciec mówił na nie „mysie ogonki”), twarz brata była blada i otwarta jak książka. Miał na sobie ten sam mundurek szkoły średniej, który za kilka lat będzie nosił Jackson. To nie była *Ukryta kamera*, tylko *Oto twoje życie*. Całkiem zwyczajny moment. Kobieta nalewająca mleko z dzbanka. Zjedli podwieczorek. Skończyli i matka usiadła przy stole, żeby dojeść resztki. Brat uderzył go wierzchem dłoni w głowę. Jackson zrozumiał, że w ten bolesny sposób Francis okazuje mu miłość. Matka powiedziała coś, czego nie dosłyszał, ponieważ w tej samej chwili przygniótł go przedmiot wielkości całego domu. Jackson poczuł woń krwi i prochu strzelniczego, jedyny w swoim rodzaju zapach pola bitwy. Jedyne, co usłyszał, to cichutkie „pyk”. Trzeba oddać sprawiedliwość producentom welroda – obiecywali skuteczne wytłumienie i dawali skuteczne wytłumienie. To nie dom się na niego zwałił, tylko Terence Smith ścięty z nóg niczym jelen. Przygniatał go całym ciężarem, tak że Jackson ledwie mógł oddychać. Był ciekaw, czy gdy będzie po wszystkim, dostanie w prezencie nowe zebra.

Postępując z wysiłku, zrzucił z siebie brzemię o wadze nosorożca i dźwignął się do pozycji siedzącej (z wielkim trudem, bólem i tak dalej), po czym spojrzął na zegarek. Był to odruch, echo dawnych czasów i innych miejsc – „Czas zgonu... podejrzany wtargnął na teren... incydent odnotowano o godzinie...”. Za kwadrans ósma, ale dla Jacksona był to

ostatni dzwonek. Cały dzień podporządkował temu jednemu wydarzeniu. „Ale na spektakl zdążysz?” Zegarek, zauważył jak przez mgłę, miał cały zachlapany krwią.

Tatiana jak gdyby nigdy nic zapaliła papierosa i zmierzyła puls Terence’owi.

– Nie żyje – powiedziała, choć nie było to konieczne.

Nie tylko nie żył. Był martwy jak głaz; kula przeszła mu serce na wylot.

– Strzał w dziesiątkę, Martinie – wymamrotał Jackson.

Kto by pomyślał, że Martin ma zadatki na tak świetnego strzelca? Tatiana podeszła do Jacksona i uklękła przy nim. Przyjrzała mu się uważnie:

– W porządku?

– Z grubsza rzecz biorąc.

– Ratujesz mi życie.

– Jeśli się nie mylę, uratował cię tamten facet – odparł Jackson.

Martin wciąż stał na trawniku z pistoletem w bezwładnej dłoni skierowanym lufą ku ziemi. Wydawał się bardzo opanowany, jak ktoś, kto doszedł ze sobą do ładu. Jackson usłyszał syrenę i pomyślał: „Szybcy są”, lecz Gloria Hatter rzeczowo wyjaśniła, nie zwracając się do nikogo konkretnego: „Przycisk alarmowy”.

Tatiana nachyliła się nad Jacksonem. Miała to samo rozmarzone spojrzenie, które Jackson pamiętał z cyrku. Pocałowała go w policzek i szepnęła: „Dziękuję”. Poczul się dziwnie uprzywilejowany, jakby jakieś dzikie zwierzę pozwoliło mu się pogłaskać.

W zasadzie było mu obojętne, że Terence Smith nie żyje. Może widział w swym życiu za dużo trupów, żeby przejąć się jeszcze jednym? Może chodziło o to, że koleś z hondy był zwyczajnym opryskiem? Na tej planecie brakowało miejsca dla dobrych ludzi, a co dopiero dla złych. Głodujący, torturowani albo zwykli zjadacze chleba z powodzeniem wykorzystają jego rezerwę tlenu. Jackson nie był jedynym z obecnych w salonie, na którym śmierć Terence’a Smitha nie zrobiła żadnego wrażenia. „Oko za oko” – stwierdziła Gloria

Hatter z doskonałą obojętnością w głosie. Jediną osobą, która zdawała się wstrząśnięta, była kobieta z pomarańczowymi włosami kwiląca cicho na sofie.

Jackson dźwignął się na nogi. Zachowując ostrożność, podszedł do Martina. Z bliska dostrzegł dzikie, spanikowane spojrzenie tamtego. Wiedział z doświadczenia, że z facetami o dzikim, spanikowanym spojrzeniu najlepiej obchodzić się jak z przestraszonymi zwierzętami. Zasadniczo niegroźne, w każdej chwili mogły kopnąć albo ugryźć.

– Spocznij, Martinie – odezwał się łagodnie. – Już dobrze, możesz mi oddać broń.

Martin bez wahania podał mu pistolet.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam za to wszystko.

Kolana się pod nim ugięły i opadł na trawnik niczym kupka nieszczęścia. Kiedy na miejscu zjawił się pierwszy funkcjonariusz policji, Jackson stał samotnie nad martwym ciałem Terence'a Smitha z pistoletem w dłoni.

– Kiepsko to wygląda, co? – mruknął.

Louise skręciła na parking przed siedzibą Hatter Homes przy Queensferry Road. Jakiś pacholek w uniformie podbiegł, żeby zakwestionować jej prawo do wjazdu. Z plaśnięciem przyłożyła do szyby legitymację policyjną i niemal go rozjechała. „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi”. Jakim cudem Jackson zdołał połączyć ze sobą Hatter Homes i Terence’a Smitha? Mogłaby się założyć o wszystko, że węszył na własną rękę. Czy widział kto kiedykolwiek takiego upierdliwego faceta?

Była sama. Jessica i Sandy Mathieson mieli grypę. Przed przyjazdem tutaj zajrzała jeszcze do Hotelu Czterech Klanów, ale po Martinie Canningu nie było tam śladu. Płyta z jego powieścią została bezpiecznie ukryta; Louise wsunęła ją w okładkę starego albumu Laury Nyro, doszedłszy do wniosku, że to ostatnie miejsce, w którym ktoś mógłby jej szukać.

Weszła do środka. W biurach Hatter Homes panował kompletny chaos. Rozpoznała kilku gości z wydziału do spraw przestępstw gospodarczych. Jeden z nich rzucił w jej stronę:

– Hatter przepadł jak kamień w wodę.

– Byliście u niego w domu? – spytała, na co tamten odrzekł:

– To kolejny punkt na naszej liście. Jego żona współzarządza firmą i też siedzi w gównie po uszy.

Zakładając, że za każdym mężczyzną stoi kobieta, Louise odszukała prawą rękę Hattera, jego sekretarkę Christine Tennant, która natychmiast zaczęła lamentować:

– Nic złego nie zrobiłam. Nic nie wiem. Jestem niewinna.

Według Louise te lamenty były trochę za głośne. Przypomniała sobie pęknięcie biegnące przez środek jej domu. Co jak co, ale budowniczym był Hatter fatalnym. Na biurku Christine Tennant stał kosz z owocami. Louise zerknęła na przywiązany wstążką bilecik: „Drobny wyraz wdzięczności.

Z najlepszymi życzeniami od Glorii Hatter”.

– Terence Smith? – zwróciła się do Christine Tennant.

– Co z nim?

– Czym się właściwie zajmuje?

– Jest okropny.

– Możliwe, ale czym się *zajmuje*?

Sekretarka wzruszyła ramionami i odparła:

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Czasami wozi pana Hattera albo biega na posyłki, wyświadcza mu różne przysługi. Pan Hatter jest w tej chwili w Thurso. A przynajmniej *tak mówią* – dodała ponuro.

– Może mi pani dać domowy adres pana Hattera? Chciałabym porozmawiać z jego żoną.

Christine Tennant wyrecytowała go z pamięci. Grange, pomyślała Louise, no proszę. Mogła się założyć, że na ścianach Glorii Hatter nie ma żadnych pęknięć.

W drodze do domu Hatterów zastanawiała się, czy Archie wrócił po szkole prosto do domu, czy też włóczy się po mieście, siejąc chaos i zamęt. Archie i Hamish powinni zostać uwiązani w jakimś ciemnym, zacisznym miejscu, gdzie nie mogliby nikomu zaszkodzić. Zamiast tego pchali się do sklepów, autobusów i na ulice, rechocząc jak przygłupy, wyjąc jak małpy, pakując się w kłopoty. Czy gdyby Archie miał ojca – takiego jak Jackson albo choćby Sandy Mathieson – byłby inny?

Jej krótkofalówka zatrzeszczała i ożyła: „Centrala do wszystkich jednostek. Zgłoszono napaść w rezydencji Providence przy Mortonhall Road. Funkcjonariusze mogący przyjąć zgłoszenie proszeni są o podanie swojego znaku wywoławczego i aktualnego położenia”. Louise nie zawracała sobie głowy potwierdzaniem zgłoszenia, skoro i tak była na miejscu. Mało prawdopodobne, aby to był zbieg okoliczności. Jak to ujął Jackson? „Zbieg okoliczności to nic innego jak logiczne wyjaśnienie, na które jeszcze nikt nie wpadł”.

– Kiepsko to wygląda, co? – mruknął Jackson.

– Owszem – przytaknęła. – Ale nie wątpię, że masz jakieś nieprawdopodobne wytłumaczenie.

– W zasadzie nie. Szybko się zjawiałaś.

– Przypadek. Chyba znów ominęło mnie to co najciekawsze. Jackson cały we krwi stał nad zwłokami Terence’a Smitha z pistoletem w dłoni. Jej serce ścisnęło się boleśnie. Czy był ranny?

– Coś ci dolega?

– Mnóstwo rzeczy, ale się wylizę. To *chyba* nie jest moja krew.

Na trawniku przed domem siedział jakiś mężczyzna i mamrotał coś do siebie o składaniu ślubów. Po chwili znów na niego spojrziała – teraz wyglądał, jakby spał. Kobieta o brzoskwiniowych włosach, świetnie komponująca się z sofą, na której siedziała, przeżywała właśnie atak lekkiej hysterii.

– Pani Hatter? – zagadnęła ją Louise, ale tamta nie zareagowała.

– Nie wiem, co to za jedna – wtrącił się Jackson, co było bardzo pomocne. – Facet śpiący na trawniku nazywa się Martin Canning.

– Martin Canning? Ten *pisarz*? Ten sam, który mieszka z Richardem Moatem?

To było zbyt pokręcone. Co za historia!

– Powinnaś zabezpieczyć miejsce przestępstwa – zauważył Jackson. – Ale ty to przecież wiesz, prawda? Jasne, jesteś przecież inspektorem.

– *Naprawdę* nie pora na żarty.

Jackson wytarł z broni odciski palców i odłożył ją na ziemię. Chryste, niewiarygodne, co ten facet wyprawiał! Mogłaby go z miejsca skuć i aresztować.

– Ten pistolet należy do niejakiego Paula Bradleya – powiedział. – Tyle że nikt taki nie istnieje. – Rozejrzał się i zapytał: – A gdzie się podziały tamte dwie?

– Jakie dwie?

– Pani Hatter i Tatiana.

– *Tatiana*?!

– Szalona Rosjanka. Jeszcze przed chwilą tu były. Posłuchaj, chętnie bym został i z tobą pogadał, ale muszę lecieć.

Teraz to na serio robił sobie jaja.

– To jest miejsce *zbrodni*. Moja kariera będzie skończona,

jeśli pozwolę ci odejść. W najgorszym przypadku jesteś podejrzanym, w najlepszym – świadkiem.

Miała wrażenie, że to kiedyś przerabiała. Zastanów się jeszcze raz, Louise: ten facet to *świadek, podejrzany oraz prawomocnie skazany przestępca*.

– Wiem, ale mam coś ważnego do załatwienia. Bardzo ważnego.

Wyraźnie słyszeli zbliżające się wycie syren. Jackson wyglądał jak pies reagujący na gwizd.

– Ja nie istnieję – stwierdził. – Nigdy mnie nie widziałaś. Błagam, Louise. Wyświadczy mi tę jedną przysługę.

Był usprawiedliwionym grzesznikiem, tak jak ona. *Louise*. Samo to, jak wymówił jej imię... Potrząsnęła głową, jakby chciała wytrząsnąć go ze swojego umysłu.

Wymknął się tylnymi drzwiami w tym samym momencie, gdy na podjeździe pojawił się Jim Tucker i ruszył ku domowi. Louise myślała, jak najlepiej mu to przedstawić. Naprawdę była gotowa wymazać Jacksona z tego obrazka? Żaden z dwóch pozostałych „świadków” nie wyglądał, jakby miał choć mgliste pojęcie o tym, co tu się stało. Przez nieistniejące już drzwi na taras dała Jimowi znak, żeby wszedł od frontu.

– Louise – odezwał się. – Nie wiedziałem, że jesteś na miejscu.

W bramie dostrzegła posterunkowego i dwie policjantki w mundurach; cała trójka zmierzała w ich stronę. Nagle rozległ się dzwonek jej komórki i świat Louise zachwiało się w posadach. Archie.

– Zaraz tam będę – rzuciła do słuchawki.

– To Archie – zwróciła się do Jima. – Muszę iść.

Jim wzdrygnął się, bo słusznie przewidywał, jaki bałagan spadnie mu na głowę. Próbowwała go pocieszyć, co nie było łatwe, zważywszy na okoliczności.

– Posłuchaj, Jim, zjawiłam się tu dosłownie przed sekundą, wiem niewiele więcej niż ty. Na dobrą sprawę jesteś pierwszym funkcjonariuszem, który przyjął zgłoszenie, bo ja naprawdę *muszę już iść*.

Posterunkowy i dwie policjantki byli blisko tarasu, ale

zboczyli w stronę drzwi frontowych, najwyraźniej nie chcąc zatrzeć śladów w miejscu przestępstwa. Jedna z policjantek odłączyła się od pozostałych i podeszła do Martina Canninga. Słysząc było, jak mówi do niego:

– Panie Canning? Martin? Nic panu nie jest? To ja, posterunkowa Clare Deponio, pamięta mnie pan?

W oddali wyły kolejne syreny; jedna zwiastowała przyjazd karetki pogotowia. Louise poczuła smak krwi z przygryzionej wargi. Nie powiedziała: „Pamiętasz, że jesteś mi winien przysługę, Jim?” ani „Co słysząc u twojej uroczej córeczki studentki? Na pewno się cieszy, że nie beknęła za narkotyki”. Nie musiała. Jim wiedział, że nadszedł czas na rewanż. Rączka rączkę myje. Bez słowa skinął głową w kierunku tyłu domu.

– Dzięki – rzuciła bezgłośnie i zniknęła.

Ciekawe, ilu dyscyplinarnych, a może nawet kryminalnych wykroczeń dopuściła się w ciągu ostatnich pięciu minut. Nie zawracała sobie nawet głowy liczeniem.

Przez telefon Archie miał dziwny głos, spięty i trochę zdesperowany. W pierwszej chwili pomyślała, że na pewno kogoś zabił albo został aresztowany. Było znacznie gorzej.

Potem on i Irina skręcili do hotelu, który dzielił z karaluchami, minawszy trochę przerażających mężczyzn kręcących się przy wejściu. Stanowili skrzyżowanie odźwiernych z ochroniarzami, zawsze ubrani w czarne skórzane kurtki i z papierosami w ustach. Otwierali gościom drzwi (czasami) i wzywali taksówki, choć wyglądali raczej na gangsterów. Jeden z nich powiedział coś do Iriny. Zbyła go lekceważącym machnięciem ręki.

Jakimś sposobem znaleźli się w jego pokoju i nie wiedzieć kiedy Martin stanął przed nią w samych slipach, mówiąc: „Solidnie wyposażony. Liczy się komfort, nie szybkość”.

Później czas znowu dał susa naprzód. Leżeli na wąskim łóżku. Irina siedziała na Martinie okrakiem ubrana tylko w stanik i buty, wydając z siebie krótkie skamlące odgłosy, które mogłyby świadczyć o ekstazie seksualnej, gdyby nie to, że jej twarz była całkiem pusta. Martin nie wniósł praktycznie żadnego wkładu w to zbliżenie, kompletnie zaskoczony jego tempem i tym, jak bardzo było nieoczekiwane. Doszedł szybko i cicho, czując z tego powodu zażenowanie. „Wybacz” – szepnął, ona zaś wzruszyła ramionami i pochyliła się nad nim tak, że jej piękne włosy musnęły jego pierś. Zalotny gest, który wydał mu się zwykłą formalnością. Zauważył ciemne odrosty kontrastujące z rozjaśnionymi końcówkami.

Zeszła z niego. Spowijająca jego mózg alkoholowa mgła nieco się podniosła, w jej miejsce narastało uczucie mdlącego, tępego przygnębienia, gdy przyglądał się, jak Irina zapala papierosa. Kobieta w obcym kraju, kobieta, której prawie nie znał, nie rozbierała się do stanika i butów i nie ujeżdżała mężczyzn za darmo. Nie musiała być prostytutką, ale z pewnością oczekiwała zapłaty.

Podniosła swoje rzeczy i je włożyła. Papieros tkwił w kąciku

jej warg. Dostrzegła, że Martin na nią patrzy, i uśmiechnęła się.

– Okej? – zapytała. – Ty zadowolony? Chcesz mi coś dać za dobrą zabawę?

Wstał, podskakując, usiłował włożyć spodnie. Ten wieczór ściągnął go na samo dno upokorzenia, którego dotąd udawało mu się unikać, nawet w wyobraźni. Przetrzęsnał kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy. Większość gotówki zostawił w Grand Hotelu, zdołał znaleźć dwadzieścia rubli i trochę drobnych. Irina popatrzyła na nie z obrzydzeniem, gdy próbował jej wyjaśnić, że zejdzie na dół do recepcji i wypłaci pieniądze ze swojej karty Visa. Marszcząc brwi, powiedziała:

– *Niet*, Visa nie.

– Nie o to chodzi – odparł. – Nie proponuję ci karty. *Wymienię* pieniądze. Zejdę na dół i wypłacę dla ciebie dolary.

Gwałtownie pokręciła głową. Wskazała na jego rolexa i spytała:

– Dobry?

Znów owijała głowę szalem i zapinała płaszcz.

– Tak – potwierdził – jest prawdziwy, ale...

– Daj.

W jej głowie pojawił się piskliwy, nieustępliwy ton. Była czwarta rano (nie miał pojęcia, jak to możliwe; gdy ostatni raz spoglądał na zegarek, była jedenasta). W sąsiednim pokoju mieszkało emerytowane małżeństwo z Gravesend. Co sobie pomyślą, jeśli zbudzi ich Rosjanka, żądająca zapłaty za seks? A jeśli zaczną krzyczeć i ciskać przedmiotami? Czysty absurd, zegarek był wart ponad dziesięć tysięcy funtów, zdecydowanie nie była to uczciwa wymiana.

– Nie, zaraz przyniosę pieniądze – zdecydował. – A potem ktoś z hotelu wezwie ci taksówkę.

Wyobraził sobie, jak jeden z groźnych mężczyzn w czarnej skórze wsadza ją do taksówki, spogląda na Martina i wie, że ten właśnie zapłacił jej za seks.

Powiedziała coś po rosyjsku i zrobiła krok w jego stronę, usiłując chwycić go za nadgarstek.

– Nie – powtórzył, wymykając jej się.

Znów na niego natarła, więc on znów się cofnął. Tym razem

potknęła się, straciła równowagę i choć wyciągnęła ręce, żeby się ratować, uderzyła głową o kant pokrytego tanią okleiną biurka, które zajmowało niemal całą ścianę ciasnego pokoiku. Wydała cichy okrzyk jak zraniony ptak i potem umilkła.

Powinna się podnieść. Powinna wstać, trzymając się za czoło. Pewnie miałyby tam przeciętą skórę albo guz i bardzo by ją bolało. On wtedy najpewniej zdjąłby rolexa z nadgarstka i dał go jej na pocieszenie, żeby nie robiła awantury. Ale się nie podniosła. Martin przykucnął obok, dotknął jej ramienia i powiedział z wahaniem:

– Irino? Uderzyłaś się? Nic ci nie jest?

Szał zsunął się z jej włosów. Leżała twarzą do dołu na wstrętnym dywanie i nie reagowała. Jej kark był blady, bezbronny.

Spróbował ją odwrócić, nie wiedząc wcale, czy tak należy postępować z kimś, kto stracił przytomność od uderzenia w głowę. Była ciężka, o wiele cięższa, niż się spodziewał, i stawiała dziwny opór, jakby celowo nie zamierzała mu ulżyć w jego wysiłkach. W końcu zdołał ją przekreślić. Opadła bezwładnie na plecy. Oczy miała szeroko otwarte, wpatrzone w nicość. Na ułamek sekundy serce przestało mu bić z przerażenia. Odskoczył od niej, zahaczając o krawędź łóżka, uderzając się w goleń i boleśnie wykręcając stopę. Coś wzbierało mu w piersiach, łkanie, skowyt, sam nie był pewien, co to będzie. Zaskoczony usłyszał, że z jego ust wydobył się tylko marny, zduszony skrzek.

Żadnej widocznej przyczyny, jedynie czerwony ślad na skroni, to wszystko. Jedno z tych zdarzeń, których prawdopodobieństwo wynosi jeden na milion, pomyślał – pęknięcie któregoś z kręgów szyjnych albo krwawienie śródczaszkowe. Później przez wiele miesięcy czytał wszystko, co napisano o urazach głowy.

Taki drobiazg. Gdyby nie nosiła wysokich obcasów, gdyby dywan nie był wystrzępiony, gdyby Martin miał dość rozumu, aby się zorientować, że taka dziewczyna nigdy nie mogłaby się zainteresować kimś takim jak on. Na ułamek sekundy ujrzał tę scenę oczyma innych: kierownictwa hotelu, mężczyzn

w czarnych skórach, policji, brytyjskiego konsula, małżeństwa z Gravesend, umierającego sklepikarza. Zero szans, aby ktokolwiek zinterpretował tę sytuację w sposób korzystny dla niego.

Ogarnęła go panika. Pulsowała w jego piersi, wirowała mu w mózgu na podobieństwo cyklonu; fala adrenaliny zalała jego ciało, porywając ze sobą wszystkie myśli z wyjątkiem jednej – *trzeba się jej pozbyć*. Rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, co po sobie zostawiła. Jediną rzeczą, jaką dostrzegł, była jej torebka. Przetrzęsnał ją, by się upewnić, że nie ma tam nic, co mogłoby go pogrozić, że nie zapisała sobie jego nazwiska ani adresu hotelu. Nic poza tanią portmonetką, pękiem kluczy, chusteczką oraz szminką. W plastikowym portfeliku było zdjęcie. Fotografia niemowlęcia nieokreślonej płci. Martin nie chciał się zastanawiać, co mogło oznaczać zdjęcie dziecka.

Jednym szarpnięciem otworzył okno. Pokój znajdował się na siódmym piętrze, lecz okna otwierały się na oścież – w zakaraluszonym hotelu nie przestrzegano zasad BHP. Podciągnął ciało do okna, po czym, trzymając je niezgrabnie w pasie niczym marny tancerz, przerzucił przez parapet. Nienawidził jej za to, że jest jak nieporęczna kukielka, jak worek z piaskiem do ćwiczenia ciosów bagnetem. Nienawidził jej za to, że wisiała tak ni to w środku, ni to na zewnątrz, jakby wszystko było jej obojętne. Rosyjska lalka. Na ulicy było cicho jak w grobie. Gdyby runęła z siódmego piętra, gdyby znaleziono ją na chodniku, nikt by nie wiedział, czy skoczyła, czy została wypchnięta, czy wypadła z okna w pijanym widzie. Wypiła tyle, że jej krew musiała się w stu procentach składać z alkoholu. Nikt nie mógłby wskazać okna jego pokoju i powiedzieć: „Martin Canning, brytyjski turysta, to z jego okna wypadła”. Poniżej stał olbrzymi kontener budowlany prawie w całości wypełniony gruzem. Martin nie chciał, żeby do niego wpadła – mogłoby to sugerować próbę ukrycia ciała, a nie zwykły wypadek.

Założył jej pasek od torebki na szyję, po czym przełożył go przez ramię, jakby pomagał dziecku włożyć chlebak. Następnie

chwycił ją pod kolana, uniósł i pchał dopóty, dopóki nie wysunęła mu się z rąk.

Gdyby celował w kontener, nigdy by nie trafił, ale ponieważ chciał, żeby wylądowała na chodniku, spadła prosto do kontenera. Obracając się w powietrzu, z głośnym trzaskiem runęła twarzą do góry na stertę drewna, gruzu i kawałków gipsu. Przebiegający obok bezdomny pies odskoczył przestraszony. Poza nim nic na ulicy się nie poruszyło. Martin zamknął okno.

Usiadł w kącie pokoju na podłodze i objął rękoma kolana. Trwał w tej pozycji przez dłuższy czas, zbyt wyczerpany, żeby robić cokolwiek innego. Patrzył, jak do pokoju zagląda świt, i myślał o pustym spojrzeniu Iriny, której oczy nigdy nie miały ujrzeć światła poranka. Po stopie przebiegł mu karaluch. Na ulice wyjeżdżały pierwsze tramwaje. Martin czekał na budowlańców, wyobrażał sobie, jak wspinają się na rusztowanie, patrzą w dół i widzą tam kobietę leżącą jak porzucona lalka. Był ciekaw, czy dobiegną go ich okrzyki na widok makabrycznego znaleziska.

Usłyszał warkot potężnego silnika i zgrzyt zmienianych biegów. Powoli podpełzł do okna. Kontener kołysał się w powietrzu; z tej odległości przypominał dziecięcą zabawkę. W głębi duszy Martin miał nadzieję, że w międzyczasie Irina zniknęła, lecz ona wciąż tam leżała, bezwładna i powykręcana. Kontener zakołysał się nad paką wielkiej ciężarówki i spoczął na niej z głośnym metalicznym szczękiem, który odbił się echem w zimnym powietrzu. Ciężarówka odjechała. Martin patrzył, jak sunie wolno jezdnią i skręca na most na Newie. U wylotu mostu zniknęła mu z oczu.

Wyrzucił istotę ludzką jak śmieci.

Podczas kontroli paszportowej na lotnisku przez cały czas spodziewał się, że któryś z budzących grozę urzędników przyłoży mu dłoń do piersi i wyczuje łomoczące serce, spojrzy mu w oczy i dostrzeże poczucie winy. Przepuszczono go jednak znużonym machnięciem ręki. Sądził, że kara będzie rychła, lecz jak się okazało, sprawiedliwość miała mu być wymierzana powolutku, a on sam miażdżony tak długo, aż nic z niego nie

zostanie.

W sklepiku bezcłowym kupił matce magnes na lodówkę – lakierowaną drewnianą matrioszkę. W drodze powrotnej sklepikarz siedział w samolocie z małżeństwem z Gravesend i wciśnięty w za ciasny dla siebie fotel opowiadał, że właśnie odhaczył kolejny punkt ze swojej listy „rzeczy do zrobienia przed śmiercią”. Obsługa podała posiłek: żałosny makaron ze ściętym sosem. Martin był ciekaw, czy stragan Iriny jest zamknięty, czy też ktoś już go przejął. Przy lądowaniu sklepikarz źle się poczuł. Karetka zabrała go zaraz po tym, jak koła samolotu dotknęły płyty lotniska. Martin nawet na niego nie spojrział.

* * *

W salonie była kobieta, którą pamiętał z podpisywania książek wcześniej tego samego dnia. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięła. Przyciskała do siebie egzemplarz jego *Zagadki araukarii* i wrzeszczała. Przez chwilę miał ochotę zażartować, powiedzieć: „Chyba nie jest aż taka zła?”, lecz tego nie zrobił. Była też blondynka, która krzyknęła coś po rosyjsku do tego szaleńca z hondy. Kierowca hondy chciał zabić jasnowłosą Rosjankę i wtedy wkroczył Jackson, gotów się poświęcić, by ją ratować. Kierowca hondy aż kipiał z wściekłości. Ludzie tacy jak on musieli mieć nie po kolei w głowie – ci wszyscy, którzy wyrzucali psy przez okno i przystawiali żonom pistolet do głowy. Ich mózgi nie pracowały jak trzeba. Gdyby była tu Nina Riley, powiedziałyby: „Odlóż broń, ty nikczemny łajdaku!”. Ale jej nie było. Był tylko Martin.

Czas zwolnił. Kierowca hondy wzniosł do góry kij w znajomym geście unicestwienia. Rosjanka odwróciła się do Martina. Rysy jej twarzy się zmieniły, błękitne jak u lalki oczy wpatrywały się w niego nieruchomo, różane usteczka mówiły: „Zastrzel go, Marty”. I tak też uczynił.

Test ciążowy.

Jackson biegiem dotarł do mieszkania (dosłownie), cisnął zakrwawione ubranie na podłogę łazienki, wskoczył pod prysznic i na dobre usunął Terence'a Smitha ze swojego życia. Przez jedną szaloną sekundę rozważał, czy nie pobiec prosto z domu Hatterów na premierę spektaklu Julii, lecz stwierdził, że mogłoby to wypaść nieco *zbyt* dramatycznie, gdyby zjawił się na widowni cały zalany krwią. Takie numery to tylko w *Makbecie*.

Niczym mistrz wielozadaniowości (tak na to mówiono) jednocześnie wciągał ubranie, dzwonił po taksówkę i oglądał swoją udręczoną twarz w zaparowanym lustrze. Przypadkowo spojrział w dół i go zauważył.

Wyjął test z kosza na śmieci i gapił się na niego, jakby właśnie spadł z księżyca. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się znaleźć. Choć właściwie dlaczego nie? Przez dwa lata, odkąd byli razem, nic takiego się nie zdarzyło, a teraz proszę. Niebieska. Kreska była niebieska. Każdy wie, co to znaczy. To by wszystko tłumaczyło: jej nagle zmiany nastroju, brak apetytu (na seks oraz jedzenie), dziwną niepewność siebie. Julia była w ciąży! Co za niezwykła myśl – Julia będzie miała dziecko. Jego dziecko. *My będziemy mieli dziecko*. Dziecko dla Julii. Można to było dowolnie wyrażać, lecz w gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do jednego – Julia nosiła w sobie mikroskopijne nowe życie, małeńka istota mościła się w norce wewnątrz kobiety, którą kochał. Ciekawe, czy to będzie chłopiec. Mieć syna to byłoby coś. Być ojcem, jakiego samemu się nie miało. W kieszeni nadal miał laleczkę wielkości fistaszka. Narzucił kurtkę i dotknął laleczki jak talizmanu albo paciorka różańca, obracając ją w dłoni raz po razie.

To dziecko uleczy Julię. W pewnym sensie utracona Olivia

ponownie narodzi się dla Julii w jej własnym dziecku. Ono sprawi, że wszystko się ułoży, dla Julii i dla nich obojga. Będą parą. Skoro mieli zostać rodzicami, tak czy inaczej będzie musiała pogodzić się z tym określeniem. Dziecko uleczy także Jacksona, zabliźni niektóre z jego ran. Jak to ujęła Louise? „Plemnik spotyka jajeczko i trach. Zdarza się najlepszym z nas”. Teraz zdarzyło się Julii.

Niby nic nowego, a jednak całkiem nowy świat.

Louise słyszała dobiegającą z salonu muzykę klasyczną. Światła w całym domu były pogaszone i tylko w kominku paliła się świeca zapachowa. Nastawił radio na stację z muzyką klasyczną. Serce niemal jej pękło na myśl, jak starał się to wszystko ogarnąć. Nad oparciem sofy dostrzegła czubek głowy Archiego. „Panie, Ty znasz sekrety serc naszych, nie zamykaj swych miłosiernych uszu na nasze modlitwy”. Musiał usłyszeć, że nadchodzi, bo odwrócił lekko głowę i zapytał:

– To ty, mamó? – Głos drżał mu płaczkliwie.

– Archie?

Powoli podeszła do sofy. Mocno zagryzła wargę, usiłując powstrzymać skowyt, który cisnął się jej na usta gdzieś z głębi trzewi. Archie spojrział na nią i powiedział cicho:

– Przykro mi, mamó.

Wokół oczu miał czerwone obwódki, wyglądał okropnie. W ramionach kołysał Żelka, jakby ten był noworodkiem. Ciało kota było bezwładne i skurczone, całkiem bez życia. Archie owinął go starym swetrem Louise.

– Pomyślałam, że chciałby czuć twój zapach – wyjaśnił.

Korkociąg wykonał kolejny obrót. Serce miała całe w strzępach.

– Nie wstydz się płakać, mamó – dodał.

Ból wreszcie doszedł do głosu; Louise wydała z siebie przerażające, żalobne zawrođenje, przenikliwy lament, który brzmiał, jakby wydobywał się z ust kogoś innego.

Nie było jej przy narodzinach kota, ominęła ją jego śmierć.

– Ale miałaś wszystko pomiędzy – zauważył Archie. Zabrzmiało to niepokojąco dojrzale. – Proszę – powiedział, podając jej ostrożnie smutne, ciasno okutane zawiniątko. – Zrobię ci filiżankę herbaty.

Odwinęła kota i ucałowała jego łebek, uszy i łapki. Nawet to

przemianie.

Archie wrócił z herbatą, która okazała się słodka. Musiał słyszeć w telewizji, że gorąca słodka herbata jest lekiem na całe zło. Louise w całym swoim życiu nie posłodziła herbaty, lecz teraz stwierdziła, że taki napój ma w sobie coś krzepiącego.

– Miał dobre życie – odezwał się Archie. Nie był jeszcze dość dorosły, żeby zabrzmiało to jak banał.

– Wiem.

Miłość to najtrudniejsza rzecz pod słońcem. I niech nikt wam nie mówi, że jest inaczej.

– Musimy już iść, Glorio – ponagliła ją Tatiana.

Urządzenia wciąż syczały i pompowały, Graham wciąż dryfował w kosmosie. Gloria nachyliła się i pocałowała go w czoło. Błogosławieństwo albo klątwa, albo jedno i drugie, ponieważ wszystko dawało się zawrzeć w syntezie rzeczywistości. Czerń i biel, dobro i zło. Jego ciało w dotyku zaczynało przypominać glinę.

Co było prawdziwą zbrodnią? Kapitalizm, religia, seks? Morderstwo – zazwyczaj, ale niekoniecznie. Kradzież – podobnie. Lecz okrucieństwo i obojętność również były zbrodnią, tak jak złe wychowanie i bezduszość. Najgorsza była obojętność.

Wkrótce po tym, jak Gloria wyszła za Grahama, wybrali się do jego rodziców na niedzielny obiad. Gloria zapamiętała, że koścista pieczona kaczka została im zrekompensowana przez solidny placek ze śliwkami. Nigdy nie przestawało jej zadziwiać, że może tak kiepsko pamiętać wydarzenia z minionego piątku, a tak szczegółowo posiłki, które jadła ponad czterdzieści lat temu.

Z jakiejś przyczyny ich samochód był tego dnia w warsztacie (Graham wniósł w posagu triumpha heralda), więc ojciec Grahama odwiózł ich do ich skromnego domku (starego modelu „Pencaitland”, dawno wycofanego ze sprzedaży przez Hatter Homes), który stanowił prezent ślubny od niego i jego żony dla młodej pary. Mówiło się, że to dom „na początek”. Nikt jakoś nie sprzedawał domów „na koniec”.

Po drodze zbczyli na plac budowy w takiej czy innej dawno zapomnianej sprawie, którą musieli się zająć ojciec i syn. W tamtym czasie firma Hatter Homes miała tylko ten plac z walącym się biurem w rogu. Gloria wysiadła z auta. Nigdy wcześniej nie była na placu budowy ani w biurze i uważała, że

teraz, gdy nosi nazwisko Hatter, powinna okazać jakieś zainteresowanie. Rzecz jasna, nigdy nie powinna była zrezygnować z panińskiego nazwiska „Lewis”. Teraz nadarza się okazja, żeby do niego wrócić, gdy będzie wyjętą spod prawa wdową. Ludzie stale zmieniali tożsamość – jej rodzony dziadek zmienił nazwisko na Lewis po tym, jak przyjechał do Leeds z Polski z jedną tekturową walizką i nazwiskiem, którego nikt nie był stanie wymówić.

Obaj Hatterowie zniknęli w biurze, Gloria zaś przechadzała się po terenie zastawionym tajemniczymi paletami i workami. Nie miałyby zielonego pojęcia, jak się zabrać do budowy domu. Ciekawe, co by się stało z rasą ludzką po tym, jak pierwszy człowiek uderzył kamieniem o kamień i zrobił pierwsze narzędzie, gdyby to od niej zależało. Nigdy nie potrafiłaby zbić czegoś tak skomplikowanego jak półka i pewnie po dziś dzień przechowywano by wszystko w hamakach oraz workach. Gloria należała do zbieraczy, podczas gdy Graham był wyposażonym w śrubokręt myśliwym. On szedł i budował, ona zostawała, żeby zajmować się domem. Od ślubu minął zaledwie miesiąc i w ich związku wciąż płonął ogień. Gloria nadal była cudownie zaabsorbowana kupowaniem kompletów podwieczorkowych i gumowych mopów.

W tej samej chwili usłyszała cichutkie miauczenie, które doprowadziło ją – o radości! – do legowiska kociąt, wciąż ślepych jak krety, zwiniętych i wtulonych w matkę w kącie za stertą starego drewna.

Hatterowie, senior i junior, wyszli z biura. Jej świeżo upieczony teść zawołał: „Widzę, że znalazłaś te cholerne kociaki, Glorio”. Gloria, która obmyślała już kupno miękko wyściełanego koszyka, w którym zmieściłyby się przynajmniej dwa, a może nawet wszystkie kotki – kociego domku w ich własnym domu – odparła: „Och, są takie *cudowne*, panie Hatter”. Aż przebierała nogami, takie były śliczne. Wciąż nie potrafiła się zdobyć na poufałe „Jock”. W istocie ani razu nie zwróciła się do teścia po imieniu przez te trzy lata, gdy była jego synową, zanim dostał rozległego zawału i padł trupem na placu budowy. Prosto w błoto, wewnątrz stawianych właśnie

z pustaków ścian jednego ze swoich domów. Leżał tak, podczas gdy robotnicy stali w krąg i gapili się ze zdumieniem na jego martwe ciało. Tytan opuścił budynek, jego syn zaś stał w niewykończonej kuchni i główkował, czy mu się upiecze, jeśli wstawi tam mniejsze okno.

– Graham – warknął Jock Hatter – zabierz stąd to cholerstwo.

– Robi się – mruknął Graham, wygarniając naraz całą piątkę miękkich, ciepłych ciałek i jednym szybkim ruchem wrzucając je do stojącej obok biura beczki z wodą.

Gloria była tak zaskoczona, że przez jedną koszmarną sekundę po prostu patrzyła bez słowa, skamieniała, jakby ktoś rzucił na nią czar. Potem krzyknęła i chciała skoczyć na Grahama, żeby ratować kocięta. Jock ją przytrzymał. Nie był wysoki, ale zadziwiająco silny, i choć Gloria wiała się i szarpała, nie zdołała wyrwać się z jego żelaznego uścisku. „Tak trzeba, dziewczyno – powiedział cicho, gdy wreszcie ją puścił. – Tak to jest na tym świecie”. Graham wyciągnął z wody pięć bezwładnych ciałek i cisnął je do starej beczki po ropie, do której wyrzucano śmieci.

– Cholerne koty – gderał, gdy histeryzowała później w maleńkiej kuchni ich pierwszego domu. – Nie możesz być takim mięczakiem, Glorio. To tylko cholerne zwierzaki.

Zamordowana. W ustach Tatiany to słowo zabrzmiało naprawdę dziwnie. Potoczyło się jak grzmot, z łoskotem przecięło niebo. Gloria była ciekawa, czy teraz to przecięte niebo rozpadnie się na kawałki i runie jej do stóp. Miała wrażenie, że żołądek rozgrzewa się i rozpuszcza, serce biło zdecydowanie szybciej niż powinno u zdrowej kobiety w wieku przedemerytalnym. Przyjaciółka Tatiany została zamordowana. Lena. Dobry człowiek.

Gloria wiedziała, co Tatiana teraz powie. Najgorsze, że uwierzyła jej, zanim padło jego imię i pierwsza je wymówiła.

– Graham – rzuciła głucho.

– Tak – przyznała Tatiana. – Graham. To bardzo zły człowiek. Kazał Terry’emu ją zabić. To tak, jakby zabić samemu. Nie ma różnicy.

– Rzeczywiście – przytaknęła Gloria. – Nie ma absolutnie żadnej różnicy.

– Lena chciała iść na policję, chciała powiedzieć im wszystko, co wiedziała.

– A *co takiego* wiedziała? Coś na temat machlojek Grahama? Tatiana się zaśmiała.

– Machlojki to jeszcze nic, Glorio. Było wiele gorszych rzeczy niż machlojki. Graham robi interesy z bardzo, bardzo złymi ludźmi. Lepiej, żebyś nie wiedziała, bo i ciebie będą chcieli sprzątnąć. A teraz naprawdę musimy iść.

Gloria nachyliła się nad swoim mężem i szepnęła mu do ucha:

– *Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!*⁹

Opuściły miejsce zbrodni. To była prawdziwa ucieczka. Gloria łamała zasady, choć nie swoje własne. Zdołała ocalić czarny plastikowy worek z gotówką i pamięć przenośną, lecz poza tym uciekły tak, jak stały. Tatiana gdzieś zadzwoniła i pod tylne wyjście podjechało wielkie, czarne auto. Wsiadły do niego. Był to, jeśli Gloria się nie myliła, ten sam samochód, który zabrał Tatianę ze szpitala po tym, jak Graham miał zawał. Kierowca przez całą podróż milczał, Gloria nie zapytała, do kogo należy wóz. Wielkie, czarne auta z przyciemnianymi szybami należały zwykle do złych ludzi. Takich jak Graham.

Jechali na południe, w kierunku lotniska, ale Gloria poprosiła, żeby trochę zboczyć z trasy.

– Po co? – chciała wiedzieć Tatiana.

– Mam sprawę – odrzekła Gloria, gdy milczący kierowca zgodnie z jej wskazówkami skręcił z głównej drogi w osiedlową uliczkę. – Niedokończoną sprawę.

– Droga Glencrest – powiedziała Tatiana, odczytując z tabliczki nazwę ulicy.

Droga Glencrest przeszła w Zaulek Glencrest; potem była jeszcze Aleja Glencrest, Ulica Glencrest, Ogrody Glencrest i Uliczka Glencrest. Wszystkie te nazwy Tatiana z uporem recytowała niczym egzotyczna odmiana systemu nawigacji,

9 Percy Bysshe Shelley, Ozymandias, przekład Adama Asnyka.

który, nawiasem mówiąc, odmówił współpracy w tym osiedlowym labiryncie. Wciąż dało się tam wyczuć obecność Grahama; była niczym nisko zalegająca mgła, obłok poznania.

– Osiedle Glencrest – oznajmiła Gloria w zasadzie niepotrzebnie, gdy czarne auto zatrzymało się przy krawężniku.

– „Prawdziwe domy dla prawdziwych ludzi” wybudowane na miejscu dawnej kopalni.

Zarzuciła sobie na ramię czarny plastikowy worek na śmieci, zawierający siedemdziesiąt trzy tysiące pięćset funtów w banknotach dwudziestofuntowych.

Tatiana paliła oparta o samochód, podczas gdy Gloria ciągnęła za sobą czarny plastikowy worek od domu do domu, zostawiając pod drzwiami pliki banknotów. Dla wszystkich nie starczy, ale życie to loteria.

– Tragedia – stwierdziła Tatiana, kręcąc głową. – Wariatka z ciebie, Glorio.

Wsiadły z powrotem do czarnego auta i odjechały. Banknoty nie były niczym spięte, więc wieczorny wietrzyk unosił je i rozwiewał na wszystkie strony niczym grube płatki popiołu. Gloria dojrzała w lusterku wstecznym kogoś, kto wyszedł właśnie z jednego z podłych domów Grahama – modelu „Braecroft” – i zdumiony zamarł na widok fruujących w powietrzu pieniędzy.

Postrach złych, nadzieja dobrych. Były dwiema bandyckimi królowymi, rozbójniczkami. Były wyjęte spod prawa.

Czarna przestrzeń. Białe światło. Oklaski. W uszach Jacksona zabrzmiały całkiem żywiolowo, choć z drugiej strony publiczność w przeważającej części (z wyjątkiem paru krytyków) składała się z przyjaciół, członków rodziny i sympatyków artystów. Tego wieczoru Jackson reprezentował wobec Julii wszystkie te grupy, mimo to zdołał opuścić całe przedstawienie. Wśliznął się do teatru tylnym wejściem w samą porę, żeby zobaczyć kłaniających się aktorów. Wiedział, że chaosem i morderstwem nie zdoła wytłumaczyć tego, że spóźnił się na występ Julii. Może jednak powinien zjawić się na widowni zalany krwią?

Później w barze cała obsada odreagowywała stres, zachowując się jak pobudzone przedszkolaki. Tobias odstawił szopkę, osobiście sprawdzając, czy każdy na pewno ma szampana, po czym wygłosił wylewny toast z gratulacjami dla wszystkich, którego Jackson wysłuchał jednym uchem.

– Za nas! – wykrzyknęli na koniec, stukając się uniesionymi kieliszkami.

Julia wzięła go pod rękę i oparła głowę na jego ramieniu.

– I jak było? – spytał i poczuł, jak uchodzi z niej powietrze.

– Fatalnie – odparła. – W scenie z górą lodową całe fragmenty roli po prostu uleciały mi z pamięci, a ten tępy gówniarz nie podrzucił mi w porę tekstu.

– Scott Marshall? Twój *kochanek*?

Julia uwolniła ramię z jego uścisku.

– I tak wypadłaś wspaniale – zapewnił ją, żalując, że sam nie jest lepszym aktorem. – Naprawdę wspaniale.

Julia jednym haustem wychyliła swojego szampana.

– W dodatku – powiedziała – gdy na widowni pojawił się bileter i zapytał, czy jest na sali lekarz... Nie chodzi o to, że nie było mi szkoda tego faceta z zawałem, ale kiedy musiałam grać

dalej jak gdyby nigdy nic...

– Takie rzeczy się zdarzają – uspokajał ją Jackson.

– Owszem, ale *nie podczas dzisiejszego spektaklu*, Jacksonie – warknęła. – Nie było cię, prawda? Udało ci się opuścić moją premierę! Co się stało, co było takie ważne? Ktoś zmarł? A może tylko poprosił: „Pomóż mi, Jacksonie”?

– W zasadzie to...

– Jesteś tak kurewsko przewidywalny.

– Uspokój się.

Uspokój się? „Nigdy nie mów tak do kobiety” – brzmiała pierwsza zasada z poradnika, którego niestety nie dodawano do kobiet.

– Nie uspokoję się, kurwa.

Zapaliła papierosa, zaciągając się nim tak łapczywie, jakby zawierał lek na astmę.

– Nie powinnaś palić – zauważył (kolejny niezalecany tekst z poradnika). – Wiesz, że teraz będziesz musiała odstawić papierosy. I alkohol.

– A to dlaczego?

– A jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia.

Jej oczy pałały nową wściekłością; dostrzegł w nich wyzwanie, na które nie był gotowy. Co za idiotyczna sytuacja. Nie tak wyobrażał sobie tę chwilę. Wyobrażał sobie świece, kwiaty i pełną miłości czułość, otulającą ich oboje jak szal.

– Ponieważ jesteś w ciąży – syknął.

– I co z tego? – Uniosła krnąbrnie podbródek i wydmuchnęła dym z papierosa w stronę sufitu, gdzie połączył się z zalegającą nad ich głowami cuchnącą chmurą.

– I co z tego? – powtórzył rozdrażniony. – Co to ma niby znaczyć? I co z tego?

Nie powinni prowadzić tej rozmowy w tym obskurnym barze pełnym hałaśliwych ludzi, ale nie wiedział, jak miałyby ją teraz wymanewrować z budynku. Ciekawe, jak zamierzała przekazać mu tę nowinę. Zwiastowanie. Drogocenny moment na zawsze skalany. Nagle przyszła mu do głowy straszliwa myśl.

– Chyba nie zamierzałaś się go pozbyć?

Posłała mu chłodne, opanowane spojrzenie.

– Pozbyć się?

– Mówię o aborcji. Chryste, Julio, nie możesz tego brać pod uwagę.

O mały włos nie wyrwało mu się: „To może być twoja ostatnia szansa na dziecko”, ale zdołał ugryźć się w język.

– To, że mam wielkie cycki, nie czyni mnie jeszcze matką.

– Julio, byłabyś *cudowną* matką.

Mówił prawdę. Nie wierzył, że nie chciała doświadczyć macierzyństwa. Nigdy nie rozmawiali o dzieciach. O małżeństwie tak, ale nigdy o dzieciach. Jak to w ogóle możliwe? Jak mężczyzna i kobieta mogą być razem i nigdy nie rozmawiać ze sobą na ten temat?

– Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach, Jacksonie. Poza tym to moje ciało i moje życie.

– Ale moje dziecko – rzucił.

Uniosła do góry brew.

– *Twoje* dziecko?

– Nasze dziecko – poprawił się.

Coś przemknęło przez jej twarz, niewyobrażalny smutek i żal. Pokręciła głową i zgasiła papierosa w stojącej na barze popielniczce. Potem spojrzała na niego i powiedziała:

– Przykro mi, ale nie. Ono nie jest twoje.

Piątek

52

– Chryste. Jesteś pewna? Na pewno nie żyje? Dzwoniłaś do weterynarza?

Ekspedientka wlepiła w niego oczy, jakby między jego twarzą a jej istniało magnetyczne przyciąganie. Jej rysy odzwierciedlały jego przerażenie, jakby odgrywała główną rolę w dramacie jego życia. Dziewczyna zasługiwała na Oscara.

– Wszystko w porządku? – zapytała, kiedy się rozłączył.

– Dzwoniła moja mama – odrzekł Archie. – Nasz kot nie żyje.

– Ojej – jęknęła, krzywiąc się płacząco. Naprawdę drżała jej górna warga.

– To ci się udało – szepnął mu do ucha Hamish, gdy wychodzili ze sklepu. – Już dawno powinniśmy byli wpaść na ten pomysł z martwym kotem, to działa na dziewczyny.

Archie miał wyrzuty sumienia, że wykorzystał kota w ten sposób, chociaż pomogło mu to ubarwić występ autentycznymi emocjami. Żał mu było zwierzaka. Nie zdawał sobie sprawy, jak mu na nim zależy, dopóki nie zaczął tak przeraźliwie miauczeć. Okropny dźwięk przyprawił Archiego o dreszcze. Tylne łapy Żelka odmówiły mu posłuszeństwa i tylko leżał, ciężko dysząc. Czasami, gdy matka była w pracy, szczególnie gdy miała nocną służbę, Archie czuł, jak paniczny strach ściska mu pierś na myśl o tym, co by się z nim stało, gdyby umarła. Gdyby na przykład brała udział w pościgu samochodowym i miała wypadek. Albo gdyby ktoś ją zastrzelił lub pchnął nożem. Serce mu drżało i było mu słabo, gdy to sobie wyobrażał.

Dziwne, że tak bardzo kochała tego kota. Tydzień wcześniej umarła jej rodzona matka i Louise wzniosła toast słowami: „Za starą zdzirę, niech się smaży w piekle na wieki wieków amen”.

Tymczasem po śmierci kota wyplakiwała sobie oczy. A przecież jego matka była, jaka była, ale przede wszystkim była twardzielką. Archie nie cierpiał, kiedy płakała.

Próbował jej to ułatwić, starał się wymyślić, co sama by zrobiła, gdyby była w domu. Świece i muzyka, prawie jak w kościele. Zawinął kota w jej sweter i wziął na ręce. Zwierzak umarł w jego ramionach. Archie wszystko widział. W jednej chwili żył, w następnej już nie, żadnego momentu przejściowego. Pewnego dnia to samo stanie się z jego mamą. Ich rodzina i tak była niewielka, tylko on, matka, stary kot i to wszystko. Teraz nawet kota zabrakło. Hamish miał dwie siostry, ojca, dziadków, babcię, ciotki, wujów, kuzynów, więcej krewnych, niż komukolwiek było to potrzebne. Archie miał tylko mamę. Gdyby coś jej się stało, zostałby całkiem sam.

Kiedy kot umarł, rozplakał się. Coś w nim spęczęniało i stało się tak wielkie, jakby lada chwila miało wybuchnąć. Mama przyszła i go przytuliła. Pomyślał wtedy, że znów chciałby być małym dzieckiem. Płakali razem – ona z powodu kota, on dlatego, że nigdy nie będzie dzieckiem. Zrobił jej filiżankę herbaty, wyszedł i kupił frytki, a potem oglądali wspólnie telewizję i było im miło, mimo że kot nie żył, a mama tak bardzo się tym przejęła. Powiedziała: „Skremujemy go, weterynarz dał mi ulotkę. Dostaje się drewniane pudełeczko, na którym można umieścić jego zdjęcie i mosiężną tabliczkę z imieniem. Będziemy go trzymać na kominku”. Jej własna matka tkwiła zapomniana na półce w garażu. To dopiero była *ironia losu*. W tamtej chwili byli ze sobą tak *blisko*, że prawie się do wszystkiego przyznał. Do kradzieży, do tego, jak natknęli się przy Cowgate na portfel Martina Canninga (to akurat nie była *kradzież*, facet musiał go zgubić), znaleźli w środku adres jego biura i włamali się tam (dla zabawy – i faktycznie bawili się świetnie). Hamish potrafił otwierać zamki jak pierwszorzędny włamywacz. Jego życiowym celem było obrabowanie banku własnego ojca. Hamish nienawidził go w sposób, który przerażał Archiego. Później jednak zmienił zdanie co do *zwierzeń*. Stwierdził, że dobijanie matki w momencie gdy jest tak załamana, byłoby czymś wrednym.

Mama objęła go i wyszeptała: „Już dobrze”. Na chwilę faktycznie było dobrze. Archie dojadł jej frytki i pozwolił głaskać się po głowie. Potem zadzwoniła jej komórka i Louise westchnęła: „Wybacz, to z komendy. Muszę jechać, zdarzył się wypadek”. I pojechała, zostawiając go samego z martwym kotem. Inne matki tak nie postępowały.

Słyszał, że wyjeżdża z garażu, i wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć oddalający się samochód. Za szybą niczym malutki zaczarowany dywan przefrunął wolno banknot dwudziestofuntowy.

– Archie, kurwa mać! Policja! – wrzasnął Hamish i pchnął go od tyłu w plecy.

Archie zakręcił ramionami młynka, usiłując złapać równowagę i nie upaść na twarz. Hamish nie czekał na niego; pędził w dół George Street, zostawiwszy Archiego na pastwę losu. Archie odwrócił się i ujrzał zbliżających się dwóch krępych policjantów. Nawet nie próbował uciekać. Ruszył na spotkanie ze swoim przeznaczeniem. Przez ostatnie miesiące zmierzał w tym kierunku i w końcu nadszedł ten moment. Czuł głównie ulgę.

Nina Riley wspinała się, dłoń za dłonią, zwinna niczym pająk na zrudziałej pajęczynie dźwigarów mostu nad zatoką Firth of Forth, aż wreszcie mokra od potu stanęła na torach kolejowych. Nie miała pojęcia, gdzie podział się Bertie. Może spadł i znalazł śmierć w szarych wodach pod mostem? Jego los wyjątkowo był jej obojętny. Był takim irytującym chłopcem, stale jej nadskakiwał („Panienko Nino, jest panienka w dechę, serio”). Przydałaby mu się solidna dawka socjalizmu albo porządny kopniak w tyłek.

Rozejrzała się po torach – ani śladu pociągu. Ani śladu lorda Morybory’ego czy jak tam się nazywał. Jej tak zwanego arcywroga. Ani śladu trupy klaunów cyrkowych, którzy od wielu dni deptali jej po piętach. Słaby krzyk przerwał jej rozmyślenia. To chyba był Bertie. Czyżby wzywał jej pomocy? Czujnie nadstawiła ucha. Słabiutkie: „Pomocy, panienka Riley!” doleciało do niej wraz z lekkim wiatrem od strony ujścia rzeki. Zignorowała jego wezwanie. Potem w oddali rozległ się głuchy łoskot. Pociąg. Czas działać. Ostrożnie położyła się na torach – nie chciała ubrudzić nowego kremowego płaszcza ze skóry, choć, rzecz jasna, wkrótce i tak będzie całkiem do niczego.

Wyciągnęła się wygodnie na wznak równolegle do podkładów kolejowych. Jak coś robić, to porządnie. Szkoda, że nie miała nikogo, kto przywiązałby ją liną do torów. Byłoby to doskonale zakończenie na modłę hollywoodzką. Choć może to i lepiej? To by nie było w jej stylu; ostatecznie nie była damą w opałach, tylko nowoczesną kobietą robiącą to co należy. Szlachetny postępek.

Łoskot narastał. Pociąg był coraz bliżej.

Poświęcenie. Samopoświęcenie, jeśli chodzi o ścisłość. Robiła to dla Martina. Nareszcie go od siebie uwolni. Zabierze ze sobą

w nicość Alexa Blake'a, wówczas Martin odzyska swobodę. Będzie mógł zacząć wszystko od nowa, napisać w końcu, na litość boską, coś porządnego zamiast tego steku bzdur. Oczywiście paru rzeczy żałowała. Nigdy nie uprawiała seksu – Martin by jej na to nie pozwolił. I nigdy nie była w Walii; zawsze ją ciekawiło, jak tam jest. Teraz już się tego nie dowie.

Jej twarz drgnęła pod wpływem nieznanego wcześniej uczucia. Pomyślała, że to może być strach. Teraz nie było odwrotu. Wkrótce nastąpi koniec. Nanosekunda, która wszystko odmieni. Zaraz tu będzie. Już.

Wkroczyła w mrok, gdzie nie było żadnych słów. Niech się stanie ciemność.

– Siedzi tak po prostu i nic nie mówi?

– Mhm. Mniej więcej. Od policji wiem, że gdy przyjechali, bełkotał coś o przyjmowaniu święceń kapłańskich.

– Bełkotał? Czy to termin kliniczny?

– Bardzo śmieszne. Nie postawiłem jeszcze oficjalnej diagnozy, ale powiedziałbym, że znajduje się w stanie katatonii pourazowej, ucieczki histerycznej. Kogoś zastrzelił, zabił. Nikt z nas nie wie, jak zareagowałby w podobnych okolicznościach.

– Myślisz, że udaje? W końcu to pisarz, zgadza się?

– Uhm.

– Co właściwie pisze?

Jackson zadzwonił do Louise z samochodu. Wynajął mondeo w Hertz i wracał nim do Londynu. Raczej nie był gotów na powrót do Francji. I może nigdy nie będzie. Uciekał, pędził w stronę granicy hrabstwa z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę z wyłączonymi tylnymi światłami. Gnał ku granicy kanadyjskiej. Mknął przez pyliste drogi Teksasu, szukając nowych kłopotów. Był bohaterem każdej piosenki, jakiej w życiu słuchał.

Próbował wymawiać w myślach słowo „dom”, ale jakoś dziwnie to brzmiało. „Tam dom twój, gdzie serce twoje”, stwierdziła kiedyś Julia. Nie należała do dziewczyn, które zwykle wygłaszają banały, ale też stale go zaskakiwała. Dawniej powiedziałby, że jego serce jest tam, gdzie ona, ale może zrobiłby to tylko po to, żeby poczuć się lepiej, mniej samotnie. „Przykro mi, ale nie. Ono nie jest twoje”. Odparł, że nic go to nie obchodzi, że dla niego nie jest ważne, kto jest ojcem, i przeżył szok na myśl, że to prawda. Julia jednak odrzekła: „Ale dla mnie to ważne, Jacksonie”. I to był koniec. Między nimi wszystko się skończyło. Od zera do setki w trakcie jednej rozmowy. „Tak będzie lepiej, skarbie”. Czy miała rację? Jeśli miałby być szczery, nie wiedział. Wiedział za to, że czuł się tak, jakby bez znieczulenia wyrwano mu coś z ciała. Ale ponieważ nie był młodzikiem, po prostu robił swoje, bo tak należało się zachować: pozbierać się i wbrew wszystkiemu pełznąć dalej przed siebie. „No, dawaj!”

Poważnie się zastanawiał, czy jego serce nie zostało przed laty pogrzebane wraz z jego siostrą, gdy siedział przy laminowanym blacie zniszczonego stołu pani Judd i jadł zapiekankę z kurczaka.

Nowa granica, nowa przyszłość. Londyn, dom wszystkich wygnańców świata, wydał mu się dobrym miejscem, aby się na

kilka dni zagubić i potem odnaleźć. Na stacji benzynowej kupił trzy płytową składankę największych przebojów wytwórni Tamla Motown. Nie zmienił nagle upodobań muzycznych, ale pomyślał, że warto byłoby posłuchać w drodze czegoś żywego. Musiał przyznać, że ciemnoskórzy wokaliści (choć jak zwykle wolał śpiewające dziewczyny) potrafili podkreślić rytm jak mało kto. Nie do wiary, jaka to ulga znów siedzieć w samochodzie na miejscu kierowcy, za kierownicą. Nawet w takim mondeo. Znów poczuł się sobą.

– Cześć – rzucił, gdy w słuchawce rozległo się jej cierpkie: „Inspektor Louise Monroe, słucham”. Z drugiej strony na moment zapadła cisza. The Velvettes skończyły szukać swojej igły w stogu siana, niczego nie znajdując, po czym Louise odparła łagodniej niż zwykle:

– Cześć.

– Jestem w trasie – powiedział. (Trzy cudowne słowa).

– Przepraszam, ale nie miałem okazji się pożegnać.

– To znaczy, że skończyłeś to, co miałeś do zrobienia, i tak dalej? – zapytała. – Tajemniczy nieznajomy wymyka się z miasta, oglądając się za siebie tylko na chwilę, żeby zapalić przeżute cygaro i pomyśleć, co mogłoby się wydarzyć, a potem wbija koniowi ostrogę i odjeżdża galopem?

– Cóż, nie chciałbym cię rozczarować, ale właśnie mijam Anioła Północy w wynajętym mondeo.

– A Smokey śpiewa bluesa.

– Tak. Coś w tym stylu.

– Będziesz musiał tu wrócić.

– Nie.

– Podszedłeś się pod funkcjonariusza policji. Opuściłeś miejsce przestępstwa.

– Nigdy mnie tam nie było – odparł Jackson.

– Mam świadków, którzy twierdzą co innego.

– Kogo?

Louise westchnęła.

– Jeden świadek, rzecz jasna, nie żyje.

– Nasz kumpel Terry.

– Drugi prosi, żeby go odstawić do klasztoru.

- To mi wygląda na Martina.
- Za to trzeci świadek zeznaje podobno całkiem logicznie
- rzekła Louise.
- Jaki trzeci świadek?
- Pam Miller.
- Ta z pomarańczowymi włosami?
- Powiedziałabym raczej, że są brzoskwiniowe, ale tak. Żona Murdo Millera. Jej mąż szefuje wielkiej firmie ochroniarskiej. To hochsztapler, ale w sumie dość poważany.
- A co z tamtymi dwiema? Z Glorią Hatter i Tatianą?
- Zniknęły. Dały nogę. Tak jak ty. Pani Hatter jest poszukiwana przez chłopaków od przestępstw gospodarczych. Graham Hatter najwyraźniej zapadł się pod ziemię. Wszyscy są bardzo poruszeni tą sprawą.
- Czyli tobie ją dali? – zapytał. – Twoje pierwsze morderstwo.

Dziwnie to zabrzmiało, jak tytuł szkolnego elementarza.

- Nie. – Przez chwilę milczała, jak przestępca rozważający, czy warto przyznać się do winy. – Tak się składa, że nie.

– Tak się składa?

– Też musiałam stamtąd zniknąć. Sprawy osobiste.

Ze wszystkich sił próbował sobie przypomnieć imię jej syna. Zaryzykował i spytał:

– Chodzi o Archiego?

– Nie. O mojego kota.

Nic na to nie odpowiedział z obawy, że mógłby palnąć coś niewłaściwego (dwa lata związku z Julią czegoś go jednak nauczyły).

- Czyli aż *cztery* osoby opuściły miejsce przestępstwa?
- mruknął zaintrygowany. – To chyba rekord.

– To nie jest śmieszne.

– Nie mówiłem, że jest.

– Stało się coś zdumiewającego i pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Na świecie stale dzieją się zdumiewające rzeczy – odparł Jackson. – Tylko my ich nie zauważamy.

– Och, błagam! Zaraz mi powiesz, że wierzysz w anioły i że

wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Terence Smith został oskarżony o zabójstwo Richarda Moata.

- Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.
- Nie wydajesz się tak zaskoczony, jak bym chciała.
- Wierz mi, jestem zaskoczony.

Nie był, wcześniej odebrał telefon. Był to zaledwie szept, głos szepczący mu do ucha z rosyjskim akcentem. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, ale najwyraźniej przed Tatianą nic nie zdołało się ukryć. Ciekawe, czy gdyby się z nią przespał, musiałyby go później zabić? Coś mu mówiło, że mogłoby to być warte tej ceny.

– Jackson?

– Tak.

– Twój Terence Smith stanowił jednoosobową grupę przestępczą.

– Nie był mój.

– Był także kompletnym kretynem, zostawił po sobie masę śladów. Nasi technicy znaleźli krew i fragmenty tkanki mózgowej Richarda Moata na jego kijku bejsbolowym. W kieszeni miał komórkę Moata, po przeszukaniu jego mieszkania znaleziono laptopa Martina Canninga. Domyślam się, że stąd znał jego adres. Wygląda więc na to, że zabił Moata przez pomyłkę, bo tak naprawdę szukał Canninga. Chciał się na nim zemścić za to, że rzucił w niego torbę, ale natknął się na Richarda Moata. Zresztą kto wie, jak było.

– Czyli wszystko pięknie się układa – zauważył Jackson.

– Nie aż tak pięknie. Nadal nie mamy nic, co wiązałoby go z twoją nieistniejącą topielicą. W jego mieszkaniu ani w hondzie niczego nie znaleźliśmy.

– Wierz mi, ta dziewczyna istnieje. Terence Smith zabił ją na zlecenie Grahama Hattera. Skorzystał z samochodu Hattera, żeby pozbyć się ciała. Znajdźcie go, to znajdziecie dowód. Hatter sączy teraz pewnie koktajle z lordem Lucanem w Afryce Południowej czy gdzie tam obecnie ukrywają się zbiegli mordercy.

– A ty wiesz to wszystko od rosyjskiej dziewczyny do towarzystwa, której nie widział nikt poza tobą. Och,

przepraszam, poza tobą i Glorią Hatter. Która również *zbiegła*, jak to zgrabnie ująłeś. Nie ma nic, co łączyłoby Terence'a Smitha albo Grahama Hattera z tamtą dziewczyną. Dziewczyną, której, podkreślam, nikomu nie brakuje.

– Znam kogoś, komu jej brakuje – odrzekł Jackson.
– Nazywała się Lena Michajłyczenko. Miała dwadzieścia pięć lat. Urodziła się w Kijowie. Jej matka ciągle tam mieszka. W Rosji pracowała jako księgowka. Była spod znaku Panny. Lubiała disco, rocka i muzykę klasyczną. Czytała gazety i powieści kryminalne. Miała długie jasne włosy, ważyła pięćdziesiąt pięć kilo i mierzyła sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Chrześcijanka. Dobra, uprzejma, życzliwa i optymistyczna. One wszystkie tak o sobie mówią: „Jestem optymistką”. Lubiała czytać i chodzić do teatru. Lubiała też gimnastykę, pływanie i pokładała kompletnie nieuzasadnioną „nadzieję w jutrach”, więc może jej angielski nie był tak dobry, jak twierdziła. To chyba inny sposób na wyrażenie tego, że jest się optymistką. No i parki. One wszystkie kochają parki, w zasadzie wszystkie mówią o sobie mniej więcej to samo. Znajdziesz jej zdjęcie na stronie www.najpiekniejsze-pannyzrosji.com. Wciąż jest tam wystawiona na sprzedaż, chociaż wyjechała z Rosji pół roku temu, żeby się przekonać, czy w Edynburgu pieniądze naprawdę leżą na ulicy. To wtedy wpadła w łapy Przysług i spotkała swoją nemezis w osobie Grahama Hattera. Jeśli dobrze poszperasz, przekonasz się, że nasz pan Hatter miał swoje udziały w Przysługach i Bóg wie gdzie jeszcze.

– Nie poddajesz się, co? Musisz tutaj wrócić.

– Nie.

– Chryste, Jacksonie!

– Nie. Mam dość angażowania się w cudze sprawy. Mam dość bycia świadkiem.

– Martin cię potrzebuje, musisz zeznawać na jego korzyść. Zabił człowieka. Uratował ci życie. To twój *przyjaciel*.

– Nie jest moim przyjacielem. – Po tych słowach nastąpiła dłuższa pauza. The Supremes prosiły go, żeby przestał w imię miłości. – Tak czy siak...

- Tak czy siak.
- W każdym razie pamiętaj - dodał Jackson - że zawsze będziemy mieli Paryż.
- Nigdy nie mieliśmy Paryża.
- No nie - przyznał Jackson. - Jeszcze nie.

Szkocki chłopak Sophii rzucił się na nią, kiedy tylko przestąpiła próg, i zaczął szarpać zamek z przodu jej różowego uniformu. Różowe uniformy kojarzyły mu się dziwnie pornograficznie, jakby sama lalka Barbie zaprojektowała ten strój idealnej pielęgniarki. Uniform Sophii był bardzo kusy i jej chłopak często się zastanawiał, czy w sprzątanym przez nią domach byli mężczyźni, którzy nie robili nic innego, tylko usiłowali zajrzeć jej pod spódnicę za każdym razem, gdy się schylała albo po coś sięgała. Myśląc o jej pracy, wyobrażał sobie motyle do kurzu zrobione z piór oraz samą Sophię opartą prowokacyjnie o łóżko lub szorującą na klęczkach podłogę z tym jej jędrnym czeskim tyłeczkiem zadartym wysoko do góry.

– Zaczekaj – powiedziała, odpychając go od siebie.

– Nie mogę – odparł. – Cały dzień myślałem o tej chwili.

Ona chciała zdjąć zakiet, wypić kieliszek czerwonego wina, zjeść tosta z fasolką, obmyć twarz i odpocząć; zrobić setkę rzeczy, które znajdowały się wyżej na jej liście priorytetów. Tego dnia musiała pracować o godzinę dłużej. „Nowe zwyczaje” – powiedziała im dozorczyńni. Dozorczyńni też była nowa. Ich dawna szkocka dozorczyńni o wrednej gębie z dnia na dzień zniknęła, jej miejsce zajęła humorzasta zdzira z Moskwy. Przysługi miały teraz „nowe kierownictwo”. Sophii nie podobały się te zmiany. Stwierdziła, że może czas się zwolnić, wrócić do rodzinnej Pragi i znów zacząć żyć swoim życiem. Wyobraziła sobie siebie w przyszłości jako naukowca o międzynarodowej sławie, na stałe mieszkającą w Stanach z przystojnym mężem i dwójką dzieci; wyobraziła sobie, jak przegląda zdjęcia dokumentujące jej pobyt w Szkocji: zamek, festiwal orkiestr wojskowych, góry i jeziora. Zapewne pozbędzie się tych przedstawiających jej szkockiego chłopaka,

żeby amerykański mąż nie był o niego zazdrosny. Choć z drugiej strony, może lepiej będzie je zostawić.

– No chodź – jęczał jej szkocki chłopak, szarpiąc na niej ubranie.

Czasami, kiedy miał chęć na seks, nic nie było w stanie ostudzić jego zapału.

Dopiero gdy zaczął podciągać do góry jej różowy uniform, poczuła, że coś gniecie ją w plecy, i powiedziała mu, żeby zaczekał. Stęknął, przewrócił się na plecy; jego wielki i błyśki szkocki penis sterczał sztywno w górę jak maszt. Był jej pierwszym Szkotem, nie miała więc zbyt dużego porównania, lubiła jednak myśleć, że jest to coś, co wszyscy Szkoci kryją pod swoimi kiltami – chociaż pozostałe pokojówki, bardziej doświadczone, zareagowały piskliwym śmiechem, gdy im to powiedziała.

Przyczynę niewygody odkryła w jednej z kieszeni zakietu. Laleczka. Jedna z matrioszek pisarza. Jak przez mgłę pamiętała, że podniosła ją z podłogi na widok tamtej koszmarnej jatki w jego domu. Była malutka, ale nie najmniejsza z kompletu. Rozkręciła laleczkę i zajrzała do środka. A tam, niczym jajko w gnieździe, tkwił ukryty sekret. Sophia zmarszczyła brwi.

– To pamięć przenośna Sony – powiedział jej szkocki chłopak. – Do komputera.

– Wiem – odrzekła.

Czasami zapominał, że była naukowcem z wielkiej europejskiej stolicy, i zachowywał się, jakby uprawiała ziemniaki gdzieś w wiekach średnich. Na karcie pamięci była naklejka. *Śmierć na Czarnej Wyspie*.

– Greg z góry ma sony – dodał z entuzjazmem jej chłopak.

Jego maszt zdążył oklapnąć i został zapomniany, bo chłopaka pasjonowało wszystko, co miało związek z komputerami.

– Sprawdźmy, co na nim jest. Pewnie coś ważnego, skoro było schowane.

– Nie wydaje mi się – odparła Sophia. – To tylko powieść.

Słyszając dudnienie jego kroków na schodach prowadzących do mieszkania Grega, poczuła prawdziwą ulgę. Teraz

przynajmniej może zrzucić buty i nalać sobie kieliszek wina. Pomyślała o domu pisarza, o tym, jaki był, zanim zdarzyło się w nim to okropieństwo. Niemal czuła zapach róż stojących w holu.

Ciało ponownie wypłynęło w Cramond, zupełnie jakby dziewczyna uparła się powracać w to samo miejsce raz za razem, aż ktoś wreszcie zwróci na nią uwagę. Obecny na miejscu patolog przypuszczał, że mogła zostać uduszona („pośmiertne zasinienie na szyi”), ale żeby mieć pewność, musieli poczekać na wyniki sekcji. Przebywanie trzy dni w wodzie i dryfowanie wzdłuż wybrzeża zrobiły swoje. Nie miała tyle szczęścia, ile Ofelia unoszona łagodnie przez strumień i przybrana girlandą z kwiatów.

Cramond znajdowało się na ścieżce podejścia do lądowania na lotnisku w Edynburgu. Louise była ciekawa, jak wyglądają z góry: jak kręcące się bez celu pajęczki czy raczej dobrze wyszkolona armia współpracujących ze sobą mrówek? Godzinę temu na miejscu zjawił się pierwszy policjant, który przyjął zgłoszenie. Później ich liczba rosła w postępie geometrycznym. Jej ekipa, jej śledztwo. *Jej pierwsze morderstwo*. Na parkingu długoterminowym edynburskiego lotniska znaleźli samochód Hattera. Jackson miał rację, w bagażniku było pełno DNA – jak dobrze pójdzie, znajdą takie, które będzie odpowiadało DNA zwłok. Prędzej czy później znajdą też Grahama Hattera.

Ciało odpłynęło policyjną motorówką, lecz prokurator i patolog woleli polecieć helikopterem. Louise zabrała się motorówką w charakterze straży honorowej. Dotknęła ręką grubej folii czarnego worka.

– Witaj, Leno – szepnęła.

Przez cały ten czas była dziewczyną Jacksona, teraz należała do niej. Wybrała numer jego komórki. Było mnóstwo rzeczy, które chciałyby mu powiedzieć, lecz gdy odebrał, ostatecznie powiedziała tylko:

– Znaleźliśmy ją. Znaleźliśmy twoją dziewczynę.

Po wylądowaniu na lotnisku w Genewie wzięły taksówkę i pojechały prosto do banku.

W jego chłodnym wnętrzu Tatiana zwróciła się do kobiety w recepcji:

– To jest pani Gloria Hatter, chciałaby dokonać wypłaty swoich środków.

Gloria przypuszczała, że pracownicy szwajcarskich banków prawdopodobnie mówili po angielsku lepiej niż Anglicy. Mogłaby przysiąc, że rosyjski akcent Tatiany był teraz znacznie słabszy niż wcześniej.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę, wyszeptła do niej coś bardzo dyskretnie po francusku i po kilku chwilach prowadzono je do luksusowego prywatnego pomieszczenia.

– Ładny bank – zauważyła z uznaniem Tatiana.

Pół godziny później znów były na dworze w pełnym słońcu. To była bułka z masłem. Tatiana poinstruowała wcześniej Glorię, aby ta zażądała wypłaty w formie obligacji wartościowych na okaziciela. Papierowe obligacje wydały się Glorii dość liche, wolałaby konkret w postaci gotówki.

– Nasz łup – powiedziała Tatiana i roześmiała się.

Poszły razem do zabytkowej drogiej kawiarni. Tam Gloria podzieliła między nie obligacje. „Jedna dla mnie, jedna dla ciebie” – mówiła. Tatiana upchnęła swoją część w biustonoszu, Gloria poszła w jej ślady. Następnie włączyła telefon i odsłuchiwała wiadomości. Jedna była od człowieka z firmy ochroniarskiej – pytał, gdzie się podziewa i dlaczego jej dom jest ogrodzony taśmą policyjną. Drugą zostawiła Emily, wielce poirytowana zbliżającym się nieuchronnie rozwiązaniem. Była też wiadomość ze szpitala. Gloria wyjęła z torebki drugi telefon i wysłuchiwała nagranej nań wiadomości. Spodziewała się jej od wtorku. Stanowiła ona potwierdzenie wiadomości ze szpitala.

To była doniosła i ostateczna nowina.

– Graham nie żyje – powiedziała, ale jej słowa padły w pustkę.

Tatiana zniknęła.

Gloria niespiesznie piła kawę. Zamówiła do niej kawałek znakomitego ciasta zwanego „Eglantine torte”. Regulując rachunek, zostawiła sowity napiwek. Przypomniała sobie, że jest piątek, dzień Beryl, i była ciekawa, czy wiekowa teściowa zauważy jej nieobecność.

Na ulicy wepchnęła drugi telefon na dno pierwszego napotkanego kosza na śmieci. Była pewna, że kosz wkrótce zostanie opróżniony; ostatecznie Szwajcarzy słynęli ze swego zamiłowania do czystości. To, co do tej pory zobaczyła w tym kraju, bardzo jej się spodobało. Wyobraziła sobie, że kupuje na wsi dom w stylu alpejskim z ciemnego drewna; latem w oknach płożyłoby się geranium, zimą dach okrywałaby czapa świeżego bielutkiego śniegu. A przy gorącym piecu opalonym drewnem spałyby w koszyku kocięta.

Miała tyle do zrobienia. Będzie podróżować po świecie, naprawiając wyrządzone zło. Przyzywały ją całe zastępy kociąt, koni, papużek, zmasakrowanych chłopców i zamordowanych dziewcząt. „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”.

Żli będą się jej lękać. Jeszcze za życia stanie się legendą. Kosmicznym wymiarem sprawiedliwości. Powinno się to zdecydowanie pisać wielkimi literami. Kosmiczny Wymiar Sprawiedliwości. Niezaprzeczalnie i bezspornie Kosmiczny Wymiar Sprawiedliwości był dobry.

Jackson dotarł tylko do Scotch Corner, potem zawrócił i znów ruszył na północ. Doszedł do wniosku, że jednak nie potrafi odjechać w stronę zachodzącego słońca. Martin poprosił go o pomoc, a on się zgodził. Gość uratował mu życie. Teraz potrzebował, by Jackson zeznawał na jego korzyść, więc nie mógł go tak po prostu zostawić.

Znów wyrósł przed nim Anioł Północy, w opiekuńczym geście wznoszący nad ziemią zrudziałe skrzydła samolotu. Jackson zboczył co prawda na chwilę z właściwej ścieżki, ale wszystko było już pod kontrolą. Znowu nią kroczył.

Ostatecznie okazało się, że broń nie będzie mu potrzebna. Jej zniknięcie dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: musiał ją zabrać Martin, gdy byli razem w pokoju hotelowym, zanim zaprawił mu drinka środkiem nasennym. Przed opuszczeniem hotelu powinien sprawdzić, czy pistolet jest na swoim miejscu. Popęłił błąd. A w jego pracy nie było miejsca na błędy. Może czas zająć się czymś innym, obrać nowy kierunek, zrobić wreszcie ten dyplom na uniwersytecie otwartym, założyć fermę strusi, poprowadzić pensjonat. Zejść na ziemię, Ray.

Gdy w końcu zajrzał do torby, w pudełku zamiast pistoletu znalazł hotelową Biblię. Na niej jak gdyby nigdy nic leżała figurka golfisty, może tylko nieco przekrzywiona. Widać było, że w tej pozycji mały chromowany golfista nigdy nie zdoła trafić w piłkę. Ray grał kilka razy w golfa i nawet mu się spodobało – siła uderzenia, precyzja trafienia. Odpowiadało to obu aspektom jego wrodzonych umiejętności. Statuetkę kupił w sklepie z rzeczami używanymi. Jakiś głodujący dzieciak w odległym zakątku świata skorzysta z pensa wydanego na trofeum golfowe jakiegoś starego pierdziela. R.J. Bensona. Nie sposób było o nim nie myśleć, nie zastanawiać się, kim był i jakie miał życie. Trofeum datowano na rok 1938. Czy R.J. Benson walczył na froncie, czy zginął na wojnie? A może przeżył wszystkich swych bliskich i umarł sam jak palec? Czy Raya też to czekało? Nie, prędzej strzeliłby sobie w łeb. Traktuj innych tak, jak sam chciałbyś zostać potraktowany.

Mógł sobie jednak wyobrazić, że coś takiego spotka kiedyś Martina. Na myśl o nim poczuł nieoczekiwany przyływ sympatii. Zdecydowanie za wiele mu o sobie powiedział. Każde słowo było tym jednym za dużo, nawet milczenie mogło być groźne w skutkach. Zanim wrócił do Hotelu Czterech Klanów, żeby odnaleźć Martina i wypytać go o pistolet, tamten przepadł

bez śladu. Chętnie by go zabił za ten numer, ale – nie da się ukryć – koleś uratował mu życie, więc miał wobec niego dług. Życie za życie.

Zresztą w takim miejscu pistolet narobiłby niepotrzebnego zamieszania, poza tym był niepotrzebny. Wystarczyło przecież wyciągnąć rękę i nacisnąć przełącznik. W zasadzie dałoby się faceta po prostu wyłączyć. Bóg wie do czego go podłączyli, ale chyba tylko te urządzenia dzielą go od wieczności. Właściwie Ray mógłby się zdać na naturalną kolej rzeczy, ale, jak to mówią, lepiej się teraz zabezpieczyć, niż potem żałować. Poza tym zapłacono mu za wykonanie zadania i zamierzał wykonać je do końca.

Bez trudu dostał się na OIOM. Gruba pielęgniarka na nocnym dyżurze spytała go, czy jest bliskim krewnym chorego. Zrobił smutną minę i odparł: „Jestem jego synem Ewanem. Właśnie przyleciałem z Ameryki Południowej”, na co ona przybrała podobny wyraz twarzy i powiedziała: „Oczywiście, już pana prowadzę do taty”. Posiedział więc sobie sympatycznie przez jakiś czas z „tatą”, jakby naprawdę był jego synem.

– Trudno cię było znaleźć, Grahamie – mruknął.

Wszędzie go szukał. Klienci nie mogli się z nim kontaktować po tym, jak zlecili mu robotę. Ray tak wołał. Lepiej się teraz zabezpieczyć, niż potem żałować. Telefon na początek, telefon na koniec.

Dziwnie było znaleźć się znów w tym samym szpitalu. Na oddziale ratunkowym panowały hałas i zamieszanie – nie to, co tutaj. Przy łóżku Grahama było cicho jak makiem zasiał, jeśli nie liczyć migotania i popiskiwania monitorów. Wcześniej tropiony Graham był dla Raya „Hatterem”, lecz gdy ujrzał go bezradnego jak dziecko, stwierdził, że facet zasługuje na odrobinę czułości. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął strzykawkę. Wypełnioną pustką. Powietrzem. Aby żyć, człowiek potrzebował powietrza; kto by przypuszczał, że powietrze może również zabić. Żyłami trafi do serca, które przestanie pompować krew. Zatrzyma krążenie, zatrzyma też serce. I Graham umrze. Wystarczy taki drobiazg. Odkrył nogi Grahama i odszukał żyłę przy kostce.

– Nic nie poczujesz, Grahamie – cicho powiedział Ray.

Ray jak promień – promień światła, promień ciemności.
Promień słońca, promień księżyca.

Poprawił kołdrę. Za kilka chwil u Grahama dojdzie do zatrzymania akcji serca i rozpęta się piekło. Zlecą się pielęgniarce, przybiegnie nawet tamta gruba, bohatercko taszcząc swoje ciężkie biodra przez cały korytarz.

Czas się zbierać. Poklepał okrytą kołdrą nogę Grahama.

– Dobranoc, Grahamie. Śpij dobrze.

Na dworze znów zaczynało śiąpić. Zatelefonował do klientki. Nikt nie odebrał, więc zostawił wiadomość w poczcie głosowej.

– Moje gratulacje, pani Hatter – powiedział. – Zadanie zostało wykonane.

Od autorki

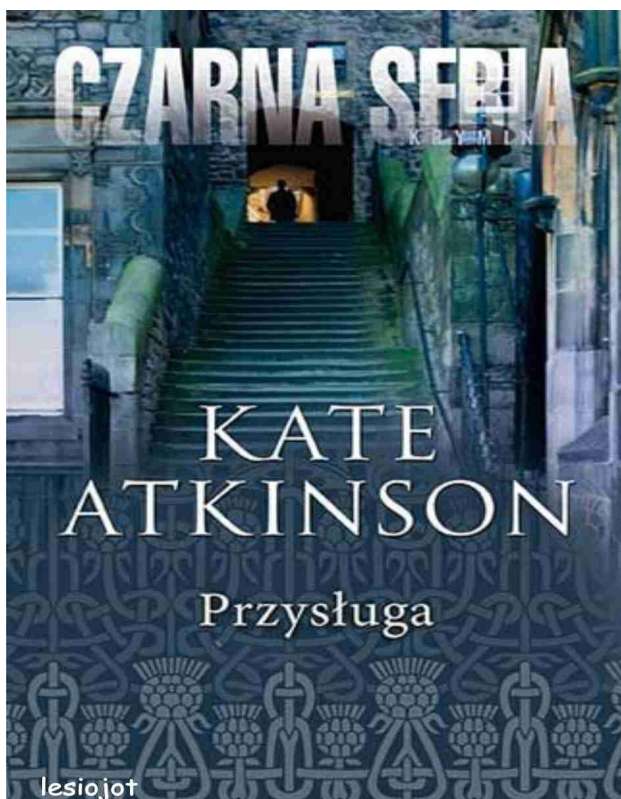
Mam dług wdzięczności wobec Martina Aulda, Malcolma R. Dicksona (podinspektora policji szkockiej), Russella Equi, majora Michaela Keecha, sędziego Andrew Lothiana, doktora Douga Lyle'a oraz doktora Anthony'ego Tofta za to, że podzielili się ze mną wiedzą, której mi brakowało. Jeżeli czegoś nie zrozumiałam albo celowo to czy owo przekreśliłam, proszę o wybaczenie.

Dziękuję Davidowi Robinsonowi i Donaldowi Rossowi z redakcji „The Scotsman”, Reagan Arthur, Kim Witherspoon oraz Peterowi Straussowi, a także wydawnictwom Little Brown z USA i Transworld z Wielkiej Brytanii.

Chciałabym również podziękować Davidowi Lindgrenowi za jego przeważnie daremne wysiłki, aby wytłumaczyć mi zawilosci prawa spółek, a przede wszystkim za to, że jest prawnikiem, który umawia się na lunchy.

Podziękowania dla Alana Stalkera i Stephena Cottona, którzy w trudnych chwilach przychodzili mi z pomocą.

Na koniec nie mniej gorąco pragnę podziękować pisarzowi Rayowi Allanowi za to, że wspaniałomyślnie pozwolił mi przywłaszczyć sobie pewną historię z własnego życia.



 **WIRTUALO**
Księgarnia Internetowa

empik